



***DEIRDRE  
PURCELL***

---

***Dzieci  
Eve***

---

# Rozdział 1

---

Siedzę w małpiarni dublińskiego zoo. Szympansy robią taki jazgot, że szalu można dostać; Koszmar.

Niech to szlag, jednak nie jestem w zoo. Leżę w łóżku, a ten łomot powoduje budzik, którego młoteczek jak opętany wali w cynowy dzwonek. Zegarek stoi w drugim końcu pokoju. Specjalnie go tam zostawiam, żeby zmusić się do wygrzebania z betów.

- Przymknij się!

Naciągam kołdrę na głowę. W tę sobotę pracuję na zmianie śniadaniowej i piętnaście po szóstej muszę zameldować się w hotelu - niech to podwójny szlag. Ale nie chcę otwierać oczu. Jeszcze chwilę. Zawsze źle sypiam w weekend, co ostatnio oznacza nocę od czwartku do niedzieli. Skąd ci dublińczycy biorą kasę na balowanie? W końcu celtycki tygrys, wielka prosperity i cały ten jazz to już przeszłość, nie? A jednak. Całą kamienicę prześladowają ryki imprezowiczów i dresiarzy, wydzierających się na siebie i tłukących butelki pod oknami. Po drugiej w nocy jest nam dokładnie obojętne, czy to odgłosy świetnej zabawy czy mordy. Tej nocy towarzyszo wyjątkowo głośno się zabawiało, co odczułam szczególnie dotkliwie, bo moje mieszkanie - a właściwie pokój z aneksem kuchennym - znajduje się na parterze od ulicy.

Jazgot budzika działa mi na nerwy, więc niechętnie podnoszę się z ciepłego dołka w materacu, by uciszyć przeklętego wyjca.

Staję na środku pokoju. Kretynka. Jest dopiero piąta. To wcale nie budzik.

Telefon? O tej porze? To muszą być złe wiadomości.

Rowan. Znowu go zapuszczowali. Super, tym razem niech sobie posiedzi. Ile razy można, do ciężkiej Anielki, jeździć na komisariat i wyciągać go z aresztu? Łapię słuchawkę z takim impetem, że omal nie rozwałam sobie czaszki.

-Halo?

- Rozmawiam z Arabellą Moraghan?

Ejrebellą Morragajn? Nie, nie znam takiej. Facet ma głos zupełnie jak z filmu „W samo południe”. Pewnie to jakiś cholerny gość hotelowy. Zostawił portfel w jadalni. Jakimś cudem zdobył mój numer i wyobraża sobie, że może dzwonić, o której chce.

- Tak? — Włączam lampkę przy łóżku i nadaję głosowi ton pełen oburzenia. - Tu Arabella Moraghan. Kto mówi? Nie wiem, czy pan zdaje sobie sprawę, że jest piąta rano.

- Przepraszam, że niepokoję o tak wczesnej porze, ale...

- Zgubił pan coś? - przerwałam.

- Co proszę? Nie rozumiem.

- Zostawił pan coś? Prymityw, a do tego tępak.

- Zdaje się, że... zaszło tu małe nieporozumienie, Arabello.

Nazywam się Dale Genscher, nie znasz mnie. Dzwonię ze Stanów.

Z tym akcentem? Głuchy by usłyszał. Ale przebiegają mnie ciarki, jakby ktoś wysypał mi piasek na skórę. Nie chodzi o Rowana. To nikła pociecha, bo wiadomość na pewno nie będzie dobra.

-Tak?

- Arabello, wybacz, nie będę owijał w bawełnę - mówi tamten gość. - Jesteś przygotowana na szok?

Przyciskam słuchawkę do piersi tak mocno, że boli mnie ręka. Ten Amerykanin nie musi nic więcej dodawać. Wiem, dlaczego zadzwonił. Całe życie spodziewałam się tego telefonu. Eve nie żyje. Mężczyzna o głosie kowboja odezwał się, by uzgodnić szczegóły pogrzebu.

A niech się buja, palant! Guzik mnie obchodzi przygotowania do pogrzebu. Jeśli chciała, żebym się do niego dołożyła, powinna była na to zapracować. A nic nie zrobiła. Ani mi się śni. Niech inni się tym przejmują. Jak dla mnie doczesne szczątki Eve mogą sobie gnić na wysypisku śmieci.

Słyszę, jak mężczyzna powtarza moje imię.

- Ejrebello? Jesteś tam?

Jeszcze mocniej zaciskam rękę na słuchawce i padam na poduszkę. Niech diabli porwą Eve. Tak długo żyłam wyidealizowanymi wspomnieniami o niej, a teraz nawet to mi odebrała. Odnalazłam ją w Ameryce, tylko za późno, już po jej śmierci. Nigdy jej tego nie wybaczę. Przenigdy. Jak śmiała? - Ejrebello? - Przytłumione wołanie.

- Jestem. - Z powrotem przykładam słuchawkę do ucha. - Chodzi o moją matkę, tak? Nie żyje? Jest pan z policji? Jak zdobyliście mój numer?

- Zaraz, zaraz, nie tak szybko. Dobra wiadomość jest taka, że twoja matka żyje. Niestety, pozostałe informacje są nieco gorsze. Miała wypadek, Arabello. Dlatego dzwonię. I nie jestem glina...

- Nie mogła sama zatelefonować? Stchórzyła? Zwaliała na kogoś brudną robotę?

Niewiarygodne, ale dobiega mnie cichy chichot.

- Co w tym takiego zabawnego?

Zrywam się z łóżka. Mam ochotę wepchnąć temu facetowi słuchawkę w gardło. Komukolwiek.

- Można jej zarzucić wszystko prócz tchórzostwa. - Mój rozmówca nie daje się zbić z pantałyku. - Chociaż bała się sama do ciebie zadzwonić. Teraz rozumiem dlaczego.

- Dobra - zalewam go potokiem słów - miała wypadek. Też mi coś! I co niby mamy zrobić z tym fantem? A co z nami? Trochę za późno, aby dzwonić, bo naszła ją taka chętka. Przez te lata mogliśmy mieć setki wypadków, a Rowan równie dobrze mógłby już dawno nie żyć. - Chwytam powietrze, mój chaotyczny bełkot odbija mi się w uszach niczym bębnienie w rozstrojony fortepian. - Była łaskawa o tym pomyśleć, panie... jak tam panu dali na chrzcie?

- Genscher. Dale Genscher.

Połączenie jest tak idealne, że słyszę jego wolny, spokojny oddech. W końcu to nie jego wina. „Nie zabija się posłańca”, ulubiona maksyma Greta. Greta to moja najlepsza przyjaciółka. Razem zaliczyliśmy kolejne hotelowe restauracje, aż wreszcie parę lat temu wylądowaliśmy w hotelu Leicester.

- Przepraszam, nie powinnam była na pana naskakiwać. To nie pańska wina. Choć musi pan przyznać, że po czterdziestoletnim milczeniu...

- Każdy tydzień rozstania dźwigała jak krzyż.

- Doprawdy?

Milczenie po drugiej stronie jest jak szkło. Nie, jak kryształ. Niemal świdruje w uszach. Biorę się w garść, nakazuję sobie spokój i wtedy odkrywam, że czuję coś jeszcze. Coś dziwnego. Lęk? Podniecenie?

- Słuchaj, Dale, nie chciałam się na ciebie wydzierać.

Przepraszam. Bez urazy.

- Nic się nie stało.

Znowu oddechy. Po obu stronach. Wreszcie ja pytam:

- Co to był za wypadek? Jest ciężko ranna?

- Samochodowy. Przechodziła przez ulicę i potracił ją SUV.

- Co takiego?

- Rodzaj wozu terenowego. Wysoki, z napędem na cztery koła i potężną kratownicą z przodu. Eve była bez szans. Ma złamaną nogę. Żebra też. Jedno przebiło płuco, wdała się infekcja. Naprawdę, kiepsko z nią, Arabello. Przywieźliśmy ją do domu ze szpitala, ale...

- Umrze?

Dale parska śmiechem, a potem mówi:

- Nie, nie sędzę. Nie Eve.

- Co to za „my”? Co cię łączy z Eve?

- Jestem jej przyjacielem. Znamy się od lat, poprosiła, żebym zadzwonił. Pragnie zobaczyć ciebie, Willow i Rowana.

Przypuszczam, że po tym wstrząsie poukładało jej się w głowie.

To pewnie ma być żart? Puszczam go mimo uszu.

- W takim razie niech tu przyjedzie. Zakładam, że macie tam samoloty. Wiesz, takie duże, srebrzyste, ze skrzydłami.

- Niestety, to niemożliwe. Sprawdzaliśmy, ale z Arizony do Irlandii można lecieć tylko z mnóstwem przesiadek. A choć na lotniskach jest wiele ułatwień dla osób na wózkach, to dla niej zbyt wyczerpujące.

- Arizona?

Dale znowu milknie. Cisza pulsuje mi w uszach, gdy próbuję to wszystko ogarnąć. Eve przez te wszystkie lata o nas myślała! To już coś. Ale jak trafiła do Arizony? Kiedy? Czy od razu? Ilekroć wyobrażałam sobie Eve albo rozmawiałam o niej z Willow, nie wiedzieć czemu, zawsze widziałam ją na północy Anglii. Willow zaś była przekonana, że nasza matka nie żyje albo beztróska włóczy się po Australii.

Nie potrafię tego ogarnąć. Potrzebuję czasu.

Ilekroć ktoś mnie przyciska do muru albo gdy zapada niezręczna cisza, zaczynam gadać jak najęta. Teraz jak tonący brzytwy chwytam się tematu niemożności wyrwania się z pracy.

- Przykro mi, chętnie bym pomogła, ale, niestety, to nie wchodzi w rachubę. Jestem kelnerką, mamy strasznie mało ludzi, to bolączka wszystkich naszych barów i restauracji, panie Genscher...

-Dale.

- Dobrze, Dale. Otóż, w tym momencie w naszym lokalu pracują tylko dwie Irlandki: ja i Greta. I tylko my mamy doświadczenie, jesteśmy starymi wyjadaczkami, a reszta to dzieciaki z Australii, Stanów i Europy Wschodniej. My dwie, Greta i ja, musimy wszystkiego ich nauczyć. Nie tylko obsługi klientów, nie tylko sztuki nalewania mleka do dzbanka, ale tego, jak prawidłowo powiedzieć „boczek”, „kapusta”, „gulasz”, „koktajl krewetkowy”. Sam widzisz, Dale, nie mogę ot, tak sobie wyjechać. Mój kierownik by mnie rozszarpał.

I dalej tak nawijam bez sensu, aż w końcu nie mogę znieść dźwięku swojego głosu i urywam bezradnie. Przecież tego faceta guzik obchodzą problemy nowej Irlandii.

- A w ogóle, skąd ten pośpiech? Naprawdę musiałeś dzwonić o piątej rano? - Staram się mówić energicznie i z dużą pewnością siebie. Jak moja siostra Willow. - Jeśli dobrze zrozumiałam, Eve nie umiera. Parę godzin by cię nie zbawiło.

- Prosiła, żebym zadzwonił. Najwyraźniej uważa to za pilne. Nie mogła spać. Zasnęła dopiero, gdy się zgodziłem.

Mam łód w oczach. Eve nie mogła spać? Eve nie dawała Dale'owi spokoju, prosiła, aby zadzwonił? Ze zjawy, która żyła tylko w mojej wyobraźni, tworzy się człowiek z krwi i kości.

-Słuchaj, Dale, jestem półprzytomna. Daj mi swój numer, przekręcę do ciebie później.



- Jasne. I nie przejmuj się porą. Jestem ci to winien po tej pobudce.

-Czekaj, wezmę coś do pisania.

Miotam się, próbując zlokalizować torebkę. Wreszcie zauważam ją na podłodze, pod stertą książek z biblioteki. Grzebię w kieszonce i w końcu znajduję rachunek za prąd i ogryziony firmowy ołówek hotelu Leicester.

Wracam do telefonu i w tle słyszę telewizję. Piskliwa piosenka, pewnie jakiś animowany serialik dziecięcy. Chryste, gość jest tak wyluzowany, że w czasie gdy szukałam kartki, włączył sobie telewizor. Ale nie, dam się znowu wyprowadzić z równowagi. Nie dam się! Nie dam!

-Wal.

Podał numer, sprawdziłam go, oddzwaniając.

- Zgadza się, Arabello.

- Gdzie jest teraz Eve? Z tobą?

-Przepraszam, że zafundowałem ci taki szok, ale Eve potrafi być niezwykle przekonująca, a ja sam nie jestem zwolennikiem owijania rzeczy w bawełnę. Przemyśl sobie wszystko na spokojnie, skarbie, ale nie zwlekaj, dobrze? Mam nadzieję, że niedługo się odezwiesz.

Skarbie? Skarbie?!

- Odezwę się, słowo. Bez względu na to, jaką decyzję podejmę.

Ciskam słuchawkę z takim impetem, że spada obok aparatu.

Całe zmęczenie gdzieś się ulatnia: krew dudni mi w żyłach, których istnienia do tej pory nawet się nie domyślałam. Jakież to proste! Po

prawie czterdziestu latach moja matka postanowiła wreszcie spotkać się z rodziną. Dlatego każe jakiemuś gostkowi, żeby zadzwonił o piątej rano, budząc mnie po ciężkiej nocy, i niczym herold obwieścił wolę Jej Królewskiej Mości.

Tępym wzrokiem gapię się na swój mały świątek: tapetę w niezapominajki, która pięć lat temu wydawała się taka świeża i pogodna. Dziś wygląda wyłącznie kretyńsko. O linoleum w czarno-białe pseudopłytki wolę nawet nie wspominać. Do tego chybotliwy stolik, który dosłownie ledwo trzyma się na nogach... Czy kobiecie w moim wieku wypada tak żyć? Jak jakiejś zakichanej studentce? Gotować na najtańszej kuchence z dwoma palnikami i w używanej mikrofalówce? Każda matka by się załamała, gdyby jej najstarsza córka żyła niczym nastolatka na dorobku.

Nagle sprzątnięcie mieszkania - solidnie, naprawdę na błysk - staje się sprawą niezwyklej wagi.

Opanuj się, Bel. Staję w miejscu. Nawet gdyby jaśnie pani matka raczyła zaszczyścić moje niskie progi, to co? Niech zobaczy, jak wysoko w hierarchii społecznej jej córka... nie zaszła. Niech zrobi jej się głupio.

Budzik zadzwoni za niecałe pół godziny. Robię kilka kroków i już jestem przy zlewie, nalewam wody do elektrycznego czajnika. Potem wychodzę na podest, do łazienki, którą dzielę z trójką lokatorów.

Wróciwszy do pokoju, odsłaniam okno i wpatruję się w pustą ulicę i bezchmurne, perłoworóżowe niebo. Znosi się na piękny dzień. Pomyśleć, że w Arizonie pewnie jest środek nocy.

Arizona. Jak egzotycznie to brzmi. Drugi koniec świata. Nawet gdybyśmy zdecydowali się tam pojechać, to skąd wy-trzaśniemy pieniądze? Absolutnie nas nie stać na taką podróż. W każdym razie Rowana i mnie.

Kolejny problem to odnalezienie Rowana. Bóg jeden wie, gdzie on teraz jest. Jeśli zdecydujemy się jechać, policja, ludzie z Konferencji Świętego Wincentego a Paulo czy Armia Zbawienia pomogą nam go znaleźć. Tak się nawet składa, że jeden z moich współlokatorów pracuje w Konferencji - już raz mi pomógł. Nie poprosiłam po raz drugi, bo wkurzało mnie, że zaczął traktować Rowana jak naszą wspólną sprawę, sekret, który nas do siebie zbliża. Zresztą nienawidzę być komuś coś dłużna. Jestem samowystarczalna i sądzę, że inni właśnie tak mnie postrzegają.

Może pomógłby mi Jimmy Porter? On też należy do Konferencji Świętego Wincentego, powierzono mu odwiedzanie więźniów. Ale niechętnie zwróciłabym się do niego z taką prośbą. Nasz związek po raz kolejny przechodzi ten etap, gdy z najwyższą niechęcią angażuję Jimmy'ego Portera w moje sprawy osobiste. A co dopiero w coś tak osobistego i poruszającego. Już słyszę jego pouczenia. Co powinnam zrobić, co powinnam powiedzieć. Próbuję wykombinować, skąd by tu wziąć pieniądze na taką podróż...

Rząd zamkniętych sklepów w głębi ulicy wychyla się do mnie niczym grupka pyszałkowatych sędziów przysięgłych. „Spłukana, wiecznie bez grosza! Nie stać jej nawet na kupno biletu do Stanów! Czemu nie zaczęła oszczędzać w Credit Union, jak jej radziła Greta?”.

- Zamknijcie się, sklepy!

Jestem ugotowana. Bardziej niż kiedykolwiek.

Zasłaniam okno. Pstryka wyłącznik czajnika. Buntuję się. Kto powiedział, że mam skakać na dwóch łapkach, bo Eve raczyła skinąć ręką? To ona jest winna. A poszkodowanymi jesteśmy my: mój brat, siostra i ja.

Do diabła z nią. Czekaliśmy tyle lat, teraz niech ona sobie poczeka. Nie ma prawa tak nas załatwić.

Ale...

Oczywiście - ale.

A jeśli umrze? Ten - jak mu było? - Dale zapewniał, że największy problem to złamana noga, ale wspominał też o obrażeniach wewnętrznych. O infekcji. Może nie mówi całej prawdy. Woli dozować złe wiadomości.

Być może to jedyna szansa, by poznać matkę. I dowiedzieć się czegoś o sobie, do diaska.

Nagle braknie mi sił, opuszczam ramiona i opieram się o zlew. Sądziłam, że z tego wyrosłam, a tu, proszę - wracają wszystkie wątpliwości, tęsknoty, lęki i wściekłość. Syczą mi w głowie niczym kłębowisko węży.

Zrobię sobie herbatę i wracam do łóżka. Dwadzieścia po piątej. Jeśli będę wolno piła, może uda mi się wypełnić tym czas do za dwadzieścia pięć szósta. Potem jeszcze dziesięć minut do zagospodarowania i wreszcie będę mogła szykować się do pracy i przestać myśleć.

Na ulicy odległy warkot zamiatarki zagłusza świergotanie wróbli. Zwyczajne, dobre, codzienne odgłosy coraz bliższego lata.

Zawsze kochałam kwiecień. Może dlatego, że wtedy się urodziłam, ale - sama nie wiem czemu - od kiedy byłam na tyle duża, by to dostrzegać, niecierpliwie wyglądałam błyskawicznego wydłużenia wieczoru po zmianie czasu na letni. Nieważne, czy tego dnia hula wiatr, czy leje jak z cebra, uważam, że powietrze delikatniej gładzi wtedy policzki i (wiem, że to zabrzmie ckliwie) oczyma wyobraźni widzę wtedy jagnięta, błękitne dzwonki, pisklęta, a na drzewach zielone pączki liści.

Oczywiście tu, w centrum Dublina, nie spotykamy się z matką naturą. Chodzi bardziej o atmosferę. Wiesz, że to wszystko gdzieś tu jest. Paręset metrów stąd przy kanale albo w Phoenix Park, albo tuż za miastem w Finglas. Jest i czeka.

Pewnie was zdumiewa, że ktoś taki jak ja w ogóle myśli o przyrodzie. Wszak zachwyty nad naturą to przywilej ludzi mających dość czasu i pieniędzy, by wozić dzieci do rezerwatów przyrody czy ptactwa. Takich, którzy czytają ambitną prasę i poezję. Wykształconych, tych, co znajdują czas, by myśleć o ratowaniu

planety, i walczą ze spalarniami śmieci. NIMBY - czyli „Nie Na Moim Podwórku” - tak nazywają ich w gazetach.

Wszystko to zaś nie jest przywilejem kelnerki, która wychowała się w sierocińcach i nigdy nie zafunduje sobie samochodu ani botoksu.

Herbata prawie wystygła, na ulicy słyszę furgonetkę mleczarza: zwykle o tej porze dostarcza nabiał do sklepów. Znajomy turkot kół na bruku, jak gdyby nic się nie stało, jakbym nie odebrała tego telefonu. Za co, do licha, pojedziemy do Arizony?

Trzeba zrobić zrzutkę. W końcu Willow też jest córką Eve, musi wziąć na siebie przynajmniej część odpowiedzialności.

I proszę! W ten prosty sposób znalazło się rozwiązanie kwestii finansowej. Z punktu widzenia banku moja siostra i jej mąż stanowią ideał kredytobiorców: para pracowników sektora państwowego, których pensje wznoszą wraz ze wskaźnikiem inflacji; wzorowi, przewidywalni, na ich konta regularnie jak w zegarku wpływają pensje. Mają własny dom, nieważne, że wciąż spłacają kredyt hipoteczny. W tym momencie ta kwota jest już pewnie minimalna - kupili go piętnaście lat temu, a jego wartość znacznie wzrosła. Bank spokojnie udzieli im kolejnego kredytu. W telewizji pełno teraz ogłoszeń o pożyczkach na korzystnych warunkach: „Marzysz o własnym ogrodzie zimowym?”, „Wyjedź na urlop jak z bajki”.

A nie może to być pożyczka na wyjazd do matki, której nie widziało się od lat?

Oczywiście ja ani Rowan nie chcemy jałmużny. Zwrócę im co do grosza, choć to trochę potrwa. Całość za moją podróż i połowę za Rowana, a jeśli Paddy'emu to się nie spodoba, to już zmartwienie Willow, nie moje.

Zgadliście. Jestem nieugięta. Niech sobie Willow rzuca dyżurne teksty: „Jestem matką i muszę myśleć o swoich dzieciach”. Nie ustąpię. Najwyższy czas, by ona i Paddy też coś z siebie dali; już za długo sama borykam się z Rowanem i jego problemami. Właściwie, czemu to ja zawsze muszę wyciągać go z komisariatu albo z paki, bo Willow lub jej dzieci mają jakieś plany, których nie można zmienić? Dlaczego karze się mnie za to, że nie wyszłam za mąż?

Po raz enty patrzę na zegarek. Dochodzi za dziesięć szósta. Już po czasie. Może nawet spóźnię się do pracy — a to zupełnie nie w moim stylu. Jedno wyniosłam z dzieciństwa spędzonego w sierocińcu, gdzie rytm dnia wyznaczały dzwonki: cnotę punktualności.

Wstaję, by stawić czoło wydarzeniom tego dnia. Nieważne, czy wyjedziemy do Arizony, czy nie. Mój świat nieodwracalnie się zmienił. Znalazła się Eve.

---

## *Rozdział 2*

---

Nie wierzę! - Błękitne oczy Greta przypominają dwie piłeczki pingpongowe. -Bujasz, prawda?

Mówi podniesionym głosem, by przekrzyczeć jazgot porannej audycji muzycznej, dudniącej z radia hotelowej kuchni. Na śniadaniu spodziewamy się dwóch dużych grup Amerykanów, więc uwijamy się jak w ukropie. I bardzo dobrze, bo dzięki temu nie mam czasu przejmować się skurczem żołądka i powracającymi falami niepokoju.

- Nie. Chyba nie sądzisz, że wymyśliłabym coś takiego.

Napełniamy solniczki. (Najlepiej używać do tego plastikowego lejka. Często się zastanawiałam, kto wymyśla te wszystkie przydatne drobiazgi. Musi zbijać na nich majątek, ale ja myślę o tym kimś wyłącznie z wdzięcznością). Po wczorajszej kolacji Narody Zjednoczone - tak nazywamy naszych różnojęzycznych współpracowników - jak zwykle nie raczyły porządnie przygotować stolików na dziś. Zaraz po wejściu sprawdzamy, co jest źle albo czego brakuje. Dziś na dwóch stolikach były tylko po trzy serwetki, a czystość jednego noża pozostawiała wiele do życzenia. Znalazłyśmy też trzy podejrzone filiżanki. A do tego okazało się, że prawie wszystkie solniczki są tylko w połowie pełne. Już nawet przestałyśmy narzekać, po prostu robimy, co trzeba, choć nikt tego nie docenia ani nie dostrzega: rok temu hotel zmienił właściciela i znowu zaczęła się zabawa ze zmianą wystroju. Mogłybyśmy sobie odpuścić, tylko że



mamy swoje standardy. A kiedy wiertarki wwiercają nam się w uszy, po prostu włączamy głośniejsze radio.

Nie winimy dzieciaków za ich brak przygotowania i zaangażowania. Zresztą, w tym roku trafiła się niezła ekipa. Oczywiście najtańsza siła robocza, średnia wieku około dwudziestki, ale dzieciaki przynajmniej są chętne do roboty. Jak zwykle jednak odnoszę wrażenie, że żadne nie marzy o karierze kelnera w hotelu. To dla nich tylko etap przejściowy. Staram się o tym nie myśleć, by nie zazdrościć młodemu pokoleniu, które może sobie postudiować, i każdą pracę traktuje jak kolejny stopień w drodze na szczyt. W przeciwieństwie do nas. Dla nas szczytem ambicji było znalezienie roboty za płacę umożliwiającą przeżycie do pierwszego. I tyle.

- Powiedziałaś już Willow?

Greta bierze ostatnią pustą solniczkę i wstawia pod kran z gorącą wodą, by zdjąć wieczko. To nowy model, strasznie ciężko się odkręcają. (Oczywiście nikt nie konsultuje z nami takich zakupów. Bo, w końcu, co my możemy wiedzieć, nie?).

Biorę garść małych kostek masła, flory i niskotłuszczowego smarowidła i wkładam do metalowych miseczek.

- Naprawdę sądzisz, że zadzwoniłabym do niej o wpół do szóstej, rzucając na stół taką bombę? I bez tego umieram z przerażenia, Gret. Czuję się jak w jakiejś bajce... Nie, to w niczym nie przypomina bajki, prędzej „Koszmar z ulicy Wiązów”. Wciąż tego nie ogarniam. Po tylu latach... - Żołądek znowu mi się ścisza. Upuszczam kostki masła, schylam się i podnoszę. - Nawet nie wiem, czy chcę tam

pojechać. Z jednej strony panicznie boję się tego spotkania, a z drugiej chcę ją zobaczyć. Chyba zwariuję.

Greta kładzie solniczkę na ścierkę i odkręca wieczko.

- To faktycznie szok. Ale to oczywiste, że chcesz jechać. Jasne, nie będzie łatwo, ale pomyśl, co się stanie za parę lat. Nigdy byś sobie nie wybaczyła, gdyby, nie daj Boże, umarła, a ty nie skorzystałabyś z tej jedynej okazji, abyście się spotkały. Tylko pamiętaj, Bel...

Mierzy mnie wzrokiem. Pochyliła głowę jak byk szykujący się do natarcia. Wiem, na co się zanosi.

- Słucham.

- Tym razem nie daj się zatupać Willow. Słyszysz?

- Słyszę.

-Nie żartuję. Zatłukę cię, jeśli po powrocie oświadczysz, że hrabina znowu wszystko zwała na siebie. -Nie pozwolę jej na to.

- Jesteś za miękka.

- Nie tym razem.

Wraca do wsypywania soli. Z nagłym wzruszeniem i rozczuleniem patrzę na jej czerwone, nabrzmiące palce. Ciężka praca jeszcze nikomu nie zaszkodziła. Wszyscy w kółko to powtarzają - zakonnice, rząd. To niech spędzą dwadzieścia pięć lat w hotelowych kuchniach i restauracjach! I, jak Greta, jednocześnie wychowują ośmioro dzieci.

- A jak ten gość cię odszukał?

Energicznie ustawia solniczki na stalowym blacie - jedną obok drugiej, niczym miniaturową armię szklanych żołnierzyków.

- Nie spytałam. Pewnie po prostu znalazł mój numer w książce telefonicznej. Jestem jedyną A. Moraghan przez „g” w Dublinie.

W tej samej chwili uświadamiam sobie, że to jeszcze gorzej świadczy o Eve. Skoro pan kowboj namierzył mnie z taką łatwością, to każdy mógł to zrobić bez najmniejszego wysiłku. Również ona. A na pewno od lutego 1991 roku, kiedy to stałam się pełnoprawnym członkiem ludzkiej społeczności i otrzymałam swój własny numer telefonu.

Za dobrze się znamy. Widzę, że Greta pomyślała teraz dokładnie o tym samym co ja.

- Maxi nadaje rano świetne kawałki, prawda?

Nuci „Baby Love” Supremes, włączając ekspresy do kawy i pojemniki z wrzątkiem. Greta wali prawdę prosto w oczy, ale czasem potrafi być wyjątkowo taktowna, to trzeba jej przyznać.

Z jadalni dobiegają głośne rozmowy i śmiechy. Amerykanie wcześnie wstają, zwłaszcza jeśli mają przed sobą wycieczkę autokarową.

- Pójdę i zacznę wojnę, dobra?

Biorę bloczek na zamówienia. Na pozór zachowuję się zupełnie normalnie, jednak ciągle czuję wzbierające mdłości.

- Niech to jasny gwint! - Greta ścisza radio. - Zaczynamy wydawać śniadanie dopiero za dziesięć minut.

- Szybciej zaczniemy, szybciej skończymy. Mamy lód?

Dla nas Amerykanie w jadalni oznaczają, że trzeba przygotować hektolitry schłodzonej wody. Greta błyskawicznie sprawdza.

- Ujdzie - ocenia nasze zapasy - ale nie wyrywaj się. Niech sami poproszą.

- Zaczynamy. - Ruszam do wahadłowych drzwi. - Kogóż to ja widzę? Witamy, Dilipie - mówię, gdy do kuchni wpada młody Azjata w kurtce. - Jak miło, że raczył pan do nas dołączyć. - Udaję, że wymierzam mu pstryczka w ucho. - Bierz się do roboty. Na większość stolików trzeba zanieść sól. Solniczki już czekają tam, na tacy. I... - pokazuję mu trzy wielkie opakowania pieczywa na blacie - ten chleb trzeba natychmiast rozmrozić i przygotować na tosty. Miseczki z masłem stoją na mikrofalówkach. Boczek i kiełbaski już wyjęłam, ty zajmij się kiszka. Nie widziałeś może po drodze naszego szanownego kucharza?

Malezyjczyk, kucharz przygotowujący śniadania, już powinien tu być. Przy blasze, na której smaży jajka, położyłam łopatkę.

-Widziałem go na ulicy, prowadził rower, pani Bello. Myślę, że chyba złapał gumę.

Chłopak zdejmuje kurtkę i uśmiecha się szeroko, jakby reklamował Colgate. Smarkacz doskonale wie, że wystarczy jeden jego promienny uśmiech, by każda kobieta - także ja -wszystko mu wybaczyła.

- Ale ty nie złapałeś gumy, prawda? Jaką wymówkę wymyślisz? Do roboty, rusz ten kościsty zadek!

A mimo to nie potrafię ukryć uśmiechu. Zadowolona, że w wirze pracy nie będę miała czasu na myślenie, wchodzę do jadalni, gdzie przy bufecie już się tłoczą goście. Wielu z własnych słoiczek

dosypuje pestek i otrąb do naszych płatków i soków owocowych. Amerykanie bardzo dbają o swój układ pokarmowy. Wprawdzie już do tego przywykliśmy, ale kiedy mamy nawał pracy, do szafu nas doprowadza, gdy musimy analizować każdą pozycję menu i tłumaczyć, co zawiera. To przeszkadza im zawartość mleka albo drożdży, to znowu biały cukier czy azotany bądź tłuszcze zwierzęce, olej słonecznikowy lub orzechy. Dziś, chwała Bogu, postanawiają odrzucić normalną ostrożność. Niektórzy posuwają się tak daleko, że w ramach odkrywania niezwykłych smaków Irlandii odważają się nawet na kiskę.

O ósmej, gdy jest największy ruch, przychodzą dwie pomocnice, ale i tak wszyscy mamy tyle roboty, że ja i Greta dopiero o wpół do dziesiątej uznajemy, że możemy spokojnie zostawić dzieciaki na placu boju.

- Chyba pójde do niej, zamiast dzwonić. Jest teraz w pracy, a takiej informacji nie powinno się raczej przekazywać w hałaśliwym biurze.

Stoimy na zapleczu hotelu i oparte o ścianę zaciągamy się fajkami, starając się ignorować worki pełne śmieci, smród kotów i starego moczu. Znowu jestem na etapie rzucania palenia i robię to w najtrudniejszy sposób - ograniczając. Pierwszego tygodnia zesłam do dwudziestu dziennie, następnego - do dziewiętnastu i tak dalej. W tym tygodniu przysługuje mi dwanaście papierosów na dzień, ale po przeżyciach dzisiejszego ranka wątpię, by udało mi się zmieścić w limicie.

- Dobra myśl.

Greta gasi niedopałek, zawija go w papierową serwetkę i chowa w kieszeń służbowego uniformu. Jest do bólu oszczędna. W promieniach słońca jej zniszczone ciągłym tlenieniem, niedające się ułożyć włosy wyglądają jak aureola. Aureola, na którą Greta uczciwie zapracowała: nie dość że wychowała ósemkę własnych dzieci, to teraz jeszcze razem z mężem niańczy dwójkę wnucząt - maluchy najstarszej córki - gdy ta wraz z mężem haruje dniami i nocami, by uzbierać forszę na depozyt na dom.

Greta przesywa mnie teraz spojrzeniem, przed którym nic się nie ukryje.

-Już mięknie - oświadcza. - Zaczyna się: „nie będę zawracać jej głowy” i tak dalej. Nie przejmuj się nią, choć raz pomyśl o sobie. - Uderza mnie w ramię. - Bądź twarda, Bel. Ona też by się z tobą nie cackała.

- No - mówię bez przekonania.

- I każ Jimmy'emu Porterowi ruszyć tyłek. Niech wreszcie dla odmiany to on w czymś ci pomoże. A będzie co robić.

Mąż Greta też ma na imię Jimmy, dlatego mówiąc o moim Jimmym, zawsze dodajemy nazwisko. Greta czuje się upoważniona do mówienia, co o nim sądzi, bo poznałam go na jednym z jej przyjęć. Mój Jimmy, podobnie jak jej, pracował kiedyś w transporcie miejskim.

Gaszę papierosa - to już trzeci dzisiaj - i wyrzucam.

- Szczerze? Nie wiem jeszcze, czy w ogóle mu powiem. To może go przerosnąć.

Mój Jimmy ma skłonności do wyolbrzymiania najdrobniejszych spraw. Bóg jeden wie, jak by zareagował na coś tak trudnego do ogarnięcia.

Greta wznosi oczy do nieba.

- Jak sobie chcesz. No - znowu mnie szturcha - idź się odpicować. Nie spiesz się, będę cię kryła.

- Stokrotne dzięki. Jesteś kochana.

- Rusz się wreszcie, stara klepo! Już teraz umieram z ciekawości. I pamiętaj, trauma nie trauma, masz się pojawić wieczorem. Jasne?

- Obiecuję - uśmiecham się, choć w oczach lśnią mi łzy. -Nie mogę się doczekać.

Jutro przypada dwudziesta szósta rocznica ślubu Greta i jej Jimmy'ego. Rok temu nie było ich stać na huczne obchody srebrnego wesela, więc ciułałi grosz do grosza i urządzają wielką galę dziś, jeszcze nim ich związkowi stuknie dwudziestka szóstka.

Do biura Willow z mojego hotelu jest zaledwie dziesięć minut spacerem, ale to w żaden sposób nie zwiększa częstotliwości naszych kontaktów. Spotykamy się na ogół przed Gwiazdką, by wymienić się prezentami, nim cała czwórka pojedzie do teściów, i przed urodzinami poszczególnych członków rodziny. Zwykle umawiamy się w kafejce na najwyższym piętrze Clery's; jest stosunkowo niedroga, w dogodnym dla nas obu miejscu. Pracuje tam moja koleżanka, która,

nie zważając na wrogie łypnięcia czekających gości, zawsze znajduje dla nas stolik.

Po niedawnym remoncie wewnątrz urzędu zmieniło się nie do poznania. Wcześniej opryskliwi urzędnicy siedzieli w ciemnobrązowych boksach, a na drewnianych kontuarach pełno było drzazg i wypalonych śladów po papierosach. Teraz nastąpiła era otwartości - frontem do klienta! -i urzędy zmieniły wizerunek. Dlatego uraczono nas pastelami i szkłem, a pracownicy siedzą za biurkami, witając interesantów uprzejmym „Czym mogę służyć?”. Za to kolejki nadal są długie, a czekający ludzie podenerwowani i znudzeni.

Pytam o Willow, podaję swoje imię i nazwisko. Potem z przyzwyczajenia sięgam po papierosy, ale wtedy zauważam tabliczkę „Zakaz palenia” i chowam paczkę do kieszeni. Może to i dobrze, że rzucam? My, palacze, mamy ostatnio w Irlandii przechłapanie. Przebąkuje się coś o wprowadzeniu całkowitego zakazu palenia w miejscach publicznych, z pubami włącznie. Dacie wiarę?! Z pubami!!!

Na schodach pojawia się Willow, a ja automatycznie się prostuję.

Macha mi, ale zatrzymuje się jeszcze i rozmawia z koleżanką. Obserwuję ją tak, jakbym przyglądała się nieznajomej, i kolejny raz się zastanawiam, dlaczego moja siostra działa na mnie tak onieśmielająco. Jej kierownicze stanowisko, stabilna sytuacja zawodowa, status i pewna emerytura - a nawet sam jej wygląd wystarcza, bym czuła się gorsza. Willow wygląda jak spod igły. Dziś



ma na sobie granatową garsonkę i szykowną białą bluzkę. Kiedy kręci głową, jej rozjaśnione włosy falują jak na reklamach szamponów. Czy można się dziwić, że czuję się przy niej jak uboga krewna? Co oczywiście, jeśli nie brać pod uwagę Rowana, jest prawdą. Wystarczy spojrzeć na moją reklamówkę, badziewiastą kurtkę z Dunnes Stores, podniszczone buty Doktora Scholia, włosy zaplecione w nieszczególnie urodziwy francuski warkocz.

Ten, kto nazwałby mnie kobietą przywiązującą dużą wagę do wyglądu, wygrałby w konkursie na największe łgarstwo roku. Dla mnie tandetne sklepy typu Dunnes czy Penneys to wyrocznie mody. Ubieram się tam albo w szmateksach - a są ich miliony. Wyrastają jak grzyby po deszczu. Zaopatrują się w nich ludzie tacy jak ja oraz wszyscy imigranci i uchodźcy polityczni. Te miejsca mają niesamowity przerób. Na wieszakach nieustannie pojawia się coś nowego.

Tylko kiedy stoję obok Willow, uświadamiam sobie, że bluzka z trudem się na mnie dopina. Moja siostra od urodzenia jest śliczna i szczupła. Dużo ćwiczy, chodzi na siłownię i basen, latem gra w tenisa, zimą w golfa.

Wychowałyśmy się w tym samym sierocińcu, miałyśmy tych samych rodziców zastępczych. Do momentu, gdy zostałyśmy wypuszczone w świat, otrzymywałyśmy te same kary i to samo wykształcenie. Uczciwość jednak nakazuje dodać, że przecież nie Willow odpowiada za to, że kiedy miałam szesnaście lat, znudziła mi się szkoła i zrezygnowałam z nauki, nie podchodząc nawet do małej

matury. To nie jej wina, że skończyłam jako kelnerka ze słabością do słodczy i niechęcią do ćwiczeń gimnastycznych.

Nie powinnam czuć do niej takiego respektu, w końcu to ja jestem najstarsza z naszej trójki. Powinno być na odwrót - to Willow powinna przede mną drzeć. Zwłaszcza że jestem od niej wyższa. W końcu mam sto siedemdziesiąt dwa centymetry wzrostu, a ona tylko sto sześćdziesiąt dziewięć.

Jakiego wzrostu była - jest - Eve? Nie mamy pojęcia. Może się wydawać, że to błahostka bez znaczenia, ale, wiercie mi, człowiek zupełnie inaczej się czuje, gdy wie, czy jest wzrostu swojej matki, czy też wyższy lub niższy.

Willow zerka w moją stronę. Uśmiecham się. Za szybko, zbyt promiennie. Niech to szlag. Natychmiast ściągam usta i zaciskam wargi, by nie okazać, jak bardzo jestem strwożona. „Strwożona” - to dobre słowo. Parę lat temu natknęłam się na nie w książce i sprawdziłam w słowniku, co znaczy. Doskonale oddaje, co czuję w obecności mojej siostry.

Kończy rozmowę z koleżanką i podchodzi do mnie. Uniesione brwi sygnalizują zaskoczenie. — Co za niespodzianka, Bello.

- Cześć, Willow. Przepraszam, że tak ci się zwałam na głowę, ale stało się coś...

- Chodźmy.

Teraz usta Willow zaciskają się w wąską kreskę, ale przychodzi jej to naturalnie.

Doskonale wiem, jak przebiegnie nasze spotkanie. „Co to za człowiek, Bello? Co właściwie łączy go z naszą matką? Kiedy miała ten wypadek? Gdzie konkretnie mieszka Eve? Jak to, nawet nie spytałaś?”.

Na parę sekund znika mi z oczu, potem wyrasta parę kroków dalej, za drzwiami, przywołując mnie ruchem ręki.

- Co tym razem? - wzdycha. - Co znowu zbroił?

Scandalous

---

## Rozdział 3

---

Ranek dał mi w kość. Wiało z północnego wschodu, a to a to kurewski wiatr. Jeśli ktoś żyje na ulicach tak długo, jak ja, zaczyna się na tym znać i zawsze umie powiedzieć, skąd wieje wiatr itepe, itede. A czy wiecie, że dla nas mżawka jest gorsza od ulewy? Co prawda goście ze styropianowymi kubkami twierdzą, że w czasie ulewy branie jest większe, ale i tak wszyscy nienawidzimy pieprzonego kapuśniaka. Człowiek czuje się wtedy bardziej mokry. A na pewno bardziej wkurzony. Nie potrafię tego wytłumaczyć, ale fakt pozostaje faktem.

Skoro o styropianowych kubkach mowa, od razu zastrzegam, że nie należę do tego towarzysza. Jeśli kiedykolwiek będę musiał się zniżyć do żebrania, skończę ze sobą. Nie żartuję. Do tej pory jakoś bez tego sobie radziłem. Dobra, niektóre moje sposoby na przeżycie nie do końca są zgodne z prawem, ale sami spróbujcie wyżyć z tej jałmużny, jaką jest zasiłek! I nie mówię tu o jakimś pieprzonym jednodniowym eksperymencie. Spróbujcie tak przeżyć cały, kurde, miesiąc. Najlepiej między listopadem a lutym. A potem przyjdźcie do mnie i gadajcie, że opieka społeczna nas rozpuszcza i powinniśmy całować urzędasów po piętach.

Człowiek musi sobie jakoś radzić. Rozumiemy się? Czasem coś zwędnę, ale i wtedy trzymam się pewnych zasad. Tylko sklepy. Nigdy nie oskubuję ludzi.

Przyznaję, raz obrobiłem wóz. Ale tamten palant sam był sobie winien. Czy ktoś mu bronił zaniknąć brykę? A do tego kazał mu zostawić płyty na fotelu? Porozrzucane, na widoku? (Zasrany Barry Manilow. Dacie wiarę? The Corrs. The Cranberries. I jeszcze The Eagles, bodajby im nóżia spuchła! Za wszystko dostałem tylko dychę! Cholerny walek).

A tak przy okazji, przemocy też nie uznaję. Ilekroć mnie zgarniali - a na ogół wpadałem przez kamery przemysłowe (nienawidzimy tych diabelnych kamer) - tak więc, ilekroć mnie zgarniali, zawsze szedłem spokojnie jak baranek. Trzeba przyznać, że gliniarze z komisariatów w centrum miasta nie są tacy źli. Wystarczy się nie stawiać. Nieraz nawet dadzą człowiekowi herbatę. Wstyd przyznać, ale miło przespać się czasem na materacu, nawet jeśli nie wiadomo, kto przedtem na nim leżał. Człowiek jest tak skonany, że zasypia bez względu na wszystko.

Nie, ja się nie stawiam ani nie pyskuję. Bramkarzom i ochroniarzom też. To znacznie ułatwia życie. W końcu taką mają robotę. A moje zadanie polega na tym, żeby nie dać się złapać.

Zdziwko was chapnęło? Nie spodziewaliście się, że gościu żyjący na ulicy przyzna, że psy nie są takie złe.

Ale wracając do dzisiejszego ranka. Najgorsze są dla mnie wczesne godziny. Może po prostu wiek daje o sobie znać? Nie wiedzieć czemu, strasznie rozczulam się nad sobą, kiedy muszę wypełznąć ze śpiwora. Dałbym wszystko, żeby przekręcić się na drugi bok i dalej spać, ale, oczywiście, nie mam wyboru.

Na szczęście trafiła mi się świetna miejscówka. Już nie muszę dzielić się zasiłkiem z noclegownią.

Większość noclegowni jest w porzo, ale traktuję je jak ostateczność. Zgłaszam się, tylko kiedy dopadnie mnie grypsko albo coś. Nie wytrzymuję tego hałasu i smrodu. No i tamtych ludzi. Same dupki, powiadam wam. Choć zdarzają się tacy, których naprawdę może być żal. Jak ten jeden starszy gość: cała jego rodzina zginęła w pożarze w Croydon czy gdzieś tam. Miał pracę i w ogóle, ale tamtego wieczoru gdzieś wyjechał. Po pożarze zaczął ostro tankować. Stracił robotę, stracił dom, wszystko. I trudno mu się dziwić.

Swoją miejscówkę odziedziczyłem po kumplu, który przeniósł się do Cork. Mieszka tam jego babcia, postanowił sprawdzić, jak wygląda sytuacja. Powiedział, że ma dość Dublina. Nawet jeśli babka każe mu spadać, w Cork jest mniejsza konkurencja i powinien sobie poradzić. Zakumplowaliśmy się na tyle, na ile w naszym świecie można się kumplować. Można mieć przyjaciół, ale to nie trwa długo. Tu każdy musi dbać przede wszystkim o własne interesy. Tamten szczeniak był młody, o wiele młodszy ode mnie. Skończył dopiero dwadzieścia dwa lata, jeszcze może wyjść na prostą. Życzę mu jak najlepiej, zwłaszcza że zyskałem na jego przeprowadzce. Szczerze powiedziawszy, trochę mi go brak. Co prawda, kiedy się naćpał, lepiej było omijać go z daleka, bo robił się niebezpieczny. Tak czy owak, jeśli trzeba wybierać między przyjaźnią 'l dzieciakiem a chatą po nim, sprawa jest oczywista.

„Chata” to oczywiście wnęka przy wejściu do budynku. Ale nie byle jaka. Głęboka. Przytulna. Wejście zasłania metalowa krata, więc człowiek może spać spokojnie i nie bać się, że go zadźgają, obrobiją albo co. Nie zdradzę, gdzie to jest -bo a nuż jakiś cwaniak się dowie i będzie chciał mnie stamtąd wysiudać? Robię się za stary na bójki, a takiej miejscówki trzeba strzec jak świętego Graala. Są faceci - zresztą dziewczyny też - którzy zabiliby za byle jaki ką, a za coś tak rewelacyjnego na pewno. Mogę tylko powiedzieć, że to niedaleko kościoła przy Whitefriar Street.

Hej, a wiecie, że w tym kościele mają serce świętego Walentego? Słowo, prawdziwe serce świętego Walentego. Zdaje się, że mają tam też jego nogę albo rękę czy coś w tym stylu, ale mnie najbardziej bierze to serce. Fakt, wielkiej korzyści to ja z tego nie mam, ale i tak miło wiedzieć, że tam jest.

Kolejnym plusem mojej miejscówki jest właściciel sklepu, przy którym nocuję. Porządny facio. Pilnuje mojego śpiwora, a czasem pozwala mi skorzystać z łazienki. Zdarzają mu się też przykławy wielkoduszności. Wtedy potrafi mnie nawet poczęstować herbatą i da parę groszy na bułkę. Nie wyrzuca też kartonów, żebym nie leżał na gołym betonie.

Ale na tym kończy się jego miłosierdzie. Nie pozwala mi się kręcić przy sklepie za dnia. Uważa, że odstraszałbym klientów. Kiedy zjawiają się sprzedawczynie, mnie ma już tam nie być. Jakbym miał czarną ospę albo co.

Ech, nie. Nie powinienem na niego narzekać. To przyzwoity gość. I nie próbuje mnie nawrócić ani zreformować jak moje kochane siostrunie.

Te dwie są gorsze od odcisków. (Coś o tym wiem, mam odciski, platfusy coraz bardziej dają mi się we znaki. Trudno się dziwić. Spróbujcie całymi dniami włóczyć się po Dublinie w butach z dziurawymi podszwami!). Gorsze nawet od wrzodów na dupie. Dobra, bądźmy sprawiedliwi, tylko jedna to prawdziwy wrzód. Trzeba przyznać, że Bel w sumie jest w porządku, serce ma tam, gdzie trzeba. To ona czasem mi pomaga, a kiedy psy do niej zadzwonią, wyciąga mnie z aresztu itepe. Daje mi nawet parę groszy, jeśli je tylko ma. Ale wrzodem na dupie też jest! Ciągłe mendzi, żebym wziął się w garść, wygłasza kazania, robi mi wodę z mózgu. W któreś święta zaprosiła mnie nawet do siebie na kolację. Miło z jej strony, jednak podziękowałem. Miał się też zjawić jej tak zwany chłopak. Nie wiem, co ona w nim widzi, ale o gustach się nie dyskutuje, nie? Język mnie świerzbi, żeby powiedzieć, że zasługuje na lepszego faceta, tylko że i tak by nie posłuchała. W końcu, gdzie mi do Beau Brummela?

Zresztą tamtego roku dostałem zaproszenie na świąteczny obiad do rezydencji burmistrza w Mansion House. Nie było źle - podali indyka, wszystko jak należy. Żarcie fundował chyba klub Lions, może Kinghts, a może jeszcze jakiś inny. Nie obchodzi nas, kto finansuje wyżerkę ani dlaczego. Pewnie robią to dla spokoju ducha, jako pokutę za te kose spojrzenia, których nie szcędzą nam przez cały rok. Ale ja nie mam pretensji. Dostajemy gorący posiłek i to mi w zupełności



wystarczy. Czasem postawią nawet parę drinków, choć z oczywistych powodów nie szafują alkoholem.

To tyle o Bel. Nie jest najgorsza i wiem, że mogę na nią liczyć, gdybym potrzebował pomocy.

Za to ta druga! Snobka i suka. Uważa mnie za męta i nawet tego nie ukrywa. To się nazywa wspólna krew? Gówna prawda. A ja nie jestem mętem, jasne? To wszystko wina tego zasranego systemu. Nigdy nie dostałem szansy.

No bo powiedzcie uczciwie, czy to moja wina, że staruszka była puszczalską dziwą? To moja wina, że kiedy trafiłem do sierocińca, byłem za mały, żeby się bronić, i robili sobie ze mnie worek treningowy? To moja wina, że nie mogę znaleźć dachu nad głową? Nie, powiadam wam. Wszystko to wina systemu.

Moje siostrzyczki-jędze uważają, że jestem uzależniony. Nie przeczę, lubię wypić. Obalić kilka browarów z kumplami. Jeśli wpadnie mi trochę grosza - a o to nie tak łatwo, wierzcie mi - nie pogardzę też czymś innym. Ale nie jestem uzależniony. W każdej chwili mogę przestać.

Chcecie dowodów? Teraz jestem czyściutki jak łza. Od czasu do czasu wpadam na spotkania AA (ogrzewane pomieszczenia plus darmowa herbata i ciastka). Uczą tam, że trzeba żyć z dnia na dzień. Ale ja jestem inny. Muszę wyznawać sobie cele. Tym razem umówiłem się ze sobą, że nie będę pil do czterdziestych urodzin. Czyli do lipca 2004 roku, a że mamy dopiero kwiecień 2003, sprawa nie jest łatwa. Czterdziestka to ważne urodziny, kamień milowy,

dlatego postanowiłem dowieść, na co mnie stać. To moja kruczata. Ostatnia próba. Bo jeśli nie wytrwam do tej określonej daty, ostatecznie się poddam. Rozumiemy się? Stoczę się na samo dno i tyle tego będzie.

Parę lat temu wytrzymałem całe siedem miesięcy. Miałem wtedy laseczkę. Naprawdę dobrą. Zaszła, więc ze względu na dzieciaka oboje przestaliśmy pić i brać. Nawet byliśmy już na liście, mieliśmy dostać od miasta mieszkanie.

No i wtedy zachorowała. WZW. Pewnie zaraziła się, korzystając ze wspólnego sprzętu. Prawdziwa ironia losu, nie? Wyszła na prostą, była czysta jak łza, a tu odzywa się syf z przeszłości. Tak się wkurzyła, że znów zaczęła ćpać, brała, co się nawinęło, a wiecie, co to oznacza, jak się żyje na ulicy - sprzedadzą ci wszystko. Nawet trutkę na szczury. Tak czy owak, któregoś wieczoru naćpała się i odleciała.

No. Nici z dziewczyny. Nici z dzieciaka. I, oczywiście, nici z mieszkania. Ludzie tacy jak ja się nie liczą. Jesteśmy niewidzialni, chyba że napatoczy się jakiś wrażliwy dziennikarz, by machnąć historyjkę o naszej ciężkiej doli. Pyta taki z troską w głosie: „A czy umiesz czytać i pisać, Rowanie?”.

Litości! Może czasem strzelę sobie fetę, ale nie jestem zupełnym przygłupem! Raz jedna taka smarkata geniuszka nawet mi pogratulowała, że tak pięknie i zrozumiale się wysławiam. A czego, do kurwy nędzy, się spodziewała? Śpię na ulicy, ale to nie znaczy, że nie potrafię sklecić rozsądnego zdania. Postanowiłem jej udowodnić, jak dużo wiem o kinie. Zamiast odpowiadać na pytania, sam zacząłem

pytać. Czy widziała ostatni francuski film noir? Prawdziwa perełka, oświadczyłem. Zakolegowałem się z właścicielem jednego z tych małych kin, pokazujących ambitne filmy - wpuszcza mnie za darmo na popołudniowe seanse. W ten prosty

Sposób zaliczyłem cały ich repertuar: francuskie, węgierskie i polskie filmy, niezależną produkcję z całego świata. Stałem się prawdziwym znawcą, ni mniej, ni więcej. Problem w tym, że nie mam z kim o tym gadać. Smarkata wpadła w taki szok, że omal się nie zadławiła swoją latte.

Oglądałem i czytałem niektóre ich kawałki na nasz temat i Hi choroby nie kumam, dlaczego to robią. Strasznie są wkurzeni na rząd w naszym imieniu. System, powiadają, Wyrzuca nas poza margines. Trochę to dwulicowe, nie sądzicie? Bo co właściwie mają przeciwko systemowi? Krytykują system, polityków i całą tę bandę, a czy sami do niej nie należą ze swoimi furami, zegarkami, drogimi żłobkami, gładkimi buźkami, białymi zębami, ciepłymi kurtkami i miękkimi szalikami, cudownie chroniącymi przed wiatrem? Całkiem nieźle sobie żyją z tego bluzgania na system, nie? Czy aby sami nie współtworzą tego systemu? A skoro tak się przejmują naszą ciężką dolą, to dlaczego nie podziela się z nami tą ciężką kasą, którą dostają?

Z lubością nazywają nas grupą „nad którą trzeba się pochylić ze szczególną troską”. W kółko to powtarzają. To samo mówią o staruszkach, niepełnosprawnych, tych, którzy kupują pierwsze mieszkanie, o ludziach ze slumsów i samotnych matkach. Wystarczy włączyć telewizor, by w wiadomościach pojawiła się jakaś grupa,

„nad którą trzeba się pochylić ze szczególną troską". To nad kim w tym społeczeństwie nie trzeba się pochylać?

Czasem odnoszę wrażenie, że traktują nas jak zwierzaki W zoo. Tylko patrzcie! Oni mówią po angielsku! I chodzą na dwóch nogach!

Skoro już o tym mowa, niedawno wystąpiłem w jednym z takich programów. Kobitka wydawała się całkiem miłą. Zafundowała mi kawę i frytki, a potem przez półtorej godziny słuchała, jak się jej wywnętrzałem. Powiedziałem jej wszyściuteńko - o puszczańskiej matce, o tak zwanym tatuśku i o tym, co się działo w naszym zasranym tak zwanym domu. O tym, jak zaprzyjaźniłem się z helupą, bo przez jakiś czas dawała mi raj, a teraz stała się największym wrogiem.

Dziewczynie trzeba przyznać, potrafiła słuchać. Pewnie specjalnie ich szkolą, żeby w ten sposób wyciągali ludzi na zwierzenia. Ale ona traktowała mnie z autentycznym szacunkiem... Przynajmniej tak mi się wtedy wydawało. Łatwo dałem się złapać, bo szacunek to coś, z czym nieczęsto się spotykam.

Tego samego wieczoru znowu ze mną rozmawiała, tym razem do kamery. Wybrała scenerię - zaułek przy Fatima Mansions. Obrzydliwe miejsce, wyjątkowo paskudne, ale mnie było za jedno, gdzie ze mną rozmawia. To jej decyzja, dla mnie te wszystkie boczne uliczki Dublina niczym się nie różnią. Gość z kamerą też był w porządku. Sympatyczny. Grzeczny. A w moich okolicach grzeczność to również towar deficytowy.

- Ej, widzicie? To on! Cisza na planie!

- Akcja!

- Przypudrować nosek, Rocky?

Tak mnie powitano, gdy jakiś czas potem wpadłem na kawę do Focusa. Program emitowano dzień wcześniej i większość znajomków go obejrzała.

Przez cały dzień prześladowali mnie takimi i podobnymi tekstami. Ja oczywiście siebie nie widziałem, tamten wieczór spędziłem w pace, gdybym wiedział, pewnie zaszyłbym się na jedną noc w noclegowni. Fakt, smarkata mówiła mi, kiedy będzie emisja, ale zapomniałem.

Udawałem zażenowanego, w głębi ducha jednak pękałem z dumy. Do czasu, gdy kumple opowiedzieli mi, jak wyglądał program. Okazało się, że pokazywali całe miliony bezdomnych. Ja pojawiłem się dwukrotnie. Tylko DWA

RAZY. Każde wejście trwało niecałą minutę. Po półtoragodzinnej rozmowie przy kawie! Po tym, jak przez pół godziny musiałem czekać, aż koleś z kamerą łaskawie się przyszykuje, a później powtórzyłem wszystko, co mówiłem jej w barze. Strata czasu.

Mówiłem, jesteśmy dla nich ludzkim zoo.

---

## Rozdział 4

---

Jak się miewają Maeve i Dermot? - zmuszam się do beztroskiego tonu.

Dzieci Willow, dwunastolatka i dziewięciolatek, chodzą do prywatnych szkół. Oboje są wzorem wszelkich cnót. Maeve to moja chrześnica, jednak nie sądzę, by za mną przepadała. Dostaję kartki z podziękowaniem za każdy prezent, ale pisze je bez serca, wyraźnie pod dyktando. Podejrzewam, że się wstydzi chrzestnej-kelnerki.

- Znakomicie.

Idziemy korytarzem, Willow dwa kroki przede mną. Mijamy ryciny przedstawiające dublińskie doki oraz gaśnice, informacje o imprezach w pubach, zawiadomienia o zebraniach związkowych, ogłoszenia o zgubionych portfelach czy piórach i apele osób szukających współlokatorów.

- Maeve pisze referat o przyczynach migracji pliszek z Dublina.

- Wspaniale. A Paddy?

- Paddy też ma się doskonale. - Siada na krześle przy biurku. -

Wszyscy mamy się doskonale. Jimmy?

- Ma się świetnie.

Zajmuję miejsce naprzeciwko niej, jakbym była interesantką. Willow nigdy nie widziała mojego chłopaka, jeśli w ogóle można go tak nazwać. Owszem, wspominałam jej o nim. Przyznaję się bez bicia, trochę podkoloryzowałam. Albo inaczej - nie korygowałam jej

mylnego założenia, że przed przejściem na rentę Jimmy był inspektorem taboru miejskiego, a nie zwykłym konduktorem.

- Tak się składa, że dziś się spotykamy - ciągnęłam. -idziemy na przyjęcie do Grety.

-Żadnego ruchu?

W stronę ołtarza, to ma na myśli. Willow lubi łączyć ludzi w pary.

- Willow, rozmawialiśmy już o tym. Obecny układ obojgu nam odpowiada. Bardzo.

- Cóż, jeśli rzeczywiście obojgu wam to odpowiada, a nie jest tak, że to on cię zwodzi. Pamiętaj, że lat ci nie ubywa. Ale nie sądzę, że przyszedł tu tylko spytać o zdrowie mojej rodziny czy też na pogaduszki. Co się stało, Bello? Choć właściwie nie wiem, czemu pytam. Oczywiście chodzi o Rowana?

Gram na zwłokę. Próbuje nie okazać, jak bardzo zabołał mnie przytyk do mojego wieku, i uśmiecham się do kolegi Willow, młodego chłopaka - właściwie chłopca - który siedzi w kącie za biurkiem, przywalony stertą papierzyk. Odpowiada uśmiechem.

- Miły gabinet. Zmienił się od mojej ostatniej wizyty. Kazałaś go odnowić?

- Arabello!

W tej samej chwili dzwoni telefon i Willow musi go odebrać. Przyglądam się tabliczce na jej biurku: W. McCarthy. Nie dziwię się, że nie chwali się swoim imieniem. Jedną z wielu zagadek naszego

życia jest, dlaczego Eve całej trójce nadała tak dziwne, nieirlandzkie imiona. I dlaczego tylko dwa drzewa\* ?

\* Willow to po angielsku wierzba, a Rowan - jarzębina; wszystkie przypisy od tłumaczki.

Czemu ja dostałam na imię Arabella, zamiast Sosna czy jakoś podobnie? Przypuszczamy, że imiona wybrała Eve. Nasz tajemniczy ojciec rzadko gości w rodzinnych pogawędkach. Dla mnie Peter Moraghan jest pozbawiony ciała, twarzy i tożsamości. Nawet jego imię widzę jako napis w kreskówkach ~ płaski, wgnieciony w asfalt przez walec.

Willow żegna się z rozmówcą i odkłada słuchawkę.

- Więc? Co się stało, Bello?

Łączy czubki palców w wieżę i opiera na nich brodę. Matka przełożona.

Bądź bezlitosna, myślę.

- Chodzi o Eve. Naszą matkę.

Wieża się rozpada. Greta dobrze mi poradziła.

- Jak to, o Eve? Dowiedziałaś się czegoś?

- Tak. Słuchaj, nie mam wiele czasu, wyskoczyłam na przerwę, ale może pójdziemy na kawę czy coś?

- Nie żyje?

Moja siostra z niezwykłym skupieniem szuka jakiegoś papierka w rynience na dokumenty, przy telefonie.

- Niezupełnie.



Od przyjaciela Eve wiem, że matka bynajmniej nie stoi u wrót śmierci, ale znam też swoją siostrę. Jeśli chcę się doczekać jakiejś reakcji, muszę się wykazać inwencją. Najwyraźniej wybrałam skuteczną metodę, bo Willow schyla się po torebkę.

- Wrócę za parę minut - rzuca przez ramię do kolegi, po czym wychodzi przede mną z gabinetu.

Choć aż do skrzyżowania z Cathedral Street milczymy, niemal słyszę szum jej wzburzonych myśli. Burger King mnie nie zachwyca: wydaje się nieprzytulny, dominuje w nim czerń i czerwień, do tego jakaś pseudoboazeria, za to jest czysty i dobrze urządzony.

Wchodzimy i Willow jak zwykle od razu próbuje przejąć kontrolę nad sytuacją.

- Dla ciebie kawa czy herbata, Bello?

Widać jednak, że to tylko gra i do tego wyjątkowo nieudana. Chyba potraktowałam ją zbyt brutalnie.

-Ja przyniosę. - Brzęczę drobnymi w kieszeni. - Ty Usiądź. Dla ciebie kawa, tak?

- Tak, proszę. Siada.

Jak się później okazuje, żadna z nas nie wypije nawet łyżeczka. Staram się przekazać Willow informacje najszybciej i najdokładniej, jak potrafię. W miarę jak opowiadam, krew odpływa jej z twarzy; w pewnym momencie szminka wokół ust przypomina zaschnięty parch. Ale trzeba przyznać, że Willow łatwo się nie poddaje.

- Więc to tak! Mamuśka kiwnie palcem i obie mamy Wszystko rzucić i lecieć do Arizony?

Jakbym słyszała własne myśli, ale oczywiście głośno się do tego nie przyznam. Za to przypominam jej, że nie chodzi tylko o nas dwie.  
- Rowan też.

- Jak, do licha, miałybyśmy to zrobić? - Nie słucha. - Nawet gdyby nas było stać. Nie. Nie stać nas. - Przynajmniej rozważmy to. A Rowan chyba też ma coś do powiedzenia w tej sprawie.

- Rowan?! - Willow odzyskuje kolory. - Ta zakała już dawno nie ma nic do powiedzenia w naszej rodzinie! A zresztą, jak go znaleźć?

- Tak samo jak zawsze. Popytać u Świętego Wincentego, w Armii Zbawienia czy innych organizacjach charytatywnych.

- Jak sobie chcesz, ale na mnie nie licz. Oczywiście to niesprawiedliwe, trudno jednak ją winić: podczas gdy ja nadal dostrzegam w Rowanie dobro, w każdym razie próbuję, ona skupia się tylko na tym, co widać na zewnątrz. Dla niej Rowan to zero, którego już nic nie uratuje. Podejrzewam, że przestała nawet zauważać w nim człowieka. Dla niej to po prostu żalosny śmieć.

Trzeba ją zrozumieć. Ja pamiętam Rowana jako rozkosznego, pyzatego bobasa (skrupulatnie wymazałam z pamięci jego wrzaski), ale Willow była za mała. A choć początkowo mogliśmy go odwiedzać, nigdy tak na dobre nie wszedł w nasze życie.

Nie mam siły użerać się z moją siostrą, jednak muszę jej uświadomić, że Rowan to nie tylko mój, ale i jej problem; powinna się zaangażować, przynajmniej częściowo.

- Może jego kurator - proponuję.

- Już nawet nie wiem, kto nim jest - odparowuje natychmiast. - Tyłu ich miał. Zresztą - podnosi głowę - nawet jeśli go znajdziemy, nie wyobrażaj sobie, że będę się nim zajmować. Nie zamierzam go doprowadzać do porządku ani kupować mu ciuchów, żeby nie narobił nam wstydu.

Widzę, że Willow wraca do siebie, więc opieram się wygodniej i pozwalam jej gadać. Co ja sobie wyobrażam? Przecież nie może ot, tak wstać, otrzepać się i zostawić Maeve i Dermota, że już nie wspomni o pracy. Paddy jest bardzo zajęty, ona jest bardzo zajęta, a w takich sytuacjach obowiązują ściśle określone procedury. Oburzające, że tak ni z tego, ni z owego po prostu do mnie zadzwonili. Za kogo tamci w ogóle się mają? Takie sprawy załatwia się przez opiekę społeczną i instytucje adopcyjne, które najpierw powinny zwrócić się do nas z pytaniem, czy w ogóle wyrażamy zgodę na kontakt. Są przepisy, które mają nas chronić przed takimi sytuacjami. Po co w ogóle wprowadzać przepisy, skoro nie gwarantują...

Bąkam coś potakująco, nie przerywając jej tyrady. Dobrze, niech to z siebie wyrzuci. Słucham jej przemowy, jednocześnie ze zdumieniem uświadamiając sobie, że Willow najwyraźniej traktuje to nie jak rzeczywistość, tylko jak ewentualność.

Stało się. Dociera do mnie znaczenie tego, co się wydarzyło; tego, co może się wydarzyć. Czuję, jak w gardle rośnie mi olbrzymia kula, blokując dostęp powietrza. Znacie to uczucie? Coś, co wydaje się tylko ewentualnością, można analizować i przyjmować na

poziomie umysłu. Ale dopiero gdy się materializuje i staje rzeczywistością - dopiero wtedy do głosu dochodzi także serce.

Willow traci impet i wreszcie milknie, wpatrzona w kubek.

Daję jej kilka sekund, a potem mówię:

- Spójrzmy prawdzie w oczy, Willow. Procedury przestały się liczyć, Eve nawiązała z nami kontakt. Musimy dokonać wyboru. Obiecałam, że zadzwonię do tego mężczyzny i przekażę mu naszą odpowiedź.

- Nie wiem, jak sobie z tym poradzić. - Głowę trzyma sztywno wyprostowaną, jakby była znakiem stopu. - Nie jestem pewna, czy chcę się z nią spotkać. Całkiem nieźle mi się bez niej żyje. Wszystko mam, do cholery, poukładane. Nie chcę teraz tego wywracać do góry nogami.

Patrzemy sobie w oczy i każda widzi to, o czym myśli druga. Nasza matka. Eve. Kobieta, którą znamy z jednej zamazanej fotografii.

- Nikt nie stoi przy tobie ze spluwą - mówię łagodnie. Gdyby to nie była Willow, pewnie wyciągnęłabym rękę, by ją pogłodzić. - Sama zdecydujesz, jak postąpić, ale to, czy ja pojedę, zależy przede wszystkim od ciebie.

- Jak to: ode mnie?

Jej twarz, o niebo piękniejsza od mojej, nagle traci nieco ze swojej urody.

Bądź twarda i bezwzględna!

Buńczucznie wysuwam brodę. - Muszę pożyczyć pieniądze od ciebie i Paddy'ego. Oczywiście zwrócę wam, ale po trochu, nie od razu. A jeśli znajdziemy Rowana i będzie chciał jechać, zwrócę ci połowę za jego bilet.

- Połowę?

- To chyba uczciwa propozycja. W końcu jest też twoim bratem.

- Wykluczone, Bello. - Skóra w trójkątnym wycięciu jej bluzki przybiera krwistoczerwony odcień. - Przykro mi i tak dalej, ale czy ty masz pojęcie, ile kosztuje utrzymanie dzieci w tym mieście? Czesne, mundurki, imprezy?

Znowu się rozkręca. Żeby jej dzieci miały w przyszłości jakieś szanse, muszą chodzić na te same zajęcia dodatkowe, co ich koledzy: balet, piłka nożna, tenis, muzyka...

Wyłączam się i wyobrażam sobie Arizonę oraz kowbojów, którzy galopują wśród gigantycznych kaktusów, przypominających jakieś prehistoryczne stwory. Wyobrażam sobie pustynię i śmierć z pragnienia. Grzechotniki i kojoty, szaleńczą jazdę kabrioletem jak Thelma i Louise. Puste autostrady sięgające aż po czerwony horyzont, za którym gaśnie słońce.

Za dużo się naczytałam.

Znowu koncentruję się na Willow. Najwyraźniej zbliża się do końca tyrady.

- ...nie, Bello, nie ma mowy. Żadnych pożyczek. Dla ciebie może jeszcze, ale na pewno nie dla Rowana. To nie wchodzi w rachubę.

Całkowicie odzyskała panowanie nad sobą. Wróciła twarda, ostra Willow. Cieszę się. Tamta spłoszona i zagubiona budziła we mnie prawdziwy lęk.

Co więcej, jej agresja pomaga mi w podjęciu decyzji. Pojadę do Arizony. Z Willow albo bez niej. Zrobię dla Rowana, co w mojej mocy, a jeśli nie będzie mógł albo chciał zdobyć się na wysiłek, to trudno.

- Nie ma sprawy. - Wstaję i zapinam kurtkę. - Po co te nerwy? Zapomnij, że w ogóle prosiłam. Jakoś zdobędę te pieniądze. Bo wiesz co? Ja pojadę.

Cudowne uczucie. W całym swoim życiu zawsze odczuwałam gigantyczną pustkę. Nie wypełni jej szybkie, jednorazowe cześć - do widzenia wymienione z matką. (Szybkie, bo nie uda mi się na długo wyrwać z roboty. A jednorazowe, bo zanim spłacę pożyczkę - niezależnie od tego, kto mi jej udzieli - drugi raz nie ubieram kasy na taką podróż). Wystarczy jednak, że wypełni chociaż część. Dzięki temu może znajdę swoje miejsce na wykresie zarezerwowanym dla normalnych ludzi, dla których przeszłość ma konkretny kształt.

Inne moje koleżanki - rówieśnice i starsze, jak Greta - narzekają na swoje matki, opowiadają, jak z wiekiem staruszki stają się coraz bardziej wymagające, trudne w kontakcie i egoistyczne. Ale mimo wszystko czują z nimi więź.

Ja zazdroszczę nawet tym, których matki już nie żyją. One chociaż mogą liczyć na kartki z wyrazami współczucia W kolejne rocznice śmierci, na wyrozumiałość, modlitwy i msze. Stokroć

bardziej wolę osierocenie przez śmierć niż przez porzucenie. To chociaż jest normalne.

Wiem, że moja postawa może wydać się egoistyczna, nawet dziwna, ale właśnie tak to przeżywa outsider. Tamte kobiety - kobiety z dziedzictwem - mają swoje pewne, gwarantowane miejsce w naturalnym porządku świata. Ja przez cztery dekady byłam go pozbawiona. Teraz mam matkę i szansę, by je odzyskać.

- Jadę do Arizony - powtórzyłam spokojnie. - A ty rób, jak chcesz.

Scandalous

---

## Rozdział 5

---

Reszta dnia upłynęła mi w pędzie i zamieszaniu. Tak, wyciągnęłam z Willow obietnicę sfinansowania wyjazdu. Całego. Także i Rowana. Kiedy zobaczyła, jak wychodzę z Burger Kinga, i uświadomiła sobie, że nie żartuję, złamała się. Pobieгла za mną. Nawet przeprosiła. Raz czy dwa zdarzyło mi się jej postawić i wówczas zawsze ustępowała. Na jej szczęście nie przepadam za konfrontacjami.

Żadnej z nas jednak nie udało się namierzyć Rowana. Do końca zmiany w Leicester przy każdej okazji wymykałam się do budki i obdzwaniałam dyżurne miejsca. Sprawdziałam też, jak idzie Willow, która, pochłonięta załatwianiem rezerwacji i urlopu, również nie mogła się pochwalić większymi sukcesami. Wyglądało na to, że ostatnio naszego brata widziano w Focus Point przy Eustace Street, świetlicy dla bezdomnych, kierowanej przez siostrę Stan. Ale to było ponad tydzień temu.

Kiedy skończyliśmy wydawanie lunchu, wybrałam się do Focusa. Jedna z pracownic przypomniała sobie, że widziała Rowana „jakiś osiem, dziewięć dni temu. Tak mi się wydaje”. Podobno był w niezłej formie. To dobry znak. Ludzie w Focusie nie bajerują. Powiedziałyby mi, gdyby był naćpany.

- A potem?



- Zniknął. Ale to o niczym nie świadczy. Zdarza się, że ktoś przychodzi przez dziesięć dni z rzędu, a potem znika na parę tygodni, nawet miesięcy. Przenoszą się z miejsca na miejsce.

Skoro już przyczłapałam się tu aż z O'Connell Street, to przynajmniej się czegoś napiję.

- Widziała go pani w telewizji? - spytała dziewczyna, parząc kawę. Typ gawędziarki.

- W jakiej telewizji? Rowan występował w telewizji?

- O, stał się prawdziwą gwiazdą. Zaczęliśmy nawet nazywać go Rockym. W reportażu wystąpiło dwóch naszych stałych bywalców.

Podawała mi filiżankę i streściła program. W duchu plułam sobie w brodę. Bardzo chętnie bym to obejrzała. Dlaczego nikt mi nie powiedział? Do diaska, pewnie jak zwykle siedziałam z nosem w książce. Ale Jimmy stale ogląda telewizję. Czemu nie zadzwonił i nie powiedział?

- Widziałeś ten program o bezdomnych? Był parę dni temu w telewizji.

Jest wieczór tego samego dnia, dwadzieścia po ósmej, jedziemy taksówką na przyjęcie do Greta.

- Obejrzałem początek - odpowiada Jimmy - ale zmieniłem kanał. I bez tego mamy w tym kraju wystarczająco dużo problemów. Nie muszą jeszcze człowieka dobijać wieczorem, kiedy chce sobie w spokoju przetrwać kolację.

- Wielkie dzięki. Wystąpił w nim mój brat.

- Dlaczego mi nie powiedziałaś? Obejrzałbym. Jasne, że bym go obejrzał.

Jest urażony. Wszystko bierze sobie do serca.

- Nieważne. Ja też go nie oglądałam. Nie wiedziałam, że będzie.

- Ale...

- Powiedziałam: nieważne! Nie rób z tego wielkiej sprawy, Jimmy. Spytałam, bo liczyłam, że przypadkowo obejrzałeś program, i powiesz mi, jak wypadł Rowan. Ale nie oglądałeś, więc nie ma do czego wracać.

Mam na końcu języka prośbę o pomoc w odszukaniu Rowana, ale postanawiam trzymać buzię na kłódkę. Właśnie tak działa na mnie Jimmy. Zwykle wcale nie jestem zawzięta. Czy tak jest w każdym związku? Może bliskość rodzi też pogardę?

Trzeba przyznać, że naprawdę się dziś postarał. Włożył najlepszy garnitur, który wyciąga tylko od wielkiego dzwonu, do tego muszkę, a na włosach ma takie ilości brylantyny, że można się udusić od jej zapachu. Jimmy jest bardzo dumny ze swoich włosów. I słusznie. Nadal są gęste i mocne; szpakowate, a nie siwe. „Porterowie zawsze słynęli z bujnych czupryn”. Nie zliczę, ile razy to słyszałam. Pewnie z tysiąc. To zdanie było pointą opowieści o tym, jak po śmierci dziadka Jimmy'ego przedsiębiorca pogrzebowy zachwycał się włosami zmarłego: „Jak żyję, nie widziałem równie przystojnego nieboszczyka. Dziewięćdziesiąt jeden lat, a grzywa jak u lwa”.

Greta mieszka na końcu ślepej uliczki. Dziś zaułek jest kompletnie zastawiony samochodami. Dom świeci się jak

bożonarodzeniowa choinka, jest ozdobiony balonami i wielkim transparentem: „Srebrne gody Greta i Jimmy'ego”. Błąd w imieniu Jimmy'ego rujnuje cały efekt.

- Niezła impreza, he? - Taksówkarz przyjmuje pieniądze od Jimmy'ego. - Bawta się dobrze.

- Na pewno! - Jimmy już odzyskał humor. - Reszty nie trzeba.

- Dzięki, szefie. - Kierowca uśmiecha się promiennie. Drzwi otwiera Greta.

- Wchodźcie, wchodźcie! Istny dom wariatów, ale W końcu od tego są imprezki, nie? Przyszliście w samą porę, zaraz część oficjalna.

- Ślicznie wyglądasz, Greto.

Chcę ją uściskać, ale odsuwa się ze zgrozą.

- Uwaga na włosy! Wydałam majątek na fryzjerkę! Włosy ma zaczesane do tyłu, fryzjerka zrobiła na górze kilka loczków, a całość podpięła dwiema spinkami, ozdobionymi brylancikami. Greta promienieje, a ja cieszę się jej szczęściem.

- Wszystkiego najlepszego, Greto! Proszę, to dla was od MS.

Wręczam jej prezent, zestaw sześciu kieliszków do wina. Były w promocji w Roches Stores.

- Oboje się zrzuciliśmy - nie omieszka wtrącić Jimmy, łasy na podziękowania.

- Nawet mi przez myśl nie przeszło, że mogło być inaczej. - Greta puszcza do mnie oko. - Postawię je razem z pozostałymi prezentami.

Kładzie paczkę w kącie maleńkiego holu, obok wieszaka M płaszcze, gdzie już piętrzy się cała góra podobnych pudełek.

- Nie mogę się doczekać, kiedy zacznę je wszystkie rozpakowywać. Zabawa będzie na parę dni! Jimmy jest w środku, wejdźcie. - Zaprasza mnie i mojego Jimmy'ego. - Zrobi wam drinka. Możecie zamówić, co tylko wam przyjdzie do głowy. Dopracował do perfekcji creme de mentbe frappes.

Odczekuje chwilę, aż mój Jimmy zniknie w pokoju. Niepotrzebnie. Natężenie decybeli w saloniku grozi trwałym Uszkodzeniem bębenków: z kolumn dudni muzyka The Dubliners, zagłuszana piskami dzieciaków ganiających po mieszkaniu i demolujących wszystko, co się da. To wystarczy, bym postanowiła, że nie zagoszczę tutaj długo. Dom

Greta jest piętrowy, ma dwie sypialnie na górze, a na dole salonik, kuchnię i maciupenką łazienkę. Do tej pory nie potrafię zrozumieć, jak Greta wychowała tu ośmioro dzieci.

- Coś nowego? - krzyczy mi do ucha.

- I tak, i nie. Mamy już bilety na pojutrze, za to Rowan przepadł bez śladu. Ale to nie jest temat na dziś! - Energicznie popycham ją do saloniku. - Dziś świętujemy. Jazda, marsz do gości.

A impreza jest naprawdę imponująca. W saloniku nie ma nawet skrawka wolnego miejsca, choć Greta i Jimmy wynieśli wszystkie meble, zostawiając tylko krąg krzeseł wszelkiej maści. Starsze dzieci Greta, występujące dziś w roli kelnerów, z trudem przeciskają się z drinkami - których notabene nie ma gdzie postawić - do gości, ale

atmosfera jest tak wspaniała, że nie sposób nie zarazić się tą radością i bez troską.

- Witaj, babuniu!

Przepycham się do dziewięćdziesięcioletniej babki Greta i całuję ją na powitanie.

- Bella! - Staruszka siedzi prosto jak struna na twardym krześle i łaskawie przyjmuje pocałunek. - Prawda, jaki okropny hałas?

Typ matrony. Założę się, że trudno z nią na co dzień wytrzymać.

- Owszem, jest głośno, ale jak zabawa, to zabawa, babuniu.

Uśmiecham się do niej i wracam do Jimmy'ego.

Przyszliśmy jako jedni z ostatnich i już po pięciu minutach słysząc stukanie w kieliszki i prośby o ciszę. Szwagier Greta, który jest kierownikiem baru, został dziś mianowany mistrzem ceremonii. Widać, że bardzo przejął się tą rolą. Bogu dzięki, jego mowa pochwalna, która przyprawia Gretę i jej Jimmy'ego o rumieniec, okazuje się krótka, a gdy wszyscy wznosimy toast ku czci jubilatów, pokój dosłownie zalewa fala miłości i serdeczności. Z oczu płyną mi łzy. Właśnie na tym polega przynależność do licznej, prawdziwej rodziny. Na szczęście W ogólnym poruszeniu - uściskach, brawach i wiwatach - nikt nie dostrzega moich mokrych oczu. Potem Jimmy Porter daje się ponieść atmosferze zabawy i prosi o ciszę. Kiedy wreszcie Wszyscy milkną, w imieniu gości dziękuje gospodarzom za wspaniałe przyjęcie.

- Wznieśmy kolejny toast. Za najlepszych przyjaciół i rodzinę w całej Irlandii! - Znow wznosimy kieliszki, ale Jimmy nawet nie

pozwała nam dopić, bo ogłasza triumfalnie. -A teraz przejdźmy do głównego punktu zabawy. Kto dziś Stanie na wezwanie?

Odpowiadają mu pełne rozbawienia jęki i udawane protesty.

- Dobrze, dobrze! - krzyczy. - Nie odpuszczę wam tak łatwo i wzywam do siebie bohatera wieczoru. Tak, tak, proszę do mnie pana młodego! Szanowni państwo, przed pań-stweeeeeem... sam Jimmyyyyyyyyyyyyyy!

Naśladuje gościa, który kiedyś zapowiadał Johnny'ego Carsona. W kablówce powtarzają ten program, a Jimmy namiętnie go ogląda.

Uczciwie muszę przyznać, że pierwsze wezwanie spotyka się z gorącym przyjęciem. Jimmy Greta kryguje się, ale natychmiast wstaje. Jego popisowym numerem, który słyszałam na wszystkich imprezach Greta, jest piosenka o emirze Abdulu El Bulbulu. Wszyscy ją znamy i gdy udaje mi się zapanować nad wzruszeniem, przyłączam się do chóru, powtarzającego ostatni wers każdej zwrotki - a jest ich strasznie dużo. Razem ze wszystkimi - nawet babunia przyłączyła się do zabawy i macha ręką nad głową - wiwatuję i biję brawa szejkowi Abdulowi oraz jego haremowi rozpustnych hu-rys, a tupaniem i gwizdami przyjmuję opisy niecných postępów złego Iwana Skawinsky'ego Skavara. Jednocześnie czuję podskórny lęk, bo doskonale wiem, co będzie dalej.

Jimmy Porter uwielbia publiczne występy. Zupełnie jakby wraz z odejściem z pracy, gdzie, jak twierdził, potrafił każdy kurs zmienić w „wesoły autobus”, stracił całą radość życia, a obecnie zbiera resztki dawnej energii na występy przed zaprzyjaźnioną publicznością.

Kiedys - tu znowu powtarzam jego słowa - był uważany za gwiazdę zajezdni Broadstone, a teraz postanowił na poważnie poświęcić się karierze komika i satyryka. Od paru lat konsekwentnie zbiera dowcipy oraz książki z kawałami i ćwiczy w domu przed lustrem. Niedawno uznał, że jest już gotów, i zaczął zgłaszać się do konkursów. To jego jedyna pasja, a fakt, że nigdy nie wygrał, nie daje mu do myślenia. Świącie wierzy, że jego dzień wkrótce nadejdzie. A na razie nie może się doczekać swojego występu. Widzę go w drugim końcu pokoju, drży z niecierpliwości jak chart przed wyścigiem, oczy mu błyszczą, gdy czeka na finał długiej i skomplikowanej opowieści o przygodach Abdula i Iwana. Jest gotów, preży się do skoku.

Marzę po cichu, by Jimmy Grety go nie wywołał, ale to płonne nadzieje. Oczywiście, jej Jimmy wywołuje mojego Jimmy'ego, który w mgnieniu oka zajmuje miejsce na prowizorycznej scenie, pośrodku pokoju.

Zaciskam kciuki. Mimo wszelkich wątpliwości i braku przekonania do związku z Jimmym Porterem, jestem wobec niego lojalna i nie życzę mu publicznego upokorzenia. W końcu jeśli tworzy się z kimś parę, jest się w pewnym sensie odpowiedzialnym za partnera, prawda? Jeśli nie będą się śmiać, umrę. Ale słyszałam już program Jimmy'ego i niektóre kawałki są naprawdę dobre.

Tym razem jednak Jimmy postanowił nas zaskoczyć. Nie zaczyna od starych jak świat kawałów o teściowej ani o głupim sołtysie z Kerry, tylko sprawdza na nas swój najnowszy repertuar. Obrzydliwy i wulgarny. Z dosadnymi wstawkami o narządach



kobiecych. Płonę ze wstydu. Nie sędzę, by chciał obrazić zebranych. Oczywiście dopiero teraz, gdy z minuty na minutę coraz bardziej się pograża, przypominam sobie, jak mówił, że srebrne gody Greta i Jimmy'ego będą świetną okazją, by przedstawić nowe dowcipy, które znalazł na jakiejś amerykańskiej stronie internetowej. Może liczył, że wstawieni goście będą we frywolnym nastroju?

Przeliczył się. Wystarczyło pięć minut, by zamiast wybuchów śmiechu w pokoju zapadła martwa cisza. Absolutna cisza, przerywana tylko stukaniem lodu w szklankach. Nawet dzieci stoja jak skamieniałe. Trzeba przyznać, że Jimmy dość szybko się orientuje, iż przeholował, i po dwóch obrzydliwych historiach o lizaniu (nie mam dość odwagi, by je powtórzyć) próbuje ratować sytuację. Wraca do sprawdzonego repertuaru i sięga po jeden ze swoich dyżurnych kawałów o blondynkach.

- Przychodzi mała blondyneczka do mamy i chwali się:  
„Mamusiu, dziś uczyliśmy się liczyć. Wszyscy liczyli tylko do pięciu, a ja aż do dziesięciu. Prawda, jaka jestem mądra? To dlatego że jestem blondynką?”. „Tak, skarbie”, odpowiada matka. „To dlatego, że jesteś blondynką”. Następnego dnia sytuacja się powtarza, tym razem z alfabetem. „Mamusiu, mamusiu!”, chwali się blondyneczka, „wszystkie dziewczynki doszły tylko do D, a ja aż do K. Prawda, jaka jestem mądra? To dlatego, że jestem blondynką?”. „Tak”, odpowiada matka. „To z całą pewnością dlatego, że jesteś blondynką”. Trzeciego dnia wraca ze szkoły, chwając się, że były na basenie. „I wszystkie dziewczynki były płaskie jak deska. A spójrz na mnie, mamusiu! Ja



już noszę stanik 36 D. Prawda, jaka jestem mądra? To dlatego, że jestem blondynką?" . „Nie, skarbie", odpowiada matka. „To dlatego, że masz dwadzieścia pięć lat".

Dzięki Bogu, kilka osób parsknęło śmiechem, ale i tak jest już za późno. Choć podłogę w salonie Greta wyściela miękka wykładzina, słyszę każdy krok Jimmy'ego, wracającego na miejsce. Greta zerka w moją stronę. Mówię bezgłośnie: „Przepraszam", ale odwraca wzrok. Boję się spojrzeć na babunię.

Jednak na tym nie koniec. Będzie tylko gorzej. Jimmy nie jest głupi, wie, że się zbłądził. Nawet nie wywołuje następcy i Greta musi znaleźć kogoś, kto „stanie na wezwanie". W przypiływie desperacji wzywa jedną z ciotek, członkinię chóru parafialnego. Jej wykonanie „Panis Angelicus" rozkłada atmosferę skuteczniej niż kawały Jimmy'ego.

Towarzystwo jest skwaszone, za dużo pije i nie wie, gdzie podziąć oczy. Greta próbuje jeszcze ratować sytuację, wywołuje kolejną ciotkę, puszystą, wesołą kobietę, której specjalnością jest „The Dublin Saunter" a la Sonny Knowles.

Wtedy jednak - jakby za mało było nieszczęść - jeden z synów Greta żartobliwie zamierza się na ojca, który zabrania mu sięgnąć po kolejne piwo. Jimmy Porter, najwyraźniej chcąc zatrzeć złe wrażenie, jak błyskawica rusza pogodzić zwaśnione strony. Potyka się o czyjaś torebkę i upada na kominek, rozcinając sobie głowę.

Krew. Mnóstwo krwi. Koniec „The Dublin Saunter".

Przynajmniej zyskujemy pretekst do opuszczenia imprezy. Wycofujemy się wśród przeprosin i nieszczerých zapewnień Greta, że nic się nie stało.

Jimmy naprawdę narozrabiał, ale ma takie wyrzuty sumienia, że nie chcę go dobijać i powstrzymuję się od komentarzy.

Chwała Bogu, na ostrym dyżurze jest dziś spokój. Czasem pacjenci czekają przez całą noc aż do południa następnego dnia, zanim ktoś udzieli im pomocy. My siedzimy tylko cztery i pół godziny. Wreszcie Jimmy dociera przed oblicze lekarza, który zakłada mu czternaście szwów.

Kiedy wracamy taksówką do domu, opowiadam mu o Ameryce i Rowanie. Naturalnie jest w szoku, jednak i tak próbuje się stawiać - pewnie chce na kimś wyładować złość na siebie.

- A co to, pali się? Czekalaś tyle lat, możesz wytrzymać jeszcze tydzień, nie?

W rozmowie z Willow byłam tylko zdecydowana, teraz jestem twarda jak gład.

- A może po prostu chcę tam pojechać? Co ty na to?

- I przekreślisz nasze plany na przyszły tydzień? - oburza się Jimmy.

Owe plany to wyjazd do kuzyna, który ma domek letniskowy na północy wyspy, w pobliżu Grobli Olbrzyma. Od początku ten pomysł nie budził we mnie entuzjazmu. Kuzyn lubi wypić.

- Pojedziemy innym razem, Jimmy.

Widzę, że taksówkarzowi ucho wyciąga się w naszą stronę , więc zniżam głos.

- Więc to tak?! - Jimmy nie ma takich oporów. - Mam do niego zadzwonić i powiedzieć, że może się wypchać zaproszeniem? Że znalazłaś sobie ciekawsze zajęcie?

- Zamknij się, Jimmy! - Tracę cierpliwość. - Jedź sam. A kuzynowi możesz powiedzieć, co zechcesz. Lecę do Arizony. I wcale nie znalazłam sobie ciekawszego zajęcia, tylko jadę z Willow do matki! Wystarczy?

Odsuwa się naburmuszony i zamyka oczy. Nie rozstajemy się w przyjaźni.

Pewnie zastanawiacie się - i to nie pierwszy raz - dlaczego wytrzymuję z Jimmym Porterem, skoro to taki nudziarz

i maruda. Cóż, nie zawsze tak się zachowywał. Kiedy się poznaliśmy, był naprawdę super. Teraz też od czasu do czasu udaje mi się wskrzesić w nim tamtą iskrę. Na przykład gdy wywlokę go na dansing; jest świetnym tancerzem. I, spójrzmy na to praktycznie, przy moim zmianowym systemie pracy wygodnie mieć kogoś, kto zawsze jest dyspozycyjny. A huśtawki i karuzele? W końcu nie ma ludzi bez wad, prawda? I szczerze mi go żal.

Dobra, dobra, wiem. Muszę poważnie się zastanowić nad swoim związkiem z Jimmym. Ale nie teraz. Mam ważniejsze sprawy na głowie. Chociażby jutrzejszy wyjazd. Jimmy nie jest ideałem, to fakt, jednak - spójrzmy prawdzie w oczy - czy ja jestem znowu taką wspaniałą partią?

---

## Rozdział 6

---

Hali przylotów nigdzie nie mogę znaleźć palarni, więc zabijam czas, tępo gapiąc się na otoczenie. Jeśli wziąć pod uwagę powód mojego przyjazdu, zabawa w turystkę może wydać się trywialna, ale pamiętajcie, że trudno mnie nazwać obieżyświatem. Zaliczyłam Manchester, Wyspy Kanaryjskie i Belfast, to chyba wszystko. Dlatego ekwiwalentem mojej podróży do Arizony (jeśli na chwilę zapomnimy o Eve) byłaby wyprawa babuni Grety psim zaprzęgiem na biegun północny.

Na razie nie dostrzegam na lotnisku w Phoenix żadnych egzotycznych elementów (choć nosi przemawiającą do wyobraźni nazwę Niebiańskiego Portu); jak na moje niewprawne oko, niczym szczególnym nie różni się od innych lotnisk, jeśli chodzi o architekturę i wnętrze, czuję w tym rękę owego jegomościa z „Czarnoksiężnika z krainy Oz”, który po-stanowił iść na całość i nie widzi powodu, by cokolwiek zmienić w formule, jaka już raz zapewniła mu sukces: „tu dajcie gigantyczne kaktusy, a tam olbrzymie palmy. Do tego zdjęcia irlandzkich tancerzy i okrągłych wież. Im więcej zieleni, wełnianych swetrów itepe, tym lepiej. No i pięknie, załatwione. Nikt się nie kapnie, że cała reszta - sklepy, radiowęzeł, nawet posadzka - jest taka sama jak wcześniej”.

Po wędrówce przez lotnisko w Dublinie, a potem na Heathrow i po kolejnych nerwowych przesiadkach, z których zapamiętałam jedynie przerażenie, że zgubię coś bezcennego, w Phoenix moją

uwagę zwraca nie tyle świetnie działająca klimatyzacja i niezwykła czystość, ile absolutny brak zamieszania. Wszystko tu odbywa się spokojnie i bez pośpiechu: podróżni spacerują, zamiast pędzić, i nawet się do siebie uśmiechają. Nic dziwnego, że wszyscy - także starsi ludzie - wyglądają tu zdrowo, są zrelaksowani i opaleni.

Kolejna sprawa to ich stroje. Zawsze sądziłam, że jankesi z hotelu Leicester tylko na pokaz ubierają się jak kowboje, tak samo jak my ubralibyśmy się na zielono, gdybyśmy obchodzili dzień świętego Patryka na Teneryfie. Tymczasem najwyraźniej skrzywdziłam naszych gości. Zdecydowana większość tak mężczyzn, jak i kobiet nosi kowbojskie kapelusze, spinki pod szyją i oczywiście kowbojki: podwinięte noski, ścięte obcasy, wszystko jak należy. Reszta chodzi w dżinsach, choć wypatrzyłam kilka pań w obcisłych sukienkach, z których wylewał się biust, i parę osób w poliestrowych dresach. W porównaniu z tym nasze wymięte po długiej podróży ubrania z bawełny i lnu wyglądają tandetnie.

Za to wszystkie lotniska łączy jedno: monstrualna kolejka po bagaże. Sterczymy już od dziesięciu minut, a na pustym transporterze ciągle krążą ten sam wystrzępiony błękitny pasek i pęknięta reklamówka, wypchana niemowlęcymi ciuszkami.

- Toż to jakiś obłęd.

Willow wygląda na jeszcze bardziej skonaną niż ja. Może to dlatego, że jest szczupła. Mniejsze zapasy energii. -No.

- Okrzyknęli się najbardziej rozwiniętym krajem świata, a nie potrafią wyjąć z samolotu paru głupich walizek?

- Wyluzuj, Willow. Tym narzekaniem nie przyspieszysz rozładunku.

Nie myślę już, po co tu przyjechałam. Marzę o fajkach.

- Co zamierzasz zrobić w sprawie Jimmy'ego Portera? -Willow musi na kimś wyładować złość.

-Jak to?

- „Jak to?” - przedrzeźnia mnie. - Doskonale wiesz, co mam na myśli. Chyba nie puścisz mu płazem tego numeru na imprezie u Greta? To upokarzające. Także dla ciebie.

- Zaraz, przecież na odległość nic nie mogę zrobić, prawda?

Najchętniej kazałabym Willow się odwalić, ale skoro sama jej się zwierzyłam - to wina wysokości albo darmowego ginu, którym nas poili w samolocie - teraz nie mogę tego powiedzieć.

- Zresztą mamy ważniejsze sprawy na głowie, czyż nie? Na szczęście moja siostra nie podejmuje tematu.

- Wreszcie.

Przysuwa się do karuzeli, bo na transporterze pojawiły się pierwsze walizki.

- Dzięki Bogu. Teraz już będzie z górki, nieprawdaż?

- Pod warunkiem, że tamten gość raczy się zjawić, tak jak obiecał.

- Jasne, że się zjawi.

Ale posiała we mnie ziarno niepewności. Podczas naszej ostatniej rozmowy telefonicznej Dale Genscher obiecał, że odbierze

nas z lotniska. Kiedy jednak spytałam, jak go poznamy, odpowiedź nie zabrzmiała uspokajająco.

- Spoko. Ja cię poznam, Arabello.

Nie naciskałam, co oczywiście piekielnie wkurzyło Willow.

- Nie mieści mi się w głowie, że nie zażądałaś jakiegoś rysopisu. Phoenix to wielkie miasto, na lotnisku będzie ludzi do licha i trochę, a dzięki tobie pewnie będziemy przez parę godzin snuć się jak idiotki.

- Przepraszam, ale na pewno wszystko dobrze się skończy.

Zawsze możemy wysłać mu wiadomość na pager, czyż nie?

Robię dobrą minę do złej gry, chociaż czuję narastający niepokój. Willow miała rację. A jeśli Dale się nie pojawi? Mamy tylko jeden numer telefonu. A jeśli zadzwonimy i nikt nie odbierze? Nie znamy adresu ani jego, ani Eve, w ogóle żadnego. Żadnej rezerwacji hotelowej ani wynajętego samochodu. Zupełnie nic. Byłam za bardzo ufna.

Jeśli zaś chodzi o samą Wielką Chwilę, mam - oględnie mówiąc - mieszane uczucia. Szczerze? Teraz, gdy na karuzeli wreszcie pojawia się moja walizka, marzę, by ją złapać, popędzić do hali odlotów i wskoczyć w pierwszy samolot do domu.

Co powiem matce? Co powie jej Willow? Zastanawiam się, czy czuje to samo co ja, i zerkam na nią spod oka: zaciśnięte zęby, maleńki mięsień drgający tuż nad szczęką. Ona też śmiertelnie się boi.

Święty Boże, ta przeklęta walizka zbliża się do zakrętu...

Ostatnich parę dni wypełniły mi gorączkowe przygotowania do wyjazdu i wizja spotkania - ewentualnego spotkania - z matką była co

najmniej mglista. Jednak widok mojej Walizki sunącej po pasie niczym rekin ze „Szczęk” uświadamia mi, jak bliska jest ta perspektywa. Że to może naprawdę się wydarzyć.

Kolejne uczucie. Gniew na Eve. Furia, spotęgowana głodem tytoniowym. Dla kogo ona to robi? Bo chyba nie dla nas! Kontaktowanie się z nami z łoża bóleści można uznać za skrajny przejaw egoizmu największej egoistki świata. Ta kobieta nie tylko nas porzuciła, ale jeszcze zrujnowała nam życie.

Walizka dociera do nas, ściągamy ją z przeklętego transportera i z impetem stawiam obok siebie.

- Nie zamierzam od razu się z nią spotykać, najpierw muszę się przespać.

Nawet nie patrzę na Willow. Jej walizka na kółkach pojawia się zaraz po mojej. Zdejmuje ją z transportera.

- Dobrze. Powiemy temu całemu Dale'owi, że potrzebujemy czasu, żeby się zaaklimatyzować. Zresztą, pewnie i tak jest już za późno, aby teraz zawracać jej głowę.

- No. - Oddycham z ulgą. - To byłby czysty sadyzm, zwalić się jej dzisiaj na głowę. Powiemy mu, że chcemy przełożyć spotkanie na jutro. Zrozumie. Spędziłyśmy w podróży cały dzień i kawałek nocy. U nas jest teraz czwarta nad ranem.

Telepiemy się do wyjścia. Dobry wieczór paniom!

Dale natychmiast nas wypatrzył. I dobrze, bo jest ostatnią osobą, jaką wytypowałabym na naszego przewodnika. Spod czarnego kowbojskiego kapelusza widać długie włosy, gęstością i kolorem



przypominające futro borsuka, ściągnięte grubą gumką do włosów.  
(Gumką! Do tego w kwiatki!).

- Dobry wieczór, Dale.

Jakoś udaje mi się odezwać normalnie. Wyciągam rękę, która natychmiast ginie w miażdżącym uścisku.

- Szybko nas znalazłeś. Skąd wiedziałeś, że to my?

Nie sposób zgadnąć, ile ma lat. Czterdzieści? Pięćdziesiąt? Może nawet sześćdziesiąt? Wokół oczu ma tyle głębokich bruzd - miłosiernie nazwijmy je kurzymi łapkami - że nie widać koloru tęczówek.

Nagle się uśmiecha i natychmiast młodnieje.

- Ja miałbym nie poznać córek Eve?

- Dziękujemy, że się pan fatygował. - Willow zachowuje się oficjalnie, jest w tym mistrzynią.

-Drobiazg.

Stoimy we trójkę. Mnie nie przychodzi nic do głowy, Willow całą uwagę skupia na chowaniu paszportu do kieszonki torebki, a Dale'owi najwyraźniej milczenie nie przeszkadza. Obok nas przechodzą ludzie, ściskają się, klepią po plecach. Wy na pewno również próbowaliście wyobrazić sobie człowieka na podstawie jego głosu. Po telefonicznych rozmowach z Dale'em sądziłam, że zobaczę wysokiego, potężnego faceta w typie Johna Wayne'a. Dale, owszem, jest wysoki, ale na tym podobieństwa się kończą. Nie ma potężnych barów gwiazdy kina, przeciwnie - jest chudy i żyłasty. Wyobraźcie sobie rozciągniętego Lyle'a Lovetta.

Za to z ubraniem trafiłam w dziesiątkę. Oczywiście nosi kapelusz, a także kraciastą koszulę i sfatygowane džinsy, już niemal białe na kolanach i udach. Do tego nieodzowne kowbojki. Ale jednego nigdy bym nie przewidziała: tatuaży. Grubych, niemal czarnych wstążek kwiatów i pędów bluszczu, wpełzających spod kołnierzyka koszuli i wijących się po szyi. Do tego jeszcze mnóstwo biżuterii: masywne, srebrne sygnety na trzech palcach, turkusowy kolczyk w uchu i, dla dopełnienia efektu, potężna, srebrna klamra u paska.

Nikt nie musi mi podpowiadać, doskonale wiem, co myśli Willow, mierząc tego faceta wzrokiem od stóp do głów: „W co myśmy się wpakowały?”. W porównaniu ze mną żyła pod kloszem. W Leicester widujemy przeróżne typy.

- Chyba będziemy się zbierać, jeśli panie są gotowe. - Nasz nowy przyjaciel najwyraźniej uznał, że daliśmy sobie dość czasu, by się obejrzeć. - Chcecie od razu jechać na miejsce? To niedaleko, jakieś sto sześćdziesiąt kilometrów stąd, półtorej godziny jazdy. A może wolicie się odświeżyć i przespać?

- Sto sześćdziesiąt kilometrów? - To Willow. W Irlandii wyjazd na odległość stu sześćdziesięciu kilometrów to całodniowa ekspedycja. - Tak. Zdecydowanie wolimy się przespać. Obie jesteśmy wyczerpane. Jest tu jakiś przyzwoity pensjonat albo hotelik? Rozumie pan, nie chcemy wydać na nocleg majątku.

- Znam miejsce w sam raz dla was. Muszę tylko wyko-nać kilka telefonów. Mam przy sobie komórkę.

Klepie się w aparat, włożony do kieszeni na piersi, potem bez najmniejszego wysiłku bierze obie nasze walizki, jakby były z cukrowej waty.

- Samochód zaparkowałem trochę dalej. Zaraz podjadę. Pokażę wam, gdzie możecie zaczekać.

Idziemy za nim przez halę przylotów. Na zewnątrz otacza nas zapach rozgrzanego betonu, nieznanych perfum i wód po goleniu. Na tle rozgwieżdżonego nieba ciemne pióropusze palm wyglądają niczym czarne fajerwerki. Dale pokazuje nam, gdzie mamy na niego poczekać, i znika.

- No i? Jakie jest twoje zdanie?

Wyciągam z torebki papierosy i zapalam jednego. Dym, mój stary przyjaciel, wchodzi do gardła i dalej do płuc.

- Jakie jest moje zdanie o czym?

Moja siostra jak zauroczona przygląda się kobiecie W średnim wieku, ubranej od stóp do głów w błyszczącą imitację lamparciej skóry: obcisłe spodnie w lamparcie cętki, także bluzka, z trudem dopinająca się na obfitym biuście. Nawet opaska na farbowanych, czarnych włosach jest W lamparcie cętki. Usta - olbrzymie, karmazynowe jak poduszki w burdelu - poruszają się, gdy kobieta wygłasza kazanie znacznie młodszemu, potulnie stojącemu towarzyszowi. Syn? Kochanek? Mina mojej siostry mówi wyraźnie: „W co ja się wpakowałam?”.

- Skup się, kiedy do ciebie mówię, Willow. Co sądzisz u Dale'u?

- Skąd mam wiedzieć, co o nim sądzę? Na miłość boską, Arabello, dopiero co go poznałam. Jak dla mnie, równie dobrze może być mordercą, złodziejem obrabiającym banki al-bo drugą Matką Teresą.

- Ile, twoim zdaniem, może mieć lat?

- Pięćdziesiąt? Sto? Jakie to ma znaczenie?

Całą uwagę skupiam na wciąganiu w płuca błogosławionego dymu.

W pięć minut później obok nas zatrzymuje się niewielki pikap. Nasz przewodnik wyskakuje z samochodu i podchodzi szybko.

- Pomogę wam wsiąść. Udało się, załatwiłem wam pokój. Uważajcie, może być ciasnawo.

Włączamy się w sznur autobusów, taksówek i limuzyn, wreszcie wyjeżdżamy z lotniska i, przeskakując z jednej budzącej we mnie przerażenie wielopasmowej drogi na drugą, docieramy do autostrady. Pewnie zaczynam odczuwać skutki zmiany strefy czasowej, bo nagle ogarnia mnie fala zmęczenia. Wciąż jeszcze nie padło imię Eve.

- Jak się dzisiaj czuła Eve?

Siedzę na środku kanapy z przodu pikapu, wciśnięta między Willow i Dale'a. Czuję przez ubranie, jak moja siostra cała sztywnieje.

- Miałem sporo spraw do załatwienia - Dale zmienia bieg, by zjechać na drugi pas - więc od rana jej nie widziałem. Ale ogólnie jest w niezłej formie. Oczywiście strasznie marudzi. Nie przywykła do braku swobody. Mówi, że czuje się jak skrępowany prosiak. -

Uśmiecha się z czułością. - Same się przekonacie. To zwawa starsza pani, prawdziwa irlandzka dzierlatka. Jak długo zamierzacie zostać?

- Jeszcze nie zdecydowałyśmy. Kupiliśmy otwarty bilet powrotny. Kosztowało nas to majątek.

Willow podniosła głos, by przekrzyknąć warkot silnika, ale jej ton nadal nie zachęca do spoufalania się. Jednak ton wyniosłej hrabiny najwyraźniej nie robi wrażenia na tym wytatuowanym nieznajomym.

- Taaa, te linie lotnicze...!

Dale znowu zmienia pas i przyspiesza, by wcisnąć się w lukę między śmigającymi obok nas samochodami. Nie mam prawa jazdy i nawet w komfortowych warunkach jestem nerwowym pasażerem. A tych warunków nigdy nie nazwałabym komfortowymi. Na moje oko luka jest za mała, nawet jeśli uda nam się wcisnąć przed tę gigantyczną ciężarówkę, to najwyżej o włos. Zaciskam powieki, ale zaraz otwieram je przerażona, gdy kierowca ciężarówki okazuje swoje niezadowolenie głośnym trąbieniem. - Prosiak! - Dale uśmiecha się do mnie i do Willow. -Nie przejmujcie się, panie, oni zawsze tak robią. Muszą sobie ulżyć.

Jedziemy za typowym amerykańskim domem na kółkach, który ciągnie za sobą zgrabny sportowy wóz, zaczepiony przednimi kołami o zderzak.

- A co się stało z Rowanem, jeśli wolno spytać?

- Nie mógł przyjechać.

Willow posyła mi mordercze spojrzenie, nakazując milczenie. Mnie osobiście nie przeszkadza, jeśli ludzie wiedzą o sytuacji

Rowana, ale moja siostra wmówiła sobie, że to ją stawia w złym świetle. Znowu skupia się na Dale'u.

- Może dojedzie, jeśli... jeśli praca nie stanie mu na przeszkodzie. Skoro o tym mowa, Dale, gdzie pracujesz?

- Tu i ówdzie. - Po raz pierwszy nasz nowy znajomy próbuje uniknąć odpowiedzi. - Teraz, w związku z kryzysem, musiałem zawiesić robotę.

- Irak? Masz tam kogoś?

- Nie, nie! - Wygląda na zszokowanego, że w ogóle przyszło jej to na myśl. - Mówiąc o kryzysie, miałem na myśli sytuację Eve.

Cóż, na coś takiego nie ma odpowiedzi, prawda? Dlatego wbijam wzrok przed siebie i oglądam Amerykę. Właśnie zjechaliśmy z autostrady i na razie Ameryka jest tak... Jak to powiedzieć? Amerykańska. Pełno tu tych przekombinowanych nazw, które kłują nas w oczy na filmach: Stolica Opon, Dunkin' Donuts, Pierwszy Bank Kolejnej Pipidówki, Deli--Kąsek, niewielki supermarket Róg O'bfitości. Domy, wciśnięte między rzędy sklepów, zwykle są piętrowe; przed nimi, na plastikowych krzesłach ogrodowych albo składanych fotelikach wylegają się ludzie w podkoszulkach i szortach; dzieciaki szaleją na rowerach i rolkach; wszędzie widać piwo i ogrodowe latarnie; i wreszcie kłęby dymów z przydomowych grillów.

Dale skręca w szeroki bulwar, obsadzony trzema rzędami drzew: po obu stronach drogi i na środku. Tu mieszkańcy nie siedzą na gankach - to dzielnica willowa, niektóre budynki bardziej przypominają hotele niż normalne domy, ale wszystkie są jasno

oświetlone. Przy bramach stoją budki strażnicze, siedzą w nich ochroniarze, oglądając telewizję. Ciszę przerywa tylko szum zraszaczy, nawadniających ogrody. To Hollywood, tyle że mniej ostentacyjny. Takiej zabudowy w życiu nie widziałam, nawet w najdroższych dzielnicach willowych Dublina. Oczy wyłażą mi na wierzch. Czuję się jak dziecko w Funderland. Prawie zapominam, po co właściwie tu przyjechałam, ale szybko przywołuję się do porządku i nakazuję sobie powagę. Mam zachować zimną krew jak Willow.

Może przecucie jej nie myli? W końcu, czy mamy jakikolwiek dowód, że ten cały Dale Genscher w ogóle zna naszą matkę, a co dopiero, że przyjaźni się z Eve? Równie dobrze może się okazać seryjnym mordercą. Seryjni mordercy są czarujący i budzą sympatię. Właśnie dlatego mogą tak omotać swoje ofiary.

A może Dale Genscher zabił Eve? A potem wśród jej rzeczy znalazł moje dane i żeby zatrzeć ślady zbrodni, wiezie teraz mnie i Willow nad zaporę Hoovera, gdzie zepchnie nas w otchłań?

Ma przy sobie komórkę, a nie zaproponował, abyśmy zadzwoniły do Eve, prawda? Inna sprawa, że jeszcze nie czuję się gotowa do tej rozmowy. Dobra, trzeba brać się do roboty.

- Dale? Eve ma dom czy mieszkanie? Nie wspomniałeś też... ile ma teraz lat? Ja jakoś nie potrafię tego policzyć. J jak się poznaliście? Spogląda na mnie bez pośpiechu.

—Nie tak szybko, po kolei. Nigdy nie pytam kobiety o wiek, ale sądzę, że Eve zbliża się do sześćdziesiątki. I nie odbiorę jej

przyjemności opowiedzenia wam, jak się poznaliśmy. To wzruszająca historia. Co tam jeszcze było?

- Gdzie mieszka?

- A, tak. W przyczepie. To bardzo ładne osiedle domów na kółkach. Spodoba się wam. Ma też kota, sympatyczny gość. Za dnia prawie go nie widuję. Właśnie, żadna z pań nie jest uczulona na sierść?

- Przyczepa?

Głos Willow jest tak ostry, że można by nim ciąć stal. Jej pełne zdumienia pytanie dźwięczy w powietrzu echem niewypowiedzianych słów: biedota z przyczepy?, zapocone podkoszulki?, Jerry Springer?

- Zmieniecie zdanie, gdy zobaczycie osiedle - odpowiada Dale, na którym jej ton najwyraźniej nie zrobił najmniejszego wrażenia. -  
Wiem, co myślicie, ale to nasze nie ma nic Wspólnego z osiedlami dla białej hołoty, które pokazują W filmach. Nasze jest urządzone naprawdę ekstra. Pewnie chciałybyście zadzwonić do Eve? Proszę, możecie skorzystać z mojej komórki.

Sięga do kieszeni na piersi.

- Eee... Nie. - Żołądek mi się zaciska. - Nie chcę jej przeszkadzać. Zdamy jutro. Chyba że ty chcesz z nią porozmawiać, Willow?

- Nie, poczekam do jutra.

Aha, mówię sobie w duchu. Ten egzamin Dale zdał. I wiemy już, że nie zabił Eve.



Uważam, że znam się na ludziach - jak, zresztą, większość kelnerów z krwi i kości. Dlatego mimo makabrycznych wizji, które podsuwa wybujała wyobraźnia, instynkt szepce mi, że mogę zaufać temu facetowi. Mimo tatuaży, kucyka i całej reszty.

Scandalous

---

## Rozdział 7

---

Rusz tyłek, słonko, masz gości!

Głos zgrzyta, jakby ktoś jeździł mi tępą żyletką po potylicy. Przez parę sekund nie wiem, gdzie jestem, i wydaje mi się, że to bossu przyszedł otworzyć sklep.

Potem sobie przypominam. Kanał. Flaszka. Bójka. Policyjna suka. Cholera, znowu się wpakowałem.

— Jacy goście? Kto?

Próbuję się podciągnąć na pryczy, ale strażnik jest już na zewnątrz, gada z kimś.

Zresztą, głupie pytanie. Kto by tu do mnie przyszedł, jeśli nie siostrunie-odciski? Mój głośny jęk nie ma nic Wspólnego ze stanem pobalangowym; łączyłbym go raczej z ciężką pięścią Szajbusa. Przysięgam na grób Phila Lynotta (jeśli się nie ma mamci, trzeba się zaklinać na jakiś inny, zaprzyjaźniony grób), nawet nie tknąłem tego jego świętego zapasu. Nie mam pojęcia, kto mu zakosił połowę towaru, na pewno nie ja. Nie żartowałem, kiedy mówiłem, że do czterdziestych urodzin nie tknę żadnego syfu, ale to nie trafiało do Szajbusa. Jak ten czubek coś sobie wbije do łba, nie ma zmiłuj. Owszem, podebrałem mu trochę haszu, no i tym razem los się do mnie uśmiechnął. Bogu dzięki, bo mostem, pod którym się tłukliśmy, jechał patrol. Gdyby nie psy, mógłbym solidnie oberwać. Szajbusowi lepiej nie podpadać, zwłaszcza gdy się narąbie - wtedy jest nieprzewidywalny.

Skąd siostrunie się dowiedziały, że tu jestem? Przecież do nich nie dzwoniłem. Kaucja też nie będzie potrzebna: psy znają Szajbusa równie dobrze jak ja i zamknięcie mnie w areszcie można potraktować jako akcję prewencyjną, ratowanie życia i mienia.

Chyba nie muszę dodawać, że w pokojach gościnnych ministra sprawiedliwości nie zapewniają luster, więc mogę tylko przegarnąć palcami włosy i liczyć, że nie wyglądam jak straszycło,

- Dupa blada! - mruczę pod nosem.

Nie dość że spędziłem noc w pace i pewnie straciłem moją cudowną miejscówkę, to jeszcze będę musiał teraz wysłuchać kazania pod tytułem „Kiedy ty wreszcie weźmiesz się w garść?”.

- Gdzie są? - Wychodzę na korytarz i przerywam klawiszowi fascynującą pogawędkę o cenach nieruchomości. - Przy bramce?

Potakująco kiwa głową.

- I wychodząc, zamknij drzwi! - wrzeszczy, po czym kontynuuje rozważania o Clonsilli: podobno nie jest taka zła, domy są tam o połowę tańsze niż w centrum, a jeśli wyjedzie się wystarczająco wcześnie, do pracy można zdążyć w półtorej godziny, „dwie to maks”. Wie, że nie musi mi tłumaczyć, jak trafić do bramki.

Kiedy wychodzę, przeżywam mały szok. Bo któż to czeka na mnie, rześki jak poranny zefirek? Nie Bel, nie Willow, tylko mąż Willow, Paddy. No i nie jest taki rześki jak poranny zefirek. W końcu to Paddy. Ostatnio był rześki może tak około Kongresu Eucharystycznego. Podaje mi dużą, brązową kopertę.

- Bierz - mówi - to dla ciebie. I, na miłość boską, doprowadź się do porządku. Dziękuj swojej szczęśliwej gwiazdzie, że masz dwie siostry, które, nie wiedząc czemu, sądzą, że jest jeszcze dla ciebie nadzieja.

Ignoruję obelgi, którymi raczy mnie ten głup, ilekroć się spotykamy. Chwalić Boga, nie zdarza się to często. Podpadłem mu na ślubie Willow, bo się schlałem. Bo w końcu od czego są wesela? Nie ja jeden się spiłem. - Co tam jest? Biorę kopertę.

- Bilety, pieniądze i wniosek paszportowy. Poproś, żeby ci tu zaraz podpisali. W Busaras po drugiej stronie ulicy jest automat, możesz od razu zrobić sobie zdjęcie. Wiesz, gdzie jest biuro paszportowe? Spodziewają się ciebie.

-Co?

Kompletnie nie jarzę.

Przysuwa głowę tak blisko, że widzę jego pory.

- Jedziesz do Ameryki spotkać się z matką. Jest chora, posiała po was wszystkich. Dziewczyny wyjechały wczoraj. Twój bilet jest na jutro. Tu ci napisałem numer telefonu jednego faceta, pod który masz zadzwonić po wylądowaniu, gdybyście się nie spotkali na lotnisku. A jakby cię pytali na granicy, to jest numer, pod którym będzie można szukać w czasie pobytu w Stanach. Facet nazywa się Dale Genscher. D-A-L-E G-E-N-S-C-H-E-R. - Literuje mi, jakbym był debilem. - Zrozumiałeś? Wszystko jest tutaj, w tej kopercie. Pieniądze na jakiś przyzwoity garnitur i czystą koszulę. Cofną cię na granicy, jeśli się zjawisz w takim stroju.

Odsuwa się i wachluje ręką.

-I weź prysznic albo kąpiel. Dobra, odwaliłem pańszczyznę.

Spadam.

Odwraca się, ale chwytam go za rękaw. Czy ja na pewno dobrze zrozumiałem? „Jedziesz do Ameryki spotkać się z matką”?

- Skąd wiedziałeś, że tu jestem? Patrzy na swój rękaw.

- Bądź łaskaw mnie nie dotykać. Podziękuj Jimmy'emu

Porterowi, to on cię namierzył. Doskonale wiedział, gdzie cię szukać.

W biurze paszportowym masz się zgłosić do niejakiego

McConnelloque'a. Przeliterować ci?

- Nie.

Nadal próbuję załapać, co się dzieje.

- Będzie czekał na ciebie dziś od dziesiątej. Zapamiętałeś? A może ci to zapisać? -

- McConnelloque. Pamiętam.

Wciąż nie rozumiem, co jest grane, i zdążyłem już zapomnieć, jak się nazywa ten pierwszy gość od numeru telefonu. Dobrze, że mi to zapisali. Ale gorliwie kiwam głową i to najwyraźniej satysfakcjonuje Paddy'ego, więc się zmywa.

Gapię się za nim. Widzę, jak wychodzi i wsiada do toyoty starlet. Widzę nawet jej tylną szybę z pieprzonym pieskiem kiwającym łebkiem. I tablicę rejestracyjną: 87 WX. Bryka ma piętnaście lat. Wyjątkowo okazji kupiona, Paddy jechał po nią aż do Wexford. A to niespodzianka. Zanim na ich weselu urwał mi się

film, pamiętam, jak Paddy się wściekał na kelnerów, bo podawali za dużo wina do dań głównych.

- McConnellogue - powtarzam na głos. Gliniarz, skrobiący coś w notesiku opartym o pudełko z herbatą, patrzy na mnie zaskoczony.

Przytomnieję. Zaraz, potrzebuję więcej informacji!

- Paddy! Paddy! Czeka!

Wypadam na ulicę i widzę, że samochód już rusza. Biegnę za nim, ale za ostro wystartował spod budynku komisariatu. Stercę na chodniku jak sparaliżowana kaczka i gapię się na znikającą toyotę.

A co z moją miejscówką? Ktoś mi ją zakosi, jeśli wyjadę z kraju.

„Jedziesz do Ameryki spotkać się z matką”? Co tu, kurwa, jest grane?

---

## Rozdział 8

---

Autostrada to królestwo ciężarówek, błyszczących chromem gigantów, które wyprzedzają nas ze świstem i oślepiają blaskiem odbijających się naszych reflektorów. Nie chcę o nich myśleć.

- Poznałeś Eve tutaj, w Arizonie, Dale?

- Pudło. W Nowym Jorku.

- Dawno?

- Och, może z piętnaście lat temu. Na pewno nie więcej. Macie ochotę na muzyczkę, dzierlatki?

Nie czekając na odpowiedź, włącza radio i następne kilometry przemierzamy do wtóru rzewnej gitary i piosenkarzy country.

Wreszcie docieramy do jakiegoś ślimaka, z którego Dale zjeżdża prosto na parking przed motelem.

- Momencik. - Wyskakuje z samochodu i znika w budynku.

- Super! - Willow z obrzydzeniem patrzy na dwie plastikowe palmy przy przeszklonych drzwiach wejściowych. -Przybytek kiczu! - syczy.

Ścisza głos, choć Dale jest poza zasięgiem. Zresztą huk ciężarówek przetaczających się jakieś trzydzieści metrów od nas zagłuszyłby nawet orkiestrę dętą.

-I słyszałaś, co powiedział? Nasza matka mieszka w przyczepie!

-Nie przesądzaj z góry, skarbie. Powiedział też, że to przyzwoite osiedle. Że nam się spodoba. Willow nie może odpowiedzieć, bo wraca Dale i otwiera drzwi od strony pasażera.

- Ten motel nie jest taki zły, drogie panie. Czysty. Prowadzi go mój znajomy. Nie ma go dzisiaj, ale zadbałem, aby odpowiednio was przyjęli. No i nie możecie narzekać na cenę. Trzydzieści cztery dolary za noc.

- Święte słowa. Nie możesz narzekać na cenę, Willow! - powtarzam radośnie i dobitnie, gdy wysiadamy z samochodu i idziemy za Dale'em. Na placu przed motelem jest upał, ale zaraz ogarnia nas chłód recepcji. Kolejne plastikowe palmy, spłowiałe, różowe ściany, fotele ze skaju, automat z coca -colą i gigantyczny obraz przedstawiający zachód słońca nad oceanem, choć - jeśli mnie pamięć nie myli - od najbliższego oceanu dzieli nas setki, jeśli nie tysiące kilometrów, Willow pokazuje znużonej recepcjonistce kartę kredytową, podpisuje się i na tym dość formalności.

Dale zsuwa kapelusz na tył głowy.

-To jaki mamy plan na jutro, drogie panie? Jesteście rannymi ptaszkami? - Przepraszam, że masz przez nas tyle kłopotów. Czy... Czy to daleko stąd?

Oblatuje mnie strach. Nagle mam wrażenie, że bliskość Eve pochłania nas jak mroczny cień. - Niezbyt. Ze sto kilometrów. Przyjadę o dziewiątej. Paluje wam, dzierlatki?

Ja powoli przyzwyczajam się do stylu Dale'a, ale po mi-nie Willow widzę, że moja siostra nie.

- Tak, bardzo nam to pasuje, Dale. Jeszcze raz dziękujemy za wszystko. Jesteśmy ci bardzo zobowiązane, prawda, Willow?



- Dziękuję. - Wymienia z nim chłodny uścisk dłoni. Ledwo Dale znika, odwraca się do mnie z ogniem w oczach. - „Dzierlatki”?! Co on sobie wyobraża? W kraju nasłabym na niego komisarza do spraw równego statusu kobiet i mężczyzn!

- Przymknij się, Willow, nie jesteśmy w Irlandii. A on naprawdę cudownie się nami zajął. Chodź, marzę, by paść do wyra. Ledwo żyję.

Ruszam w stronę przeszklonych drzwi w głębi sali, za którymi widać schody. Mam dość narzekania mojej siostry. I muszę zapalić.

- Nie zmrużymy tu oka.

Willow wyładowuje całą złość na swojej walizce, wlokąc ją po schodach jak niegrzeczne dziecko. Nieszczęsne kółka obijają się o betonowe stopnie.

- Dlaczego nie ma tu windy? Słyszałaś te ciężarówki? Tylko geniusz mógł postawić hotel w takim miejscu, pod estakadą.

Tak gwałtownie zatrzymuję się na ostatnim stopniu, że Willow omal na mnie nie wpada.

- Jeśli nie przestaniesz mendzić, Willow, słowo daję, wynajmę drugi pokój! Trzeba było protestować, kiedy był na to czas! Jeśli ten hotel ci nie odpowiada, wymelduj się i weź taksówkę do Ritza.

Na widok jej zszokowanej miny natychmiast ogarnia mnie skrucha.

- Słuchaj. - Opieram się o ścianę. - Bądź rozsądna. Obie jesteśmy skonane. To tylko jedna noc, a my nie przyjechałyśmy tu pławić się w luksusie, no nie?

Dziwne, ale Willow się nie odszczekuje.

- Przepraszam. Po prostu jestem zmęczona. Powinnam częściej na nią się drzeć. A coraz łatwiej mi to przychodzi...

Okazuje się, że dostałyśmy pokój nie od frontu i choć słyhać samochody, jest to tylko jednostajny szum. Mnie na pewno nie będzie przeszkadzał. Przywykłam do znacznie gorszych warunków, Pierwsze jednak, co dostrzegam, to - hura! – popielniczka na stole.

Nie będzie ci przeszkadzać, Willow? Wyjmuję z kieszeni fajki.

- Otóż będzie mi przeszkadzać. - Znowu jest sobą. Ale widząc, jak nabieram powietrza, szybko łagodzi sytuację. -A może wyjdiesz na balkon? Albo do łazienki? Na pewno zainstalowali tam wiatraczek, bo nie ma okien. Już sprawdziłam.

Postanawiam się nie kłócić i karnie wychodzę na balkon, gdzie czuje się ostry zapach chloru. W tej samej chwili kątem oka dostrzegam poniżej lśniącą taflę. To zapach chlorowanej wody. Basen? I to wszystko kosztuje nas tylko po siedemnaście dolców od łebka? Niepojęte. Szybko obliczam w pamięci. Mogłabym tu zamieszkać na stałe i kosztowało-mnie to mniej niż wynajem mojej klitki. Teraz rozumiem, dlaczego Amerykanie tak chętnie podróżują po swoim kraju

I czemu tak się skarżą na ceny w hotelu Leicester. Zapalam papierosa i z rozkoszą zaciągam się dymem, spływającym do płuc. To dopiero moja dziesiąta fajka dzisiaj. A przynajmniej tak mi się wydaje, straciłam rachubę, nagrodę za świetny rezultat pozwalam sobie wypalić ją do samego filtra.

Kiedy wracam do środka, Willow już leży w łóżku i zostawia wiadomość na swojej domowej automatycznej sekretarce. Dotarliśmy bezpiecznie itepe. Jutro zadzwoni, Odkłada słuchawkę, mówi mi dobranoc, odwraca się plecami i po paru minutach chrapie. Oczywiście, subtelnie.

Ja nie mam tego szczęścia. Kładę się i dopiero wtedy mój mózg pełną parą rusza do pracy. Gdyby czterdzieści osiem godzin temu ktoś mi powiedział, że za dwie doby wyląduję w Stanach, w Phoenix, i będę się szykowała do spotkania z matką...

Jak teraz wygląda? Czy choć trochę będzie przypominała kobietę ze zdjęcia?

Co jej powiem? A przede wszystkim, co ona będzie miała mi do powiedzenia?

Na czym polega rola tego całego Dale'a?

Trybiki w moim mózgu obracają się i nie chcą przestać. Pakowałam się w takim pośpiechu, że nawet nie wzięłam książki do czytania. Nic do czytania, niech to szlag!

Z nudów dokładnie oglądam pokój. Nad każdym łóżkiem oprawiona reprodukcja bukietu różowych róż, duża toaletka, na której zostały ślady po szklankach, szafa ścienna, na stoliku telewizor bez jednej gałki. Ale rzeczywiście czysto, jak obiecywał Dale. A choć sypiałam na miększych łóżkach, trzeba przyznać, że przynajmniej są duże. Fakt, jak za taką cenę to prawdziwa okazja. Na Teneryfie ja i Greta zawsze wynajmujemy pokoje gościnne, w których same

szukujemy sobie jedzenie, więc - możecie wierzyć lub nie - to mój pierwszy pobyt w prawdziwym hotelu.

Ręce mnie świerzbią, żeby włączyć telewizor i przekonać się, jakie kanały mają Amerykanie, ale nie chcę budzić Willow i zaliczyć kolejnej bury. Jakby słysząc moje myśli, siostra mruczy coś przez sen i przekręca się na plecy.

Dziwnie się czuję, patrząc na wyciągniętą, uśpioną Willow. Coś musi jej się śnić, bo drgają jej usta i powieki. Nie pamiętam, kiedy ostatni raz spałyśmy w tym samym pokoju. Zgodnie z decyzją opieki społecznej Willow mieszkała u rodziny zastępczej do czasu, gdy zdała maturę i podjęła pracę w urzędzie państwowym. Kiedy się usamodzielniała, ja już od dawna pracowałam w kuchni małego hotelu, mieszkałam w przyzwoitym schronisku i miałam własny krąg przyjaciół, a najbliższa była mi, oczywiście, Greta.

Z chwilą, gdy po raz pierwszy przekroczyłam próg kuchni tamtej nocy przy Square, Greta wzięła mnie pod swoje skrzydła. Nie wiem dlaczego, bo byłam tylko straszliwie nieśmiałą, gapowatą i niezdarną nowicjuską. A kiedy po kolejnym stłuczonym talerzu wyleciałam ze swojego pierwszego miejsca pracy, ostentacyjnie zdjęła fartuch i wyszła razem ze mną z kuchni. To ona wynajdywała nam kolejne hotele, to dzięki niej załapałam się do Leicester. Trzy-mamy się razem", powiedziała mi wtedy i nadal to powtarza. Dużo zawdzięczam Grecie. Bardzo dużo. tak więc znalazłam w Grecie niańkę, a Willow postanowiła, że zainwestuje w siebie i wszystko osiągnie sama, o własnych siłach. Trudno się więc dziwić, że nasze drogi się rozeszły,

zwłaszcza że moja ambitna i wykształcona siostra natychmiast - zresztą zasłużenie - znalazła porządną, stałą, dobrze płatną pracę.

Przyglądam się śpiącej Willow. Dopiero kiedy się odpręży, widać, jaka jest piękna. Ma twarz w kształcie serca, gładką cerę, pełne wargi i gęste, długie rzęsy, które nie potrzebują tuszu. Właśnie drgają, a z jej ust wyrywa się cienkie „iii”, przypominające pisk nowo narodzonego kociaka, Jednymi z najbardziej zaskakujących talentów Willow są świetny słuch i piękny głos, choć rzadko mam okazję ją słyszeć. Moja siostra należy do amatorskiego zespołu, wystawiającego musicale, ale upiera się, by śpiewać w chórkach, i konsekwentnie odrzuca partie solowe. A przecież wiem, na co ją stać, bo u Świętej Kamili siostry zawsze wyciągały ją z chóru i kazały śpiewać solówki na błogosławieństwo, Twierdzi, że ma za mało czasu, żeby uczyć się partii i chodzić na próby, ale moim zdaniem to tylko wymówka, element surowego image'u, jaki sobie stworzyła. Mam nadzieję, że nie śni jej się teraz żaden koszmar. Rzadko myślę o siostrze z czułością i troską — jej stanowczość, chłód i rzeczowość nie wywołują takich uczuć ani do nich nie zachęcają - ale w tym momencie chciałabym otoczyć Willow żywopłotem z kolczastych róż, który strzegłby, jej przed złem i niebezpieczeństwami. Oczywiście wpadłaby w szal, gdybym chociaż spróbowała. Ostatnio nie wyraża się miło o nikim z naszej małej rodziny - ani o mnie, ani o Rowanie, ani o mamie, oczywiście. Gdybyśmy odnaleźli tatę -jeśli w ogóle jeszcze żyje - jego też ostro by potraktowała. Tak przynajmniej sędzę.

Choć nigdy nie wiadomo. Willow przywodzi mi na myśl żółwia albo ślimaka; wszystko jedno -coś z grubym pancerzem.

Sądzę, że to skutek pobytu w sierocińcu. Każdego jego aspektu. Po pierwsze sam fakt, że się tam jest; jedzenie, zakonnice, chłód wody, kary, hojność kobiet, które obdarowywały nas poplamionymi sukienkami i bluzkami, złachanymi swetrami oraz spodenkami gimnastycznymi tak wyświechtanymi, że świeciły się na tyłku. (Nawet majtkami rozciągniętymi do granic możliwości).

Mnie ta pańska łaskawość nie przeszkadzała. Wychodziłam z założenia, że lepiej mieć byle co, niż nie mieć niczego. Choć o wiele spraw mogę mieć żal i pretensje, nie myślę z goryczą o sierocińcu. Dziś w Irlandii toczą się setki procesów i dochodzeń o wykorzystywanie nieletnich, do jakiego dochodziło w przyklasztornych ochronkach i sierocińcach, ale nam - muszę przyznać - pod tym względem się poszczęściło. Nasze zakonnice były na swój sposób sprawiedliwe. Oczywiście, nie rozpieszczały podopiecznych; jasne, że dostawałyśmy w twarz, po łapach i po tyłkach, byłyśmy szturchane i ciągnięte za uszy, pozbawiano nas jedzenia, zmuszano do lodowatych kąpielii i tak dalej, ale nikt w sadystyczny sposób nie znęcał się nad nami. Takie wówczas panowały metody wychowawcze, nazywane dziś reżimem- Podobnie karano dzieci w niemal każdej irlandzkiej rodzinie i szkole. Nie posunę się tak daleko, by twierdzić że nikomu to nie zaszkodziło, bo nie wiadomo, co tkwi w mojej podświadomości ani jak by się potoczyły

moje losy, gdybym nie trafiła do ochronki. Ale w końcu jakoś żyję i funkcjonuję, nie?

Dopiero teraz dostrzegam, że mimo bardzo ograniczonych środków siostry usiłowały przygotować nas do życia w normalnym świecie. Dbaly, żebyśmy opuszczając sierociniec, potrafiły przynajmniej czytać, pisać, mówić po-prawnie, dodawać i odejmować, cerować, szyć i gotować najprostsze potrawy; umiałyśmy też dbać o czystość i utrzymywać ją wokół siebie. Zdaje się, że zorganizowały nawet kurs księgowości, ale ani ja, ani Willow z niego nie skorzy-stałyśmy - wtedy obie poszłyśmy już do rodziny zastępczej.

A wracając do darów - ilekroć się pojawiały, nie rzucałam się na ubrania ani zabawki, tylko na książki. Nie przeszkadza- Nie przeszkadzało mi, że są zniszczone i podarte, że brakuje stron. Jak lwica walczyłam z dziewczynkami o prawo posiadania, a przynajmniej pierwszej lektury Od zawsze uwielbiam książki i żyję w takiej komitywie z bibliotekarkami w ILAC Centre, że pokazują mi zdjęcia z pierwszej komunii i bierzmowania swoich dzieci Od książki wymagam tylko dobrze opowiedzianej historii i tego, abym dochodząc do strony z napisem „Koniec”, wzbogaciła się choć o jedną rzecz, której wcześniej nie odkryłam. To największa korzyść, jaką wyniosłam z pobytu w sierocińcu Świętej Kamili. Odkryłam tam, że książka to mój latający dywan albo wehikuł czasu, dzięki któremu mogę zobaczyć australijski busz, rosyjski balet, amerykański Dzikie



zachód, angielską pensję i inne dalekie światy, tak różne od tego miejsca, pełnego groźnych ech i stukotu, do którego

pewnego Bożego Narodzenia trafiłyśmy przestraszone, ni-kogo nierozumiejące ja i Willow.

To był dla nas potworny szok. Jeszcze chwilę temu cała nasza trójka siedziała razem z Eve w wynajętym pokoiku, wokół przykrytego obrusem „stołu”, zrobionego z dwóch skrzynek po pomarańczach, bijąc się o ostatnią kruszynkę chleba. A teraz nagle my dwie, małe, przerażone dziewczynki zostałyśmy usadzone za długim stołem w refektarzu, ustrojone w papierowe kapelusiki i - choć to była Gwiazdka -zmuszone by zjeść wszystko, co było na talerzu: obrzydliwe puree, starą brukselkę, tłustą szynkę i tak dalej.

W tym przerażającym nowym świecie rządziły - tak początkowo je postrzegałam - czarne olbrzymy bez nóg, ze stukotem przemieszczające się po korytarzach. Pod ścianami tychże korytarzy stały figury świętych z pozbawionymi wyrazu twarzami, a ich całym zajęciem było poskrabianie węży lub wskazywanie wymanikiowaną rączką na broczącą z ran krew.

Od tamtej pory w deszczowe popołudnia i zimne noce już nie mogłyśmy tulić się do siebie, mamy i Rowana w naszym kochanym łóżeczku. Teraz każda musiała spać na swojej twardej pryczy, stojącej w rzędzie identycznych łóżek, na których leżały jakieś obce, samotne, chlapiące dzieci. I mamusia, i Rowan gdzieś zniknęli. Mamusia - Bóg wie gdzie. Rowan zaś, jak nam powiedziano, trafił do „miejsca dla chłopców”. Wcześniej mój malutki braciszek był dla mnie tylko



rozwrzeszczanym tobołkiem kłopotów, teraz niewyobrażalnie za nim tęskniłam.

A mężczyzna, który nosił miano naszego ojca? Nie liczył się, bo nigdy na dobre nie zaistniał w naszym życiu. Zjawiał się tylko czasem jako cuchnący, niebezpieczny rywal, który wyganiał nas z łóżka i ramion mamy.

Wszystko diametralnie się zmieniło. Dni nie spędzałyśmy już na ulicy, objając się i huśtając na słupach przy naszej czynszówce, tylko w zimnej sali przedszkolnej. Sala miała kraty oknach, a w drzwiach tkwił wielki klucz, przekręcany z przeraźliwym chrzęstem. My zaś musiałyśmy siedzieć w ławkach wyprostowane jak struna i słuchać. A kiedy wreszcie po-zwalano nam się bawić, nie miałam już ślicznej lalki z porcelanową główką i trzema kompletami ubranek, którą mamusia wypatrzyła dla mnie na targu. Musiałam zadowolić się wyliniałym misiem z łebkiem trzymającym się na jednej nitce. Początkowo - nie, tak naprawdę przez cały pobyt w sierocińcu - nie mogłam się pozbyć wrażenia, że owo wygnanie jest wyłącznie moją winą. Byłam nieposłuszna. Pyskowałam zamiast robić, co mamusia mi kazała. Nie pilnowałam należycie maluchów, kiedy musiała na chwilę gdzieś wyskoczyć, I moczyliśmy materace, kiedy tamten pan, który był naszym tatą, wyganiał nas z łóżka mamusi, by robić z nią te hałaśliwe, tajemnicze rzeczy.

Powiecie, że to za dużo jak na pamięć dziecka, które nie miało wtedy jeszcze czterech lat, ale wiercie mi, to wszystko tam zostało. Słodkie i gorzkie. Więcej gorzkie.

---

## Rozdział 9

---

W tej pieprzonej kopercie jest tysiąc dolarów. Pieprzony patol. I trzysta euro. Co ja bym mógł zrobić z taką kasą. A czego nie mógł...

Ale to jeszcze nie wszystko. Biletu lotniczego nie można zwrócić. Spryccyary dopilnowały tego. (Od razu poszedłem z nim do biura podróży). Na szczęście, jak się okazuje, za parę groszy można zmienić rezerwację. Czyli jednak mogę go sprzedać. Założę się, że w pół godziny znalazłbym na pęczki palantów, którzy chcą wyjechać do Stanów i zapłaciliby za ten bilet niezły szmal. W sumie mógłbym uskubać jakieś tysiąc osiemset euro.

Chryste Panie, toż to Gwiazdka!

Tak, tak, jasne, że jest liścik podpisany przez nie obie. Nawet nie list, tylko surowy rozkaz. Przy odprawie urzędnicy pewnie zapytają, ile pieniędzy wywożę. Mam im pokazać patola. Załączają też numer telefonu, mam powiedzieć, że jadę na dwutygodniowy urlop do rodziny, Tak więc dolce mam trzymać przy sobie, a euro przeznaczyć na opłatę paszportową, taksówkę, nowy garnitur i buty.

I na samym dole strony pieprzonymi wielkimi literami dopisały: „TO TYLKO POŻYCZKA!!!!!!”. Jasne. Pożyczka.

---

## Rozdział 10

---

Willow wzdycha. Czyżby się budziła? Nie.

Często się zastanawiałam, czy inne siostry łączą równie skomplikowane relacje jak nas. W powieściach i w prasie siostry zawsze mogą na siebie liczyć. Ciągłe wyplakują się sobie na ramieniu, obejmują się, a nawet jeśli się pokłócą albo poróżnią, błyskawicznie sobie wszystko przebaczą, rzucają się jedna drugiej na szyję i przysięgają, że już nigdy nic ich nie rozdzieli.

Ja i moja siostra nie wykonałyśmy ani jednej z tych rzeczy.

Powiem wam, co myślę: ta dwuletnia rozłąka, kiedy Willow została w rodzinie zastępczej, a ja ruszyłam w szeroki świat, okazała się zabójczą dla naszej siostrzanej więzi. Przez cały pobyt w sierocińcu i w rodzinie zastępczej trzymałyśmy się razem, ale już jako nastolatki przestałyśmy się sobie zwierzać. Najlepszy przykład: o tym, że moja siostra wychodzi za Paddy'ego, dowiedziałam się tuż przed ślubem. I nie byłam druhną. Poprosiła koleżankę z pracy. Chudą tykę.

Dobrze, Arabello, natychmiast przestań myśleć o swoich kompleksach.

Nie jestem zapasiona, ale Bóg mi świadkiem, nieraz patrząc w lustro, żałuję, że bardziej nie przypominam siostry. Pewnie to kwestia ogólnej dbałości o siebie. Nie muszę wyglądać w pracy jak modelka, więc się nic staram. Może się

wpuściłam?

Nie da się ukryć, że gdyby Willow spytała mnie, czy powinna wychodzić za Paddy'ego, poradziłabym jej, aby uciekała, gdzie pieprz rośnie. Może podświadomie to wyczuła i dlatego wołała mnie postawić przed faktem dokonanym.

Nawet nie wiem, czy moja rada okazałaby się słuszna czy nie, Moim zdaniem nie ma związku, który od czasu do czasu nie przeżywałby wzlotów, ale i upadków. Natomiast ilekroć Willow opowiada o swoim małżeństwie i życiu, wszystko jest super. Wszyscy członkowie jej rodziny nieustannie są w znakomitej formie i podbijają szturmem świat, osiągając sukces za sukcesem. Zupełnie jakby dostali szczególne błogosławieństwo. Ale mnie jakoś nie chce się wierzyć, że spośród wszystkich rodzin świata tylko jej nie ma żadnych problemów. A ponieważ Paddy wygląda mi na potwornego dusigrosza, stały entuzjazm Willow strasznie działa mi na nerwy.

Wstydzę się tego; w końcu to nie mój interes, równie dobrze mogę się mylić. (Gdzieś czytałam, że jeden z moich dawnych ulubieńców, Bing Crosby - ten czarujący, wyluzowany Bing - stanowił pierwowzór sknery, którego odgrywał jak Benny!). Ale mojej siostrze nie zadaje się pytań w rodzaju: „Jesteś szczęśliwa, Willow?”. Po prostu się nie zadaje.

Tylko raz przytrafiła nam się wyjątkowa chwila rozluźnienia i szczerości. Wtedy zaryzykowałam pytanie, co widziała w Paddym. Pamiętam, że siedziałyśmy obok siebie w autobusie. Wiozłyśmy jej parkę i sześć przyjaciółek Mary na urodziny do McDonalda. Zamiast,

jak się spodziewałam, skoczyć mi do gardła, Willow spojrzała mi prosto w oczy.

Poczucie bezpieczeństwa, skoro tak strasznie chcesz wiedzieć.

Chciałam się wycofać, bo sądziłam, że tego ode mnie oczekuje, tymczasem ona odwróciła się do okna i mówiła dalej, jakby sama próbowała dotrzeć do sedna sprawy.

- Wiem, że Paddy'ego trudno nazwać księciem z bajki, ale wiem też, że nie zmyje się z młodszą i ładniejszą. Wiem, że nie wyleci z pracy. Wiem, że zawsze będę miała gdzie mieszkać i co jeść. Nie pije. Nie gra. Nie bije mnie. Nie znęca się nad dziećmi. W krytycznych chwilach nie traci głowy. - Spojrzała na mnie z wyzwaniem.

- Jest w moim narożniku. Jeszcze coś chcesz wiedzieć, Arabello?

-Nie.

Ale pomyślałam sobie, że lista zalet męża składająca się głównie z zaprzeczeń nie rokuje najlepiej temu związkowi. I natychmiast sama siebie skarciłam. Jestem niesprawiedliwa. Sama nie wyszłam za mąż, więc jakie mam pojęcie o małżeństwie? Zresztą Willow nie po to mi się zwierzała, by usłyszeć krytykę.

- Teraz twoja kolej. - Patrzyła mi prosto w oczy. - Jak to jest z tobą i Jimmym Porterem?

- Nie rozumiem.

- Doskonale rozumiesz. Jeśli nie zamierzacie się pobrać, to po co tracisz na niego czas? Zaslugujesz na kogoś lepsze go, Bello.

Autobus ostro wszedł w zakręt, wszyscy gwałtownie próbowaliśmy złapać równowagę, a ja w ten sposób zyskałam chwilę na obmyślenie rozsądnej odpowiedzi.

- Cóż, może i masz rację, ale czy widziałaś ostatnio jakichś wolnych mężczyzn? Mnie i Jimmy'ego satysfakcjonuje to, co mamy. Na przykład, oboje lubimy tańczyć. Wiesz, że Jimmy jest znakomitym tancerzem?

Nie wyglądała na przekonaną.

- To chyba za...

- Słuchaj, Willow - wpadłam jej w słowo. - Jimmy to mój wróbel w garści. Jest zawsze dyspozycyjny, przydaje się, gdy w ostatniej chwili potrzebuję partnera; kiedy chcę wybrać się z kimś do kina, wyskoczyć w czwartek na drinka, pójść na imprezę. Wiesz, jak nieregularne są moje godziny pracy. Mam fart, że trafiłam na kogoś, komu to nie przeszkadza...

Milknę. Willow znów się odwraca. Tył jej głowy mówi więcej niż tysiąc słów.

Wracam do rzeczywistości. Znów jestem w hotelu. Willow wierci się na łóżku. Zrzuciła kołdrę, odsłaniając długie, śliczne nogi.

Owszem, ja też mam długie nogi i jeśli się zastanowić -czego nigdy nie robię - pewnie nawet nie najgorsze. Problem w tym, że krótką spódnicę noszę tylko w pracy. Poza nią wolę spodnie i długie spódnice, bo do nich nie trzeba nosić rajstop. A ja z całego serca, gorąco nienawidzę rajstop, ich obrzydliwego plastikowego dotyku na łydce. Choć może to wyłącznie kwestia lenistwa? Kto wie? Przy ich

wkładaniu trzeba się tak cackać, uważać, żeby nie puściło oczko...

Willow kiedyś mi powiedziała, że trzeba cierpieć, by być piękną.

Na mnie nie liczcie. Nie zamierzam się umartwiać, aby pięknie wyglądać. Szkoda czasu, mam znacznie lepsze i ciekawsze zajęcia.

A wracając do Jimmy'ego Portera. Może wtedy w autobusie Willow miała rację? Może zasługuję na kogoś lepszego? Więc dlaczego z nim nie zerwę? Zdaję sobie sprawę, że Jimmy naprawdę się stara, ale przy nim czuję się o parę ładnych lat starszej. Zwłaszcza od kiedy przeszedł na rentę.

Został dźgnięty nożem na górnym pokładzie autobusu numer trzynaście, kiedy kazał bandzie wyrostków zgasić papierosy (napastnik miał zaledwie jedenaście lat). Po niezliczonych wędrówkach od Annasza do Kajfasza, komisjach lekarskich i badaniach psychologicznych, miejskie przedsiębiorstwo transportowe - oraz państwo - przyznało, że choć pozornie Jimmy w pełni wrócił do zdrowia, jego ciągłe ataki paniki nie są symulowane. Uraz psychiczny okazał się na tyle silny, że Jimmy nie może wrócić do pracy w komunikacji miejskiej. A ponieważ nie znalazł innej pracy, przyznano mu rentę w wysokości połowy jego poborów, którą ma otrzymywać aż do wieku emerytalnego, czyli do sześćdziesiątego piątego roku życia, a więc jeszcze przez czternaście lat.

Nie ulega wątpliwości, że ten incydent zmienił Jimmy'ego. Kiedy się poznaliśmy, był naprawdę rozrywkowym facetem. Od tamtego wypadku jednak zamknął się w sobie, a ponieważ nie pracuje, ma za dużo wolnego czasu, który poświęca na zbieranie kolejnych



dowodów na to, że Dublin schodzi na psy. A już najbardziej go wpienia - nieustannie do tego wraca - że jedenastoletniemu nożownikowi wszystko uszło na sucho. Podobno Jimmy'ego do dziś prześladują koszmary. Nie mogę tego potwierdzić, bo od czasu Wypadku, jak to nazywa, nasze życie erotyczne odeszło w przeszłość. Nawet nie wiem, czy mu tego brakuje. Mnie nie, nie tak bardzo. Można powiedzieć, że brakuje mi seksu jako takiego - choć nie mam w tej dziedzinie wielkiego doświadczenia, ha! Chciałaby dusza do raju! Ale nie brakuje mi seksu z Jimmym.

Reasumując, nie odzyskałam Jimmy'ego z czasu przed wypadkiem, ale nie miałam serca go dobijać. Rzucić go ze względu na coś, co nie było jego winą? Jak by to o mnie świadczyło?

Dlatego żyjemy sobie jakoś z dnia na dzień. Zresztą, pokażcie mi lepszą możliwość. Dublin to miasto młodych. To również miasto, gdzie liczba samotnych kobiet znacznie przewyższa liczbę samotnych mężczyzn i gdzie naprawdę trudno o wolnego faceta, bez problemów z przeszłości, który zainteresowałby się kobietą po czterdziestce. Swoją drogą, jakoś nie słyszałam, aby prawo nakazywało, że każdy obywatel ma stanowić połówkę pary.

Powinnam też zrobić rachunek sumienia i zastanowić się nad źródłem mojego krytycznego stosunku do Paddy'ego do małżeństwa Willow. Może rozdrażnienie, z jakim słucham jej opowieści o ich sielskim-anielskim życiu, bierze się z czystej zazdrości? Za kogo właściwie ja się uważam? Kto tu ma dom, dobrą pracę i rodzinę? A kto mieszka w wynajętej klit-ce, nie ma widoków na awans w pracy



ani na rodzinę? Arabella Moraghan ma czelność patrzeć z góry na Paddy'ego, a potem bronić swojego związku?

Arabella nie ma prawa patrzeć z góry na siostrę i jej życie, Bo we wczesnym dzieciństwie zrobiłam Willow coś, co do dziś tak ciąży mi na sumieniu, że na samo wspomnienie o tym kulę się wewnętrznie z bólu i wstydu. A wydarzyło się to w okresie Wielkiego Postu, pierwszego naszego postu w sierocińcu.

Wielki Post był tam wyjątkowo ponurym i przygnębiającym okresem, wszyscy chodzili na paluszkach, rzeźby i obrazy zasłaniano fioletowymi płachtami, a dźwięczny odgłos dzwonek tłumiono, owijając je bandażami. Ale tuż przed naszą pierwszą Wielkanocą my, dziewczynki z grupy maluchów, usłyszałyśmy za drzwiami poruszenie. Nasza opiekunka, pyzata zakonnica, wyszła sprawdzić, co się dzieje. Po chwili wróciła szeroko uśmiechnięta, niosąc kartonowe pudełko po butach z wyciętymi otworami.

- Spójrzcie, co tu mam, dziewczynki! Podejdźcie.

Wielka radość. Rodzina ze wsi przysłała nam sześć jednodniowych kurczaczków, żebyśmy się nimi zaopiekowały.

Wszystkie natychmiast się poderwałyśmy i przepychałyśmy, by potrzymać pisklęta.

- Nie pchajcie się - mitygowała nas siostra. - Odsuńcie się.

Każda zdąży się przypatrzeć, pisklęta nigdzie nie uciekną.

Ale ja już na tyle długo mieszkałam w sierocińcu, aby wiedzieć, że kto pierwszy, ten lepszy. Paroma kuksańcami utorowałam sobie drogę do skarbu.

- Mnie, siostro! Mnie! Mnie!

Udało mi się złapać jedno pisklę i przytuliłam je do twarzy. Czulałam bicie jego serduszka, przypominało tykanie zegarka. Niewyobrażalnie delikatne. Kruche. I te drobniutkie kosteczki. Zbierało mi się na płacz.

Rzadka u naszej opiekunki łagodność utrzymała się aż do końca dnia. Wykorzystywałyśmy to, cały czas i uwagę poświęcając naszym nowym ulubieńcom: pieszcząc je i głaszcząc, bawiąc się nimi. Zakonnica dała każdej z nas po garstce ziaren, które rozsypałyśmy na podłodze. Potem przyniosła szczotkę i wiadro, a każda z nas po kolei zmywała z płytek kurze odchody. Czujemy się ważne i potrzebne. Położyłyśmy się spać szczęśliwe.

Ale następnego dnia, gdy zaraz po śniadaniu popędziłyśmy do naszych nowych podopiecznych, nie usłyszałyśmy radosnego świergotu. Przywitała nas cisza. Pudełko zniknęło. Zostało wsunięte pod żeliwny kaloryfer. Siostra je wyciągnęła.

Ktoś przenikliwie krzyknął.

Sześć żółtych kłębuszków. Dwanaście martwych ślepek.

Wszczęto natychmiast śledztwo. Siostra kazała nam usiąść w ławkach, a potem wzywała każdą z nas i pytała:

- Czy przyszedłeś tu wczoraj wieczorem albo dziś z samego rana, Mary Pierwsza (albo Mary Druga, Trzecia, albo Jinny, Kathleen, cała lista imion) i ruszałeś pudełko?

- Nie, proszę siostry!

- Nie, proszę siostry!

- Nie, proszę siostry!

- To nie ja, siostró!

- Doskonale. - Kiedy każda dziewczynka się wyparta, siostra otworzyła szufladę. - Proszę się ustawić w rzędzie. Wszystkie.

Wiedziałyśmy, co nas czeka. Niektóre od razu zaczęły pochlipywać. Ale nawet uderzenia linijką w gołą pupę nie poskutkowały. Młodsze wychowanki dostawały lanie drewnianą linijką, którą zaraz po pierwszej komunii zastępował pas.

Kiedy siostra doszła do Willow, byłam o krok od przyznania się. Przecież Willow nie miała nawet trzech lat! Ale ponieważ wcześniej się wyparłam, otrzymałabym znacznie surowszą karę. Tak, to ja byłam winna. W nocy wymknęłam się z sypialni i na paluszkach pobiegłam do sali. Tam każde pisklątko ucałowałam w dziobek, solidnie zamknęłam pudełko i wsunęłam je pod kaloryfer, żeby maleństwu było ciepłutko i przytulnie. Oczywiście, w ten sposób upiekłam je albo udusiłam, bo wepchnęłam je tak głęboko, że pewnie zabrakło im tlenu. Sprawa nigdy się nie wydała. I co mi z tego, że uniknęłam kary? Poczucie winy prześladowuje mnie do dziś, Jestem zdrajczynią. Morderczynią kurczaczków.

Nie miałam wyrzutów sumienia, że pozostałe dziewczęta poniosły karę. Żadna z nich nigdy nie wstawiła się za mną, może jest brutalne, kto mówił, że los jest sprawiedliwy, itepe. Ale nigdy nie wybaczyłam sobie kary Willow. A choć to się wydarzyło tak dawno, choć teraz mam czterdzieści jeden lat ja dobijam do czterdziestu dwóch, a Willow ma czterdzieści a dobija do czterdziestu jeden, nigdy

się jej nie przyznałam. czego bardzo się wstydzę. Starsze siostry powinny się opiekować młodszymi.

Powoli, ostrożnie, by sprężyny nie zaskrzypiały, sięgam na torebkę stojącą przy moim łóżku i wyjmuję metalowe pudełko. Nigdy się z nim nie rozstaję, wzięłam je nawet na Teneryfę.

To owalne, skorodowane pudełko z pokrywką na zawiaskach i kiczowatym bukietkiem na wierzchu to mój największy skarb. W środku utrzymuje się zapach stęchłego jedzenia - może herbaty, może ciasta? Na przykład placka albo rolady. Właśnie to pudełko kurczowo ścisnęłam w rękach, gdy mama zostawiła naszą trójkę w palmiarni ogrodu botanicznego. W sprawie pudełka jestem nieugięta. Wykorzystałam swoją pozycję pierworodnej córki i zatrzymałam całą zawartość. Niczego nie oddałam Willow ani Rowanowi. Pozwalałam im zaglądać do środka, brać nasze skarby do ręki, ale nie pozwalałam niczego zatrzymać. Tłumaczę, że nic można tego dzielić, wszystko musi pozostać w jednym miejscu. Tego życzyła sobie Eve i mnie, jako najstarszej, powierzyła ów depozyt.

Większość wydarzeń tamtego dnia wyparłam z pamięci.

Wszystko wskazuje na to, że mama zostawiła nas tuż przed zamknięciem palmiarni, żeby strażnicy na pewno wkrótce nas znaleźli. Choć tyle dla nas zrobiła.

Nie pamiętam, jak nas znaleziono. Nie pamiętam chwili, kiedy dała mi pudełko, ani tego, jak mi je zabierano. Przeżyłam prawdziwy szok, kiedy zakonnice wręczyły mi je w dniu, gdy wyfruwałam spod ich skrzydeł.

Po pierwszym szoku poczułam złość, że nie zwróciły mi go wcześniej - gdy byłam już na tyle duża, by zrozumieć jego wartość - ale z czasem mój żal zniknął. Po co chowa urazę? W tamtych czasach inaczej podchodzono do dzieci oraz ich praw. Co można zyskać, rozpamiętując dawne krzywdy? Nic. W ten sposób krzywdzisz tylko siebie, nikogo innego.

Tamtej palmiarni już nie ma. Przebudowana i zrobiona na pic-cyc, stała się prawdziwą wizytówką Irlandii. Trochę mi żal tamtej starej. Chyba nikogo nie zaskoczy, gdy powiem, że często odwiedzałam ogród botaniczny, a zwłaszcza palmiarnię. Lubiłam słodkawy zapach łuszczącej się farby, złączącej ze skorodowanej konstrukcji szklarni. To był mój łącznik z Eve. Kiedy zostawiała nas tam, musiała czuć ten zapach. Jest zbyt charakterystyczny, by go nie rozpoznać. I założę się, że, tak samo jak ja podczas licznych odwiedzin przed przebudową, musiała zauważyć jasnozielone glony wypełzające na szyby w miejscach, gdzie szkło łączyło się z metalową konstrukcją.

Ostrożnie otwieram pudełko i wykładam zawartość na łóżko. Zawsze oglądam ją w tej samej kolejności.

1. Zdjęcie Eve, a ściślej połówka jej ślubnej fotografii. Eve ma kwiat (chyba gałązkę pachnącego groszku) w klapie płaszcza, Trzyma kogoś pod rękę. Poniżej linii jej barku widać fragment czyjegoś ramienia - była wyższa od mężczyzny, za które-go wyszła. Zabawny, malutki toczek na czubku głowy kontrastuje ze smutnym wyrazem twarzy mojej matki. Eve była młodziutka, miała ze szesnaście lat. Do

tego w zaawansowanej ciąży. Ze mną. W ten sposób ja też znalazłam się na fotografii. Połówkę, na której znajdował się właściciel ramienia, starannie odcięto. Z tyłu jest napis: „*Dla moich kochanych Dzieci. To ja w dniu ślubu. 19 stycznia 1961 rok*”.

2. Srebrna korona z czasów królowej Wiktorii, zawinięta w okrawek białego jedwabiu. Zapewne Eve dostała ją w dniu ślubu. Ziemskie dobra. „Daję ci srebro i złoto”. Niestety, w pudełku zabrakło złota.

3. Akt ślubu rodziców.

4. Trzy akty chrztu, każdego z naszej trójki. Każde z nas odzywa się Mary Moraghan: „Mary Arabella, Mary Willow, Mary Rowan. Ojciec: Peter Moraghan, wojskowy. Matka: Eve Moraghan, z domu Rennick, przy mężu”.

5. Tandetna, kilkucentymetrowa porcelanowa figurka: czarno-biała kotka z trójką kociąt, przyczepionych do niej trzema łańcuszkami. Siedzą w koszyczku z napisem, wymalowanym złotą farbą: „Pamiętka z Rush”. Na spodzie jest napis: „Made in Hong Kong”.

6. Zdjęcie naszej trójki, zrobione w zakładzie fotograficznym. Rowan to jeszcze maleństwo, jest ubrany w swoją koszulkę od chrztu. Jemu najuważniej się przyglądam. Jest zachwycający. Uśmiecha się promiennie, nie patrzy w obiektyw, tylko nieco w bok, jakby ktoś tam go zabawiał. Może nasza matka. Malec wygląda, jakby czekała go cudowna, usłana różami przyszłość.

7. Koronkowa koszulka do chrztu, tak delikatna i cienka, że można ją złożyć w dziesięciocentymetrowy kwadrat. Pożółkła, choć obie z Gretą zasięgałyśmy rady w najlepszych dublińskich pralniach i choć owijałam ją w czarną bibułę. Nie wiem czemu, ale zawsze na widok tej szatki płaczę. Jest dla mnie uosobieniem nadziei, a może niewinności, a może czegoś jeszcze.

8. List nabazgrany na kartce z zeszytu w linię z czerwonym marginesem po lewej stronie:

*Najukokańsi Arabello, Willow i Rowanie, tak będzie le piej. Mósiałam wyjechać z powodów, kturę kiedyś Wam wy jaśnień. Nie bąćcie na mnie źli, bo ja WRÓCĘ i będę miała pieniądze i kópimy sobie domek i będziemy szczęśliwi. Nie za pomnijcie o mnie, bo ja nigdy o Was nie zapomnę. A dopuki się nie zobaczymy, niech fan Bóg i Matka Boża nad Wami czuwają. Wasza kohająca Mama.*

Słowo „wróć” napisała znacznie większymi literami i trzykrotnie podkreśliła. Liczne błędy mnie wzruszają a jednocześnie drażnią, bo sama nie mam najmniejszych i problemów z ortografią.

Z czysto praktycznej strony te akty chrztu bardzo się przydały. Uznano je za wystarczającą podstawę do wystawienia duplikatów metryk urodzenia. Wyobrażam sobie, że Eve zatrzymała oryginały. Tak samo, jak zostawia się na pamiątkę pierwszy bucik dziecka.

A przy okazji, nie myślcie, że nie próbowałam odnaleźć ojca. Robiłam to, owszem, chociaż bez przekonania i tylko dlatego, że wielu porządnych ludzi radziło, bym spróbowała, i oferowało mi pomoc. Żołnierze, nawet emerytowani, zostawiają za sobą ślad.



Gdybym bardzo się uparła, pewnie bym go wytropiła. Ale prawda wygląda tak, że Peter Moraghan i jego losy są mi najzupełniej obojętne. Może trudno w to uwierzyć, jednak to prawda. Willow mówi, że jej też są obojętne, ale znam ją lepiej, niż sądzi, i założę się, że nie.

Co czuje Rowan, tego żadna z nas nie wie. Na pewno Wciąż płonie w nim gniew i na pewno systematycznie rujnuje sobie życie. Czasem się zastanawiam, czy ze względu na niego nie powinnyśmy były bardziej się przyłożyć do poszukiwań ojca. Gdybyśmy bardziej się postarały i gdyby nam się udało, może Rowan wyszedłby na prostą. Może wojskowy szybko dostrzegłby zagrożenie i ustawił chłopaka do pionu. Ale nie postarałyśmy się, on zresztą, nie ukrywajmy, też, więc nie ma teraz sensu rozdzierać szat z tego powodu.

Uświadamiam sobie, że to ostatnia noc, gdy Eve nie jest dla nas konkretną osobą, tylko niewyraźnym konturem, wy-obrażeniem. Powinnam to jakoś zaznaczyć. Pożegnać się. Ale każde rozwiązanie, jakie przychodzi mi do głowy, wydaje się zbyt melodramatyczne. Na przykład ucałowanie każdego przedmiotu z pudełka. W końcu nie robię nic. Wkładam wszystko na miejsce, pudełko wsuwam do torebki, gaszę lampkę przy łóżku i układam się do snu.

Nie mogę się umościć. Zrzucam ciężką narzutę. Amerykanie w Leicester wiecznie narzekają na chłód w jadalni. Teraz już wiem dlaczego. Zapomniałam powiedzieć o jednej wadze naszego pokoju - ogrzewanie działa non stop. Można się ugotować. Noc wcale nie jest



chłodna - przynajmniej jak na nasze warunki - ale kaloryfery grzeją jak szalone. Termostat się zaciął i nie udało nam się obniżyć temperatury.

Ja bym zaryzykowała i zostawiła uchylone drzwi balkonowe, ale Willow nie chciała o tym słyszeć.

- Na miłość boską, toż to Dzikie Zachód. Skąd wiesz, czy coś nie czyha na zewnątrz? Wystarczy włączyć CNN, codziennie nadają tam historie o szaleńcach z bronią, gangsterach strzelających z samochodu do przechodniów albo ćpunach zabijających dla działki kokainy.

Ona i Paddy zafundowali sobie antenę satelitarną i przy każdej okazji demonstrują swoją bogatą wiedzę o świecie.

- Jasne, ukrywają się w basenie i przylecą na drugie piętro - próbowałam apelować do jej zdrowego rozsądku.

- Nie zapominaj, że w tych stronach są też niedźwiedzie i kojoty. I grzechotniki. Dla nich wejście na piętro to nie problem, prawda?

Nie wiedziałam, czy grzechotniki potrafią się wspinać czy nie, więc nie kontynuowałam dyskusji.

Tyle dobrze, że do litanii czyhających na nas niebezpieczeństw nie dodała wytatuowanych facetów z kucykami.

---

## Rozdział 11

---

W reszcie - a może dopiero? - nadszedł ranek. Mimo klimatyzacji słońce piecze przez szybę samochodu Dale'a. Prawie całą drogę przesiedziałam z zamkniętymi oczami. Co prawda zdążyłam się przekonać, że Dale jest dobrym kierowcą, ale prędkość, z jaką pędzą ciężarówki, budzi we mnie panikę. Willow drzemie z głową opartą o boczną szybę, między nogami ściska kosz pełen owoców.

Zjeżdżamy z autostrady i znowu ściska mnie w dołku, tym razem z zupełnie innego powodu. Mimo tremy i zdenerwowania wrodzona ciekawość każe mi odnotować, że prze-nieśliśmy się na asfaltówkę-dwupasmówkę (uwielbiam ten amerykańizm, jest taki dosłowny, taki... amerykański) i że zmienił się krajobraz. Już nie mamy po obu stronach rdzawej patelni, tę widać teraz tylko z prawej, za to z lewej pojawiły się czerwone skały. Naprawdę czerwone, czerwone jak w technikolorze, czerwone jak krew, Czysty surrealizm.

Zmiana prędkości i pracy silnika budzi Willow. Daleko jeszcze? - pyta zdławionym głosem. Nie. - Dale zerka na nas obie. - Jakies dziesięć, piętnaście minut.

I rzeczywiście, po dziesięciu minutach skręcamy z głównej trasy, przejeżdżamy przez most nad kamiennym suchym korytem rzeki i podskakując na wertepach, telepiemy się boczną drogą wśród wysokich, zapuszczonych żywopłotów, by wreszcie, jak dla mnie o wiele za szybko, minąć białą, drewnianą tablicę z wymalowanym niebieską farbą napisem: „Witamy w osiedlu Robinia Meadows! Zrób

przerwę w podróży". Tablica jest przekrzywiona, nie przewraca się tylko dzięki chaszczom pokrzyw i chwastów.

Willow sięga w dół, a potem prostuje się, jakby kij połknęła, i stawia kosz - swoją tarczę - na kolanach. Jeśli chodzi o wybór owoców, zdałyśmy się na sprzedawcę. Ja kupiłam dla naszej cudem odnalezionej matki naręcze różowych róż.

- Mam nadzieję, że trafiłam. - Usiłuję nadać głosowi beztroskie brzmienie. - Nie wiesz, czy lubi różowy, Dale?

- Różowy to jej ulubiony kolor. - Uśmiecha się.

Przejeżdżamy przez zardzewiałą bramę, mijamy drugą tablicę: „Witamy seniorów!” i wolno toczymy się wzdłuż poustawianych byle jak domów na kółkach, pikapów, przyczep, koślawych komórek, starych wozów, zardzewiałych silników, materaców ze sterczącymi sprężynami i zwałów szeroko pojmowanego żelastwa. Nad tym wszystkim zaś dumnie sterczą anteny telewizyjne, talerze satelitarne, skrzydła pseudowiatraków i flagi Stanów Zjednoczonych. Mieszkańcy i ich apatyczne psy zaszczycają nas najwyżej jednym, przelotnym spojrzeniem. Jestem w szoku. Tak wygląda to porządne osiedle? Boję się spojrzeć na moją siostrę.

- Toż to całe miasto, Dale.

- Fakt, jest tu pewnie z tysiąc domów.

Skreca w wąską alejkę, ostrożnie lawirując między dwiema przyczepami połączonymi nisko dyndającymi przewodami elektrycznymi i telefonicznymi.

- Ale nie oceniaj nas na podstawie tych pierwszych uliczek. -  
Chyba czyta w moich myślach. Oceniam. Niepochlebnie. - To  
wędrownie ptaki. Nikt z tej części osiedla nie zagrzewa tu długo  
miejsca, a ich pasja to handel. Nieustannie sprzedają i kupują  
przyczepy, co tylko się da. Oczywiście jesteśmy dla nich uprzejmi, ale  
wiemy, że wkrótce się stąd wyniosą. My, którzy osiedliśmy tu na  
stałe, mieszkamy dalej.

Kiedy usłyszałam, że Eve mieszka w przyczepie, wyobraziłam  
sobie miejsce na obrzeżach jakiejś dziury, gdzie stoi parę  
samochodów na krzyż. Tymczasem to osiedle ma wielkość niedużego  
irlandzkiego miasteczka.

- Jesteśmy właściwie samowystarczalni - ciągnie Dale. -  
Znajdziecie tu sklep spożywczy i drogerię z podstawowymi Ickami,  
bankomat, a nawet niewielki sklep z alkoholami. I przychodnię, w  
której cztery razy w tygodniu ktoś dyżuruje. Oczywiście zajmują się  
tylko najprostszymi przypadkami, ale miło wiedzieć, że coś takiego tu  
jest.

- Macie przychodnię?

Błyskawicznie rewiduję swoje poglądy na temat osiedla  
przyczep. Zerkam na Willow. Ona nie rewiduje.

- Tak, skrzyknęliśmy się w parę osób i postawiliśmy budynek. -  
Dale chętnie podejmuje temat. - To mieszana społeczność, ale mamy  
tu stosunkowo dużo starszych osób. Trzeba dbać o naszych emerytów.  
W końcu to oni kiedyś na nas pracowali.

- Mamy? To ty również tu mieszkasz? - włącza się Willow.

- Aha. Od dziesięciu lat.

Miejsce piaszczystej alejki zajmuje utwardzona ulica i rzędami równo stojących domów na kółkach. Oprócz paru niechlubnych wyjątków przyczepy i ich otoczenie są zadbane, tu i ówdzie można zobaczyć przyszyżony trawniczek i miniaturowy płotek.

- Ten z magnolią jest mój. - Dale przez szybę pokazuje nowiuteńki, błękitny ruchomy dom, otoczony ogródkiem. -Kupiłem dwie działki. Lubię jeść własne warzywa.

I rzeczywiście, widzę równe grządki rdzawej ziemi, w której coś kiełkuje, bambusowe paliki i kratki na pnącza. Czyli nie mieszka z Eve, myślę i sama nie wiem, czy czuję ulgę czy zawód.

Samochód staje. -

- No i jesteśmy na miejscu.

Celofan na moim bukietcie zaczyna szeleścić. Nie dając nam czasu na przyjrzenie się domostwu Eve, Dale przekręca kluczyk w stacyjce i patrzy na nas ciepło.

- Powodzenia.

Otwiera drzwiczki, wyskakuje z samochodu i obu nam pomaga wysiąść.

- Nie wejdiesz z nami? - Głos Willow drży jak u staruszki albo małej dziewczynki.

- Jestem zdania, że troje gości to za dużo. - Wyczuwa nasz strach. - Nie przejmujcie się, będę blisko. Po drugiej stronie ulicy, u siebie. Gdyby coś było nie tak, zawołajcie, a zaraz przybiegnę. Teraz jest u niej Mario. Oczywiście zostawi Was same.

- Kto to jest Mario?

- Porządny gość. Polubicie go. - Dale spogląda na zegarek. - Już was wyczekuje.

Pochyla się i głaszcze rudego kota, wyciągniętego na stopniach prowadzących do - jak należy się domyślać - przyczepy Eve.

- Siemanko, Ryży. Wszystko gra? Przez ciebie wyszedłem na kłamczucha, powiedziałem tym miłym paniom, że jesteś nocnym markiem.

Kot ignoruje go, wypręża grzbiet i ostentacyjnie odchodzi, z ogonem sztywno wyprostowanym jak sztandar. Dale uśmiecha się do nas.

- Ale to nie znaczy, że was nie pokocha.

- To kot Eve?

- Zgadza się. To do zobaczenia...

Wskakuje do samochodu i odjeżdża, zostawiając nas jak te kołki na środku ulicy w kurzu i upale. Stoimy, ściskając w objęciach nasze powitalne upominki. Chyba w życiu nie byłam tak zdenerwowana, a jednocześnie podekscytowana.

Przyczepa Eve jest biała. Ma dwoje drzwi. Jedne wychodzą na drewniany pomościk, jakby taras, do drugich zaś prowadzą wyszorowane, drewniane schodki. Jedne i drugie na otwarte, w obu wiszą zasłony z paciorków - ale nie tych tandetnych, plastikowych, jakie widuje się w hinduskich barach z daniami na wynos. Koraliki Eve mienia się tęczą barw, bo są kryształowe. Trawnik, choć miniaturowy, jest idealnie przystrzyżony. Trawa ma ten głęboki,

szmaragdowy odcień z „Czarnoksiężnika z krainy Oz”. Właściciel tego ogródka musi o niego bardzo dbać. I mieć poczucie humoru: zza kamyka przy schodkach wychyla się piętnastocentymetrowy, zielony irlandzki skrzat. Widok jest tak zaskakujący, a skrzat wydaje się tak pogodny i figlarny, że czuję, jak łzy wzbierają mi pod powiekami. Biorę się w garść. To ostatnie, czego teraz ona i my potrzebujemy. - Dobrze się czujesz?

Dotykam ramienia Willow. Nie wygląda na osobę, która dobrze się czuje. W ostrych promieniach słońca skóra wokół jej oczu przypomina siatkę torów przy stacji rozrządowej. Dopiero teraz zauważam też, że Willow ma odrosty. Wyczuwa, o czym myślę, i odwraca się szybko.

Nic mi nie jest - odpowiada. - Chodźmy, miejmy już to z głowy. Trzeba za to pociągnąć czy jak?

Do balustrady jest przymocowany stojak z kutego żelaza, na którym wisi dzwonek.

-Chyba tak.

Ale gdy sięgam po taśmę, słyszę grzechotanie kryształów. Ktoś przedziera się przez sznury paciorków.

- Kogo ja widzę! Siemanko!

- Witam. - Oslaniam ręką oczy i patrzę na mężczyznę, stojącego w drzwiach. - Ty pewnie jesteś Mario. Dale mówił, że się nas spodziewacie. Jestem Arabella, a to moja siostra, Willow.

Zbiega po schodach i ściska nam ręce.

- Tak, jestem Mario. Miło mi was poznać. Tak się cieszę, że przyjechałyście. Podoba wam się mój skrzat? Prawda, że rozkoszny? - Z dumą pokazuje figurkę. - Kupiłem go w tym roku w Las Vegas na festynie w dniu świętego Patryka. Eve się w nim zakochała. Wchodźcie, wchodźcie, nie może się was doczekać.

Idąc za Mariem, porównuję go z Dale'em. Łączy ich chyba tylko przyjaźń z Eve, bo ani z wyglądu, ani z zachowania nie są do siebie podobni. Mimo długich włosów, tatuażu i twarzy jak stara mapa drogowa, suchy i żyłasty Dale, który pachnie świeżym powietrzem, jest serdeczny, ale jednocześnie dość zamknięty w sobie, zachowuje dystans. Mario zaś pachnie dobrym mydłem, nie nosi biżuterii - z wyjątkiem dyskretnego złotego kolczyka w uchu - ani obuwia. Jest opalony, świetnie zbudowany. Pod opiętym podkoszulkiem i bardzo kusymi szortami preżą się mięśnie godne sztangisty. Ma króciutko przystrzyżone, tlenione włosy. Ponoć przeciwieństwa się przyciągają. Czyżby byli partnerami?

Ale ta myśl tylko przemyka mi przez głowę. Przede mną są bardziej istotne kwestie niż orientacja seksualna dwóch dopiero co poznanych Amerykanów. ...

- Jak ona się czuje? - szepce Willow. Zatrzymaliśmy się na podeście przed drzwiami.

- Znakomicie - odszeptuje Mario. - Chwała Bogu. Dziś rano mamy się naprawdę dobrze. Jesteśmy niezwykle podekscytowani. Nawet zrobiliśmy sobie fryzurę. - A potem dodaje normalnym głosem: - Wziąć je od was? - Zabiera nam kwiaty i kosz z owocami. -



Cudowne! W porząsiu. - Puszcza do nas oko. - Przekroczmy próg świątyni. Nie wypada kazać damie czekać.

Rozchyła kryształową kotarę.

- Przyjechały, złotko - świergocze. - Nie uwierzysz, co d przyniosły!

Odsuwa się, by nas przepuścić, a kiedy go mijamy, znów puszcza oko. Tym razem tak ostentacyjnie, że od jego krótkich rzęs aż idzie wiatr, który rozwiewa mi włosy.

Po ostrym słońcu moje oczy potrzebują chwili, by przywyknąć do półmroku panującego wewnątrz. Weszliśmy do części kuchennej, gdzie dominuje olbrzymia lodówka zamrażarka.

Nigdy nie byłam w przyczepie kempingowej, ale uważałam, że nazwać to wnętrze przyczepą to bluźnierstwo. Toż to prawdziwy, luksusowo urządzony dom, w porównaniu z którym moje dublińskie mieszkanie wygląda jak nora. Tu królują pastele, zwłaszcza błękit i kość słoniowa. Wodzę wzrokiem po kuchni: niewielki stolik z czterema krzesłami, kuchenka, mikrofalówka, dwukomorowy zlew. Nawet zmywarka.

W głębi stoi kanapa, a przy niej wygodny fotel, na którym widzę coś jasnoróżowego. Pewnie koc. Przed fotelem stoi pracujący wentylator.

Cztery lata temu Greta odziedziczyła po wuju olbrzymią, przedpotopową kamerę. Nie jest automatyczna i obraz trzeba regulować za pomocą niezliczonych guziczków oraz przycisków. Teraz czuję się, jakbym trzymała ją przy oku, bo kształty to się

zacierają, to na ułamek sekundy odzyskują ostrość i znów się rozmazują. Powolutku - wydawać by się mogło, że trwa to niewyobrażalnie długo, podczas gdy naprawdę minęło pół sekundy - z mgły wyłaniają się kontury butli z tlenem, stojącej na podłodze, potem stolik, na nim buteleczki z lekami, karafka z wodą, szklanka, kilka oprawionych zdjęć i coś, co wygląda jak stary zeszyt.

Dopiero teraz dostrzegam aureolę blond włosów, które rozdmuchuje wietrzyk z wentylatora, i błękitny sweterek zarzucony na jasnożółtą bawełnianą sukienkę. Różowy pled, a pod nim noga w gipsie ułożona na stołku. Para przenikliwych, jasnych oczu.

W samolocie z Londynu do Phoenix, kiedy Willow zasnęła, wdałam się w pogawędkę z kobietą, siedzącą obok mnie. Wręczyła mi swoją wizytówkę. Powiedziała, że jakiś agent wszedł na jej stronę internetową i zostawił kontakt do siebie. Właśnie jedzie do Santa Fe, by się z nim spotkać. Wzruszona jej szczerością opowiedziałam, co ja robię w tym samolocie. Nasza historia ją zafascynowała, a ponieważ była malarką, poprosiła, bym opisała, jak moim zdaniem wygląda teraz Eve.

Oczywiście, rozum tłumaczy mi, że pięćdziesięcioośmio-, dziewięcioletniej kobiecie daleko do staruszki nad grobem, ale i tak opisałam matkę jako przygarbioną, słabą starowinkę o cienkich, rzadkich siwych włosach i smutnej twarzy. Przedstawiłam ją jako skurczoną, pomarszczoną wersję dziewczyny ze ślubnej fotografii.

Kobieta, na którą teraz patrzę, mimo butli z tlenem i różowego pledu w niczym nie przypomina tamtej wizji.

Przyglądamy się sobie bez słowa. A ponieważ ja wybrałam dla siebie rolę żony Lota, Willow przejmuje inicjatywę. Wysuwa się przede mną.

- Witam - odzywa się chłodno, tonem, który rezerwuje dla akwizytorów. - Jestem Willow, środkowa, ale to, oczy wiście wiesz. To Arabella. Rowan niestety nie mógł przyjechać. - Odsuwa z kanapy poduszki i woreczek wypełniony kaszą (Ryżego?), siada i zaplata ręce na piersi. - Więc jesteśmy. Co słychać, mamó?

Scandalous

---

## Rozdział 12

---

Och, Boże! Nie odwracaj się teraz ode mnie.

Są takie piękne. Obie. Rowan też musi być piękny. Ciekawe, czy wyrósł na artystę? A może pracuje w banku? Zawsze był taki spokojny i uśmiechnięty. Przynajmniej wtedy, gdy go znałam. I jaki mądry! Skończył pięć miesięcy, a już sam siadał! Pomyśleć, że teraz ma już prawie czterdzieści lat. Nie mieści mi się to w głowie. Dla mnie pozostali trójką maluchów. To zresztą chyba naturalne.

Przestań gapić się na nie jak przyglupia złota rybka z otwartym pyszczkiem. Powiedz coś mądrego. Powiedz to, co chcą usłyszeć.

Nic nie przychodzi mi do głowy!

Pomóż mi, Boże! Szybko, szybciej! Wiem, że nie byłam Ci szczególnie wierna, ale czyż całe niebo nie raduje się z powrotu grzesznika czy jak to szło? No to, słuchaj, Panie Hoże. Jestem grzesznicą i wracam do Ciebie. Od tej pory będę największą dewotką w tym stanie i paru okolicznych.

Nie wolno ci beczeć. Nie zniwecz tej szansy, Eve. Nie wypłosz ich ani nie zniechęć.

Każda jest zupełnie inna.

Czy to Willow siedzi obok mnie? Wygląda zjawiskowo, jak z żurnala. Bardzo spokojna. Ale zastanawiam się, czy życie nie dało jej w kość. Mimo całej swojej ogłady i elegancji sprawia wrażenie dość zamkniętej w sobie i... Chryste Panie! Toż to wykapany Petey! Straszne, nawet w takiej chwili ten gość nadal mnie prześladowuje.

Bodajby szczeł. Damski bokser, opijus z cuchnącym whisky oddechem, babiarcz. Mam nadzieję, że nie żyje i smaży się w piekle. Mam nadzieję, że konał w męczarniach, że wyżarło mu mózg, zęby mu powypadały, a bebechy pogniły. Mam nadzieję...

Dość tych przekleństw, Eve Rennick! Zapomniałaś, że są tu twoje córki? A ciebie też trudno nazwać wzorem wszelkich cnót.

Arabella... Szkoda, że ciągle stoi w drzwiach. Z tej odległości wydaje mi się, że wygląda tak samo jak ja w tym wieku. Jest wysoka, dobrze zbudowana. Silne ramiona. A te cudowne włosy...

Nie będę płakać.

Nieustannie sobie wyobrażałam, jak wyglądają. Cała trójka. Wiedziałam, że dorośli. Wiedziałam. Bez względu na to, co się ze mną działo, odnotowywałam każde ich urodziny, ale w najśmielszych snach nie wyobrażałam sobie, że aż tak wspaniale wyrosną. O, Boże!

Błagam, Panie Boże, spójrz na mnie. To ja! Wróciłam! Jestem tutaj!

Pomóż mi chociaż zacząć tak, aby wszystkiego nie ze psuć. I nie dopuść, żebym się rozplakała. Nie uważam się za mazgaja. Zresztą sądziłam, że wylałam już wszystkie łzy. To skąd się wzięły te, które szczypią mnie pod powiekami?

Panicznie się boję, że dziewczęta mnie nie polubią. Mo że przyjechały tu tylko dlatego, że są na mnie wkurzone i chcą mi nagadać do słuchu za to, co zrobiłam z ich życiem.

Niewykluczone, że będziesz musiała błagać o litość. Też mi coś! Powinnaś błagać je o litość!

Ukorz się przed córkami, Eve Rennick, abyś wyżebrała od nich przebaczenie! Ta historia zakończy się szczęśliwie. Właśnie tak będzie.

Scandalous

---

## Rozdział 13

---

Wstawię kwiaty do wody i zostawię was trzy na pogaduszki.

Pokroić ci owoce, Eve?

- Nie, dziękuję.

Mówi zaskakująco mocnym głosem. I spokojnie. Dlaczego piszę „zaskakująco”? Najwyższy czas obudzić się w nowej rzeczywistości.

- W takim razie później, złotko! - Słysząc chrzęst rozrywanego celofanu. - Oooch! Jakie piękne winogrona! I kiwi! Lubisz kiwi, prawda, Eve? Poczęstuj się.

- Nie, dziękuję. Nie teraz.

Jak przez mgłę docierają do mnie szelest celofanu, szum wody z kranu, stukanie szkła, otwieranie i zamykanie szafek. Podchodzę do Willow i też siadam na kanapie. Jestem jak za hipnotyzowana. Te niezwykle oczy to oczy Rowana; życie, jakie prowadzi nasz brat, często uniemożliwia zauważenie prawdziwego koloru jego oczu, ale są niezwykle charakterystyczne. Willow i ja mamy piwne oczy, za to Rowan - tak samo jak Eve - ma niespotykane, jasnoszare tęczę z granatową obwódką. Nie ulega wątpliwości, to nasza matka.

Kiedy wyobrażałam ją sobie jako delikatną staruszkę, bałam się, że nie będę miała sumienia powiedzieć jej o pewnych sprawach, o których powinna usłyszeć. Że nie zdobędę się na odwagę, by kopnąć biednego jelonka Bambi.

Teraz widzę, że niepotrzebnie się obawiałam. Tej kobiecie daleko do kruchej, delikatnej starowinki. Jest krzepka, solidnie zbudowana, ma duże stopy - może nosić nawet czterdziestkę dwójkę - i żyłaste, szorstkie dłonie. Bardzo podobne do moich. Przyzwyczajone do pracy fizycznej. Na razie nie dostrzegam w niej tej raptuski - jeśli właściwie używam słowa - o której mówił mi Dale. Ale w końcu to dopiero początek, sam początek...

Nie odpowiedziała Willow na pytanie o zdrowie, tylko przygląda nam się tak intensywnie, tak żarłocznie, że czuję się skrepowana. Zupełnie jakby chciała nas zjeść. Czuję drżenie mięśni pod skórą.

Niesamowite, co? - Próbuję się roześmiać, ale mój śmiech brzmi głucho, jak bulgotanie „kreta” w rurach kanalizacyjnych. - Po tylu latach - dodaję gwoli wyjaśnienia.

Żaloszne! Weźże się w garść! I przestań nerwowo obserwować każdy jej ruch, każde drgnienie powieki. Wszystkich w tym i siebie - doprowadzasz do hysterii.

A mimo to Eve nadal nie odpowiada. Więc natychmiast chyba już wspominałam, jak reaguję na niezręczne milczenie - wskakuję w tryb katarynki.

Cóż, telefon Dale'a spadł na nas jak grom z jasnego nieba, Przeżyłam prawdziwy szok. Dale mówił nam o twoim wypadku i komplikacjach. To dlatego masz tlen? Złamane żebra utrudniają ci oddychanie?

Przerywam, jak nożem uciął, bo ona nagle wyciąga rękę chwytając mnie za dłoń. Gest jest tak nieoczekiwany, że Willow i ja



podskakujemy, jakby coś nas ukąsiło. Twarz Eve marszczy się jak stara gazeta, z oczu leją się łzy.

Cholera! - wścieka się, chwytając garść chusteczek higienicznych. - Obiecywałam sobie, że do tego nie dojdzie...

Pełna konsternacja. Zwłaszcza gdy chodzi o mnie. Z natury jestem miękka jak wosk, błyskawicznie się rozklejam. Wystarczy, że zobaczą czułe powitanie na peronie, a już beczę. Tak jak teraz. Ryczę jak bóbr, z oczu tryskają mi łzy, prawie tak samo wielkie jak Eve. Płacę, bo mi jej żal, ale także z żalu nad sobą, nad nami wszystkimi: matkami i porzuconymi dziećmi, sierotami z każdego zakątka świata, ofiarami wojny, jedenastego września, „Uwolnić orkę” i Iraku. Szlocham nad całym tym żalnym światem. Nie żałuję sobie. Prawdziwy łzawy pokaz.

Próbuję wziąć się w garść i skupiam się na fizycznych doznaniach: podmuchu wentylatora na moich rozpalonych policzkach, kościstej dłoni Eve, zaciśniętej wokół mojej. A mimo to nadal nie mogę oderwać wzroku od tych jej niesamowitych oczu.

- Ojoj! - Mario nie nadąża z wyciąganiem chusteczek, wymachuje nimi jak chorągiewkami sygnalizacyjnymi. - Błagam, żadnych łez. Koniec płaczu! Dziewczyny! Dziewczyny! Eve. Eve, skarbie... - Wyciera jej twarz. - Wiesz, jaki jestem wrażliwy. Dłużej tego nie wytrzymam.

Eve siedzi nieruchomo jak lalka, pozwalając wycierać sobie twarz. Ani drgnie. I ja też.

- To okropne, po prostu okropne. - Mario zaczyna mówić coraz bardziej piskliwym głosem. - Może pójde po Dale'a? On lepiej sobie radzi z takimi dramataми. A może ściągnę Roberta?

- A czego się spodziewałeś? - Willow ucina jego nerwowy bełkot. - Nie trzeba nikogo wzywać. Dziękujemy, Mario. Po radzimy sobie. Możesz już iść. Nie musisz się o nas martwić.

- Jasne. Dzięki. Nie ma sprawy.

Rzuca chusteczki na stolik obok Eve i nalewa jej wody do szklanki, ale robi to tak nerwowo, że woda z karafki leci na podłogę.

- Pamiętaj o południowej dawce leków, skarbie. Mario próbuje rękami wytrzeć wodę i, oczywiście, tylko bardziej ją rozmazuje.

- Przypomnisz jej, dobrze? - Zwraca się do Willow, trafnie zidentyfikowawszy samicę alfa w naszym stadzie. - Wie, co ma brać, ale czasem przegapia porę. No, to na razie. Do zobaczenia, dziewczyny. Miło było was poznać.

Wymyka się z przyczepy, zostawiając po sobie tylko dzwoniące kryształków.

Willow wstaje i podchodzi do zlewu.

- Zaparzę nam wszystkim herbatę. Dla ciebie z cukrem i mlekiem, mamó?

Absurdalność tego pytania w takiej chwili skutecznie przerywa potok łez Eve i moich.

- Tak, herbatę piję z mlekiem i dwiema łyżeczkami cukru, - Nasza matka przełyka łzy i na szczęście uwalnia moją dłoń. - Ale chętniej napiłabym się kawy, jeśli można.

Kawy. Choć zachowała charakterystyczne elementy dublińskiej wymowy, przejęła też amerykańską.

- Zostało trochę w ekspresie. Na blacie, przy zlewie. Kawę piję mocną, czarną. - Wydmuchuje nos. - Przepraszam, że tak się rozkleiłam. Nie było to moim zamiarem. Wszystko sobie zaplanowałam...

- Nie przejmuj się, Eve. Mogę...?

Chwytam garść chusteczek i przykładam do nosa. Jesz-cze za wcześnie, za bardzo jesteśmy wzruszone - w każdym razie ja i Eve - by od razu przejść do rzeczy. W przeciwieństwie do mojej siostry, nie potrafię tej w sumie obcej kobiety nazywać matką.

- Mamy mnóstwo czasu - mówię zza chusteczek. - Cały dzień, jeśli zechcesz. I jutro. Przepraszam. - Wydmuchuję nos.

- Dla ciebie też kawa, Arabello?

Willow, wzorowa, super uprzejma gospodyni, odwraca się od zlewu i spogląda na mnie pytająco.

- Chętnie. Dziękuję, Willow.

Mój głos brzmi, jakby się wydobywał z głębi oceanu. Zerkam na Eve. Przestała płakać, ale tak mocno ściska w dłoni zbite w kulkę chusteczki, że pobielają jej kostki.

Willow śmiało podnosi pokrywkę - w domu też ma elektryczny ekspres do kawy - i zagląda do dzbanka.

- Miałaś rację, mamó, rzeczywiście jest już zaparzona. Muszę tylko podgrzać, dobrze? Dla ciebie, Bello, niesłodzona z odrobiną mleka, zgadza się?

- Tak. Fantastycznie.

Nie spotykamy się z matką po latach rozłąki, ale uczestniczymy w kawowym poranku. Nie mogę wyjść z podziwu nad opanowaniem Willow. Patrzę na jej dłonie - ani śladu drżenia. A mimo to wiem, że pod powłoką spokoju, władczości i opanowania kipią takie same emocje jak we mnie. Zresztą, ja reaguję równie dziwnie jak Willow.

Dopiero teraz zdaję sobie sprawę, jak ciasne jest wnętrze przyczepy. Kanapa, stolik, duży wentylator i fotel Eve całko wicie wypełniają wolną przestrzeń. Każdy centymetr kwadratowy ściany zajmują półki i przeszklone albo zamknięte szafki. Nie mogę się nadziwić, że tak nieogarnione i olbrzymie wydarzenie odbywa się w tak maleńkiej i zamkniętej przestrzeni. Ogrom i głębię naszych uczuć pomieściłaby chyba tylko sala Abbey Theatre.

Willow wciska guzik i zapala się czerwona lampka. Wszystkie wpatrujemy się w ekspres do kawy, jakby lada moment miał wystartować z przylądka Canaveral.

- Może chcecie włączyć klimatyzację? - Eve ruchem głowy wskazuje na urządzenie zamontowane w oknie za jej plecami. - Mnie jest odrobinę chłodno, ale wiem, jak gorąca musi się wam wydawać Arizona po chłodzie i wilgoci stare go kraju.

- Nie, skądże. Czujemy się fantastycznie. A tu jest przyjemny chłodek.

Guzik prawda.

- Gotowe.

Willow znalazła kubki. Stawia kawę dla Eve na stoliku, odwinąwszy podniszczony zeszyt. Dopiero wtedy zauważam nasze oprawione zdjęcia z dzieciństwa. Moje, Willow i Rowana.

- Proszę, Arabello. - Willow podaje mi kawę. - Uważaj, nalałam niemal do pełna.

Wreszcie bierze swój kubek i siada przy nas. Pijemy.

Scandalous

---

## Rozdział 14

---

Winszuję, Eve Rennick. Jesteś żalną fujarą, więc wręcz sobie nagrodę fujary.

Tyle planowania, przygotowań, przewidywania każdego scenariusza - i tylko się ośmieszylaś. Ile ty masz lat? Jedenaście? Obiecałaś sobie, że nie będziesz płakać. Nie mogłaś choć raz zrobić tego, co powinnaś? Zachować się z klasą?

Skończyły mi się pomysły. Odstęczyłam moje córki.

Myśl! I to szybko! Nie mogą zobaczyć, jak bardzo jesteś poruszona, bo je do siebie zniechęcisz.

Wypij kawę. Bądź opanowana. One są. A w każdym razie Willow. Naśladuj Willow.

Nie mogę się nadziwić ich urodzie. Willow wygląda zjawiskowo, choć Petey dał jej w prezencie swój nos i brodę. Jest zadbana i wymuskana jak z żurnala. Arabella mogłaby nawet ją przyćmić (nos odziedziczyła po kimś innym. Nic wiem, po kim, bo i skąd?), tylko chyba nie przywiązuje większej wagi do wyglądu. A przydałaby jej się wizyta u fryzjerki, która oddałaby sprawiedliwość jej cudownym włosom - gęstym i lśniącym. Mogłabym ją zapisać.

Jak to możliwe, że Petey i ja jesteśmy rodzicami tych dwóch kobiet? Nie zasługuję na takie córki...

Kiedy życie dawało mi w kość, przywoływałam w pamięci najpiękniejsze chwile tamtych trzech lat: ja i trójka moich dzieci przytuleni do siebie w łóżku w deszczowe, dublińskie popołudnie;

słodki zapach ich skóry po kąpieli przy ogniu; któreś z nich uśmiecha się do mnie bez powodu. Te wspomnienia utrzymywały mnie przy życiu w Ameryce. Pewnie zauważyliście, że nie pojawia się w nich Petey. Łajdus.

Czy gardzą mną, bo mieszkam w przyczepie? Wiem, że dla niektórych ludzi to gorsze od śmierci. Widzę, jak się rozglądają po wnętrzu. Podoba im się? Wyrazu twarzy Willow nie mogę odczytać, za to Arabella jest dla mnie jak otwarta książka. Podziwia moje królestwo. Tak przynajmniej mi się wydaje.

Willow jest chyba mężatką, jednak nie nosi pierścionka zaręczynowego, tylko samą obrączkę. Ma dom czy mieszkanie? A dzieci?

Właściwie nic o nich nie wiem. Arabella nie nosi obrączki. Jak to się stało, że nie wyszła za męża? A może się rozwiodła?

Znowu przygląda się kuchni. Chyba podoba jej się lodówka. Mamy podobny gust. Mnie też ta lodówka oczarowała. Jest taka majestatyczna. Brakowałoby mi jej, gdybym musiała się, wyprowadzić. Inne drobiazgi też lubię. Choćby ten gładki, laminowany blat. Przepadam za jego chłodnym dotykiem.

To moje pierwsze ziemskie dobra, naprawdę stanowiące moją własność. W każdym razie pierwsze w miarę przyzwoite bo nie liczę tej tandety, którą próbowałam urządzić nasze mieszkanie w Dublinie przez kilka lat małżeństwa. A od przyjazdu do Stanów aż do tej pory zawsze wynajmowałam mieszkania, albo je z kimś dzieliłam. Tak, „dzieliłam”. Dobry żart. Kisiłam się z innymi przegranymi frajerami

w przytuliskach Queens i Bronksu. Karaluchy pod zlewem, polówka. smród w korytarzach.

Lecz to już przeszłość, chwała Bogu. Teraz mogę być dumna ze swojego mieszkania. Zasilek nie wystarcza na wiele, ale Dale ma prawdziwy talent do wyszukiwania skarbów w sklepach Armii Zbawienia: porządne rzeczy za bezcen. Po prostu zjawia się, przywożąc pikapem jakieś cudo, i każe mi zgadywać, ile kosztowało.

- Jak sądzisz, ile za to zapłaciłem, Eve? - Rzucam cenę, a on wybuchą śmiechem. - Kiedy ostatni raz robiłaś zakupy? Ta kanapka (albo klimatyzator, albo krzesło ogrodowe) jest ze sklepu z rupieciami, a nie od Bloomingdale'a!

Okazuje się, że wydał całe pięć albo dziesięć dolców, a ja zwracam mu przy najbliższej wypłacie.

Szczerze powiedziawszy, nigdy nie sądziłam, że będę szczęśliwa, mieszkając w przyczepie jak jakiś włóczykij. (Nic pamiętam, jak poprawnie się na nich mówi, choć czytuję o nich artykuły w irlandzkiej prasie, którą Dale czasem mi przywozi z miasta. Włóczędzy, wędrowcy czy może jeszcze jakoś inaczej?). Tu żyje się spokojniej i znacznie taniej niż w mieszkaniu. Zasilek bez problemu wystarcza na życie, a nikt się nie wywyższa ani nie zadziera nosa. Mam cudowne oparcie w chłopakach i Ginie. Poznanie Dale'a to był prawdziwy uśmiech losu. Nie wiem, co bym bez niego zrobiła. Ciekawe, co one o nim sądzą?

Ha, pewnie się zastanawiacie, dlaczego nie mam pracy?

I żeruję na amerykańskim podatniku, co?



Kiedy zamieszkałam tutaj, w Meadows, naprawdę szukałam zajęcia, słowo, tylko że nie miałam referencji, które rzuciłyby potencjalnych pracodawców na kolana - w Arizonie nie zauważyłam większego popytu na księżowskie gospodynie. A choć odpowiadałam na niejedno ogłoszenie w rodzaju „Szukam sprzątaczkę”, „Potrzebna pomoc kuchenna”, zawsze przegrywałam z młodszymi, bardziej zdeterminowanymi Filipinkami czy Latynoskami, gotowymi wykonać tę samą pracę za połowę stawki, którą uważałam za godziwą

Szczęście im Boże. Nie tylko z nimi musiałam konkurować. Dochodzili też Meksykanie i zamerykanizowani Meksykanie, W tamtym okresie gospodarka Arizony przechodziła zastój, ale w Nowym Meksyku sytuacja była katastrofalna, więc mnóstwo nielegalnych imigrantów docierało aż tutaj, aby pracować za pół darmo, gotówka do rączki. Zniechęciłam się.

A. zresztą, czy naprawdę marzyłam, by spędzić resztę życia szorując podłogi i kible bogaczy z Phoenix? Czy dla was to też byłby szczyt marzeń? Uważam, że naprawdę swoje w życiu odpracowałam, więc przeszłam na zasłużoną emeryturę.

Czuję perfumy. Pewnie Willow, Arabella jest na coś takiego zbyt przyziemna. Z tych dwóch ona łatwiej się rozkleja, co nie znaczy, że można bezkarnie mydlić jej oczy. Powinnam uważać.

Ta cisza mnie wykańcza. Przełam lody, do ciężkiej cholery!  
Mów!

Przede wszystkim będą chciały się dowiedzieć, dlaczego to zrobiłam. Cóż, akurat na tę sprawę jestem przygotowana, tu leży mój pamiętnik. Jeśli nie znajdujesz właściwych słów, przeczytaj im na głos ten diabelny dziennik. W nim teraz cała moja nadzieja. Dobra, fujaro, zagrasz na litość. Super, a co potem?

O, Boże, nagle opuszczają mnie siły. Zmęczenie spada na mnie jak potężna, przytłaczająca fala. To wszystko przez te leki i znieczulenie po nastawianiu nogi. Na miłość boską, Eve, walcz, odepchnij słabość! Jeśli nie możesz przeczytać pamiętnika, daj im go. Błagam, daj im go chociaż do przeczytania.

Pamiętnik opowie im o samych początkach. A to, co było potem? Pochwalisz się pobytem w Nowym Jorku i Atlantic City? Powiesz o życiu w rynsztokach i spelunach? O picciu? O niezliczonych chłopakach?

Przestaniesz wreszcie grać na zwłokę, Eve Rennick?

Dopij tę cholerną kawę. Kawa to nie Najświętszy Sakrament. Możesz jednocześnie sączyć ją i mówić. Powiedz coś.

„Przepraszam” to chyba nie najgorszy początek?

---

## Rozdział 15

---

Cała nasza trójka sączy kawę do ostatniej kropelki. Willow i ja siedzimy jak zahipnotyzowane spojrzeniem matki. Cisza. Absolutna, gęsta, że można by ją krajać. Przerzywa ją chrzęst i żwiru na zewnątrz i żartobliwe przycinki: Taki upał ci wystarczy, Hank? Jesteś niestrawny, Robercie, śmiech, oddalające się kroki i znowu cisza. Pozwalam jej trwać. I trwać. I trwać. Zawzięłam się. Tym razem nie będę gadać jak najęta.

Pomóc ci, mamó? Moja siostra, która nie jest - a przynajmniej nie okazuje tego tak spięta jak ja, odstawia kubek i unosi się, gdy Eve z wysiłkiem sięga po chusteczki. Nie, dziękuję.

Eve kręci głową i mimo przygniatającego ją pledu i uwięzionej w gipsie nogi udaje się jej sięgnąć po pudełko. Wyciera nos, ale ani na moment nie odrywa od nas wzroku. To strasznie krepujące.

Wargi na dobre przykleiły mi się do pustego kubka. Wy-piłam jego szpik. Co ja tu w ogóle robię? Ten przyjazd był pomyłką. Nieźle mi się żyło, trzeba było zostawić wszystko po staremu. To, czego nie wiesz, nie sprawia ci bólu. Bleble-ble blebleble...

- Tutejszy klimat musi ci służyć, skoro...

- Chcę wam coś powiedzieć...

Eve i Willow odezwały się jednocześnie.

- Ty pierwsza - mówi Eve, niemal przewiercając nas ty mi swoimi niezwykłymi oczyma.

- Chciałam tylko powiedzieć - Willow znowu bierze ku bek - że tutejszy klimat niezwykle służy osobom z reumatyzmem.

- Och, przestańże wreszcie! - Stawiam kubek na podłodze z takim impetem, że w dłoni zostaje mi ucho. Zaskoczona wpatruję się w żółtą kropelkę kleju, który nie spełnił swojego zadania. - Strasznie przepraszam. Odkupię ci.

- Nie bądź niemądra, Arabello. To stara skorupa.

- Nalegam. Naprawdę, strasznie przepraszam, Eve. To przecież porcelana. Przed wyjazdem zwrócę ci pieniądze.

- Powiedziała, że nic się nie stało, Arabello. Robisz z igły widły.  
- To Willow.

Nagle czuję, że za chwilę eksploduję jak wczoraj. W piersi narasta mi krzyk, czuję, jak wzbiera niczym nadciągająca burza

- Mamy sobie dużo do powiedzenia, chodzi o naprawdę ważne sprawy - zaczynam drżącym głosem, z trudem tłumiąc furię. - Ja i Willow przejechałyśmy szmat drogi, by ci o tym wszystkim opowiedzieć, Eve. Więc zamiast pieprzyć bez sensu, przejdźmy do rzeczy.

Willow patrzy na mnie ze zgrozą. Jeszcze nie przywykła do nowej Arabelli. Lecz skoro już zaczęłam, to skończę.

- Przepraszam za słownictwo, ale nie za treść. - Nabieram powietrza i zaczynam od nowa. - Słuchajcie, i ty, Eve, i ty, Willow. Nie przyjechałyśmy tu, by popijać kawusie, układać kwiatki i gawędzić o pogodzie. To nie jest kurtuazyjna wizyta u ciotuchy, którą rzadko widzujemy. Przyjechałyśmy, by porozmawiać o naprawdę

ważnych sprawach. O sprawach, które są dla nas zasadnicze i głęboko nas poruszają.

Eve prostuje się w fotelu. -Masz rację. Święte słowa. Dziękuję.

Ale następnym zdaniem nadeptuje mi na odcisk. Więc.

Opowiedzcie mi o Rowanie. Przywiozłyście jego zdjęcia?

Możemy na chwilę zostawić Rowana...?

Nie było czasu, żeby myśleć o takich sprawach. Willow dokonała błyskawicznego przegrupowania i wpada mi w słowo, zmuszając do odwrotu. Parska śmiechem, przypominającym zgrzytanie piły tnącej pień. Pewnie tak samo jak ja z trudem się powstrzymuje od krzyku.

Zresztą - ciągnie - zdjęć Rowana jest tyle, co na lekarstwo.

W porządku. Nie ma zdjęć, to nie ma. - Eve przeskakuje teraz tym swoim hipnotycznym spojrzeniem ze mnie na Willow i odwrotnie. - Dale mówił, że Rowan nie mógł przyjechać. Czym się zajmuje?

- Ma twoje oczy, Eve.- Rozpaczliwie próbuję wzrokiem zmusić Willow do milczenia, bo mimo wcześniejszych buńczucznych deklaracji uważam, że jeszcze trochę za wcześnie na zdzielenie matki obuchem w łeb - czyli na przedstawienie pełnej opinii Willow o naszym bracie.

- Jest dość wysoki. Jakies metr osiemdziesiąt pięć. Trochę chudy, ale...

-To szumowina, mamó.- Moje próby nic nie dały. Czuję, że siostra za chwilę wybuchnie.

- Willow, nie...

Równie dobrze mogłabym apelować do różowego pledu. Zresztą nawet na mnie nie patrzy. Pochyliła się do Eve tak, że ich twarze niemal się stykają.

- Twój syn to wyrzutek społeczeństwa. Męt i głupek, Z trudem potrafi się podpisać. No, chyba że trzeba pobrać zasiłek - syczy.

- Spokojnie.

Wyciągam rękę, by uciszyć Willow, ale mnie odpycha.

- Przymknij się, dobra?! - Przysuwa się do Eve tak blisko, że pewnie zamiast swoich twarzy widzą tylko rozmazane placki. - Nasz brat od czternastego roku życia regularnie wraca za kratki mimo wysiłków pomocy społecznej, moich i Arabelli, biura adopcyjnego, nawet sędziów, którzy nieraz się nad nim litowali i dawali mu szansę poprawy. Rowan ma to wszystko gdzieś. Nikt nad nim nie panuje, stale ćpa i pije. Nie sędzę, by w ciągu ostatnich dziesięciu lat przepracował łącznie chociaż ze sześć tygodni każdego roku. Nie wiemy, jak żyje ani skąd bierze pieniądze na swój nałóg. Pewnie kradnie, co oznacza, że jest również złodziejem. Nie wiemy też, gdzie mieszka. Czy w jakimś zasyfionym pustostanie, czy w ruderze, czy pod płotem. Jest ciężarem dla kraju i dla nas dwóch. Mam tego po dziurki w nosie. Mam jego po dziurki w nosie. Bella może robić, co chce - mierzy mnie wzrokiem - ale dla mnie przestał istnieć. Szczerze? Cieszę się, że z nami nie przyjechał. Gdybyśmy go znalazły, najprawdopodobniej bym nie przyjechała. To pasożyt, gnida, zero. Ale teraz umywam ręce

od niego i całej tej odrażającej „sytuacji Rowana”. Dość. Koniec tego dobrego.

Dyszy ciężko i odrzuca głowę na oparcie kanapy.

Jej wybuch wisi nad nami niczym złośliwa, niekontrolowana eksplozja fajerwerków. Po nim następuje cisza, pełna iskier i błyskawic.

- To twoja wina. Ty sprowadziłaś jego - i nas - na ten świat, a potem uciekłaś, zostawiając naszą trójkę, jakbyśmy byli anemicznymi żonkilami w twoim ogródku. Gównu cię, obchodziło, co się z nami stało, kto nas wyrwał z ziemi i na jakim śmietniku wylądowaliśmy. To, że Rowan jest porąbany, to wyłącznie twoja wina. Dzięki tobie cała nasza trójka ma przechlapane.

Kiedy w powieści bohater zostaje niesłusznie oskarżony albo cierpi, autor pisze czasem o zdruzgotanej fizjonomii. Gdy pierwszy raz trafiłam na to określenie, zajrzałam do słownika. Okazało się, że fizjonomia to po prostu twarz. A „zdruzgotany” to nic innego jak przytłoczony, zmiażdżony, zdewastowany, pokonany. Tak to wygląda na kartce: nie-co wydumane, książkowe określenie. Patrząc na Eve, widzę jednak, co oznacza w rzeczywistości.

Największym przekleństwem mojego życia jest empatia. Ilekroć widzę, że ktoś cierpi, chcę to, do diaska, naprawić. Ale tego naprawić nie mogę, więc cierpienie Eve mnie paraduje. Gubię się. Gdzie kończy się mój ból, a zaczyna jej? W głowie mam pustkę. Nie wiem, co powiedzieć ani co zrobię by zapanować nad kryzysem.

A jeśli chodzi o Willow - najchętniej bym ją zabiła,

Z, drugiej jednak strony nigdy nie słyszałam, by mówiła z takim ogniem. A jednak jej chłód to tylko maska. Mimo to oddycham z ulgą, gdy wstaje i podchodzi do ekspresu, matka patrzy na nią przez dwie, trzy sekundy, potem ukrywa twarz w dłoniach. Wreszcie przez chwilę nie muszę na nią patrzeć. Mogę zająrzeć w siebie. Przestań litować się nad wszystkimi. Przypomnij sobie, że choć dla matki to bolesne, prawda zawsze jest najlepszym wyjściem".

Jeśli ta kobieta cierpi, trudno. To nie ona występuje tu w roli pokrzywdzonej. Willow ma święte prawo mówić, co czuje. I ja też, skoro już przy tym jesteśmy. Tyle że mnie braknie odwagi. Na razie.

Słyszę, że na zewnątrz ktoś nuci. Jakaś kobieta. I nawet poznaję co. Niewiarygodne, a jednak: hymn Wielkiej Brytanii, „Boże, zachowaj królową”... Z trudem się powstrzymuję, by nie wybuchnąć śmiechem.

- Przepraszam, mamó - odzywa się spokojnie Willow, odwrócona do nas plecami. W jej głosie nie słychać skruchy. - Nie w ten sposób zamierzałam ci to powiedzieć, ale to wszystko prawda.

Eve wolno odrywa dłonie od twarzy i kładzie je na kolanach.

- To ja przepraszam. Bardzo przepraszam.

Znowu płacze. Wielkie, okrągłe łzy spływają jej po policzkach. Co jest? Miała być wybuchowa, do diaska! Ale ja nie dam się drugi raz złapać, nie liczcie na to. Czytam metkę na różowym pledzie. Sto procent akrylu. Można suszyć w suszarce.

- Wybaczycie mi, dziewczęta? Pozwolicie sobie wytłumaczyć?

Nie, nie i nie, nie dam się złapać.



- Podać ci wodę albo coś innego, Eve? - szczebioczę. Jestem prezenterką porannego programu telewizyjnego.

- Wiem, że nie mam prawa żądać, żebyście poświęciły mi chociaż chwilę - ciągnie Eve, jakbym w ogóle się nie odezwała. - Ani wy, ani Rowan. Doskonale zdają sobie sprawę, że nie ma dla mnie żadnego wytłumaczenia i usprawiedliwienia. Nie winiłabym was, gdybyście teraz wstały i wyszły

Głęboko, z drzeniem nabiera powietrza. Trata ta ta... Nie dam się.

- Miałaś rację, napadając na mnie, Willow. Zasłużyłam na to. Nie stosować środków wybielających. Wyprodukowano w Tajlandii.

- Nie oczekuję przebaczenia. Oczywiście, pragnę go, ale wiem, że prosić o nie w tym momencie to zbyt wiele. Ale nawet sobie nie wyobrażacie, jak bardzo jestem wam wdzięczna za tę szansę. Może z czasem zdołacie mi wybaczyć.

To nie do wytrzymania. Oczywiście chcę, by przeproszała. Pragnę, by czuła się okropnie. Ale wiem, jak strasznie się czuje, i nie mogę tego znieść. Zaczynam nie lubić tej kobiety Różowy pledzik, też mi coś. Powinien być biały w czarne plamy. Szatańskie czarne plamy. Chcę, by okazała się Cruellą DeMon. To znacznie by ułatwiło sytuację.

Eve, nie musisz... Czy to był mój głos? Ciii... - Uśmiecha się do mnie słabo, a potem zwraca się do Willow. - To czeze słowa, jednak odkąd was zostawiłam, nie było chwili, bym tego nie żałowała.

Doprawdy? Nie było chwili? I z tego smutku przez blisko czterdzieści lat nie dałaś znaku życia? Patrzę na podłogę.

To nie terakota, tylko wykładzina PCV Ta kobieta popycha wręcz, zmusza, bym weszła na nieznane terytorium, zbyt nieznane, zbyt rozległe. Jeśli tak łatwo potrafię jej wybaczyć, jak to świadczy o czterdziestu latach zagubienia, złości, poczucia zdrady i opuszczenia? To znaczy, że tylko wymyśliłam sobie tamte uczucia?

Nic dam się zrobić. To gra. Muszę tylko sobie wytłumaczyć, że to jedynie gra. Korzy się przed nami, żeby wkupić się w łaski. I należy jej się Oscar.

Powiedz coś! Pyskata kelnerka nagle nabrała wody w usta?

Arabello! - Willow wraca do nas, a choć policzki mam blade ale oczy suche, podaje mi chusteczkę z pudełka. - Dość tego ryku. Albo wszystkie się uspokoimy, albo wychodzę stąd w tej chwili. I wiecie co? To chyba najlepszy pomysł, jaki dotąd miałam.

Obraca się na pięcie i rusza do drzwi. Jej obcasy stukają jak klawisze staromodnej maszyny do pisania. Biegnę za nią. Nie chcę, by moja siostra sobie poszła. Nie chcę, by zostawiła mnie samą z Eve. Łapię ją za rękaw bluzki, ale sie wyrywa.

- Puszczaj.

- Przejechałyśmy taki szmat drogi!

Nie puszczam rękawa Willow. Przez chwilę nie jestem pewna, co zrobi, ale wreszcie patrzy mi prosto w oczy.

- Jeśli powtórzy się ta... ta... - szuka słowa - ta histeria, wychodzę.

- Nie powtórzy się. Obiecuję. - Puszczam jej rękaw.

Odwracamy się w stronę kanapy. Różowy pled unosi się i opada. Eve próbuje odkaszląć. Chyba się dusi. Macha ręką, próbując coś nam zasygnalizować. Znowu odstawia scenę godną Oscara. Ale obie podbiegamy. To Willow pierwsza i załapuje, w czym rzecz.

- Tlen. Potrzebuje tlenu.

Więc to nie gra.'

Stoję bliżej, więc sięgam po ciężką butlę.

- Jak to uruchomić?

- Czeka, ja to... Załóż jej maskę. Wsuń te plastikowe elementy za uszy.

I tak we dwie, metodą prób i błędów, ratując się instrukcją na cylindrze, jakoś dajemy sobie radę. Nakładamy Eve maskę na nos i tlen zaczyna płynąć. Nasza matka ma twarz szarą jak stary śnieg. Ale sędziowie przysięgli nadal obradują. Nie ma wyroku.

Pochylamy się nad Eve, jej oddech powoli się wyrównuje. Nie otwiera oczu. Chyba zasnęła. I to ma być ta dramatyczna chwila?

Siadamy.

- Może skoczę po Dale'a albo co? - Patrzę na Willow. Sytuacja mnie przerosła. Ciebie też.

- Poczekajmy parę minut. - Willow spogląda na zegarek. - Jest za piętnaście dwunasta. W południe ma wziąć leki. Trzeba będzie ją obudzić.

Eve nie śpi. Nie otwierając oczu, podnosi ręce do maski zsuwa ją na bok. Przykleiła się do jej szyi i przypomina Wielki zielony karbunkuł.

- Proszę. Muszę to powiedzieć. - Znowu głęboko wciąga powietrze (tym razem bez drżenia, dzięki Bogu), otwiera oczy i ponownie się w nas wpatruje. - Wiem, że to zabrzmia melodramatycznie, ale pozwólcie mi wyjaśnić, co się wydarzyło.

Willow patrzy na mnie, a ja patrzę na Willow. Potem obie przenosimy wzrok na naszą matkę.

Nie wiem, skąd znajduję w sobie odwagę. Bo ja wiem, Eve? Jeszcze nie teraz. Chyba ciągle do tego nie dojrzałam. Oczywiście chcę się dowiedzieć, ale najpierw muszę trochę ochłonąć. Zgoda?

Niemal niedostrzegalnie kiwa głową. Potem sięga po zeszyt, który zauważyłam wcześniej.

- Może chociaż przeczytajcie to, dobrze? To, mam nadzieję, pomoże wam zrozumieć.

Podaje mi go. Znalazła ofiarę. Zeszyt jest miękki jak materiał i poplamiony Bóg wie czym.

- Co to jest?

To mój pamiętnik.

Sięga po maskę i znowu nakłada ją sobie na nos. Przymyka oczy. W przyczepie słychać tylko szum wentylatora i szum tlenu.

---

## Rozdział 16

---

Nie przesadziłaś trochę? Wypaliłaś z grubej rury. Nie mogłaś trochę poczekać? Naprawdę ją zraniłaś.

To ja, szepczę wściekle do Willow, a jednocześnie w duchu pukam się w głowę. Niech żyje konsekwencja. Czyż za ledwie minutę temu niżej podpisana nie nominowała Eve do Oscara? Po czyjej właściwie, do licha, stronie stoję?

- Trudno.

Willow bierze kubek i, nie przejmując się chorą, stuka obcasami, podchodząc do zlewu.

Zerkam na Eve, by sprawdzić, czy się nie obudziła, i upewnić się, czy nie słyszała naszej wymiany zdań.

- Nie robi tego dla zabawy ani kaprysu - nadal szepczę - Nawet jeśli w przeszłości popełniła błędy, w końcu to nasza matka.

Milczenie.

- Przyznaj chociaż, że za daleko się posunęłaś. Za dużo na jeden raz. I tak żałuje. Czyż to nie okropne, że kobieta w jej wieku musi się przed nami upokarzać? Niewiele brakowało, a błagałaby o litość.

Tego chcesz?

- Napijesz się jeszcze kawy? Ja sobie zaparzę. Bierze ekspres.

- Nie, dziękuję. Słuchaj, Willow... Ale ona traci cierpliwość.

- Zamknij się, Arabello. Po prostu się zamknij, dobrze? I daruj sobie tę zabawę w Polyannę.

- Ciii! - Znowu zerkam przez ramię. - Przynajmniej nie zmuszaj jej do słuchania kłótni z jej powodu.

- Guzik mnie obchodzi, czy nas słyszy czy nie. - Mimo to Willow zniża głos. - Posłuchaj, Arabello, świat nie zacznie nagle rządzić się twoimi prawami, bo ty tak sobie wymyśliłaś. Przebaczyłaś jej, masz dla niej litość - twoja sprawa. Ja nie żywię żadnych uczuć względem tej kobiety. Żadnych.

Nie wierzę.

Twoje prawo. - Wlewa cienki strumyczek brązowego płynu do kubeczka. - Ale pamiętaj o jednym: nie zamierzam ni zostać dłużej niż tydzień. Mam ciekawsze zajęcia niż...

Willow, na miłość boską! Zlituj się nad sobą. Zlituj się nad nami wszystkimi. Nie nadrobisz zaległości z całego życia w ciągu jednego tygodnia!

A może nawet krócej. - Jej usta znowu zacisnęły się w wąską kreskę. - Ty sobie zostań, jak długo chcesz. A kawę wypiję na zewnątrz. Atmosfera tutaj cuchnie. - Nurkuje przez kotarę i siada na stopniu. Przez chwilę wpatruję się w jej plecy, przyglądam się refleksom słońca tańczącego w jej rozjaśnionych włosach jak kryształkach. Nie mówiła serio. Nie jest aż tak zimna. Fakt, że działa na mnie onieśmielająco, ale pamiętam pewne drobiazgi, o których ona pewnie dawno zapomniała: ten okres, gdy bała się ciemności i mimo panicznego strachu przed gorszą niż gniew Boży karą, którą wymierzyłaby jej dyżurująca siostra, zakradała się do mnie do łóżka, by się przytulić; albo ten dzień, gdy zdawała egzamin na urzędniczkę

państwową i była przekonana, że oblała. Tego wieczoru jak burza wpadła do mojego schroniska, omal nie wyważając drzwi, zapuchnięta od łez. Płakała w moich ramionach, aż W końcu zasnęła. Przeszmuglowałam ją do mojego pokoju, gdzie przenocowała. Za to rano po przebudzeniu zobaczyłam dawną chłodną Willow, która marzyła, by jak najszybciej stamtąd prysnąć. Potem przez wiele tygodni się ze mną nie kontaktowała. Coś jest w tym powiedzeniu, że wszystko można wybaczyć oprócz dobrego uczynku.

Wolnym krokiem wracam do Eve. Na oparciu kanapy, tam gdzie go zostawiłam, leży jej pamiętnik. Jest taka cisza, że słyszę nawet przypadkowe stuknięcie filiżanki o zęby Willow. To pewne, że moja siostra nie wróci szybko do środka. Mam świetną okazję, by zajrzeć do dzienniczka.

Szybko go otwieram. Zeszyt - podobnie jak kartka, na której napisała pożegnalny list do nas (być może nawet została z niego wyrwana) - jest w niebieskie linie z czerwonym marginesem. Pierwsza strona została zapisana czarnym atramentem, pełno też na niej kleksów. Przerzucam kartki i widzę, że niektóre fragmenty są nabazgrane czerwonym albo niebieskim atramentem, czasem oboma. Przywodzi nu to na myśl odrabianą na chybcika pracę domową.

Teraz nie mogę tego czytać. Muszę się uspokoić, uporządkować myśli. Chowam notatnik do torebki - na szczęście jest na tyle duża, że zmieściłoby się w niej i dwadzieścia kajetów.

Wentylator dmucha mi w twarz ciepłym powietrzem, bo temperatura w przyczepie wzrosła do poziomu bliskiego kresu

ludzkiej wytrzymałości. A może dopiero teraz zwróciłam na to uwagę? Moja odcinana w talii, lekka biała sukienka z haftem angielskim wydaje się teraz równie przewiewna jak folia spożywcza. Odlepiam tkaninę od dekoltu i pochylam się w stronę wiatraczka, rozkoszując się chłodniejszym powiewem na biuście.

- Udana wizyta, Arabello? Och... Zasnęła?

Przeciąg rozkołysał kryształki, gdy drugimi drzwiami do przyczepy wszedł Dale. Zdjął koszulę, ma teraz na sobie czarny podkoszulek bez rękawów, dzięki czemu mogę zobaczyć, że tatuaż biegnie nie tylko przez jego szyję, ale także przez barki aż po ramiona.

Błyskawicznie odskakuję od wentylatora.

- Strasznie tu duszno - oświadczam, podrywając się na nogi i majstrując przy włącznikach klimatyzatora za głową Eve. - Włączymy klimatyzację? To chyba żadna filozofia?

Jestem czerwona jak burak. Jasne - odpowiada swobodnie. - Rzeczywiście, nieźle dziś przygrzewa.

Najpierw powinnam chyba zamknąć drzwi, prawda?

W pośpiechu przewracam stojaczek na prasę. Podnoszę go, wciskam gazety na miejsce, układam, zamykam drzwi i przycinam jeden cholerny sznureczek z kryształami.

No - mówi Dale jak gdyby nigdy nic. - Wpadłem sprawdzić, czy wszystko gra. Wygląda na to, że tak. Eve! Obudź się! A gdzie twoje dobre wychowanie?



Znów bawię się przyciskami. Klimatyzator trzeszczy i świszcze, budząc się do życia, ale ja obserwuję go z napięciem godnym kontrolera lotów, wysyłającego pojazd kosmiczny na Księżyc. Och, czemu ten cholerny facet po prostu sobie nie pójdzie?

Ta senność to pewnie działanie leków.

Znowu stukam we wskaźnik, choć jak wół jest napisane „maksimum” Wreszcie urządzenie zaczyna działać.

Teraz naprawdę dmucha! - Słyszę za plecami śmiech Dale'a. - Ten sprzęt wysłużył swoje. Liczy sobie dobrych kilkanaście lat.

Nie mam wyjścia, muszę się do niego odwrócić, ale Dale, dzięki Bogu, nie patrzy na mnie. Przygląda się mojej matce.

Obudź się, laleczko\* - Delikatnie szturcha butem zdrowa nogę Eve. - Otwórz swoje śliczne oczka.

Kiedy Eve nie reaguje, uśmiecha się bez wesołości.

- Kiedy twardziel nie może inaczej uciec, ucieka w sen. A wierz mi, nasza Eve to twarda dziewczyna.

- Uważasz, że nie śpi? Że nas słyszy? Przypominam sobie rozmowę z Willow i rumienie się jeszcze mocniej, choć wydawało mi się to niemożliwe. Zmieniam się w słup ognia. Ostatni raz tak się zaczerwieniłam, gdy poszłam na pierwszą zabawę i do tańca poprosił mnie chłopak z monstrualnym trądzikiem i plamą z brylantyny na klapie.

- Kto wie? - Dale wzrusza ramionami. - Pamiętajcie o jej lekach. Dochodzi południe. Potrząśnijcie nią porządnie, to powinno

wystarczyć. A jeśli nadal nie oprzytomnieje, zawołajcie któregoś z nas. Wiesz, gdzie mnie szukać.

Potakuję. To wszystko, na co mnie stać.

- Dzięki, Dale.

Lecz on, zamiast wyjść, przygląda mi się uważnie.

- Twoja siostra dobrze się czuje?

- Tak, doskonale.

- Nie wygląda rewelacyjnie, siedząc tam na schodach.

- Nic jej nie jest, wierz mi. Mówiłeś, że Eve jest twarda Willow to jej córka. Ja, zresztą, też - dodaję pośpiesznie.

- Nie rozumiem.

- Ja też jestem twarda.

- Aha. - Krótkie wahanie. - Dobra, zamknę za sobą drzwi. Po co chłodzić całe osiedle?

Wychodzi przez te piekielne kryształki i zamyka drzwi.

Zerkam przez ramię na uśpioną matkę. Muszę wyjść, zaczerpnąć świeżego powietrza. I zatruć je papierosom.

Willow siedzi na stopniach, wpatrzona w przestrzeń. Przysiadam się.

- Przepraszam za ten wybuch - odzywa się zupełnie normalnym tonem. - Jesteśmy inne, Bello, to wszystko.

- Nie da się ukryć.

Zapalam papierosa i zaciągam się.

- Tak więc nie rozmawiajmy już o tym.

I choć uważam, że właśnie powinniśmy o tym rozmawiać, przystaję. Jedna z najmądrzejszych rad, jakich Greta utoczyła się od swojej babki, brzmi: „Kiedy masz przewagę, nie wykorzystuj jej”. Willow na swój sposób mnie przeprosiła.

Dasz mi fajkę? :

Wyciąga rękę.

- Przecież nie palisz. - Jestem zszokowana.

I co z tego? - Patrzy na mnie z wyzwaniem. - Postawisz mnie przed plutonem egzekucyjnym? Dostanę papierosa czy nie?

Wciąż oszołomiona częstuję ją i podaję ogień. Pociąga i jak każdy nowicjusz natychmiast wydmuchuje dym.

Muszę zadzwonić do domu. - Spogląda na zegarek. - Ciekawe, jak sobie radzą? Mam nadzieję, że Paddy nie karmi ich jakimś świństwem. Kiedy raz wyjechałam na konfekcję, Maeve, strasznie zadowolona z siebie, chwaliła się, że z tatusiem było super, bo mieli pyszne jedzenie. Na kolację, zamawiali coś na wynos, a ojciec pozwalał im jeść na śniadanie resztki z poprzedniego dnia. Jagnięcina po hindusku o wpół do ósmej rano? Kurczak z McDonalda? Ja chyba też powinnam zadzwonić do domu. Patrzy na mnie zdumiona. A do kogo? Do Grety.

Rzeczywiście przyłapała mnie. Trafiała w samą dziesiątkę! Greta będzie zachwycona, kiedy zadzwonię, trudno jednak nazwać ją rodziną.

I do Jimmy'ego Portera - dodałam. - Może zadzwonię i uspokoję go, że dotarliśmy całe i zdrowe.

- Po tym, jak narobił obciachu sobie i tobie?

- Nie twój interes. - Po raz kolejny pluję sobie w brodę, że opowiedziałam jej o przyjęciu. - Słuchaj, Willow - wyrzucam z siebie nagle - strasznie przepraszam za tamte pisklęta.

Wam też to się zdarza? Mówicie coś, choć wcale nie mieliście takiego zamiaru?

- Pisklęta? Jakie pisklęta? Co ty znowu bredzisz? - Unosi brwi. - Słowo daję, Bella, czasem cię nie rozumiem.

- Nie pamiętasz? Byłyśmy u Świętej Kamili dopiero parę miesięcy. Te kurczaczki, które się podusiły? Wszystkie zostałyśmy ukarane. Łącznie z tobą. - Patrzę jej prosto w oczy. - Ja byłam winna. I nie miałam odwagi się przyznać.

- Na miłość boską...

- Do dziś mnie to prześladowuje.

- Na miłosierdzie Pańskie, Arabello, nie mam pojęcia, o czym mówisz. - Wolno kręci głową, jakby rozmawiała z przyglupem. - Nie masz większych zmartwień, że przejmujesz się jakąś historyjką sprzed stu lat?

- Naprawdę nie pamiętasz? - Teraz już nic mnie nie po wstrzyma. Muszę jej przypomnieć. - Dostałaś linijkę. Jak my wszystkie. A mogłam wam tego oszczędzić. Mogłam tobie tego oszczędzić. Od tamtej pory czuję się jak Judasz. Powiedz chociaż, że mi przebaczyłaś.

- Przebaczyć? Teraz ty?! - Jęczy teatralnie. - Chyba czegoś tu dodają do wody. Co to, zaraza jakaś?

Rozdrażniona poprawia opaskę na głowie. Potem uświadamia sobie, że nie żartuję.

- Dobra, przebaczam ci, cokolwiek to było. Przebaczam ci to jedno z setek, jeśli nie tysięcy lań, które tam dostałam Zadowolona? A teraz możemy porozmawiać o czymś bardziej na czasie niż jakieś pisklęta? Dobrze?

-Naprawdę nie pamiętasz? Jednodniowe kurczaczki

W pudełku po butach. Następnego dnia znalezione martwe,

-Arabello!!!

- Dobrze, dobrze, przepraszam. Już do tego nie wracam.

- Stokrotne dzięki, królowo.

Siedzimy ramię w ramię, paląc, choć Willow nieszczególnie sobie z tym radzi. Upał wybielił niebo do koloru kości I mogłabym przysiąc, że powietrze nad uliczką drży jak w fatamorganie. Choć ratuje nas cień daszka nad gankiem, ledwo żyję z gorąca.

- Pamiętasz brudną Doreen? - pyta Willow ni z tego, ni z owego.

- Skąd ci ona przyszła na myśl? - Jestem zdumiona.

Sama nie wiem. - Wydmuchuje duże obłoki dymu jak typowy amator. - Może przez tę twoją historię z kurczakami. Której - mierzy mnie lodowatym spojrzeniem - nie pamiętam i nie zamierzam więcej omawiać.

- A wracając do brudnej Doreen?

Było mi jej żal, to wszystko. Kiedy patrzyłam, co dzień w dzień z nią robiły, nauczyłam się, że lepiej nie podpadać, i o chyba wtedy

obiecałam sobie, że do nikogo się nie zbliżę, aby nikt nie mógł mnie zranić ani skrzywdzić.

Prawdziwy szok. Niewiarygodne. Moja siostra przyznaje się do słabości? Czy w ten pokretny sposób próbuje wyjaśnia swój stosunek do matki? Lepiej nie pytać wprost.

- Byłaś wtedy mała, Willow.

- A czy ty nie podejmowałaś tam życiowych decyzji?

- Bo ja wiem? Chyba bardziej skupiałam się na tym, aby wytrwać do końca dnia, nie zastanawiałam się nad przyszłości

- Cóż, za to ja - tak.

Mówi to tonem wykluczającym dalszą dyskusję, więc znowu zapada cisza.

Biedna Doreen, nasza koleżanka z sierocińca, była chorowitym, bladym dzieckiem, które stale się moczyło. Często dostawała za to lanie, zmuszano ją, by paradowała przed nami ze swoim mokrym prześcieradłem, a potem prała je w lodowatej wodzie.

Nasza złośliwość - chichoty, ostentacyjne marszczenie nosa, ilekroć wchodziła do sali - musiała ranić ją o wiele bardziej niż kary fizyczne. Ze wstydem przyznaję, że nie byłam lepsza od innych. W sierocińcu panowały mafijne układy, silniejsze rządziły słabszymi. Jeśli nie należałaś do grupy, równało się to śmierci. Nasza paczka - i wszystkie inne - skazywała Doreen na ostracyzm i dzięki temu czułyśmy się wszechwładne.

Doreen dość szybko zniknęła z naszego życia. Wtedy jeszcze nie wiedziałyśmy, dokąd wyjechała ani dlaczego. Jej niepiękne zapachy

zostały w końcu zmyte, a gangi, zawsze polujące na kolejne ofiary, szybko się przegrupowały i znalazły inny obiekt. Aż pewnego dnia do naszej sali wkroczyła siostra i kazała nam uklęknąć i modlić się o spokój duszy Doreen.

- Mieszka teraz z aniołkami, dzieci.

Pamiętam spóźnione wyrzuty sumienia, które przygniatały mnie jak sterta kamieni.

Przylacza się teraz do nas kot Eve. Mruczy, macha ogonem. Obserwuje nas z najniższego stopnia. Potem jednym zgrabnym susem ląduje na kolanach Willow.

- Złaź ze mnie! Spadaj!

Willow podrywa się przerażona. Nienawidzi kotów.

Odrzucony Ryży miękko ląduje na czterech łapach obok mnie i z miną skrzywdzonego biedaka wodzi wzrokiem od jednej do drugiej. Wreszcie odwraca się, siada, wysuwa tylną łapę i energicznie zaczyna się myć.

Czuję się jak kretyńka. Tyle lat niepotrzebnie zadreślałam się przez te pisklaki, a ona nic nie pamięta! Gdzieś w tym kryje się dla mnie nauczka, ale czy kiedykolwiek wyciągnę z niej wnioski? Sporo też potrwa, zanim przetrawię rewelacje Willow, tłumaczące, dlaczego moja siostra zachowuje się, jakby była żółwiem, krokodylem czy innym zwierzęciem, obdarzonym grubym pancerzem.

- I jeszcze coś - odzywa się moja siostrzyczka.

Jeszcze coś? Co?

Obdzwoniłam wszystkich Moraghanów w Irlandii, Anglii, Szkocji i Walii. Na szczęście nie ma wielu pisanych w ten sposób. - Szukałaś go?

Mniej więcej w tym samym czasie, gdy szukałam Renltków. Nigdy się nie zastanawiałaś, gdzie on teraz jest? Co robi? jak wygląda?

- Dość rzadko. A ostatnio wcale. - Intryguje mnie ta nowa, nieznana Willow. - Próbowiałaś w wojsku? Jak dawno obdzwaniałaś te rodziny?

Spogląda na mnie i już wiem, że chwila słabości minęła, Willow wraca do siebie.

Jasne, że próbowałam w wojsku. Od tego zaczęłam. Nie jestem głupia, Arabello. Powiedzieli, że przestał odbierać żołąd, czy jak tam to się nazywa. To było już jakiś czas temu, Wracajmy do środka. - Wstaje. - Trzeba obudzić tę kobietę...



---

## Rozdział 17

---

Sądzą, że śpię, że nic nie słyszę. Słyszę. Nie wszystko, tracę kontakt ze światem i odzyskuję go, jak pociąg jadący przez kolejne tunele.

Czasem pojawiaam się w ich rozmowie, ale wtedy dochodzą do głosu moje wspomnienia i zagłuszają resztę. Wspomnienia z bliskiej przeszłości i z dalekiej; myśli z wczoraj, sprzed tygodnia albo sprzed dziesięciu lat. Te nawracające fale senności są okropnie denerwujące. Spodziewałam się, że będę czuła strach, a myśli mi się będą kotłowały, tymczasem okazuje się, że to całkiem przyjemne wrażenie. Kojące, Pewnie zasługa tlenu.

Szkoda tylko, że pojawia się też Petey. Drań.

„Śmierć to duch pojawiający się na uczcie”, jak mawia Dale. Cóż, od wypadku śmierć stała się moją bliską towarzyszką. Nie tego, który mnie teraz unieruchomił, tylko tamtego sprzed lat, tego złego. Właśnie tak poznałam Dale'a. Później w szpitalu powiedzieli, że uratował mi życie Akurat szedł chodnikiem w pobliżu skrzyżowania, gdzie do szło do zderzenia, i wyciągnął mnie przez szybę, nim samochód stanął w płomieniach. (Oczywiście, musieliśmy rąbnąć w cysterne z paliwem, bo w co innego?). Najdziwniejsze jest to, że choć do dziś widzę twarz faceta za kierownicą, jego śmiertelne przerażenie, gdy tuż przed maską zobaczył samochód, za nic nie mogę sobie przypomnieć jego nazwiska. Za bardzo byłam zajęta walką o własne życie, by pójść na pogrzeb czy chociaż wysłać kondolencje. Po prostu

jakiś facet, Poznaliśmy się w barze, wpadliśmy sobie w oko, a znaleźliśmy się obok tamtego warsztatu, na tamtym skrzyżowaniu, kiedy wiozł mnie do siebie. Oboje byliśmy pijani. I to uratowało mi życie. Dale mówił, że bez najmniejszego problemu wyciągnął mnie z samochodu. Byłam bezwładna jak szmaciana lalka.

Podobno przez cztery i pół dnia nie odzyskiwałam przytomności i doświadczyłam tego, co nazywają „życiem po życiu”, Nie wiem, jak niewiele mi brakowało do zejścia, ale nie było to dużo, co mogą potwierdzić lekarze. I mam dla nich nowinę. Ze swoich doświadczeń wiem, że śmierć przypomina białą, mięciutką watę. Nie ma żadnego Boga ani Jego witającego nas w progu ani tuneli. Jest tylko „tak” powiedziane owej światłości, o której opowiadają. Ta światłość nie oślepia. Jest ciepłutka, jasna i przyjazna jak słoneczny dzień, Ogarnia cię rozkoszne uczucie, że dryfujesz sobie W swoim własnym towarzystwie i masz czasu pod dostatkiem. Co, skądinąd, się sprawdzi, jeśli rzeczywiście umrzesz.

Rzeczywiście, słyszysz, jak ludzie o tobie rozmawiają, słyszysz pikanie i szum aparatury, ale nie robi to na tobie żadnego wrażenia. Nie martwisz się o to, co zostawiasz, nawet o bliskich. W moim wypadku - o dzieci, których od lat nie widziałam.

Może, kłóć się o mnie w kuchni. Coś straszego. Góra tydzień, mówi Willow; tyle, ile będzie trzeba, odpowiada Arrabella.

A najgorsze jest to, że szepczą. Szept czasem brzmi naprawdę okrutnie i złośliwie.

Powinnam się skupić na Arabelli. To moja ostatnia deska ratunku. Gotowam się założyć o ostatniego dolara, że chłodna i opanowana Willow gra. Że przywdziewa tę maskę, by ukryć swój paniczny lęk przed światem. Dostrzegani takie rzeczy - wystarczy spojrzeć głęboko w oczy, aż poza nie. Spróbowałabym pomóc Willow, gdyby mi pozwoliła, ale w tym momencie niewiele mogę poradzić. Do perfekcji opanowała swoją rolę. Biedactwo...

Co ja zrobiłam tym dziewczynkom...

Nie zaczynaj, Eve. Panuj nad sobą.

Opowiadałam wam o zawartości mojego pudełka? Oprócz pamiętnika trzymam tam trzy kosmyki włosów, po jednym każdego z nich. Kilka zdjęć, różaniec i tak dalej. Powtarzam się, wybaczcie.

Zaraz, czy w ogóle wam mówiłam o moich skarbach? Wszystko mi się miesza. Może to wina drugiego wypadku, że coraz trudniej mi wyciągnąć pewne szczegóły z tego pół snu, w którym nurzam się jak w zupie. Tak czy owak, w pudełku trzymam jedyne pamiątki ze starego kraju. Najważniejszą z nich jest pamiętnik. Później też dodawałam jakieś notatki, swoje przemyślenia, więc chronologia została zaburzona. Trudno go nazwać prawdziwym dziennikiem, bo wszystko opisywałam po fakcie.

Bo widzicie, moje córki nic o mnie nie wiedzą. Chyba że próbowały mnie szukać, w co wątpię (choć czyż to nie było by cudowne?). Cała ich wiedza o mnie to parę żalosnych drobiazgów, które powierzyłam Arabelli (też w blaszanym pudełku. To żaden przypadek ani zbieg okoliczności; zrobiłam to świadomie).

Ten dziennik jest dla nich. Dałam go już Arabelli? Chyba tak.,  
Przez te wszystkie lata, bez względu na to, z jakim łańchu drą  
żyłam, pilnowałam, by zapamiętał, że jeśli umrę, powierzam mu  
jedyne zadanie: ma zachować moje pudełko i u wszelką cenę oddać je  
moim dzieciom, choćby musiał zaangażować w to CIA.

Wiecie, po tym pierwszym wypadku, gdy omal nie zostałam  
żywą pochodnią, zaprzyjaźniłam się z Dale'em i zostaliśmy  
współwędrowcami, jeśli można to tak nazwać. Bardzo szybko  
nabrałam do niego zaufania i opowiedziałam mu o mojej trójce.

- Czemu teraz nie spróbujesz się z nimi skontaktować? -brzmiało  
jego pytanie.

Przez jakiś czas to odkładałam - domyślałam się, jak bardzo  
mnie nienawidzą - ale wreszcie z pomocą Dale'a napisałam list do  
irlandzkiego Ministerstwa Zdrowia i Spraw Społecznych.  
Przypuszczaliśmy, że w ich archiwach będą nazwiska wszystkich  
dzieci, które przewinęły się przez sierocińce. A nuż - jeśli ustalimy,  
który to - okaże się, że dzieci utrzymały kontakt z opiekunami.

Poszukiwania trwały rok i musiałam wystosować jeszcze dwa  
listy, ale wreszcie ministerstwo znalazło nazwy dwóch sierocińców.  
Dziewczynki najwyraźniej były razem, natomiast Rowana  
umieszczono w innym ośrodku. W piśmie jednak poinformowano  
mnie, że oba już zamknięto, a całą dokumentację dotyczącą dzieci  
likwidowano w kilka lat po dniu, gdy, skończywszy szesnaście lat,  
opuszczały ochronkę.

Ślepy zaułek-

Nie zamierzałam jednak się poddawać. Razem pojechaliśmy do ambasady Irlandii, skąd wydebiłam adres centralnego Urzędu Stanu Cywilnego, gdzie rejestruje się narodziny, śluby i zgony. Ale tamci urzędnicy źle mnie zrozumieli i odpowiedzieli, że jeśli chcę otrzymać kopię trzech metryk urodzenia, muszę załączyć międzynarodowy przekaz i temu podobne bzdury...

Wtedy jeszcze ja i Dale krążyliśmy po kraju. Kiedy osiedliliśmy się w Meadows, uznałam, że pora spróbować znowu, Zaczęliśmy od irlandzkiego biura numerów, a choć nie umiałam podać adresu, telefonistki naprawdę bardzo się starały. Okazało się jednak, że żadne z moich dzieci nie figuruje jako abonent. Uznaliśmy więc, że nie mieszkają w Irlandii. A nawet gdyby przebywały w kraju, dziewczęta mogły wyjść za mąż i zmienić nazwisko.

Nieustannie planowałam i kombinowałam, jak by tu się z nimi skontaktować. Próbowalam, słowo, Bóg mi świadkiem. (Właśnie, Boże, zerknąłbyś tutaj? Grzesznik? Nawrócenie? Radość w niebie?). Zamierzałam pojechać do Irlandii i sama ich poszukać, ale, jak się domyślacie, nie zrobiłam tego. Wciąż to odkładałam. Jestem przekonana, że informacja o trójce dzieci porzuconych w palmiarni trafiła do prasy, a choć to stare dzieje, dziennikarze mają długą pamięć. Wciąż sobie wyobrażałam, że z chwilą gdy postawię stopi,' na irlandzkiej ziemi, będę się musiała przedzierać przez kordony ludzi, którzy zaczną mi wygrażać, patrząc na mnie z potępieniem, i powtarzać, że jestem wyrodną matką. Głupie, wiem. Bez żadnych podstaw. Zero logiki. I dowód monstrualnego tchórzostwa. Nikt nie

musi mi mówić ani przy pominąć, jak złą byłam matką. Sama wystarczająco często to sobie powtarzałam.

Tym razem jednak nie obchodziło mnie już, kto będzie patrzył na mnie z pogardą. Liczyło się tylko to, co myślą o mnie dzieci; z ich rąk przyjąłabym nawet najgorsze piekło, byleby dały mi szansę odpokutowania za swoje winy.

Zanim jednak zajrzą do mojego pamiętnika, z grubsza po wiem wam, co w nim znajdą. Nie myślcie tylko, że próbuje w jakikolwiek sposób się rozgrzeszać. Przysięgam, nie szukam usprawiedliwienia. Dla mnie go nie ma. Mogę jedynie przedstawić fakty. Zaczniemy od tego, że nie będę was zanudzać opowieściami o moim, jak to teraz nazywają, „trudnym dzieciństwie”. Mnóstwo ludzi ma trudne dzieciństwo, a jednał potrafi ułożyć sobie życie i nie porzuca dzieci; spójrzcie na Oprah Winfrey. Ma za sobą niełatwe życie, a nie skamle.

Wróciła, siada przy mnie - mam na myśli Arabelle. Jest dobra, czuję to. Gdybym tak mogła rozgarnąć te mgły i porozmawiać z nią w cztery oczy. Ręce ciążyą mi jak kłody. Może za chwilę odzyskam siły...

Moje dzieciństwo w sierocińcu nie różniło się od losów innych dzieci. Po prostu każde z nich starało się przez to przebrnąć i tyle. Kiedy skończyłam czternaście lat, siostry umyły ręce i posłały mnie na służbę. Tak się wtedy postępowało. Kończyłaś czternaście lat, wylatywałaś na zbity pysk i trafiałaś na stryszek albo do piwnicy jakichś krezusów.

Wyglądało to tak, że ważniacy umawiali się wcześniej albo po prostu zjawiali się przed drzwiami, pytając o „silną, wiejską

dziewczyne". Tak się złożyło, że kiedy do furty zastukali Portmanowie mieszkający przy Rona Road w dublińskiej dzielnicy Glasnevin, akurat w ofercie byłam tylko ja, więc musieli się tym zadowolić. Ale w tamtych czasach byłam silna i dość pogodna, więc, moim zdaniem, Portmanowie nie zrobili najgorszego interesu.

Nigdy nie zapomnę tamtego dnia. Oczywiście, wiedziałam, że kiedyś nadejdzie, ale kiedy siostry kazały mi włożyć najlepszy fartuszek i zejść do rozmównicy, trzęsłam się tak, w na pewno było słychać klekot moich kości.

W rozmównicy unosił się zapach wosku, którym polerowałyśmy na błysk podłogę i sprzęty. Stały tam ciemnobrązowe donice i meble przykryte śnieżnobiałymi pokrowcami. Wcześniej wchodziłam tam jedynie po to, by odkurzać i szorować podłogę.

- Tylko pamiętaj, sama niczego nie ruszaj - ostrzegła mnie siostra, wypuszczająca podopieczne w świat.

Trudno było usłuchać jej rozkazu. Choć trzęsłam się i z przerażenia, byłam też bardzo głodna - całą noc chorowałam ze strachu - a tam, na fortepianie stała taca z porcelanowymi filiżankami, herbatnikami i gorącym czajniczkiem, przykrytym pokrowcem z wyhaftowaną postacią Jezusa Dobrego Pasterza. Do tego jeszcze sherry i whisky w karafkach z rżniętego szkła i zjawiskowe, leciutkie szampanki. Siostry natychmiast by się zorientowały, gdybym coś podjadła, więc nie tknęłam jedzenia, za to, gdy zostałam sama, charknęłam na dłoń i rozsmarowałam plwociny na fortepianie. Taka pamiątka po mnie. Wiedziałam, że gdy sobie pójdę, siostry już nic nie



będą mogły mi zrobić. Zachowałam się głupio i dziecinnie, zwłaszcza że to był naprawdę piękny instrument. No i dodałam roboty jakiejś Bogu ducha winnej nieszczęśnicy, która musiała wyczyścić plamę. Ale, wierzcie mi, znakomicie mi to poprawiło nastrój.

Drzwi się otworzyły. Zakonnice nauczyły nas, by kłaniać się na powitanie, więc karnie dygnęłam.

- Dobrze ułożona dziewczyna - odezwała się kobieta, pani Portman.

Miała na sobie kapelusz z piórami, piękny płaszcz z perłowymi guzikami i krótkie trzewiczki na obcasie.

- Ale czy jest uczciwa? - zwróciła się do zakonnicy. Może siostra za nią ręczyć?

- Jak najbardziej - zapewniła siostra, cała w uśmiechach, kładąc mi rękę na głowie, jakbym była jej pupilką. Ta sama siostra, która potrafiła łać nas błyskawicznie i bezlitośnie.

Zjadłyśmy podwieczorek, pani Portman skusiła się też na kieliszeczek sherry. Zachowywałam się wzorowo, bo gdyby ona mnie nie wzięła, nie wiadomo, jaka trafiłaby się następna. Ta na szczęście nie miała rogów.

- Nada się - oświadczyła krótko, wstając i strzepując ze spódnicy okruszki gestem osoby przywykłej do tego, że ktoś po niej posprząta, I tyle. Nadam się!

I, rzeczywiście, zapracowałam na swój chleb. Dom okazał się starą kamienicą z czerwonej cegły, z mnóstwem wykuszów, witrażem w drzwiach wejściowych, hektarami posadzek, niezliczonymi



marmurowymi kominkami i mosiężnymi okuciami, wymagającymi polerowania. Zimą czy latem, musiałam się zrywać pierwsza, by porozpalać w kominkach. Kamienica nie była podpiwniczona, więc mieszkałam w spizarce. Nie narzekałam, czułam się tam jak u Pana Boga za piecem: kuchnia zawsze była ciepła, miałam wygodny materac, porządną pościel i ciepły koc. Pani Portman była surowa i potrafiła mnie zrugać, ale trafiła na twardą sztukę: nigdy nie okazałam strachu. Zresztą, Bogiem a prawdą, rzeczywiście jej się nie bałam. Jak wspominałam, byłam wtedy wysoka i silna. W ochronie siostry nas nie rozpieszczały: żywiłyśmy się głównie kartoflami i ciemnym chlebem; ale dostawały od miejscowych dobre mleko, jaja i masło. Dlatego wszystkie - z wyjątkiem gruźliczek - wyrastałyśmy na zdrowe i krzepkie dziewczyny.

Tylko wkurzało mnie, że musiałam nazywać parę nieznośnych Portmaniątek - wyjątkowo obrzydliwych smarkaczy - paniczem i panienką, a do tego jeszcze im usługiwać, choć byli ode mnie parę lat młodszy. Ale jeśli chciałam utrzymać posadę, musiałam to znosić.

Dale pojawił się i zniknął. Jak on śmie? Sugeruje Arabelli, że udaję. Wcale nie udaję. Po prostu nie mogę otworzyć oczu. Nie wierzycie? Spróbuję.

Widzicie? Nie mogę. Powieki ważą z tonę, ale - tak - przyznaję, że muszę się obudzić. Czas bezlitośnie ucieka, a liczy się każda chwila. Zwłaszcza że Willow nie jest w humorze i w ogóle. Ciekawe, co ona i Arabella sądzą o Dale'u?

Za chwilę się obudzę. Będzie to wymagało ode mnie naprawdę olbrzymiego wysiłku. Tu jest tak przyjemnie, tak spokojnie. Dobrze mi się pływa tu, wśród moich myśli, idzie nie mają wstępu intruzi. .

Nigdy się nie dowiedziałam, czym zajmował się pan Portman. Co dzień wychodził z domu wczesnym rankiem. Zawsze wyglądał jak spod igły - w czym nie mała była zasługa moja, mydła Sunlight i godzin energicznego wymachiwania żelazkiem. Przypuszczam, że pracował w jakimś biurze. Pewnie w banku albo towarzystwie ubezpieczeniowym.

W tamtych czasach wyglądało to inaczej niż teraz - czas wolny był darem łaskawie udzielanym przez pracodawcę. Łaskawość moich państwa dawała mi godzinę w niedzielę i święta kościelne, bym mogła uczestniczyć we mszy, oraz na pół dnia wychodnego w środy, bo wtedy pan Portman wcześniej wracał z pracy i zabierał żonę do kina czy też - jeśli pogoda dopisywała - na golfa, albo do teatru lub opery, ewentualnie na przyjęcie. Tak więc moje wychodne w środę ich urządzało.

Tak czy owak, na początku przez parę miesięcy nie miałam pojęcia, jak wykorzystywać moje wychodne. Za pierwszym razem - wstyd przyznać - całe wolne sześć godzin spędziłam, kręcąc się w uliczce na tyłach domostwa Portmanów. Nie miałam się gdzie podziąć. Na szczęście wśród przydrożnych krzewów i chwastów znalazłam świetną kryjówkę, w której umościłam sobie miejsce. Wejście zasłoniłam gałęziami, żeby nikt mnie nie zauważył. Pamiętam, że

panował tam przyjemny mrok i chłód, więc zasnęłam. Kiedy wróciłam do domu, zapadał już zmierzch.

- Dobrze się bawiłaś, Eve? - spytała pani Portman, otwierając mi drzwi.

- Tak, p'szę pani - oświadczyłam śmiało.

- Dokąd się wybrałaś?

- Do miasta.

- I co robiłaś?

Byłam na to przygotowana. Wolałam nie ryzykować, że spyta, jaki film obejrzałam albo w jakiej kafejce siedziałam czy coś w tym stylu.

- Och, włączyłam się bez celu, p'szę pani.

- Świetnie. Wróciłaś w samą porę, by pozmywać po kolacji dzieci.

Tak wyglądało moje pierwsze wychodne na służbie.

Potrzebowałam czterech, może sześciu, a może siedmiu. Nie pamiętam ilu, ale naprawdę wielu - śród, by odważyć się wsiąść do omnibusu i naprawdę wybrać się do miasta. Konduktor, poczciwa dusza, wziął mnie za dziewczynę ze wsi (oczywiście, nie miał cienia wątpliwości, że jestem służącą .) i odliczył z moich drobniaków pieniądze na bilet.

- Najlepiej wsiąść przy magazynie Clery's, skarbie - powiedział. - Siądź tu sobie, tyłem do silnika, a ja się tobą zajmę.

Może trudno w to uwierzyć, jednak naprawdę przez te lata pobytu w sierocińcu ani razu nie byłam w mieście. Nigdy. Moim

światem stały się zakonnice, refektarz, praca i kaplica. Nie było to lekkie życie, ale dawało poczucie bezpieczeństwa. Znało się swoje miejsce w świecie. Niektóre z nas miały ojców w więzieniu, matki innych zmarły na gruźlicę. Tym było naprawdę ciężko, bo wiedziały, co straciły, Ja nie wiedziałam, co znaczy przytulenie, więc tylko sobie wyobrażałam, że za tym tęsknię. W sierocińcu było dzieci takich jak ja, które nie wiedziały, skąd pochodzą. Siostry też nie miały pojęcia. Kiedy mnie znaleziono, [policja chyba prowadziła jakieś dochodzenie, ale nic z tego nie wynikło. Ja zaś przestałam się nad tym zastanawiać. Oczywiście byłoby miło dowiedzieć się przed śmiercią czegoś o sobie, zwłaszcza teraz, gdy odnalazłam dzieci, a – kto wie - może i wnuki. Ale to wszystko wydaje się tak mgłą, nierzeczywiste. A ja nie czuję w sercu pustki z tego powodu. Już nie.

Którejś czerwcowej środy, gdy przepracowałam już u Portmanów rok i siedem miesięcy, siedziałam sobie w Kioadway Cafe przy O'Connell Street, uraczywszy się herbatą i maślaną bułką. Zdążyłam się już oswoić z miastem i czułam się całkiem swobodnie.

I nagle, pamiętam jakby dziś, zauważyłam, że gapi się na mnie jakiś żołnierz. Petey potrafił uwodzić wzrokiem - to muszę mu przyznać - i to na tyle skutecznie, że zawrócił w głowie niżej podpisanej. Jego spojrzenie obiecywało cudowną zabawę, a ja dałam się nabrać. Miał piękne, gęste włosy, i choć wzrostu był mikrego, niższy ode mnie, figurę miał, jak się patrzy. I oto, co się stało. Przysiadł się do mojego stolika i puścił do mnie oko.

- Co taka ślicznotka ze wsi, jak ty, robi w wielkim mieście?

W tamtych czasach w Dublinie roiło się od marynarzy i wojskowych, nie on pierwszy próbował mnie podrywać.

- Nie jestem ze wsi - ja mu na to śmiało. - Jestem dubliniańką. I będę wdzięczna, jeśli będziesz łaskaw mnie zostawić.

Nie zostawił. Omotał mnie, och, ten uwodziciel! Gdyby chciał, potrafiłby oczarować ptaki, żeby do niego przyfrunęły, a na samym początku Peter Moraghan cały swój talem i wysiłek włożył w oczarowanie mnie. Cóż, raz się udaje, a raz nie.

O, nie! Willow krzyczy na zewnątrz: „Arabello!!!”, jakby miała czegoś serdecznie dość. Jednodniowe pisklęta? 'To chyba nie chodzi o mnie, prawda? Nie słyszę, o czym rozmawiają - przez ten przeklęty klimatyzator. Sapie jak lokomotywa-astmatyczka.

Pewnie nie uwierzycie, lecz Amerykę zawsze traktowałam jako wyjście tymczasowe. Miałam zarobić parę dolców, najpierw spłacić dług Maurze, potem odłożyć trochę grosiwa i w końcu wrócić do kraju, odzyskać dzieci i zamieszkać całą rodziną - bez Petera Moraghana - we własnym domu Miałam tę idiotyczną wizję nas czworga w małym, wiejskim domku, gdzie na kuchence gwizdże czajnik. Jeśli się skupić, łatwo odgadnąć, skąd zaczerpnęłam tę wizję: z wiersza, którego jako mała dziewczynka nauczyłam się na pamięć. Pierwsze dwie zwrotki pamiętam do dziś.

O, domek mieć mały, lecz swój,  
w nim komin i krzesła, i stół.  
I polan mieć stertę pod dach,  
i kąć ciepły, jak ten we snach.

Mieć zegar, co kuranty gra,  
i szafkę, zza której szklą  
Lśni talerzy i kubków rząd,  
czekających na gości sąd.

Wiersz nosi tytuł „Marzenie staruszki”; bohaterka nie mu domu, w dalszych zwrotkach opowiada o tym, jak by całymi dniami zamiatała, pucowała i polerowała swoją porcelanową zastawę. I tak dalej, nie muszę dopowiadać. Tak, Wiciu, że to ckliwe, ale mnie dawało ciepłe uczucie sytości, niezależności i wolności od trosk.

Czy spodziewałam się, że skończę jako mieszkanka osiedla domów na kółkach w Robinia Meadows niedaleko Sedouy w stanie Arizona? Wszystkiego, tylko nie tego. Ale takie jest życie i tak dalej.

Z zewnątrz dobiegają znowu podniesione głosy. „Spadaj”. Chryste, chyba nie zaczęły się bić? Natychmiast się kładź, Eve Rennick. Weź się w garść...

---

## Rozdział 18

---

Ty ją obudź.

- Nie, ty. Ja nie chcę jej dotykać.

Willow bierze leki i bacznie im się przygląda - albo uda je.

Milczymy, wyczekując najcichszego odgłosu, najsłabszego ruchu. Ale choć powieki Eve drgają, a oczy pod nimi się po ruszają, ona sama nie daje znaku życia, tylko oddycha głęboko pod zaparowaną, zieloną maską.

Drzwi się otwierają. Brzęczą kryształki i zza kurtyny wy nurza się mężczyzna - łysiejący, trochę po sześćdziesiątce, w białej koszuli schludnie wsuniętej w spodnie.

- Witajcie! Jestem Robert, partner Maria. Biedny Marin strasznie się niepokoi. Martwi się, czy to nie było dla was za dużo. Jest bardzo wrażliwy - uśmiecha się - więc będziecie musiały się zadowolić moją pomocą.

Prawie słyszę triumfalne „aha!” Willow. Nie wiedzieć czy mu, serce przez chwilę mocniej mi kołacze, kiedy słyszę, że „partner” nie odnosi się do Dale'a. Nie, żeby to miało dla mnie jakieś znaczenie.

- Ty jesteś Arabella, więc ty musisz być Willow. Trafnie nas zidentyfikowawszy, Robert podaje nam rękę

Dale albo Mario musiał mu powiedzieć, która z sióstr jest tą ładniejszą i z klasą. Potem pochyła się nad Eve i delikatnie nią potrząsa.

No, Eve! Pobudka! Chyba nie chcesz przespać imprezki, ulotko?

Eve otwiera mętne oczy i zdezorientowana wodzi po nas  
Wzrokiem. Robert kuca przed nią.

- To ja, Robert, złotko. Kojarzysz? Twoje kółko przyjaciół,  
Robert i Mario. Dale, Mario, Robert i Gina. Na pewno poznajesz  
Arabelle, prawda? I Willow? Przyjechały do ciebie -aż z Zielonej  
Wyspy.

Jest biało - mamrocze

- Coś ci się śniło, Eve? - Robert prostuje się i zdejmuje jej  
maskę.

- W nocy źle sypia - tłumaczy - a dostaje bardzo silne środki  
przeciwbólowe. Dajcie jej chwilę. - Potem zwraca się do niej,  
otwierając dwie buteleczki z lekami. - I jak? Zadowolona z  
odwiedzin? Prawdziwe święto, czyż nie? Zobaczmy...

Z kieszeni koszuli wyjmuje okulary i czyta instrukcję na  
buteleczkach.

Dobrze... Dwie tabletki tego i jedna pigułka tego... Minin... Sam  
chciałbym łyknąć jedną z nich. Eve, wiesz, że milutko wyglądasz,  
kiedy śpisz?

Ona jednak nie zwraca na niego uwagi, tylko wpatruje się w nas  
dwie.

Robert nalewa wody do szklanki. A teraz bądź grzeczną  
dziewczynką.

Obejmuje ją ramieniem, układając sobie głowę Eve w  
zagłębieniu obojczyka, i podaje jej tabletkę po tabletkce. Czuję się jak  
intruz. Ci mężczyźni i tajemnicza Gina - oto prawdziwa i rodzina Eve,



nie my. Nagle marzę o papierosie. Ale braknie mi odwagi, by przeprosić i wyjść z przyczepy.

Podawszy Eve leki, Robert wymienia jeszcze parę błahych uwag i oświadcza, że razem z Mariem jadą do miasta - gdziekolwiek by owo miasto się znajdowało. Jeśli wziąć pod uwagę, że między mną, Eve a Willow przeskakują emocje niczym iskry po linii wysokiego napięcia, lepiej nie zostawiać nas trzech bez jakiegoś przyjaźnie nastawionego obserwatora z zewnątrz.

- Możesz poprosić Dale'a, by tu do nas zajrzał? - wyrywa mi się, nim zdążyłam się ugryźć w język.

- Jasne, nie ma sprawy - odpowiada spokojnie Robert. Przekażę mu.

Lukę po jego odejściu wypełniamy, dopytując się, czy Eve nie jest za zimno albo za ciepło, albo za bardzo w sam raz. Więcej klimatyzacji? Mniej? Może jeszcze kawy?

- A może herbaty, mamó? - proponuje Willow. - Przy wiozłam herbatę Lyons. Pomyślałam, że stęskniłaś się za jej| smakiem. Mam pudełko w torebce. Przynieść?

- Nic mi nie jest - oświadcza w końcu Eve. - Nie chi y herbaty ani kawy, ani dodatkowych pledów. Czuję się świetnie. Ale dziękuję.

Mleczne spojrzenie to już przeszłość, znowu wpatruje się, w nas swoim hipnotycznym wzrokiem.

Chwała Bogu, zjawia się Dale i dzięki jego spokojnym uwagom udaje nam się przebrnąć przez kolejne pół godziny bez poruszania tematów osobistych. Drażliwą kwestię Rowana pomijamy

milczeniem, a jeśli już pada jego imię, to tu muszę przyznać, że Willow zachowuje się na poziomie w mniej kontrowersyjnym kontekście. Ale lepiej nie mówi' „hop", więc czujnie wszystkich obserwuję. Zwłaszcza Dale'a. Jeśli zacznie się jakoś niepokojąco zachowywać albo będzie próbował wyjść, jestem gotowa powalić go na ziemię, byle go zatrzymać.

Ślizgamy się tylko po powierzchni, opowiadamy, co słyhać w Irlandii albo - jak ją nazywa Eve - w „starym kraju A ja sądziłam, że to określenie funkcjonuje wyłącznie w powieściach albo filmach autorstwa zamerykanizowanych Irlandczyków. Rozmowa obraca się wokół idealnych dzieci Willow, Paddy'ego, znakomitej posady Willow, mojej (mniej imponującej) pracy w hotelu, mojej przyjaźni z Gretą, pięknego domu Willow, mojego mniej urodziwego mieszkania, tego, jak zmienił się Dublin i jego krajobrazu z niezliczonymi żurawiami i placami budowy; tego, że Eve nie poznałaby miasta swojej młodości - tak dużo wyrosło w nim nowych budynków, a dawne dzielnice tak bardzo się zmieniły.

- To musi być niezwykle miejsce. - Dale wstaje i leniwie me przeciąga. - Nie wiem, jak wy, ale ja nie znoszę klimatyzacji. Może wyjdziemy na ganek?

Nie patrzy na mnie ani na Willow, tylko na Eve. Mimo ni jednak mam wrażenie, że próbuje mnie ratować. Nie chcę być ratowana, do diaska! Sama umiem sobie radzić!

Kolejne zamieszanie - podnoszenie Eve, otwieranie przed nią drzwi, jej protesty: „Nienawidzę tego! To koszmar! Nie zawsze jestem taką kaleką” - trochę rozładowuje atmosferę.

Na zewnątrz słońce nadal niemiłosiernie pali. Po chłodzie przyczepy upał atakuje nas ze zdwojoną siłą. Czujemy się jak w piecu chlebowym. Ja i Willow zajmujemy miejsca na składanych płóciennych krzesłach reżyserskich, a Dale tak układa Eve w czymś w rodzaju hamaku i podaje jej słomkowy kapelusz oraz parę dużych okularów w szylkretowej oprawce, ozdobionych różowymi cekinami. Nasza matka do (łudzenia przypomina teraz szacowną Ednę Everage\*.

Ja nie mam ani kapelusza, ani okularów i po dwóch minutach czuję, jak skóra na głowie regularnie mi się piecze.

Ale Dale czuwa. Z bocznej kieszeni siedziska Eve wyjmuje pilota, naciska guzik i nad naszymi głowami rozsuwa się markiza, dając błogosławiony cień. Ten facet zaczyna działać mi na nerwy. Czy jego cholerne miłosierdzie i troskliwość" nigdy się nie wyczerpią?

- Cześć, Dale. Cześć, Evie. Prawda, jaki piękny dzień? Ważąca - bez przesady - ze sto trzydzieści kilogramów kobieta, ubrana w jasnoniebieską suknię lejbę, zbliża się do nas charakterystycznym, kaczkowatym krokiem ciężarnymi i grubasów.

- Idę do sklepu. Przynieść wam coś? Zbliża się pora lunchu.

- Dzięki, nie trzeba.

Dale zakłada nogę na nogę. Kobieta stoi, wahając się bawi się kosmykami długich włosów. Wiem, że oczekuje, by Dale nas jej przedstawił, ale on milczy, więc w końcu sobie idzie.

- To chyba nie była Gina? - Ciekawość bierze górę nad moją wścikłością na niego. Wychyłam się, by uważniej przyjrzeć się kobiecie. - Robert wspomniał, że Eve ma jeszcze jedna przyjaciółkę, Ginę.

- Nie. To nie Gina. - Parska śmiechem. - To Mary. Nazywamy ją Mary RR, bo to nasza mała rozgłośnia radiowa. Pchła nie może zeskoczyć z psa, żeby Mary nie chciała wiedzieć dlaczego. Ale Ginę polubisz. To porządna kobieta, mieszka parę ulic stąd.

- Zajrzy tutaj dzisiaj?

- Powinna. Tylko nie lubi wczesnie wstawać.

- Tu zawsze jest tak gorąco? - Willow zrzuca sandały.

- Kobieto, toż to dopiero kwiecień! Przyjedź w sierpniu to pogadamy. - Dale też zrzuca z bosych stóp klapki. - Właśnie przyszła przedwczesna fala upałów, ale wiosną to tu jest żadna anomalia. Opowiedz im, co myślałaś o pogodzie kiedy pierwszy raz przyjechałaś do Phoenix, Eve. Jaki to był miesiąc? Sierpień?

Eve wybuchła śmiechem. Kiczowate okulary zsunęły jej się z nosa, więc poprawia je palcem.

- Sądziłam, że to kara za moje grzechy, przygrywka do ognia piekielnego. Wcześniej mieszkałam w Chicago, gdzie zimą można uświerknąć z zimna. Taka była moja pierwsza reakcja, prawda, Dale? Spytałam cię: „Dlaczego przywiozłeś mnie w to miejsce, gdzie jest goręcej niż w piekielnych kadziach?”.

- Zgadza się, właśnie tak powiedziałaś. - Dale uśmiecha się do nas. - Narzekała na zimę na wschodzie, nie znosiła lata i zimy na

środkowym zachodzie, nic jej nie odpowiadało, „Jezusie, Maryjo i Józefie święty”, spytała, „dokąd teraz mnie zawieziesz?”. Wtedy jeszcze nasza dziewczynka była pobożna, a w każdym razie taką odgrywała. Podejrzewam, że udawała z czystej przekory. Uwielbiała cytować co lepsze kawałki grożących piekłem irlandzkich kaznodziejów. Przez wszystkie lata ja i wasza matka stoczyliśmy wiele teologicznych potyczek.

- „Wtedy”? Straciłaś wiarę, mamo?

Willow prostuje się jak struna. Ona i Paddy są strasznie święci. Zdaje się, że przed snem całą rodziną klękają do różańca. To pewnie robota Paddy'ego, bo pamiętam Willow z czasów, gdy nie wierzyła w Boga. (Wiem, że jestem niesprawiedliwa wobec Paddy'ego, ale nic na to nie poradzę).

- Czy straciłam wiarę? - Eve odpowiada, jakby nie słyszała w głosie Willow potępienia. - Sama nie wiem. Czasem wydaje mi się, że tak; czasem, że nie. Powiedzieć wam, czym, moim zdaniem, jest śmierć? I niebo? I piekło?

Ej, wystarczy już, Eve. - Dale prostuje długie nogi. Świeci słońce, jest piękna pogoda, właśnie przyjechały twoje córki. Miej nad nimi trochę litości.

Przeciwnie, Dale. - Willow poczuła się pewnie; to jej terytorium. - Chętnie o tym porozmawiam. Jestem ciekawa poglądów naszej matki.

Eve zerka na nią chytrze. Ona zdeorientowana? Zagubiona? Już nie.

- Cóż... Zaczniemy od śmierci - mówi z namysłem. - Sądzę, że śmierć jest spokojnym, gładkim przejściem, kresem bólu. Nagle spada z nas cała odpowiedzialność, nie odpowiadamy za nic ani za nikogo, nawet za kłopoty, których przysporzyliśmy innym. Zostajesz tylko ty. I wszyscy zaczynają lepiej o tobie myśleć. A w każdym razie lepiej się o tobie wyrażają, mówią same przyjemne rzeczy. Właśnie tym dla mnie jest śmierć. Po prostu ulgą. A jeśli chodzi o czyściec i piekło... -  
Milknie. Wodzi wzrokiem od Willow do mnie i znowu do Willow. -  
To stek bzdur, wymyślonych przez mocarzy tego świata, żeby nie przewróciło nam się w głowie i żebyśmy sobie nie wyobrażali, że możemy być szczęśliwi. Weźcie chociażby limbus puerorum, osobne miejsce dla duszyczek dzieci zmarłych bez chrztu. - Pochyliła się do im i przemawia z żarem. - Wystarczył jeden ruch pióra, by zniknęło po wiekach męczarni kobiet takich jak Maura, która co dzień się zadreślała, że jej maleńkie, zmarłe bez chrztu dziecko nie dostanie się do nieba i dlatego nigdy się nie spotkają. „Nie chcę iść do raj, Eve”, powtarzała mi Maura za razem. „Jak mam iść do nieba, skoro jego tam nie będzie?”. To tylko jeden ze sposobów, jakimi hierarchia kościelna usiłowała nas zmusić do wiary. A jak masz się cieszyć w niebie, skoro wiesz, że już nigdy nie ujrysz swojego maleństwa?

Nagle żar się w niej wypala, opada na poduszki nagle zasmucona.

- Ale z Maura nie było o tym dyskusji - podejmuje cichu - Była pobożna i wierzyła we wszystko, co jej mówili, także w limbus puerorum. Uważała mnie za bezbożnicę. I pewnie nią byłam. Nadal

jestem. Kiedyś modliłam się za was, dziewczęta, i za Rowana. Krzyczałam na Boga, błagałam Go, żeby coś zrobił, żeby pomógł mi naprawić błędy. Ale nie robiłam tego dobrze, nie akceptowałam Jego woli. To nie była prawdziwa wiara, raczej przesąd albo próba przekupstwa. Cóż, (tak w każdym razie teraz to widzę. Sama pytałaś. - Zamyka się w sobie, w świecie własnych przemyśleń.

- Kim jest Maura? - pytam cicho.

Cóż, ktoś musiał się odezwać. Dale wygląda na ubawionego, Willow odjęło mowę. Nie na długo.

- Przepraszam. - Wstaje. - Nie pogniewajcie się, ale muszę zadzwonić do domu. Powinni właśnie zebrać się przy posiłku. Moja komórka nie ma tu zasięgu, jest może w pobliżu jakaś budka?

- Zadzwoń z mojego telefonu. - Dale sięga do kieszeni na piersi.

- Nie, dziękuję. - Willow już się wycofuje. - Naprawdę, wolę skorzystać z budki.

- Jest ich kilka... - Eve podaje jej wskazówki i Willow znika.

Ktoś ma ochotę na przekąskę? - Dale prostuje się na całą wysokość. - Jest przygotowana, czeka w lodówce. Ma-Ho robi odjazdową sałatkę z krewetkami. Zaraz podam. Woda z lodem dla każdego?

Nie czekając na odpowiedź, znika w przyczepie. I przynieś całuski! - woła za nim Eve. - Jadłaś całuski I lersheya, Arabello?

Nie, nie przypominam sobie. I warz Eve rozpromienia się jak u dziecka. To czekoladowe łożki. Zakochasz się w nich. Poprosiłam



Dale'a, żeby kupić je specjalnie na wasz przyjazd. Trzymaliśmy je w lodówce, żeby się nie rozpuściły. Mówię ci, klawe jak nie wiem co.

Uśmiecham się z rozrzewnieniem. Jakież to rozbrajające, pachnące myszką słowo. „Klawe”. Nie słyszałam go od lal. „Zjadajcie wasze pieczone jabłka, dziewczynki. Prawda, że klawe?”. Tak mówiła siostra Marcella. A może Martiria. Albo jeszcze któraś.

- Świetnie. - Uśmiecham się do Eve.

Ale tak naprawdę myślę o tym, jak przez te dwie doby przeszłość, która latami siedziała gdzieś w głębi mnie ni czym wielka sucha cebula, nagle ożyła, stała się czymś rzeczywistym, namacalnym. Telefon Dale'a sprawił, że kolejne warstwy zaczęły się łuszczyć, odsłaniać następne, rozsypywać. Sięgam po nie i sama nie wiem, co może być historią, a co jest teraźniejszością rozgrywającą się na moich oczach.

Wraca Dale ze stertą talerzy, sztuczkami i całuskami.

- Na deser, Eve - ostrzega. A do mnie dodaje konfidencjonalnie:  
- Straszny z niej łasuch. Okropny.  
- Nakryję.

Biorę naczynia, a Dale wraca do środka. Teraz czuję się, oszukana. Podczas gdy ja i Willow zostaaliśmy bez niczego, ten cały Dale ma pełen skład wspomnień i opowieści o Eve

Moja matka znów mi się przygląda.

- Powiedz prawdę, Arabello - odzywa się. - Co się dzieje z Rowanem? Dlaczego Willow tak okropnie się o nim wyraża? Przecież powinna mu pomóc. Ty nie nienawidzisz go aż tak jak ona?



Z namaszczeniem, z podejrzaną starannością rozkładam pierwszy komplet sztućców na niskim, ogrodowym stoliku, wokół którego stoją nasze krzesła.

- Willow go nie nienawidzi, Eve. Ani ja. Po prostu... po prostu ostatnio... - Urywam.

Jak mam wyjaśnić tej kobiecie, że już w okresie dzieciństwa, nawet przed upadkiem Rowana, jej dwie córki i syn rzadko ze sobą rozmawiali, a jeszcze rzadziej się spotykali? Na pewno żyje w przekonaniu, że po przymusowej rozłące, gdy zostaliśmy umieszczeni w różnych sierocińcach, cała nasza trójka, niemająca wszak innej rodziny, szukała u siebie pociechy i wsparcia.

- Ostatnio Willow za nikim ani za niczym nie przepada -kończę żałośnie. - Ale nie musisz się o nią martwić, to tylko taki okres. A gdybyś widziała jej dwójkę, Maeve i Dermota -uderzam w weselszą nutę. - Po prostu się uwielbiają. Poważnie. Może kiedyś ich poznasz.

- Może poznam.

Nie kupiła mojej bajeczki. Wbija wzrok w deski. Kończę nakrywać do stołu. Nie spieszę się.

- Cieszę się, że zostałyśmy na chwilę same - mówi wolno.

Na coś się zanosi; na coś, czego nie chcę. Nie chcę żadnych zwierzeń. Jeszcze nie teraz. Prostuję więc noże i widelce, jakbym zastawiała stół dla władcy Syjonu.

- Muszę ci coś dać. Nie da mi spokoju? Nie, nie da.

- Wejdz do środka, Arabello i poproś Dale'a, żeby dał ci moje blaszane pudełko, a potem przynieś je tutaj, dobrze?

Masz blaszane pudełko? Ten zbieg okoliczności to dla mnie taki szok, że upuszczam łyżeczkę.

- Odpowiedziałaś na moje kolejne pytanie. - Patrzy, jak podnoszę łyżeczkę. - Liczyłam, że nadal będziesz miała swoje. Nie są identyczne, ale starałam się dobrać jak najbardziej podobne. Polowałam na nie na wyprzedażach, sklepach ze starociami. Wiem, że to zabrzmiało głupio, ale chciałam w ten sposób stworzyć chociaż złudzenie więzi. Moje pudełko zapisałam w testamencie tobie. Pewnie myślisz: Też mi coś.

Nie mogę na nią patrzeć, jej spojrzenie przeszywa mnie na wskroś.

- Przyniosę.

W kuchni Dale przekłada sałatkę z plastikowego pudełka do salaterki.

- Jeszcze moment, sos do sałatki jest już gotów. Mogła byś wynieść wodę z lodem?

Pokazuje mi tacę ze szklankami i dzbankiem.

- Eve prosi o blaszane pudełko.

- Tak? Naprawdę?

Wyciera ręce w ścierkę, a potem znika za drzwiami - za pewne sypialni.

Pudełko Eve jest w jeszcze bardziej opłakanym stanie niż moje. Jest owalne, tak jak moje, ma wieczko na zawiasach, ale skorodowany obrazek nie przedstawia kwiatów, tylko widoczek z górami i jeziorem. Prawdopodobnie to okolice Killarney. Raz wybrałyśmy się tam z

Gretą pociągiem na jednodniową wycieczkę: po dróż trwała pięć godzin w każdą stronę, na miejscu spędziłyśmy cztery i pół godziny. Lało jak z cebra, a wiatr urywał głowy.

„Odmiana to najlepsza forma wypoczynku”, oświadczyli Greta sentencjonalnie, po czym w sklepie z pamiątkami kupiłyśmy karty i w holu Great Southern Hotel rznąłyśmy w makao aż do przyjazdu pociągu.

W pociągu puszczała przez głośniki muzykę, nasi współ pasażerowie parodiowali wykonawców i naprawdę świetnie się bawiliśmy.

- Zaniesiesz jej czy ja mam to zrobić? - przywołuje mnie do rzeczywistości Dale.

Kiedy wychodzę na ganek, Eve śledzi mój każdy krok

- Otwórz.

Na wierzchu leży dokument, związany spłowiałą tasiemką. Biorę go do ręki i widzę pod spodem cienką, pożółkłą ze starości tkaninę.

- Co to?

Nie dotykam, boję się, że rozpadnie mi się w dłoniach.

- To niemowlęca koszulka, w której mnie znaleziono - wyjaśnia Eve. - W Wigilię czterdziestego czwartego roku.

Trochę potrwa, nim to do mnie dotrze. Na razie jednak rozwiązuje wstążeczkę i rozwijam dokument. Metryka Eve. linię dziecka: Eve. Pleć: K. 24 grudnia 1944 roku. Matka: nieznana. Ojciec: nieznany.

Chyba dopiero w tym momencie Eve staje się dla mnie realną postacią. W metrykach jest coś poruszającego, a zarazem trwałego. To urzędowy dokument, odnotowujący -potwierdzający - że istniejesz. Że istniałeś. Teraz słyszę go znowu. Głos. Czysty jak brylant. Dobiega z bardzo daleka. Woła śpiewnie: „Arabello Moon! Wychodź z kryjówki!”.

Ja i Eve musiałyśmy się bawić w chowanego. Nie pamiętam gdzie, na pewno nie w naszym pokoju. Jedyna podpowiedź, jaka mi się nasuwa, to mgliste wspomnienie wnętrza dużego brązowego mebla. Może kredensu lub szafy. I za-pach. Chyba tkaniny. Albo szlachetnego drewna, mahoniu albo cedru. Przyjemność sprawia mi nie tyle brzmienie jej głosu, ile to, co on ze sobą niesie. Eve mogła mieć jakieś czułe zdobnienia dla mojego rodzeństwa, jednak żadne ich nie zapamiętało, bo byli za mali, gdy odeszła. Ale dla mnie miała moje własne imię i zapamiętałam je. Jestem Arabelłą Moon. To tak osobiste i wyjątkowe, że na samo wspomnienie przeszywa mnie dreszcz, Eve nadal mi się przygląda.

Znaleziono mnie w pudełku po butach. Miałam kilka godzin.

Pudełko po butach? Musiało być wyjątkowo duże. serce mi się kraje, gdy to sobie wyobrażam. Podobno byłam wcześniakiem - odpowiada cicho. Dlaczego mi to pokazujesz? A co z Willow?

Drżącymi rękami chowam metrykę do pudełka. Nie śmiem podnieść wzroku na Eve. Nie chcę myśleć o tym, co przed chwilą usłyszałam. Świat nagle wydaje mi się kruchy jak szkło, boję się, by czegoś nie zniszczyć ani nie złamać. Może jej. Może swojego

wyobrażenia o sobie. Wiem, że to brzmi idiotycznie, ale właśnie tak to odbieram.

- Wszystko w swoim czasie. Ty jesteś najstarsza, Arabell o. Nie chcesz obejrzeć pozostałych rzeczy? Przeczytasz pamiętnik?

- Jak tylko będę miała okazję. Schowałam go do torebki

- To dzieje mojego życia.

Mam wrażenie, że w jej głosie słyszę błaganie. Okropna sytuacja. Nie wiem, co powiedzieć.

- Nie znajdziesz w nim umoralniających historii, tylko szczerą prawdę - ciągnie. - Powstawał bardzo długo. Zawsze się modliłam, by kiedyś cię spotkać i osobiście opowiedzieć ci to wszystko. Nie chciałam, by wręczył ci go jakiś ważny pan mecenas czy inna papuga. Och! - zmienia ton. A oto i Willow! Mam nadzieję, że nikomu z jej rodziny nic nie jest.

Podnoszę wzrok. A jednak musiało się stać coś złego, bo moja siostra biegnie. Willow nigdy tego nie robi, a jeśli już to tylko na bieżni.

- Paddy był wściekły jak osa, że wcześniej nie zadzwoniłam - dyszy, wskazując na ganek. - Nie wiedział, że moja komórka tu nie działa. Wczoraj, zaraz po naszym wyjeździe, znaleźli Rowana. Jest w drodze tutaj, jego samolot ląduje za półtorej godziny

---

## Rozdział 19

---

Kurwa mać! Jeśli zaraz nie zapalę, zabiję kogoś. Nie żartuję, Uduszę gołymi rękami albo rozwalę łeb, albo zrobię coś równie desperackiego. Mam gdzieś, że mnie aresztują. Sam oddam się w ręce sprawiedliwości. Podejdę do jakiegoś ważniaka w mundurze, dmuchnę mu dymem w twarz i sprowokuję, żeby mnie zapuszkował. Byłoby warto dla jednego sztacha. Usta mi wyschły, na podniebieniu czuję piasek, za to zęby płoną żywym ogniem. Widzicie tamtego pieprzonego kaktusa? Już po nim. Rozszarpie go gołymi rękoma. Słowo daję. Muszę zapalić...

Nigdy przedtem nie podróżowałem samolotem. Facet w moim wieku. Dacie wiarę?

W teleajku wygląda to super, uśmiechnięte laseczki pochylają się nad tobą, częstują szampanem, podają serweteczki. Rany. Ależ ta telewizja kłamie. W rzeczywistości człowiek siedzi z kolanami pod brodą, a tyłek go boli, i jakby trzy dni nie ruszał się z tego parszywego fotela, pasażerowie chrapią, nos masz zatkany. Dzieciaki obrzucają się śmieciami, noże pękają, jeśli próbujesz nimi coś ukroić. Nie, żeby było co kroić. Jedzenie to papka, Przeżuta ohyda.

Słodkimi głosikami zapewniają, że w każdej chwili są do dyspozycji, ale jeśli naciśniesz ten czerwony guziczek nad głową, podchodzą i warczą: „tak?“, mierząc cię takim spojrzeniem, jakbyś napierdział im do torebki.

Chryste. Ostatni raz wsiadłem do samolotu, to pewne. Najgorsze, że jak już raz się wsiądzie, nie można wyjść. Nic dają spadochronów. Tylko kamizelki ratunkowe, jakbyś podróżował zasranym „Titanikiem”.

Ależ ze mnie dupek. Trzeba było posłuchać pierwszej myśli. Wykorzystać tę forszę, żeby się ustawić.

Co mi strzeliło do łba?

Już wam mówię co. Zaćmienie umysłowe. Jak można było tak się wygłupić? Mamcia! Chłoptaś chciał zobaczyć mamusię.

Ale coś wam powiem. Kompletnym głupkiem jednak nie jestem. Fakt, zaopatrzyłem się w pieprzony garniak i buty, ale kupiłem je u Freda za całe dwadzieścia dwa euro. Łącznie z walizką. W ten prosty i nieskomplikowany sposób Rowan jest do przodu o dwie stówki i osiemdziesiąt euro. Dobra, tylko dwie stówki. Kupiłem sobie zapas fajek.

To Szajbus mi powiedział, że Fred ma nową dostawę Tak, po łomocie i tak dalej pewnie się dziwicie, że w ogóle ze sobą gadamy, ale to Szajbus pierwszy się odezwał. Nie chowa długo urazy.

Wpadłem na niego, wychodząc z urzędu paszportowego. Próbował obrobić wóz po drugiej stronie ulicy, a kiedy mnie zobaczył, darował sobie i podszedł. Chyba miał wyrzuty su mienia za tamten łomot. Oczywiście nie przeprosił. Powie dział tylko, że chyba trochę go poniosło.

- Nie zdzierzyłem. Wiesz, jak to jest, Rosie.

Mówi na mnie Rosie\*, ale ponieważ wysoko cenię swe je życie i zdrowie, nie protestuję. Potem proponuje mi fajki,

Ma tylko skręty domowej produkcji, ale na bezrybiu i rak ryba. Palimy.

- To chyba nie jest twój teren, Rosie - zagaił. - Co cię tu, kurwa, przywiało?

Wygląda na wkurzonego, jakbym próbował go wyrugować z jego terenu, więc tłumaczę, że przyszedłem do urzędu Wyrobić sobie paszport, bo jadę do Ameryki.

Odpręża się.

- Fajnie, Rosie - mówi. - Wyjdzie ci na zdrowie. To miejsce i tak jest porąbane. - Zaciąga się. - Stany Zjednoczone Ameryki - mówi, wypuszczając dym nosem. - Kraj Ojców Pielgrzymów. - Mierzy mnie wzrokiem od stóp głów. - Jedziesz w tych łańkach?

- Nie. Muszę sobie coś kupić.

Wtedy mówi mi o świeżej dostawie u Freda. W ten sposób Rowan zyskuje niezłe kieszonkowe. Czego oczy nie widzą, tego sercu nie żal.

Kurważeż mać. Teraz jeszcze kolejka po bagaż. I żebym jeszcze miał tam Bóg wie jakie skarby. A to tylko kilka par skarpet, jakieś śmieci i śpiwór. Niewarte takiego czekania.

Mówię wam, zaraz zapalę. Daję im jeszcze minutę i ani sekundy dłużej. A niech mnie pošlą na tę swoją wysepkę na środku oceanu. Tę od „Ucieczki z Alcatraz”. A niech mnie postawią przed plutonem egzekucyjnym. A niech mnie zastrzelą



---

## Rozdział 20

---

Na lotnisku w Phoenix nadal panuje atmosfera absolutnego luzu. Jest może trochę więcej dzieci niż poprzednio i mimo klimatyzacji upał daje się bardziej we znaki. Willow histeryzuje i po raz enty spogląda na zegarek.

- Samolot wylądował wieki temu. - Dwadzieścia minut - prostuję.

- Darujcie, drogie panie, pójdę do łazienki.

Nic dziwnego, że Dale daje nogę. W tym momencie zachowujemy się gorzej niż złe siostry Kopciuszka.

Na wieść o przyjeździe Rowana zapomnieliśmy o lunchu. Dale poszedł po samochód, a ja i Willow sprawdziłyśmy, czy pod naszą - a także Roberta i Maria - nieobecności Eve niczego nie zabraknie.

- Przyjeżdża? Naprawdę przyjeżdża?

Naszą matkę przepelnia taka radość, że nawet nie ofukuje nas, po co robimy wokół niej tyle zamieszania. Najwyraźniej nie dotarło do niej nic z tego, co powiedziałyśmy a raczej, co Willow powiedziała - o Rowanie. Nawet plotkara Mary RR wyczuła, że dzieje się coś niezwykłego, bo za trzymała się przy nas i potęgowała rozgardiasz, zadając pytania, oferując pomoc i ogólnie zawadzając.

Kontrolowany chaos, tak to się chyba nazywa.

Mnie perspektywa rychłego przyjazdu Rowana doprowadziła na skraj rozstroju nerwowego. I nadal panicznie się boję. Chyba nie muszę wam tłumaczyć dlaczego. A jeśli, tak jak się obawiam,

wysiądzie z samolotu pijany albo na haju? Co powinniśmy wtedy zrobić? To największy problem. Nigdy nie wiadomo, w jakim stanie pojawi się Rowan. W Dublinie to właściwie bez znaczenia, jest tylko bolesne. Ale jak na to zareaguje Dale? A jeżeli pierwsze spotkanie Rowana i Eve nie wyjdzie dobrze?

Cholera, znowu ta pierońska empatia. Czuję jego ból i jej hol, mam wyrzuty sumienia, że zawracamy głowę Dale'owi. przez całą podróż nieustannie przepraszałam, że tak szybko wlecemy go na lotnisko. Oganiał się, aż wreszcie się przymknęłam i schowałam w swojej skorupie. Willow - spięta i niekomunikatywna - bębniła palcami w torebkę, jakby to był akordeon. Strasznie działała mi tym na nerwy. Czasem się zastanawiam, jak to możliwe, że obie wyszłyśmy z tego samego łona. A może którąś z nas podmieniono w szpitalu?

Istne szaleństwo - warczy teraz. Na lotnisku też bębni palcami, więc naturalnie przeżywam i jej lęki. Natychmiast odzywa się we mnie harcerczka, która chce, aby wszyscy byli szczęśliwi i zadowoleni.

Nie podziękowałam ci za załatwienie biletów, Willow odzywa się głosem słodkim jak miód. - Stokrotne dzięki Spokojnie, zwrócę ci pieniądze za bilet. Oczywiście, za połowę Rowana też. Co do grosza.

To nie było takie proste.

Wiem. Nie wykluwaj mi tym oczu. Koniec słodczy. Zamierzałam spytać, jak zdobyła pieniądze ale nie pozwolę się dłużej upokarzać. Z drugiej strony biednemu Rowanowi i tak nie będzie

słodko, kiedy wyląduje nie potrzebuje na dodatek komitetu powitalnego z sióstr skaczących sobie do oczu.

- Właśnie, Willow, zamierzałam ci powiedzieć... - Jedno muszę sobie przyznać, nie poddam się bez walki. - ...ale nic było okazji. Eve ma takie samo metalowe pudełko jak my. Pozwoliła mi do niego zerknąć, ale nie zdążyłam wszystkie go obejrzeć.

Willow milczy.

- Nie wzięłam go, zostało u Eve. Tak się spieszyliśmy, żeby tu zdążyć... Ale z tego, co zdążyłam zobaczyć, wynika, że życie jej nie rozpieszczęło.

- MY się spieszyliśmy? - Wzrok ma wbity gdzieś w przestrzeń.

- Jedno zdążyłam zobaczyć. Trzyma tam swoją metrykę urodzenia.

To wreszcie wywołuje u niej jakąś reakcję.

- Kiedy zdążyła ci to wszystko pokazać?

- Kiedy dzwoniłaś do Paddy'ego.

- Czemu wcześniej nic nie mówiłaś?

- Dopiero teraz nadarzyła się okazja. Nie chciałam wszystkiego wychłapać przy Dale'u. Bądźże rozsądna.

- Rozsądna? To ty się uparłaś, żeby wszędzie szukać Rowana I oto skutki. Bardzo dobrze, ty się nim zajmuj.

- Rozmawialiśmy o tym setki razy. Liczy się tylko jedno: to jej syn. Ma dokładnie takie samo prawo spotkać się z matką jak my.

- Skoro tak uważasz. - Znowu patrzy w przestrzeń A potem dodaje z pozorną obojętnością: - Co było w tej metryce?

- Nic szczególnie oryginalnego. Samo imię: Eve. Rodzice nieznani.

- Aha! Zatem nie dla nas zażywe babunie z puciołowatymi bużkami. A to niespodzianka! - Wbija wzrok w buty i pyta cicho: - Skoro „rodzice nieznani”, to skąd wzięła nazwisko Rennick, które podała w naszych metrykach jako swoje panieńskie? Nie przyznałam ci się, ale parę lat temu obdzwoniłam wszystkich Rennicków w Irlandii. Wydałam majątek na rozmowy z biurem numerów, wyciągnęłam od nich listę Rennicków w Anglii, a nawet w Walii.

- Do nich wszystkich dzwoniłaś? -Tak.

- W nadziei, że znajdziesz jakichś krewnych?

- Tak. - Jej mina ostrzega przed zadawaniem zbyt osobistych pytań. - To skąd wzięła nazwisko Rennick?

- Nie mam pojęcia.

Wzruszam ramionami, ale tak naprawdę jestem w szoku.

Najpierw moja siostra przyznała się do poszukiwań ojca, teraz zaś słyszę drugie wyznanie kobiety, która zostawiła przeszłość za sobą i parła naprzód - kobiety w najmniejszym stopniu niezainteresowanej naszą dysfunkcyjną komórką społeczną?

- Spytamy ją przy pierwszej okazji.

- Pokazała ci coś jeszcze?

- Dużo więcej nie zobaczyłam, ale są tam inne rzeczy. Ubranko, w którym ją znaleziono. Miała wtedy parę godzin, Willow. I nigdy nie zgadniesz; to pewnie zbieg okoliczności, ale- znaleziono ją w Wigilię, tak jak nas.

Willow kojarzy błyskawicznie, tak samo jak ja wcześniej. Patrzy na mnie ze zgrozą.

- Chcesz powiedzieć, że świadomie wybrała dla nas tę samą datę?

-To były jej urodziny. I miała zaledwie dwadzieścia lat.

-To chore, Arabello. - Willow nie dopuszcza żadnego usprawiedliwienia. - Po prostu chore. - Nagle coś zauważa zmienia ton. - Cholera jasna, ten dziad nawet nie ma skarpet.

-Gdzie jest?

Idę za jej wzrokiem i widzę Rowana, który wolno przedziera się przez tłum, rozglądając się za nami. Ostatnio widziałam brata parę miesięcy temu. Był wtedy gładziutko ogolony. Mniej więcej, bo na brodzie miał szczecinę, a włosy urosły mu już parę milimetrów. Teraz włosy sięgają mu do ramion, a twarz zasłania gęsty zarost. (W jednej trzeciej siwy. To się nazywa szok!). Nowy garnitur nieźle na nim leży, choć spodnie są przykuse. Kiedy widzi się Rowana przy garbionego, w brudnych dżinsach i dziurawym swetrze, sprawia wrażenie o wiele niższego niż w rzeczywistości. Te raz nie chwieje się ani nie zatacza. Idzie wyprostowany. Jest trzeźwy. Światło odbija się w jego umytych włosach.

- Wygląda całkiem przyzwoicie. - Nogi się pode mną uginają z ulgi. - Chyba jest w porządku. Może wszystko dobrze się ułoży? Prawda, że do twarzy mu z tą brodą?

Ale Willow nie daje się tak łatwo oczarować.

- Jasne, nasz kochany braciszek-ćpun będzie się tu zachowywał niczym święty Franciszek z Asyżu.

- Cóż, ma garnitur zamiast habitu, za to broda i fryzura są jezusowe.

Willow raczy mnie swoim lodowatym spojrzeniem.

- Litości, Willow, gdzie twoje poczucie humoru? - Macham do Rowana. - Daj chłopakowi szansę.

Rowan zauważa mnie i przyspiesza. Kiedy podchodzi bliżej, widzę, że walizka podskakuje mu w ręce przy każdym kroku: widocznie nie ma tam zbyt dużo rzeczy. I Willow nie myliła się ze skarpetkami. Między butami a przykrótkimi spodniami widać piętnastocentymetrowy kawałek gołej skóry. Ale i tak się cieszę, że tak się postarał. Albo że ktoś, prawdopodobnie Paddy, chwala mu za to - postarał się w je go imieniu.

Rowan i Dale podchodzą do nas jednocześnie. Może to i dobrze, bo nasz brat nie jest szczególnie gadatliwy. Już sama obecność Amerykanina stanowi swego rodzaju pomost między nami.

Zgadnijcie, kto się poczuwa do obowiązku przedstawienia sobie ich obu (strata czasu, bo Rowan, pochłonięty wyjmowaniem papierosów i zapalniczki, nie raczy nawet wyciągnąć ręki) i próbuje wszcząć towarzyską konwersację, wyrażając nadzieję, że lot był udany. Tymczasem Rowan, nie dość że konsekwentnie ignoruje Dale'a, jakby ten był taksówkarzem, to teraz jeszcze ignoruje moje wysiłki i słowa powitania przerywa pytaniem.

- Czy w tej pierdolonej ruderze znajdzie się miejsce dla palaczy?

Daję mu sójkę w bok. Solidną. I zniżam głos, by nie słyszał mnie stojący obok Dale.

- Słownictwo! To nie Dublin! Postaraj się okazać minimum szacunku. Jesteśmy w porządnym towarzystwie, wśród ludzi, którzy nie klną jak szewcy, więc bądź łaskaw się, miarkować, dobra? - Po czym szczebioczę głośno. - Oczywiście, Rowanie. Możesz zapalić na zewnątrz. A potem chyba od razu wrócimy do osiedla. Eve nie może się ciebie doczekać.

Ej! Umieram z głodu! - protestuje. Willow i ja - wyjątkowo jednomyślnie - bierzemy go pod rękę, każda pod jedno ramię, i wyprowadzamy z hali. Dale zamyka pochód.

Jeśli jesteś głodny, po drodze kupimy ci hamburgera, Czekając, aż Dale podjedzie pikapem, też wyciągam fajki i palę razem z Rowanem,

- I jak? Poszło bez problemów? - No.

Zaciąga się głęboko. Willow ostentacyjnie stoi dobry metr od nas, jakby mówiła: co to za ludzie? Ja nie mam z ni-mi nic wspólnego.

- Opowiedzieć ci o Eve czy nic nie mówić, żeby cię nie sugerować?

- Odwal się, Arabella. Zostaw mnie w spokoju. To był błąd, że tu przyjechałem. - Potem dodaje bez przekonania: Przepraszam. Postaram się. Dobra?

- Jedno muszę ci od razu powiedzieć: Eve jest po wypadku. Niezbyt groźnym, ale ma połamane żebra i nogę w gipsie. Czasem

musi się ratować butlą tlenową, więc się nie stresuj, jak zobaczysz aparaturę. To nic poważnego.

- Czyli, jeśli dobrze rozumiem, mam nie mówić jej na dzień dobry: „Siemanko, staruszko, dokąd wyskoczymy?” Tak?

Nie są to fajerwerki dowcipu, ale nie pamiętam, kiedy ostatnio słyszałam mojego brata żartującego. Trzeba to za pisać kredą w kominie. Nie chcę jednak kusić losu, więc tylko się uśmiecham i udaję, że rozglądam się za Dale'em, jednocześnie myśląc, że chyba popełniłyśmy błąd, zmuszając Rowana do przyjazdu. Chwilowo jest nieźle, ale nie sposób przewidzieć, w którą stronę przechyli się szala. Zerkam na niego z ukosa. Rowan wypuszcza dym i przygląda się z uwagą Dale'owi. Nagle uświadamiam sobie, że zadbany i bez tej ponurej miny, z którą obnosi się jak z tarczą, jest naprawdę przystojny: piękne kości policzkowe i cudowne oczy Eve. Trochę przypomina Daniela Day-Lewisa. Wyczuwa mój wzrok.

- Czego?

- Cieszę się, że tak dobrze wyglądasz. To prawdziwa uczta dla oczu.

- Nie zaczynaj, Bel... - Ale widzę, że sprawiłam mu przyjemność.

Nawet przy maksimum dobrej woli w pikapie nie zmieszczą się cztery osoby, więc Rowan musi jechać z tyłu

- Nie ma sprawy, facet.



Uśmiecha się do Dale'a. W przeciwieństwie do swoich pobratymców z ulicy zęby ma w dobrym stanie. - Jestem skonany, więc skimnę się tam i będzie cacy.

Z walizki wyciąga przedpotopowy śpiwór. Płonę ze Wstydu, ale w duchu ustawiam się do pionu. Pamiętaj, chłopak się stara. Okaż mu cień wyrozumiałości. Zresztą, to nie twój syn ani nie nastolatek. Nie odpowiadasz za niego. To twój brat, dorosły mężczyzna...

Ruszamy. Co pewien czas zerkam za siebie i przez tylną szybkę przyglądam się bratu. Śpi albo udaje, że śpi. Śpiwór jest wściekle zielony. Przytulony do walizki jak do kotwicy Rowan przypomina wielką, zieloną gąsienicę. Robi się późno, drogie panie.

Głos Dale'a wrywa mnie z zadumy. Jesteśmy w połowie drogi do Robinia Meadows. Do tej pory milczeliśmy, każde pogrążone we własnym świecie. Ja snułam wizje rodem z „Domku na prerii”. Występowałam w nich jako dzielna pielęgniarzka, której Eve zawdzięcza powrót do Mrowia, a w najgorszym razie byłam wierną opiekunką, towarzyszącą jej do Szczęśliwego Zgonu. Modły o Szczęśliwy Zgon były stałym punktem nabożeństw u Świętej Kamili.

Powinniśmy się zastanowić, gdzie dziś przenocujecie -ciągnie Dale. - Umieszczę was w motelu. Te w mieście są dość drogie, ale może uda mi się coś wytargować. Nie sądzę byście dobrze się czuły w przyczepie Eve. Nie przywykłyście do takich warunków.

Rzeczywiście - zerkam na Willow - powinniśmy się nad tym zastanowić.

Zdacie się na mnie? To wam odpowiada?

Oczywiście, jak najbardziej. - Sygnalizuję Willow, by włączyła się do rozmowy, ale ona twardo siedzi ze wzrokiem utkwionym w drodze. - Dziękujemy, Dale. Nie wiem, co byśmy bez ciebie zrobiły.

Na pewno nie przyjechałybyście aż tutaj, prawda? -

Śmieje się serdecznie. - Cała przyjemność po mojej stronie  
Poważnieje. - Eve zmieniła nasze życie.

- O? Doprawdy? Jak to zrobiła?

Willow nagle nadstawia uszu, prostuje się i wychyla, by spojrzeć na Dale'a.

- Oooh - nasz kierowca nie spieszy się z odpowiedzią - Wasza mama to niezwykła kobieta. Dzięki niej znaleźliśmy sens życia. Zanim pojawiła się Eve, każde z nas było jak liść na wietrze. Oczywiście, oddzielnie. Eve i ja nie znaliśmy wcześniej Roberta ani Maria, ani Giny, ani pozostałych. Ad trafiliśmy tutaj i nagle wszystko nabrało sensu. Ja nikogo nie miałem, Gina nikogo nie miała. Robert i Mario mają siebie, ale tak często kłócą się o byle co... A w każdym razie wtedy się kłócili, więc nieraz każdy z nich czuł się, jakby był zupełnie sam.

- A kiedy pojawili się w waszym życiu?

- Kiedy ja i Eve przejeżdżaliśmy przez miasteczko w Alabamie.

Nie wiem, czy wiecie, że wtedy Alabama nie darzyła szczególną miłością ciot.

- Domyślam się. - W Irlandii nawet w myślach nie odważyłabym się nazwać homoseksualisty ciotą. - Mów dalej

- Ujmijmy to tak: gdyby nie Eve, unurzaliby ich w smole, a potem wytarzali w pierzu.

- Chyba nie mówisz dosłownie? - Jestem wstrząśnięta

- Nie. Jasne, że nie. Ale ona ma w sobie coś takiego, że Ani się obejrzeliśmy, jak wszyscy stali się super uprzejmi a Robert i Mario ruszyli z nami w drogę. Nie jechaliśmy konwojem, nie myślcie sobie, jednak nasze ścieżki wciąż się krzyżowały, aż w końcu trafiliśmy tutaj. Teraz wszyscy tu mamy Eve, w pewnym sensie to ona doprowadziła nas do Meadows. - Uśmiecha się szeroko. - Dla was to w ogóle nie trzyma się kupy, nie?

Przeciwnie, Dale.

Facet jest sympatyczny, choć te jego uniki doprowadzają mnie do szału.

- Wy poznaliście się w Nowym Jorku, tak? -Aha.

- Proszę, opowiedz, jak to było. Co to za wielka tajemni-ca? Co oboje ukrywacie?

- Niczego nie ukrywamy. Ale to historia waszej mamy. Sama będzie chciała wam o tym opowiedzieć.

- Nie obraziłaby się. Musimy wzajemnie streścić sobie cztery życiorysy - jej i nas trojga, a nie mamy tak znowu wiele czasu.

Historia okazuje się krótka. Pewnego wieczoru Dale balował z kumplami w Queens. I...

- Wraciałem do domu, a tu nagle, Chryste Panie!, widzę, jak Chevrolet wali w tył cysterny z paliwem, stojącej na czerwonym świetle. Benzyna zaczyna wyciekać, a ponieważ oba silniki pracują,

lada moment wszystko wyleci w powie-Podbiegam do samochodu od strony pasażera, bo to najdalej od cysterny, i co tam widzę? - Parska śmiechem na wspomnienie. - Drzwi są zablokowane, ale kobietka w środku, z jedną nogą przełożoną przez okno, próbuje wywlec z wozu faceta, ciężkiego jak kloc. Sama jest ledwo żywa i połamana, to już widzę. Jedno ramię wisi jej bez-władnie, od uderzenia w szybę ma krew we włosach, na twarzy i piersiach, a jednak zdrowym ramieniem chwyta gościa za kark i szarpie, zмага się, próbując go wyciągnąć, strata czasu, bo facet i tak jest już na lepszym świecie. Skreślił kark, ale ona tego nie widzi. Próbuję ją chwycić, a ta wrywa mi się i mówi, że nigdzie się nie ruszy, dopóki nie wyciągnie tego jegomościa. Łapię ją i tak, wynoszę i biegnę jak najdalej od samochodów. I wtedy - bum! Zdażyliśmy w ostatniej chwili. Ale ona nie słyszała już eksplozji, bo straciła przytomność. Tą kobietką była wasza mama. Tak się zaczęła nasza przyjaźń. Dzięki Bogu, że tamtego wieczoru jechali z odkreconymi szybami.

To była długa opowieść, ale Willow nie daje mu nawet odetchnąć.

- Kim był kierowca? Dale wzrusza ramionami.

- Nie mam pojęcia. Zająłem się waszą matką, odstawiłem ją do szpitala i tak dalej. Nie myliłem się, facet zginął na miejscu, tak napisali w gazecie następnego dnia. Dla mnie to nie była nowina, kark trzasnął mu jak zapalka. Za to kierowca cysterny przeżył. To pewnie on powiedział dziennikarzom, że wasza mama była bohaterką. Rozpisywali się o niej w prasie.

- Czy kiedykolwiek powiedziała ci, jak się nazywał tamten mężczyzna? - Na Willow nie robi wrażenia bohaterstwo Eve Albo jak go poznała? Co z nim robiła w aucie tamtej nocy?

Jest tak spięta, że drży od stóp po czubeczek głowy. Dale albo nie zauważa, albo jest zbyt dobrze wychowany, by okazać, że to widzi.

- Nie - odpowiada. - A ja nie pytałem. Nie mój interes Przez kilka dni leżała nieprzytomna. Omal jej nie straciliśmy

- Pamiętasz, jak wyglądał tamten mężczyzna? Jakie miał włosy? Był niski?

- Średni. - Przygląda się jej ciekawie. - A koloru włosów nie pamiętam. Bo co? Sądzisz, że wiesz, kto to mógł być?

- Nie, skąd. Po prostu próbowałam sobie dokładnie wyobrazić tę scenę.

Moja siostra znów opiera się o siedzenie.

Chciałabym ją uściskać, przytulić, ale wolę nie ryzykować. Na pewno nie przyjęłaby tego z entuzjazmem. Bo, wie cie, Willow sądzi - sądziła - że ten mężczyzna mógł być naszym ojcem. Mnie nie przyszłoby to na myśl.

---

## Rozdział 21

---

Nie mogę się doczekać, by wam to opowiedzieć. Jest już Jest już noc, Willow i ja nocujemy w skromnym hoteliku w Sedonie, Cudowne miasto, godne opisanania, zajmę się tym innym razem, bo teraz muszę wam zrelacjonować, co się wydarzyło po południu, kiedy przywiozłyśmy z lotniska Rowana. Gdybym była wierząca, powiedziałabym, że to prawdziwy cud.

Muszę opowiedzieć wam wszystko po kolei. Bądźcie cierpliwi wytłumaczę wszystko krok po kroku, łącznie z tym, co się działo przy okazji. To po prostu zbyt ekscytujące, żeby wyrzucić całość z siebie jednym tchem. Taka historia zasługuje, by ją opisać z najdrobniejszymi szczegółami.

Dobra. Zaczynam.

Rowan przespał całą podróż do Robinia Meadows. Kiedy podjeżdżamy, Eve czeka na nas w tym samym fotelu, w którym ją zostawiliśmy. Na nasz widok wstaje (ma już przygotowaną szwedkę) i podchodzi do schodów, czekając, aż się zbliżymy. Wsiadamy. Willow idzie prosto do łazienki. Ja budzę Rowana. Wstaje, potargany, w pogniecionym garniturze. Jeszcze nie zdążył zeskoczyć na ziemię, a Eve już płacze.

Rowan staje przy schodach, widać jego gołe kostki. Nie wie, co zrobić, co powiedzieć. Eve wyciąga ramiona. Rowan szura nogami, jakby nie mógł się zdecydować: uciekać czy nie, wreszcie się przełamuje, wchodzi po stopniach i pozwał ją się uściskać. Nie

obejmuje jej, stoi sztywno jak kołek, widzę jednak, że mocno zaciska oczy. Eve tak samo, ale jej spod powiek płyną łzy.

Czuję, że moje fontanny za chwilę też trysną, a to nikomu nie wyjdzie na zdrowie. Obracam się do Dale'a, jednak on wraca już do domu.

Przecież nie schowam się w samochodzie ani pod krzakiem.

Mogę wejść do przyczepy i przyłączyć się do Willow, uświadamiam sobie, więc omijam Eve i Rowana, bąkając pod nosem przeprosiny.

W środku panuje rozkoszny chłód. Głęboko wciągani powietrze, prawie dysząc. Nie zdawałam sobie sprawy, że wstrzymywałam oddech. Willow ani śladu, słyszę jednak szum wody w łazience. Staram się nie podsłuchiwać, co się dzieje na ganku. I tak zresztą trudno byłoby zrozumieć słowa - klimatyzator pracuje pełną parą. Dociera do mnie tylko cichy szmer. Nie wiem, które z nich mówi, nie jestem w stanie odróżnić, czy to męski głos czy kobiecy. Stawiała bym jednak na Eve.

Siadam na kanapie. Obok mnie leży pudełko Eve. Mam wrażenie, jakby unosiło się i kiwało na mnie palcem. „Sezamie, otwórz się”... Skoro i tak jestem tu uwięziona, myślę to właściwie czemu nie? I - sama nie wiem, jak i kiedy to się dzieje - przeglądam zawartość pudełka, wciągam słodkawą woń, przypominającą zapach palonego papieru.

Z największą delikatnością wyjmuję niemowlęcą koszulkę i odkładam ją na kanapę. Pod nią leży podniszczona brązowa koperta, a



w niej listy. Mnóstwo listów, pisanych na różnych papeteriach, wszystkie z amerykańskimi znaczkami Są zaadresowane: „Maura Rennick pg Bernie Rennick plus adres miejscowości gdzieś w środkowej Irlandii. Na każdej kopercie jednak widnieje odręczna adnotacja: „Nie-właściwy adres" lub „Adresat nieznany". Plus pieczętka irlandzkiej i amerykańskiej poczty z wysokością dopłaty za doręczenie listu z powrotem do adresata. Wszystkie koperty są otwarte, na każdej - zapewne ręką Eve - jest napisana duża cyfra od jednego do siedmiu. Waham się przez chwilę, a potem szukam listu z jedynką. Kartki były wielokrotnie wyjmowane i rozkładane. List został napisany dziecinnym charakterem pisma. Brakuje pierwszej strony, więc zaczynam lekturę od drugiej.

*...charówka, Maura, a te piece mnie kiedyś wykończom. Pakujom w nie strasznie dużo drewna kturę daje drobny po-można sie zadławić ale na pociechę majom windy (elektryczne) wienc nie tszeba targać jedzenia na gure a potem na duł, Raz w tygodniu dostajesz pul dnia wolnego i raz w mie-sincu cały dzień wienc bende miała kupe czasu żeby do ciebie pisać. Uczę sie pić kawę nie jest zła jak jusz człowiek pprzywyknie. Moja pracodawczyni to prawdziwa dama. Jest żydówka nazywa sie pani Finkelstein i mówię ci, oczy mam jak na szypotach bo w sprawie traktowania służby katolicy mogliby sie nie jednego od niej nauczyć. Nie wścióbia nosa nie wypytuje obchodzi ją tylko czy jesteś' ócziwa i nie boisz cieszkiej pracy. Mamy jeszcze jedną pokojuwke z fillipin ale rzadko sie z niom widuje bo głuwnie zajmuje sie dziećmi kucharkę z Meksyku. Te dwie nie muwiom dobrze po angielsku ale som*



*na prawdę miłe. W domu jest miło dzieci (2) grzeczne. Karzdy ma własny pokuj muj jest ładny i pszytym mam ciepłe koce i durzom szafę. Nie ofieramy dźwi. Otwiera je pani Finkelstein w razie gdyby to był ktoś z użendu emigracyjnego. Ale ja sie nie boje. Pani Finkelstein muwi, że ma znajomości i jakby coś sie stało, zajmie sie nami.*

*Jak wiesz nieraz serce mi penka gdy mysie co zrobiłam dzieciom. Ale Maura mósiałam dla ich dobra. Dzieniki temu dostanom lepsze wykształcenie niż ja i napewno w Irlandii nastanom lepsze czasy. Oby kiedyś mi wybaczyły a nawet je śli nie jaka była ze mnie matka nawet nie umiałam ich wy karmić a przeciesz charowałam i ciółałam grosz do grosza sprzontając te chałupy w Ranelagh, i chotele w Drumcondzsc o piontej rano a potem przez cały dzień prałam bródne łachy. Gdybym zostawiała je z Peteyem bałabym sie że zrobi im kszywde bo kiedy pije lepiej go omijać. Jedno z nich hyba Ara bella jusz by nie żyła wiesz jaki on jest jak sie napije a ona by go zdenewowała morze zadawała za durzo pytań. Nie na pewno bez niego im lepiej. A poniewasz ostatnio nie wracał do domu załorze sie że ich nie szókał. Ciekawe czy jusz wie? Czasem kiedy doskfiera mi samotność myślę o mojej 3. Ale staram sie durzo pracować i nie chodzidź z nosem na kfinte. Mam nadzieje droga Mauro że pomyślisz o mnie dobrze kiedy pujdziesz na msze. Ja jusz w rzyciu nie pujde na msze. Gdzie byli ksienza gdy ja i moje dzieci głodowaliśmy? I jak ten stary nietopesz muk mi na spowiedzi kazać wracać do domu i pogodzić sie z moim mężem kiedy sie na niego skarżyłam*

*I powiem ci czego jeszcze nie żałóje. Nie żałóje że odda łam do lombardu obronczke i tom srebrnom broszkę kturom dal mi Petey jak wygrał na wyścigach i wszystko chciał na prawić. Rządnych pamiontek. Odhodzę i krzyrzyk na drogę!!!!!! Jestem zła że zapłacili mi tylko 28 fóntów za obronczke broszkę i te pare gratuf z pokoju. Zwłascza że materac był całkiem dobry Maura. Ale to jusz pszeszłość*

*Borze gdyby nie ty droga Mauro nigdy bym nie uciółała na bilet. Dzienkuję, dzienkuję. Niech Bug bendzie dla ciebie dobry a ja odeśle ci pieniondze naj szybciej jak sie da. Nie fszystkie naraz ale potrochu co miesionc jak teraz. Wysyłam ci 43 dolary mam nadzieje że do ciebie dotrom i nie ókranom ich na poczcie. Nieźle tu zarabiam i jak jusz splacę swój dlóg będę mogła oszczendzać i szybko spotkam sie z tobą i dziećmi. Kiedy dostaniesz list koniecznie odpisz i podaj sfuj nowy adres a właśnie i podzienkój sfojemu kózynowi Bernie-mu że przekarze ci ten list. Mam nadzieje że jesteś szczenśliwa w swoim nowym domu gdziekolwiek on jest i że twoje rzycie ułorzy sie tak jak sobie wymażylaś.*

*Teraz jusz sie z tobą rzegnam kochana Mauro. W następnym liście pszyśle ci kolejne pieniondze i opiszę jak jest W Nowym Jorku. A jest tak jak sobie wyobrażałam tylko lepiej. Teras jest strasznie opał bo jest lato ale majom tu pienkne parki a w domach klimatyzacje i w sklepach tesz. O sklepach napisze ci nastempnym razem. Możesz być kim zechceż. Zaczynam lubić rzydowską kóchnie. Świat sie pszewraca. Tu muwią na to delikates.*

*Twoja kochajonca pszyjaciulka,*

*Eve*

*PS Niekturzy faceci są tu mili milsi niż ci u nas. A na-pewno milsi niż te pijósy od nas co to zachowujom sie jak zieżenta bez kóltury i wychowania Maura!!!*

Słyszę kroki na drewnianym podeście, więc wpycham kartki do koperty. Jednocześnie z łazienki wychodzi Willow. - Co to?

Zauważa list, potem niemowlęcą koszulkę, porozrzucone koperty i otwartą puszkę.

To te rzeczy, o których mówiłaś mi na lotnisku?

Tak, ale ciii...! Ktoś idzie. Później ci opowiem. Chowam list za plecy.

Przez kotarę z kryształków wchodzi Rowan. Policzki ma zaróżowione, ale - tłumaczę sobie szybko - w końcu na zewnątrz jest gorąco. Zatrzymuje się tuż za progiem.

- Pyta, czy wyjdziecie na ganek.

- Jasne. Przygotujemy tylko z Willow lunch. Wiem, że umieras z głodu. Eve pewnie też. Przekaż, że za chwilunię będziemy gotowe. - Waham się przez moment. - Jak się czujesz, Rowan?

Nie odpowiada, tylko wychodzi z przyczepy.

- Co w nim jest?

Willow próbuje wyjąć mi z ręki list, który wraz z pozo stałymi wpycham do brązowej koperty, ale go jej nie daję.

- Proszę cię, Willow, później. Teraz musimy wyjść. Zresztą trzeba będzie chwilę nad nimi posiedzieć. Jest ich kilka.

- Kto jest nadawcą? - W chwilach zdenerwowania Willow ma tendencje do hiperpoprawności.

- Eve. To jej listy do tej przyjaciółki, o której wspomniała. Do Maury. Jest ich kilka, przypuszczam, że wszystkie do jednej adresatki. Słuchaj, Willow, później pogadamy. Słowo pokażę ci je. Teraz nie ma na to czasu, zwłaszcza że dopiero co przyjechał Rowan.

- Może zapomniałaś, ale ja też jestem jej córką!

- Pamiętam. Obiecuję.

Trwa krótka bezsłowna konfrontacja, jednak się nie wycofuje. Wiem, że choć zarzucam Willow niemądry upór w tym wypadku to ja zachowuję się niemądrze. Owszem chcę pierwsza przejrzeć zawartość pudełka Eve. Może (znowu) ma to związek z tym, że jestem najstarsza? Jestem Arabella Moon. Eve powierzyła mi te rzeczy.

- Kiedy? Kiedy jaśnie pani raczy mi to pokazać? Willow jest purpurowa ze złości.

- Kiedy zostaniemy tylko we troje. Dziś wieczorem w motelu czy gdzieś. Zgoda? Obiecuję.

Po kolejnej próbie sił Willow w końcu poddaje się i od wraca. Podczas gdy ja porządkuję zawartość pudełka, ona otwiera lodówkę.

~ Za dużo tu wszystkiego. Nie zjemy tego, nawet z Rowanem. Ile wyłożyć?

Zauważam tacę na półce nad zlewem. Zdejmuję ją.

- Tyle, ile zmieści się na tacy, dobrze?

Nie odpowiada, milczy ostentacyjnie pełna urazy, więc bez słowa wykładamy jedzenie: sałatkę Maria, ser, wędliny, Klinikę

ziemniaczaną i trochę oliwek. Zostawiam Willow problem wyjęcia lodu z kostkarki stojącej na lodówce i przygotowanie dla wszystkich schłodzonej wody, a sama wychodzę z tacą na zewnątrz.

Widzę śpiwór Rowana i jego walizkę, ale jego samego nigdzie nie widać.

Gdzie zniknął Rowan? - pytam Eve, która znów siedzi na ganku w swoich okularach a la szacowna Edna.

Powiedział, że zaraz wróci - mówi bez przekonania.

Rozstawiam naczynia. Jak poszło?

Waha się przez moment, bawiąc się guzikami swetra.

- Arabello, mogę cię o coś spytać?

- Wal.

-Czy Willow nie przesadza, mówiąc o Rowanie? On sprawia wrażenie takiego spokojnego. Aż nie chce mi się wierzyć, że mógłby być ćpunem i mętem.

Staję przed nią, zastanawiając się, jak to rozegrać, gdy nagle słyszę obok siebie głos.

- Jak podróż? Aż podskakuję z zaskoczenia. Słucham?

To kobieta. Na nogach ma mokasyny, dzięki którym może bezszelestnie się poruszać. Jak widać, po żwirze też.

- Pytałam, jak się udała podróż - powtarza, nie patrząc na mnie, tylko po przyjacielsku szturchając hamak, na którym siedzi Eve. - Jak się dziś czujesz, moja droga?

- Znakomicie. Gino, to Arabella, moja najstarsza córka. - Eve nadal jest przygaszona, ale uśmiecha się do nas obu. Arabella - Gina.

Kobieta (dziewczyna?) teraz odwraca się do mnie i po daje mi rękę. Następna, która lubi miażdżyć kości. Staram się nie skrzywić z bólu.

- Bardzo miło cię poznać, Gino.

Każdą Ginę wyobrażam sobie jako włoską gwiazdę filmową o wielkich, ognistych oczach, pełnych ustach i figurze klepsydry. Tymczasem ta Gina okazuje się drobna, koścista, ma spaloną słońcem skórę, lekkiego zęza i farbowane włosy w kolorze nasturcji. Ubrana jest w podarte, wiszące, o kilka rozmiarów za duże dzinsy i niegdyś białą koszulkę na ramiączkach. Trudno określić jej wiek. Może liczyć sobie rów nie dobrze trzydzieści lat, jak pięćdziesiąt.

- To wszystko wygląda bardzo apetycznie - mierzy wzrokiem stół. - Mario zrobił sałatkę?

- Zgadza się.

- Super. Przyrządza boskie sałatki.

Bez zaproszenia podchodzi do stołu. Zauważam, że kule je. Siada na krześle pod ścianą.

- Poczęstuj się - mówię poniewczasie, bo Gina już zanurzyła łyżkę w salaterce i nakłada sobie kopiastrą porcję. Doniosę nakrycie.

W duchu obliczam, jak przy stole, przy którym z trudem zmieszczą się cztery osoby, wcisnąć piątą.

- Skoro już idziesz, to dwa - odzywa się Eve. - Nie zapominaj, że na pewno dojdzie też Dale.

Ta myśl świta mi, dopiero gdy jestem za drzwiami w najśmielszych snach nie wyobraziłabym sobie takiej pa« ki dziwaków,

jak ta, która otacza Eve. Ale zakonnice na uczyły nas jednego: niech każdy zna swoje miejsce. Przyjaciele Eve to jej sprawa. Dlatego tłumię niestosowne pytania i komentarze, które cisną mi się na usta. Co ci się stało w nogę? Jak jest twoje miejsce w tej konstelacji? Jesteś lesbijką? A jeśli nie, to czy masz romans z Dale'em? Jak trafiłaś do tej paczki?

Tymczasem Gina je beztrosko, nie zdając sobie sprawy z pytań, kotłujących mi się pod czaszką. - A gdzie jest ta druga? Willow?

- Zaraz wyjdzie. Skoro o Rowanie mowa, nie widziałaś go gdzieś, Gino? Wysoki, włosy do ramion? Brodaty?

- Przystojny facet w garniturze?

- Tak.

- Aha! Tak czułam! Gość w garniturze, paradujący po Meadows? Tak, widziałam go przez ułamek sekundy. Szedł alejką między przyczepą Dale'a a domkiem Mary RR. Bomba facet! Oczywiście, gdyby nie garnitur. - Teraz zauważa coś nad moim ramieniem. - To on?

I rzeczywiście, nasz braciszek leniwym krokiem zbliża się do przyczepy. Czekam, aż znajdzie się w zasięgu głosu.

- Martwiłyśmy się. Gdzie byłeś?

- O ku... - Rowan zaciska szczękę, ale przypomina sobie, gdzie jest, i mamrocze: - Musiałem się odlać.

Zapamiętuję, by przy najbliższej okazji oświecić go, że w dzisiejszych czasach przyczepy są wyposażone w łazienki. Chodź jeść.



Podchodzi, a ja poznaję go z Giną.

I właśnie wtedy dzieje się to, do czego od początku prowadziłam. Jestem świadkiem prawdziwego, autentycznego cudu. Gina podnosi się, wyciąga rękę w jego stronę i przechyla głowę.

- Cześć, Rowanie. Witaj w Meadows. Jestem Gina.

- A ja jestem Rowan.

I uśmiecha się do niej i właśnie wtedy następuje cud. Klnę się na Boga, to święta prawda, tak samo jak to, że leżę teraz w łóżku i że Willow znowu pochrapuje: na własne oczy zobaczyłam i poczułam, jak między Rowanem a tą kobietą dzieje się coś niezwykłego. Jeszcze nigdy czegoś takiego nie widziałam. Mogę to opisać jedynie jako nieznaną prąd, który przeskoczył od Rowana do Giny i od niej do niego. Gdybym miała to zjawisko narysować (choć oczywiście nie umiem rysować), przedstawiłabym je jako srebrzysty zygzak błyskawicy rodem z filmów animowanych czy telewizyjnych reklamówek.

Daję uroczyste słowo honoru, klnę się na Boga, że nic z tego nie wymyśliłam i nie robię z tego romansu z harlequina. To wszystko trwało może milionową część sekundy, ale było prawdziwe - jak żar lejący się z nieba czy światło lampy, padające na pudełko Eve, które stoi na mojej szafce nocnej

Dacie wiarę?



---

## Rozdział 22

---

Po pełnym wrażeń dniu wieczór jest bardzo spokojny. Jestem wyczerpana, mimo to nie mogę zasnąć. Znacie to uczucie? Za dużo się działo, mój mózg to wirująca karuzela, przed oczyma przemykają ich twarze: Arabella-Willow-Ro-wan-Arabella-Willow-Rowan. Ich oczy, rysy, włosy, głosy, dłonie, palce, ubrania. Arabella-Willow-Rowan. Nie wiem, na którym z nich się skoncentrować.

I dziewczęta nocują w hotelu w mieście. Z Arabellą chyba poszło najłatwiej. Za to Willow nie chce się otworzyć. Ma do mnie zapiękły żal, nie chce zrobić ani kroku.

Rowan to zagadka. Nie mogę znaleźć do niego klucza. Mężczyzna, którego zobaczyłam, syn, którego przytuliłam, który jadł z nami, uśmiechał się, potakiwał i wyglądał jak ktoś, kto nie skrzywdziłby muchy, nie może być tym samym człowiekiem, którego Willow opisywała z taką furją. Ale nie zmyśliłaby takich rzeczy, więc coś się musi za tym kryć. Tylko to ja jeszcze tego nie zobaczyłam.

Rowan nocuje u Dale'a. Wiem, że się powtarzam, ale po-wiem to jeszcze raz: Dale jest cudowny. To prawdziwy chrześcijanin: pełen miłości i miłosierdzia.

Tak więc, gdybyście spytali, jak dziś poszło, nie potrafiła-bym odpowiedzieć. Nie wiem, czy sytuacja zmieniła się na gorsze czy na lepsze. Żyłam sobie spokojnie, a tu nagle zamieszanie i szaleńcza gonitwa - to na lotnisko w Phoenix, to po jedzenie, zjawiający się i

znikający Dale i Gina; a potem nagły przyjazd Rowana, wszystkie te pytania - zadane i ukryte - i niepełne odpowiedzi przelatujące w powietrzu. Za dużo emocji, nad którymi każde z nas próbowało zapanować. Za dużo spraw, które woleliśmy na razie omijać. Ale gdyby ktoś przyłożył mi pistolet do skroni, powiedziałabym z dużą ostrożnością, że chyba jednak jakieś drzwi się uchyliły, a nu zatrzęsęły.

Zastanawiam się, która może być godzina. Pewnie do chodzi trzecia nad ranem; tak dobrze mi się leży w mojej przytulnej sypialni, że nie chce mi się przekręcać na drugi bok i patrzeć na budzik. Nie mogę się doczekać, kiedy wreszcie zdejmą mi ten okropny gips i założą inne, lżejsze usztywnienie.

Nocą przyczepy też są pełne dziwnych szelestów i trzasków, zupełnie jak stare domy. Ale nie tylko one; trochę po trwało, nim przywykłam do odgłosów osiedla: jaszczurek przemykających po dachach, cykad, szopów buszujący w pojemnikach ze śmieciami. Trzeba porządnie wiązać worki, żeby te szkodniki się do nich nie dostały.

Czasem rozlega się też szczekanie lisów albo pisk schwytanego zająca. Kojoty słychać tylko z daleka i dzięki Bogu, bo ich wycie brzmi rozpaczliwie smutno, jakby nadawały wiadomość, nie licząc na odpowiedź. Właściwie nie powinny narzekać, bo każdy kundel z Robinia Meadows odpowiada im za wodzeniem, od którego pękają uszy.

Mimo tych wszystkich odgłosów nie boję się nocy. Ja czuję się o wiele bezpieczniej niż w każdym z moich tanich hotelików, pokoi czy mieszkań, nawet bezpieczniej niż w pięknym domu Finkelsteinów, gdzie znalazłam pracę za raz po przyjeździe do Stanów. Pięć pięter bez windy, nogi wchodziły mi w tyłek, ale państwo byli naprawdę mili. Bardzo przyzwoici. Tam przyczyną mojego lęku były strach przed urzędem imigracyjnym (pracowałam na czarno) i groźba hańbiącej deportacji do kraju bez pieniędzy i bez męża - z wyjątkiem Petera Moraghana, gdziekolwiek się znajdował; tego zera, nic niewartej gnidy. Co oznaczało, że zostałabym bez środków do życia i nie miałabym szans na odzyskanie dzieci.

W końcu zresztą musiałam w pośpiechu opuścić dom Finkelsteinów. Któregoś wieczoru pani dostała wiadomość od swojego wysoko postawionego znajomego, że następnego dnia urząd imigracyjny urządza obławę w tej dzielnicy.

I tak to się skończyło. Carmencita i Maria - pozostałe służące państwa Finkelsteinów - szlochały i zgrzytały zębami. Ja nie uroniłam nawet jednej łzy. Bo i co by to dało? Żadnej z nich już więcej nie spotkałam. Pewnie wróciły do swoich.

Ja zaś łapałam pracę, gdzie się dało. Ciągłe na czarno, przenosząc się z miejsca na miejsce, by nie zdążył mnie na-mierzyć urząd imigracyjny. Sprzątałam w irlandzkich pubach, prasowałam w chińskich pralniach albo za psie grosze przyszywałam metki do marynarek w fabryczkach odzieży. Upadałam coraz niżej.

Po roku takiej nędzy los wreszcie się do mnie uśmiechnął  
załąpałam się do katolickiej parafii jako gospodyni księdza

Moriarty'ego. Pochodził z hrabstwa Mayo. Spotkał mnie  
któregoś wieczoru w parku. Dochodziła dziewiąta, siedziałam na  
ławce mocno zawiana i on o tym doskonale wie-dział Nawet nie  
próbowałam ukryć mojego stanu. Miałam wszystko gdzieś.

Zaczęłam pić. Teraz wiem, że było to zwykłe rozkliwia-nie nad  
sobą, choć alkoholicy nie potrzebują pretekstu. Za szybko się tego  
człowiek dowiaduje... Ale wtedy wpadłam w dołek. Wreszcie do mnie  
dotarło, że przy tych dziadowskich stawkach, jakie dostawałam, i  
morderczym czynszu, jaki musiałam płacić nawet za zimny,  
przechodni pokój, nigdy nie uzbieram dość, by spłacić dług, co  
oznaczało, że już nigdy nie zobaczę swoich dzieci. Mówię to gwoli  
wy jaśnienia, nie próbuję się usprawiedliwiać. Żadnych  
usprawiedliwień.

Zastanawiacie się pewnie, skąd brałam pieniądze na butelczynę.

Nie macie pojęcia, jak łatwo i tanio można było wtedy kupić w  
Stanach wysokoprocentowy alkohol. Wystarczyło wiedzieć, gdzie  
szukać, a ja wiedziałam. Zresztą, jeśli człowiek mało je,  
błyskawicznie się upija.

Tak czy owak, ksiądz Moriarty przysiadł się do mnie i  
poczęstował mnie papierosem. Odmówiłam, bo nigdy nic paliłam. Po  
akcencie rozpoznał we mnie rodaczkę i namówił, abym poszła do  
niego posprzątać plebanię. Nie miał problemu z przekonaniem mnie:

byłam tak zalana, że nie chciało mi się walczyć, choć próbowałam. Z czystej uprzejmości.

Następnego dnia siedzieliśmy w jego kuchni. Nie przeczę, panował w niej porządek, ale od razu było widać, że to kawalerskie gospodarstwo. Na stole niemodna, wystrzępiona i mocno już zniszczona cerata, pod ścianą ciemnoszara kuchenka na nóżkach - z lat dwudziestych, może trzydziestych. Jediną ozdobę stanowił anemiczny niecierpek, posadzony w puszce po fasolce, i parafialny kalendarz ścienny. Dowiedziałam się, że poprzednia gospodyni rok temu uciekła z zakrystianem. Ksiądz Moriarty przeżył taki szok, że nie miał ochoty szukać następnej. Próbowałam wmusić w siebie tost, a proboszcz bacznie mi się przyglądał.

Wyciągnął już ze mnie część moich dziejów.

- Mam dla ciebie propozycję - odezwał się nieoczekiwanie. - Przydałaby mi się gospodyni, żeby trzymać mnie w ryzach. Płaca nie jest rewelacyjna, ale lepsza niż ta, jaką teraz dostajesz, czyli pewnie zerowa. Poza tym będziesz miała dach nad głową i darmowe jedzenie. Ale stawiam jeden warunek: przestajesz pić, Eve. Sądziś, że potrafisz go dotrzymać?

Nie wierzyłam własnym uszom. Omal się nie udławiłam tostem. Byłam w siódmym niebie. Oczywiście o tyle, o ile w mroźny, styczniowy poranek o dziewiątej może być siódmym niebie człowiek z monstualnym kacem. Nie chciałam lać zaprzepaścić takiej okazji zbyt dużym entuzjazmem, na wypadek gdyby jednak się rozmyślił.

- Przestać pić? Oczywiście że mogę, proszę księdza - od-parłam z szacunkiem, by go przekonać, że jestem uczciwa, inteligentna i stateczna. Księża, wyobrażałam sobie, nie życzą sobie na gospodynie jakichś frywolnych pańienek.

Jesteś absolutnie pewna? - Uśmiechnął się. - To nie będzie łatwe. Gdybym dostawał ćwierćdolarówkę, ilekroć jakiś nieszczęśnik obiecuje, że przestanie tankować, byłbym bogaczem. A praca może ci się nie spodobać.

Spodoba mi się - zapewniłam go z mocą. - Całe życie zajmowałam się prowadzeniem domu. Potrafię robić wszystko Nie będzie ksiądz żałował. I pieniędzy na zakupy też nie będę,- trwonić. Umiem się targować. A alkohol?

Piję od niedawna i wcale nie tak często. Do kieliszka zaczęłam zaglądać dopiero tutaj, kiedy przestało mi się układać w starym kraju nawet nie tknęłam alkoholu.

Rozumiecie, wtedy jeszcze nie uważałam siebie za pijaczkę, wydawało mi się, że nie jestem uzależniona ani nic takiego.

Dobrze nam się razem mieszkało, mnie i proboszczowi, Przestałam się bać urzędu imigracyjnego, bo wiedziałam, że z ich strony już nic mi nie grozi. Ksiądz Moriarty miał tam znajomości - w owym czasie nowojorscy księża wszędzie mieli dojścia - więc dopóki u niego pracowałam, o nic nie musiałam się martwić. Wysyłałam pieniądze Maurze (niestety wracały, tak samo jak te, które wysyłałam wcześniej; opowiem wam o tym przy innej okazji). Udawało mi się nawet trochę odkładać z pensji. Szorowałam, pucowałam i

froterowałam całą plebanię tak długo, aż znowu zaczęła lśnić. Po bieliłam kuchenne ściany, namówiłam księdza, żeby dał mi parę dolców na nową kuchenkę i materiał na zasłonki oraz powłoczki na poduszki do jadalni. W ogródku posadziłam pnącza. Wreszcie poczułam się, jakbym miała „domek mały, lecz swój, w nim komin i krzesła, i stół”. Byłam prawie szczęśliwa.

Dopóki mieszkałam na plebanii, zachowanie trzeźwości przychodziło mi bez wysiłku. Dobrze jadłam, odzyskałam siły.

Najbardziej jednak podobało mi się to, że ksiądz Moriarty zawsze odnosił się do mnie z prawdziwym szacunkiem, choć nie chciałam mieć nic wspólnego z Kościołem. Wiedliśmy długie spory religijne, ale nigdy się na mnie nie rozgniewał, tylko wybuchał śmiechem, aż trzęsły mu się pyzate policzki i obfity brzuch - skutek słabości do pączków i czekoladowych koktajli mlecznych - i zapewniał, że - czy mi się to podoba, czy nie - i tak jestem dzieckiem Bożym Nie powiem, że staliśmy się kumplami, bo jednak nasz status społeczny był zupełnie inny, o czym nigdy nie zapominałam, ale dobrze się czuliśmy w swoim towarzystwie.

Parafianie też mnie szanowali, przynajmniej większo-, Oczywiście byli tacy, którym się nie podobało, że proboszcz zatrudnił gospodynię-pogankę. Wystosowali nawet petycję Cóż, w końcu są ludzie i ludziska, prawda? Ksiądz Moriarty kazał im się wypchać. Naturalnie bardzo uprzejmie.

Po jakimś czasie opowiedziałam mu o palmiarni w ogrodzie botanicznym i o tym, jak porzuciłam dzieci (to rozmowa, którą, jeśli



chodzi o Arabelle, Willow i Rowana, ciągle mam przed sobą i panicznie się jej boję), ale wielebny mnie nie potępił. Kiedy skończyłam swoją żalną historię, powiedział tylko, że to bardzo smutna sprawa. Nie zaproponował mi rozgrzeszenia ani niczego w tym rodzaju. Czekałam na to, jednak nic nie zrobił. (Śmiałam się z tego w duchu. Tam, gdzie w grę wchodziła religia, ksiądz Moriarty potrafił uznać swoją przegraną).

Służyłam u niego już prawie rok, gdy pomógł mi uporządkować papiery i mogłam dostać zieloną kartę.

- Nie możesz przez rok opuszczać Stanów, Eve - wyjaśnił, kiedy przyniósł dobrą nowinę o przyznaniu mi promesy. - Ale potem w każdej chwili będziesz mogła wrócić do kraju i odszukać dzieci. Będziesz mogła podróżować między Stanami i Irlandią. A jeśli wszystko dobrze się ułoży, będziesz nawet mogła ściągnąć dzieci tutaj. Pomogę ci.

I wtedy, zaledwie miesiąc po tym, jak otrzymałam zieloną kartę, pewnego ranka ksiądz Moriarty nie zszedł na śniadanie. Poszłam na górę i znalazłam go martwego w łóżku. Nowy proboszcz miał własną gospodynię, więc nie było tam już dla mnie miejsca i po raz kolejny wylądowałam na bruku.

Zielona karta zieloną kartą, ale jaką pracę mogła dostać księżowska gospodyni? Moją rekomendacją była tylko uczciwość i pracowitość - przynajmniej początkowo - więc zostałam kelnerką. Przez jakiś czas pracowałam w Atlantic City. Zaliczyłam tuziny spelun w Nowym Jorku i New Jersey: jadłodajnie z hamburgerami,



bary szybkiej obsługi, jedną czy dwie wykwintne restauracje. Niestety, znów zaczęłam zaglądać do kieliszka. To przyszło niepostrzeżenie. Najpierw popijałam w wolne dni, potem gdy traciłam robotę, wreszcie by wyleczyć kaca. Nigdzie nie zagrzewałam dłużej miejsca: wylatywałam natychmiast, gdy szef poczuł ode mnie alkohol.

Zdziwilibyście się, jak olbrzymi zasięg ma poczta pantoflowa, Nawet w tak wielkim kraju jak Ameryka. Po pewnym czasie wszędzie byłam spalona, nikt nie chciał mnie zatrudnić. Po woli zaczęłam spadać coraz niżej. Zostałam sprzątaczką Sprzątałam najpierw restauracje, potem pokoje w podrzędnych hotelach, a wreszcie hotelowe kuchnie. O karaluchach wiem wszystko...

Czyż to nie dziwne, że Arabella też została kelnerką? Ale napewno nie z desperacji. Taka bystra i miła dziewczyna jak ona mogłaby wybrać każdą pracę.

Skoro mowa o kelnerkach, mam wrażenie, że między Giną a Rowanem coś zaiskrzyło. Może ponosi mnie wyobraźnia, jednak czyż nie byłoby to wspaniałe? Gina jest cudowną kobietą, na medal. Nie zawsze pracowała jako kelnerka Musicie wiedzieć, że była też kuratorką w pomocy społecznej. To stare dzieje, kiedy jeszcze była żoną tego nicponia, piosenkarza country. Teraz pracuje na nocną zmianę w kok tajlbarach. Nie na etacie, bo nie lubi być uwiązana.

Jak wspomniałam, jej eks to nicpoń. Nadal musi go ścigać o alimenty, a przecież od rozvodu minęło już trzy i pół roku. Facet nieźle zarabia. Podróżuje po całym południu i południowym zachodzie, występując ze swoją kapelą w barach, na piknikach

country i pokazach rodeo. Oświadczył Ginie, że skoro kupił jej dom na kółkach, są kwita i ma się od niego odczepić. Jej mecenas mówi, że to bzdury i że Gina odzyska należne jej pieniądze - nawet z odsetkami. Pyta nie tylko kiedy. Były mężulek nieustannie podróżuje między stanami, co działa na jego korzyść, bo Gina i jej prawnik wciąż muszą na niego polować i w każdym stanie od nowa zakładać sprawę. Drań. Ale Gina, choć malutka, to twarda sztuka. Lepiej nie wchodzić jej w drogę.

Tyle dobrze, że wydusiła z byłego dom. I szczęście w nie szczęściu, że nie mieli dzieci. Boże, kiedy sobie przypomni tego łachudrę, swojego starego i nasze mieszkanie... Ten pokój! Gotowanie w byle jakich garnkach, na chybotliwych maszynkach, półki z wygrzebanych na śmietnikach desek, upartych na ceglach... Jedyńm prawdziwym meblem było łóżko. Zamiast szafy, stołu i krzeseł miałam kolekcję skrzynek po pomarańczach i jabłkach, wyłożonych gazetami i przykrytych starymi szmatami, upolowanymi na pchlim targu.

Prawie mielibyśmy szmaciak na podłogę, ale niestety, nie udało mi się go skończyć. Znalazł się w tobołku, który upchnęłam w lombardzie, gdy zbierałam pieniądze na wyjazd do Stanów. Ciekawe, co się z nim stało? Pewnie wylądował na jakimś śmietniku. Ludzie teraz nie doceniają wysiłku, jaki trzeba włożyć w wyplatanie szmacianych dywaników.

Która może być godzina? Chce mi się do łazienki, więc i tak muszę ruszyć zwłoki.

Rany, dopiero za dwadzieścia czwarta. Przede mną długa noc...

---

## ***Rozdział 23***

---

Jest czwarta rano. A dokładniej dwie minuty po czwartej. Na lotnisku kupiłem sobie elektroniczny zegarek. Jest super. Zakochałem się w nim. Widać na nim godzinę nawet po ciemku, wystarczy przycisnąć guziczek i włącza się podświetlenie. Nie miałem zegarka od... kurde, nie pamiętam, od jak dawna.

Strasznie mi się podoba przyczepa Giny. Zupełnie inna niż mamusi, która urządziła sobie mieszkanie po zgredziarsku: różowe pledziki itepe. Za to przyczepa Giny jest zajebista. Urządzona chyba w stylu lat siedemdziesiątych, nu wiem, nie znam się na tych dekoratorskich wymysłach. W każdym razie wszystko tam jest futrzane. Łóżko z futrzaną narzutą, kanapa też. Musztardowa wykładzina z długim włosiem. Do tego żółta porcelana - ta z uśmiechniętymi buźkami. W rogu stoi olbrzymia klatka na ptaki, a w niej roślina coś dużego, chyba jakiś kaktus.

Tak dawno nie kimałem w prawdziwym wyrze, że nie mogę, kurde, zasnąć. Materac jest za miękki. A może za ciepły? Ale Gina pewnie by się wkurzyła, gdyby wstała i zobaczyła, że śpię na podłodze, nie? Poczulaby się dotknięta. Już takie są dziewczyny. Ciągłe wypytyują, co do nich czujesz. Gdyby mnie zobaczyła na podłodze, pewnie by uznała, że po wszystkim nie chcę z nią spać, że chciałem ją tylko wykorzystać. A ja wolałbym jej nie podpaść. W

łóżku naprawdę do siebie pasowaliśmy. Nie żebym się chwalił, ale powiedziała, że to był jeden z najlepszych numerków, jakie zaliczyła.

Wiem, wiem, śpiewka stara jak świat, ale Gina mówiła to naprawdę szczerze.

Powinienem uważać. Nie zamierzam od razu się angażować. Nie mam dziewczyny i nie pamiętam, kiedy ostatnio się bzykałem.

Opowiadałem wam o tamtej laseczce. Mieliśmy ułożyć sobie życie, spodziewała się dzieciaka, czekaliśmy na mieszkanie itepe. A kiedy się zaćpała na śmierć, zamknąłem interes i tyle. Tym dziwniej się teraz czuję, kiedy nagle tak się we mnie zakotłowało. No, bo dlaczego parę minut temu zacząłem myśleć o moim nienarodzonym dzieciaku i strasznie się wzruszyłem? Uświadomiłem sobie, że szkrab miałby teraz ze trzy latka, i zastanawiałem się, jak by wyglądał. Gdyby to była dziewczynka, właśnie zaczynałaby My interesować sukienkami i lalkami. Kurde, nie myślałem o tym od wieków. Nie pozwalałem sobie na takie rzeczy. Kiedy żyjesz na ulicy, nie możesz zmięknąć, bo to pierwszy krok do szaleństwa. Nie wolno się cackać, trzeba mocno trzymać się w garści. I iść naprzód. Walczyć o przetrwanie.

Miała na imię Caroline. Tamta laseczka.

Powtarzam sobie, że te myśli to stąd, że od wieków nikogo nie miałem. A może dlatego, że leżę w łóżku. Albo dlatego, że jest czwarta nad ranem. Albo dlatego, że jestem skonany po podróży. A jeśli chodzi o Ginę, staram się kontrolować sytuację i nie wpakować w coś, do czego nie dojrzałem. Nie mówię, że zarzuciła na mnie sieć czy coś w tym rodzaju. Nie. Gina od razu postawiła sprawę jasno. Wtedy

oboje byliśmy już napaleni, ale jeszcze się nie rozebraliśmy, powiedziała mi wprost, że dla niej to nie jest przygoda na jedną noc; że nie uznaje takich układów, więc mnie uprzedza, zanim do czegoś dojdzie. Nie wycofałem się, choć trochę spietrałem, bo podskórnie już wyczuwałem, że z Giną to będzie coś więcej niż tylko numerek.

Ona ma w sobie coś. Nie potrafię tego opisać, ale ledwo ją zobaczyłem, coś się ze mną stało. Może to przez ten jej niesamowity uśmiech? Najpierw uśmiechają się usta, potem nos, który rozkosznie się marszczy, a wreszcie dołeczek w policzku. Człowiek dobrze się czuje, kiedy widzi taki uśmiech. Słowo. I po prostu też musi się do niej uśmiechnąć. Przestaje nawet zauważać jej zeza. W każdym razie ja przestałem. Zachwyciło mnie także jej ciało: jest drobna, odrobinę za chuda, ale silna. Same mięśnie. Przypomina mi szczeniaki charta, które Szajbus ze sobą prowadzi, dopóki nie podrosną i trzeba je oddać do hycła.

Od pierwszej chwili było wiadomo, że na mnie leci Uśmiechała się, przechylała głowę, podawała mi jedzenie i długo nie cofała ręki, sami wiecie.

Nie pamiętam już, kiedy ostatnio jakaś laska zachęcała mnie uśmiechem albo tak wyraźnie się do mnie przystawiała, więc w pierwszej chwili uznałem, że ponosi mnie wyobraźnia. Pewnie to mój garniak tak jej się spodobał, tłumaczyłem sobie. Ale potem przyjrzałem się jej łachom i już wiedziałem, że to nie kobietka, która zwracałaby uwagę na ciuchy. Fakt faktem, że ja też inaczej się zachowywałem. Tak jak przystało na faceta w garniturze i z

zegarkiem. Pełna kul tura. Uprzejmy. Zero bluzgania. Wreszcie do mnie dotarło, o co chodziło Arabelli, jak mówiła, że to porządni ludzie. Więcej, tak strasznie się bałem, żeby coś mi się nie wyrwało, że prawie się nie odzywałem. Mamcia pewnie pomyślała, 'n ma syna półgłówka.

Jak człowiek żyje na ulicy, nawet nie zauważa, że klnie. Weźmy Szajbusa. Kiedy próbuje wytłumaczyć, że prosi cię, o przysługę (a spróbuj odmówić!), patrzy gościowi prosto w oczy i z promiennym uśmiechem wali: „Rozumiesz, kurwa, w mordę jebany przyjacielu?”. I możecie być pewni, że ten w mordę jebany rozumie, w czym rzecz. Rzucanie mięsem zastępuje podkreślenie.

A przy okazji to wszystko - przystawianie się Giny do innej i moje milczenie z obawy, by nie zakłócić - odbywało się na oczach mamci, siostruń-odcisków i tego, jak mu tam, Dale'a. Dziwny gość. Wyluzowany, kurde, jak kaczka czy inny drób. A te tatuaże! Szajbus niech się przy nim schowa. I jeszcze kucyk?! Do kurwy nędzy, przecież on jest siwy jak... jak... Jest, kurde, siwy i tyle! Dobrze, że nie musiałem korzystać z jego zaproszenia! Wracając do rzeczy, widziałem, jak mamcia i Bella obserwują mnie i Ginę...

Mam to gdzieś. Nie chcę myśleć o mamci. Nie teraz. Musi mi się to wszystko poukładać we łbie.

Dobra, całkiem głupi nie jestem. Spodziewałem się, że będzie beczala i mówiła, że mnie kocha itepe. Wszystko to zrobiła, a ja byłem na to przygotowany - tak mi się w każdym razie wydawało. Ale

nie sądziłem, że do tego stopnia mnie ruszy. Musiałem się urwać, żeby nie zobaczyła. Udawałem, że idę się odlać.

Może „ruszy” to niewłaściwe słowo.

Olać, nie wiem, jak brzmi właściwe słowo, i nie chce mi się nad tym zastanawiać. Ostatnio przestałem nosić swój pieprzony słownik...

Zdechnę, jeśli nie zapalę. Zaryzykować?

E, poczekam. Nie chcę budzić Giny. Jest ciemno, więc słabo ją widzę. Leży na wznak i chyba ssie kciuk. Coś się ze mną porobiło, bo - nie wiedzieć czemu - to też mnie wzrusza Biedulka. Utyka od czasu, gdy w dzieciństwie jej wredny ojczym przypadkowo albo naumyślnie ścisnął jej nogę drzwiami. Nie macie pojęcia, jak się zagotowałem, kiedy mi o tym powiedziała. Chciałbym dopaść gościa i zrobić z niego marmoladę. Jak mógł skrzywdzić taką kruszynkę?

Do kurwy nędzy, muszę wziąć się w garść. To zbyt niebezpieczne.

Ale całkiem miłe...

Ech, sam już nie wiem, co myśleć.

---

## Rozdział 24

---

Willow wyjechała. Dziś rano, po kłótni z Eve. Właściwie trudno to nazwać kłótnią. Po prostu Willow dopuściła do głosu uczucia. A raczej - jeśli ktoś pyta mnie o zdanie - właśnie nie dopuściła ich do głosu. Kolejna poprawka: raczej nie potrafiła dopuścić ich do głosu. Kipi w niej taki gniew, że się nim dławi. Tylko za nic się do tego nie przyzna.

Dochodzi dziewiętnasta, właśnie zaszło słońce. Eve wcześniej położyła się spać. Tłumaczyła, że jest zmęczona, ale moim zdaniem musi odreagować to, co się stało. Nie mam pojęcia, gdzie przepadł Rowan. Zupełnie nie wiem, co się z nim dzieje. Jedno jest pewne: między nim a Giną coś się wydarzyło. Ten cud, o którym wcześniej wspominałam.

A jeśli chodzi o mnie, siedzę przy barze w restauracji urządzonej w stylu Dzikiego Zachodu: lejce, ostrogi, siodła

i tak dalej, ściany z surowych bali, dubeltówki w przeszklonych gablotach, spluwaczki i sącząca się z głośników muzyka country. Choć wszystkie stoliki są zajęte, rozmowy toczą się przyciszonymi głosami. Przekonałam się, że tutejsi mieszkańcy nie odczuwają potrzeby przekrzykiwania się. Najbardziej jednak szokuje mnie czyste powietrze - nie ma w nim nawet smużki ani cienia woni



papierosowego dymu. Ja nie-dawno wypaliłam na zewnątrz swoją przydziałową fajkę, a chwilowo siedzę sama, bo Dale wyszedł porozmawiać z kimś przez komórkę. Przeprosił, gdy zadzwoniła, powiedział, że musi odebrać i że to może potrwać. Przyjechaliśmy tu zjeść razem kolację. Z tej okazji jego kucyk został wymyty i uczesany.

No i tak to wygląda: wreszcie, po tylu latach, nasza rodzina się połączyła, żeby przy pierwszej nadarzającej się okazji znów się rozdzielić.

Wiem, że opowiadam bez ładu i składu, ale to pewnie skutek szoku pourazowego. Wszystko toczy się w błyskawicznym tempie, nie mogę na chwilę zamknąć oczu, bo gdy je otwieram, okazuje się, że sytuacja diametralnie się zmieniła. (Już nigdy się nie poskarżę na swoje nudne życie!).

Może, jeśli opiszę po kolei, co się wydarzyło...

Willow i ja wstałyśmy dziś wcześnie. Nasze zegary biologiczne jeszcze się nie przestawiły i obie już od szóstej nic spałyśmy. Dale miał się zjawić po nas dopiero o dziewiątej. Biedny Dale, myślałam pod prysznicem. Zdecydowanie nadużywamy jego gościnności i wystawiamy cierpliwość na zbyt wielką próbę. Wszelkie granice przekroczyłyśmy, zostawiając mu na noc Rowana.

- Mam nadzieję, że Rowan przyzwoicie zachowywał się u Dale'a  
- odzywam się do Willow, która nadal leży w łóżku. - Oby nie kłął, jak to on potrafi.

Wyjrzałam przez okno. Bezchmurne niebo miało ten charakterystyczny dla chwil tuż przed wschodem słońca od cień głębokiego błękitu.

- Zanosi się na piękny dzień. Przejdziemy się przed śniadaniem? Zaczynają je wydawać dopiero o siódmej.

Willow wyskakuje z łóżka.

- Ty idź. Ja muszę się wykapać i zadzwonić do Paddy'ego. Spotkamy się w jadalni.

Zamyka się w łazience. Zostawiam ją w spokoju i wychodzę.

Nasz hotel, urządzony w stylu wiejskiej zagrody, jest - już wcześniej wspominałam - cudownie położony. I ma coś, co go odróżnia od innych, które do tej pory widziałam: widok. Nie otacza go żółtawordzawa równina porośnięta kaktusami i anemiczną, rzadką trawą. Z naszych okien widać miękkie kobierzec trawy i drzewa otulone zielenią młodych liści, dopiero potem wzrok zatrzymuje się na charakterystycznej poszarpanej linii nagich skał, teraz krwistoczerwonych, lecz wraz z pojawianiem się słońca z sekundy na sekundę coraz jaśniejszych. Przy budynku hotelowym znajduje się stajnia. Stoję przy padoku i przyglądam się, jak dziewczyna i dwóch chłopaków - cała trójka w kowbojskich kapeluszach - robią konie... w konia, chwytając je na lasso. Konie może i są piękne, myślę, ale przy tym dość głupie. Przecież każdy z nich widział, jaki los spotkał jego współtowarzysza, a mimo to dawał się złapać.

Najpierw dziewczyna wolno podchodziła do wierzchowca. Ten pozwalał jej się zbliżyć, po czym w jednej chwili rzucił się do

ucieczki, parszając triumfalnie. Znalazłszy się w bezpiecznej odległości, zerkał w tył, by pysznić się zwycięstwem, gdy dziewczyna odchodziła. Przyglądał jej się, strzygł uszami, i nawet nie zauważał, że od tyłu zachodzi go para stajennych. Jednym pewnym ruchem rzucali linę i już go mieli, Z przyjemnością oglądało się to widowisko stworzone przez pełne życia i gracji zwierzaki oraz ich odprężonych, spokojnych opiekunów. Chwilami z trudem się powstrzymywałam od głośnego śmiechu.

Zanim stajenni schwytali i wprowadzili do drewnianej nagrody wszystkie wierzchowce - a było ich czternaście -promienie słońca dotarły i do padoku. Rozkoszowałam się ciepłem słońca na karku, świergotem ptaków, bzyczeniem owadów, zapachem ziemi, zwierzęcego nawozu, słomy i puszczejących pąki drzew. Na kilka boskich chwili uciekłam od Eve, Willow, Rowana oraz Jimmy'ego Portera -od całej tej cholernej nerwówki będącej moim życiem -i rozważałam szaleńczą myśl, jaka mi zaświtała, by spróbować się tu załapać do pracy. Chwywanie koni nie wymaga geniuszu Einsteina. Mogłabym je czyścić, mogłabym sprzątać w stajni. Byłabym gotowa podjąć się gównianej (dosłownie) roboty i poznawać świat koni.

Ale to taka przełomowa decyzja... Przecież na pewno tęskniłabym za domem.

Czyli za czym?

Szczera odpowiedź - nie tęskniłabym za niczym ani za nikim z wyjątkiem Greta oraz wizytówek Irlandii: chipsów Tayto i opery

mydlanej „Fair City” - naprawdę mną wstrząsnęła. Oto całe moje związki z Irlandią i Dublinem.

A co z Willow i Rowanem?

Odpowiedź na to pytanie wzbudziła we mnie jeszcze większą zgrozę. Miło byłoby ich od czasu do czasu odwiedzić.

Ostrożnie dalej badałam grunt. Co z moim Jimmym Wydawał się tak odległy... Nie ośmieliłam się oświadczyć w duchu: „nie liczy się”, ale chyba byłoby to najbliższe prawdy.

A co mnie trzymało w hotelu Leicester? Bez wątpienia nie pieniądze. A już na pewno nie uznanie ze strony kierownictwa. W takim razie co?

Nic. Wielkie zero.

Nie zatrzymywałam potoku myśli. Dobra, uczciwie przyznaję, że robię to, ilekroć wyrwę się z Irlandii. Na przykład pewnego wieczoru na Teneryfie pytałam sympatycznego barmana, czy w jego ni to barze, ni to restauracji nie potrzebują kelnerek. Duch Shirley Valentine.

Tak czy owak ogarniał mnie coraz większy entuzjazm Nie muszę skazywać się na pracę w stajni, pomyślałam. Czyż nie mam dość kwalifikacji, by pracować w samym hotelu? W zamian za lokum, wyżywienie i wypłatę, wy-starczającą na ciuchy i pójście do kina mogłabym sprzątać, słać łóżka, zajmować się praniem. Spokojnie dałabym -sobie radę z wydawaniem posiłków w jadalni - w końcu to moja specjalność. A w ostatecznej desperacji potrafiłabym nawet

trochę gotować... Piękne marzenia. W nich lecz problemu dostawałam zieloną kartę albo wygrywałam w loterii wizowej.

Kres tym błogim marzeniom położyło spojrzenie na zegarek: minęła już siódma. Oczyma wyobraźni widziałam moją siostrę niecierpliwie tupiącą nogą, ale odpędziłam tę wizję. Przed sobą mam otwarte drzwi. Jestem wolna, mogę robić, co chcę. Czemu wcześniej tego nie dostrzegłam?

Po powrocie do pokoju zastałam moją siostrę już ubraną, z kamienną miną siedzącą na łóżku. Obok niej leżała otwarta walizka. Willow składała koszulę nocną.

- Co robisz? - spytałam zaskoczona. - Przecież jeszcze nie wiemy, czy dziś się stąd wyprowadzamy. Zapomniałaś? Wieczorem umówiliśmy się, że decyzję podejmiemy przed przyjazdem Dale'a. Mam jeszcze dwie godziny. Mnie się tu podoba, Willow, choć jest nieco drożej, niż planowałyśmy. Paddy nie poszedł do pracy - wpadła mi w słowo. - Musiał zostać w domu, bo Dermot ma infekcję dróg oddechowych. Biedaczek dostał antybiotyki. Muszę jak najszybciej wracać. Jeszcze dziś.

Infekcja dróg oddechowych? To chyba nie jest aż taki powód, żebyś musiała natychmiast wracać do domu?

Daruj, ale ja wiem lepiej, czy choroba mojego dziecka wymaga mojej obecności czy nie.

Przecież spędziłyśmy tu zaledwie dwa dni. Nie zdążyłyśmy nawet dobrze poznać Eve... - Zawiedziona przysiadam na łóżku.

- Trudno, siła wyższa. - Willow wzięła swój podróżny budzik i wsunęła go w skórzane etui. - Ty, oczywiście, zostań. Ale ja muszę wracać.

Jej ton nie dopuszczał dyskusji. - Co powiemy Eve?

- Powiedz jej, co zechcesz, Bello. Powiedz jej prawdę: że jedno z moich dzieci zachorowało. Zamówiłam taksówkę na wpół do dziewiątej. Tym razem nie będziemy kłopotać Dale'a.

Wstała, odwróciła się do mnie plecami, zamknęła walizkę i zablokowała zamki. Trzask. Trzask.

- Nawet się nie pożegnasz?

- Pożegnaj ich w moim imieniu.

Nawet na mnie nie spojrzała, całą uwagę skupiając na zamkach.

- Do lotniska jest ponad sto pięćdziesiąt kilometrów Zrzuńujesz się, jadąc taksówką.

- Mam gotówkę. Słuchaj, Bello. - Wreszcie zostawiła zamki w spokoju i odwróciła się do mnie z furkotem. - Proszę, przestań mnie przesłuchiwać. Proszę!

Wpatrywałam się w nią zszokowana. Jedna powieka jej drgała.

- Zapamiętaj jedno. - Staralam się mówić spokojnie i rzeczowo. - Teraz, gdy ją poznałyśmy, wszystko nieodwracalnie się zmieniło. Stała się konkretną osobą. Kiedy umrze będziesz miała wspomnienia z nią związane. Od ciebie zależy, czy te wspomnienia nie będą się zaczynały od „a gdy bym...”.

- Jakżeż mam ci dziękować, Arabello? - warknęła. - Jak mam ci dziękować za ten wykład domorosłego psychologa? Wielkie dzięki, ale troskę o moje wspomnienia zostaw mnie.

- O co naprawdę chodzi, Willow? Czy Dermot w ogóle ma infekcję dróg oddechowych?

- Jak śmiesz?! - Nie ulegało wątpliwości, że trafiłam w dziesiątkę. - Zarzucasz mi kłamstwo?

- Nie. Pytam po prostu, co się właściwie dzieje. Jeśli, tak jak mówiłaś, Dermot bierze antybiotyki, zanim się doczłapiesz do Dublina, będzie niemal zdrow. Antybiotyki błyskawicznie działają.

- TY pouczasz MNIE, jak być matką?

Na to nie miałam odpowiedzi. Świadomie mnie obrażała i raniła.

Nasz pokój znajdował się na parterze. Wstałam, pode-szłam do okna i przyglądałam się wyżwirowanemu placykowi, na którym kotka obserwowała parę kociąt turlających kępkę trawy. Za sobą usłyszałam skrzypienie łóżka. Willow aż się podniosła.

- Nigdy sobie nie wybaczysz, jeśli wyjedziesz, nie żegnając się z nią - odezwałam się spokojnie. Odwróciłam się i spojrzałam siostrze prosto w oczy. - Ja też nigdy ci te-go nie wybaczę. Nie żartuję. Nie mogę, nie zamierzam odwalać za ciebie brudnej roboty. Jeśli się boisz, trudno. Ale ja nie będę cię tłumaczyć przed Eve. Powiem jej, że kiedy wróciłam z porannego spaceru, ciebie już nie było.

- Ale to niesprawiedliwe! - W jej oczach zabłyśły łzy. - Dlaczego nie chcesz mi pomóc? Muszę jak najszybciej zna-leźć się na lotnisku. Bóg jeden wie, na jakie połączenie się załapię.

- Może to i niesprawiedliwe, choć osobiście uważam, że w ogóle nie należy tego rozpatrywać w tych kategoriach, ale właśnie to powiem Eve.

Wzruszyłam ramionami. Mierzyłyśmy się wzrokiem. Wreszcie Willow powoli opadła na łóżko.

- Co w ciebie wstąpiło, Arabello?- spytała, autentycznie zatroskana.

Znów wzruszyłam ramionami.

- Nic we mnie nie wstąpiło. Po prostu, uprzedzam cię, co powiem Eve.

- Ale to nie będzie prawda.

- Czyżby?

- Przecież znasz prawdziwą przyczynę mojego wyjazdu:

Dermot.

Wyglądała na tak przygnębioną i załamana, że prawie było mi jej żal.

- Aha. Dermot. Infekcja dróg oddechowych. Mówiłaś.

Wpatrywała się we mnie z napięciem. Przez otwarte okna dobiegał chrzęst żwiru, na którym bawiły się kocięta Miłe odgłosy. Normalne. W moim życiu nic nie jest normalne.

Ustałam trochę.

- W porządku, Willow. Niech ci będzie. Akceptuję, że wracasz do domu, bez względu na to, jakie są przyczyny twojego wyjazdu. - Niech sobie nie wyobraża, że kupiłam jej bajeczkę. - Ale parę godzin cię nie zbawi. Znajdź w sobie choć tyle przyzwoitości, by się



pożegnać z tą kobietą. Czeka w pełnej gotowości. Byłoby okrucieństwem...

- Okrucieństwem? - odparowała, zaciskając pięści A jak nazwiesz to, co ona nam zrobiła?

- Przeprosiła. I ja widzę, że przeprosiła szczerze, nawet jeśli ty tego nie dostrzegasz.

Stłumiłam gniew. Przyjdzie czas i na niego, teraz jednak nie mogę podsycać furii Willow.

- Słowa nic nie kosztują. Zresztą, za dużo w tym wszystkim emocji. - Bawiła się obrączką.

- Emocje są tu jak najbardziej na miejscu. To emocjonalna sytuacja. Wolałabyś być kamieniem...

- Tobie one odpowiadają, mnie nie. Wstała. Koniec dyskusji.

Później, ku memu zaskoczeniu, spytała, czy może wziąć ze sobą pudełko Eve.

- Rozumiesz, że w tej sytuacji nie będę miała kiedy obejrzeć jego zawartości. A, jak mówiłam wcześniej, ja też jestem jej córką i mam takie samo prawo...

- Dobrze! - ustąpiłam. - Ale bez pamiętnika. Zostanie u mnie. I uważaj na nie, dobrze?

- Przecież nie wrzucę tych rzeczy do Liffey.

Efekt był taki, że gdy zjawił się po nas Dale, czekałyśmy na niego przed budynkiem, obie z walizkami. Osiągnęłyśmy kompromis: taksówka miała przyjechać po moją siostrę do Robinia Meadows o

wpół do jedenastej. Willow dosłownie potraktowała moją uwagę o paru godzinach.

---

## *Rozdział 25*

---

Jakoś przeczekałyśmy te dwie godziny do przyjazdu Dale'a, jednak w tym momencie nie potrafię nawet opowiedzieć jak. Zjadłyśmy śniadanie. Sprawdziłyśmy, czy nie zostawiłyśmy czegoś w pokoju. Potem siedziałyśmy w recepcji, prawie się nie odzywając. Na widok znajomego zakurzonego pikapu ogarnęła mnie taka radość, że omal nie rzuciłam się Dale'owi na szyję.

- Zrobiłaś już jakieś rezerwacje, Willow?

Wrzucił nasze walizki na pakę. Informację o zmianie planów przyjął z filozoficznym spokojem, choć zauważyłam, że nie zaoferował Willow swoich usług jako szofer, który za wiozłby ją na lotnisko. Włosy miał rozpuszczone. Siedzący Bawół. Albo brat Siedzącego Bawołu, ten po diecie Atkinsa

- Nie, jeszcze nie - wymamrotała moja siostra. - Chyba będę na tyle wcześnie, by złapać jakiś samolot.

Podróż upłynęła w milczeniu, w samochodzie słychać było tylko radio, nadające przede wszystkim reklamy, przeplatane serwisami informacyjnymi oraz wiadomościami o pogodzie i korkach.

Kiedy wjechaliśmy na teren Robinia Meadows, osiedli jeszcze drzemało w promieniach porannego słońca. Niektóre drzwi były pootwierane i mimo klimatyzacji w samochodzie czuliśmy zapach smażonego boczku; na ganku jakieś dziecko z pieluchą na wysokości kolan spojrzało na nas znad plastikowej miseczki z płatkami; dwa kundle próbowały nas gonić, ale nie miały do tego serca i po paru sekundach zostały za nami w tumanach pyłu. Dalej, w „naszej” części parkingi świeciły pustkami - mieszkańcy pojechali już do pracy. Uznałam, że czas przerwać milczenie. - Rowan już wstał?

- Rowan? Bo ja wiem? - Dale wzduszył ramionami. -Może.

Kiedy zatrzymaliśmy się przed przyczepą Eve, Rowana nie było widać. Matka przywitała nas w kwiecistej spódnicy i luźnej, bawełnianej, różowej koszulce. Stała wsparta na szwedce, przytrzymując się poręczy. Kiczowate okulary przesunięte na czubek głowy zastępowały opaskę do włosów.

- Czyż to nie cudowny dzień? - Pokuśtykała w naszą stronę. -  
Psik! Uciekaj!

Zamachnęła się kulą na Ryżego, który drzemał na najwyższym stopniu. Kot przesunął się może o dziesięć centymetrów i znowu zwinął się w kłębek.

Ze środka doleciał zapach i syk masła rozpuszczonego na patelni: placki! Usłyszałam też brzęk naczyń. Rowan smaży placki?

- Rzeczywiście, bardzo piękny dzień. I jeszcze nie ma skwaru. -  
Pewnie dlatego, że wiedziałam, co za niespodziankę szykuje Willow, ucałowałam Eve w oba policzki. - Dzień dobry.

Zarzuciła mi wolną rękę na szyję, omal się przy tym nie przewracając.

Przepraszam. Trochę mnie poniosło!

Na widok jej promiennego uśmiechu aż ścisnęło mnie W dołku. Miałam ochotę przywalić Willow sierpowym W szczękę.

- Kto jest w środku? Rowan?

- Nie. - Eve machnęła ręką. - To Mario. Zaskoczona, zawołała do Dale'a, który wystawił nasze walizki i szedł do siebie, nie przestawiając samochodu.

- Rowan nie pojechał z tobą do hotelu?

- Nie, szan'pani! - odkrzyknął.

- Zjesz z nami śniadanie? I powiedz temu chłopakowi, żeby natychmiast tu przyszedł.

- Załatwione. A jeśli chodzi o śniadanie, to innym razem, Eve. Muszę jechać do miasta. Wrócę po samochód. Na razie.

Kiedy mówił te słowa, był już na wysokości swojego do mu, a mimo to - dziwne - szedł dalej. Eve nie patrzyła na niego, całą uwagę skupiając na Willow, która trzymała się z tyłu.

- Wejdz, nie krępuj się. - Jej twarz znowu rozjaśnił promienny uśmiech. - Dziś szykujemy prawdziwą ucztę. mano smaży placki z jabłkami. Lubisz placki polane syropem kło nowym, skarbie?

- Nieszczególnie. Zresztą, jadłyśmy już śniadanie. - Na twarzy Eve odmalował się taki zawód, że Willow zmiękła. Ale jeden może wcisnąć.

- Super. Wchodźcie, siadajmy. Zaraz zostaniemy po królewsku obsłużone przez najlepszego fachowca od naleśników i placków w Sedonie. Co ja gadam, w całej Arizonie, Mario powinien otworzyć własny lokal.

Nie poznawałam Eve. Najwyraźniej w nocy postanowili! nie budzić licha i omijać wszelkie punkty zapalne.

Zasiadłyśmy do stołu. Nie spuszczałam wzroku z Willow, która z kolei nie spuszczała wzroku ze swoich stóp. Nawet jeśli Eve dostrzegła, że coś jest nie tak - że coś jeszcze jest nie tak - nie dała nic poznać po sobie.

- Opowiedz mi o starym kraju. O Dublinie - zwróciła się do mnie.

Ponieważ wcześniej zdążyłam jej opowiedzieć o żurawiach i placach budów, zastanawiałam się gwałtownie, co by tu nowego dorzucić.

- Cóż, chyba ci wspominałam, Eve, że nie poznałabyś Dublina. - Naśladowałam wesołość naszej matki, szczebiocąc zupełnie jak ona. Byłam radosna jak szczypiołek na wiosnę, aż mi się robiło od tego niedobrze. - Ale zdaje się, że nie opowiedziałam ci o Luas, naszych najnowszych tramwajach. Ani o wieży. Mówiłam ci o wieży?

- Nie, chyba nie...

Eve słuchała jednym uchem. Obserwowała Willow, która najwyraźniej odkrywała w swoich stopach zupełnie nowe światy.

- Wieża - świergotałam - stoi na środku O'Connell Street. My, dublińczycy, nazywamy ją Kolcem albo Iglą.

I poszło! Rozpływałam się z zachwytu nad najnowszą atrakcją Dublina. Szczerze powiedziawszy, bez wysiłku wyrzucałam z siebie entuzjastyczne okrzyki, bo - tak się składa zakochałam się w niej od pierwszego wejrzenia. Kocham ją za to, że nie ma sobą niczego przedstawiać. Jest po prostu srebrzystą iglicą, połyskującą w promieniach zimowego słońca. Z drzwi Leicester od samego początku obserwowaliśmy prace konstrukcyjne. Najpierw stanął tam największy -jak nam powiedziano - żuraw w Europie. Potem ciężarówki przywoziły tajemnicze, cylindryczne elementy zawinięte w coś, co przypominało bury papier pakowy. Stałam w klaszczącym i wiwatującym tłumie, kiedy na szczycie konstrukcji ostrożnie, z pietyzmem umieszczono ostatni element: ostry stożek.

Igła to jedna z tych rzeczy, w których ludzie tacy jak ja nie powinni się zakochiwać. Wszak nie dysponujemy wystarczająco bogatym słownictwem, by wyrazić, dlaczego tak nas zachwyca. Dlatego milczę, ilekroć słyszę, jak ludzie pokroju

Willow wyrzekają na tę wieżę i wściekają się, że wyrzucono w błoto tyle pieniędzy, choć szpitale z trudem wiążą koniec z końcem, a na ulicach żyją tysiące bezdomnych. A w ogóle, czemu to coś ma służyć?, kończą swój wywód.

Opisawszy Iglę najlepiej, jak umiałam - bez wsparcia ze strony mojej siostry - wreszcie dotarłam do konkluzji.

- To najwyższa rzeźba świata - podsumowałam. - Sie dem razy wyższa od Poczty Głównej. Stoi na miejscu kolumny Nelsona. Pamiętasz kolumnę Nelsona, Eve?

- Byłam na niej! Trzy razy! Za trzecim razem pogoda była przecudowna. Widziało się nawet Wicklow i wzgórza Tourne. Coś wspaniałego! - Zwróciła się do Willow, próbując ją wciągnąć do rozmowy. - A tobie, Willow? Podoba ci się wieża?

- Nie. Ani trochę.

- Co się z tobą dzieje, skarbie? Język ci skołowaciał? Eve żartobliwie pacnęła Willow w ramię. - Wstałaś lewą nogą?

Cóż, ja wiem, że jeśli chce się urobić moją siostrę, pod żadnym pozorem nie należy się z nią droczyć. Eve, oczywiście, tego nie wie. A w każdym razie wtedy nie wiedziała.

Willow zmierzyła ją lodowatym wzrokiem.

- Daruj, mamó, ale nie mogę teraz dyskutować o tak trywialnych sprawach. W domu czeka na mnie chore dziecko Muszę jak najszybciej wracać do Dublina. Jeszcze dziś.

Uśmiech Eve przepadł bez śladu.

- Dziś? Ale...

- Przyjedzie tu po mnie taksówka. - Willow spogląda na zegarek. - Za pięćdziesiąt minut.

- Ależ to okropne, skarbie. Które zachorowało? Meave czy Dermot? I co mu dolega?

- Dermota Ma poważną infekcję dróg oddechowych.

- Och, biedaczek. Straszne. Leży w szpitalu?

- Nie. - Willow miała dość przyzwoitości, by się zawahać.

Trwało to tylko ułamek sekundy. - Jest w domu. Paddy, mój mąż, nim się opiekuje. Muszę wracać do Dublina.

- Ale skoro twój mąż...

Eve umilkła, zapadła okropna cisza. Słyszałam, jak przeskakują cyfry w moim elektronicznym zegarku. A w każdym razie wydawało mi się, że słyszę.

- Muszę wracać do domu - powtórzyła głucho Willow, wreszcie oderwała wzrok od pantofli i z ukosa patrzyła na wzór tkaniny, który najwyraźniej ją zafascynował. Eve zwróciła się do mnie. Zupełnie inna kobieta. Kobieta, która straciła grunt pod nogami.

Ale to była sprawa między Willow a nią.

- Pójdę sprawdzić, co zatrzymało Rowana - powiedziałam cicho, podnosząc się z miejsca. - Powinien już wstać.

- Nie idź! - zawołały unisono.

Obie wpatrywały się we mnie z przerażeniem. Gdyby sytuacja nie była tak poważna, parsknęłabym śmiechem. Od kiedy to awansowałam na przewodniczkę stada?

- Dobra. Usiadłam.

Skok. I następny. Cyfry w zegarku przeskakiwały coraz głośniejsze. Gdzieś w oddali zawarczał samochód. W kuchni Mario coś upuścił i słyszałyśmy, jak klnie.

- Cholera-cholera-cholera-cholera!

Wreszcie dwa razy - nie, trzy - głęboko wciągnęłam powietrze.

- Powiedz jej o pudełku, Willow.

- Zabieram je ze sobą. Jeśli się zgodzisz. Oczywiście zwrócę ci je.



Eve zerknęła na mnie niespokojnie. - Oczywiście, skarbie. Nie ma sprawy. Może jednak pójde poszukać Rowana? - Znowu się podniosłam. - Skoro Willow wkrótce wyjeżdża, chyba powinnam na chwilę zostawić was same.

Żadna się nie odezwała, więc znów usiadłam.

- To, co tu się dzieje, mnie nie dotyczy - spróbowałam jeszcze raz. - Dlatego... - Popatrzyłam znacząco na Willow.

- Dlatego co?

- Dlatego powiedz, co masz do powiedzenia.

- Nie mam pojęcia, do czego pijesz.

- Doprawdy?

Eve patrzyła na tę wymianę spojrzeń, jakby obserwowała turniej tenisowy.

- Bardzo się gniewasz, Willow? - spytała cicho, z wielkim smutkiem.

- Nie, ani trochę. Czemu miałabym się gniewać? Przeszłości nie zmienimy. Och, to bez sensu. - Willow zerwała się tak energicznie, że omal się nie przewróciła. - Za późno, mamó - podjęła, odzyskawszy równowagę. - Niepotrzebnie dałam się Arabelli namówić na tę wizytę. Teraz chcę tylko jakoś poukładać sobie życie. Wcześniej sobie poradziłam... Przełknęła ślinę. Sięgnęła po torebkę i obiema rękami przy cisnęła ją do piersi. - Posłuchaj. Nie sądzę, by ta sytuacja komukolwiek sprawiała przyjemność ani by cokolwiek zmieniła na lepsze. Bardzo dziękuję za gościnność, placki pachną bardzo

apetycznie, ale, jeśli pozwolisz, chyba wolę poczekać na taksówkę przed bramą wjazdową.

Przez moment bałam się, że Eve załamie się jak dzień wcześniej. Ale nic takiego się nie stało. Siedziała bez ruchu i wpatrywała się w Willow tymi swoimi niesamowitymi oczami.

-Najważniejsze, żebyś ty czuła się szczęśliwa, Willow Szczerze żałuję.

- Ja też, ale, jak powiedziałam, jest już za późno - wy mamrotała moja siostra. - Napiszę, dobrze? Parę zdań, po powrocie do domu. I nie martw się o pudełko, będę go pilnować. Zwrócę ci je.

Wycofała się, nie odwracając się od Eve. Zeszła po schodkach, chwyciła swoją walizkę na kółkach, pociągnęła ją energicznie i najszybciej jak to możliwe na zwirowanej alejce, oddaliła się od przyczepy.

- O, rety, rety, czyżby kolejny dramat?

W drzwiach pojawił się Mario z piramidką placków na paterze. Natychmiast zauważył, że coś jest nie tak.

- Żaden dramat, Mario. - Wstałam i wzięłam od niego placki. - Po prostu Willow musiała wcześniej wrócić do domu. Jej dziecko zachorowało.

- Okropność! Zaraz, ale gdzie jest Dale? Skoczyć po niego? Odwiezie ją, prawda? Dokąd ona idzie? To nie w tę stronę.

- Umówiła się z taksówkarzem przy wjeździe.

Tu muszę przerwać, bo widzę, że Dale kiwa głową i uśmiecha się. Chyba kończy rozmowę.

Pozostałą część tego zwariowanego dnia streszczę wam w telegraficznym skrócie. Po odejściu Willow Eve przestała udawać twardą. Okazało się, że spostrzegawcza z niej kobieta.

- Czego tak strasznie się boi twoja siostra? Wiesz może?  
Odniosłam wrażenie, że panicznie boi się jakichkolwiek uczuć.

- Willow zawsze była...

Poczułam się rozdarta między pragnieniem powiedzenia prawdy a lojalnością względem siostry.

- Zamknięta w sobie? - podrzuciła Eve, nie odrywając ode mnie wzroku.

- Niezupełnie. - Przypomniłam mi się pierwszy okres po-bytu w sierocińcu. - Wydaje mi się, że wręcz mogłaby się okazać najbardziej uczuciowa z naszej trójki, ale uparła się, że będzie przeciw naprzód. Sądzę, że dość wcześnie podjęła taką decyzję.

- Nie uciekniesz od przeszłości. - Eve słuchała mnie pół uchem. - Wierz mi, coś o tym wiem. Ona nas dogoni. Wcześniej czy później.

Uważałam, że brzmi to co najmniej zabawnie w ustach osoby, która zafundowała taką przeszłość Willow, mnie i Rowanowi, ale zamilczałam.

- Pobiegnę za nią, upewnię się, czy nic jej nie jest.

- Nie. To ja powinnam ją dogonić.

- Pójdę z tobą.

- Nie - ucięła Eve tonem nieznoszącym dyskusji.

- A moje placki? - Mario, który do tej pory się nie wtrącał, był wprost zdruzgotany.

- Wstaw je do piekarnika. - Eve już kuśtykała po schodach. Skrzywił się i wrócił do kuchni.

- Pójdę po Rowana, dobrze? - zawołałam, podczas gdy ona zaskakująco szybko szła zwirowaną ulicą.

- Dobrze! - odkrzyknęła, nie odwracając się.

I wtedy spotkała mnie kolejna niespodzianka. Kiedy po szlam po Rowana, dowiedziałam się, że wcale nie nocował u Dale'a, tylko u Giny! Siedzieli u niej przy śniadaniu.

Dlatego, kiedy wróciła Eve, tylko we troje - ona, Mario i ja - zasiedliśmy do placków (przepysznych, wielkich jak talerz, z mnóstwem posiekanych jabłek). Dziwne to było śniadanie. Brakowało Rowana, Dale'a, Willow, Roberta i Giny Siedzieliśmy we trójkę, Eve milczała ponuro, za to ja i Mario gadaliśmy jak najęci.

- Jak poszło z Willow? - spytałam, gdy poszedł do kuchni po kawę.

- Dobrze.

Ale unikała mojego spojrzenia. Gotowa byłam się założyć, że poszło najgorzej jak to możliwe.

Potem, wróciwszy ze spaceru, przejrzałam pamiętnik Eve i przeżyłam kolejny szok (tankowała!), ale o tym opowiem wam później, bo widzę, że Dale zakończył rozmowę i idzie w moją stronę. Z uśmiechem.

Mówiłam wam. Czyste szaleństwo. Nawet nie wiem, gdzie dziś przenocuję, ale teraz siedzę w lokalu Saddle Horn, głowa mi pęka od

nadmiaru Williego Nelsona, sączę sobie zmrożoną margaritę i zaraz siądę do kolacji z mężczyzną, którego prawie nie znam...

---

## *Rozdział 26*

---

Właśnie otworzyłam poobijane pudełko naszej maiki. Jeszcze nie przejrzałam jego zawartości, ale widzę na wierzchu zwiniętą w rulonik metrykę, o której wspominała Arabella. Pod nią leży jakieś ubranko, tak stare, że przezroczyste jak bibułka. Niemowlęca koszulka? Pamiętnik, który zatrzymała Arabella, zapewne stanowił najcenniejszy element tej kolekcji, reszta, jak sądzę, będzie miała wyłącznie wartość emocjonalną: cenna dla właściciela, ale dla osób postronnych to zwyczajny śmieć.

Przez pięć godzin siedziałam jak kołek na lotnisku w Phoenix, aż wreszcie półtorej godziny temu wsiadłam do samolotu i lecę już do Londynu. Na szczęście nie ma kompletu i udało mi się usiąść przy oknie w rzędzie składającym się z dwóch foteli. Miejsce obok mnie jest wolne, więc może uda mi się zdrzemnąć. Oczywiście lecimy na wschód, więc za oknami jest już ciemno.

Przyznam, że gdy dostaliśmy się w strefę zachodzącego słońca i zatoczyliśmy szeroki łuk, zostawiając je za sobą, widok zapierał dech w piersi: niebo mieniło się wszystkimi od cieniami złota i różowości,

a nawet głębokiego fioletu W innych okolicznościach Arizona mogłaby mi się nawet spodobać. Nie ulega wątpliwości, że tutejszy krajobraz w ni czym nie przypomina tego, do czego przywykłam. Paddy i ja spędzamy wakacje w zachodniej Irlandii. Co prawda pogoda jest tam nieprzewidywalna, ale chcemy, by Dermot i Maeve nauczyli się doceniać piękno swojej ojczyzny.

Pewnie jesteście zaskoczeni, że wreszcie zabrałam głos. Musieliście już zauważyć, że bez większego entuzjazmu dałam się wciągnąć w tę historię. Zresztą najprawdopodobniej jest już za późno, aby przedstawić mój punkt widzenia. Aż się boję myśleć, co teraz o mnie wygaduje tamta trójka z osiedla.

Przy okazji, nie jestem snobką. Głośno przyznam, że to całkiem przyzwoite osiedle. A choć ja osobiście nie chciała-bym żyć w ten sposób, nie patrzę z góry na ludzi, których los zmusił do wybrania takiego miejsca do życia. Nasza matka najwyraźniej dobrze się tam czuje, podobnie jak kompania jej dziwacznych przyjaciół.

Nie wytrzymałabym tam już ani minuty dłużej. Za dużo gorączkowych zachowań, niemal histerycznych jak na mój gust a vide nasza matka i moja siostra całe w skowronkach, ubzdurały sobie jakąś wielką miłość między Rowanem a tą dziwną kobietą o marchewkowych włosach! Albo cała ta historia z metalowymi pudełkami. To najlepiej dowodzi, jakie rozmiary osiągnęła owa histeria. Nasze pudełka, jej pudełko - notabene, właśnie trzymam je na kolanach. Wiem, sama o nie poprosiłam, co tylko dowodzi słuszności moich argumentów. Gorączka okazała się zaraźliwa. Właśnie, skoro o

pudełkach mowa, zawsze drażniła mnie zaborczość z jaką Arabella zawłaszczyła dla siebie „nasze” pamiątki. Nigdy nie pozwoliła nam wziąć pudełka. Rozumiem jeszcze, że mogła się obawiać, co z nim zrobi Rowan, ale ja? Co sobie wyobrażała? Że oddam to do lombardu?

Ale wróćmy do rzeczy. Lubię spokojne, uporządkowane życie, zaplanowane w najdrobniejszych szczegółach. Lubię wiedzieć, na czym stoję, i w pełni kontrolować sytuację.

Właśnie dlatego zawsze staram się latać British Airways. Moim zdaniem mają najbardziej profesjonalny personel. Choćby dziś: stewardesy i stewardzi są uprzejmi i kulturalni, ale zachowują dystans, nie zadrezczają cię pytaniami, gdzie się tak opaliłaś ani czy udały ci się wakacje.

Jest jeszcze coś: ilekroć znajdowałam się w towarzystwie naszej matki, czułam, jak mi się przygląda, w myślach rozkłada mnie na czynniki pierwsze, zastanawia się, jak by mnie podejść, żebym równie emocjonalnie jak moja siostra przeżywała nasze tak zwane cudowne spotkanie. Trzeba było te mu ukreć łeb w załączku. Jeśli będę potrzebowała psychoanalizy - a ja sama o tym zdecyduję - wybiorę się do profesjonalisty.

Nie znoszę hysterii i pchania się z bucioremami w moje życie - czyli, jak to nazywają Amerykanie, naruszania mojej prywatnej przestrzeni. Unikam tego jak diabeł święconej wody Nawet jeśli to świadczy, że mój charakter nie jest idealny a przypuszczam, że niektórzy tak właśnie uważają - trudno

Wyobraźcie sobie, dogoniła mnie! A tak mi zależało na uniknięciu scen i łzawych pożegnań. Miałam już po dziurki w nosie tych łez, chciałam po prostu odejść spokojnie i z godnością, ale czy ona potrafiła to zrozumieć? Nie, oczywiście, że nie. Musiała pokuśtykać za mną i próbować na mówić do zmiany zdania. Usłyszałam ją, jeszcze zanim zobaczyłam. Najpierw zachrząścił żwir, a potem rozległo się wołanie:

- Willow! Willow, poczekaj!

Nie miałam wyjścia, musiałam się zatrzymać.

I wtedy odbyłyśmy zupełnie idiotyczną rozmowę, zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę miejsce i okoliczności. Nie zapominajcie, że stałyśmy na środku ścieżki, nie mając na głowach niczego, co by nas chroniło przed piekącym słońcem. Do tego jeszcze wścibscy mieszkańcy kibicowali nasze mu pożegnaniu. Nie przesadzam, ludzie wylegli przed przyczepy i bezczelnie słuchali.

- Ciszej, mamó, proszę!

Byłam zawstydzona i wściekła. I miałam po temu powody.

- Błagam, Willow - nie dawała się uciszyć. - Nie dasz się namówić? Zostań jeszcze trochę, proszę.

Sama nie wiem, dlaczego - może był to skutek nadmiernego stresu, zażenowania, niechęci do całej tej sytuacji albo zwyczajnego zmęczenia? - ale straciłam panowanie nad językiem. Na szczęście, przynajmniej na początku, udało mi się powstrzymać od krzyku. - A co z nim, mamó?

-Z kim? - spytała zaskoczona. - O kim mówisz?



-O nim! O moim ojcu! O naszym ojcu! Co z nim? Nie wspominałaś o nim ani słowem.

-Ale...

-Rzucasz go. - Teraz już nie mogłam się powstrzymać. - Zabierasz nas do ogrodu botanicznego i zostawiasz na pastwę losu. Jest Wigilia, mamó. Jak, twoim zdaniem, się poczuł, gdy wrócił w Wigilię do domu i nikogo tam nie zastał?

-Nie rozumiesz - powiedziała dziwnie spokojnie i bezdźwięcznie. - Nie masz pełnego obrazu.

-Nie potrzebuję twojego pełnego obrazu! - zaatakowałam. Czulałam, że krzyczę, ale po raz pierwszy nie przejmowałam się, co mówię ani kto mnie usłyszy. - Chcesz wiedzieć, jaki obraz ja widzę? Zabrałaś nas ojcu, porzuciłaś, wydając na łaskę obcych ludzi, a sama wyruszyłaś odkrywać nowy, lepszy świat! Taki jest mój obraz!

-Posłuchaj, Willow...

-Nie! To ty posłuchaj! - Przysunęłam się do niej. uchwyt walizki wyslizgnął mi się z rąk, nawet się po niego schyliłam. - Uważam twoje postępowanie za odrażające mamó. Nie zasługujesz na to miano, bo zabrałaś nam nie tylko dzieciństwo, ale i oboje rodziców! A jeśli nie jestem dla ciebie córką, to tylko sobie możesz za to podziękować! Nawet nie zamierzam cię przeproszać, że się na ciebie wydieram! Nie masz prawa do przeprosin! I tak, wyjeżdżam tylko dlatego, że chcę wrócić do domu. Mój syn, chwalić Boga, jest zdrow jak ryba. Wymyśliłam tę bajeczkę, bo, nie wiedzieć czemu, chciałam

cię oszczędzić. Drugi raz nie po wtórzę tego błędu. Dla mnie po prostu nie istniejesz!

Trzęślam się tak, że szczękałam zębami, ale gdy teraz o tym myślę, uświadamiam sobie, jak dziwna była jej reakcja. Moja pełna furii tyrada wcale jej nie przerażyła. Przeciw niej, matka jakby się odprężyła i zamiast się skulić albo też na mnie naskoczyć, odczekała, aż skończę, uśmiechnęła się i położyła mi rękę na ramieniu.

- Biedna Willow - powiedziała tylko.

Na pewno już wiecie, że ma te niesamowite oczy mojego brata. Pozostaje mi żywić nadzieję, że Arabella wiernie opisała, w jak pożałowania godnym stanie zwykle znajduje się nasz Rowan. W oczach matki widziałam niepokojącą szczerłość i brak lęku. Jej wzrok przenikał mnie na wskroś, a jednocześnie łagodnie otulał. Miałam wrażenie, że mnie hipnotyzuje.

- Moje biedactwo - powiedziała znowu.

- Bądź łaskawa nie traktować mnie protekcyjnie. Udało mi się wyrwać spod jej wpływu, ale opuściła mnie woła walki. Starając się zachować twarz, ostentacyjnie wzięłam walizkę, odwróciłam się i odeszłam.

Jeszcze minutę wcześniej marzyłam, by zniknąć, rozplynać się w powietrzu, znaleźć jak najdalej od tego miejsca, tego chaosu i tej kobiety. Tymczasem oddalając się, poczułam coś dziwnego. Trudno to opisać. Nie czułam pustki, to nie to słowo. Nie czułam się, jakby uszło ze mnie powietrze ani nie szumiało mi w głowie. Żadne z tych określeń nie oddawało dokładnie tego, co się stało. Może to była

mieszanka tych trzech składników? A choć jak najszybciej chciałam zapomnieć o niedawnej scenie, tym prostackim, niepotrzebnym wybuchu emocji, nie opuszczało mnie przekonanie, że między nami dwiema zaszło coś ważnego. Coś, czego sobie nie życzyłam.

Dziwne, ale byłam wstrząśnięta. Czyż to nie idiotyczne? A do tego jeszcze musiałam przejść przez zbitą masę kibiców (oczywiście przesadzam, było ich pewnie koło dwudziestki, może więcej), podczas gdy ona patrzyła na mnie z miną nieszczęśliwego, skrzywdzonego jelonka Bambi. Doskonale wiedziałam, po czyjej stronie stoją mieszkańcy Robinia Meadows.

Arabella jakoś potrafi to wszystko przyjąć. Zachowała też wspomnienia z okresu, gdy jeszcze mieliśmy oboje rodziców. Ja nie. W rozmowach nie lubię wracać do przeszłości, już nie, choć mam kilka ciepłych wspomnień związanych z Bellą z okresu pobytu w sierocińcu. Pamiętam, jak mnie pocieszała gdy było mi źle. Albo to, że gdy byłam bardzo mała i bałam się ciemności, w nocy przemykałam się do jej łóżka. nigdy na to nie narzekała, tylko przytulała mnie i szeptała mi do ucha opowieści o naszych wspólnych zabawach w rodzinnym domu. Kiedy podrosłyśmy, opisywała mi nasze ostatnie spotkanie z matką. Twierdzi, że pamięta, jak matka od nas odchodziła.

Skup się, Willow! Spróbuj sobie przypomnieć! Nie pamiętasz tego gorąca? Ani dziwnych, olbrzymich roślin? Ani tego zapachu? Miałaś na sobie paletko z aksamitnym kołnierzem.

Nie pamiętam tamtej chwili i nie chcę jej pamiętać. Czasem się zastanawiam, czy Arabella naprawdę ją pamięta, czy tylko stworzyła sobie to wspomnienie przy okazji później-szych wizyt w palmiarni. Wiem, że tam chodziła. Ja nie.

Spytacie teraz: skoro, Willow, jesteś tak nieugięta, skoro z góry założyłaś, że nie dasz tej kobiecie szansy, to czemu w ogóle przyjechałaś do Arizony?

Właśnie, czemu? Sądzicie, że sama nie zadawałam sobie tego pytania?

Z ciekawości? Na pewno.

Z potrzeby serca? Może...

Przypominacie sobie, że wcześniej użyłam słowa „błąd”. Cóż, wygląda na to, że przyjechałam tu (a ściślej, dałam się namówić do przyjazdu) w błędnym przekonaniu, że może - podkreślam: może - znajdę tu jedno z rodziców. W końcu jestem człowiekiem i nieraz doskwiera mi samotność. Czasami zazdroszczę koleżankom jeżdżącymi z matkami na wakacje, nawet tym, które denerwują się, bo matki wydzwanają do nich do pracy. Zastanawiałam się, jakie to uczucie - mieć matkę.

Nie ulega jednak wątpliwości, że nie znalazłam jej w Eve Rennick. Przyznaję, szczerze żałowała. Przyznaję, niedostatecznie się otworzyłam. Przyznaję, gdybym była dobrą chrześcijanką, przebaczyłabym jej - jak to robi, a przynajmniej jest tego bliska, Arabella.

Najwyraźniej nie jestem przykładną chrześcijanką, bo w ogóle nie potrafię wybaczyć Eve. Gorzej, każde spotkanie z nią budzi we mnie obrazy i uczucia, które - jak mi się wydawało - zdołałam raz na zawsze wymazać: sierociniec, razy, upokorzenia, potworna samotność. I idiotyczne marzenie, że ojciec, którego twarzy nawet nie pamiętam, zjawi się, by mnie uratować.

I ta krystalizująca się pewność, gdy miałam sześć, może siedem, góra osiem lat, że nikt się po mnie nie zgłosi. Nigdy. Potakując i uśmiechając się, jak przystało na przykładną sierotkę, winą za jego nieobecność obciążałam matkę. To ona zabraniała mu przyjechać. Byłam na nią wściekła. I nadal jestem. Żadne jej apele, żadne błagania tego nie zmieniają.

Nienawidzę tych uczuć. Nienawidzę powrotów do dzieciństwa, tego poczucia bezsilności, braku kontroli nad własnym życiem, świadomości, że muszę tańczyć, jak mi zagrają. Nienawidzę poczucia, że nie mam nikogo w swoim narożniku. Owszem, Arabella starała się mną opiekować, ale cóż ona mogła? Miała te same problemy co ja.

Nade wszystko zaś spotkanie z matką przypomniało mi o moim żelaznym postanowieniu, że już nikt nigdy, przenigdy, mnie nie opuści. Jeszcze zanim wyrwałam się z sierocińca i karuzeli rodziców zastępczych, pomocy społecznej i całego tego systemu opieki państwa, podjęłam decyzję: nigdy nie będę słaba. Nigdy. Dlatego też nie mogę pozwolić, by uczucia lub marzenia kiedykolwiek brały górę nad moją wolą.

Choć nigdy o tym nie rozmawiałam z moim mężem, chyba mnie zrozumiał i nie zadawał niepotrzebnych pytań. Nigdy też nie stawia żądań, których nie mogłabym spełnić. Sądzę, że właśnie dlatego wyszłam za niego za mąż. Patrząc wstecz, ciągle nie mogę wyjść ze zdumienia, że jakiś mężczyzna w ogóle się mną zainteresował. Uważano mnie za „twardy orzech do zgryzienia”. Ale Paddy pracował w tym samym wydziale, dlatego widywał mnie także w sytuacjach, gdy nie wkładałam całego wysiłku w trzymanie ludzi na dystans. Może to przeważało?

Tak czy owak, nigdy go nie oszukiwałam, nie udawałam kogoś innego. „Jestem, jaka jestem”, powiedziałam mu tego wieczoru, gdy mi się oświadczył. Spacerowaliśmy wtedy O'Connell Street, po raz trzeci albo czwarty obejrzawszy nasz ulubiony musical, „Król i ja”. Oboje lubimy musicale. Poznaliśmy się w amatorskim kółku muzycznym: wystawialiśmy „Mikada” i oboje śpiewaliśmy w chórze. Tamtego wieczoru zatrzymaliśmy się przed wystawą jubilera i patrzyliśmy na witrynę - przypadkowo, jak sądziłam. Ale wtedy Paddy chwycił mnie za rękę i podniósł ją do góry.

- Co się stało? - Nie zauważyłam niczego nadzwyczajnego: ot, mrugający nad drzwiami sklepu neon „Pierścionki zaręczynowe”. - Przeleciał nietoperz?

- Na miłość boską, Willow, próbuję ci się oświadczyć. Cofnęłam się zdumiona.

- Jesteś pewien? - zapytałam.

- Oczywiście, że tak. Wpłaciłem tu zaliczkę na pierścionek zaręczynowy.

Byłam w siódmym niebie. Kto by nie był? Ale po dziesięciu minutach uznałam, że muszę postawić sprawę jasno i uprzedzić, że się nie zmienię i spotka go zawód, jeśli będzie próbował mnie przerobić na swoją modłę.

- Jesteś kobietą, którą podziwiam i poważam, Willow - usłyszałam. - Będę zaszczycony, jeśli zostaniesz moją żoną.

- W takim razie odpowiedź brzmi „tak” - odrzekłam, i wtedy Paddy mnie pocałował. Tak, na środku O'Connell Street, a ja mu na to pozwoliłam, choć czułam się nieco skrepowana.

Tamtej nocy położyłam się spać z błogim poczuciem, że moja przyszłość jest zabezpieczona. Wreszcie ktoś będzie musiał stać w moim narożniku, bo małżeństwo to nie byle co, tylko akt prawny. Już wtedy wiedziałam, że Paddy nie złamie raz danego słowa. I będziemy mieć prawdziwy dom. Tego też byłam pewna, bo kiedy odprowadzał mnie spod jubileru do przystanku autobusowego, powiedział, że zbierał już pieniądze na zaliczkę na mieszkanie. Wszystko starannie zaplanował.

Wiem, co inni, na przykład Arabella, sądzą o moim mężu. Uważają go za skąpca. Postronny obserwator może odnieść takie wrażenie, bo nawet w okresie narzeczeńskim Paddy liczył każdy grosz. Innym może się to wydawać żalosne, ale ja, po tym co przeszłam, zawsze uważałam taką postawę za dobrą i rozsądną. W końcu nigdy nie wiadomo, kiedy skończą się tłuste lata. Paddy nie jest



skąpy, on tylko roztropnie gospodaruje pieniędzmi. Zawsze był dla mnie dobrym mężem, a dla Maeve i Dermota dobrym ojcem. Ma skłonności do dyrygowania innymi i ja też; z czasem wypracowaliśmy sobie kompromis. Zresztą tacy mali dyktatorzy świetnie się sprawdzają w chwilach kryzysu. No bo kto odnalazł naszego brata i wysłał go do Arizony?

Kochamy się na swój sposób i brakowałoby mi go, gdyby zmarł przede mną. Ale mój świat by się nie zawalił. Mój świat nigdy się nie zawali.

Czyżbym słyszała, jak mówicie: „zimna i wyrachowana”?

Nie uważam siebie za taką. Przyznaję, moje życie koncentruje się na pracy oraz rodzinie i nie mam bliskich przyjaciółek, ale potrafię współczuć, gdy kogoś dotknie nieszczęście. Tyle że nie okazuję tego, roniąc łatwe łzy i szepcząc współczujące banały. Wybieram bardziej praktyczne sposoby. Przynoszę jedzenie na stypę; opiekuję się dzieckiem mojej owdowiałej koleżanki, by miała czas na odbudowanie sobie życia; złożyłam w banku stałe zlecenie i wspieram finansowo kilka organizacji charytatywnych; wysłuchuję zwierzeń moich koleżanek, a jeśli proszą o radę, udzielam jej.

Moje dzieci też uczę samodzielności. Uważam, że jako matka mam obowiązek przygotować je do życia w brutalnym świecie, dlatego powtarzam im, że w ostatecznym rozrachunku każdy może liczyć wyłącznie na siebie.

Choć pracuję zawodowo, wybrałam takie godziny, aby dzieci nie wracały do pustego domu ani nie włączyły się po kolegach. Jestem



przy nich, gdy spotka je coś złego, ale nigdy nie podsuwam gotowego remedium, tylko zachęcam, by same szukały wyjścia; staram się zapewnić im jak najlepsze wykształcenie oraz zajęcia dodatkowe; czytam im, przytulam je i dyscyplinuję z miłością - bo naprawdę i szczerze oboje kocham. Obawiam się jednak, że nie rozumiem czegoś takiego jak „bezwarunkowa miłość”. Ja nigdy nie potrafiłam nikogo obdarzyć takim uczuciem i nigdy się tego nie nauczę. Nawet gdy chodzi o Maeve i Dermota.

Jeśli właśnie tak postępuje „zimna i wyrachowana” -trudno, nie zmienię się.

Choć dzięki Eve Rennick i siostrze, która namówiła mnie na tę eskapadę, wracam do domu roztrzęsiona, nie żałuję, że pojechałam. Wszelkie wątpliwości zniknęły, teraz już wiem, kim jestem. Jestem Willow, samotnie stojącą wierzbą, której nie złamie nawet najgorsza nawałnica.

Kiedy w domu i w pracy będą mnie pytać, jak przebiegła wizyta, odpowiem, że gładko. Powiem, że oczywiście nie wydarzył się cud, ale też go nie oczekiwałam; teraz zaś każde z nas potrzebuje czasu, by nabrać dystansu do całej sprawy i zastanowić się, co dalej.

Znowu podchodzi stewardesa z wózkiem. Wypiłam już jedno martini, więc nie powinnam pić drugiego, choć czuję się dziwnie poruszona i niespokojna - zupełnie jak nie ja. Lecz samolot i alkohol to niedobra kombinacja, więc nie ulegnę pokusie.

Dobrze, a co teraz?

Wyznawszy to wszystko, co usłyszeliście - a mówiłam szczerze jak na spowiedzi - muszę się wam z czegoś zwierzyć. Ale tylko raz i tylko wam. To pierwsze martini musiało być wyjątkowo mocne.

Męczy mnie bycie silną.

Przyznaję, żywiłam cichą nadzieję, że w Arizonie stanie się cud.

I ostatnie: płonie we mnie maleńkie światełko nadziei (widzicie? - jedno martini i staję się poetką!), że jakoś dogadam się z matką. W końcu Maeve i Dermot powinni się dowiedzieć, że mają też drugą babkę. I to jaką egzotyczną!

Jedno mojej matce się udało: nie potrafię wymazać z pamięci jej oczu tuż przy mojej twarzy. Nadal się we mnie wpatrują, przesywają mnie jak podczas naszej konfrontacji parę godzin temu. To wyjątkowo wytrąca z równowagi.

Rozmyśliłam się. Chyba jednak zamówię drugie martini. A na razie przejrzę zawartość tego diabelnego pudełka, żeby wreszcie mieć to z głowy.

Zgadza się, to metryka, o której mówiła mi Bella, a ta cienka tkanina to rzeczywiście niemowlęca koszulka. Przy szyi została chyba nawet pliska. Nie będę tego rozkładać.

Najłatwiej będzie chyba wysypać zawartość na siedzenie obok mnie, przynajmniej niczego nie zepsuję.

Więc...

Różaniec z cudownym medalikiem Matki Bożej. Medalik - cynowy, w Lourdes wybijali takich tysiące. Paciorki ze sztucznych perełek i krzyżyk z macicy perłowej, metalowe łączenia poczerniałe

ze starości. A oto duża koperta z listami, których Arabella nie pozwoliła mi przeczytać. Odkładam je na bok, później przejrzę.

Trzy zawiniątka z szarej bibuły. W pierwszym znajduję kosmyk niemowlęcych włosów. Cholera! Chyba nie powinnam tak siebie katować...

Ale jeśli teraz nie obejrzę tych rzeczy, nie będą mi dawać spokoju. Będą na mnie czekać, czyhać jak jakieś paskudztwo ukryte w krzakach.

Jedyna pociecha, że nie muszę otwierać pozostałych dwóch zawiniątek. Już wiem, co w nich jest.

Następna koperta, tym razem ze zdjęciami. Trzy z nich na pewno robił zawodowy fotograf. Pierwsze dwa znam: jedno to ślubna fotografia z „naszego” pudełka. Z niej też usunięto mojego ojca. I ta kobieta ma czelność żądać od nas współczucia i przebaczenia? Aż ciśnie się na usta „nie czyń drugiemu, co tobie niemiłe”.

Drugą fotografię też mamy - przedstawia naszą trójkę w niemowlęctwie. Ale trzecia to nieznane mi zdjęcie komunijne: grupa trzydziestu, może czterdziestu dziewczynek ustawionych w trzech rzędach. Wszystkie z identycznie złożonymi rękami, wszystkie mają takie same welony i białe skarpetki, ale już sukienki się różnią - niektóre leżą dobrze, inne są niedopasowane. Część dziewczynek rozciąga usta w szczerbatym uśmiechu, pozostałe są skrzywione i przymrużają oczy, widocznie oślepiło je słońce. Głowa jednej z najwyższych dziewczynek w ostatnim rzędzie została zakreślona.

Eve? Trudno powiedzieć, welon opadł jej z włosów i zasłonił połowę twarzy.

Następne, już amatorskie zdjęcie, bez wątpienia przedstawia Eve. Stoi objęta z jakąś dziewczynką przed dużym, dość pokraccnym zamkiem z piasku. Na odwrocie starannym, dziecięcym pismem ktoś skreślił: „*Philomena i ja. Rush. Czerwjec 1953. Na zawsze najlepsze pszyjaciółki*”.

Jest też nieduża fotka grupki stojącej przed klombem. Uśmiechnięta kobieta pochyła się nad niedużym chłopcem, próbując go zmusić, by odwrócił się do obiektywu. Eve, też uśmiechnięta, w zaawansowanej ciąży, trzyma w ramionach dziecko. Na odwrocie identycznym charakterem pisma napisano: „*Maura i ja z Arabellą. Peeples Garden. Pheonix Park, lato 1962*”. Tuż przed moim przyjściem na świat.

Nie mogę się roztkliwiać. Nie mogę. Nie wolno mi.

Po raz drugi naciskam guzik, bezskutecznie próbując przywołać stewardesę z moim martini. Za szybko pochwaliłam BA za ich profesjonalizm...

Czekając na drinka, ostrożnie wkładam wszystko do pudełka, zostawiając sobie kopertę z listami. Przeczytam je, gdy się uspokoję.

Dopiero teraz zauważam, że pod oparcie wolnego fotela wsunęła się złożona kartka, wyrwana ze staroświeckiego notesu w linie. Wyjmuję ją ostrożnie. Napisane czarnym atramentem, teraz już zielonkawym ze starości, litery są duże, skreślone pewną ręką

(męską?), ale przesadnie pochylone, jakby autor próbował zmienić charakter pisma. Czytam trzy krótkie zdania sprzed wielu lat:

NIE MOŻEMY ZATRZYMAĆ TEGO DZIECKA. P'SZĘ  
ZAOPIEKUJCIE SIĘ NIĄ. NIECH BÓG WAM  
BŁOGOSŁAWI, A NAM PRZEBACZY.

Nam?

Dostaję jak obuchem w łeb.

Do tej pory zawsze skupiałam się na własnym sieroctwie i braku rodziców. Miałam tylko niejasną świadomość, że przedtem musiało być jakieś inne pokolenie.

Nawet jeśli moi dziadkowie nie żyją - a każdy przynajmniej przez jakiś czas ma ich czworo - to mogę mieć ciotki.

Kuzynów? Nawet dziesiątą wodę po kisielu?

Po raz pierwszy w życiu zrozumiałam, co się dzieje, gdy „włos ci staje dęba na głowie”. Przeszywa wtedy człowieka zimny dreszcz.

---

## Rozdział 27

---

Nigdy nie pijesz, Dale?

Po raz pierwszy od pewnego wypadu sprzed dziesięciu lat na Teneryfie - noc, o której wolę zapomnieć - byłam na kolacji w towarzystwie mężczyzny. Jimmy'ego Portera nie liczę, on preferuje lokale w rodzaju Abrakadabra czy Burger King. („I to jedzenie, i to. Nie szkoda ci ciężko zapracowanych pieniędzy na jakieś frymuśne sosy?"). Dopiero po dłuższej chwili zorientowałam się, że mój towarzysz pije wyłącznie sok owocowy.

- Nie, już nie piję alkoholu. - Uśmiechnął się. - Od ponad dwudziestu dwóch lat. A dokładnie od dwudziestu dwóch lat, czterech miesięcy i jedenastu dni.

- Och! To znaczy, że jesteś...

Nie chciałam tego mówić. Zresztą, za dużo sylab, a w związku z opóźnioną reakcją organizmu na zmianę strefy czasowej okropnie płacze mi się język.

- Tak - wyratował mnie. - Jestem trzeźwiejącym alkoholikiem.

Cóż, na takie dictum nie ma odpowiedzi, prawda?

Zjedliśmy główne danie - on zamówił lucjana, a ja stek.  
(Pamiętałam, że w Stanach frytki nazywa się „francuskimi frytkami”.  
Kiedy je zamówiłam, kelner zrobił niewyraźną minę i bąknął coś o  
„frytkach wolności”. Wtedy zainterweniował Dale: „Nie pytaj,  
Arabello. To ma związek z Saddamem Husajnem i Irakiem”).  
Podziękowałam za wino, bo odkryłam nową miłość, margaritę.

Okazało się, że Saddle Horn specjalizuje się w margaritach.  
Podają je ze świeżo wyciśniętym sokiem z limonek, dzięki czemu  
drink wchodzi łatwo jak lemoniada w upalny dzień. Wypiłam cztery,  
może pięć. Przy okazji, wiecie, że istnieje ponad pięćdziesiąt  
gatunków tequili? A może nawet sto? Nawet nie podejrzewałam, że  
jest ich aż tyle. Człowiek nieustannie się uczy, prawda? Zwłaszcza w  
Saddle Horn... Cudowny lokal. Cudowny.

Coś sobie przypominałam. Z pamiętnika Eve wynikało, że zaraz  
po przyjeździe do Stanów ona też nadużywała alkoholu.

- Ej, Dale, to tak poznałeś Eve? Przez alkohol?

- Nie, poznaliśmy się przez wypadek samochodowy.

- Och, pamiętam ten kawałek. - Zbyłam to machnięciem ręki. -  
Ale ludzie ciągle poznają się w-wy... - Język mi się zaplątał, więc  
zmieniłam wersję - ...przy okazji wypadków, ale to nie znaczy, że od  
razu się zakole... - Nie chciało mi się kończyć, znowu za dużo sylab. -  
Zostają kumplami, jak wy. Nie mieszkają potem obok siebie, jak wy,  
każde w swojej przyczepie. To alkohol was zbliżył, prawda?

- Zasadniczo nie udzielamy takich informacji, ale skoro i tak się  
domyśliłaś... Tak, byłem sponsorem Eve w AA. Ale to nie działa

wyłącznie w jedną stronę, Arabello. Eve też bardzo mi pomogła. Wzajemnie sobie pomagaliśmy.

Bingo! Złapałam cię, święty Franciszku z Asyżu! Dzięki Rowanowi jestem autorytetem we wszystkim, co dotyczy AA i sponsoringu.

- A mnie się wydawało, że nie wolno być sponsorem osoby odmiennej płci? - Wspaniale sobie poradziłam. Czyściutko, żadnego zacinania się i plątanania języka.

Dale nie dał się sprowokować.

- Nie zaleca się tego, ale zdarzają się takie sytuacje. Był cierpliwy. Doprowadzał mnie do szału.

- I jeszcze coś. - Starannie artykułowałam każdą głoskę.

- Zas- zastanawiałam się, dlaczego okazujesz nam tyle serca.

Tyle troski i życzliwości. Przecież nas nie znasz. Mam na myśli mnie, Willow i Rowana. Ani trochę nas nie znasz. A mimo to jesteś taki... - Szukałam właściwego słowa - ...dobry. Czemu jesteś taki dobry, Dale? Chcesz zostać świętym czy co? Kawa na ławę, Dale.

Odchylił się na krześle. Tego wieczoru miał na sobie coś dziwnego - nie można było tego nazwać koszulą - z kremowego zamszu i z frędzlami, które chwiały się przy każdym ruchu.

Fascynował mnie ich ruch. A kiedy muzyka na chwilę milkła, słychać było ich cichy szmer. Jakby łopotanie.

- Kiedy mówisz o dobroci - odezwał się z namysłem Dale



- używasz słowa, które bardziej pasuje do Eve. To ona jest dobra. Jeszcze za słabo ją znasz, Arabello, ale sama się przekonasz. Eve naprawdę wiele przeszła.

- Cała nasza trójka wiele przeszła. Eve nas porzuciła, Dale. Wiesz, co to znaczy? Wiesz, jak smakuje odrzucenie? -Pochyliłam się do niego i przeszłam go wzrokiem. - Czy ciebie ktokolwiek kiedykolwiek porzucił?

Pokręcił głową. Teraz ja odchyliłam się na krześle. Cóż za okrucieństwo: trójka maleńkich dzieci porzuconych przez pozbawioną serca mamusię. Abandonatas. Abandoni-stas? Nieważne... Po co się nad tym rozwodzić przy Dale'u? „Kiedy masz przewagę, nie wykorzystuj jej”, nie? Święte słowa, Greto. A może babciu Grety? Zapomniałam, która z nich tak mówi.

Postanowiłam więc nie wykluwać Dale'owi oczu bezdusznym postępkem Eve. Mimo to, kiedy sięgnęłam po moją margaritę (tak na marginesie, świetna szklanka: solidna, wyważona, doskonale leży w ręce), w myślach powrócił stary, znajomy obraz z palmiarni. My troje.

Trzy żałosne kurczaczki przy gigantycznych liliach.

Takie maleńkie. Takie samotne.

I nikt się za nimi nie ujmie.

To było tragiczne. Po prostu tragiczne.

Pociągnęłam ze szklanki. Okazała się pusta.

- Co to?

Zaskoczona zajrzałam do środka.

- Chcesz jeszcze drinka, Arabello?

- Może. - Spojrzałam mu prosto w oczy. - Oczywiście pod warunkiem... - Byłam chytra. Zaplanowałam, co powiem. - Oczywiście pod warunkiem, że to się nie kłóci z twoimi zasadami całkowitej abstynencji.

Pękałam z dumy. Co za popis elokwencji. Twardo patrzyłam mu w oczy. Chciałam, by ten abstynent, ten przyjaciel mojej niemoralnej matki pijaczki, która porzuciła swoje dzieci, nie pozwolił mi wypić kolejnej margarity. Niech tylko spróbuje.

On tymczasem podniósł rękę i skinął na kelnera.

- Przynieś jeszcze jedną margaritę, Sam. A dla mnie kawę.

- Podać kartę z deserami, panie Genscher?

Nagle kelner wydał mi się jakiś taki ogromny. Musiał mieć ze dwa i pół metra.

Dale spojrzał na mnie pytająco. -Nie.

Machnięciem ręki zbyłam kelnera-olbrzymia. Dale uśmiechnął się do niego. Zauważyłam podejrzaną, znaczącą uniesienie brwi. Uznałam to za osobistą obrazę.

- Za co go przepraszałeś?

- Nie przepraszałem.

- Odniosłam inne wrażenie. A j-już na pewno to było proprotekcjonalne. Jeśli mogę uważać się za specjalistkę w czymś... - Z hukiem odstawiłam szklankę na stół i pogroziłam Dale'owi palcem. - Jeśli na czymś się znam, to na traktowaniu kelnerów. Nie obraziłam tego kelnera.

- Nie obraziłaś.

- Przestań mi przytakiwać. Kawa na ławę, Dale.
- Nie rozumiem.
- Kawa na ławę, Dale! Przestań unikać odpowiedzi! Powiedz, kurde, co jest grane!

Tu pojawia się czarna dziura. Teraz jest siódma rano następnego dnia. Leżę w łóżku, w czyjejs przyczepie. Powinnam była wrócić do mojego ślicznego, stylowego pokoiku, ale to na pewno nie jest hotel. Że to przyczepa, poznaję po niskim suficie i małym, metalowym okienku. Okno jest otwarte, bez zasłonki. Widzę przez nie błękit nieba, słyszę odgłos jakiegoś skrobania na żwirze. Może ptak, a może Ryży? Nadal mam na sobie wczorajsze ubranie - z wyjątkiem butów - i leżę na pościeli, przykryta tylko kocem. Nie mogę się poruszyć. Boję się wykonać jakiś ruch. Jestem przyszpilona do łóżka niczym przerażony motyl.

Kiedy się obudziłam parę minut temu, w pierwszym momencie przeżyłam szok. Gdzie ja jestem?

Zaraz potem przyszło bardziej zmysłowe doznanie: miałam wrażenie, że tonę w gorącym piasku.

I wreszcie najgorsze: przypomniałam sobie ze szczegółami swoje wczorajsze zachowanie w restauracji. Każda moja pijacka enuncjacja jest wypisana wielkimi literami na ścianach sypialni i mimo moich wysiłków ani jedno słowo się nie zmienia.

Ostatnim aktorem w moim wczorajszym przedstawieniu był biedny kelner. Jak przez mgłę przypominam sobie, że przyniósł

ostatnią margaritę. A potem pustka. Zasnęłam? Straciłam przytomność? Reszta wieczoru to czarna dziura.

Na wypadek gdybyście mieli kiedyś ochotę wypić do kolacji kilka margarit, opowiem wam, co teraz czuję. Nie mogę oderwać głowy od poduszki, bo przy każdej próbie pokój kołysze się i wiruje. Język mam spuchnięty. Światło wpadające przez szparę między zasłonkami razi mnie w oczy. Ból jeszcze się nie umiejscowił w konkretnym miejscu, za to czuję okropne mdłości i zmęczenie. Ręce i nogi są jak z waty. Każda wczorajsza myśl, każde słowo i każdy obraz wracają w doborowym towarzystwie wstydu, żalu i przerażenia. Pierwsze, co zrobię, to dorwę rolkę papieru toaletowego i napiszę „Przepraszam, przepraszam, przepraszam...” na całej długości od łóżka aż do bramy wjazdowej Robinia Meadows...

O, Boże! Słyszę chrząknięcie Dale'a. Pachnie kawą. Parzy w kuchni kawę. To przyczepa Dale'a. Co za wstyd. Co za upokorzenie. To on położył mnie do łóżka? Musiał mnie nieść?

I kto jeszcze widział mnie w tym stanie? Eve? Reszta paczki? Boże, błagam, tylko nie Rowan! Po tylu moich kazaniach... Tylko nie Rowan...

Najchętniej zapadłabym się pod ziemię. Daruję sobie tę całą zabawę. Za dwadzieścia cztery godziny mogę być w Irlandii; tam nikt nie będzie wiedział o mojej kompromitacji. Wynagrodzę Jimmy'emu Porterowi każde złe słowo, każdą niepoehlebną myśl na jego temat. Spokojnie, pogodnie przyjmę swój los starej panny. Będę niańczyć wnuki Grety, stanę się ulubioną ciotką moich siostrzeńców. Pokocham

dozgonnie Leicester, Dublin i wszystkich wyjców i dresiarzy, na których tak wyrzekam...

Tak, to świetny plan. Ucieknę, gdy tylko uda mi się zwlec z wyra. Zostawię list. Napiszę, że wzywają mnie do pracy w sprawie niecierpiącej zwłoki. Jasne, do niecierpiącej zwłoki kiełbaski.

Cholera, nie mam wyjścia, nawet gdyby udało mi się ruszyć. Jestem w pułapce.

Bardzo mi tak dobrze, zasłużyłam sobie... Boże, kolejne wspomnienie. Już w pikapie. Czepiam się Dale'a. „Co miałeś na myśli, mówiąc, że Eve stosuje uniki?”

W każdym razie wydaje mi się, że to był pikap; jechaliśmy i wciąż o coś uderzałam głową. „Twierdziłeś, że kiedy sytuacja ją przerasta, udaje, że śpi. Powiedziałeś tak czy nie? Obrażasz moją matkę, Dale...”

I kolejny obraz. Ostry jak brzytwa. Dale pochyla się i przykrywa mnie kocem. „Będziesz chciała się napić wody, Arabello. Na biurku stoi dzbanek z wodą z lodem”.

Chryste! Chyba teraz podchodzi do drzwi! Zamknę oczy. Udam, że śpię. Może sobie pójdzie. Może będzie musiał wyskoczyć do miasta. To moja jedyna nadzieja.

Puka. I jeszcze raz.

- Cześć, Arabello. Obudziłaś się już? Zamknij oczy. Oddychaj wolno i regularnie.

- Arabello?

Idź sobie. Idź już, błagam.

- Zostawiam ci rzeczy. Łazienka jest za tymi białymi drzwiami. Słyszę, że kładzie coś na toalecie. Na moich nogach ląduje coś miękkiego. Kroki. Zamknięcie drzwi.

Nabrawszy pewności, że Dale już wyszedł, powolutku, centymetr po centymetrze, podciągam się do pozycji siedzącej. Kiedy wreszcie gwiazdy i paski wirujące mi przed oczyma zwalniają do przyzwoitej prędkości, zauważam, że Dale przyniósł mi komplet ręczników i szlafrok w rodzaju tych, które dostaje się w hotelach. Do tego jednorazowa szczoteczka do zębów z małą tubką pasty i buteleczką płynu do płukania ust elegancko zapakowane w foliową torebkę. Na komódce leży moja torebka. Nie było jej tam, gdy się obudziłam. Ją też musiał uratować. Dale Genscher, nadczłowiek, przy którym wysiada nawet dobry samarytanin. Dłużej tego nie wytrzymam.

Kładę się. Nie ma dla mnie ucieczki. Muszę spojrzeć prawdzie w oczy. Muszę spojrzeć jemu w oczy.

Ze zwieszoną głową jakoś doczłapuję się do prysznicza, spryskuję twarz wodą z umywalki, wypijam parę łyków, rozbieram się. Wysilek jest tak olbrzymi, że wymiotuję. Na szczęście zdążyłam dopaść do umywalki. Po minucie pod prysznicem znowu dopadam do muszli i wymiotuję.

Biorę prysznic. Długi, gorący. Potem zimny i następny gorący. I znów na przemian zimny, gorący, zimny, gorący. Leję sobie wodę na głowę, aż wreszcie czuję się odrobinę lepiej. Otulam się szlafrokiem,

otwieram torebkę, myję zęby, zużywam cały płyn do ust, by splukać gorzki smak wymiocin. A potem odmawiam krótką modlitwę.

W kuchni urzęduje mój gospodarz z rozpuszczonymi, wilgotnymi włosami, ubrany w dzinsy i śnieżnobiałą koszulkę. Wrzuca pomarańcze do elektrycznej wyciskarki.

- Dzień dobry! Będzie piękny dzień.

Żołądek znowu mi się buntuje; szukam w głosie Dale'a drwiny, pogardy i osądu.

- Zjesz śniadanie? - pyta. Drwina?

- Nie, dziękuję - szepczę chrapliwie. Odchrząkuję. -Słuchaj, Dale...

- Jedzenie dobrze ci zrobi. - Wyciska sok z następnej pomarańczy, zupełnie jakby mnie nie słyszał. - Potrzebujesz masy treściwej. I mnóstwa wody. - Nalewa mi wody z dzbanka i podaje. - Zjedz przynajmniej gofry. A może grzanekę po francusku? - Otwiera szufladę. - Masz, połknij dwie tabletki.

Podaje mi opakowanie leku przeciwbólowego. Excedrin, czytam napis na pudełku. Nie znam. Ale niech będzie.

- Pewnie nie masz herbaty?

- Zobaczmy, co się znajdzie.

Otwiera kolejną szafkę, odsłaniając rzędy pudełek i czajniczków ustawionych według wielkości, zupełnie jak w jakimś frymuśnym pisemku o aranżacji wnętrza. Przegląda swoje zapasy.

- Earl grey? A może stary, pocziwy lipton? Hej! Patrz, co znalazłem! Co powiesz na irish breakfast?

Ledwo żywa, chora jak nieszczęście, mimo całego szacunku potrafię się zdobyć tylko na skinienie głową.

- Ze śmietanką czy z cytryną?

- Z mlekiem?

- Wyjdź na zewnątrz. Słońce już weszło, ale przygrzewać zaczniesz dopiero później. Przyniosę ci herbatę, gdy będzie gotowa.

- Jestem nieubrana.

- Ho, ho, dziecińco! - Parska śmiechem. - Nie przejmuj się. Jesteśmy w Robinia Meadows, Arabello, a nie w jakimś snobistycznym klubie.

Nawet nie przychodzi mu na myśl, że mogę się obawiać, co sobie pomyślą ludzie. Kobieta w szlafroku, wychodząca o wpół do ósmej z przyczepy kawalera? Ale jestem za bardzo skacowana, żeby się tym przejmować. Niech sobie ludzie myślą, co chcą. I tak stąd wyjadę i nigdy więcej ich nie zobaczę. Mimowolnie mocniej zaciskam pasek szlafroka, mijam Dale'a i wychodzę na ganek.

Krzatając się w swojej prosto urządzonej, niezagraconej przyczepie (pierwsze wrażenie: dominanta bieli i kości słoniowej, żadnych kiczowatych ozdóbek ani zdjęć rodzinnych, za to mnóstwo chromu w kuchni), Dale wydaje się nieco inny, mniej wyluzowany. Ale na swoim terytorium każdy zachowuje się inaczej niż poza nim.

Siadam w jednym z foteli i łykam tabletki, potem wystawiam rozpaloną, naprężoną twarz ku słońcu, zamykam oczy i zaklinam kaca, aby łagodnie się ze mną obszedł, by zniknęły wspomnienia wczorajszej kompromitacji, by stał się jakiś cud.



Cud nie przychodzi, przychodzi za to Ryży i bez ostrzeżenia wskakuje mi na kolana, mości się wygodnie i mruczy.

Willow, myślę, pewnie dojeżdża już do domu. A może już dotarła? Jestem zbyt chora i zmęczona, by to teraz obliczyć.

Wokół panuje niczym niezmacona cisza, słyszę tylko mruczenie kota i dobiegające z okolicznych przyczep brzęczenie talerzy, szum wody, skrzypienie krzeseł. Teraz bardzo by mi się przydała dobra powieść, kolejny raz żałuję, że książkę z biblioteki zostawiłam w domu. Choć właściwie jestem taka senna, że nie mogłabym się nad nią skupić. Przymknę na chwilę oczy...

- Dzień dobry, Arabello!

Gwałtownie otwieram oczy. Przed gankiem zatrzymuje się samochód. To Robert, świeżutki i ogolony, w nieskazitelnie białej koszuli, pozdrawia mnie przez otwartą szybę. Prostuję się.

- Dzień dobry.

Obrażony kot zeskakuje mi z kolan.

- Rozkoszujemy się cudowną pogodą Arizony? - Uśmiecha się.

- Jest przepiękna. Muszę z niej korzystać, póki mogę. U nas pewnie leje. - Irlandzka pogoda to niezawodny sposób na podtrzymanie konwersacji. - Jedziesz do pracy?

- A gdzieżby indziej? Kolejny dzień, kolejny klient, kolejny dolar.

- Gdzie pracujesz?

- Prowadzimy z Mariem niedużą galerię sztuki. Mamy trochę niezłych rzeczy, trochę beznadziejnych, ale to właśnie te beznadziejne

zarabiają na utrzymanie lokalu i, w moim wypadku, alimenty. Przeważający układ, moja była żona jest jedną z naszych najlepszych sprzedawczyń. Tak się składa, że przeniosła się do Sedony i wzięła parę dyżurów w galerii. Pewnie w ten sposób sprawdza, czy jej nie rolęje. - Roześmiał się bez goryczy. - Mnie to urządza, mam więcej czasu dla siebie. Musisz kiedyś tam wpaść. Sedona to królestwo malarzy. Są ich tu miliony, a marszandzi kręcą się przy nich jak muchy przy słoiku z miodem. Poproś Dale'a, to ci wyjaśni. A właśnie, Arabello, ja i Mario zapraszamy dziś na barbecue. Będzie ciasno, bo nasz taras nie jest szczególnie duży, ale jakoś sobie poradzimy. Mario odpowiada za jedzenie, ja za drinki. Skusisz się? I nie martw się, nie zaproszę byłej żony. Tak dobrze ze sobą nie żyjemy.

Na samą myśl o grillu znów zbiera mi się na mdłości, ale jakoś udaje mi się nad nimi zapanować.

- Wspaniale. Bardzo chętnie.

- Super. Siódma, piętnaście po siódmej. Rozpuść wici. Szkoda, że twoja siostra tak szybko musiała wyjechać.

-No.

- To cześć!

Rusza i w tej samej chwili na taras wychodzi Dale z tacą.

- To był Robert? - Przysuwa stolik i stawia na nim tacę.

- Zaprosił nas wszystkich na wieczorne grillowanie. Zakładam, że zaproszenie obejmuje też Eve, Rowana i Ginę. Słuchaj, Dale... - mówię jednym tchem.

- Wypij herbatę, złotko. Wiem, co chcesz powiedzieć. Wiem, co czujesz. Sam to przerobiłem. Nie przejmuj się. -Usiadł w drugim fotelu. - To było wczoraj. A dziś, dzięki Bogu, wstał nowy dzień.

Gapię się na niego.

- Jesteś bardzo wierzący, Dale. Jesteś ewangelikiem?

- Uchowaj Boże. - Śmieje się lekko i zaraz poważnie. -Już nie. Ale byłem. Należałem do ŚJ.

- ŚJ? Nie znam.

- Świadkowie Jehowy. Ale to już przeszłość.

Po raz pierwszy od naszego poznania na twarzy Dale'a Genschera dostrzegam ból. Ale może to przez kaca jestem taka przewrażliwiona.

- Zrezygnowałeś?

Przypominają mi się dublińscy świadkowie Jehowy, chodzący parami. Moim zdaniem wszyscy skończyli kurs „Jak zachować bezpieczną odległość od zatraskiwanych drzwi”. Żal mi ich było: tacy mili, układni i pełni zapału, a wszyscy ich odrzucali. Raz nawet zaprosiłam takich dwoje na herbatę, a potem gorzko tego żałowałam, bo nie sposób było ich grzecznie spławić.

- Nie, niezupełnie - wyjaśnia Dale. - Zostałem wykluczony ze zboru.

---

## *Rozdział 28*

---

Wydaje mi się, że słyszę przejeżdżający samochód Roberta, co oznacza, że minęło wpół do ósmej, bo Robert dziś pracuje w galerii na przedpołudniową zmianę. Będę musiała przestawić budzik tak, by go widzieć, gdy leżę na tym boku.

Dziś spróbuję przebić się do Rowana. Nie będzie łatwo, ale się zawzięłam. Próbowałam wczoraj, naprawdę próbowałam, jednak to twarda sztuka. Trzeba działać powoli i delikatnie. Obyśmy mieli dość czasu. Jeśli tylko uda mi się odciągnąć od niego Ginę.

Rowan i Gina, tego nikt się nie spodziewał. Arabella jest chyba zadowolona.

To taki kochany chłopiec. Tak kochany, że wciąż trudno mi uwierzyć w to, co mówiły o nim dziewczęta...

Chyba powinnam już wstać. Nie chce mi się ruszać z przytulnego łóżka. Jestem taka zmęczona - i taka smutna. Nie spodziewałam się, że świat może pomieścić tyle smutku. Czyż to nie

ironia losu? Ledwo człowiek zazna prawdziwej radości, dostaje kopa w podbrzusze. To okropne, że Willow tak uciekła. Miałam rację, nie wierząc, że chodzi o dziecko. Na kilometr było widać, że źródłem problemu jestem ja.

Och, na miłość boską, Eve Rennick! Weź się w garść i przestań nad sobą lamentować. Zostało ci jeszcze dwoje dzieci. To o dwoje więcej, niż spodziewałaś się zobaczyć.

Żyjesz i zdrowie ci dopisuje - w każdym razie będzie dopisywać, gdy wreszcie pozbędziesz się tego piekielnego gipsu -a ból z dnia na dzień słabnie. Jeszcze nie umarłaś, zgadza się?

Kto wie? Może nawet jeszcze pojedziesz do Irlandii? Musisz zobaczyć wnuczęta. Willow nie zabroni ci spotkania z nimi. Możesz je odwiedzić. A na razie skoncentruj się na Arabelli i Rowanie. To zaszczyt gościć ich tutaj - więc korzystaj, póki możesz.

Zanosi się na kolejny skwarny dzień...

Tak, to na pewno wóz Roberta. Poznaję jego charakterystyczne pyrkotanie. Chyba bierze się stąd, że to diesel. Robert to porządny człowiek. Nie znam dobrze jego żony, choć parę razy się spotkałyśmy. To musiało być dla niej straszne: ni z tego, ni z owego dowiedzieć się, że mąż, z którym zamierzałaś spędzić resztę życia, rzuca cię dla mężczyzny. Tyle dobrze, że powiedział jej o wszystkim uczciwie i otwarcie, nie musiała sama się dowiadywać, jak to się zdarza innym.-

Wałkowałam to w duchu na wszystkie sposoby i wciąż nie jestem przekonana, czy powinnam opowiedzieć Arabelli i Rowanowi

całą prawdę o tym, dlaczego ich zostawiłam. Zdaję sobie sprawę, że tak naprawdę interesuje ich wyłącznie odpowiedź na to pytanie, ale może powinnam oszczędzić im pewnych szczegółów. Nie ulega wątpliwości, że Willow uważa ich ojca za najbardziej pokrzywdzonego -nie pozostawiła mi co do tego złudzeń. Więc może lepiej tak to zostawić? Niech mają choć jednego idealnego rodzica. Ale jeśli się na to zdecyduję, muszę błyskawicznie odebrać Arabelli mój pamiętnik.

Czyżbym na starość stawała się szlachetna? Gdzie się podziała Eve Rennick, która cwaniactwem i sprytem ratowała się z rozmaitych opałów? Czy to ta sama Eve Rennick, która - narąbana do nieprzytomności i doprowadzona do izby zatrzymań - zachowała dość przytomności umysłu, by wmówić młodemu gliniarzowi, że jest w ciąży, i w ten sposób wzbudzić w nim litość i uniknąć aresztowania? Czy to ta sama Eve Rennick, która latami bez najmniejszych skrupułów żerowała na dobroci Dale'a Genschera? Która, gdy już skończyły jej się budzące litość historyjki, grała na jego współczuciu, by dalej pić?

I właśnie ta Eve Rennick teraz zamierza wykonać dobry uczynek, osłaniając Peteya Moraghana?

Nie, do jasnej ciasnej! To Eve Rennick, która kieruje się dobrem dzieci. Najwyższy czas. Jeśli chce, by cokolwiek je z nią połączyło...

Zresztą, Petey Moraghan jako wzór ojca? Śmiech na sali.

Zaczęliśmy ze sobą chodzić dość szybko po tym pierwszym spotkaniu w kafejce na O'Connell Street i oczywiście na chodzeniu się

nie skończyło. Tego samego roku tuż przed Bożym Narodzeniem odkryłam, że wpadłam. Nie widziałam sensu ukrywania prawdy. Jestem z natury szczerą. Kiedy jednak powiedziałam Peteyowi, ten dał nogę. Błyskawicznie. Ulotnił się bez śladu.

W domu przy Iona Road to pan Portman pierwszy dowiedział się prawdy. Którejś nocy zszedł napić się wody i usłyszał moje szlochy. Ani się obejrzałam, jak wszystko mu wygadałam.

Oczywiście rozpętało się piekło. Byłam trzecią w ciągu czterech lat pokojówką, która wpadła w tarapaty. Wściekli się jak lichy. Naturalnie nie mogłam u nich zostać - oświadczyli - bo wybuchłby skandal. Pani Portman najchętniej wyrzuciłaby mnie od razu, ale pan Portman ulitował się nade mną i obiecał, że odszuka uwodziciela i zmusi go, by poniósł konsekwencje - choćby to miała być ostatnia rzecz, jakiej dokona.

I dotrzymał słowa. Dzięki wojsku namierzył Peteya. Nie za bardzo rozumiałam jak - wszystko to było dość mętne - ale chyba sprowadzało się to do tego, że Petey ubiegał się o jakieś dokumenty czy żołd i, jak ten głupi, podał zwierzchnikom swój adres w Anglii.

Został więc przywleczony z powrotem i pobraliśmy się 19 stycznia 1961 roku, trzy tygodnie po moich szesnastych urodzinach. W kwietniu urodziła się Arabella, ale nie będę wam bajtlować, jak wyglądały następne trzy lata. Zresztą wszystko jest w pamiętniku. Powiem tylko, że całą trójkę rodziłam w wynajmowanym pokoju; że mój mąż okazał się pijakiem i damskim bokserem (ale tylko wtedy, gdy dałam się zaskoczyć; normalnie oddawałam mu pięknym za

nadobne - byłam od niego wyższa); że był leniwym nierobem, więc najmowałam się do prania i pichcenia, żeby moje dzieci nie przymierały głodem.

Miarka się przebrała 16 grudnia 1964 roku, kiedy to człapałam do domu z obiema dziewczynkami po bezskutecznych próbach zdobycia dla nich jakichś świątecznych ubrań w Ozanam House i w punkcie Świętego Wincentego przy Gardiner Street. Zjawiłam się za późno, punkt był już zamknięty. Skonana, wlokąc za sobą Arabelle i niosąc na rękach Willow, ruszyłam do domu.

Nie przeszłam nawet pięćdziesięciu metrów, gdy - mijając znajdujący się po przeciwnej stronie ulicy pub - kogóż to ujrzałam, jak nie mojego lubego małżonka, który miał siedzieć w domu, pilnując naszego najmłodszego. Wychodził właśnie z pubu, obejmując jakąś młodą dzierlatkę. Oboje śmiali się i całowali, nie widząc poza sobą świata. Pamiętajcie, że miałam wtedy zaledwie dziewiętnaście lat.

Zabawne, jak trywialne drobiazgi dostrzega się i zapamiętuje w takich chwilach. Dziewczyna miała kabaretki

i czerwone pantofle, ubrana była w ciemną kurtkę z mosiężnymi guzikami, ściągniętą w talii szerokim paskiem. Pamiętam, że ulicą przejeżdżała wtedy taryfa i przemknął kurier na motorze. Pamiętam, że w rynsztoku obok mnie leżało nadgryzione jabłko. Nie pamiętam twarzy dziewczyny. Chyba nawet na nią nie spojrzałam.

Przeniknął mnie całą dziwny chłód. Przestałam szarpać Arabelle, która marudziła i jęczała, by też wziąć ją na ręce. Przestałam się spieszyć, pozwoliłam, by zakochane ptaszki nas wyprzedziły.



Nie spodziewałam się, że Petey mnie zdradza - kiedy wracał późną nocą albo wczesnym rankiem, sądziłam, że zabarłozzył z kumplami od kieliszka - ale zobaczywszy go przed pubem z kobietą, poczułam coś bliskiego ulgi. Teraz musiałam coś z tym zrobić. W czasie tych paru minut, gdy szedł Summerhill, migdałąc się ze swoją cizią, podjęłam decyzję co do mojego męża, jego bicia, chłania i skazywania nas na nędzę. Już nigdy więcej nie będę pod nim leżeć i czuć na twarzy jego przepitego oddechu. A moje dzieci będą żyć w warunkach, na jakie zasługują.

Nie próbowałam walczyć z tym lodowatym zimnem. Co zresztą nie było trudne - zwłaszcza gdy po powrocie do domu zastałam maleńkiego w potwornym stanie: zanosił się od płaczu, kompletnie przemoczony, leżał we własnych ekskrementach. Umyłam go, przewinęłam, a gdy się uspokoił, zeszłam na dół do Maury.

Maura - moja przyjaciółka i ostoja - była, jak to wtedy nazywano, porzuconą żoną. Od razu się polubiłyśmy - od dnia, gdy się wprowadziłam. Nie miałyśmy przed sobą tajemnic. Właśnie uśmiechnął się do niej los, bo nieoczekiwanie zmarła ciotka z Ameryki i zapisała jej pieniądze - sporo jak na tamte czasy. Dlatego Maura rozglądała się za lepszym mieszkaniem dla siebie i swojego dziecka, przymierzała się nawet do kupna niedużego domku.

Nie zostałam jednak na herbacie, choć Maura miała prawdziwy mahoniowy stół. Upolowała go na jakimś śmietniku. (W tamtym okresie ludzie pozbywali się masywnych, ciemnych mebli; sprzątając mieszkania, widziałam, że zaczęła się moda na lżejsze, jasne drewno.

Maurze trafiła się nawet śliczna, obszerna mahoniowa szafa!). Stałam w jej pokoju, większym od naszego, zimna jak gład. Bez owijania w bawełnę poprosiłam Maurę o pożyczkę. Oświadczyłam, że nie wytrzymam w tym domu kolejnego miesiąca. Opowiedziałam o moim żalonym mężu i jego cizi, wyjaśniłam, że muszę zniknąć.

- Zwrócę ci wszystko co do grosza, Mauro, przecież wiesz.

Nie powiedziałam jej całej prawdy. Nie przyznałam się, że zamierzam zostawić dzieci. Bałam się, że będzie próbowała mnie powstrzymać. Nikomu się do tego nie przyznałam. Dałam jej do zrozumienia, że biorę całą trójkę ze sobą i wyjeżdżam do Anglii, chociaż już wcześniej, w drodze do domu, postanowiłam, że wyruszę sama. Jak mam wziąć dzieci, skoro będę łapać każdą robotę, jaka się nawinie - czy to na dzień, czy na noc? A najprawdopodobniej i na dzień, i na noc.

Maura wciąż rozpływała się nad Ameryką, opowiadając, jak świetnie się urządziła jej ciotka, jak łatwo tam zdobyć pracę i, najważniejsze: „w Ameryce najbardziej podoba mi się to, że chętnie dają ci szansę. Nie przywiązują wagi do pochodzenia”. To przeważało, że zamiast Anglii wybrałam Stany.

No i chciałam uciec jak najdalej od Peteya Moraghana.

Moja najdroższa przyjaciółka, niech Bóg jej to pamięta, natychmiast, bez żadnych pytań, zgodziła się pożyczyć mi pieniądze.

- Nie spiesz się ze zwrotem, Evie - dodała, mocno mnie ściskając. - Najpierw się urządz. To, co mam, spokojnie wystarczy i

dla mnie, i dla ciebie, a w końcu pieniądze są po to, żeby z nich korzystać. Jutro z samego rana pójdę do banku.

Możesz pójść ze mną. Boże, Eve, kto by pomyślał? My, do banku?

Tak zdobyłam pieniądze na bilet do Stanów.

Owego szesnastego - a właściwie już siedemnastego -grudnia Petey zjawił się w domu o czwartej nad ranem, pijany jak bela. Słyszałam, jak wszedł. Czułam, jak położył się do łóżka. Śmierdział, ale nawet nie drgnęłam, żeby mnie nie dotknął. Rano wyszłam z dziećmi, jeszcze zanim wstał. Zostawił mi na stole wymęczony bukiet chryzantem z gnijącymi łodygami. Wyciągnięty z czyjegoś wazonu. Jej ?

Dokonawszy rezerwacji, poszłam z biletem do biura paszportowego i powiedziałam, że muszę jak najszybciej wyjechać, bo moja siostra w Stanach miała wypadek samochodowy. Opowiadałam to urzędnikowi z płaczem. Nie udawałam rozpacz, wystarczyło, bym pomyślała, co robię, a łzy natychmiast zaczynały mnie piec pod powiekami. Ale byłam niezłomna. Ja i moje dzieci wyjdziemy z tego zwycięsko.

Urzednicy biura paszportowego zlitowali się nade mną i pomogli mi w zdobyciu amerykańskiej wizy. Wszystko szło aż za gładko, widać udzieliła im się świąteczna atmosfera: w biurze wisiały bożonarodzeniowe dekoracje i stała choinka. Urzędnikom dopisywał humor, byli łaskawi. Ileż to razy potem myślałam, że gdybym na

którymkolwiek etapie napotkała trudności, prawdopodobnie bym zrezygnowała.

Przede wszystkim jednak udawało mi się unikać Peteya. Kilka nocy spędził poza domem, a ja nie poskarżyłam się ani słowem. Nawet nie pokłóciłam się z nim o tę cizię, tylko podawałam kolację i herbatę, gdy domagał się jedzenia - czego prawie nie robił. Raz zauważyłam, że przyglądał mi się podejrzliwie, kilkakrotnie próbował sprowokować mnie do kłótni, ale wtedy natychmiast wychodziłam z pokoju i uciekałam do Maury. Wiedziałam, że Petey za mną nie przyjdzie. Mój szanowny mążonek był jak te pobielane groby z ewangelii, za wszelką cenę pragnął zachować pozory i nie chciał, by ktokolwiek źle o nim pomyślał. Wyczekiwałam, aż usłyszę na schodach łomot jego buciorów, i dopiero wtedy wracałam na górę do dzieci.

Nie było żadnych pożegnań z mężusiem. Owszem, zostawiłam mu list, nawet nie wiem, czy go przeczytał. Nie raczył pojawić się w domu przez dwa przedświąteczne dni. Nie wiem, czy wrócił na Wigilię, święta czy Nowy Rok. Maura by mi powiedziała, ale nie udało mi się z nią skontaktować i sprawa pozostała tajemnicą. Pożegnanie z moją przyjaciółką było najtrudniejsze. Nie ma sensu do tego wracać. Sami się domyślcie... Zwłaszcza że ją okłamałam. Moją najlepszą przyjaciółkę.

Niezupełnie okłamałam. Nie rozwiewałam jej złudzeń. Dała mi jeszcze pieniądze na słodycze dla dzieci.

- Ale za oceanem to się nazywa „łakocie”, Evie! Zobaczysz, wyrosną ci na małych jankesów.

- Nie, nie wyrosną!

Właśnie wtedy omal się nie zламаłam. Wybuchnęłam płaczem, ale Maura błyskawicznie mnie przytuliła, a potem wypchnęła za drzwi.

- Uciekaj, bo się spóźnisz.

Maura pochodziła ze wsi i czasem wrywało jej się takie „uciekaj”. Zamknęła drzwi, choć jeszcze stałam w progu.

Przyleciałam do Stanów z Londynu, miałam bilet powrotny, więc nowojorscy urzędnicy imigracyjni bez problemów przepuścili mnie przez granicę. Może im też udzielił się bożonarodzeniowy nastrój. Mój paszport sprawdzał Murzyn. Nigdy wcześniej nie rozmawiałam z czarnym, ale okazał się bardzo miły. Maura, niech jej Bóg wynagrodzi, pożyczyła mi też kostium; na głowie miałam okrągły toczek w stylu Jackie Kennedy, ten sam, który nosiłam w dniu ślubu, więc może urzędnik uznał mnie za zamożną Angielkę. Powiedział nawet: „Udanego pobytu w Ameryce”.

I rzeczywiście, udany miałam pobyt. Aż za bardzo.

Po pięciu miesiącach wysłałam Maurze część pieniędzy - natychmiast gdy coś odłożyłam. Wysłałam je wraz z listem, w którym opisywałam swoje przygody w Stanach. Obiecałam, że resztę zwrócę jej najszybciej, jak się da. Ponieważ nie wiedziała, dokąd się przeprowadzi, dała mi adres swojego kuzyna na wsi. List jednak wrócił z adnotacją „adresat nieznany”. Byłam przerażona. Napisałam

ponownie, tym razem nie przesyłając pieniędzy, ale ten list też wrócił. Pisałam raz za razem i po kolei listy wracały. Mam je wszystkie w pudełku. Ciekawe, czy Arabella już je przeczytała?

Biedulka, tak ścisnęła swoje pudełko wtedy w palmiarni. W sztucznym świetle jej buźka wydała się taka blada. Nigdy nie zapomnę tamtego zapachu. Słodkawego. Jakby zgnilizny.

Nie pamiętam, dokąd pobiegłam, gdy ich tam zostawiłam. Zamierzałam skręcić za bramą w prawo i wrócić do centrum, ale gdy przyszło co do czego, pędziłam jak nieprzytomna, czując tylko dudnienie krwi. Dosłownie kipiała we mnie, jakby lada moment miała rozsadzić mi głowę. Musiałam skręcić w lewo i przejść przez most, bo kiedy oprzytomniałam, okazało się, że jestem na malowniczym bulwarze Tolki tuż pod starym kościołem, siedzę na ławce, a obok mnie siedzi mężczyzna i pyta, czy dobrze się czuję.

Nie czułam się dobrze, ale odparłam, że tak.

Nie chciał się odczepić. Wkurzał mnie tymi swoimi zatroskanymi pytaniami, czy na pewno nic mi nie jest. Pewnie bał się, że rzucę się do rzeki.

I trudno mu się dziwić. Przez cały tydzień lało, rzeka bardzo przybrała. Woda podchodziła pod sam chodnik, nurt był rwący. A choć nie myślałam o samobójstwie, gdybym dłużej tam posiedziała, wpatrując się w rzekę, może by mi i zaświtała taka myśl. Szybkie rozwiązanie problemów. Parę minut i już nigdy nie czułabym bólu. Nigdy.

Choć serce mi krwawiło, nie zrezygnowałam ze swojego planu, bo - Bóg mi świadkiem - zamierzałam wkrótce wrócić po dzieci. Żeby spławić poczciwca, zmyśliłam jakąś bajeczkę o kłótni z chłopakiem i uspokoiliam go, że to zwyczajna sprzeczka i że wszystko dobrze się skończy.

- Na pewno? - drążył. - Na pewno mnie nie okłamujesz?

- Dlaczego miałabym kłamać? - oburzyłam się.

Cały czas miałam przed oczami trójkę swoich dzieci. Co teraz się z nimi dzieje? Czy właśnie zabiera je policja? Czy ludzie, którzy się nimi zajmą, będą dla nich dobrzy? A jeśli trafią do jakichś sadystów?

Niewiele brakowało, abym się poderwała i wróciła do ogrodu botanicznego, ale było już za późno. Nie miałam odwrotu. To jedyna szansa zapewnienia mojej trójce w miarę przyzwoitego życia. Wybrałam najlepsze wyjście w tamtej sytuacji. Choć to nie zmniejsza poczucia winy, nadal podtrzymuję moje zdanie i niech nikt nie próbuje mi wmówić, że było inaczej.

Dobry samarytanin wreszcie się odczepił, ale na pożegnanie dał mi cudowny medalik na błękitnej nitce.

- To z Lourdes. Zaniósłem go do grotty objawień, a potem, gdy byłem w Rzymie, poświęcił go papież podczas audiencji na placu Świętego Piotra. Pomódl się do Najświętszej Pani, Martino. - Powiedziałam mu, że mam na imię Martina. Zawsze mi się ono podobało. - Jeśli twój chłopak to porządny gość, spojrz na waszą sprzeczkę z odpowiedniej perspektywy i zrozumie, jaka to błahostka.



- Pomodłę się - obiecałam. - Dziękuję panu. Odczekałam, aż sobie pójdzie, a potem, na wypadek gdyby mnie obserwował, najwolniej, jak to możliwe, poszłam bulwarem do Mobhi Road. To był najdłuższy spacer w moim życiu.

Tak, dziś będzie niezłe przypiekać. Już czuję upał. Ciekawe, czy Arabella już wstała? I czy podobało jej się w Saddle Horn? Dale lubi tę restaurację. Je jak koń, a tam dają olbrzymie porcje. Co ten facet robi, że mimo to jest chudy jak patyk? Może powinnam była z nimi pójść? Zapraszał mnie także, ale jeszcze się nie pozbierałam po ucieczce Willow. Nie byłam w nastroju.

Nie umówiliśmy się dziś z Arabella na konkretną porę. Nienawidzę takich sytuacji. Wolę wiedzieć, na czym stoję. Cóż, chyba powinnam to uznać za kolejną, cenną lekcję cierpliwości i pokory. Pokora nigdy nie była moją mocną stroną. Owszem, znosiłam poniżenia - wystarczy posłuchać historii mojego życia. Owszem, nie miałam rodziców ani rodziny i już za późno, by ich odnaleźć. Owszem, nie zdobyłam wykształcenia, moja edukacja ograniczyła się do umiejętności pisania, czytania i rachowania (choć czytelnicy mojego pamiętnika mogą mieć co do tego poważne wątpliwości!). Nie byłam i nie jestem jedną z tych książkowych bohaterek, które pokonawszy bariery urodzenia i wychowania, odnoszą sukces i zostają szczęśliwymi milionerkami -o tym już chyba zdążyliście się przekonać.

Ale to wszystko zewnętrzna powłoka. Można znosić poniżenia, co nie znaczy jednak, że człowiek ma się czuć gorszy. Bowiem w



głębi ducha, nawet gdy upadłam na samo dno, nigdy nie przyjąłam do wiadomości, by ktokolwiek na ziemi - nawet królowa Anglii czy car Rosji - był lepszy ode mnie. Zapewne odziedziczyłam to po moich rodzicach. Dale ujmuję to krótko i celnie: „natura kontra matura”. W moim wypadku natura - geny nieznanych rodziców - okazała się silniejsza niż brak obycia i wykształcenia. Tankowałam, stoczyłam się, a mimo to pozostałam na powierzchni, bo nawet w najgorszym okresie potrafiłam śmiało patrzeć innym w oczy.

Tak naprawdę nie mam dziś ochoty patrzeć na nikogo. Willow pojechała, swędzenie pod tym cholernym gipsem doprowadza mnie do szału, muszę iść do łazienki, a wiem, że gdy tylko spróbuję się podnieść, moje przekłete żebra dadzą o sobie znać. Że nie wspomnę o ramionach obolałych od tych diabelnych szwedek.

Ojoj, biedna Eve. Biedne maleństwo!

Może znajdzie sobie inne powody do labidzenia. Nawet mam pomysł. Cofnij się w przeszłość i żyj w niej. Opowiadaj wszystkim, jak strasznie doświadczył cię los. Leż tu. Nie ruszaj się. Roztkliwiaj się nad sobą. Pokaż dzieciom, na co cię stać. Użalaj się nad sobą całutki dzień. A w nagrodę dostaniesz dwa kufle i kwiatusek.

---

## Rozdział 29

---

Jeśli chodzi o kaca, to doświadczenia mam ograniczone, ale zauważyłam jedno: mimo pękającej z bólu głowy, wstydu i wyrzutów sumienia człowiek czuje się odprężony, zupełnie jakby organizm powiedział: Miałeś dość. Przestań zawracać mi głowę swoimi uczuciami, bo potrzebuję chwili oddechu. Wyluzuj!

Dlatego gdy siedzimy z Dale'em na tarasie - on z sokiem pomarańczowym, a ja z herbatą - już niczym się nie przejmuję. Sprawia mi ulgę zwykle obserwowanie otoczenia, jego budzenie się do życia: trzaskanie drzwi, zmiatanie ganków, warkot wolno toczących się samochodów, głosy sąsiadów zadzierających głowy ku bezchmurnemu niebu, którzy pozdrawiają się „dzień dobry”, idąc po zakupy albo wracając z lokalnego sklepiku - nazywają go magazynem -gdzie zaopatrują się w prasę, mleko i produkty do śniadania. Pod bosymi stopami czuję gładkie, chłodne deski. W powietrzu unosi się silny aromat kawy. Ale to nie zwalnia mnie z wyjaśnienia pewnej sprawy.

- Mogę coś powiedzieć, Dale?

- Nawet wiem co: czujesz się jak idiotka, tak?

- Tak.

- Jeśli musisz, to powiedz, tylko nie jesteś idiotką, Arabello. Raz się spiłaś. To nie koniec świata.

- Ale musiałeś się mną zaopiekować.

- Owszem, szan'pani. Wolałabyś, żebym zostawił się w Saddle Horn?

- I musiałeś nieść moją torebkę. - Na widok jego miny parskam śmiechem. - Dobra, dobra. Poddaję się. Pociesz się, że teraz cierpię z nawiązką za swoje grzechy.

- Pij herbatę.

- Dzięki.

Nie piję, tylko opieram brodę na kubeczku, rozkoszując się ciepłem porcelany i pary, i patrzę, jak złocista granica słońca stopniowo przysuwa się do nas zwirowaną „ulicą”. Może to skutek absolutnego zmęczenia i osłabienia, ale jak zahipnotyzowana obserwuję powolne kurczenie się cienia. Każdą komórką czuję zbliżające się ciepło promieni słonecznych.

Fruuu! Duży, piękny ptak - już wiem, że nazywa się modrosójka błękitna, bo wczoraj mnie przestraszył, lądując na ganku Eve - opada na poręcz niecałe dwa metry od nas. Śmiało przygląda się nam błyszczącymi ślepkami. Eve mówiła, że modrosójki to kuzynki srok. Sroka oznacza smutek. Och nie, dziś nie będę przesądna. Odwzajemniam się równie śmiałym i twardym spojrzeniem. Czując,

że nic tu nie wskóra, modrosójka odlatuje urażona, rozpościerając mieniające się różnymi odcieniami błękitu skrzydła. Czar pryska.

- Tamci mieszkańcy wyjechali?

Przyczepa naprzeciwko, dwa stanowiska od Eve, wygląda na opuszczoną. Żaluzje są zaciągnięte, plastikowe krzesła stoją jedno na drugim w rogu tarasu.

- Słabo ich znamy, nie są szczególnie towarzyscy. Ale sprawiają wrażenie przyzwoitych.

Dale znowu milknie.

- A kto zajmuje tę przyczepę obok Eve?

- Porządni ludzie. Poznam cię z nimi. Para, oboje rozwodnicy. On jest z Bostonu, pracuje w banku. Ona pochodzi stąd, pracuje w jednym ze sklepów ze zdrową żywnością. Pewnie zaraz ich zobaczysz, mają jeden samochód, więc jeżdżą razem.

Przetrawiam te informacje. Zastanawiam się, co mieszkańcy Robinia Meadows mówią o mnie, Willow i Rowanie. Z ich punktu widzenia zapewne każda nowa twarz wydaje się podejrzana.

- Nie czujecie się tu trochę jak w klatce albo akwarium? Nie przeszkadza wam, że wszyscy wszystko o wszystkich wiedzą?

- Przede wszystkim wzajemnie sobie pomagamy. A jeśli się zastanowić - uśmiecha się lekko - to tylko nieliczni z nas odnaleźliby się w normalnych miejscach. Ludzie przychodzą i odchodzą, biorą rozwód i idą na emeryturę, szukają skromniejszego domu i spokojniejszego życia. To fakt, na ogół to sytuacja zmusza nas do szukania miejsca tutaj, jednak zostajemy z wyboru. A jeśli chodzi o

życie jak w akwarium, przecież mówisz o sobie wyłącznie tyle, ile chcesz. A że inni będą plotkować? Jasne, ale to w sumie nie problem. Oczywiście z wyjątkiem Mary RR. - Uśmiecha się ciepło. - Mary jest w porządku. Trzeba tylko umieć z nią postępować, pamiętać, ile można jej powiedzieć, a co lepiej zatrzymać dla siebie. Jeszcze nie jest taka zła. Zapraszamy ją na imprezki. Jak mówi przysłowie, lepiej, żeby sikała z namiotu na zewnątrz niż...

Przyglądam mu się bacznie. Siedzi wygodnie, z wyciągniętymi nogami. Zrobił to świadomie? Zdaje sobie sprawę, że właściwie odpowiedział na inne pytanie niż to, które mu zadałam.

- A co z przestępczością? Wszyscy tu są strasznie wyluzowani. Na przykład zauważyłam, że zostawiasz kluczyki w stacyjce, a kiedy rano się obudziłam, okno sypialni było otwarte na oścież. I tak całą noc?

- Ech, komu by przyszło do głowy kraść takiego starego rzęcha?

- Uśmiecha się, patrząc na swój pikap, stojący na betonowym chodniku wśród warzyw. - A wraz z nadejściem wiosny wszyscy śpimy przy otwartych oknach. Kradzieże nie są tu problemem. Oczywiście musimy pilnować zapasu leków w aptece, ale to wszystko. - Wzrusza ramionami. - Rozejrzyj się. Czy złodziej by się tu obłowił? Oczywiście, nie jesteśmy ideałami. Przy tak wielu rozwodach i „byłych” nie uniknie się od czasu do czasu jakiejś rodzinnej awantury, jednak na ogół jesteśmy dość spokojni i pokojowo nastawieni.

- A narkotyki? W Dublinie to olbrzymi problem.

- Znowu ta sama odpowiedź: kto wie? Od czasu do czasu trafi się ktoś ze skretem, ale nikt nie zwraca na to uwagi.

- A ty? Sięgasz po trawkę?

- Po zioło? Jestem uzależniony, Arabello, muszę omijać takie rzeczy z daleka.

- Przecież marihuana nie uzależnia.

Co prawda nigdy nie próbowałam, śledziłam jednak debaty prasowe. Zdaje się, że w Anglii podają ją nieuleczalnie chorym w ostatnim stadium.

Dale kręci głową.

- Tylko niektórych nie uzależnia. Dla większości jest niebezpieczna. A dla mnie nawet bardzo.

- Cześć i czołem! - W kierunku tarasu Dale'a toczy się Mary RR, bystrym okiem oceniając sytuację. - Czyż to nie piękny poranek, Dale? - Zwraca się do niego, ale patrzy na mnie. - Potrzebujecie czegoś z magazynu? Cześć, Arabello.

- Dzień dobry. - Z całej siły zaciskam pasek szlafroka. Jeszcze trochę, a dostanę przepukliny. - Rzeczywiście, cudowny poranek. Dale pozwolił mi dziś skorzystać z prysznicza.

- Nic mi do tego, złotko. - Zwraca się wprost do niego. - Na pewno nie potrzebujesz gazety albo czegoś, skarbie?

- Nie, dzięki. Niczego nam nie brakuje - odpowiada leniwie Dale.

- Cóż, skoro tak uważasz... To na razie.

Rzuca mi jeszcze jedno badawcze spojrzenie, posyła mu nieco dziwny uśmiech i odpływa. W duchu kopię się w kostkę.

- Nie przejmuj się. - Dale wygląda na rozbawionego. - Jest nieszkodliwa. Po prostu doskwiera jej samotność. Ma trójkę dzieci, ale, cóż... - Wpatruje się w przestrzeń. - A o tym śmierdzącym leniu, jej byłym, szkoda nawet gadać...

Świat jest pełen samotnych ludzi, myślę, rozluźniając pasek i przywracając obieg krwi.

- Dziś znowu musisz jechać do miasta, Dale?

- Masz ochotę na małą wycieczkę krajoznawczą w najbliższej przyszłości? Mogę cię zabrać. Rowana też, ale on chyba sam znalazł sobie wystarczające atrakcje.

Uśmiecha się. Odpowiadam tym samym. Mam niejake kłopoty (choć to wyjątkowo przyjemne kłopoty) z ogarnięciem tego, co przydarzyło się Rowanowi. Od kiedy poznał Ginę, prawie go nie widzimy. Wiem, że Eve czuje się nieco zawiedziona, i próbowałam jej wyjaśnić, że to najlepsze, co mogło go spotkać. Oczywiście, uważa, że ja i Willow w zbyt czarnych barwach odmalowałyśmy jego dublińskie życie.

- Dzięki - odpowiadam. - Spytamy go, kiedy wynurzy się na powierzchnię. Jeśli się wynurzy. A co z twoją pracą? - odsłaniam prawdziwy powód mojego pytania o wyjazd do Sedony. - Możesz sobie brać wolne, kiedy chcesz?

Nadal siedzi rozluźniony, jednak wyraz jego twarzy się zmienia, zaostrza.

- Chcesz wiedzieć, z czego żyję. - To stwierdzenie, nie pytanie.  
- Owszem, ciekawi mnie to. Jeśli uważasz, że to z mojej strony wścibstwo...

- To nie wścibstwo. - Wodzi wzrokiem po przyczepach, osiedlu, linii czerwonych skał rysujących się wyraźnie na tle błękitnego nieba. Czuję, że myślami jest daleko, daleko stąd. - A jeżeli nie chcę czegoś mówić, to po prostu nie mówię.

- Przepraszam.

- Nie przepraszaj, Arabello. To naturalne pytanie, zwłaszcza w Stanach. Tu każdy na dzień dobry pyta: „Gdzie pracujesz?”.

- U nas też, tylko to dopiero drugie pytanie po: „Skąd jesteś?”. Zupełnie jakbyśmy musieli umieścić człowieka na mapie, aby zacząć z nim rozmowę.

Urywam, dając mu szansę odpowiedzi, ale z niej nie korzysta.

- Mogę cię zapytać o coś jeszcze? - W duchu zastrzegam sobie prawo powrotu do pytania o „biznes” Dale'a. - Opowiedz mi o świadkach Jehowy. Z żadnym z nich nigdy nie rozmawiałam. W każdym razie nie z własnej woli.

Uśmiecha się, ale jakoś nie widzę w tym uśmiechu rozbawienia, za to na jego twarzy znów dostrzegam cień smutku.

- To długa historia.

- A to wykukulczenie, czy coś tam...? To, co cię spotkało? - Nie mogę sobie przypomnieć właściwego słowa.

- Wykluczenie. Usunięcie ze wspólnoty.



- Ale z jakiego powodu?

- Powodów jest wiele. Przede wszystkim, jeśli zadajesz za dużo pytań. Poza tym, jeśli nie jesteś posłuszny. Jeżeli nie słuchasz poleceń. Albo nie jesteś uległy.

Jego zachowanie i mowa ciała drastycznie się zmieniają. Robi się spięty.

- Dale, jeśli nie chcesz o tym mówić...

Mierzy mnie wzrokiem, osądza. Automatycznie macha ręką do samochodu, który zatrafił, mijając nas.

- Widzę, że wetknęłam nos w nie swoje sprawy - podejmuję, gdy wóz już przejechał. - Po prostu każ mi się zamknąć, dobrze? Moja przyjaciółka Greta powiedziałaby ci, że jestem obrzydliwie wścibska.

- Co wiesz o świadkach Jehowy?

- Niewiele. Odczytują Biblię dosłownie, tak?

- To też.

Czekam. Najwyraźniej uderzyłam w czułą strunę. Teraz żałuję, że w ogóle poruszyłam ten temat. Jestem także zaintrygowana. Mijają sekundy, minuta...

- Darujmy sobie, Dale. Zapomnijmy, że w ogóle pytałam. Naruszyłam twoją prywatność.

- Nie ma w tym żadnej tajemnicy ani niczego wstydliwego. Ale w tym osiedlu tylko jedna osoba wie, co się wydarzyło: twoja matka.

- Naprawdę, nie wracajmy do tego.

Lecz on postanawia mi się zwierzyć. Słucham, trzymając w rękach stygnącą herbatę.

Ze wzrokiem utkwionym w przestrzeń Dale opowiada cicho, jak urodził się w rodzinie należącej do, jak to nazywa, Strażnicy. Oboje rodzice, już nieżyjący, byli gorliwymi i aktywnymi członkami zboru, on jednak jako nastolatek zaczął kwestionować pewne zasady organizacji, na przykład to, że tylko wspólnota jest łącznikiem między Bogiem a ludźmi, jej autorytaryzm, przede wszystkim zaś jej racjonalizowanie.

- Czyli co? Możesz mi podać przykład?

Nie chciałam mu przeszkadzać, ale jeśli mam coś zrozumieć, potrzebuję konkretnego przykładu albo wizerunku.

Zerka na mnie, potem na swoje stopy. On też jest boso. Palce u nóg ma długie, paznokcie krótko przycięte.

- Nasi przywódcy i starsi ogłaszali coś jako prawdę objawioną - wyjaśnia cicho. - Na przykład że tego a tego dnia nastąpi koniec świata czy coś w tym stylu. Kiedy to się nie spełniało, oświadczały, że to nie problem, bo to wyłącznie kwestia interpretacji. Wykręcali kota ogonem. Nawet dobrze, że ich prorocstwo się nie spełniło, mówili, bo dzięki temu my wszyscy zyskujemy nowe spojrzenie na Biblię.

Przypominam sobie wywody Eve o limbus puerorum i zmarłym dziecku jej przyjaciółki Maury.

- Ale to chyba cecha każdej religii? Kościół katolicki ciągle się z czegoś wycofuje. Piątkowy post - skreślony. Msza po łacinie - skreślona. Jeden ruch papieskiego pióra i z pocztu świętych znikają święty Krzysztof i święta Filomena.

- To nie to samo. Katolicy nie wykluczają nikogo ze wspólnoty za zadawanie pytań.

- Bo ja wiem? Co rusz czyta się przecież, że kogoś ekskomunikowano za herezję.

Znalazłam się na niepewnym gruncie, bo swoją wiedzę na temat mrocznej strony Kościoła czerpię z brukowców i artykułów w rodzaju: „Biskup leci na dywanik do Rzymu, papież ucisza duchownego”.

- To zupełnie inna sytuacja. Herezja to nie to samo, co zadawanie pytań. - Milknie. Widać, że nie ma najmniejszej ochoty na teologiczną dysputę. -I jeszcze coś powinnaś o mnie wiedzieć, Arabello - podejmuje cicho, przyglądając mi się uważnie.

-Wal.

- Byłam żonaty. Mam syna w Chicago i córkę w Cleveland. A w każdym razie - odwraca się, jakby nie chciał, żebym widziała jego twarz - wydaje mi się, że tam. Mogli się przeprowadzić.

Sączę zimną herbatę.

- W jakim są wieku?

Mam nadzieję, że udało mi się zapytać o to właściwym tonem - osoby bywalej w świecie i bez szczególnego zainteresowania.

- Mój syn ma dwadzieścia siedem lat, a córka dwadzieścia pięć. - W myślach błyskawicznie robię rachunki, ale

Dale znowu mi się przygląda. Bardzo uważnie. - To znaczy, że ja mam czterdzieści dziewięć lat - dodaje.

Wydaje mi się, że jest rozbawiony, chociaż nie dam głowy. W innej sytuacji płonąłabym ze wstydu, że zostałam przyłapana, ale kaczka nadal działa jak amortyzator.

- Twoja żona ponownie wyszła za męża?

- Bo ja wiem? - Znowu odwraca wzrok.

Co tu jest grane? Te uniki, jeśli tak można to nazwać, zupełnie do niego nie pasują.

- A zanim spytasz, wyjaśnię, że powodem, dla którego tego nie wiem i nie wiem, gdzie mieszkają moje dzieci ani brat, jest moje wykluczenie z grona świadków Jehowy. Wykluczenie to coś więcej niż wydalenie ze zboru. Dzieci i brat wyrzekli się mnie. - A widząc niedowierzanie na mojej twarzy, wyjaśnia: - Tak, tak, świadkowie mają cudowną praktykę zwaną wyrzeczeniem. Oznacza to, że stajesz się dla nich umarły. Co od prawdziwej śmierci różni się tym, że nie muszą sobie zawracać głowy odwiedzaniem twojego grobu.

- To straszne, Dale.

Nie wiem, co powiedzieć. Amortyzator amortyzatorem, a jednak czuję wściekłość. Sama nie rozumiem dlaczego. Takie wykluczenie musi być potworne. Wtedy... Zaraz!, myślę gorączkowo. Jednak coś nas łączy. Jego się wyrzekli, a ja zostałam porzucona. To właściwie to samo... Nim jednak zapędzę się dalej w tych rozważaniach, przypominam sobie, że znam faceta od jak dawna...? Dwóch, trzech dni? I mówi mi, że ma, a raczej miał, żonę i dwójkę dzieci. To niewątpliwie duża niespodzianka.

I na tym koniec, oznajmiam sobie surowo. Niespodzianka. Jestem w Ameryce. A potem wrócę do swojego świata, Irlandii. Dale Genscher to miły, sympatyczny, gościnny, skory do pomocy gość i bardzo się cieszę, że go poznałam, jednak wraz z powrotem do kraju zniknie z moich myśli.

Uświadamiam sobie, że Dale nadal mi się przygląda. Uśmiecham się, ale nie odpowiada tym samym.

- Rozwiodłem się z nią.

- Aha. Jak jej na imię?

Kretynko! Co to w ogóle ma do rzeczy?

- Jak się nazywają twoje dzieci?

- Ona miała, ma na imię Martha. Dzieci to Janice i Joey. Pewnie teraz woli, by mówiono na niego Joe, w końcu to dorosły facet.

Janice, Martha, Joe. Nagle stali się żywymi, prawdziwymi istotami.

- I naprawdę nie odzywają się do ciebie?

No, cudownie! Pytanie tygodnia. Dostaje pani główną nagrodę...

- Nie. - Kręci głową.

- Kiedy zostałeś wykluczony, wyrzekli się ciebie wszyscy bracia w wierze?

- Tylko jeden nie zerwał ze mną kontaktu, przez co też został wykluczony. - Odwraca wzrok i patrzy mi gdzieś ponad ramieniem. - Ale znajomość się rozpadła. Wyjechał do Europy, mieszka we Francji albo w Niemczech. Eve już wstała.

Oglądam się. Matka siedzi w fotelu. Zdaje się, że na twarzy ma maskę tlenową. Natychmiast ogarnia mnie niepokój.

- Nic jej nie jest?

- Nic. - Nie robi to na nim najmniejszego wrażenia. -Dzięki masce żebra mniej dają jej się we znaki i czasem zakłada ją, nim lekarstwo zacznie działać. Coraz rzadziej z niej korzysta. Powinniśmy podejść i się przywitać. Ucieszy ją towarzystwo. Zwłaszcza twoje. - Wstaje i macha do Eve. Potem odwraca się do mnie. - Czujesz się już na siłach, Arabello?

Znów wskakuje w skórę Dale'a harcerza i dobrej duszy.

---

## *Rozdział 30*

---

Bella miała rację, gdy mówiła, że tutaj nie uznają przeklinania. Gina wpada w szal, jeśli wymknie mi się coś na k...

Wczoraj, postawiwszy warunek, że będę się, ku...

Przepraszam.

Wczoraj, postawiwszy warunek, że będę się pilnował, zabrała mnie do pracy. Pracuje dorywczo w kilku lokalach, bo - jak mówi - nie chce być uwiązana do jednego miejsca. Lokal, do którego zabrała mnie wczoraj, to bar - bo nie nazwałbym tego pubem - w mieście niedaleko stąd, Sedonie.

Sklepy to wszystko, co ci pie...

Przepraszam.

Pełno tam nawiedzonych świrów, sprzedających piramidki, kryształki, ziółka itepe czy jakieś dzieła sztuki zrobione ze starych puszek albo kukielki. Wszędzie kręcą się hipisi, proponują ci masaż głowy albo pieleszą coś o aurze. A jednocześnie przy ulicy długości naszej O'Connell Street stoją same markowe dzipy i lincolny. Lexus jest tam tak popularny, jak u nas golf, żadne aj-waj. Kiedy człowiek

spędza całe dnie, gapiąc się na gabloty, mimowolnie uczy się marek i staje specem od rynku samochodowego.

No i jeszcze co krok to galeria, gdzie wiszą obrazy za jakieś niewyobrażalne pieniądze. Widziałem jeden: dwadzieścia patoli za, ku... Przepraszam. Dwadzieścia patoli za bia-

272

łe płótno z jedną niebieską krechą przez środek. Kompletny odlot. Chyba poświęcę się malarstwu. No, bo co to za filozofia machnąć niebieską kreskę na białym tle?

Zapomniałbym o tych ich czerwonych skałach. Gina mówi, że w Sedonie są cztery niezwykle skały, dwie z nich ze względu na kształt nazwano Katedra i Dzwon. To właśnie ze względu na nie - i czakramy - ściągają tu hipisi, artyści i wszystkie te nawiedzone na punkcie zdrowia świry. Próbowала mi wyjaśnić, na czym to polega. Chyba chodzi o to, że ziemia przyciąga - albo wysyła, już nie pamiętam - jakąś elektryczność. Grunt, że energia jest tak potężna, że kiedy człowiek zbliża się do tych miejsc, odlatuje. Gina twierdzi, że to jedyne miejsce na ziemi, gdzie w tym samym punkcie znajdują się cztery czakramy, i że kiedyś mnie tam zawiezie, żebym sam poczuł tę energię.

Właściwie to nawet mam na to ochotę.

Wracając do jej lokalu, to restauracja i zarazem bar, ale Gina pracuje w części barowej. Towarzycho było mieszane: paczki laseczek obwieszonych błyskotkami, z włosami we wszystkich kolorach tęczy, normalne pary, kilku łysków z krawatami na gumkach, starszków w



obciachowych sweterkach i kilkunastu homoseksualistów - Gina nie pozwala mi nazywać ich ciotami. Uczę się od niej zupełnie innego spojrzenia na świat. Bar był pomalowany na brudny róż, ściany nierówne, z kawałkami tynku, obwieszane obrazami w rodzaju tego, co to wam wcześniej mówiłem, a na drzwiach do kibla wisiały niby to skromne obrazki z napisami: „ogierey” i „klaczki”.

Nie powinienem krytykować. Miejsce w sumie było w porządku, a wszyscy dobrze mnie przyjęli, bo przyszedłem z Giną. Problem w tym, że ja przywykłem do podejrzliwości, do udawania twardziela, do tego, że każdy myśli, jak by mi dokopać. I jak tu się przestawić, kiedy ludzie są uprzejmi i zadają normalne pytanie? Na przykład, ten barman. Wycierając szklanki, nalewając piwo i przyjmując zamówienia od Giny, wdał się ze mną w pogawędkę. Pytał, jakie dyscypliny sportu są najpopularniejsze w Irlandii, jak Irlandczycy spędzają sobotnie wieczory (w pace - tak powinna brzmieć moja odpowiedź) i czy warto się tam wybrać na urlop.

Gina nie mogła mi nalewać darmowych drinków, ale co rusz dosypywała precli i orzeszków do miseczki przede mną. A ponieważ przyszliśmy razem, barman i kierownik w jednej osobie od czasu do czasu nalewał mi podwójną porcję, choć zamawiałem pojedynczą. Oboje polecali mi burbona i mieli rację. Powiadam wam, niebo w gębie. Wchodzi gładko, ale mocny jak lichy.

Nieźle sobie pogadaliśmy, pośmialiśmy się. Opowiedziałem im o kilku numerach Szajbusa. Choćby ten, jak wkręcił się na koncert U2, udając sąsiada Bono z dziecięcych lat, który przyleciał aż z Nowej

Zelandii, żeby posłuchać kumpla i, co najdziwniejsze, Bono w uznaniu dla tupetu Szajbusa kazał ochroniarzom go wpuścić.

- Powaga?

Na barmanie zrobiło to potężne wrażenie. Na Ginie też. Oboje są zdumieni, że - w świetle moich opowiadań - Bono i pozostali członkowie kapeli to zupełnie normalni faceci, którzy mówią ci „cześć” na ulicy. Raz nawet Bono powiedział mi „cześć”, kiedy wygrzewałem się na schodach jednego z tych bajeranckich klubów w Stephen's Green. Podoba mi się bycie w centrum uwagi, więc trochę koloryzuję: to ja powiedziałem mu „cześć”, ale, przysięgam, Bono się do mnie uśmiechnął. I to był prawdziwy uśmiech, a nie automatyczny grymas, jaki posyłają ci ludzie, patrząc przez ciebie na przestrzal, rozumiecie.

- No. Największym skarbem Szajbusa jest jego fotka z Bono i Larrym Mullerem z kuflami w garści.

- Muszę wypróbować ten tekst, jak będę chciał na krzywy ryj wejść na koncert Springsteena! - roześmiał się barman. A potem ni z tego, ni z owego pyta, czy nie szukam pracy.

Jasne, że nie, i od razu mu to powiedziałem. Ale przyznam się, że to mnie serio nabuzowało. No bo czy w Irlandii ktoś zaproponowałby mi robotę? I co jeszcze?

Czy można się dziwić, że zmieniłem zdanie? Wołam go i mówię, że co prawda teraz jestem na urlopie, ale nigdy nie wiadomo. Może będę się rozglądał za jakąś fuchą.

- To zależy - mówię mu.

- Pracowałeś kiedyś w barze?

- Nie.

- Żaden problem, tu nie trzeba geniuszy. Taki gość jak ty, Rowan, potrzebowałby góra trzech dni, żeby się przyuczyć. Mówisz po angielsku, a to już połowa sukcesu.

Dal mi wizytówkę z nazwą baru i swoim nazwiskiem. Jest kierownikiem.

- Diabelnie brakuje nam rąk do pracy. Gdybyś postanowił spróbować, zadzwoń.

- A zielona karta i ta cała reszta?

- Tu, w Sedonie, dają nam spokój. Przynajmniej na razie. Wiedzą, że we wszystkich barach i restauracjach są potrzebni pracownicy. Koncentrują się raczej na Nowym Meksyku i Teksasie, czasem zahaczają o Phoenix. Jesteśmy stosunkowo daleko od granicy.

- Ale ja... Nie mam referencji. Ostatnio niewiele pracowałem.

- Wystarczy mi, że ręczy za ciebie Gina. Wiem, gdzie mieszka i pracuje. Jeśli ty nawalisz, ona za to zapłaci.

- Próbujesz wygryźć mnie z roboty? - Między jednym klientem a drugim Gina podsłuchiwała naszą rozmowę. Ale czułem, że jest zadowolona.

Sam siebie zaskoczyłem. Praca? W Stanach? To ostatnie, czego bym się spodziewał. Pomyślałbym o tym, gdyby nie Gina?

Na to pytanie nie znałem odpowiedzi. Za wcześnie jeszcze. Ale przyłapałem się na tym, że przyglądam się swojemu garniturowi.

Nosiłem go od przyjazdu. Będę musiał go oddać do pralni. Bogiem a prawdą, powinienem sobie kupić parę łachów...

Barman ciągle nalewał mi podwójne porcje. W ogóle nie odmierzają, wsypują mnóstwo kostek lodu i leją po nich bez opamiętania, tyle, ile przyjdzie im ochota. Gdybym tu pracował, musiałbym z nim o tym poważnie pogadać. Jak w takich warunkach bar ma na siebie zarobić?

Wróc to tempo. Chyba jednak wypilem za dużo bur-bona.

Starannie schowałem wizytówkę do wewnętrznej kieszeni marynarki. Pomyślę o tym kiedy indziej. A teraz mam kaca.

Gotuję się z gorąca. Gina owinęła się w prześcieradła, ja zrzuciłem jej futrzaną narzutę i nadal się smażę. W przyczepie nie ma klimatyzacji, ale ta chudzinka bez grama tłuszczu pewnie w ogóle nie czuje upału.

Uważa, że mamcia jest super. Ja ciągle jeszcze się nie pozbierałem po podróży, że nie wspomnę o tym, co zaszło między mną a Giną. W głowie mam taki mętlik, że, szczerze powiedziawszy, niewiele dotąd myślałem o Eve. Wciąż nie wiem, co o niej sądzić. Nie tak ją sobie wyobrażałem. Spodziewałem się, że będzie zdziwiona, że znienawidzę ją od pierwszego wejrzenia, i byłem cały nabuzowany, gotów powiedzieć jej do słuchu. I jeszcze mogę to zrobić. W końcu dlatego tu przyjechałem. Mogłem wykorzystać kasę na setki sposobów i niewiele brakowało, a bym tak zrobił. Posunąłem się nawet do tego, że spotkałem się ze znajomym dilerem i spytałem - na

luzie, bez żadnych zobowiązań - gdzie mógłbym kupić większą partię towaru. Oczywiście podszedł do tego nieufnie.

- A kasiorę masz?

- Jasne. Inaczej bym nie pytał.

- To pokaż nam.

- Z choinki się jeszcze nie urwałem.

Trochę się ścieliśmy, potem się uspokoił i obiecał popytać. Pomyśleć, że mógłbym teraz już być ustawiony, bez dwóch zdań.

Ale cały czas łomotał mi w głowie jakiś cholerny młotek i powtarzał, że bym tu przyjechał. To twoja matka, łup! To twoja matka, łup! Właściwie trochę mi żal, dopiero kiedy myślę o Ginie, to mi przechodzi.

Kurwa - kurde - nie mam teraz sił, żeby sobie z tym radzić. A ona ciągle chce ze mną gadać. Znaczą się, mamcia. I bez przerwy mi się przygląda. Nie wytrzymuję tego jej spojrzenia. To krępujące.

Szczerze? Gorzej niż krępujące. W kółko pyta, jak się czuję, i muszę wstawiać ją do lodówki, żeby się odczepiła. To jedyny sposób. Bo kiedy patrzę jej w oczy, boję się, że się rozkleję albo co. Ma takie same oczy jak ja i to już kompletnie mnie rozkłada.

Jeszcze wpadnę do mamci. A już na pewno przed wyjazdem.

Jeśli wrócę do Irlandii. Hej! Rozmawiacie z facetem, któremu zaoferowano pracę! Dacie wiarę? Omal nie zadzwoniłem do Szajbusa, żeby mu powiedzieć, ale domyślałam się, co bym usłyszał.

Gina była kiedyś kuratorką. Kolejne, co nie mieści mi się w pale - ja bzykam laseczkę z pomocy społecznej? Przecież mam wyrobione

zdanie na ich temat: to porządni ludzie, mają dobre serca i intencje, tylko niewielkie możliwości.

A ponieważ nikt z pomocy społecznej nigdy mi nie pomógł, to dobrze, że ona już tam nie pracuje.

Nadal posługuje się ich żargonem. Wczoraj, po powrocie do domu, oświadczyła, że pchła potrafi się dłużej skoncentrować na czymś niż ja i że w rozwoju emocjonalnym zatrzymałem się na poziomie nastolatka. Powtarzam jej słowa. Oczywiście mówiła to niby żartem, ale widziałem, że nie żartuje. Właśnie paliłem sobie odprężającą fajkę po numerku, a ona wszystko zepsuła. Wściekłem się, zapłonąłem świętym oburzeniem i spytałem, co, do kurwy nędzy, ma na myśli.

A wtedy zaczęła stroić fochy i oświadczyła, że mnie ostrzegają: nie będzie ze mną rozmawiać, jeśli będę używał takiego słownictwa; jak dla niej mogę iść szukać noclegu gdzie indziej.

Przeprosiłem, a ona na to:

- Łatwo powiedzieć „przepraszam”, a czy ty naprawdę żałujesz, Rowanie? Nie będę tolerować rynsztokowego słownictwa. Koniec i kropka.

Chyba wspominałem, że jednym okiem trochę zezuje, ale kiedy uderzyła mnie tym lodowatym spojrzeniem... Czuję, że to nie przelewki.

- Jeśli to dla ciebie takie ważne, to naprawdę przepraszam - powiedziałem i, co najdziwniejsze, nie bujałem. Zauważyłem, że naprawdę staram się jej przypodobać.

Wtedy mnie pocałowała i wielkodusznie mi przebaczyła. A potem ona przeprosiła.

- Za co?

- Przepraszam, jeśli moje słowa cię dotknęły, Rowanie, ale oboje musimy wiedzieć, na czym stoimy.

- Nie za wcześnie na poważne stawianie sprawy?

A jednocześnie uświadamiam sobie, że nie pamiętam, żeby ktokolwiek kiedykolwiek mnie przeprosił.

- Jestem z natury poważna - ona na to. - Wiem, czego chcę. A czy ty wiesz, czego chcesz, Rowanie?

- Tego. - Przyciągnąłem ją do siebie.

- Nie. - Odepchnęła mnie. - Wiesz, o co mi chodzi. Zdaję sobie sprawę, że dopiero co się poznaliśmy, ale, powtarzam, muszę wiedzieć, na czym stoję. - Przytknęła mnie i ona to zauważyła. - Nie przywykłeś do wyrażania uczuć, Rowanie?

- Nie.

Pocałowała mnie delikatnie, z prawdziwą czułością, a potem odsunęła się, trzymając w dłoniach moją twarz.

- Sądysz, że przy odrobinie czasu i dobrej woli mamy szansę?

- Skąd mam wiedzieć? Sama mówiłaś, że dopiero co się poznaliśmy. Zresztą, niewiele o mnie wiesz.

- Powiedz. Potrafię słuchać.

Normalnie prysnąłbym przed tym jak przed zarazą, ale kotłowało się we mnie tyle uczuć. Uczuć, o których istnieniu zdążyłem zapomnieć. To mnie przerażało.

- Za dużo wymagasz, Gina. A w ogóle, co ty we mnie widzisz? Lepiej ode mnie uciekaj.

- Nie zamierzam. - Usiadła i zaczęła wyliczać na palcach. - Po pierwsze, przystojniak z ciebie. I to jaki! Uwielbiam mrocznych, wysokich brunetów ze zgrabnymi pośladkami. Po drugie, masz rozkoszny akcent. Po trzecie, uważam, że za tą maską twardej kryje się facet o dobrym sercu. Po czwarte, choć uparcie starasz się to ukryć, jesteś naprawdę bystry. Inaczej w ogóle bym na ciebie nie spojrziała. I po piąte, stanowisz wyzwanie. A od bardzo dawna nie spotkałam faceta, który byłby dla mnie wyzwaniem. Zrób coś z tą miną!

- Jaką miną?

Ja - przystojny? Ja - bystry? Ja - mam dobre serce?

- Wyglądasz, jakbyś mi nie wierzył. - Roześmiała się.

- Ale bardzo bym chciał.

- To uwierz. A teraz - spowaźniała - chcesz mi opowiedzieć coś o sobie, z twojego punktu widzenia? Co cię tak naznaczyło, że panicznie boisz się odsłonić? Oczywiście, oprócz tego, że zostałeś porzucony. To się rozumie samo przez się.

Ani się obejrzałem, jak podałem jej okrojona wersję swojego życiorysu. Oczywiście ocenzurowałem co gorsze kawałki, ale powiedziałem o zmarłej dziewczynie i dziecku.

- Mój ty biedaku! - Zasyłała mnie gradem leciutkich pocałunków. - Nic dziwnego, że jesteś teraz taki. Przy mnie nie musisz taki być, Rowanie. Zgoda? Po prostu bądź sobą. Nie było mnie



przy tym, gdy spotykały cię te okropne nieszczęścia. Teraz jesteś w Arizonie. U mnie. Zaczął się nowy czas. Zgadzam się, że nie powinniśmy za wszelką cenę przeć naprzód, i przepraszam, że cię spłoszyłam. Powolutku, zobaczmy, co z tego wyniknie. Co?

Znowu mnie pocałowała, tym razem bardziej zmysłowo i ani się obejrzeliliśmy, jak znów to robiliśmy. Nie dla samego bzykania, kapujecie. Jakby głębiej. Jakby to znaczyło coś więcej.

Chwilami po prostu w pale mi się nie mieści, że to spotyka właśnie mnie, Rowana Moraghana.

Aż się boję do tego przyznać, żeby nie zapeszyć, ale - to naprawdę głupie - lubię Ginę. Bardzo. A najbardziej mi się podoba ta jej bezpośredniość.

Nie robi facetowi wody z mózgu, nie bawi się w kotka i myszkę jak inne babki, które znałem.

A wczoraj w nocy - właściwie parę godzin temu, bo było wpół do piątej, tuż przed tym, jak zasnęliśmy - powiedziała mi, że prawdziwy ze mnie ogier. Prosto w oczy.

Odpowiedziałem, że z niej też jest prawdziwy ogier. Ze śmiechem.

Ale chodzi o coś więcej. I strasznie się boję.

---

## Rozdział 31

---

Dziś zadzwoniłam do Willow. Szczerze? Niezupełnie zadzwoniłam. W ostatniej chwili stchórzyłam, bo czułam, że skończy się kolejną, tak przeze mnie znienawidzoną, wnerwiającą rozmowę. Już bez tego wystarczająco podle się czułam z powodu kaca. Po co jeszcze dołować się i pakować w jakieś emocjonalne bagno? Dlatego jak człowiek zadzwoniłam do Grety, zmyśliłam, że nie udało mi się połączyć z Willow, i poprosiłam, by przekazała jej ode mnie wiadomość.

Tak, wiem, to skrajny egoizm. Willow cierpi, a teraz, kiedy poznała Eve, cierpienie na pewno się podwoiło. Ja na jej miejscu chyba bym oszalała: dręczyłyby mnie wyrzuty sumienia, że uciekłam jak tchórz, i przeżywałabym to wszystko, co moim zdaniem musi przeżywać Eve. Nie znalazłabym dla siebie żadnego usprawiedliwienia. Tylko że ja to ja, a Willow to Willow. Może tylko sobie wmawiam, że jest wrażliwa, podczas gdy moja siostra nie czuje kompletnie nic. Może naprawdę jest tak twarda, jak się wydaje, i już się otrząsnęła po tym, co tu się wydarzyło.

Dale zaproponował, żebym zadzwoniła z jego komórki, ale za nic nie ośmieliłabym się wpędzać go w takie koszty, więc zaprowadził

mnie do miejscowego sklepu, gdzie zaopatrzyłam się w jedną z tych promocyjnych telefonicznych kart, nadających się też do automatów. Zaskakująco dobrze zaopatrzonego sklepu - klimatyzowanego, czysto i pachnącego jabłkami - mieścił się w dwóch połączonych przyczepach. Całą przestrzeń zajmowały robione na miarę półki wypełnione towarami. Był tu spory wybór pieczywa, świeżych warzyw i przecudownych owoców. Właściwie, uświadomiłam sobie, można tu całkiem spokojnie żyć, wyjeżdżając z osiedla tylko do pracy, do kina albo w jakichś nagłych wypadkach. Czy to sprawił kac, czy nie - nie wiem, grunt że ani się obejrzałam, jak wróciłam do marzeń snutych wcześniej przy padoku. Tyle że teraz już nie byłam zainteresowana pracą z mieszkaniem. Mogłabym nadal pracować w hotelu, wynajmując sobie przyczepę na takim osiedlu jak to i dojeżdżać. Być swoim własnym szefem.

Oprócz karty telefonicznej kupiłam dwie cytryny, bo w życiu nie widziałam tak olbrzymich.

Sprzedawca miał stanowisko tuż przy wejściu, siedział przy elektronicznej kasie z czytnikiem, będącej miniaturową wersją tych, które znałam z irlandzkich supermarketów. Za nim po prawej stronie wisiała tablica, a na niej ręcznie napisane ogłoszenia o kupnie lub sprzedaży rozmaitych przedmiotów, usług, a nawet zwierząt: „Oddam: Sheri, pięcioletnią, prześliczną suczkę chihuahua, oddaną towarzyszkę. Właścicielowi pęka serce, ale przeprowadza się do dzieci uczulonych na sierść. Również prawie nieużywany nawilżacz. I bieżnię, nadal w firmowym opakowaniu. Bibeloty, rozmaite

drobiazgi, w tym zabytkowa lampa. Skontaktuj się z Earlem Milesem. Pora - dowolna, byle przed piątkiem, dwudziestego pierwszego".

Płacąc za zakupy, przyłapałam się na tym, że martwię się o Earla. Czemu w ogóle tu mieszkał, skoro miał dzieci, gotowe go przyjąć? Czy był zbyt niezależny, a może on również pragnął zrealizować jakieś marzenia? Czemu w ogóle nie rozpakował swojej bieżni? Czy kupił ją na polecenie lekarza, ale potem dostał wyniki badań i okazały się gorsze, niż przypuszczali? Właśnie dlatego poddaje się i przeprowadza do dzieci - bo już nie może mieszkać sam? Co prawda kompletnie straciłam rachubę czasu, ale wydawało mi się, że do dwudziestego pierwszego zostało jeszcze parę dni; kto zatem zaopiekuje się kochaną, maleńką Sheri?

Z trudem się powstrzymałam, by w te pędy nie polecieć do Earla.

- Czy tutejsi mieszkańcy są właścicielami przyczep, czy je wynajmują? - spytałam Dale'a, gdy po chrzęszczącym żwirze szliśmy w stronę budki. (Już mi pokazał, jak korzystać z karty. Prościzna, choć trochę leadrdnach\* w obsłudze: trzeba wystukać miliony cyferek, zanim dojdzie się do właściwego numeru).

- Dlaczego? Zamierzasz się do nas przyłączyć, Arabello?

- Ależ skąd! - Zdenerwował mnie. - Pytałam z czystej ciekawości i tyle.

- Nie do końca się orientuję, jak to wygląda - odrzekł z namysłem. - Zdarzają się ogłoszenia o jednej czy dwóch przyczepach

do wynajęcia. Ale zdecydowana większość należy do ich mieszkańców. W sumie wynajem nie ma większego sensu, prawda?

Zeszliśmy na bok, by przepuścić potężny wóz terenowy.

Dopiero wtedy uświadomiłam sobie, że gdybym miała tu zamieszkać, a pracować gdzie indziej, potrzebowałabym samochodu. To Ameryka. A ja nie mam prawa jazdy. Koniec błogich marzeń.

Choć, oczywiście, mogłabym zrobić prawko. To dopiero interesujący pomysł.

\* Celt. zmudna.

Greta była w znakomitej formie. Próbowałam ją przeprosić za „popis” Jimmy'ego Portera na przyjęciu, ale już dawno zapomniała o całej sprawie.

- Nie nudź, Bel. W dziesięć minut po waszym wyjściu wszyscy już tańczyliśmy „Kaczuszki”! Jednak nie ma jak stare, dobre hity, no nie? Było super. I bardzo dziękuję za prezent. Jeszcze nie zdążyłam usiąść do pisania podziękowań.

- Mną nie zwracaj sobie głowy, już mi podziękowałaś.

Opowiadaj lepiej, co u was słychać?

- Przeziębiałaś się, Bel? Masz jakiś taki nosowy głos. Dzielił nas ocean i na szczęście nie musiałam jej się chwalić kaczem po margaritach.

- Nieee, to skutek podróży samolotem.

A potem, widząc, jak bezlitośnie znikają impulsy na mojej karcie, przeszłam do rzeczy: poprosiłam, by zadzwoniła do Willow, i w telegraficznym skrócie streściłam przebieg wydarzeń.

- Czemu nie jestem zdziwiona? - roześmiała się. - Spokojna głowa, zadzwonię. Powiem, że balujecie na sto dwa, a ty całe dnie i noce spędzasz w kasynie.

- Greto!

- Spokojna twojej babci rozczochna grzywka. Zadzwonię i powiem, że niedługo się odezwiesz. A ty opowiadaj o mamie, Bel. Jaka ona jest? Dogadujecie się?

- Jeszcze za wcześnie, by cokolwiek mówić, ale na pewno nie okazała się rogatą bestią. W pierwszej chwili przeżyłam szok. Okazuje się, że wcale nie jest staruszką.

- Przecież od początku wiedziałaś, że urodziła cię, mając szesnaście, siedemnaście lat, więc właśnie taka różnica wieku was dzieli, prawda?

- No. Fakt, wiedziałam, ale zawsze wyobrażałam sobie ją jako przygarbioną, siwą starowinę.

- A jak się wam układa?

- W sumie nieźle, chociaż atmosfera jest odrobinę, tego... napięta.

- Co też nie jest wielką niespodzianką, prawda?

- Fakt.

- Porozmawiałaś już z nią? Tak od serca?

- Jeszcze nie, Greto. - Nie chciałam zagłębiać się w ten temat, bo sama nie do końca wiedziałam, co czuję i myślę. - Z grubsza mam pojęcie, co się wydarzyło: prowadziła coś w rodzaju pamiętnika i dała mi go do przeczytania, na razie tylko go przerzuciłam. Słuchaj, ta

rozmowa kosztuje mnie majątek, wszystko ci opowiem po powrocie, dobra?

Nie przyznałam się, że na samą myśl o pamiętniku z moimi oczami działo się coś dziwnego. Szybko zmieniałam temat i zaczęłam mówić o Rowanie, Dale'u i pozostałych.

- Nie uwierzysz, Greto, ale wygląda na to, że między Rowanem a tą całą Giną zanosi się na wielką miłość.

- Powaga? Masz rację, nie wierzę.

- Bóg jeden wie, jak to się skończy. Będę cię informować na bieżąco. Muszę już kończyć, zostało mi tylko parę impulsów.

- Zanim się rozłączysz, szybciotko powiedz, jaki on w końcu jest? Umieram z ciekawości.

- Kto? O kim mówisz?

- Chryste, Bel! No przecież wiadomo, że Dale.

- Okazało się, że to całkiem miły facet. Chybabyś go polubiła.

Daruj, muszę kończyć. Zadzwoń.

- Ale...

- Ostatni impuls. Odezwę się. Buźka, Greto! - przerywam jej i odkładam słuchawkę.

Co się ze mną wyprawia? Przesadzałam z tą kartą, kupiłam taką z dwustoma impulsami, a rozmawiałam niecałe pięć minut, więc spokojnie jeszcze mogłam gadać. Normalnie plotkowałabym z moją przyjaciółką o wszystkim i wszystkich, tymczasem dziś starałam się jak najwięcej ukryć. A już na pewno nie chciałam z nią rozmawiać o Dale'u Genscherze.

Nie zdążyłam tego przeanalizować, bo zauważyłam, że ścieżką od sklepu kuśtyka w moją stronę Gina. Na głowie miała kompletnie sprany bawełniany kapelutek. Wymykające się spod niego pomarańczowe kosmyki sprawiały, że Gina wyglądała, jakby głowa jej płonęła.

- Siema! - zawołała, przekładając papierową torbę z zakupami z jednego ramienia na drugie. - Pewnie się zastanawiasz, czy nie uprowadziłam twojego brata.

- Ależ skąd, Gino. Choć faktem jest, że zastanawiam się, czy kiedyś jeszcze go zobaczymy.

Miało to zabrzmieć lekko, tymczasem Gina spłonęła krwistym rumieńcem.

- Nie będę go naciskać, aby odwiedził matkę. To musi wyjść od niego.

- Gino, nie chciałam...

- To dla niego naprawdę trudne. Jest naprawdę wrażliwy, wiesz?

- wyrzucała z siebie bez tchu. - A ty i twoja siostra nie powinnyście bez przerwy się czepiać. Zlitujcie się nad facetem.

Gapiałam się na nią z otwartymi ustami. Rowan wrażliwy?

- Gino...

- Moim zdaniem wasz brat wystarczająco już dostał w kość. - Chyba uświadomiła sobie, że za daleko się posunęła w rozmowie z kimś, kogo dopiero co poznała, więc złagodziła ton. - Okażcie mu odrobinę serca, Arabello. Ty i twoja siostra. On naprawdę potrzebuje spokoju i odpoczynku, jest napięty jak struna.



- Oczywiście.

Wciąż nie otrząsnęłam się z szoku. Jedno nie ulegało wątpliwości: tej kobiecie naprawdę zależało na Rowanie. Ruszyła energicznie ścieżką.

- Idziesz do mamy? Odprowadzę cię. Wysforowała się naprzód. Nie miałam wyboru, musiałam podreptać za nią jak owieczka.

- Nie chcę, abyś mnie źle zrozumiała. - Zrównałam się z nią. - Naprawdę cieszę się, że wpadliście sobie w oko.

- No. I mówię ci, Arabello, jest nam ze sobą super. Uśmiechnęła się jak psotny elf. Ma czarujący uśmiech, nie sposób mu się oprzeć.

- Super...? - Też się uśmiechnęłam. Parsknęła śmiechem.

- Resztę dopowiedz sobie sama.

Dopowiedziałam. Wyobrażenia podsunęła mi obrazy, nad którymi wolałam się nie zatrzymywać. Właściwą reakcją, uznałam, będzie udzielenie im błogosławieństwa. A może powinnam ostrzec Ginę?

- Opowiadał ci o swoim życiu? - Ostrożnie wybadałam grunt.

- Odrobinę. - Zacisnęła usta. - Opowiedział mi o tej utraconej dziewczynie i ich dziecku.

- Jakiej utraconej dziewczynie i dziecku?

- Nie wiesz?

- Nie. - Dostałam obuchem w łeb.

- W takim razie proszę, nie wspominaj przy nim o tym. Bardzo proszę, Arabello. Obiecasz? Zwierzył mi się w zaufaniu. - Była tak

spłoszona, że obiecałam dyskrecję. - Tak czy owak - podjęła - jego życie w Irlandii nic mnie nie obchodzi. To przeszłość. Dla mnie liczy się jedynie, że to fajny gość. I nie myśl, że patrzę tylko na jego wygląd, choć trzeba przyznać, że jest naprawdę przystojny. Jest niezwykle także pod innymi względami. Gdzieś głęboko ukrywa prawdziwe skarby. - Zatrzymała się w pół kroku i poprawiła rondko kapelusza, by słońce jej nie raziło. Spojrzała mi prosto w oczy. - Na razie musimy go przekonać, żeby bardziej uważał na słownictwo i bardziej się otworzył, to będzie mógł oczekiwać od życia więcej, niż w tym momencie się spodziewa. Zgoda?

- Zgoda - bąknęłam oszołomiona. - Przyznam, Gino, że wszystkich nas ta sytuacja bardzo zaskoczyła.

- Eve też?

- Tego nie wiem, nie rozmawialiśmy o tym.

- Czyli mówisz o sobie i siostrze, tak?

- Na to wygląda. Cóż... my postrzegamy go nieco inaczej niż ty.

- W to nie wątpię - odparła z powagą. - Z daleka widać, że tylko czekacie, aż zrobi coś okropnego. A od kiedy się znamy, Rowan nie zrobił niczego okropnego, Arabello. Potrafi mnie rozśmieszyć opowieściami o swoim życiu na ulicy. Oczywiście, nie jest to żadna sielanka, ale umie opowiadać o tym w zabawny sposób. Choćby ten jego kumpel, Szajbus. Gość miewa niesamowite pomysły. A Rowan ma to fantastyczne, irlandzkie poczucie humoru. Potrafi się śmiać, nawet jeśli życie się do niego nie uśmiecha.

Ruszyła naprzód. I bardzo dobrze, bo czułam się dość dziwnie, gdy tak szłyśmy po zwirowanej alejce w promieniach palącego słońca. Te rewelacje wciąż nie mieściły mi się w głowie. Rowan miał dziewczynę i czekał na dziecko? Rowan potrafi kogoś rozśmieszyć? Nigdy nie znałam go od tej strony... I kim, u diaska, jest Szajbus?

- Nie oceniaj swojej matki zbyt surowo - przerwała moje myśli Gina. - To naprawdę wspaniała kobieta. Uratowała mnie przed szaleństwem.

- Jak to?

- Kiedy się poznałyśmy, byłam o krok od choroby psychicznej. Mój eks potrafił jak nikt zrobić mi wodę z mózgu. To, rozumiesz, muzyk - wyjaśniła. - Całkiem niezły, ale przy tym strasznie zaborczy manipulator, a do tego jeszcze herbatnik. -Kto?

- Miłośnik heroiny. Chciał, żebym ja też brała, a kiedy odmawiałam, przekonywał mnie niekoniecznie przy użyciu słów.

- Siłą?

- To też, nie lubię do tego wracać. No więc gdy poznałam twoją mamę i Dale'a, byłam na skraju załamania nerwowego. Eve mnie uratowała. Do dziś nie wiem właściwie, jak to zrobiła. Zupełnie jakby otoczyła mnie sobą, rozumiesz? Jakby miała jakąś aurę czy coś w tym rodzaju. Kiedy rozmawiałyśmy, nawet mnie nie dotknęła, a ja cały czas czułam, że mnie obejmuje. A rozmawiałam z nią strasznie długo. Zwierzałam jej się ze wszystkiego, nawet z tych myśli, które dopiero wtedy w sobie odnajdywałam. Eve nadaje się na psychoanalitka. To chyba zasługa tych jej niesamowitych oczu, tego otwartego

spojrzenia, w którym widać autentyczne współczucie czy coś. A choć nie udzieliła mi żadnej rady i ani razu nie powiedziała, co mam robić, dzięki naszym rozmowom zaczęło mi świtać, że mogę w życiu działać coś ciekawszego, niż telepać się za tym dupkiem ze stanu do stanu. Ale dość już o mnie - ucięła i przez następne parę minut opowiadała o swoich planach.

Zamierzała pokazać Rowanowi okolicę i zawieźć go do jakiegoś czakramu. Słuchałam jednym uchem, nastawiłam się wyłącznie na wychwytywanie sygnałów świadczących o tym, jak poważnie podchodzi do ich związku, więc wyłapywałam zdania typu: „Rowan sądzi”, „zdaniem Rowana”.

„Rowan sądzi”? „Zdaniem Rowana”? Od kiedy to mój brat włącza się do rozmowy i wygłasza opinie? Moje albo nasze - moje i Willow - rozmowy z Rowanem zawsze wyglądały identycznie: my dwie błagałyśmy, zaklinałyśmy, groziłyśmy, przymilałyśmy się; on - mruczał, wrzeszczał, kazał nam sp...lać i pilnować własnego nosa.

Ktoś - zresztą słusznie - mógłby oskarżyć mnie i Willow, że nie wierzyłyśmy, aby Rowan był zdolny wyrwać się z nałogu. A w każdym razie mógłby oskarżyć Willow. Ja w głębi ducha żywiłam cichutką nadzieję, że Coś się wydarzy.

Proszę, błagam, niech nie zrobi nic głupiego, niech nie zaprzepaści tej szansy.

- Tu się rozstajemy - wyrwała mnie znowu z zamyślenia, stając na skrzyżowaniu. - Spotkamy się wieczorem, tak?

- Nie pracujesz dzisiaj?

- Zadzwoiłam i uprzedziłam, że będę później. Nie mogłabym przegapić takiej okazji, uwielbiam kuchnię Maria. Zachwalałam Rowanowi jego skrzydełka z grilla. Zobaczysz, będziesz się dobrze bawić, Arabello. I pamiętaj, nie wygadaj Rowanowi tamtego, wiesz.

- Dobrze.

- Dzięki.

Wesoło pomachała mi na pożegnanie i odeszła, utykając, a ja zostałam sam na sam ze swoimi myślami. W czasie tego krótkiego spaceru dowiedziałam się o moim bracie więcej niż przez całe nasze dotychczasowe życie. Teraz z całą pewnością zyskałam powód, by bacznie go obserwować.

Jest już wieczór, siedzimy w komplecie: Gina, Eve, Rowan i ja na tarasie u Eve i czekamy, aż impreza Roberta i Maria się rozkręci. Stanowimy, mówiąc najłagodniej, mieszane towarzystwo. Dla Rowana „strój wieczorowy” oznacza, że włożył swój dyżurny garnitur, ale przyczesał włosy. Ponosi mnie wyobrażenia czy też przystrzygł brodę? W każdym razie wygląda znacznie schludniej. Owszem, przystojniak z niego. Jak mogłam wcześniej tego nie zauważyć?

Odpowiedź jest prosta: bo do tej pory dostrzegałam w nim tylko negatywy.

Gina przebrała się w coś w rodzaju munduru bojowego. Ja za to w moim stroju wyglądam, jakbym szła na pogrzeb. Włożyłam swój zestaw „od wielkiego dzwonu”: czarną sukienkę do kolan i korale na szyję. Korale upolowałam w ciucholandzie, trzeba było nawlec je na

nitkę, ale w sierocińcu odebrałam dobrą edukację, więc praca, choć żmudna, nie przysporzyła mi najmniejszych problemów i raz-dwa to zrobiłam. Ale niekwestionowaną gwiazdą wieczoru jest Eve: ma dziś na sobie srebrzyste kimono haftowane w wielobarwne ptaki.

Właśnie zaszło słońce, na ciemniejącym niebie gasną jego różane palce. Nie my jedni mamy dziś w planach grillowa-nie, zmierzch jest pełen zapachu dymu i mięsa. Uświadamiam sobie, że burczy mi w brzuchu. Nie mogę się doczekać, kiedy wreszcie zaczniemy.

Nasza grupka wyczerpała wszystkie warianty zachwyków nad zachodem słońca i rozważań, jakież to pyszne sosy do mięs przygotuje dziś Mario. Zapada niezręczna cisza. Wyraźnie czuje się ukryte napięcie, którego nie rozumiem. Rowan pali papierosa za-papierosem, ale, choć bacznie go obserwuję, nie dostrzegam u niego żadnej wrogości. Przeciwnie, parę minut temu przechwyciłam potajemną wymianę znaczących uśmiechów między nim a Giną.

Za to teraz Gina nieustannie sprawdza godzinę. Eve też. Czyżby Mario nienawidził spóźnialskich?

Nie mam siły się tym przejmować. Mój kac osiągnął etap, gdy nie czuje się już konkretnych dolegliwości, mimo to człowiek jest absolutnie wycieńczony i skonany. Jednocześnie zaś wciąż nie daje mi spokoju to dziwne, narastające napięcie.

- Wyjaśnij nam jedno, Eve...

- Zamieniam się w słuch. - Wyraźnie tak samo jak mnie zależy jej na przerwaniu milczenia.

- Dlaczego młodszą dwójkę nazwałaś imionami drzew, a mnie nie?

- Jesteś pewna, że chcesz wiedzieć? Nie będzie ci przykro?

Spoglądam na Rowana.

- Nie będzie ci przykro? - upewniam się.

- Mną się nie przejmujcie - uspokaja nas, chociaż kolano podskakuje mu ze zdenerwowania.

- No, dobrze. - Eve jeszcze chwilę się waha. - Może zabrzmiało to dwuznacznie, ale nazwałam was od drzew, bo kochałam ogród botaniczny. - Szybko spogląda na mnie i Rowana, sprawdzając, jak zareagujemy. Siedzę nieruchomo. To ją uspokaja. - To był mój azyl, schronienie w trudnych chwilach. Zabrałam cię tam w spacerówce tego dnia, gdy dowiedziałam się, że spodziewam się Willow. Bo... - Znowu się waha. - Cóż, Petey i ja... - Odkasłuje. - Wiedziałam, że nie będzie uszczęśliwiony. Tak czy owak - podejmuje szybko -przeszłam przez mostek i usiadłam w rosarium przy rzece. Marudziłaś, więc wozilałam cię w przód i w tył, póki nie zasnęłaś.

Kolano Rowana znieruchomiło. Eve spogląda w górę, myślami jest gdzieś indziej, daleko stąd.

- Wtedy wydarzyło się coś dziwnego, to była jedna z tych niezwykłych, niespodziewanych chwil, których nigdy, przenigdy się nie zapomina. Choć nadeszła już jesień, dzień był cudowny: słoneczny, suchy i ciepły. Przy ławce, na której siedziałam, rosła przepiękna wierzba płacząca. Była olbrzymia, jej długie gałęzie zanurzały się w rzece. Liście nadal miała zielone, choć na niektórych



pojawiły się żółte cętki. Słońce świeciło ci prosto w oczka, Arabello. Na próżno próbowałam przestawić wózek, żeby cię nie raziło. Wreszcie postanowiłam schować cię pod drzewem. Weszliśmy za kotarę z liści i gałęzi i nagle znalazłyśmy się w olbrzymiej, cienistej grocie; to był zupełnie inny świat, otoczyła nas cisza zupełnie jak w kościele. Na ziemi nie rosła trawa, leżała tylko jakaś miękka, brunatna ściółka. Słońce prześwitywało przez liście, które szeleściły, kołysząc się na wietrze. Nie docierały tam odgłosy zewnętrznego świata, rozmowy ani szum samochodów. Słysząc było tylko szelest liści i szmer rzeki i, Arabello, miałam wrażenie, że ty, ja oraz to potężne drzewo to jedyne żyjące istoty na ziemi i że nikt ani nic nie może zakłócić tego spokoju. Mogłabym tam zostać już na zawsze.

Zerka na nas nieco zawstydzona.

- Przepraszam, chyba bujałam sobie w obłokach. Tak czy owak... Wiecie, że nie jestem wierząca, ale tego popołudnia obiecałam komuś lub czemuś: bóstwu drzew albo rzeki, słońcu, księżycowi, kosmosowi, katolickiemu Bogu, każdemu i wszystkiemu, co przyszło mi na myśl, że jeśli ta ciąża minie bez... bez większych problemów, nazwę swoje dziecko Willow. A to dlatego, że ta wierzba wyglądała tak, jakby nic, nawet najpotężniejsza burza, nigdy nie mogło jej zagrozić ani zniszczyć. A właśnie tego pragnęłam dla mojego dziecka. Przypuszczam, że doszły wtedy do głosu przesady i strach.

Eve uznaje chyba, że za bardzo się roztkliwiała, bo zmienia ton i mówi już energicznie, rzeczowo.



- Jeśli chodzi o ciebie, Arabello, wybrałam dla ciebie takie imię, bo było piękne, romantyczne i w niczym niepodobne do tych wszystkich Maryś, Joaś i Paulinek z sierocińca. - Uśmiecha się. - Gdybyś była chłopcem, dostałabyś na imię Winston.

- Chwała Bogu, że urodziłam się dziewczynką! Ale to była piękna opowieść. Dlaczego bałaś się, że sprawi nam przykrość?

- No, bo... Wiecie, ogród botaniczny i w ogóle... -Urywa.

Jaka straszna, okropna szkoda, że nie ma tu teraz mojej siostry i nie mogła wysłuchać historii, skąd wzięło się jej imię.

- Czytałaś może „O czym szumią wierzby”, Eve?

- Czytanie nie jest moją mocną stroną - odpowiada zażenowana.

- Nieważne - wycofuję się. - Może kiedyś ci to kupię. Ale, najważniejsze, czy dobrze zniosłaś drugą ciążę? Na pewno, skoro dotrzymałaś słowa.

Eve nagle dostrzega coś niezwykle interesującego na swoich paznokciach.

- Nie było najgorzej. A tak czy owak, kiedy mała się urodziła, ja zdążyłam się zżyć z tym imieniem.

- A co by było, gdyby Willow okazała się chłopcem? -To Rowan. Naprawdę wydaje się zainteresowany.

Eve patrzy mu prosto w oczy.

- Willow może być też imieniem dla chłopca.

- A czy ja też dostałam imię od jakiejś jarzębiny w ogrodzie botanicznym?

- W twoim wypadku to był akurat zbieg okoliczności. Moja przyjaciółka Maura uwielbiała to imię. Wyczytała je w jakimś romansie, którego akcja toczyła się w Szkocji. Dlatego tak cię nazwałam. A zanim o to spytasz, gdybyś był dziewczynką, dostałbyś na imię Rebecca. Wymarzyłam sobie, że będę miała trzy córeczki: Arabelle, Willow i Rebecce, podobało mi się brzmienie tych imion.

- Czyli żałujesz, że urodził ci się syn?

- Przymknij się! - To mówi Gina, ale czule, i gładzi ręką jego kolano.

- Tylko pytałem - mamrocze Rowan, patrząc na nią. A potem zwraca się do Eve: - Przepraszam. Naprawdę. - On i Gina znowu wymieniają uśmiechy.

Teraz ciśnie się na usta pytanie o mojego ojca. Ale nie przy Ginie. Im szybciej wyruszymy na to barbecue, tym lepiej, myślę. Zaraz potem przychodzi pragnienie, by zjawił się tu Dale, dostarczając w ten sposób pretekstu do zmiany tematu. Cóż, nie ma tak dobrze. Okazuje się, że Dale się spóźni i prosił, żebyśmy na niego nie czekali, tylko poszli sami do Roberta i Maria. Po raz kolejny uderza mnie, jak istotną rolę odgrywa w tej dziwnej paczce. Wygląda na to, że wszyscy bezszmerowo zaakceptowali, że zamieszkałam u Dale'a, choć wcześniej doszło do drobnej scysji i Eve trochę się nastroszyła.

- Skoro nie wraca do hotelu, to czemu nie może przenieść się do mnie?

- Masz tylko jedną sypialnię - zwrócił jej uwagę Dale.

- Owszem, ale kanapa jest rozkładalna. Może na niej spać.

- Nie wysypiałaby się, budziłaby ją każda twoja wycieczka do łazienki. Słyszałaś, jak okropnie dudni ten twój gips?

- To mogę się zamienić i ona spałaby w moim łóżku, a ja na kanapie. W końcu to moja córka.

- Gdybyś spała w saloniku, to ona by cię budziła, chodząc w nocy do łazienki. A ty potrzebujesz dużo snu. W mojej przyczepie będzie miała do wyłącznej dyspozycji dużą łazienkę. Ja mam przy sypialni drugą.

Najwyraźniej zasadniczą rolę w moim życiu odgrywały łazienki, a w tym konkursie zdanie osoby zainteresowanej w ogóle nie było brane pod uwagę. W sumie dobrze, bo kac tak mi się dawał we znaki, że nawet mi się nie chciało zabierać głosu. Słuchając utarczki tych dwojga, uświadomiłam sobie, jak szybko przywykłam do specyficznego sposobu mówienia Dale'a - leniwego przeciągania głosek, które w czasie pierwszej rozmowy telefonicznej wydawało mi się takie dziwne. Teraz brzmiało dla mnie zupełnie naturalnie i w ogóle nie zwracałam na to uwagi. Eve wreszcie ustąpiła.

- Ech, ty! Zawsze wiedziałam, że wcześniej czy później zateśkniesz za kobiecą obecnością w tym okropnym mieszkaniu. Żadnej poduszki - to już do mnie - żadnej fotki, zupełnie jak klasztorna cela. Prawda, Arabello?

Uśmiechnęłam się do nich obojga, próbując przy tym przybrać enigmatyczny wyraz twarzy. Mona Lisa Moraghan. Zaskoczyło mnie tylko, z jakim ferworem Dale obstawał przy swoim. Wyglądało na to,

że naprawdę chce gościć mnie u siebie. (Żadnych podtekstów. Po prostu stwierdzam fakt!).

Na tarasie panuje cisza tak absolutna, że słyszę szelest tkaniny - Rowan znowu puścił kolano w ruch. To dziwaczny, chyba stracony dzień. Godziny przepływają właściwie poza mną. Choćby tak jak teraz: jedna po drugiej zapalają się lampy przed przyczepami, a mnie się wydaje, że zaledwie parę sekund temu zaszło słońce; tu błyskawicznie zapada zmrok.

Teraz z kolei włączają się latarnie; najpierw słaba czerwonawa poświata, a za chwilę pomarańczowawy blask. Zjawia się Ryży. Mruczy i pomiaukuje, łaszcząc się do Eve.

- Nie nudź. - Eve schyla się i głaszcze go po łebku. -Przecież już dostałeś jeść. Przyniosę cię porcję pysznego kurczaka od Maria. Zgoda?

Gina znowu spogląda na zegarek.

- Powinniśmy już iść, ludziska.

Rowan natychmiast się podrywa. Podchodzę do Eve, żeby jej pomóc, jednak odsuwa mnie rozdrażniona.

- Może i jestem inwalidką, ale to nie znaczy, że sobie nie radzę, Arabello.

Po raz pierwszy nie odzywa się do mnie ze słodyczą. Przeżywam szok; po chwili dochodzę do wniosku, że właściwie to dobrze. To naturalne, myślę sobie, że matka warknie czasem na córkę. Na pewno normalniejsze niż ostrożne badanie gruntu i uważanie na każde słowo.

To wyraźny postęp, dzięki któremu znacznie łatwiej będzie mi przeprowadzić z Eve „tę” rozmowę.

---

## *Rozdział 32*

---

Sto lat, sto lat!

Wypadają z ciemnego wnętrza na tonący w mroku ganek.

- Wszystkiego najlepszego!

Błysk flesza. Mario, Robert i jakaś trójka, której nie znam.

- Spełnienia wszystkich marzeń, Arabello!

To Mary RR i, wreszcie!, Dale niosący olbrzymi tort z trzema zapalonymi świeczkami.

- Sto lat, Arabello!

Wszędzie zapalają się światła, setki drobnych, białych lampeczek rozwieszonych wokół tarasu i nad nim. A potem głośne fanfary trąbek. Wybucham płaczem.

Zaledwie parę sekund wcześniej, gdy nasz dziwaczny pochód - wysoki brodacz w pomiętym garniturze, prowadzący trzy kobiety: utykającą dziewczynę w moro, kuśtykającą kobietę, która wygląda, jakby uciekła ze sceny z „Madame Butterfly”, oraz zdrową, ale niewysportowaną Irlandkę w żałobie - dotarł do przyczepy Roberta i Maria, teren wokół niej spowijały mrok i cisza. Obejrzałam się na Eve:

- Jesteś pewna, że to tu?

Teraz, gdy stoję przed tortem, w otoczeniu klaszczących, wiwatujących, klepiących mnie po plecach gości, jestem tak wzruszona, że z trudem chwytam powietrze. Oczywiście pamiętałam, że niedługo są moje urodziny, ale tyle się działo, że straciłam rachubę czasu i nawet nie przyszło mi na myśl, że to już dziś.

- Czyj to pomysł? Kto wam powiedział, że mam dziś urodziny?

Oszołomiona wodzę wzrokiem po gościach rozpromienionych, jakby wygrali w totka. Nawet Rowanowi udzielił się radosny nastrój. Stoi szeroko uśmiechnięty, obejmując Ginę.

- Ja, oczywiście. - To Eve. - Powiedziałam tej oto Mary, by mieć pewność, że wszyscy o tym usłyszą.

- Wieceelkie dzięki. - Ale Mary nie wygląda na urażoną.

- Uściskałabym cię - Eve kuśtyka w moją stronę - gdyby nie te kule.

- Dziękuję - zarzucam jej ręce na szyję, nie przejmując się, czy moja diabelna kiecka podjedzie mi pod szyję, czy zjedzie do pasa, czy pęknie w szwach.

- Drobiazg - mruczy mi do ucha. - Chyba nie sądziłaś, że mogłabym zapomnieć, kiedy przyszła na świat moja pierworodna?

Znowu ją obejmuję, a potem wyplątuję się z uścisku, wycierając oczy.

- Mam nadzieję, że to nie zasadzka, Eve Moraghan -podnoszę głos, by włączyć wszystkich do rozmowy. - Mam nadzieję, że kiedy zdmuchnę świece, nie wyskoczą tu gangsterzy z karabinem maszynowym...

Tylko Dale, Mario, Robert i jedna z trójki nieznanych mi osób parszają śmiechem - czyli dowcip średnio się udał. Nie sądziłam, że jest na świecie ktoś, kto nie oglądał „Pół żartem, pół serio”. I znowu przeklinam ten swój ozór, który bez namysłu chlapie, co mu ślina przyniesie.

- Pospiesz się. - Dale podsuwa mi tort pod sam nos. -To jest ciężkie. Zaczynają mnie boleć ramiona, zdmuchnij te diabelne świece, Arabello, i wreszcie go podzielmy.

Dmucha z całej siły i świece gasną.

I zaraz znów się zapalają.

Ubaw po pachy. To niegasnące świece.

- Weź to, Mario.

Kiedy wreszcie cichną śmiechy, Dale oddaje mu tort. Jest ubrany w tę samą zamszową kurtkę co wczoraj, tyle że tym razem włożył do niej jasne drelichowe spodnie i kremową koszulkę. Kucyk został starannie uczesany.

- Mam nadzieję, że nie przyprawiliśmy cię o zawał, Arabello. - Dale uśmiecha się, bardzo z siebie zadowolony.

Wciąż nie mogę tego ogarnąć.

- Nie rozumiem. A gdzie grill?

- Grill? Jaki grill, po co grill? - Robert pstryka i błyska fleszem sporego aparatu. - To zepsułoby całą niespodziankę.

- Właśnie! - wtóruje mu Mary RR.

Włosy ma gładko uczesane w monstrualny kok - Marge Simpson niech się schowa - a ubrana jest w dzinsy ozdobione brokatem (nieroztropny wybór).

- Chcieliśmy, żebyś myślała, że o tobie zapomnieliśmy!

- Proszę. - Robert daje mi moje zdjęcie z polaroidu. -Pamiętka tej chwili.

- Jakie straszne!

Z przerażeniem patrzę na swój portret: rozdziawiona gęba i oczy czerwone jak rozżarzone węgle.

- Nikt ci nie każe tego wieszać na ścianie! - śmieje się Robert. - To tylko pamiętka.

- Dziękuję. Dziękuję wam wszystkim.

Wreszcie rozumiem, skąd owo napięcie, gdy czekaliśmy u Eve.

- Czyli te gadki o pysznych skrzydełkach, rozpływającym się w ustach kurczaku i niebiańskich sosach Maria -wodzę wzrokiem po zebranych - to wszystko kit?

- Jasne - odpowiada Gina.

W jej „złym” oku odbija się światło, nadając jej wygląd nieco szalonej czarownicy. Szalonej, ale szczęśliwej.

Mario, któremu błyszczą oczy, jakby czegoś się napił, wychodzi z mieszkania, niosąc tort - już bez świeczek. Dopiero teraz zauważam, że krem jest w odcieniu pistacjowym, zapewne na moją cześć.

- Tort wygląda imponująco. Ty go upiekłeś, Mario?



- Skarbie, jesteś tego warta, ale nie aż tak. Podziękuj Karly's Konfectionery... Tak, pisanej przez K, jak Ku-Klux--Klan. - Stuka obcasami i lekko się kłania. - Na specjalne zamówienie.

- Ogromne dzięki.

- Nie, to tobie należą się dzięki, że jesteś tak wyjątkowa. Ale czemu to nas nie dziwi? Jaka matka, taka córka.

- Klapnij sobie, Eve. I ty, Arabello, w końcu to przyjęcie dla ciebie.

Robert wynosi ze środka dwa krzesła i stawia je obok nas.

Zasiadamy, a wokół nas zaczyna się rozgardiasz właściwych przygotowań do imprezy. Dale wraz z jednym z nieznajomych gości zabiera się do rozstawiania chromowanego, składanego stołu, podczas gdy Mario i Robert miotają się jak w ukropie między kuchnią a tarasem, przynosząc sztuce, nakrycia, filiżanki, kieliszki, lniane serwetki, parę nowoczesnych metalowych lichtarzy w kształcie skoczni narciarskiej i dwie butelki szampana.

Robert staje przy mnie i z wprawą - widać, że nieraz to robił - otwiera butelkę.

- Proszę, droga jubilatko. Ty pierwsza. - Nalewa mi kieliszek. - Niestety, to nie francuski, ale za parę lat ten kalifornijski sikacz też powinien już nadawać się do picia. Chris i Mandy, biedacy, pochodzą z Kalifornii - teraz nalewa parze nieznajomych - ale nie wypominamy im tego, nawet jeśli grzeszą, majstrując w komputerach. Mieszkają naprzeciwko. A ten tutaj to John, nasz sąsiad, ten robi naprawdę niewiele.

Cała trójka się śmieje - widocznie to była jakaś aluzja, ale tylko oni ją rozumieją - a Robert nalewa szampana mężczyźnie, który pomagał rozstawić stół.

Chris i Mandy są młodzi, na pewno nie przekroczyli trzydziestki, mają blond włosy i wyglądają, jakby ich rozbawiło to, że znaleźli się w takim towarzystwie. John jest mężczyzną w średnim wieku i niewątpliwie gra w tej samej drużynie co Robert i Mario.

- Miło mi. - Podaję rękę trójce moich nowych znajomych. - Wybaczcie, jeśli jeszcze się nie pozbierałam. W życiu nie miałam przyjęcia urodzinowego. Ale to z nawiązką zrekompensowało mi dotychczasowy brak. Mam nadzieję, że zapamiętam wasze imiona.

- Och, pod koniec imprezy nie będziesz już pamiętała żadnych imion. - Zjawia się Mario z olbrzymią tacą, uginającą się pod ciężarem salatek i talerzy pełnych jedzenia.

- Toast! - Robert wznosi smukły kieliszek. - Za jubilatkę! I za spotkania po latach!

- Poczekajcie na mnie! - Mario rozładowuje tacę i teraz stół ugina się pod ciężarem lasagne, różnych gatunków chleba, sałatek i sosów.

John bierze świeczkę i razem z Mariem zapala od niej kolejne. Kiedy już wszystkie płoną, jak należy, Mario wznosi kieliszek.

- Houston, jesteśmy gotowi do startu!

- Za jubilatkę i spotkania!

Wszyscy wnoszą toast. Eve szklanką z sokiem pomarańczowym, Dale - pustym kieliszkiem. Mimowolnie zerkam w

stronę Rowana, by sprawdzić, czym on pije moje zdrowie, ale jego kieliszek zniknął za głową Chrisa.

- Mowa!

Ten okrzyk, nie do wiary, wyszedł właśnie z ust Rowana. Nie poznaję swojego brata.

- Rowanie! Wiesz, że nie potrafię!

- Najwyższy czas spróbować.

Wodzę wzrokiem po zebranych. Nieważne, kto wpadł na ten pomysł, bo wszyscy się doń przyłączyli. Jestem bliska łez wzruszenia. Znowu.

Mówię szybko, by jak najszybciej mieć to z głowy. Dziękuję wszystkim „z całego serca” i zapewniam, że niespodzianka się udała: niczego nie podejrzewałam. „Wystarczy spojrzeć na moją reakcję!”. Tu kończą mi się pomysły. Przemawiałam jakieś siedem sekund. Albo i o połowę krócej.

- Hura!

Mario z zapalem klaszcze, wzrokiem dając pozostałym znak, by się przyłączyli, a ja w tym czasie dopijam resztkę szampana. Robert natychmiast mi dolewa. Wychyłam duszkiem, jakbym nie piła od... och, co najmniej od dwóch minut...

- Chciałam coś powiedzieć.

Ton Eve wymusza uwagę. Jest opanowana, wyraz twarzy ma nieodgadniony. Wszyscy obracają się w jej stronę.

- Wybaczcie, że nie wstanę - zaczyna spokojnie - ale witając tu z radością Arabelle, moją pierworodną, i oczywiście Rowana, pragnę w

obecności was wszystkich, moich najbliższych i najdroższych przyjaciół, powiedzieć, że to najszczęśliwszy dzień mojego życia. - Teraz zwraca się do mnie. -Urodziny to szczególne święto dla osoby, która je obchodzi, Arabello. I tak powinno być. Ale jest to również wyjątkowy dzień dla matki. Nigdy nie zapomnę, jak cię urodziłam; tego, że wystarczyło parę sekund, by nie liczyło się nic oprócz twoich usteczek zaciśniętych wokół mojej piersi. Od tamtej chwili stałaś się całym moim światem. Kiedy spodziewałam się Willow, a później ciebie, Rowanie - przenosi wzrok na niego - bałam się, że nie znajdę w sercu dość miłości; że wyczerpałam cały jej zapas. Lecz moja miłość do każdego z was wypełniała mnie i przepelniała, i to dzięki niej życie stawało się znośne, aż do... aż do... - Wodzi wzrokiem ode mnie do Rowana, w blasku światełek choinkowych jej oczy lśnią jak kocie ślepią. - Mam mocny grzbiet, dzieci. Śmiało możecie mnie obić za to, co wam zrobiłam.

Na tarasie zapada absolutna cisza. Eve, nadal opanowana - przynajmniej z pozoru - zwraca się do Roberta i Maria.

- Przepraszam, chłopcy, nie chcę psuć wam imprezy, a wszystkim gościom zwarzyć humoru, więc na tym poprzestaną. Pragnę tylko jeszcze raz podziękować ci za przyjazd, Arabello. I tobie, Rowanie. I Willow.

- Drobiazg. - Nie wiem, gdzie podziać oczy.

Robert podchodzi do Eve i głośno cmoka ją w policzek.

- Brawo! Kochamy cię jak głupi, złotko.

- Wszystkich kochamy! - Mario podchodzi do zastawionego stołu. - Eve, jesteś taka szczerą! No, szczerą do bólu! A teraz, na miłość boską, jedźmy!

- Ślinka cieknie na sam widok - włącza się Dale i sięga po plaster mięsa.

Mężczyzna o imieniu Chris podchodzi do mnie wraz z Mandy.

- My akurat nie znamy najlepiej twojej matki, Arabello, ale to naprawdę, hm, interesująca osoba.

- Można tak powiedzieć.

- Zwiedziłaś już Arizone?

Jak gdyby nigdy nic; jakby moja matka publicznie się nie upokorzyła.

- Jeszcze nie, to wszystko stało się tak szybko...

- Musisz! Koniecznie! - włącza się Mandy. - Stąd już całkiem niedaleko do Wielkiego Kanionu. To byłaby straszna szkoda, być tak blisko i...

- Starczy, starczy, później zdamy sobie radę. Teraz wyżerka!

- mityguje nas Robert, który usłyszał końcówkę rozmowy. -

Oczywiście powinnaś zobaczyć Wielki Kanion i Monument Valley. A także tutejsze atrakcje, Arabello. Powiedz Dale'owi, żeby zabrał cię na wycieczkę. Możesz dodać, że się nie pogniewam, jeśli mnie też zaprosi. Albo sam mu to powiem. Nie pamiętam już, kiedy ostatni raz wybrałam się na wycieczkę po okolicy.

- Mam odmówić modlitwę, Robercie?

Mary RR kładzie mu rękę na ramieniu, bo wszyscy ruszają w stronę bufetu. - Jasne, Mary.

Robert odstawia butelkę na podłogę, bierze Mary za rękę i wyciąga dłoń do najbliższego sąsiada. Ku mojemu zdumieniu wszyscy idą za ich przykładem. Nawet zaskoczony Rowan, stojący między Giną a Mandy, włącza się w krąg. Ponieważ mam obok siebie Eve, biorę ją za rękę. I Dale'a, bo tak się składa, że to on jest po mojej drugiej stronie. Kiedy już krąg się zamyka, wszyscy pochylają głowy.

- Boże - zaczyna Mary - dziękujemy Ci za ten cudowny posiłek i spotkanie z przyjaciółmi. Dziękujemy, że zgromadziłeś nas tu ze wszystkich zakątków naszego cudownego kraju i świata. Amen.

- Amen - odpowiada jej zgodny pomruk, do którego nawet ja się dołączam.

Taka wspólna modlitwa to dla mnie całkiem nowe doświadczenie i gdybym uczestniczyła w niej w Irlandii, pewnie czułabym się skrepowana. Nieraz rozmawiałam z Greta o tej dziwnej cesze Irlandczyków. Uchodzimy za religijny naród, nawet jeśli wielu z nas zarzuciło praktyki religijne (ja zaliczam się do tej grupy) albo wybiera sobie wedle własnego uznania, których nakazów przestrzegać, a które odrzucać. Bardzo rzadko jednak manifestujemy religijność albo rozmawiamy o tym, w co wierzymy. A jeśli już ktoś publicznie przyznaje się do wiary - na przykład ludzie, którzy pikietują kliniki planowania rodziny, noszą medaliki albo rokrocznie jeżdżą na rekolekcje na wyspie Lough Derg - my, półkatolicy, uważamy, że za daleko się posuwa.

Tymczasem ci ludzie podchodzą do religii zupełnie naturalnie. Prosta, wspólna modlitwa była wzruszająca i podobała mi się, choć zaraz po „amen” wysunęłam ręce z dłoni Eve i Dale'a.

Kiedy już wszyscy dostali swoje porcje, Robert jeszcze raz napełnił kieliszki, w tym także mój (dziwnym trafem znowu pusty) i rozmowy przygasły, bo każdy zajął się jedzeniem. Robert też już bierze swój talerz, ale najpierw włącza przycisk pilota i z głośników zawieszonych pod lampkami płynie klasyczna muzyka fortepianowa.

Pijąc pierwszy łyk trzeciego kieliszka szampana, ostrzegam się w duchu, że muszę bardziej uważać. Wystarczy mi alkoholu na dziś. Może to zbieg okoliczności, ale na tym tarasie siedzi dwoje alkoholików, a jednym z nich jest moja matka. Mój brat to niemal pewny kandydat na alkoholika - a może nawet już nie kandydat? Alkoholizm jest dziedziczny.

W głębi duszy czuję, że ten problem mnie nie dotyczy, choć od kiedy przyjechałam tu i poznałam Eve, myśl o tym prawie mnie nie opuszcza. Lepiej nie igrać z ogniem, uznaję i zdecydowanie odstawiam kieliszek na podłogę, obok nogi krzesła.

W tym momencie wszystkich bardziej interesuje kolacja niż moja osoba, więc nie rzucam się od razu na jedzenie.

Wolę skupić się na otoczeniu, zapamiętać najmniejszy szczegół tego wieczoru: ciepłą, serdeczną gościnność gospodarzy, melodyjną muzykę fortepianową, wieczorne powietrze pieszczotliwie gładzące moje odsłonięte ramiona, świecek Maria, wygrywające z latarnią, stojącą przed wejściem do przyczepy Chrisa i Mandy. Dom Roberta i

Maria jest ostatni w tej alejce, dalej, za pustą ulicą, widzę migotliwą poświatę telewizorów i ciemne obłoki dymu, pewnie z innych grillów. W osiedlu nadeszła pora kolacji i zapach pieczonego mięsa jeszcze silniej niż przedtem łaskocze nozdrza.

A nad nami odległe, milczące, rozgwieżdżone niebo.

Czy to naprawdę ja siedzę z odsłoniętymi ramionami, mimo późnej pory nie odczuwając chłodu, tylko przyjemne ciepło? Czy to naprawdę ja jestem honorowym gościem przyjęcia wydanego na moją cześć? Czy naprawdę obok mnie siedzi moja matka? Czy to naprawdę mój brat-wyrzutek społeczeństwa i czy naprawdę się zmienił? A może umarłam i trafiłam do nieba?

Chwila przerwy między kolejnymi utworami. Przymykam oczy, czekając na następny, i natychmiast je otwieram, by ktoś nie pomyślał, że się nudzę, a co gorsza, drzemię. Szczerze powiedziawszy, szampan na podkładzie z wczorajszych margarit rzeczywiście powoduje, że jestem senna. Czuję spojrzenie Dale'a, który przysiadł na poręczu wygodnego fotela, zaanektowanego przez Mary RR.

- Podoba ci się ta muzyka, Arabello? - pyta cicho.

- Wstyd się przyznać, ale w tej dziedzinie jestem prawdziwą ignorantką. W życiu byłam chyba tylko na dwóch koncertach.

Nie wspominam już, że na obu grała amatorska orkiestra dęta złożona z kolegów Jimmy'ego Portera. Dale nadal mi się przygląda. Nie widzę jego oczu, ukrytych w mroku.



- W Phoenix mamy orkiestrę symfoniczną - włącza się Robert. -  
Za tydzień grają „Eroicę”. Jeśli chcesz, mogę kupić bilety.

- O, nie... To znaczy, bardzo dziękuję.

Panicznie się boję, że ujawnię rozmiary mojej ignorancji. Nie wiem, co to jest ta „Eroica” (chyba tak to brzmiało), ale zanoszą się na coś tajemniczego i trudnego.

- I tak już za dużo dla mnie zrobiłeś. Wszyscy okazaliście mi tyle serca. Za tydzień pewnie będę już w Irlandii. Albo wy będziecie mnie mieli po dziurki w nosie. Założę się, że Dale nie będzie już mógł na mnie patrzeć.

Zerkam na mojego gospodarza, którzy całą uwagę skupiają na nabieraniu widelcem sałatki.

-Jak sobie chcesz. - Robert wzrusza ramionami. -Gdybyś zmieniła zdanie, oferta jest aktualna. To dobra orkiestra.

- Tak szybko wyjeżdżasz? - pyta Eve z widelcem zatrzymanym w drodze do ust. - Sądziłam, że masz otwarty bilet?

- Tak, ale muszę wracać do pracy.

Nie chcę o tym rozmawiać przy wszystkich i nie chcę dziś myśleć o cholernym Leicester. W końcu jestem jubilatką. Królową wieczoru.

Czar prysł. Nawet jeśli tylko na chwilę.

- A ty, Rowanie?

Na szczęście Eve przenosi uwagę na mojego brata, który je, siedząc na podłodze, oparty o barierkę tarasu.

- Nie wiem. Nigdzie mi się, ku... - Przełyka ślinę. - Właściwie to mi się nie spieszy. - Spogląda na Ginę. - Wytrzymasz ze mną jeszcze jakiś czas?

- To zależy, czy będziesz grzeczny - śmieje się, a on wraz z nią. Może jednak czar nie przysł do końca, myślę.

- Przepraszam - zwracam się znowu do Roberta - ale nie będę mogła skorzystać z twojego zaproszenia. Interesujesz się muzyką?

- Czy Robert interesuje się muzyką? - Mario szeroko uśmiecha się do partnera. - Ten gość... Nie uwierzysz... -Szturcha go z dumą. - Opowiedz im o musicalu!

- Przymknij się, Mario! - gasi go Robert, ale uśmiecha się przyzwalająco.

- Robert pisze musical - wyjaśnia mi Mario. - Fantastyczna rzecz, ostra satyra, nawiązująca do „Of Thee I Sing” Gershwina. Znasz to, Arabello? Wierz mi, przykryjemy Gershwina czapką.

- Nie, nie znam tego utworu. - Kręcę głową. Po co pytałam?!

A za chwilę załuję jeszcze bardziej, bo Mario, który zdecydowanie raczył się czymś oprócz szampana, zaczyna śpiewać, zagłuszając muzykę fortepianową. Z kieliszkiem w ręku miota się po ciasnym tarasie, śpiewając falsetem:

Ojczyzno moja, to o tobie, Słodki kraju wolności, O tobie śpiewam dziś.

Ku memu zdumieniu okazuje się, że tekst jest śpiewany na melodię brytyjskiego hymnu narodowego. On mnie ostatnio prześladowuje.

Mario wraca na miejsce, znowu słycać muzykę fortepianową.

- To prawda - wyjaśnia cicho Robert. - Rzeczywiście, coś tam piszę. To ma być rzecz o gejach i AIDS.

- Zapowiada się całkiem nieźle.

Musical o AIDS? Jakoś nie mieści mi się to w głowie. Ale w końcu jestem w Ameryce...

- Będzie fantastyczny! - Mary RR wyciera serwetką kropkę sera, która została jej na ustach. - Wszyscy wybieramy się na prem-jerę. A czym ty się zajmujesz, Arabello?

Ochoczo obracam się ku niej, chcąc odpowiedzieć, ale błyskawicznie się pochylam i sięgam po kieliszek, by nie wybuchnąć śmiechem. Jej kok a la Marge Simpson niebezpiecznie się przechyla i za chwilę może runąć.

- Och, ja jestem tylko kelnerką - zwierzam się mojemu talerzowi.

- Co ma znaczyć owo „tylko”?

Odważam się Zerknąć na Mary, która grozi mi palcem. Jej gigantyczny kok przesunął się jeszcze o parę centymetrów.

- Dobra kelnerka może podróżować po całym świecie. -Palec nadal mi grozi. - Europa, Ameryka, Azja. Żarcie to żarcie. A to godna szacunku profesja. Tak jest napisane w Biblii. Na weselu w Kanie Galilejskiej też były kelnerki. Prawda, Dale, skarbie?

Czuje, że coś jest nie tak z jej fryzurą, więc stara się poprawić ją ręką, jeszcze bardziej rujnując całość. Teraz kok przechyla się pod naprawdę niebezpiecznym kątem.

- Jasne, Mary!

Dale patrzy na mnie, znacząco unosząc brwi. Jemu też pewnie zbiera się na śmiech.

W tej chwili nie pozwolę powiedzieć złego słowa na fryzurę Mary. Ani na samą Mary. Dzięki niej mogę wrócić do Irlandii z dumnie uniesioną głową. Mój zawód czyni ze mnie obywatelkę świata. Tyle że nikt jeszcze tego nie zauważył.

- Masz w Irlandii chłopaka, skarbie?

Wysławszy moją skromną osobę na orbitę okołoziemską,

Mary z hukiem sprowadza mnie na ziemię. Być może na znak solidarności ze mną jej kok też się rozpada, ale nikt na niego nie patrzy, bo wszyscy usłyszeli pytanie i utkwili we mnie wzrok. Dale się we mnie wpatruje. Eve także.

W tle nadal gra muzyka fortepianowa.

Podejmuję błyskawiczną decyzję.

- Nie - odpowiadam.

---

## *Rozdział 33*

---

Chryste , jak cudownie leżeć w prawdziwym łóżku... z pełnym brzuchem i pieprzonym, genialnym szumkiem w głowie.

No, wypilem parę głębszych. I co, kurwa, z tego? Mam, do cholery, wakacje czy nie? A zanim wróci Gina, będę już spał. Nawet się nie kapnie.

Chciała, żebym znowu pojechał z nią do roboty, ale nie chciałem; dzięki, nie skorzystam. Wyczerpałem swój limit znoszenia pieprzonych kowbojów na najbliższy czas. Oczywiście, tego nie powiedziałem. Wcisnąłem jej kit, że muszę odpocząć po nadmiarze wrażeń.

Ci jankesi to sobie chyba w pliszki grają. Zapraszają człowieka na melanz i co? O wpół do dziesiątej to warzycho się rozchodzi do domciu spać! Dobra, przyznaję, żarcie było niezłe (choć mnie osobiście brakowało pieczonej wołowiny), ale sami powiedzcie: dwie pieprzone butelki szampana? Na jedenastu luda? I to się nazywa balanga?

Właściwie dziewięć, bo mamcia ani Dale nie pili. Że Dale, to się nie dziwię. Ten facio niczym nie zdoła mnie zaskoczyć, ale

mamcia...? Czyżby kiedyś była trunkowa? No bo czy wznieślibyście toast ku czci cudem odnalezionej córki soczkiem pomarańczowym, gdyby na stole stał szampan?

Osobiście nie lubię szampana. Nie żebym był, jak to mawia Szajbus, zafajdanym konieserem, nic w tym stylu, tylko wolę solidne, uczciwe procenty. Ale wypilem te bąbelki. Nie jestem aż takim głupkiem. Tylko że potem - i do tego cały czas zmierzam - kiedy już się skończył szampan, człowiek musiał spytać, czy nie mają jakiegoś browaru, whisky czy czegoś w tym guście. Nie mieli. Tylko wino. Homoseksualiści w pełnej krasie.

Cóż, w czasie burzy dobry każdy port.

Port. Jak portwajn. Wino. Jarzycie?

Za to Bel imprezka się spodobała. Cieszę się. W sumie porządna z niej niania. A tu nawet zachowuje się jak człowiek. Nie czepia się jak rzep psiego ogona. Dzięki Bogu, że Willow zawinęła kitę i wróciła do domu. Może teraz będę mógł sobie trochę pożyć jak człowiek.

Czy mi się śniło, czy Bel powiedziała, że nie ma chłopaka? O co właściwie chodziło?

Ciekawe, czy Gina ma w domu jaką flaszkę?

---

## *Rozdział 34*

---

Dale, Eve i ja wychodzimy ostatni z przyjęcia. Pierwsza -jakieś półtorej godziny temu - ulotniła się Gina; dziś pracuje. Zabrała ze sobą Rowana. Mary RR też wcześniej się urwała: jutro ma poranną zmianę. Okazało się, że dwa razy w tygodniu pomaga w miejscowym szpitalu jako wolontariuszka. Potem czmychnęli sąsiedzi i ani się obejrzałam, jak została nasza trójka i gospodarze.

- Pomóc wam w sprzątaniu?

Patrzę na śmietnik, jaki został po moim przyjęciu urodzinowym. W porównaniu z tym, czemu muszę stawiać czoło w Leicester, to sama przyjemność. Uporządkowanie tego zajęłoby mi góra pięć minut.

- Wykluczone - oburza się Mario. - Ale może poczęstujecie się jeszcze winem?

Proponuje z czystej uprzejmości. On i jego partner marzą, żebyśmy już sobie poszli: od dłuższej chwili dyskretnie ziewają, zasłaniając usta ręką.

- Wstawaj, Eve, pora się żegnać.

Dale trafnie odczytuje sygnały. Już wcześniej przyniósł kule, teraz podaje je mojej matce i przygląda się, jak Eve z trudem podnosi się z miejsca.

- Mario, Robercie... - Biorę torebkę i wkładam do niej zdjęcie z polaroidu. - Nie wiem, jak wam dziękować. To była naprawdę wspaniała niespodzianka.

Waham się. Czy znamy się już na tyle dobrze, abym ich uściskała?

- Phi, nic takiego! - Mario całuje mnie w oba policzki. -Cała przyjemność po naszej stronie. A wszystko tak świetnie się ułożyło. Żałuj, że nie widziałaś swojej miny!

- Niestety, widziałam! Już Robert ze swoim aparatem się o to postarał. Nie jestem do końca przekonana, czy chcę kiedyś znowu ją zobaczyć. Ale jeszcze raz wam dziękuję.

Robert nie podstawia się do buziaka, więc tylko podaję mu rękę. Następuje ostatnia seria „dziękujemy” i „dobranoc”, a wreszcie wychodzimy.

Po paru krokach jeszcze się zatrzymuję i odwracam, by im pomachać, ale obaj mężczyźni już się krzątają przy sprzątaniu stołu.

Tutaj imprezy kończą się dość wcześnie, myślę, gdy we trójkę idziemy do domu Eve. Przy założeniu, że uczestniczyłam w typowym przyjęciu. I goście, i gospodarze są bardzo zdyscyplinowani: wszyscy zjawiają się punktualnie, bawią się, a potem w kilkunutowych odstępach rozchodzą do domów. Nie to, co nasze, irlandzkie całonocne imprezy z nieustanną rotacją, wspólnymi śpiewami,



tańcami i piciem, często kończące się tak, że goście zostają do rana i śpią w salonie na podłodze. Tutaj obyło się bez rzygania, tłuczenia zastawy i szukania zaczepki. Nikt też nie odstawiał satyryka z bożej łaski. Czyżbym właśnie skreśliła biednego Jimmy'ego Portera?

Jesteśmy przy domku Eve.

- Wejdźcie na kawę - zaprasza, gdy stajemy przy schodkach. -  
My dwie, Arabello, mamy sobie tyle do powiedzenia.

- Szczerze, Eve? Oczy mi się zamykają.

To też, chociaż prawdziwa przyczyna mojej odmowy jest taka, że nie chcę sobie psuć tego cudownego wieczoru rozmową zasadniczą.

Oczywiście, w ogóle chcę porozmawiać z matką i wyjaśnić, co właściwie nią kierowało i co naprawdę się wydarzyło, ale nie dziś. Dopiero co zerwałam z chłopakiem. Jestem wolna. On nawet jeszcze o tym nie wie. Z wyrzutami sumienia uporam się innym razem. Teraz w głowie szumi mi szampan, nad sobą mam rozgwieżdżone niebo i nie chce mi się stawiać czoła trudnym sprawom, a już na pewno nie pragnę konfrontacji z matką.

I, skoro już mówię szczerze, pociąga mnie perspektywa przyjemnej pogawędki sam na sam z Dale'em przy filiżance herbaty. Natychmiast przestań, Arabello Moraghan. Facet ma tatuaże!

- Przyjdę wyspana i rześka z samego rana - obiecuję Eve. -  
Zjemy razem śniadanie. Tylko we dwie. Masz rację, najwyższy czas, abyśmy szczerze porozmawiały. Pogadamy od serca i, obiecuję, do

rana przeczytam twój pamiętnik. Przeczytałam już list do Maury. To musiała być miła kobieta.

- Przeczytałaś wszystkie?

- Tylko jeden. Pierwszy. Życie cię nie rozpieszczało.

Zerkam na Dale'a, sprawdzając, jak on odbiera tę rozmowę, ale wpatruje się w komórkę, jakby sprawdzał wiadomości. Jaki taktowny.

- Jasne.

Twarz matki tężeje - a może jedynie tak mi się wydaje; widzę ją tylko w słabym świetle ulicznej latarni. Eve lekko się nachyla, jakby chciała mnie pocałować, ale się odsuwa.

- Dobrej nocy, Arabello. I tobie też, Dale.

Dale chowa komórkę i razem obserwujemy mozolną wspinaczkę mojej matki po schodach.

- Nie zapomnij o lekach. Zmniejszyłaś dawkę?

- Jasne, już nie potrzebuję aż tak mocnej. Jestem jeszcze obolała, ale to pestka w porównaniu z tym, co było.

- Nie chwal się tym tak głośno, Eve. Zwłaszcza przy inspektorze z towarzystwa ubezpieczeniowego. Przyjeżdża jutro, prawda?

- Tak. Nie przejmuj się. Jutro odegram takie przedstawienie, że niech się schowa Meryl Streep.

Nie ogląda się i nagle, patrząc na jej walkę ze słabością, na dumnie wyprostowaną blond głowę i barwne kimono, czuję, jak dosłownie uderza mnie fala czułości.

Wcześniej, ilekroć myślałam o spotkaniu z matką, wyobrażałam sobie scenę pełną napięcia, krzyków i oskarżeń. W rzeczywistości zaś,

owszem, było napięcie - najlepszym dowodem ucieczka Willow - ale nie ciągle, a tę nieoczekiwaną falę czułości warto pielęgnować.

Natychmiast jednak karczę się i przywołuję do porządku: to pewnie sprawka szampana, gwiazdzistego nieba i ogólnego błogostanu ufetowanej jubilatki. Tak, zwłaszcza szampana. Oczywiście nie ma żadnego porównania między moim dzisiejszym stanem a tym, jak wczoraj bezwstydnie się schlałam, chociaż nie mogę też powiedzieć, że pozostałam absolutnie trzeźwa.

Doszliśmy już do przyczepy Dale'a; chwilę się waham, zamiast od razu pójść do sypialni. Natychmiast to zauważa.

- Pewnie jesteś zmęczona, ale może jeszcze się czegoś napijesz? Co powiesz na margaritę?

- Dale!

Uśmiecha się szeroko.

- To może herbatę? Dzięki znajomości z twoją mamą przekonałem się, jak bardzo wy, Irlandczycy, kochacie herbatkę. I, jak zdążyłaś zauważyć, dobrze się zaopatrzyłem w ten towar. Nie może się teraz zmarnować!

- Chyba nie kupiłeś tyle herbaty specjalnie dla mnie?

- Nie zapominaj, że miało was być troje, Arabello.

- Zamierzałeś gościć u ciebie całą naszą trójkę?

- Nie. Nie wiedziałem, czy którekolwiek z was będzie u mnie mieszkało. To jak, chcesz herbatę czy nie?

- Jasne. Tylko nie każ mi podejmować decyzji. Sam wybierz.

- Przepraszam na chwilę.

Nalawszy wody do czajnika i postawiwszy go na kuchence - od przyjazdu do Stanów nie widziałam ani jednego elektrycznego czajnika - Dale znika w drzwiach prowadzących, jak zgaduję, do jego sypialni. Zaświecił dwie lampki stołowe z białymi abażurami. A choć Eve miała rację, porównując jego salonik do klasztornej celi, to mimo wszystko pokój jest przytulny. Spartański, ale miły.

Korzystam z chwili samotności, by się rozejrzeć, i wzrokiem szukam książek - one najlepiej zdradzają nasze gusta i upodobania. Jeśli Dale mnie przyłapie na buszowaniu w jego książkach, powiem, że szukałam jakiejś lektury do poduszki. Ku memu zdumieniu jednak nie znajduję ani jednej książki. Ani kolorowego czasopisma. Nawet zwykłej gazety. Na niskim stoliku, stojącym między dwiema kremowymi kanapami, nie ma nic oprócz masywnego, szklanego naczynia wypełnionego szarymi kamykami ze smużkami bieli; blaty kuchenne też są puste i sterylne czyste.

Jedynie osobiste przedmioty, jeśli w ogóle można je tak nazwać, znajdują się w przeszklonej, narożnej szafce: duży, biały dzbanek z niebieskim brzeżkiem, odłamek czerwonej skały na cokolicu i ozdobny zegar. To złoczone, porcelanowe cacko mieniące się wszystkimi kolorami tęczy zupełnie nie pasuje do nieskazitelnie czystego wnętrza, w którym każdy przedmiot jest prosty i ma praktyczne zastosowanie. Tarczę zegara przytrzymują dwie porcelanowe figurki - dama w krynolinie i dżentelmen w surducie, długiej peruce, obcisłych spodniach do kolan i zapinanych kamaszach – rodem z książki Dorothy Kathleen Broster albo dickensowskiej

„Opowieści o dwóch miastach”. Pozostałe elementy: amorki, kwiaty, liście, jagody i gałązki bluszczu są tak splecione, że dostrzec je można dopiero po bliższej obserwacji.

Za sobą słyszę gwizd czajnika, a kiedy odwracam się, aby zdjąć go z ognia, ku swemu zaskoczeniu widzę, że Dale właśnie to robi.

- Widzę, że podziwiasz mój zegar. Zaczyna szykować zastawę do herbaty.

- Aleś mnie przeraził. Nie słyszałam, kiedy wróciłeś. Tak, oglądałam go. Rzeczywiście jest wyjątkowy. To pamiątka rodzinna?

- W pewnym sensie. Pomyślmy...

I znów, tak jak rano, Dale otwiera szafkę pełną rozmaitych gatunków herbaty.

- Odziedziczyłeś go po pradziadkach? Wygląda na bardzo stary. Zabytkowy.

Szampan dodaje mi tupetu, nie dam się tak łatwo splawić. Nawet jeśli Dale zrobi to w rękawiczkach. Odwraca się w moją stronę.

- To jedyny przedmiot, który zabrałem z domu po rozwodzie. To jakoś się wpisywało w całą tamtą sytuację.

- Przepraszam... Nie chciałam... - Czuję się obrzydliwie. Jak podglądacz.

- To pytanie się narzucało. - Wybiera dwie saszetki i wrzuca je do kubków. - A zegar najprawdopodobniej jest bardzo stary. Moja była żona ma dobre oko. A raczej miała.

- Dlatego spytałam. Nie wygląda na rzecz w twoim guście.

- I może właśnie dlatego go wziąłem. Jako pamiątkę zupełnie niedobranego małżeństwa. - Nalewa do kubków wrzątku, odstawia czajnik i podchodzi do mnie. - Proszę. Zakładam, że bez cytryny.

Podaje mi owalną tacę z dzbanuszką mleka, cukiernicą, łyżeczką i białym kubeczkiem wypełnionym naparem.

- Dzięki. Tak jest idealnie. Słuchaj, Dale, nie wiem, jak przeproszać. Nie chciałam rozdrapywać starych ran.

- Tamte rany już dawno się zagoiły. Stare dzieje.

Siada naprzeciwko mnie, zsuwa klapki i wrzuca plaster cytryny do swojej herbaty. Jestem w kropce, nie mam pojęcia, jak teraz pokierować rozmową. Jego opanowanie i nonszalancja budzą we mnie podejrzliwość. Nie dowierzam takiemu wyluzowaniu.

Nie twój interes. Pij herbatę.

Skupiam się na kubku.

- Jaka była twoja żona? - Wszystkiemu winien szampan.

Dale mierzy mnie wzrokiem. W sypialni zdjął kurtkę, zostając tylko w bawełnianej koszulce. W rozproszonym świetle lampki pnącza i kwiaty na jego ramieniu i karku wyglądają jak rzeźbione w żywym cieple.

- A może by tak mały handel wymienny? - proponuje cicho. - Opowiem ci o mojej byłej żonie i rodzinie pod warunkiem, że ty mi opowiesz o swoim byłym chłopaku.

- Co?!

Oczy mam jak piłeczki pingpongowe. Jakim cudem mógł się dowiedzieć o Jimmym Porterze?

- Ja-jakim byłem chłopaku?

- O tym, z którym zerwałaś, gdy Mary RR spytała, czy z kimś chodzisz. Ten gość wie, że został rzucony?

Moje serce i żołądek nagle zamieniają się miejscami.

- A właśnie - rozpaczliwie próbuję zmienić temat - skoro o Mary RR mowa. Zastanawiałam się, jak naprawdę ma na nazwisko.

- Montgomery.

- Aha. Mary Montgomery. Ładnie. Zdaje sobie sprawę, co o niej mówicie za jej plecami? Wie, jak ją nazywacie?

- Sądzę, że tak, ale to jej nie przeszkadza. Uśmiecha się. Wie, że gram na zwłokę.

- Dobra. Nazywa się Jimmy Porter i nic nie wie.

- To dlaczego się go wyparłaś?

- B-bo... - Gwałtownie szukam w myślach jakiegoś wytłumaczenia, którym kompletnie się nie skompromituję, a które będzie w miarę prawdziwe lub chociaż wiarygodne. - Sądzę, że przyczyniło się do tego spotkanie z Eve. - Oddycham z ulgą. - Tak, to właśnie to. Kiedy ją poznałam, uświadomiłam sobie, jak beznadziejny i pozbawiony przyszłości był ten układ i... - Milknę. Dale przygląda mi się z takim napięciem, że tracę kontenans. - Co? Czemu tak na mnie patrzysz? Nie wierzysz?

- Jesteś pewna, że sprawiło to spotkanie z matką? Mnie to się wydaje mało prawdopodobne.

- Nie, nie jestem pewna, ale aż do mojego przyjazdu tutaj między nami wszystko grało. Widzisz inny powód?

- Ty mi powiedz.

- Cóż, tylko takie wytłumaczenie widzę. A może po prostu nie zdążyłam jeszcze tego przemyśleć.

Nie mogę patrzeć w te utkwione we mnie oczy, więc całą uwagę skupiam na wyławianiu jakiegoś mikroskopijnego listka z herbaty.

- A właśnie, całkiem na marginesie, skoro rozmowa zeszła na Eve; wspominałeś, że jutro przyjeżdża do niej inspektor z towarzystwa ubezpieczeniowego. To w związku z wypadkiem?

- Eve nie zbije na tym majątku, jeśli o to ci chodzi. Szarpie gumkę, jakby go drażniła, wreszcie w ogóle ją

ściąga i włosy rozsypują mu się na ramiona. Niecierpliwie odrzuca je na plecy.

- Nie to miałam na myśli. Chyba nie sądzisz, że przyjechałam, licząc...

- Nie sądzę.

- Ale w ogóle należy jej się jakieś odszkodowanie, prawda? Kierowca, który ją potrącił, miał wykupione ubezpieczenie?

Nagle odnoszę wrażenie, że kubek, który ściskam w dłoniach, grzeje mi palce mocniej niż przed chwilą.

- Owszem, miał. Właśnie o tę wypłatę chodzi. Z OC.

- Kierowca był tutejszy?

- Mhm.

- Musiała powstać niezręczna sytuacja. Obserwujemy się uważnie.

- Arabello...



W tej samej chwili gdzieś z osiedla dobiega kobiecy krzyk. Dale natychmiast się podrywa.

- To Mary!

- Skąd wiesz?

- Bo wiem. Zostań tu.

Błyskawicznie wkłada klapki. Jeszcze nie zdążyłam ogarnąć sytuacji, gdy znika. Słyszę dudnienie jego stóp na schodach, a potem chrzęst żwiru w alejce. Wybiegam za nim, choć kazał mi zostać.

Nietrudno go znaleźć - ulice są znakomicie oświetlone, a biegnąc, Dale wzbija za sobą pył. Właśnie minął przyczepę Eve i pędzi w stronę bramy wjazdowej. Moje „wyjściowe” czarne pantofle nie nadają się do sprintu, ale staram się, jak mogę; po chwili udaje mi się na tyle zmniejszyć dystans, że widzę, jak Dale skręca w lewo i wpada między dwie przyczepy. Biegnę jego śladem. Ciszę spokojnego, bezwietrznego wieczoru przerywa przenikliwy krzyk Mary - jeśli to ona krzyczy. Słyszę też pełen wściekłości męski głos. Drzwi przyczep się otwierają, mieszkańcy wysuwają głowy...

Przy plastikowym płotku, otaczającym działkę Mary RR, zebrał się już tłumek. Mary nie może się pochwalić tarasem, za to ma zadbane trawnik, którego granice wyznaczają pomalowane na biało kamienie. Kobieta - zakładam, że Mary - nadal wrzeszczy. Mężczyzna nadal ryczy. Przyczepa lekko się kołysze, gdy coś - lub ktoś - pada albo uderza o ścianę. Dale dobija się do drzwi.

- Mary! Eddie! Tu Dale Genscher! Wpuśćcie mnie!

W odpowiedzi mężczyzna w środku wali głową Mary w okno. Szyba pęka. Na trawnik sypie się konfetti z odłamków szkła. Dopiero teraz naprawdę słyszemy ryk napastnika.

- Suko! Dziwko! Zdziro!

- Eddie! Otwieraj! Dale łomocze do drzwi.

Słysząc trzask łamanych mebli. Dalsze wrzaski, łzy, błagania.

- Eddie... Nie! Nie...! Błagam, nie!

- Nie mam komórki - zwraca się do jednego z gapiów Dale. - Niech pan wezwie policję.

Potem zaciska dłonie w pięści, napina ramiona, jakby to były gumki procy, i z całej siły uderza torsem w drzwi. Te, oczywiście, otwierają się na zewnątrz, więc nie zyskuje w ten sposób nic prócz siniaka na barku.

- Ktoś ma widły albo szpadel? Szybko. - Zwraca się do gapiów. - Coś, co mogłoby zastąpić łom. Musimy wyważyć drzwi.

- My mamy. Leć po szpadel, Harry. Jakaś kobieta popycha swego towarzysza. Równocześnie inny mężczyzna podaje adres dyspozytorowi.

- Tak, Robinia Meadows 347. Przy County Road. Tylko szybko. Tym razem może ją zabić.

Znowu słysząc trzask i łomot ze środka. Następny przeszywający krzyk.

Chciałabym jakoś pomóc, boję się o Mary, jednocześnie - i to jest najgorsze - z zapartym tchem chłonę tę scenę. Wstyd przyznać, ale to prawda. Bo musicie wiedzieć, że dzięki telewizji bardzo dobrze

poznaliśmy Amerykę. Tak często oglądałam tego rodzaju scenki, że ta wydaje mi się znajoma. Podświadomie spodziewam się, że z za węgła z piskiem opon wypadnie zaraz radiowóz, a z niego wyskoczy kaskader, dublujący dzielnego policjanta.

Dziś jednak nie oglądam fikcyjnej awantury. To spotyka prawdziwą kobietę. Prawdziwą Mary RR, Mary Montgomery, pomagającą w szpitalu. Mary Montgomery, z której fryzury zaledwie przed trzema kwadransami chichotałam. Ktoś, kogo znam, zaraz zginie od ciosów zadawanych metodycznie niecałe dwa metry ode mnie.

Wraca mężczyzna wysłany po szpadel. Awantura w przyczepie sięga zenitu, słyhać kolejne wrzaski i odgłosy demolki. Mężczyzna podbiega do Dale'a.

- Trzymaj, stary.

- Pomóż mi.

Dale wsuwa szpadel między drzwi a futrynę, a mężczyźni udaje się powiększyć szparę. Wspólnie forsują zamek i drzwi się otwierają.

Dale otwiera je na oścież i wchodzi do środka. Wyciąga ręce, jakby chciał pokazać, że nie jest uzbrojony (czy ja naprawdę nie oglądam filmu w telewizji?), i za moment wylatuje pchnięty przez kogoś w środku, omal nie zwalając z nóg mężczyzny ze szpadlem, ale jakimś cudem się nie przewraca. Wszystko to dzieje się tak szybko, że Dale prostuje się, nim ktokolwiek zdąży podbiec i mu pomóc.

Krótką pauza. Mary przestała krzyczeć. Teraz tylko szlocha.

W drzwiach staje mężczyzna w poplamionej krwią dżinsowej kurtce. Dyszy, mierząc nas wszystkich złym wzrokiem. Jest niski i krępy, nie ma nawet metra sześćdziesięciu wzrostu. Nad nieproporcjonalnie nabitymi bicepsami i barami sterczy nieduża głowa. Jest zaskakująco młody.

- Nie wtrącaj się. - Patrzy wrogo na Dale'a. - Nic ci do tego.

Jego rozbiegane oczka nie zatrzymują się dłużej na żadnym z nas. Z ust cieknie mu coś białego.

- Zawiadomiliśmy policję, Eddie - mówi spokojnie Dale, postępując w jego stronę. - Jest już w drodze.

I rzeczywiście, w tym samym momencie słyszę zawodzenie syreny.

Mężczyzna - Eddie - spogląda w stronę, z której dobiega dźwięk alarmu.

- Sukinsyn!

Sięga po coś do środka i - znowu nie dając nam czasu na reakcję - zeskakuje ze stopni i popycha Dale'a, który tym razem się przewraca. Napastnik zaś, nawet się nie zachwiawszy, ucieka co sił w nogach. Dwóch mężczyzn rzuca się w pościg, ale on okazuje się za szybki. Nim zdążyli do niego dopaść, już wskakuje na motocykl, zaparkowany jakieś pięćdziesiąt metrów dalej. Kopie nogą rozrusznik. Motocykl z rykiem budzi się do życia, Eddie podrywa go i ucieka. Po chwili motocykl opada na przednie koło i znika.

Mężczyźni biegną za nim parę kroków, ale potem się poddają. Słyszą coraz bliższe wycie syreny.

Wszystko to trwa piętnaście sekund. W telewizji fundują nam różne ujęcia, pokazują scenę w zwolnionym tempie. Nie tutaj. Mój mózg wreszcie musi uwierzyć, że to nie film, tylko rzeczywistość.

Nie ma już sensu patrzeć za zbiegłym mężczyzną. Odwracam się i widzę, że gapie tłoczą się przy wejściu do przyczepy. Na trawniku leży Dale. Obok niego klęczą mężczyzna od szpadla i jego żona.

- Dale! - Podbiegam do nich. - Co mu się stało? Dlaczego tak leży?

Kobieta spogląda na mnie poblądła.

- Chyba został ugodzony nożem.

---

## Rozdział 35

---

Co za okropne wrzaski...

Niech no ja dorwę tego obiboka z administracji, to mu powiem, co o tym sędzę. Na osiedlu obowiązują pewne zasady, a jedna z nich to zachowywanie ciszy.

Pewnie to rozrabiają ci z przodu, a nie stali mieszkańcy. Choć, z drugiej strony, mam wrażenie, że odgłosy awantury dobiegają z naszej części osiedla. Mogę się mylić. Powietrze jest dziś nieruchome, bez najmniejszego podmuchu.

Jeśli chodzi o mnie, mogą się tak awanturować i całą noc. Nie ma mowy, nie poleżę tam i nie będę się gapić na ten cyrk. O nie, ta grzeczna dziewczynka ułożyła główkę na podusi i wygodnie się umościła. Jest tak przytulnie i miło, a wyłożenie z łóżka, ubieranie się i kuśtykanie na tych pierońskich kulach kosztowałoby mnie za dużo czasu i wysiłku. Jak to mawia Dale? „Niech świat dziś się kręci bez ciebie”. Uwielbiam ten tekst.

Taaak. Arabelli Dale wpadł w oko, a ona jemu, nawet największy tuman by to zauważył. Wszystko super, tylko co ze mną? Przecież to do mnie przyjechała, do diaska...

Zazdrosna, Eve?

Nie, nie jestem zazdrosna. Skąd ten pomysł? No, dobra. Może leciuteńko zazdrosna. Bo to nie tylko Arabella, ale i Rowan. Po co właściwie tych dwoje tu przyjechało? Rowana prawie nie widuję. Gina ściska go tymi swoimi chudymi ramionkami mocniej niż obręcz beczkę.

Zaakceptuj to. Nie niszczyć swojej szansy. I, na miłość boską, nie odstawiaj skrzywdzonej. Dale już powiedział Arabelli, że jesteś histeryczką - pierwszego dnia, kiedy przyjechały, a ty nie potrafiłaś udźwignąć prawdziwego dramatu, więc uciekłaś w swój własny świat, udając głęboki sen. Rozegraj to, jak trzeba. Dowiedź, że Dale nie miał racji.

Teraz jeszcze wycie syreny. Gliny? To osiedle zaczyna coraz bardziej przypominać Queens.

Może to jednak nie u przejezdnych? Syrena zawodzi gdzieś blisko. Hej, chyba już wiem co to. Niedźwiedź?

Bierz dalej te swoje pigułki, Eve! Nigdy nie groziła nam tu wizyta niedźwiedzia - osiedle jest przecież położone na pustyni. Słyszałam jednak, że na polach kempingowych i osiedlach przyczep bardziej na północ niedźwiedzie stanowią prawdziwy problem. Z roku na rok nabierają śmiałości i stają się coraz bezczelniejsze. Niektórzy twierdzą, że dotrą i tutaj, to wyłącznie kwestia czasu. Mam nadzieję, że to nie jest wyłącznie kwestia czasu, zanim odkryją uroki pojemników ze śmieciami w Robinia Meadows.

Za to węże... To już inna sprawa. Węże są tu stałymi gośćmi. Wychodząc rano na taras, zawsze bardzo uważam, bo lubią się tam

wylegiwać - na drewnianych deskach jest im cieplej niż pod przyczepą. Początkowo, gdy tylko się tu sprowadziliśmy, umierałam z przerażenia na samą myśl o węzach, ale Dale wyjaśnił mi, że w większości są niegroźne i boją się mnie bardziej niż ja ich. Tego akurat nie zamierzam sprawdzać w najbliższej przyszłości.

Jeśli się zastanowić, to kierowca tamtego auta właściwie wyświadczył mi przysługę. Uziemił mnie na jakiś czas i w ten sposób zmusił, bym spauzowała, przemyślała to i owo. Dał mi mnóstwo czasu na przeanalizowanie swojego życia.

Boże, ciągle ziewam. To dopiero było ziewnięcie. Szczeka omal mi nie wyskoczyła z zawiasów.

Taaa, gdyby tamten wóz mnie nie potracił, pewnie nie zmobilizowałabym się do szukania kontaktu z dziećmi...

Kiedy Dale powiedział, że porozumiał się z Arabellą i okazało się to całkiem proste, bo jej nazwisko figurowało w książce telefonicznej, nie ogarnęło mnie podniecenie. Nie od razu. Głupie, nie? Normalny człowiek wyskakiwałby ze skóry na samą myśl, że po tylu latach zobaczy swoje dzieci. Bóg mi świadkiem, latami marzyłam o tej chwili. Pewnie w głębi ducha nie spodziewałam się, że Dale'owi się uda, i wiadomość, że jednak do nich dotarł, była dla mnie szokiem.

Zaraz potem pojawiły się wyrzuty sumienia. Zaczęłam myśleć o moich złych, odrażających postępkach i o niechęci - wręcz nienawiści - jaką żywią do mnie dzieci.

Muszę zapytać Arabelle, od jak dawna jest w książce telefonicznej. Widocznie kiedy wcześniej jej szukałam, miała



zastrzeżony numer. Przez te wszystkie lata wymyślałam jakieś piętrowe kombinacje - na przykład komunikaty w irlandzkich stacjach radiowych - i nawet mi przez myśl nie przeszło, by jeszcze raz sprawdzić w książce telefonicznej. Pewnie nie uwierzycie, ale identycznie było z odkryciem, że Ziemia jest okrągła. Po prostu nie przyszło mi to do głowy...

Oho! Ziewam jak najęta. Uwielbiam tę chwilę, gdy ogarnia mnie senność i czuję się tak, jakby otulała mnie ciepła chmurka...

Co przygotować Arabelli na śniadanie? Ciekawe, czy lubi jajecznicę? Czy mam dość pomarańczy, by zrobić jej porządny sok? Przede mną najważniejsza rozmowa życia. Czuję prawdziwą treść, a jednocześnie jestem taka senna...

Karetka? O tej porze?

---

## Rozdział 36

---

Wyszłam na taras, było jeszcze ciemno, a pewnie siedzę tu już ze dwie godziny. Jest przedświt, robi się wilgotno; wkrótce wstanie następny cudowny poranek, taki jak tamten, gdy oglądałam konie.

Po lawinie wydarzeń ostatnich dni mam wrażenie, że tamten świt oglądałam dobre stulecie temu. Dziś guzik mnie obchodzi zapach żyznej ziemi. Nie podziwiam też perłowo-różowego nieba ani czerwonych skał i nie zachwyam się świergotem ptaków, nasłuchuję tylko, co u Dale'a. Nadal śpi - to pewnie działanie środków przeciwbólowych. Do tej pory to on się mną opiekował, teraz mam okazję się zrewanżować.

Obok mnie leży pamiętnik Eve. Zamierzałam go przeczytać - latarnia na tarasie daje wystarczająco mocne światło - ale byłam zbyt spięta i nie mogłam się skupić na lekturze. Nadal zresztą nie mogę. Muszę się zmobilizować: obiecałam, że przeczytam jej dziennik, i bez względu na to, co spotkało Dale'a, Mary czy kogokolwiek innego, muszę dotrzymać słowa.

Ciągle się zastanawiam, co właściwie czuje Rowan. Przecież jemu też powinno zależeć na rozmowie z matką. Tymczasem od kiedy tu przyjechał, interesuje się wyłącznie Giną. Właściwie powinnam dziękować za to losowi. W końcu sama nazywam to cudem. Jak bym

sobie poradziła, gdyby Rowan zaczął rozrabiać? Tak na marginesie, uważam, że nawet autor powieści detektywistycznych nie wymyśliłby aż tak poplątanej i skomplikowanej sytuacji jak ta, która wytworzyła się między Eve a jej dziećmi. Od rozstania wczoraj wieczorem matka nie dała znaku życia, więc podejrzewam, że nawet nie wie, co się wydarzyło.

Nie jestem też pewna, czy wiedzą o tym Rowan, Mario, Robert i Gina - kiedy wróciła z pracy, my byliśmy już w szpitalu na ostrym dyżurze. Nawet jeśli Gina zaniepokoiła się, że pikap Dale'a nie stoi przed domem, nie zajrzała, by sprawdzić, co się stało - zresztą, czemu miałyby to robić? Kumplują się, ale każde żyje własnym życiem.

To gdzie jest pikap Dale'a?, spytacie.

Pikap Dale'a stoi na parkingu przed szpitalem. Ja nim tam dojechałam. Po burdzie bez chwili namysłu popędziłam sprzed domu Mary RR do przyczepy Dale'a, wskoczyłam do samochodu, odpaliłam i ruszyłam.

Nie mam prawa jazdy i nie umiem prowadzić. Ale jechałam w konwoju. Kolumnę otwierały karetka i radiowóz -jedno i drugie na sygnale. Za nimi, w długim chyba na kilometr kabriolecie (złocisto-białym, ozdobionym z przodu czymś w rodzaju gigantycznych płetw rekina - jednym słowem bryką w stylu Elvisa albo Bono) jechali Facet od Szpadla i jego żona. Konwój zamykałam ja. Za kierownicą. Przy prawej krawędzi jezdni. W absolutnych ciemnościach. Zero problemu. Przynajmniej wówczas.

Ale potem znaleźliśmy się na ostrym dyżurze. Wtedy dwa razy dostałam obuchem w łeb. Najpierw, gdy zobaczyłam zakrwawionych Dale'a i Mary na noszach - wszystko stereo i w kolorze. A potem, gdy uświadomiłam sobie, że przejechałam ponad trzydzieści kilometrów bez prawa jazdy i OC! Za policyjnym radiowozem! Trzęsłam się tak, że pielęgniarka chciała dać mi coś na uspokojenie, ale się nie zgodziłam - jeszcze tego brakowało, żebym leżała nieprzytomna, gdyby się okazało, że stan Dale'a lub Mary jest poważniejszy, niż sądziliśmy.

Sam ostry dyżur wcale nie wyglądał tak dramatycznie, jak to sobie wyobraziłam na podstawie serialu. Owszem, tak jak w telewizji, wszyscy chodzili z notatkami, ale panował spokój, nikt nie pędził, a nerwowe pokrzykiwania dobiegały tylko od automatu z kawą, z którym walczył jeden z lekarzy.

Kiedy Dale'a i Mary przeniesiono z noszy na szpitalne wózki, do naszej trójki - Faceta od Szpadla, żony Faceta od Szpadla i Galarety (czyli mnie) - podeszła z kartką dziewczyna w niebieskim kombinezonie, który wyglądał, jakby lada moment miał pęknąć pod naporem jej obfitych kształtów.

- Rodzaj ubezpieczenia? Dale usłyszał jej pytanie.

- Jestem ubezpieczony w Blue Cross. - Mówił słabo, ale wyraźnie. - I zobowiązuję się pokryć koszty leczenia pani Montgomery. W kieszeni mam kartę kredytową.

Pielęgniarka natychmiast wyczarowała kartę z tylnej kieszeni jego spodni, a Dziewczyna Michelina wsunęła ją do czytnika.

Poczekalnia okazała się wygodna i przestronna, utrzymana w przytulnych odcieniach ochry i beżu. Kojąco działały też reprodukcje z widokami Arizony i spokojna muzyka klasyczna sącząca się z głośników. Fotele - w przeciwieństwie do ściśniętych rzędów lepkich, plastikowych krzesełek w szpitalach Dublina - były miękkie i stały po kilka przy oddzielnych stolikach. Ale mimo to czas włókł się tak samo jak w każdej innej poczekalni. Siedzieliśmy w coraz bardziej ciężącym mi milczeniu.

- Były mąż Mary często urządza takie sceny? - przerwałam w końcu ciszę, zwracając się do Faceta od Szpadla.

- Syn - odpowiedziała jego żona. Miała tę charakterystyczną, nieco nosową, śpiewną wymowę mieszkańców Południa, którzy przeciągają każdą samogłoskę. - Gdyby to był mój dzieciak, już dawno wysłałabym go za kratki. Zjawia się tylko wtedy, kiedy potrzebuje forsy. Łajdus i tyle.

Przedstawiliśmy się sobie, ale błyskawicznie zapomniałam ich imiona. Pochodzili z południowej Georgii, gdzie jedno pracowało na poczcie, drugie w towarzystwie ubezpieczeniowym. Po przejściu na emeryturę postanowili przenieść się do Arizony ze względu na reumatyzm Faceta od Szpadla. Teraz oszczędzają na podróż do Europy, do której wybierają się za dwa lata, a ponieważ znają Eve, nie omieszkają zahaczyć o Zieloną Wyspę. To będzie ich druga, po wyprawie na Hawaje, zagraniczna podróż.

- Ale tamta się nie liczy, bo przecież Hawaje należą do Stanów.

Dodali jeszcze, że ich syn prowadzi kursy nurkowania w Australii. „Poważają” Busha za jego politykę międzynarodową.

Potem rozmowa zeszła na Eve. Powiedzieli, że za nią przepadają, i wyrazili nadzieję, że ten „wieczorny” incydent nie zepsuł mi pobytu.

- Kochamy Eve - oświadczyła Żona Faceta od Szpadla. Zerknęła na męża, który z powagą skinął głową, przyznając jej rację.

- Eve jest niezwykła - zapewnił. - Wjele w życiu wycierpiała, ale to nie tylko to. W końcu nikogo z nas życie nie pjeściło. Ona po prostu ma w sobie coś wyjątkowego.

- No - zawtórowała mu żona. - To coś niesamowitego. Jakby aura. Czasem wystarczy, że się na nią popatrzy, a czasem chciałoby się ją zawinąć w folię i włożyć do pudełka czekoladek.

Uśmiechnęłam się, choć nic z tego nie rozumiałam, po czym zgodnie wróciliśmy do kontemplowania nieskazitelnie czystego, czerwonego linoleum na podłodze.

Choć obrażenia Mary i Dale'a wyglądały bardzo groźnie, okazały się stosunkowo niewielkie. Mary miała złamany nos, porozbijane ramiona oraz tułów i paskudnie rozciętą dolną wargę. Kiedy przyjechała do nas na wózku, jej oczu prawie nie było widać pod nabrzmiałą, posiniaczoną twarzą. Część włosów trzeba było zgolić, by usunąć odłamek szkła, tkwiący w głowie.

Lekarz, który ją do nas przywiózł, wyjaśnił, że skończyło się tylko na tych stosunkowo niedużych obrażeniach, ponieważ Mary - wyższa i masywniejsza od Eddiego - mogła skutecznie bronić się

przed jego ciosami. Zatrzymają ją w szpitalu, ale powinna zostać wypisana w ciągu dwudziestu czterech godzin.

- Strasznie przepraszam. - Mary z trudem poruszała opuchniętymi wargami. - Eddie nie jest taki zły, tylko ostatnio los się na niego wziął.

Zrobiło mi się jej żal. Gdzieś zniknęła pani Rozgłośnia Radiowa, przede mną siedziała Mary Montgomery: matka, budząca litość swoim oddaniem.

- Nie przejmuj się, Mary. - Objęłam ją ostrożnie. - Najważniejsze, że wszyscy przeżyli. Za parę dni wszystko wróci do normy.

- Rozmawiała już z wami policja? - Chwyliła mnie za ramię.

- Nie. I nie zwracaj sobie dzisiaj tym głowy. Weź coś na sen i spróbuj odpocząć. A jutro będzie lepiej.

Co za banał, ale na nic lepszego nie było mnie stać. Doskonale wiedziałam - bo widziałam funkcjonariuszy wchodzących do gabinetu - że policja właśnie przesłuchuje drugą ofiarę jej syna.

- Opiekuj się Dale'em, dobrze? - Jakimś cudem przez jej monstrualnie opuchnięte powieki, przypominające małże, przecisnęły się łzy. - Nie wiem, co byśmy bez niego zrobili.

- Zajmę się nim.

- Do zobaczenia jutro. I jeszcze raz wszystkiego najlepszego!

Kiedy ją wieźli na oddział, próbowała jeszcze posłać nam uśmiech - a raczej jego żalowaną, karykaturalną próbę.

Wkrótce potem wyszedł do nas lekarz opiekujący się aniołem z Robinia Meadows i powiedział, że nasz bohater odmówił pozostania w szpitalu. Dale miał prawdziwe szczęście. Rzeczywiście, został ugodzony nożem, ale ostrze zatrzymało się na obojczyku, więc rana była powierzchowna. Krew, którą widzieliśmy, pochodziła głównie z rany głowy -upadając, Dale rozciął sobie skórę o jeden z bielonych kamieni Mary.

- To też powierzchowna rana, ale takie rozcięcia mają to do siebie, że silnie krwawią. Ponieważ stracił na chwilę przytomność, wolelibyśmy, żeby został na obserwacji, jednak siłą nie możemy go zatrzymać.

Czy to ja ściagam na innych urazy czaszki? Najpierw Jimmy Porter, teraz biedna, poczciwa Mary i Dale. Cóż, jak to się mówi, do trzech razy sztuka. Teraz już nikt nie musi się przy mnie bać o głowę.

- Zostanie pani przy nim do rana, panno...? Lekarz zerknął na kartę, szukając mojego nazwiska.

- Moraghan. Tak, zostanę. Zaopiekuję się nim.

- Jest pani Irlandką?

Twarz lekarza - Hindusa - rozpromieniła się z radości.

- Zgadza się.

- Czyż ten irlandzki angielski nie jest czarujący? - To wtrąciła swoje trzy grosze Żona Faceta od Szpadla.

- Uwielbiam Dublin. - Lekarz pisał zamasyście. - Odbywałem staż u Świętego Jakuba. Ten wasz guinness! Proszę, to nasz numer. - Wyrwał kartkę i podał mi ją. - Gdyby pojawiły się mdłości albo



wymioty, proszę natychmiast wezwać karetkę, a zaraz potem nas zawiadomić, żebyśmy już czekali w pogotowiu. Daleko stąd państwo mieszkają?

- Dwadzieścia kilometrów. - To był Facet od Szpadla.

W irlandzkiej prasie ciągle pojawiały się artykuły o niebotycznych kosztach leczenia w Stanach i właśnie oglądałam tego przykład: najwyraźniej tu dostaje się to, za co się płaci - notabene z góry - i tylko to. Muszę jednak przyznać, że w zamian za swoje składki Dale otrzymał naprawdę dużo, ponieważ i on, i Mary zostali przyjęci szybko, sprawnie i kompleksowo. Prześwietlenia, badania, szycie - wszystko to wykonano spokojnie i kompetentnie. Dale, podobnie jak Mary, wyszedł z gabinetu z małą łysinką w miejscu, gdzie lekarz musiał wygolić włosy i założyć szwy. Prawą rękę miał na temblaku.

- Cóż, Arabello - uśmiechnął się do mnie. - Przepraszam za to zamieszanie, tak właśnie wygląda codzienność w naszych kochanych, poczciwych Stanach Zjednoczonych Ameryki.

- No. Tu nigdy człowiek się nie nudzi.

Następny banał. Dziwne, że w chwilach wzruszenia ludzie gadają, co im ślina na język przyniesie. A na widok wyprostowanego, choć rannego Dale'a ogarnęło mnie wzruszenie. Uświadomiłam sobie, jak to się mogło skończyć. Chryste, pomyślałam, gdyby teraz urządzić moje przyjęcie urodzinowe, to dopiero byłby widok! Eve, Dale i Mary - trójka kalek! Do kompletu brakowałoby tylko dzielnego pogromcy Indian, podpułkownika Custer...

Nie zamierzałam po raz drugi odstawić Eddiego Irvine'a, więc Dale i ja wróciliśmy do domu taksówką. Zasnął, ledwo usiedliśmy na tylnym siedzeniu, więc skorzystałam z okazji, aby uważnie mu się przyjrzeć. Spał rozluźniony, z rozchylonymi wargami, drgały mu lekko palce, wystające spod temblaku... Dziwnie się czułam, przyglądając mu się tak otwarcie. Z trudem się powstrzymywałam, by go nie objąć, nie przytulić, nie pogłodzić włosów i tej biednej, obolałej głowy...

Oczywiście, nic takiego nie zrobiłam, za to kiedy dotarliśmy na miejsce, Florence Nightingale mogłaby się przy mnie schować. Greta, która znakomicie sobie radzi w takich sytuacjach, biłaby mi brawo, patrząc, jak dyryguję biednym Dale'em i pakuję go do łóżka.

Właśnie wschodzi słońce: biały, wędrujący ku górze świetlisty łuk wypełnia sobą przestrzeń między dwoma wzniesieniami na wschodzie. Osiedle nadal śpi, pogrążone w bezruchu. Jeszcze przez chwilę świat jest wyłączną własnością moją i ptaków.

W przeciwieństwie jednak do ptaków, które żyją od jednego trzepotu skrzydła do drugiego, a każdy wschód słońca witają z zapałem i świeżością dopiero co wyklutego pisklęcia, mój mózg i żołądek miały na sieczkę ludzi oraz wydarzenia, przeszłość i teraźniejszość. Dopiero teraz docierają do mnie wypadki ubiegłej nocy i błyskawicznie zlewające się w całość epizody z całego pobytu w Stanach. Wszystko się łączy i spływa gdzieś w dół.

Wszystkiego najlepszego, jubilatko.

Willow: wyjechała.

Jimmy Porter: skreślony.

Rozpadający się kok Mary.

Ręce zaciśnięte na kierownicy. Prowadzę samochód. Dłoń Eve na moim ramieniu. Muzyka fortepianowa. Dale zalany krwią. Figurki z zegara.

Rowan - szampan?

Włosy Dale'a, kiedy ściągnął gumkę z kucyka. Ruszający z impetem motocykl. Herbata, cytryna, cukiernica, porcelanowa filiżanka. Niegasnące świece.

Eddie z głową jak orzeszek, rzucający się na Dale'a.

Rowan - Gina - Rowan - Gina.

Dale.

Krew.

Eve prosząca o coś, czego jej dać nie mogę. Pełna napięcia cisza między mną a Dale'em, zanim wypowiedział moje imię - przzerwana krzykiem Mary.

---

## Rozdział 37

---

Wiecie, co najbardziej mnie zdumiało? Zajrzałam do torebki i w paczce wciąż zostało jedenaście papierosów. A wiem, że w sypialni nadal leży karton, który kupiłam w strefie bezcłowej, a w nim osiemnaście z dwudziestu paczek. Dzieje się tyle, że powinnam kopcić jak lokomotywa, tymczasem nie. Czasem wręcz zapominam, że marzę o fajce. Może przyjazd do Arizony to moja wielka szansa na rzucenie palenia? Za to teraz aż mnie skręca. Może to skutek stresu? Planuję najbliższy dzień, a tu każdy element wymyka mi się spod kontroli i jest opatrzony etykietką: „powinnam” albo „muszę”. Mówiąc najkrócej, jeśli nie pójdę w ślady Willow i nie dam nogi, czeka mnie ciężka przeprawa. Zaczynam żałować, że wczoraj nie skorzystałam z okazji i nie wzięłam środka nasennego: udałabym, że połknęłam, a zachomikowałabym tabletkę na czarną godzinę.

Dziś przyjeżdża policja przesłuchać świadków. Ubaw po pachy, nie?

Muszę odbyć zasadniczą rozmowę z matką, więc powinnam w końcu się dowiedzieć, co jest w tym pierońskim pamiętniku. W końcu, holender, obiecałam, nie?

Muszę zadzwonić do roboty. Co prawda nie zadeklarowałam się, kiedy wrócę, ale obiecałam, że po paru dniach się odezwę, żeby mogli planować grafik. Jakkolwiek by na to patrzeć, parę dni już minęło.

Żegnajcie, moje marzenia o pozostaniu w Stanach! Muszę zdecydować, kiedy wracam do kraju.

Dobra, co jeszcze? Nie mogę dalej odkładać telefonu do Willow. Powinnam - nie: muszę - dziś do niej zadzwonić. Do tego jeszcze powinnam być z Eve, kiedy się zjawi ten cały inspektor z towarzystwa ubezpieczeniowego. W końcu jestem jej pierworodną córką.

Wszystko to razem sprawia, że czuję się, jakbym trzymała świat na boleśnie naprężonych, wyprostowanych ramionach. Jeśli pozwolę sobie choć na chwilę odpoczynku, nasza cywilizacja ulegnie zagładzie. Tak czy owak, to koniec luksusowych wakacji. Finito. Dostałam nauczkę, trzeba było bardziej uważać. Jediną pozycją z mojej listy nieopatrzoną słowem „muszę” ani „powinam” jest Dale. Nie muszę się nim opiekować. Chcę.

To jak, drogi Hamlecie, powinnam zapalić czy nie? Oto jest pytanie.

Dobra. Nie zapalę. Poczekam jeszcze trochę.

No. Dziesięć minut. W jednej z reklam telewizyjnych zapewniali, że jeśli odczeka się parę minut, głód nikotynowy ustępuje. Czyż nie byłoby cudownie, gdybym całkiem rzuciła palenie? Gdybym właśnie to wyniosła ze spotkania z matką? Mogłaby choć tyle dla mnie zrobić.

Sama nie wiem, co o niej sędzę. Wciąż miotam się między skrajnościami: na przemian ogarnia mnie to czułość, to furia. I nadal próbuję dostrzec ową niezwykłość Eve, nad którą wszyscy tutaj tak się rozplývają.

Ech, mam to gdzieś - gdzie te fajki? I dość wymówek. Otwieraj ten cholerny pamiętnik.

Przez następną godzinę - z przerwami na nasłuchiwanie, co się dzieje w przyczepie, albo obserwowanie pierwszych sygnałów budzenia się do życia osiedla - palę jak głupia i przenoszę się do życia mojej matki. Jej dzieciństwo w sierocińcu okazuje się tak przerażająco podobne do mojego, potem jej zajście w ciążę i życie z moim ojcem - tę część przerzucam szybko, bo jest zbyt bolesna, by teraz się w nią zagłębiać.

Dużo miejsca w swoim pełnym błędów ortograficznych i kleksów pamiętniku Eve poświęca Maurze. To musiała być wspaniała przyjaciółka. Wspaniała kobieta. I kropka.

Omijam część dotyczącą tamtej pamiętnej Wigilii w palmiarni. Wrócę do niej dopiero, gdy trochę okrzepnę i pozbieram się emocjonalnie, choć udaje mi się przeczytać fragment o tym, jak zaraz po porzuceniu nas Eve siedziała nad brzegiem Tolki. Znam tę rzekę. Niewykluczone, że znam nawet ławkę, na której rozmyślała. Wygląda na to, że kiedy jakiś - tak to wtedy postrzegałam - olbrzym w granatowym mundurze wyprowadzał z palmiarni naszą oszołomioną trójkę, matka była bliska odebrania sobie życia.

Siedzę losy Eve w Ameryce: od sprzątaczk i pokojówki po tyranie w restauracjach, jej wloty i upadki, picie, a potem spotkanie z księdzem, który ją uratował, wypadek samochodowy, Dale, mityngi AA, wędrowka na południe jego samochodem, spotkanie z Mariem i Robertem w jakiejś miejscinie w Alabamie.

Dziwię się, gdy czytam jej beznamiętą, nieferującą wyroków opowieść o tych dwóch gejach. Szczerze? Nie spodziewałam się, że moja matka będzie tak wyzwolona. Jej wersja pokrywa się z tym, co wyciągnęliśmy od Dale'a. Mario i Robert od niedawna są parą. Robert dopiero co ujawnił się jako gej i rzucił żonę dla Maria, który za dnia pracował w pralni chemicznej, a wieczorami dorabiał jako barman i kelner. W mieście - Pipidufku Złobuw, tak opisuje i tak zapisuje to Eve - wybuchł skandal.

Przejeżdżając tamtędy pewnego wieczoru, Dale, Eve i Gina przypadkowo zatrzymali się ni to w barze, ni restauracji, gdzie pracował Mario, i stali się świadkami, jak dwóch potężnie zbudowanych gości go się czepiało. Ten dzielnie stawiał im czoło, ale sytuacja robiła się krytyczna. Jeden z mężczyzn chwycił nieszczęśnika za koszulę. Eve opisuje to spokojnie:

*...wyzywał biednego Maria od dupkufigożej (tu nie bende jusz w to wnikać) i zrobiło mi się go żal. Wyglądał na pszemi-łego chłopca. Wpadłam w prawdziwe oburzenie i powiedziałam Dale'owi że tszeba zrobić z tym požondek. Prubował mnie pofstszymać ale powiedziałam że nic mi nie bendzie a on na to że robie to nawłasną proźbe. Wiedz podeszłam do tych dwóch rzłobów wepchnęłam sie miendzy nich i powiedziałam temu ktury tszymał Maria rzeby sie wyrzył na mnie zamiast na niewinnym hłopak. Wyprostowałam sie że miał muj bjóst tusz przed nosem i popatszylam na niego tak jak kiedyś na Pe-teya gdy prubował mi grozić. Nie uwieźycie ale na niego tesz podziałało. Pościł Maria ale nie był zadowolony i razem z kómpem od razu wyszli z*



*baru. Myślę Maura że to na nich tak działa bo sie boją że jeśli cie udeżą uszkodzo ci bjóst albo coś. Morze myślą o sfoich matkach.*

Robert i Mario postanowili opuścić Alabamę i właśnie oni wyznaczyli kierunek wędrówki całej piątki, ku ogólnemu zaskoczeniu oświadczając, że nie należy zapuszczać korzeni w Kalifornii („za bardzo zdemoralizowana”), tylko w Montanie lub Arizonie, gdzie jeszcze szanuje się wolność jednostki. Wygrała Arizona ze względu na łagodniejszy klimat i na Ginę, której mąż - wówczas przebywający w Tous-saint - w ramach postępowania rozwodowego kupił przyczepę i oczekiwał szybkiej dyspozycji, dokąd ją dostarczyć.

Sama Gina zaś przyłączyła się do pary wędrowców kilka tygodni wcześniej - Dale i Eve zabrali ją z motelu, gdzie wyklócała się z recepcjonistą o rachunek; mąż miał pokryć koszty jej pobytu, a najwyraźniej tego nie zrobił. Naturalnie Dale od razu wkroczył do akcji.

Cała piątka utrzymywała kontakt telefoniczny, a kiedy przyczepę Giny dostarczono i ustawiono w Robinia Meadows, pozostała czwórka przyjechała zobaczyć, jak przyjaciółka się urządziła. Żadne nie zakładało, że zapuści tam korzenie. Jeśli dobrze rozumiem, Mario pracuje, gdzie się da: w galerii, czasem załapie fuchę w jakimś barze, a ponieważ najbardziej lubi gotować, więc najlepiej się czuje w roli kucharza i partnera Roberta.

Naturalnie w powtarzających się chaotycznych opowieściach o przygodach i dramatycznych doświadczeniach Eve nieustannie pojawiał się Dale. Jego dobroć. Jego wielkoduszność. Dale stał się jej



aniołem stróżem. Pojawił się znikąd i donikąd zdązał. Nie miał własnych pragnień ani planów. Ani słowa nie było o jego rodzinie, przeszłości, przynależności do świadków Jehowy. On po prostu „był”. Unosił się nad życiem Eve.

Zapalam następnego papierosa i wracam do fragmentu dotyczącego palmiarni. Dłużej nie mogę się powstrzymać. Przywykłam już do ortografii Eve i lektura idzie mi dość sprawnie. W tej części pamiętnika znajduje się wyjątkowo dużo skreśleń i poprawek. Widać, że Eve mozolnie szukała odpowiednich słów, by precyzyjnie opisać tamte wydarzenia. Na przykład fraza „zgnilizna na mojej czarnej jak smoła duszy”, pojawiająca się na początku opisu sceny w palmiarni, początkowo brzmiała „brót (zapewne brud) na moim zgniłym sercu”.

I to wszystko z czyjego powodu? Naszego? Mojego?

Nie będę powtarzać jej ortografii, i bez tego już okropnie się czuję; napiszę tak, jakbym czytała wam na głos, zachowam tylko oszczędną - by nie powiedzieć nieobecna - interpunkcję.

Na zawsze już pozostanie we mnie tamta Wigilia - mój dzień sądu zgnilizna na mojej czarnej jak smoła duszy. Cała trójka patrzy na mnie przez tę wilgotną ciepłą mgielkę. Rowan kopie nogami wpiera stopki w podnózek spacerówki potem wychyla się i wpatruje w swoje buciki a potem znów siada i znów wstaje. Cały czas uśmiecha się do mnie i gaworzy jakbym była jego najlepszą przyjaciółką i właśnie podarowała mu precudowny prezent gwiazdkowy. Willow dąsa się i odwraca ode mnie bo nie dostała metalowego pudełka jak Arabella.

Arabella mocno ściska w ramionkach pudełko i marszczy brwi bo kazałam jej być grzeczną dziewczynką i zostać tu na chwilę przy sadzawce z liliami wodnymi. Powiedziałam jej że musi zaopiekować się młodszą dwójką zamiast mnie. To posłuszne dzieci - zostały tam gdzie im kazałam i nawet nie próbowały za mną biec gdy odwrócona twarzą do nich szłam do wyjścia z palmiarni do ostatniej chwili sycąc oczy ich widokiem. Po dziś dzień pamiętam każdy najmniejszy szczegół: parne powietrze powodujące że z czoła skapywały mi kropelki potu charakterystyczny ostry zapach olbrzymich wysokich roślin szmer wody i błyszczące zielone liście lilii wodnych. Jeszcze nie doszłam do drzwi gdy Rowan już znalazł sobie kolejną zabawę i w ogóle już o mnie nie myślał. Patrzył na szklany dach i pokrzykiwał a potem z przechyloną główką nasłuchiwał zachwycony jak odpowiadało mu echo. Willow też nie wyglądała na przejętą ale sędzę że tylko udawała obojętność. Miała wtedy na sobie zielone paletko z czarnym aksamitnym kołnierzem i zielony berecik. Już wtedy uwielbiała się stroić zawsze była prawdziwą damą a ubieranie jej to był prawdziwy koszmar. Wszystko musiało do siebie pasować. Odwrócona plecami podnosiła coś z ziemi - liść a może peta czy jeszcze coś innego - i przysuwała do twarzy uważnie się temu przyglądając. To Arabella wbiła mi nóż w serce. To ona do ostatniej chwili się we mnie wpatrywała. Kiedy dotarłam do drzwi podniosła rączkę i zrobiła mi pa-pa a właściwie tylko pa. Patrzyła za mną niespokojnie ale minkę miała dzielną. Nie pomachałam jej. Nie mogłam. A kiedy wyszłam na zewnątrz już się nie obejrzałam.

Chciało mi się wrzeszczeć ale nie mogłam - musiałam trzymać się planu. Zmusiłam się więc by udawać spokój i rozglądałam się za kimś za kimkolwiek bo w planie miałam zagadnięcie pierwszego lepszego człowieka. Wszystko sobie przygotowałam. Plan wyglądał tak że podejść i powiem przepraszam właśnie byłam w palmiarni o tam i ktoś chyba powinien tam zajrzeć. Ja muszę już pędzić bardzo się spieszę jestem umówiona ale wydaje mi się że chyba stało się coś niedobrego bo przy sadzawce z liliami wodnymi stoi trójka dzieci chyba musiało się wydarzyć coś złego a jedno z nich to jeszcze niemowlę. Ogród botaniczny świecił tego dnia pustkami. Wigilia. Wszystko szło nie tak jak sobie wymyśliłam. Spędzą w palmiarni całe święta. Co prawda włożyłam do wózka butelkę czyste pieluchy i kilka bananów dla dziewczynek ale wydałam wszystko co do grosza wszystkie moje oszczędności i forszę którą Maura pożyczyła mi na bilet. Zostawiłam tylko pieniądze które trzeba pokazać wjeżdżając do Ameryki bo inaczej cofną cię z granicy i drobne na bilet autobusowy na lotnisko i na herbatę jeśli nie będzie za droga. Liczyłam że ktoś szybko znajdzie dzieci, zaopiekuje się nimi i nakarmi żeby nie były głodne. Spanikowałam niewiele brakowało a wróciłabym do środka i darowała sobie to wszystko. Ale wtedy zobaczyłam że w stronę palmiarni idzie ogrodnik czy strażnik po prostu jakiś facet w mundurze. W rękę trzymał pęk kluczy. Udałam że podziwiam klomb i czytam tabliczki z nazwami kwiatów. Powiedział zamykamy panienko nie słyszała panienka dzwonka. Powiedziałam że przepraszam i że i tak właśnie wychodziłam. Powiedział no to dobrze czy coś w tym

stylu i życzył mi wesołych świąt. Ja też życzyłam mu wesołych świąt. Od tamtej chwili nie miałam już odwrotu. Powolutku ruszyłam w stronę wyjścia a każdy krok to był istny koszmar. Kiedy odważyłam się obejrzeć zobaczyłam że drzwi pałmiarni są otwarte.

Przerywam. Nic nie widzę. Nie mogę dłużej tego czytać. Pamiętam każdą minutę. Byłam na tyle duża, by wszystko to zarejestrować i zapamiętać - i zapamiętałam. Nie z jej perspektywy, tylko ze swojej. Ale jeden szczegół mi umknął. Nie pamiętam, że jej pomachałam.

Czego jeszcze nie mogę znieść, to olbrzymiego wysiłku Eve, niezliczone skreślenia i poprawki ukazują trud, jaki zadała sobie moja matka, by precyzyjnie opisać mi tamtą scenę. A jeśli chodzi o jej drażniący i egzaltowany sposób wysławiania... Teraz mówi inaczej, ale, choć nie potrafię tego wytłumaczyć, wiem z całą pewnością, że nasza matka nadal żyje - gdzieś głęboko ukryta w tej kobiecie mieszkającej w przyczepie.

Obok mnie nagle wyrasta Dale. Mruga powiekami; ma nagi tors i potargane włosy. Promienie słońca padają akurat na jego rozciętą głowę i sterczące szwy - mikroskopijne wzgórki na wygolonej skórze czaszki. Zdrową ręką przytrzymuje prawe ramię. Szwy na barku rozdierają wytatuowane łodygi bluszczu. Jest blady i wygląda okropnie.

- Co się stało, Arabello? - Przykuca. - Dlaczego płaczesz?

- Żadnych pytań - ucinam, gasząc dopiero co zapalonego papierosa. - To ty jesteś inwalidą. Natychmiast siadaj tu, masz się oszczędzać. Przygotować ci jajka na śniadanie?

---

## Rozdział 38

---

N o i, kurwa, zwałem sprawę. Wczoraj, kiedy Gina wróciła z roboty, byłem równo pijany, a ona nie zamierzała tego tolerować. Wywaliła mnie na zbity pysk.

Znaczy się, tak wygląda jej wersja, ale Rowana Moraghana nikt nie wyrzuci, rozumiemy się? Poszedłem sam, z własnej woli, rozumiemy się? Rowan Moraghan nie będzie tolerował tych pieprzonych wrzasków i smęcenia. Co ona sobie w ogóle wyobraża? Jeśli nie chce, żeby ruszać jej zapasy, to na jaką ciężką cholere zostawia flaszki na wierzchu? W końcu jestem jej gościem, nie? Piękna gościnność: wyrzucić kogoś jak psa tylko dlatego, że nieznacznie uszczuplił zawartość barku.

Chryste, naprawdę nie chciałem. Słowo. Teraz podpadłem na całego. Miała rację, pokazując mi drzwi.

Nieważne, jak to się odbyło, skutek był ten sam: o wpół do trzeciej w nocy wylądowałem na ulicy z fajkami i zapalniczką jako całym moim bagażem. Do tego omal nie uświerkłem z zimna. Tak, ku mojemu zdumieniu okazało się, że noce w Arizonie są zimne. Nie miałem wyjścia, musiałem zastukać do mamci.

Teraz zresztą widzę, że to nie był najlepszy pomysł. Jestem skonany, nie zmrużyłem oka - nie tylko przez te uczuciowe hece (ale o tym za chwilkutasięnkę, jak by powiedział Szajbus), choć przez nie też. Po prostu brzydzę się sobą, a ta długa jak życie noc wciąż wiruje mi w głowie jak pocztówka przybita do karuzeli. I ostatni powód to pewnie brak fajek. Skręca mnie, żeby zajarać, ale nie odważę się palić w mieszkaniu mamci. To by było nie w porządku, nie?

Tak czy owak, oto co się wydarzyło. Zaczniemy od tego, że awanturę z Giną pamiętam tylko piąte przez dziesiąte. W każdym razie słowa, które wtedy padły. Spieprzyłem wszystko, sam nie wiem, jak i kiedy. Gina wraca z roboty. Mówię jej „cześć”. Rzucam się na nią - żartobliwie, dla jaj - i próbuję ją pociągnąć na łóżko. A ona wpada w szal, daje mi w pysk, drze się na całe gardło, wrzeszczy - że niby jak śmiem, że jestem pijany i cuchnę - i sam nie wiem kiedy, ląduję na dworze.

Kiedy mamcia widzi mnie w drzwiach, wygląda, jakby dostała obuchem w łeb.

- Rowan! Co za niespodzianka! Wejdz, skarbie.

Niestety zaraz mam niewielki wypadek: zawadzam o pieprzoną szafkę albo blat czy co tam jeszcze, słyszę łomot i po chwili stoję po kolana w jakimś cholernym szkle.

- Nic się nie stało. - Mamcia nie wygląda na poruszoną. - To tylko stara skorupa.

- Przepraszam.

Schylam się po jakiś odłamek, ale skutek jest taki, że rozcinam sobie rękę i zaraz mam ją całą we krwi.

- Nie przejmuj się, Rowanie. - Bierze mnie za rękę i odstawia Florence Nightingale, siostrzyczkę miłosierdzia. -Wystarczy plaster. Usiądź sobie wygodnie, a ja pójdę po plaster i przy okazji wstawię wodę.

Nie chciałem żadnej herbaty ani kawy, marzyłem tylko, żeby się położyć i o wszystkim zapomnieć, ale nie mogłem jej tego powiedzieć, no nie?

Niełatwo było znaleźć jakieś miejsce, żeby przysiąść. Mamcia ma duży fotel, ale cały zawalony jakimiś rurkami od butli tlenowej. A wszędzie, gdzie się da, utyka poduszki i poduszeczki - gorzej niż w burdelu.

Już słyszę, jak pytacie: „A skąd ten burak może wiedzieć, jak wygląda burdel?”. Otóż, kiedy Szajbus był młodszy, przez jakiś czas mieszkał w Berlinie, gdzie pracował na budowie. W kółko nam opowiadał o tamtejszych burdelach. „Babki i cacuszka z całej Europy i nie tylko, drodzy moi. Gruzinki, Turczynki... I nie wiercie w te bujdy o chłodnej północy. Do dziś pamiętam tę jedwabną pościel, satynowe poduchy z Persji i ostre igraszki z cycatą Skandynawką”.

Czasem sam już nie wiem, czy wierzyć w historie, które opowiada Szajbus.

Tak czy owak, spycham poduchy, robię sobie miejsce na kanapie i siadam. Zaraz potem przychodzi mamcia, kuśtykając i łomocząc gipsem. Niesie koc, którym przykrywa odłamki szkła.



- Rano się tym zajmiemy - wyjaśnia. - A to, żeby kot się nie pokaleczył. Przemyj rękę.

Podaje mi butelkę z jakimś siubaksemi wacik.

- Nie trzeba - ja na to. - Nie muszę przemywać, wystarczy sam plaster.

Jeszcze czego! Nie będę się katował i lał jakiegoś odkażającego świństwa na otwartą ranę!

- Jak sobie chcesz.

Podaje mi plaster i siada przy mnie, przyglądając się, jak zaklejam skaleczenie. Nienawidzę, kiedy ludzie gapią się na mnie. Nienawidzę.

- Nie obraziłbym się na jajko sadzone na bekonie - mówię, bo to pierwsze, co mi przychodzi na myśl, i w tej samej chwili uświadamiam sobie, że to prawda. Zjadłbym konia z kopytami. Zawsze po ostrym tankowaniu chodzę głodny jak wilk.

Nie liczę, że mamcia zareaguje, tak powiedziałem, żeby coś powiedzieć, tymczasem ona bierze kulę i kuśtyka do kuchni.

- Bekonu, niestety, nie mam - uprzedza - ale zobaczę, co da się zrobić.

I wiecie co? Smaży mi jajecznicę i do tego jeszcze podaje tosty z fasolką. Druga - właściwie trzecia - w nocy, a mamcia mnie dokarmia. Za to należy się, kurde, szóstka.

Zapominam jednak, że nie ma czegoś takiego jak pieprzone darmowe lunche, jakby powiedział Szajbus. Szajbus z zasady bojkotuje wszelkie akcje „zbieramy na zupę dla bezdomnych” czy



święteczne przyjęcie dla ubogich w Lions' Club i temu podobne hece, bo jego zdaniem całą odpowiedzialność za tę sytuację ponosi system. „To nie organizacje charytatywne powinny zaspokajać nasze podstawowe potrzeby”, tłumaczy, „tylko rząd”.

W moim wypadku ceną, jaką płacę za darmowy posiłek, jest konieczność znoszenia wzroku mamci. A ona siedzi i gapi się na każdy kęs, który wkładam do ust.

- Ściałeś się z Giną? - pyta ni z tego, ni z owego, bardzo cicho i spokojnie.

Sam nie wiem dlaczego - może to sposób, w jaki zapytała, a może alkohol rozwiązuje mi język (albo po prostu to, jak na mnie patrzyła tymi swoimi oczami) - ale wszystko jej opowiadam. Mówię, a jednocześnie myślę, że nie są to sprawy, z których dorosły facet powinien zwierzać się matce. Choć, z drugiej strony, jakim doświadczeniem w tej dziedzinie mogę się pochwalić? Mam to gdzieś, gadam wszystko do końca.

- I tak wylądowałem u ciebie. Mam nadzieję, że ci to nie przeszkadza?

Uśmiecha się lekko. Zupełnie jak Sfinks. A potem wali prosto z mostu:

- Dużo pijesz, Rowanie?

Akurat wziąłem do ust spory kęs, więc omal się nie dławię.

- Zależy, co masz na myśli, mówiąc „dużo”.

Mam się na kurwabaczności (znowu Szajbus. Jednak wywiera na nas wszystkich niesamowity wpływ).

- Lubię sobie czasem golnąć - przyznaję się. - A kto nie lubi?  
- Ale niektórzy z nas lubią aż za bardzo. Przekonałam się o tym na własnej skórze.

Gapię się na nią.

- Pijesz?

- Tak, jestem alkoholiczką. Od wielu lat nie miałam w ustach alkoholu, ale nieustannie, nawet w tej chwili, jestem o krok od tego, by znów poń sięgnąć. Każdy dzień to dla mnie kolejna próba. Ale opowiedz mi o sobie, skarbie. Jak to się stało, że uczyniłeś z wody swoją najlepszą przyjaciółkę?

Dosłownie pożera mnie tymi swoimi pieprzonymi gałami.  
Mówiłem wam o nich, nie?

- Nie rozumiem.

- Rozumiesz doskonale. Nie pouczam cię ani nie krytykuję. Jestem ostatnią osobą, która miałaby prawo wygłaszać komukolwiek kazania, a zwłaszcza tobie. Po prostu chcę się dowiedzieć, co jest tego przyczyną. Oczywiście, oprócz krzywdy, którą wam wyrządziłam. Dziewczęta trochę już mi opowiedziały, ale chciałabym to usłyszeć od ciebie.

Najchętniej zerwałbym się i ciskał wszystkim, co mi wpadnie w ręce. A najlepiej prosto w spokojną, opanowaną twarz mojej matki. Z rozkoszą wyłupiłbym jej te gały. Wszystko przez Bellę, ona mnie w to wszystko wpakowała, myślę. Kiedy znowu ją zobaczę, wpakuję jej w gardło ten pieprzony talerz jajeczniczy i puszkę fasoli.

Nie panuję nad sobą. Pękam. Opisuję, jak wyglądało życie w sierocińcu, do którego mnie wysłała: spleśniały chleb, owsianka z grudami, szara, oślizgła ryba w piątki, zimno, moczenie łóżka, lanie do nieprzytomności i najgorsze ze wszystkiego - patrzeć, jak inni chłopcy, zupełnie mali, są katowani niemal na śmierć; i tak zwane wykształcenie, które wpaja wyłącznie strach przed pasem, pejcem albo czymś jeszcze gorszym. Nie muszę się zastanawiać, by sobie przypomnieć. Raz uwolnione wylewa się to ze mnie z impetem Niagary.

Widzę, że ciosy dobrze trafiają, więc dobijam ją dalszymi szczegółami. Opowiadam o brudnych miejscówkach i o tym, jak trzeba uważać, by nie położyć się na zużytej strzykawce i nie złapać HIV-a; mówię o życiu na ulicach, o wilgoci i chłdzie, o kaszlu i flegmie, o bólu żołądka, gdy na pusty brzuch napijesz się dziadowskiego browaru; o odciskach na stopach, bo nie masz skarpet i nosisz buty o dwa numery za małe; o nieustannym bólu głowy, spowodowanym chronicznym kacem; o tym, jak z głodu widzisz podwójnie. O bójkach, ranach, sińcach, podbitych oczach, połamanych palcach. O smrodzie twojego śpiwora, chociaż ten zapach przynosi ci w nocy ukojenie, bo to twój własny smród. O szpitalach, których pracownicy - kiedy wydaje im się, że nie widzisz - ostentacyjnie marszczą nosy. O upokorzeniu.

O Szajbusie.

Opowiadam jej o Szajbusie. Jak się go boję, a jednocześnie jest jedynym facetem na ulicach, na całym zaszranym świecie, którego

mogę nazwać przyjacielem. Nie szuka mojego towarzystwa, raz za razem odbija mu palma (na dowód mogę pokazać blizny), ale broni mnie, ilekroć uważa, że dostaję wciury, kiedy na nie nie zasłużyłem.

- A to tylko fizyczna strona tego wszystkiego. Tacy jak ty nie mają zielonego pojęcia, jak wygląda, kurwa, życie z taką pustką w sercu, pustką wokół, pustką, która ze wszystkich stron cię osacza...

Nie mogę się powstrzymać. Te słowa wzbierały we mnie od dnia, gdy przyszedłem na świat.

- Dlaczego to zrobiłaś, mamciu? Co?

A to skąd się wzięło?

Koszmar. Pociągam nosem. Czuję, że zaraz się rozbeczę jak jakiś pieprzony bachor. Powstrzymuję łzy. Rowan Mora-ghan się nie maże. Już nie. Ostatni raz płakałem, kiedy rodzice zastępczy odesłali mnie z powrotem do tamtego obozu koncentracyjnego, bo - jak oświadczyli - nie mogli sobie ze mną poradzić.

Ale za to teraz ona płacze. Chryste, nie mogę patrzeć, jak kobieta beczy.

- Przestań! Natychmiast przestań! - Zrywam się na nogi. - Dość tego! Nie becz! Przestań się nad sobą użalać! Sama spytałaś. I sama wpakowałaś mnie do sierocińca.

Nie, niech na to nie liczy. To byłoby za łatwe: wspólne łzy, a potem już wszystko cacy i sielsko-anielsko. Raz-dwa i poszło! Czary. Nie dam się wciągnąć, bo płacz niczego nie zmieni.

Teraz ona też stoi. Nie zauważyłem, kiedy wstała. Wzięła moją twarz w dłoń i trzyma ją naprawdę mocno. Ma ciepłe dłoń. Silne.

Nie wiem, co robić. Nie będę się szarpał, w końcu to starsza kobitka, mógłbym jej coś zrobić. To moja matka. Mówi, że mnie kocha.

- Mój biedny syneček...

Sam nie wiem, kiedy wtulam twarz w jej szyję. Ja, Rowan Moraghan, wtulam twarz w szyję matki i beczę jak niemowlak.

Wreszcie oboje jakoś bierzemy się w garść. Siadamy, mamcia podaje mi pudełko chusteczek. Wydmuchuję nos. Patrzy na mnie, ale ja nie mogę na nią spojrzeć. Milczy.

Słowo daję, nie marnowałem życia, marząc o spotkaniu z matką. Może na samym początku, kiedy jeszcze byłem smarkiem. Wszyscy to robiliśmy: snuliśmy opowieści, jak to będzie, kiedy przyjdą nasze mamy i zabiorą nas do domów, a tam już czekają zabawki, jedzenie i spokój, ale już dawno odpuściłem sobie wszelkie marzenia. A po kilku dekadach życia na klatkach schodowych, bójkach i wiecznym obolałym stóp, moja matka - o czym chyba już wam wspomniałem - zyskała twarz każdej ulicznej dziwki.

Muszę wymazać słowa, którymi się do mnie zwróciła; zapomnieć, że tak mnie nazwała; „mój biedny syneček...”. Są zbyt niebezpieczne.

- Nie, nawet nie chcę wiedzieć, dlaczego to zrobiłaś. Zrobiłaś i to wystarczy. Nie wybaczę ci. Nigdy, przenigdy, za nic.

- Nie liczę na to. I nie będę cię obrażać, próbując się usprawiedliwić.

Czeka. Milczę. Bo niby co mam powiedzieć?

- Opowiedz mi o Ginie - odzywa się cicho. - Mówiłeś o kłótni.  
Powiedz o uczuciach.

Chcę warknąć: „Bujaj się”, tymczasem słyszę, jak wszystko jej wyśpiewuję. To tak działają matki? Wykorzystują to, że w połowie jesteś krwią z ich krwi? Mają w mózgu jakiś radar albo co? Sam nie wiem, jak to się stało, ale zwierzam jej się, że tak najkrócej można podsumować całe moje życie - niszczyć to, czego nie chcę zniszczyć. Mało tego, zwierzam jej się z tego, co myślę o Ginie, co u niej podpatrzyłem. Zupelne drobiazgi. Na przykład, czasem sięga po coś i patrząc swoim zezującym okiem, nie trafia, a mimo to potrafi rzecz obrócić w żart, zamyka oczy i śmieje się sama z siebie.

- Pewnie nie uwierzysz, ale pomyślałem nawet... Milknę. To zaszło za daleko.

- ...że wasz związek miałby szanse?

Cholera jasna! Znowu ten radar.

- Tak - odpowiadam moim butom.

- A za co ona cię lubi? Mówiła ci?

Nie mogę jej powiedzieć. Mam wieloletni trening w ukrywaniu tego, co naprawdę czuję. Tego, co dla mnie ważne.

- Nie - odpowiadam głucho.

Oczywiście kłamię i nagle sprawą najważniejszą staje się pojednanie z Giną, naprawienie tego, co schrzałem.

- Gina ma naprawdę wielkie serce - odzywa się cicho mamcia.  
Ten jej obrzydliwy radar... - Czemu nie pójdziesz i jej nie przeprosisz?

- Za późno. Wszystko schrzałem.

- Niekoniecznie. Gina cię lubi, czuję to. Znam ją od paru lat i, wierz mi, nigdy tak często się nie uśmiechała, jak przez tych kilka dni. Idź i przeproś. Tylko szczerze. Wyczuje najmniejszy fałsz.

- Naprawdę sądzisz, że da mi szansę? Ryzykuję, odważając się na nią spojrzeć.

- Sądzę, że jeśli ci uwierzy, da ci drugą szansę. Ale nie trzecią.

- Radzisz mi iść do niej teraz? Tak w środku nocy?

- Nie, skądże. - Uśmiecha się. - Ale jutro z samego rana. Nie dowiesz się, jeśli nie spróbujesz.

Przetrawiam to.

- A co z tankowaniem, Rowan?

Głos ma zupełnie jak oczy: ciepły, pieszczotliwy, człowiek chciałby w nim zatonać.

- Nawet jeśli okaże się, że twój związek z Giną nie ma przyszłości, musisz pamiętać o sobie. O sobie i swoim życiu.

Już-już mam coś odwarknąć, gdy mamcia uruchamia laser w oku i załatwia mnie jednym spojrzeniem.

- Zastanowię się - słyszę swoją odpowiedź.

- Naprawdę?

- Dobra, dobra, do kurwy nędzy, coś z tym zrobię.

- Proszę, nie używaj w mojej obecności takich słów. To niestosowne. - Mówi cały czas tym samym, spokojnym tonem. - W Sedonie są dobre mityngi AA, możesz się z nami wybrać. To wcale nie takie straszne. Ale ty sam zdecyduj. Nikt nie będzie cię ciągnął. -

Wstaje. - Do zobaczenia rano. Wyśpij się porządnie. Kanapa się rozkłada, w środku jest pościel.

Bierze szwedkę i nie oglądając się, idzie do sypialni. Ledwo zamyka za sobą drzwi, rzucam się do najbliższego okna, kombinuję, jak je otworzyć, żeby wreszcie zapalić fajkę i wydmuchiwać dym na zewnątrz.

Pierwszemu głębokiemu sztachnięciu towarzyszy przede wszystkim ulga. Dobrze, że ktoś (oczywiście, ktoś inny niż siostruniec-odciski) wreszcie poruszył kwestię picia. A ona mówiła o tym tak rzeczowo i normalnie. Może, myślę sobie, spróbuję i pójdę na ten cholerny mityng AA. Tak dobrze mi szło, od kiedy rzuciłem picie. A może taka próba w pojedynkę - bez AA albo innej podpórki - okazała się za trudna?

Mamcia musiała zastosować jakąś psychologiczną zagrywkę. Rozkleiłem się. Nie pamiętam, kiedy ostatni raz tak się rozkleiłem. Nie pękłem nawet, jak wezwali mnie do szpitala, żebym potwierdził tożsamość mojej zmarłej dziewczyny, choć przyznam, że niewiele brakowało, bo ciągle myślałem o swoim martwym dzieciaku w jej brzuchu. Wtedy też pierwszy raz zobaczyłem matkę Caroline. Nie było łatwo. Kobięcina była taka drobna, tak przerażona. Wyglądała, jakby miała setkę, choć pewnie nawet nie przekroczyła pięćdziesiątki. Zachowywała się, jakby się mnie bała, i okropnie się z tym czułem.

Tamtej nocy ostro tankowałem.

Pieprzone ptaki zaczynają piłować dzioby. Nienawidzę tego porannego świergotu. Właściwie mógłbym wstać i wyjść na dwór



zapalić, ale aż się boję podnieść z kanapy -a jeśli znów coś stłukę? Nic dziwnego, że wczoraj skasowałem szklaną salaterkę czy co to tam było. Na półkach i stolikach jest tyle pierdoł, że wystarczyłoby na otwarcie własnego stoiska na Liberty Market.

Wiecie, co jest w tym wszystkim najbardziej porąbane? Byłem wściekły, a jednocześnie podobało mi się, kiedy mamcia zabroniła mi się wyrażać. Właśnie tak wyobrażałem sobie matkę karzącą swojego syna. Ech, nieważne. To w ogóle była najbardziej pokręcona noc mojego życia.

Trzeba było tyle nie żłopać. I naprawdę zamierzam coś z tym zrobić. Dostałem wystarczającą nauczkę - i wcale nie chodzi o koszmarne kaca... Z tym jakoś sobie poradzę, choć najprościej byłoby coś wypić - klin klinem...

„Przepróż Ginę”, powiedziała. Zdaje się, że przeprosiny to jej specjalność.

Ciekawe, czy Gina już się obudziła? No, bo gdyby mówiła serio, wyrzuciłaby też za mną moje łachy, nie?

---

## Rozdział 39

---

Nie jestem zapaloną czytelniczką. Sądzę, że miłość do książek trzeba odkryć w sobie w dość młodym wieku, a dla mnie młodość nie była okresem nabierania i rozwijania dobrych nawyków. Niedawno jednak przeczytałam gdzieś -w codziennej prasie, a może w jakimś kolorowym magazynie - że poezja to sposób na wyrażanie niewyraźnego.

Dobry Boże, strasznie teraz żałuję, że nie jestem poetką, bo nie potrafię wyrazić, jak bardzo kocham swojego syna.

Niech to pozostanie wyłącznie między nami, bo matki nie powinny mieć ulubieńców. Weźmy Arabelle - jest taka dobra i porządna, że od razu trzeba ją pokochać. To niesprawiedliwe, że nie została moją ulubienicą. Jestem przekonana, że mogłybyśmy wspólnie podróżować i nie dochodziłoby między nami do scysji.

Willow także kocham, ale inną miłością - z domieszką smutku. Muszę spędzić z nią więcej czasu, by zdobyć jej serce.

Po tej nocy wiem jednak, że im bardziej nieznośny będzie Rowan, im bardziej będzie się boczył i przeklinał, tym bardziej będę go kochać, choć to wyjątkowo głupie uczucie, które pewnie złamie mi serce.

Czy to dlatego że jest chłopcem? Dlatego że jest moim rodzyńkiem, a każda matka ma słabość do swojego syna?

A może dlatego, że nadal widzę w nim tamto maleństwo? Albo dlatego, że jest wyrzutkiem i czarną owcą, więc łatwo mi go zrozumieć, bo opanowałam tę rolę do perfekcji?

W sprawach dotyczących Rowana dokonuje się we mnie swoiste rozdwojenie jaźni. Rozum ocenia go surowo, nie pochwalając jego dotychczasowych postępów i wraz z chórem krytyków - Willow, policją, pracownikami opieki społecznej i całą tą bandą - powtarza, że mój syn jest niereformowalny, że powinno się ostro wziąć go w rzyzy, a najlepiej dać porządnego kopa na rozpęd, by wreszcie sam zaczął sobie radzić. Co z tego? Rozum może to powtarzać do znudzenia, a serce nadal pozostaje na oścież otwarte, gotowe wybaczyć.

Podczas ostatniej wycieczki do kibelka przyjrzałam się Rowanowi leżącemu na wznak na kanapie. Paliła się tylko jedna lampka, więc nie widziałam wyraźnie (a bałam się, że go obudzę, jeśli podejść bliżej - ten przekłety gips strasznie stuka), ale wyglądało na to, że mój syn śpi spokojnie. Serce omal mi nie pękło z miłości i czułości, gdy zauważyłam, że jedną ręką zasłaniał oczy, jakby chroniąc twarz przed uderzeniem.

Czyż nie cudownie byłoby podejść, usiąść w fotelu i nie robić nic, tylko patrzeć na mojego śpiącego syna? Całą noc spędziłabym, w myślach planując jego szczęśliwą przyszłość, wyobrażając sobie jego posiłki, ubrania, dzieci. I rozmowy, które będziemy prowadzić, gdy się zestarzeję.

Oczywiście nie uległam pokusie. Z łazienki wróciłam do sypialni, a teraz leżę bezsennie i myślę, odtwarzając w pamięci

ostatnie wydarzenia. Nie planuję niczego - nie ma sensu robić planów - i w duchu przepraszam moją najśladszą Arabelle, że nie ją wybrałam na swoją ulubienicę.

To całe spotkanie po latach to w ogóle dość dziwna sprawa. Znajomi i Dale od dawna wiercili mi dziurę w brzuchu, pytali, czemu nie próbuję odszukać swoich bliskich, rodziny. Odpowiedź wcale nie jest taka prosta. W sierocińcu wszystkie rysowałyśmy portrety rodziców, tylko że niektóre dziewczynki miały nade mną przewagę, ponieważ były wprawdzie sierotami, ale często - jeśli w chwili śmierci rodziców były wystarczająco duże - zachowały w pamięci obraz swoich mamus i tatusiów. Uważałam je za szczęściary; więcej, za osoby stojące wyżej ode mnie. Były także dziewczynki, znajdujące się w sierocińcu „czasowo”. Od czasu do czasu odwiedzali je rodzice, choć wizyty zawsze odbywały się w obecności kuratorów. Na obrazkach tych dziewczynek dominowały czerń, ciemny fiolet, szarości i brązy. Czasem malowały diabły, demony, rogate bestie z obnażonymi kłami. Aż strach pomyśleć, co przeszły, zanim trafiły do sierocińca, prawda?

Znajd, jak nas nazywano w sierocińcu, była zaledwie garstka. Z jednej strony budziłyśmy największe politowanie, ale z drugiej miałyśmy całkowitą wolność w wyborze rodziców. Naszymi mamusiami i tatusiami mogli być Bing Crosby i Ava Gardner, John Wayne i Maureen O'Hara albo nawet Marilyn Monroe...

Ja najwięcej uwagi poświęcałam mamie. Tatę rysowałam byle jak, na łapu-capu, za to do portretu mamy naprawdę się przykładałam.

Godzinami cyzelowałam najmniejszy szczegół, wybierając najżywsze kolory. Zwykle przedstawiałam ją w rozpinanej różowej, błękitnej albo żółtej sukience podkreślającej jej ponętne kształty; obdarowywałam ją też bujnymi, złocistymi lokami, czerwonymi wargami, pomalowanymi szminką, szerokim, promiennym uśmiechem i rzęsami jak szczotki. Co ciekawe, mama zawsze ścisnęła bardzo dużą, brązową torbę.

Nie mam pojęcia, skąd mi się wzięła ta torba, ale kiedy raz nauczycielka zapytała, dlaczego jest tak duża i co się w niej znajduje, wyjaśniłam, że są w niej zabawki i łakocie dla mnie. Wcześniej nigdy się nie zastanawiałam nad zawartością torby, stanowiła po prostu niezbędny element kompozycyjny. Może wpłynęły na mnie zdjęcia prasowe królowej Elżbiety, która nigdzie się nie pojawiała bez sporej torebki. Jedna z zakonnice kochała brytyjską rodzinę królewską, wklejała wycinki do albumu i wprost uwielbiała „malutkie księżniczki”, jak nazywała dwie córki Jerzego VI nawet po tym, gdy Elżbieta wyszła za mąż i wstąpiła na tron. Gdybym kiedykolwiek zdecydowała się na sesję u psychoanalityka - akurat! Jak rak świeżnie na sośnie! — na pewno zafrapowałyby go torebka mojej wyimaginowanej matki i odbylibyśmy dłuższą pogawędkę na ten temat.

Nic z tego, co przy mnie znaleziono, nie sugerowało, skąd mogę pochodzić ani kim byli moi rodzice. Tak, oczywiście, nieraz o tym myślałam i gdybym została w Irlandii, może podjąłabym próbę odszukania rodziny. Dale twierdzi, że „poszukiwanie korzeni” to już

wręcz przemysł, w dodatku na skalę międzynarodową, ale co by mi to dało, nawet gdyby moi rodzice nadal żyli? Nie zmienimy przeszłości, a co właściwie zyskałabym dzięki takiej wiedzy?

W moim życiorysie od czasu do czasu pojawiali się kuratorzy i przedstawiciele pomocy społecznej, ale - dopiero teraz sobie to uświadamiam - żaden z nich nie podsunął mi takiego pomysłu, ja zaś bardziej się martwiłam, jak przeżyć -najpierw w Dublinie, potem tutaj - i nie w głowie mi było poszukiwanie rodziny. Nie miałam czasu, by czuć się osamotniona.

Ja przynajmniej zostawiłam dzieciom moje zdjęcie. Po swoich doświadczeniach zdawałam sobie sprawę, ile to znaczy. Oczywiście, niewielka to była dla nich pociecha i Rowan wykrzyczał mi w twarz, że nie mam pojęcia, co znaczy żyć z pustką w sercu. O, doskonale wiem, co znaczy żyć z taką pustką. Doświadczyłam tego już w najwcześniejszym dzieciństwie, gdy dostawałam lanie, a nikt mnie nie utulił i nie osuszył łez. Albo kiedy Petey się na mnie wyżywał i wrednie mnie traktował, nieraz płakałam z wściekłości, że moja matka skazała mnie na taki los (podobnie teraz myśli

o mnie Willow), ale nie marnuję życia, uskarżając się i rozpamiętując dawne krzywdy. Co to właściwie zmieni? Trzeba się pozbierać i iść naprzód, oto moje motto.

Oczywiście nadal zdarza mi się snuć marzenia o matce.

I znowu muszę wrócić do wiersza „Marzenie staruszki”, o którym wam wspominałam. Czasem ową staruszką jest moja matka. To ona wymiata popiół z kominka, ona siedzi na stoiku w lodowatą,

wietrzną, zimową noc. Jest przygarbiona, chodzi zgięta w pół, ale ma poczciwą twarz. Szykowną kolorową sukienkę zastąpił ciepły, gruby szal. A złociste loki? To przeszłość. Włosy ma siwiuteńkie, czesze się w ko-czek. Jest typową babunią ze starego elementarza. (W dwudziestym pierwszym wieku? Uprzedzałam, nie mam zbyt bujnej wyobraźni. Na szczęście to, co mam, jest dla mnie stokroć cenniejsze niż moje wyobrażenie!).

Kiedy tak analizuję całą swoją spuściznę, dziwię się, że nie jestem wściekła na matkę. A przecież powinnam. Może wyjątkowo mocno stąpam po ziemi albo jestem wyjątkowo płytka, ale po wielu zmaganiach wreszcie dochrapałam się własnego domu, zacisznego kącika i to mi w zupełności wystarcza. Jeśli jeszcze uda mi się nawiązać w miarę dobre stosunki z dziećmi, uznam to za premię, dodatkowy uśmiech losu.

W taki okrężny sposób próbuję wam wyjaśnić, że wiem, o co chodziło Rowanowi, gdy mówił o pustce w sercu, ale zdażyłam się też przekonać, że z wiekiem to się zmienia. Smutek przestaje być stałym gościem i powraca tylko falami. A to, co kiedyś było tygrysem, szarpiącym wnętrzności, zamienia się w mysz, która od czasu do czasu coś skubnie. Nawet nie czuję goryczy. Samotnie przychodzimy na ten świat i samotnie z niego odejdziemy.

Szczerze powiedziawszy, nawet już nie tęsknię za Irlandią. Bo za czym mam tęsknić? W końcu życie mnie tam nie rozpieszczęło. Och, jak wszyscy Irlandczycy, których tu poznałam - pierwsze, drugie i trzecie pokolenie imigrantów - z rozrzewnieniem wspominam stary



kraj, O'Connell Street i zielone kobierce trawy, a w dniu Świętego Patryka na cały głos wyśpiewuję „Danny Boy”. Kiedy Arabella opowiadała mi o mieście, Iglicy i o tym, jak niewiele pozostało z Dublina mojej młodości, poczułam kilka ukłuć nostalgii, ale szybko mi przeszło. Swoją drogą, Arabella to urodzona gawędzi arka, wspaniale potrafi opowiadać. Od razu wiadomo, że mnóstwo czyta.

Tak naprawdę tęskniłam tutaj tylko za moimi dziećmi -może nie tyle dziećmi, ile moimi wyobrażeniami o nich -i za Maura. Nadal strasznie mi jej brakuje. Bardzo cenię przyjaźń Dale'a, Giny i pozostałych, ale tylko Maura była moją prawdziwą przyjaciółką od serca, matką i siostrą, których nigdy nie miałam.

O czwartej i piątej nad ranem człowiek zaczyna sobie zadawać strasznie przygnębiające pytania, prawda? Na przykład: skoro wszystko w sumie nieźle się układało, to po jakiego grzyba ściągnęłam tu Arabelle, Rowana i Willow?

Z jednej strony bardzo, naprawdę bardzo się cieszę, że wreszcie się spotkaliśmy, lecz czy to zmieni nasze życie na lepsze? Willow uciekła co sił w nogach, Rowan już oświadczył, że nigdy mi nie przebaczy. Owszem, mógł to powiedzieć tylko po to, by sprawić mi ból; był wściekły i nie panował nad słowami, jednak całkiem niewykluczone, że rzeczywiście nigdy mi nie daruje. A jeśli chodzi o Arabelle, sądzę, że nawet po powrocie do kraju będzie próbowała budować ze mną jakąś więź. Ale żadna w tym moja zasługa, po prostu Arabella ma wielkie i kochające serce.



To jak? Postąpiłam egoistycznie? Rzuciłam bombę w ich życie i odeszłam zadowolona?

A moje życie? Prawda wygląda tak, że chociaż wreszcie ich poznałam, chociaż dwójka moich dzieci jeszcze ze mną jest i miłość do nich przepenia mi serce, skubanie myszy stało się bardziej dotkliwe i czuję się samotna jak nigdy.

Nie zobaczą tego. Choć tyle mogę dla nich zrobić.

Scandalous

---

## Rozdział 40

---

Alejką toczy się wóz naprawczy z elektrowni, kierowca spogląda na tabliczki z nazwiskami lokatorów i numerami działek. Osiedle już obudziło się do życia, przejeżdżają samochody, ludzie spacerują albo - to dotyczy naszych seniorów - jeżdżą kolorowymi meleksami, przypominającymi kosiarki bez ostrzy. Niemal wszyscy się pozdrawiają radosnym „cześć”, „siemanko” albo „miłego dnia” i czuje się, że mówią to naprawdę szczerze. Z „dzielniczy” przyjezdnych dobiega ryk piły, tnącej metal.

Wydaje mi się, że już potrafię odróżnić „naszych” od „tamtych”, mieszkających zaraz za bramą wjazdową. Chyba podstawowym wyróżnikiem jest wiek. „Nasi” na ogół liczą sobie ze czterdzieści pięć lat i więcej. „Oni” mają małe dzieci. Są znacznie młodsi.

Niesamowite, jak szybko człowiek oswaja się z nowym miejscem i rytmem życia. Ilekroć wyjeżdżamy z Gretą na Teneryfę czy Lanzarote, trzeciego dnia pobytu już nazywamy swoje lokum domem - i tak też się w nim czujemy - a na plaży wypatrujemy stałych bywalców, którym nadajemy własne imiona: Panna Biuściasta, Erotomanka, Brzuchacz, Łysek, Gęba jak Pomidor i tak dalej.

Jakie przezwiska wybrałabym dla tutejszych znajomków? Hopalong Cassidy dla Eve lub Giny, od kuśtykającego szeryfa - to banał, za to Robert mógłby być Facetem z Klasą. Chris i Mandy - Piotruś Pan i Dzwoneczek? Biedna Mary -Bali Hai? Mario - Tancerz?

A jak ja i Greta nazwałybyśmy siebie, gdybyśmy się zobaczyły?  
Pewnie Pat i Pataszon.

I jaką ksywkę wymyśliłybyśmy dla Dale'a?

Kowboj? Pan Tatuaż? Zbyt banalne. Dale mi się wymyka.  
Enigma? Już lepiej, ale za bardzo pachnie Seanem Connerym. Greta  
trafiłaby w dziesiątkę. Nagle strasznie mi jej brakuje. Chciałabym z  
nią pogadać o Dale'u.

Nieprawda. Miałaś okazję i błyskawicznie zakończyłaś  
rozmowę.

Z tarasu Dale'a widzę, że drzwi u Eve nadal są zamknięte.  
Rozmowa, którą mamy odbyć, w mojej świadomości urosła do takiej  
rangi, że czuję się jak przywódca mocarstwa przed spotkaniem na  
szczycie. Powinnam się przejmować czekającym mnie dziś  
przesłuchaniem na policji, tymczasem znacznie bardziej boję się  
otwarcia naszej małej puszki Pandory.

Na szczęście mam na wejście coś, co nieco odsunie zasadniczą  
rozmowę. Jestem przekonana, że Eve nie wie o wydarzeniach ubiegłej  
nocy. Gdyby wiedziała, już dawno by tu była.

Owszem, dzięki jej cholernemu dziennikzowi dowiedziałam  
się, ile wycierpiała, i szczerze nad nią płakałam, ale to w niczym nie  
zmienia faktów. Próbowałam - po raz kolejny - rozgryźć zagadkę jej  
popularności. Dlaczego tyle osób rwie się do pomocy, uważa ją za  
cudowną i wyśpiewuje hymny pochwalne na jej cześć? W pamiętniku  
nie znalazłam odpowiedzi. Eve nie oszczędzała siebie, przeciwnie.  
Może właśnie w tym tkwi sekret. Jej szczerść.

Skoro mowa o cudownych istotach, Dale fantastycznie się zachował, gdy przyłapał mnie na płaczu. Gdybym to ja została zraniona nożem, uzalałabym się nad sobą i oczekiwałabym od wszystkich współczucia, tymczasem on okazał niesamowite zrozumienie i takt. Nie zignorował moich łez, ale też nie robił z tego wielkiego halo. Wybrał idealne wyjście - zaproponował filiżankę herbaty. Pozwolił mi ocalić resztki godności.

A potem oczywiście musiałam wszystko schrzanić.

Jako chwilowy inwalida Dale zgodził się, bym przyrządziła śniadanie. Średnio radziłam sobie z jego kuchenką: przywykłam do elektrycznych, nigdy nie miałam do czynienia z kuchenkami na gaz. Do tego z butli. Ten syczący, a potem buchający płomień budził we mnie panikę, ale jakoś upichciłam jajecznicę i opiekłam bekon, nie puszczając przyczepy z dymem.

- Jak się czujesz? - spytałam, gdy zasiedliśmy do jedzenia. -  
Bardzo obolały?

- Nic mi nie jest - odparł tonem zniechęcającym do rozwijania tematu.

Więc nie rozwijałam tematu. Zwłaszcza gdy zobaczyłam, jak Dale pochyla nisko głowę nad talerzem. Po raz kolejny uświadomiłam sobie, że nigdy do końca nie wiem, co naprawdę dzieje się w tej jego czasce. Nie jest szczególnie rozmowny, mimo to na ogół odnoszę wrażenie, że świetnie czujemy się w swoim towarzystwie. Czasem jednak pojawia się niezrozumiałe napięcie.

Dziś rano, pochłaniając swoją jajecznicę i plastry bekonu, czułam się absolutnie wyluzowana - mimo wydarzeń, których świadkiem byłam wczoraj, i siedzącego naprzeciwko mnie żywego dowodu, że to mi się nie przyśniło. (Już dawno odkryłam, że im bardziej jestem zmęczona, tym bardziej robię się też wyluzowana. Może dlatego że brakuje mi sił, by wszystkim się przejmować. A w tym wypadku pewnie też spora w tym zasługa szampana, nadal krążącego mi w żyłach). A mimo to odnosiłam wrażenie, jakbyśmy oboje trzymali naprężoną gumkę i każde ciągnęło w swoją stronę.

Nie odstawiam tu pierwszej naiwnej. Fakt, nie mogę się poszczycić jakimś niesamowitym doświadczeniem, wiem jednak to i owo na temat pociągu seksualnego (niestety, zerowego w moim związku z Jimmym Porterem) i czasem wydaje mi się, że to on stanowi źródło dziwnego napięcia między mną a Dale'em. Ale nawet jeśli, to znika równie szybko, jak się pojawia. Właśnie to jest najbardziej zaskakujące. Dale mnie pociąga, chociaż nie cały czas. Z czymś takim jeszcze się nie zetknęłam..

Tego ranka postanowiłam, że nie będę ani się roztkliwiać, ani odstawiać trzpiotki, tylko mam trzymać dziób na kłódkę. Jakiś czas wytrzymałam w swoim postanowieniu, ale kiedy napięcie po stronie Dale'a zelżało, spytałam o coś, czego nigdy nie potrafiłam zrozumieć u świadków Jehowy.

- Wczoraj bardzo krwawiłeś, Dale. Co byś zrobił, gdyby okazało się, że jest potrzebna transfuzja? Nie wyraziłbyś zgody?

- Już nie jestem świadkiem Jehowy - zwrócił mi uwagę.

- Wiem. Ale właśnie o tym najczęściej czytujemy w prasie. Wiesz, „Rodzice nie pozwolili ratować dziecka, bo zabrania im tego religia” itepe. Skąd to się bierze?

- Wątpię, abyś to zrozumiała.

- Sprawdź.

- Cóż - odparł z namysłem - nie będę mieszał z błotem świadków, bo w niektórych kwestiach nadal się z nimi zgadzam.

- Na przykład? - Włożyłam do ust kęs chrupkiego bekonu.

- Na przykład jestem przeciwny aborcji. - Przyglądał mi się uważnie, sprawdzając, jak zareaguję. - I zabijaniu zwierząt dla przyjemności, czyli polowaniu z bronią albo szczuciu psami.

- W Ameryce? Krainie pięćdziesięciu miliardów puka-wek?

- Tak, w Ameryce. - Zachował cierpliwość. - Hola, nie wszyscy tu przychodzą na świat w futrzanej myśliwskiej czapie. Zresztą świadkowie Jehowy mogą zabijać zwierzęta hodowlane dla mięsa i skóry, a także jeśli zwierzę jest agresywne i rzuca się na człowieka.

- Na razie wszystko kumam.

- Poza tym nie wolno nam... to znaczy, świadkom Jehowy nie wolno uprawiać niebezpiecznych dyscyplin sportowych. Na przykład boksu.

- Brr! - wzdrygnęłam się. - Nienawidzę boksu.

- Nie wolno im też korzystać z używek. Na przykład palić papierosów.

Uśmiechnął się szeroko. Poczułam, że zalewam się rumieńcem.

- Słuchaj, Dale, nie przeciągaj struny. Spytałam cię o krew, więc trzymaj się krwi.

W duchu postanowiłam, że muszę też go wypytać o tatuaże - kiedy i dlaczego? Z całą pewnością nie pasują do wizerunku przykładowego świadka Jehowy.

Wstał, by dolać sobie kawy z ekspresu. Wcześniej narzucił na siebie luźną koszulę w czerwono-czarną kratę. Nie pasowała do siwizny.

- Dobra. To jest tak. - Wrócił z kawą. - Zdaniem świadków Jehowy prawo Boże stanowi, że dusza człowieka, jego jestestwo znajduje się we krwi. Logicznym skutkiem jest więc zakaz przyjmowania cudzej krwi, bo to jest zabieranie cudzego życia.

Przetrawiłam to.

- Kanibalizm? Uważacie transfuzję za rodzaj kanibalizmu?

- Nie. Ale w Piśmie znajdują się pewne fragmenty, w których jest o tym mowa i, jak w każdej religii opartej na świętych księgach, wszystko opiera się na interpretacji. Jak ci wspomniałem, świadkowie Jehowy to specjaliści od interpretowania Pisma. Z uważnej lektury przepisów prawa wynika, że Biblia nieprzyjmuje cudzej krwi stawia na równi z abstynencją seksualną czy czystością przedmażeńską. Dlatego też wmuszanie w kogoś krwi jest porównywalne z gwałtem.

- Z tym bym polemizowała.

- To dość skomplikowane.

- Tak, ale czy nie da się tego obejść? Na przykład korzystać z własnej krwi? Nie moglibyście kazać sobie pobrać krwi i zamrozić jej na wypadek, gdyby była wam potrzebna? To już nie byłoby zabieranie cudzej duszy, prawda?

- I tu zaczynają się schody. Pewnie nie marzysz, abym cię zarzucił stosownymi cytatami z Biblii - uśmiechnął się. -Zwłaszcza że ich nie pamiętam. Sprowadza się to do tego, że krew, która wydostanie się z ciała, musi zostać natychmiast pogrzebana, spalona bądź zniszczona w jakiś sposób. Za bardzo to upraszczasz, Arabello, widzisz rzeczy tylko jako czarne lub białe, choć przyznaję, że również Strażnica głosi model czarno-białej religii. I to właśnie, jeśli dobrze pamiętasz, był powód, dla którego odszedłem.

Ta cała filozofia krwi nadal zupełnie do mnie nie trafiała.

- Daruj, Dale, nie chcę cię urazić, ale jakie masz prawo decydować za twoje dziecko, jeśli transfuzja może uratować mu życie?

- Nie każ mi bronić tych zakazów, Arabello - westchnął -bo sam wielu z nich nie potrafię zaakceptować, ale wiem też, że medycyna czyni olbrzymie postępy, pojawiają się nowe metody leczenia, można już przeprowadzać bezkrwawe operacje. Zrozum, każda religia wyznaje pewne zasady, które nie mają logicznych podstaw i których nie można racjonalnie wytłumaczyć.

Naprawdę chcesz się w to wdawać? A może zamienimy się miejscami i ja każę ci bronić transsubstancjacji.

- Czego? - zatkało mnie, choć coś mi się telepało po głowie.



- Przeistoczenia - wyjaśnił z uśmiechem. - Czegoś, w co wierzą tylko katolicy. Przekonania, że komunia to nie tylko pamiątka Ostatniej Wieczerzy, ale uczestniczenie w niej naprawdę. Wiary, że przyjmując komunikant, spożywają prawdziwe ciało Chrystusa, przeistoczone w czasie mszy. To dopiero kanibalizm czystej wody. To dopiero nienormalne.

- Trafiony, zatopiony - roześmiałam się. - Ale czy ty zgodziłbyś się na transfuzję?

- Tak. A teraz, jeśli już skończyliśmy dysputy teologiczne, masz ochotę na drugą herbatę?

- Owszem, ale sama ją zaparzę.

Pochłonęłam ostatni kawałek cudownie przypalonego bekonu i poszłam wstawić wodę na herbatę. I oczywiście, jak to ja, musiałam wściubić nos w nie swoje sprawy.

- Tak przy okazji, nie sądzisz, że powinniśmy zawiadomić twoje dzieci? Rozumiem, że dawno się z nimi nie kontaktowałeś, mimo to na pewno chciałyby wiedzieć, że spotkało cię coś takiego.

-Nie.

Nawet z odległości siedmiu metrów czułam, jak powiało od niego nagłym chłodem, ale byłam tak wyluzowana, że drażyłam dalej.

- Dlaczego? Chodzi o to coś, że nie możecie się widywać...?

- To nazywa się wykluczenie, Arabello - odparł lodowato. - I mogę cię uprzejmie poprosić, żebyś się wreszcie odwaliła?

- Może jednak? - spróbowałam jeszcze raz. - Jesteś przemiłym człowiekiem, Dale, i założę się, że jesteś cudownym ojcem. To

straszna szkoda. Skąd wiesz, czy w głębi serca dzieci nie marzą, byś się odezwał?

- Proszę, nie wypowiadaj się w sprawach, o których nie masz pojęcia.

Zacisnęła usta w twardą, wąską kreskę. Takiego Dale'a jeszcze nie znałam. W książce w tym momencie pojawiłoby się zdanie: „Nagle odechciało jej się jeść”. Owszem, normalnie to milczenie skutecznie zamknęłoby mi usta, tylko że postrzegałam świat inaczej niż zwykle i nie przejmowałam się niczymi - nawet swoimi - humorami. (W sumie miał prawo się wściec. To on był ranny, a ja przekroczyłam granice przyzwoitości). Dlatego wycofanie się z honorem nie wymagało ode mnie większego wysiłku.

- Dobrze - odparłam potulnie. - Masz rację. To nie mój interes. Przepraszam.

- Nie ma za co, ale możemy już zmienić temat i porozmawiać o czymś innym?

- W porządku. Niech pomyślę... Wiem. Jaką muzykę najbardziej lubisz?

- Chcesz czegoś posłuchać?

- Jasne. Muzyczki do pracy.

- Czego?

- Tak się mówi w Irlandii. To chyba tytuł jakiejś starej: audycji.

U nas wszyscy słuchają radia, towarzyszy nam wszędzie, dlatego byłoby miło posłuchać czegoś przy zmywaniu,

Wyłączyłam gaz pod czajnikiem, ale straciłam ochotę na herbatę. Czyżby jednak książki nie kłamały? 1

- Nie musisz zmywać, mam zmywarę, Arabello.

Wstał i podszedł do wieży. Tak się składa, że lubię zmywać - oczywiście, nie dotyczy to zmywania w pracy. Mycie naczyń działa na mnie uspokajająco, o czym nie omieszka) łam poinformować Dale'a. Wybrał płytę ze stojaka.

- Co cię kręci? Lubisz country?

- Pewnie.

- To John Prine. Może być?

- Jak najbardziej.

W życiu nie słyszałam o Johnie Prine, jednak znowu zapanowała głośność i tylko to się liczyło. Nie zwracałam uwagi na tekst, a muzyczka okazała się całkiem przyjemna, łatwa w słuchaniu.

Zmywałam w najlepsze, gdy zadzwoniła komórka. Właściwie, nie tyle zmywałam, ile bujałam w obłokach, zapatrzona w miniaturowe tęczę na bańkach, które przysiadły mi na rękawicach i po chwili pękały. Myślałam o tym, jak przyjemnie by się żyło jako połówka pary, wykonywało miłe, przyziemne czynności jak wspólne szykowanie śniadania czy słuchanie muzyki tolerowanej przez obie strony, opiekowało partnerem, gdy dopadnie go choroba albo przytrafi mu się jakiś wypadek. Tak się zamyśliłam, że nie słyszałam, co Dale mówi do tego kogoś, i ocknęłam się dopiero, gdy stanął obok mnie, podając mi telefon.

- Do ciebie, Arabello.

- Kto to?

Ściągnęłam gumowe rękawiczki. Sam fakt, że ktoś do mnie telefonuje, nie był szczególnie szokujący, bo Willow i ja podałyśmy numer Dale'a jako kontaktowy. To pewnie ona dzwoniła, ale Dale miał tak dziwną minę, że poczułam się nieswojo. Stało się coś złego?

Wzruszył ramionami, a gdy wzięłam od niego komórkę, odwrócił się i wyszedł na zewnątrz.

- To ty, Bello? Dzwonił Jimmy Porter.

Błyskawicznie otrzeźwiałam. Jeszcze się nie odezwałam, pomyślałam, mogę się rozłączyć. Nie miałam dziś siły na konfrontację. Ale rozłączając się, postąpiłabym jak tchórz i nic bym nie zyskała - Jimmy zadzwoniłby jeszcze raz.

W myślach robiłam błyskawicznie obliczenia: pewnie jest u tego kuzyna w Irlandii Północnej, do którego mieliśmy razem pojechać. Świetnie, to bezpieczny grunt.

- Witaj, Jimmy, co u ciebie? - zagadnęłam wesolutka jak szczypiołek na wiosnę. - Dobrze się bawisz? Byłeś już na Grobli Olbrzyma? Rzeczywiście jest tak imponująca, jak mówią?

- Dopiero dziś się tam wybieramy. Tu wszystko gra  
Opowiedziałem wszystkim o twoich tarapatach i zrozumieli.

- Jaką macie pogodę?

- Pada i jest mgła. Ale zapowiadają poprawę. Jeśli znowu coś im się nie pomyli.

Przykro mi, między nami wszystko skończone... Zbyt brutalne, zwłaszcza przez komórkę. Zapomniałaś już, jak Jimmy złaził

wszystkie sklepy w mieście, bo zachciało ci się nowych czekoladek, które - jak wyczytałaś w gazecie - dają „naturalny odlot”?

- To wspaniale. Tu, w Arizonie, jest strasznie gorąco Codziennie upał.

- Nic dziwnego, w końcu to pustynia, prawda? Sprawdziłem w atlasie.

- Racja. Pustynia. Cisza.

Powiedz to. Powiedz!

- Pomyślałem, że zadzwonię, spytam, co u ciebie, Bello  
Rozmawiałem z Willow, mówiła, że nieźle się dogadujesz z matką.

- Dziękuję, Jimmy. - Boję się myśleć, co Willow mu po wiedziała o moim „dogadywaniu się” z Eve. - Tak, tu wszystko układa się fantastycznie. A co u ciebie?

- W porządku.

- Skąd dzwonisz?

- Ze stacjonarnego telefonu kuzyna. Hura! Jest wymówka!

- Boże, naprawdę? Nie powinniśmy długo rozmawiać, zapłaci monstrialny rachunek.

- Nie mają nic przeciwko temu. Zresztą, oczywiście zwrócę im pieniądze.

- Oczywiście.

Linia jest czyściutka, żadnych zakłóceń. Słyszę jego oddech.

Jimmy, strasznie mi przykro, ale chyba powinniśmy trochę od siebie odpocząć.

- Słuchaj, Jimmy...

- Arabello...

Odezwaliśmy się jednocześnie.

- Ty pierwszy - mówię zrezygnowana.

- Zgoda, ja pierwszy. Tamtego wieczoru trochę się ścięliśmy,

Bel.

- Owszem, można tak powiedzieć.

- Przepraszam, że wszystko popsułem.

- Nie, wcale, Jimmy.

Dlaczego go rozgrzeszasz? Powiedz mu prawdę.

- Było, minęło.

- Ale to prawda! Wszystko zepsułem. Wiem o tym - wyrzucił z siebie w pośpiechu. - Przepraszam, Bel. Szczerze przepraszam.

Możemy znów być przyjaciółmi?

- Oczywiście.

Teraz. Sam otworzył ci furtkę. Przyjaźń. Powiedz, że tylko to może was łączyć.

- Oczywiście, że możemy być przyjaciółmi, Jimmy. Śmiało!

Teraz!

-Ale...

- Posłuchaj - wpada mi w słowo. - Nigdy nie uwierzysz, co się wczoraj stało. Wybraliśmy się całą paczką do pubu, przyszliśmy koło ósmej, wiem, bo właśnie skończyli się „Eastenders” i tak się złożyło... Zaraz siądziesz z wrażenia. Wiesz, co właśnie się zaczęło? Konkurs karaoke. I wiesz, kto się zgłosił? Ja. I wiesz, które miejsce zająłem? Drugie, Bella! Drugie! A uczestniczyło dwadzieścia siedem osób! I

niektórzy byli naprawdę świetni. Młodzi. Ale to ja zająłem drugie miejsce.

Był taki rozradowany. Nie mogłam mu tego popsuć.

- Wspaniale, Jimmy. Były jakieś nagrody?

- Dostałem pięćdziesiąt funtów. To prawie siedemdziesiąt pięć euro, Bel. Dasz wiarę? Jesteś ze mnie dumna?

- Ogromnie. Cholera.

- Dlatego postanowiłem przerzucić się na karaoke. Kariera satyryka to nie dla mnie. Miałem przez to same kłopoty.

- Nie, nie dla ciebie. To znaczy, tak. Nieważne.

- Wiesz co? Wydaje mi się, że zaczynasz mówić trochę jak Amerykanka.

Droczy się ze mną. Odzyskuje pewność siebie i dawną zaborczość. Cholera. Niech to jasny szlag. Parsknął śmiechem.

- Tylko nie daj się im tam przerobić na ich modłę. Nie chcę po powrocie zobaczyć przemądrzałej jankeski.

- Spokojna głowa, Jimmy.

Też próbuję parsknąć śmiechem, chociaż jakoś mi to nie wychodzi.

- Dobra, dość już o mnie. Przepraszam, chciałaś coś powiedzieć? Co? Opowiadaj, jak tam w Arizonie.

Nie teraz, nie mogę.

- Rety, Jimmy, słyszałeś to piknięcie?

- Jakie piknięcie?

- Chyba komórka się rozładowuje. Słuchaj, pogadamy innym razem, dobrze?

- Kiedy wracasz do...?

Ale ten tchórz, mięczak, strachajło i cykor - jednym słowem ja - już się rozłączył.

Wysłałam do Dale'a i oddałam mu aparat.

- Wszystko w porządku? Wziął go, nie patrząc na mnie.

- Tak, świetnie. To tylko taki kontrolny telefon. Rozumiesz?

Zerknął na mnie z nieodgadnionym wyrazem twarzy.

- Dobra, chyba wezmę prysznic. Masz jakieś plany na dziś?

Oprócz rozmowy z policją, gdy już tu się zjawi?

Czyżby dawał do zrozumienia, że nadużyłam jego gościnności? Byłam tak wściekła na siebie, że szukałam zaczepki. Chciałam się na kimś wyładować. Poniewczasie.

- Pewnie masz już po dziurki w nosie mojej obecności, Dale. Przywykłeś, że masz dom tylko dla siebie. Chyba powinnam wrócić do motelu. Co o tym sądzisz?

- Nie mam po dziurki w nosie twojej obecności, Arabello - wzruszył ramionami - ale rób, jak uważasz za stosowne.

Zniknął w środku i po chwili przez otwarte okno łazienki usłyszałam szum prysznic.

I siedzę teraz na tarasie, słuchając prysznic Dale'a, wściekła na siebie, że okazałam się takim boidudkiem, wściekła na siebie, że sama wyrzuciłam się z mieszkania Dale'a, wściekła na siebie, kropka.



A w dodatku na domiar nieszczęść - niech to jasny szlag! - drzwi przyczepy Eve się otwierają i przed kurtyną z kryształków wychodzi rzeczona Eve, przeciągając się i ziewając. Na rękach niesie kota. Jest jeszcze w szlafroku. Stawia kota na ganku i z puszki nakłada mu do miski jedzenie... Rozgląda się. Zauważa mnie i macha, przywołując do siebie.

Panikuję. Łatwo było wygłaszać młodszej siostrze kazania o dawaniu Eve szansy i tak dalej, ale teraz, gdy przyszła kolej na moją pogawędkę od serca...

Pokazuję, że najpierw muszę się przebrać.

- Nie bądź niemądra! - woła. - Ja też jeszcze się nie ubrałam.

Nie mogę dłużej tego odkładać.

---

## Rozdział 41

---

Arabella i jej przyjaciółka Greta pewnie kazałyby mi się rozluźnić i potraktować to jak świetną przygodę. Ale jak mam się rozluźnić? (Choć muszę przyznać, że charakteryzatorka ma cudownie delikatny dotyk. Pewnie zauważyła, że nie należę do rozmownych, i nie próbuje wciągnąć mnie w pogawędkę o głupotach).

Mam nadzieję, że dobrze zrobiłam, zgadzając się na udział w programie. Wszyscy powtarzają, że to najskuteczniejsza i najszybsza metoda. Ale dlaczego właściwie to robię? Chyba musiałam kompletnie stracić rozum...

Może to przez te martini na pokładzie British Airways. Już drugi kieliszek „poszedł mi do głowy” i nie mogłam zmrużyć oka. Zawartość pudełka naszej matki tańczyła mi przed oczami niczym nowa scena z „Fantazji” Disneya. A na pierwszy plan nieustannie wypychały się zdjęcia. Zdjęcie naszej matki z przyjaciółką Maura. I z koleżanką, Philomeną.

I list, który zostawili przy niej rodzice.

Gdzieś na wysokości Grenlandii uświadomiłam sobie, że te obrazy same nie znikną, więc zamiast walczyć, postanowiłam coś z nimi zrobić.

Pytanie brzmiało tylko: co?

Odpowiedź okazała się stosunkowo prosta. Oba zdjęcia należy opublikować - na przykład na stronie internetowej albo w prasie - z apelem do Maury i Philomeny, żeby się zgłosiły. Moim głównym

celem była ta pierwsza, bo znała mojego ojca i mogła mieć z nim kontakt po tym, jak matka nas porzuciła. Może nawet podpowiedziałyby mi, gdzie go szukać?

Po przemyśleniu doszłam zresztą do wniosku, że Philomena, kimkolwiek była, to ślepa uliczka. Mnie interesowała wyłącznie Maura. A matka? Niech sama zapoluje na Philomenę, jeśli przyjdzie jej na to ochota. Zaproponuję jej to. Kiedyś, w nieokreślonej przyszłości.

Następne pytanie brzmiało: jak się tym zająć? Ogłoszenia prasowe to dość kosztowna impreza. Wiem, bo działałam w szkolnym Komitecie organizującym zbiórki pieniędzy oraz imprezy charytatywne i zamieszczenie w lokalnym piśmie ogłoszenia o corocznym koncercie czy loterii stanowi poważną wyrwę w naszym i tak bardzo skromnym budżecie. Moje wymarzone - w rubryce „Osobiste” na ostatniej stronie „Irish Timesa” - nieodmiennie okazuje się dla naszego małego komitetu zbyt kosztowne.

Wtedy przypomniałam sobie o Aoife, jednej z koleżanek Maeve. Jej matka jest dziennikarką w którymś z brukowców - nie pamiętam, w którym: w „Star” czy „Heraldzie”, a może „Irish Mirror”? - i podobno cieszy się nawet sporą popularnością. Ona mi doradzi, jak najlepiej się tym zająć, uznałam. Może nawet załatwiłaby mi zniżkę, gdybym opublikowała ogłoszenie w jej gazecie?

Podjąwszy tę decyzję, zasnęłam.

Oczywiście po powrocie do domu odczuwałam skutki zmiany strefy czasowej, więc gdy Paddy wyprawił dzieci do szkoły,

położyłam się do łóżka, jednak nie mogłam zasnąć. Leżałam, zmuszając mój zmęczony mózg, by wybrał - zająć się tą sprawą czy sobie odpuścić? Stało na tym, że mam się tym zająć, a skoro tak, postanowiłam nie tracić czasu i zadzwonić do dziennikarki po południu. I zasnęłam jak dziecko.

Skłamałabym, gdybym powiedziała, że matka Aoife nie zainteresowała się tą historią.

- Twoja matka cię porzuciła? A ją z kolei jej matka? W ogrodzie botanicznym?!

Jej podniecenie działało mi na nerwy. Rozumiecie, musiałam jej przedstawić kontekst sprawy. A może sama wszystko ze mnie wyciągnęła? Już nie pamiętam.

- Tak, ale moja matka nie została porzucona w ogrodzie botanicznym.

- I ona, i ty w Wigilię? Tego samego dnia?

- Nie to jest najważniejsze. Zadzwoniłam, by poprosić...

- Willow - wpadła mi znowu w słowo. Odnosiłam wrażenie, że przestała mnie słuchać. - Nie miałam pojęcia. Biedna Maeve... Ani słowem nie wspomniała o tym Aoife. To fantastyczna historia, Willow. Genialna. Domyślam się, co teraz przechodzisz, biedactwo. Nawet nie muszę uzgadniać tego z naczelnym, wiem, że nie wypuści z rąk takiego materiału. Mówię ci, rozdmuchamy tę historię na cały kraj. Olbrzymie artykuły, pierwsze strony... Natychmiast do ciebie jadę. W tej chwili. Będę, góra, za dziesięć minut.

- Ale...

Za późno. Już się rozłączyła.

Dzięki Bogu za Paddy'ego. Był w naszej wielokrotnie naprawianej, rozsypującej się komórce w głębi ogrodu, sprawdzając, co wymaga reperacji przed nadchodzącym latem. Przerażona, pobiegłam do niego i wszystko opowiedziałam.

- Właśnie do nas jedzie. To dziennikarka, Paddy. Mówi, że rozdmucha tę historię na cały kraj, będą o tym pisać we wszystkich gazetach...

- Uspokój się, Willow.

Paddy to ideał urzędnika. Nigdy nie działa impulsywnie, analizuje sytuację punkt po punkcie.

- Podejdźmy do tego spokojnie i logicznie. Po pierwsze, nie zapraszałaś jej do nas. A może ją zaprosiłaś?

- Nie, na pewno.

- W takim razie, kiedy się zjawi, możesz jej powiedzieć, że przykro ci, że jechała na próżno, ale opacznie cię zrozumiała. Ty tylko prosiłaś, by poradziła ci, jak najskuteczniej i stosunkowo tanio znaleźć kobietę ze zdjęcia.

- Ale teraz już zna całą historię. Napisze o nas.

- Nie może napisać, jeśli jej zabronisz. Jeżeli chcesz, zadzwonię do jej naczelnego. Jutro z samego rana.

Zgasił światło - typową, biurową lampę z kloszem w kształcie wydłużonej muszli. Paddy nie znosi marnotrawstwa i wyciągnął tę lampę ze śmietnika, gdzie wylądowała, kiedy remontowano nasze biuro. Powiódł jeszcze wzrokiem po ciemnym, zagraconym wnętrzu,

wziął mnie pod rękę i wyprowadził na zewnątrz. Już czułam się lepiej. Paddy działała na mnie uspokajająco.

- Hm, może to i racja? A kiedy ta dziennikarka tu przyjedzie, i tak mogę poprosić ją o pomoc.

W kuchni zaczęłam się miotać, wrzuciłam naczynia do zlewu i zalałam je wodą - nie zdążyłam pozmywać - ale Paddy mnie powstrzymał.

- Nie. Nie daj się omotać. Jesteś u siebie, Willow. Nie musisz niczego udawać. Jeśli jej to się nie spodoba, jej problem. A teraz siadaj i zastanówmy się szybko, co dalej.

Usiedliśmy przy kuchennym stole i Paddy zaczął mi tłumaczyć, jak możemy rozegrać całą sprawę z korzyścią dla siebie.

- Byłaś gotowa zapłacić za ogłoszenie, tak? I za opublikowanie zdjęcia?

- Tak - przytaknęłam zawstydzona.

Żałowałam, że w ogóle o tym pomyślałam. Gdybym mogła cofnąć czas, szerokim łukiem omijałabym martini.

- Cóż, jest też inne rozwiązanie. A może pójść krok dalej? Niech napisze ten artykuł, ale to ty będziesz decydować, co i w jakiej formie może w nim ujawnić. W ten sposób za darmo nagłośnisz sprawę. Musisz tylko wyraźnie określić zasady współpracy: na przykład, co można opublikować, a na co absolutnie się nie zgadzasz, i upewnić się, że do tej dziennikarki to dotarło.

- Mam pozwolić, żeby o nas napisała? Nie byłam przekonana.

- Czy ty mnie w ogóle słuchasz, Willow? - spytał poirytowany Paddy. - Może napisać, ale pod twoje dyktando. Będzie musiała wszystko z tobą uzgadniać. To normalna procedura, wszyscy tak postępują. A my nie mamy się czego wstydzić. Rozmawialiśmy o tym setki razy. Czy ty bądź ktoś z naszej rodziny złamał prawo albo zrobił coś złego?

- Właściwie nie.

Z wyjątkiem Rowana.

- W takim razie - tłumaczył cierpliwie - jeśli rzeczywiście chcesz szybko odnaleźć tę całą Maureę, to ta dziennikarka podaje ci na tacy najlepszy sposób.

Przetrawiałam to, podczas gdy Paddy wziął czajnik, wlał wodę i włączył. On najwyraźniej też intensywnie myślał, bo oparł się o zlew i powiedział:

- Niewykluczone, że dałoby się nawet na tym zarobić. Może nawet zwróciłyby ci się koszty podróży.

- Nie! - oburzyłam się. - Żadnych pieniędzy. Czułabym się jak prostytutka.

- Jesteś pewna? Gazety płacą ciężkie pieniądze za takie artykuły.

- Nie, Paddy. Absolutnie wykluczone. Zrozumiał, że mówię poważnie, więc się wycofał.

- W porządku, to była tylko propozycja. Ale gdybyś zmieniła zdanie...

- Nie zmienię.

Z szafki nad zlewem wyjął czyste filiżanki i spodeczki.

- Wykorzystaj te parę minut i zastanów się, czego chcesz. Zostawię cię samą z tą dziennikarką, ale gdybyś potrzebowała wsparcia, będę blisko.

Przygotował puszkę z herbatą, cukiernicę i dzbanuszek z mlekiem. Paddy wychował się w licznej, ubogiej, wiejskiej rodzinie, gdzie przy stole wygrywał szybszy i silniejszy, dlatego nienawidzi niechlujstwa i prostactwa, i dba, by stół był starannie nakryty nawet do herbaty.

- Poczęstować ją ciastkami?

- Jeszcze czego! Wystarczająco dużo na nas zarobi, nie będziemy dokładać do interesu.

Paddy błyskawicznie zabiera pudełko z herbatnikami z jego miejsca przy chlebaku i chowa je do szafki pod zlewem - na wszelki wypadek.

Dzwonek zadźwięczał dokładnie w chwili, gdy woda się zagotowała. Rodzina Aoife mieszka niecały kilometr od nas. Znowu ogarnęło mnie przerażenie.

- To jak? Zebrałaś myśli? Paddy spokojnie wyłączył czajnik.

- Wiem, czego chcę: żeby jak najwięcej czytelników możliwie jak najszybciej zobaczyło to zdjęcie, przy jak najmniejszym zaangażowaniu z naszej strony i naruszaniu naszej prywatności. W końcu nie chodzi tylko o mnie i Arabelle. Trzeba też pamiętać o Maeve i Dermocie. Także o tobie. I twojej rodzinie. I szkole. I biurze.

Imię Rowana wciąż nie przechodzi mi przez usta.



- Jeezu - jęknął Paddy, idąc do drzwi. - Skromne masz oczekiwania. Zostań tu w kuchni i postaraj się zachowywać, jakbyś co dzień prowadziła takie rozmowy. Nie wyrywaj się, rozegraj to z wyczuciem, dobrze? I za żadne skarby świata nie wspominaj o Rowanie. Dla dziennikarki z brukowca to dopiero byłby łakomy kąsek.

Czasem mam wrażenie, że Paddy czyta mi w myślach. To pewnie naturalne po tylu wspólnie przeżytych latach.

Chyba nadal się nie pozbierałam po długiej podróży i zmianie stref czasowych, bo kiedy poszedł wpuścić dziennikarkę, pomyślałam - być może dlatego, że widziałam jej supernowoczesną kuchnię - nie o tym, co mnie czeka, lecz o tym, że naszej kuchni przydałby się remont kapitalny. Przemalowałyby się ściany z kremowego na bardziej żywy kolor, może żółty albo zielony? I zafundowałabym sobie moje wymarzone, jednolite blaty, dwukomorowy zlew - jak u niej - a także zmywarę.

Mimo to lubię swój dom. Czuję się w nim bezpieczna, u siebie. Lubię przytłumiony szmer telewizora, dobiegający z saloniku, gdzie Dermot właśnie coś ogląda; lubię rytmiczne tupanie Maeve - ma pokój nad kuchnią - ćwiczącej kroki baletowe. Na jednej ze ścian zamontowaliśmy jej barre. Porecz jest króciutka, półmetrowa, ale wystarczająco stabilna, by Maeve mogła przy niej ćwiczyć. Moja córka nigdy nie wyrośnie na primabalerinę, ale jest wygimnastykowana i pilna, do tej pory zdała wszystkie egzaminy, w

tym dwa z wyróżnieniem. Miłości do baletu nie odziedziczyła po mnie. Prędeż po Arabelli, która chętnie tańczy.

Wróciłam do rzeczywistości. Po wstępnej wymianie uprzejmości w drzwiach Paddy i dziennikarka skierowali się do kuchni. Wstałam. Przykleiłam do twarzy powitalny uśmiech.

- Witaj, wii- taj! - zagruchała, wchodząc. W ręku trzymała magnetofon. Magnetofon?

- Woda dopiero co się zagotowała - odezwałam się idiotycznie. - Właśnie sprzątaliśmy po podwieczorku. Masz ochotę na herbatę? Siądź, rozgość się.

- Nie, żadnej herbatki. Ale dziękuję za propozycję. Żło-pię potworne ilości kawy i herbaty, więc staram się po czwartej nie pić już niczego z kofeiną. - Nie usiadła, tylko stojąc, rozglądała się po kuchni. - Prześliczna. Jaka przytulna i oryginalna. Miałaś rację, nie unowocześniając jej. Domy takie jak ten to prawdziwe cacka. Solidne, porządnie zbudowane, nie te deweloperskie tandetne pudełka, które teraz zalewają rynek. Nie ma sensu ani potrzeby czegokolwiek w nich zmieniać.

Wreszcie usiadła. My też.

- Otóż... - zagaił Paddy. - Nie chcemy ci zabierać czasu, pozwól tylko, że podziękuję, że zgodziłaś się nam pomóc w odnalezieniu kobiety ze zdjęcia. Jesteśmy bardzo zobowiązani.

- Ależ nie dziękujcie! Obie strony na tym zyskują. Wy odnajdziecie tę kobietę, my opowiemy historię Willow. Wszyscy będą zadowoleni. Prawda, Willow?

To pod każdym względem przytłaczająca kobieta: wysoka, mocno zbudowana, ma gęste włosy, ufarbowane na ciemnorudy kolor, głęboki, niemal męski głos, wyraziste rysy i pełne wargi. Uwielbia jaskrawą czerwień i właśnie takiegoż koloru są jej szminka, żakiet i spodnie. Przypomina wóz strażacki. Już sam jej dudniący głos sprawia, że twardnieję i postanawiam nie ustąpić.

- Sądzę, że powinniśmy zacząć od ustalenia reguł gry. Możemy od razu się umówić, czego nie opiszesz i jakich granic nie przekroczysz?

Zerknęłam na Paddy'ego, który uniósł brwi z aprobatą.

- Ależ oczywiście. Oczywiście! - Najchętniej przychyliłaby mi nieba. - Pozwolisz tylko, że to włączę, dobrze?

Sprawnie ustawiła magnetofon tuż przed moim nosem.

- Nie przeszkadzam. Będę w saloniku.

Paddy spojrzał na mnie znacząco i wyszedł, zostawiając uchylone drzwi. Dziennikarka nawet nie zauważyła jego zniknięcia. Pochyliła się do mnie.

- Więc tak - poleciła. - Jeśli uznasz, że się zagalopowałam, powiedz tylko „tego nie wykorzystuj”. W porządeczku?

W obwiedzionych grubą, czarną kredką oczach pojawił się wyraz głębokiego współczucia, tembr głosu też zmieniła na niższy, zachęcający do zwierzeń.

- Jak to było, Willow? Przez długie lata poszukiwałaś swojej matki w najdalszych zakątkach świata, tak?

- Cóż, niezupełnie...

- Ustalmy fakty. Właśnie wróciłaś z Arizony, zgadza się?

- Owszem, ale...

- Później mi o tym opowiesz. Najpierw jednak opisz swoimi słowami, co się czuje, żyjąc tyle lat i nie wiedząc, kim właściwie się jest?

- Ależ ja wiem, kim jestem. A ty nie chcesz zobaczyć zdjęcia, o którym ci wspomniałam?

Zerknęłam na włączony magnetofon.

- Chcę, oczywiście, że chcę. - Położyła mi dłoń na ramieniu i zatrzymała ją odrobinę dłużej, niż to było konieczne. - Do tego przejdziemy później. Najpierw potrzebuję tła, Willow. - Zauważyłam, że często używa mojego imienia. - Powiedz, zawsze czułaś w sobie pustkę, prawda? Zawsze dręczyło cię pytanie: „a gdyby tak...”?

I dalej w tym stylu: zadawała pytania i bardzo często sama na nie odpowiadała, zachęcając do rozszerzenia jej wypowiedzi. Ku memu zaskoczeniu tylko parę razy użyłam formułki „tego nie wykorzystuj”. Ta kobieta miała tak silną osobowość, że wzbudziła we mnie zaufanie i otworzyłam się przed nią bardziej, niż zamierzałam.

Analizując teraz tę rozmowę, uświadamiam sobie, że z chwilą włączenia magnetofonu dziennikarka nie wpadała mi w słowo, pozwalając, żebym jak najwięcej mówiła. To pewnie umiejętność, którą zdobywa każdy reporter. A może się bała, że zamknę się w sobie? Nie ulegało wątpliwości, że nie była zachwycona, gdy mówiłam „tego nie wykorzystuj”, jednak ilekroć to robiłam - na przykład gdy zaczęłam jej opowiadać, kim był Peter Moraghan -

ostentacyjnie włączała przycisk pauzy, czym wzbudziła moje zaufanie do tego stopnia, że sama pokazałam jej metalową puszkę wraz z zawartością. Kiedy zobaczyła pamiątki Eve, ze szczęścia omal nie uniosła się na orbitę okołoziemską.

- Och, jakież to wzruszające, Willow... - Brała wszystko delikatnie, czubeczkami palców. - Ooooh - rozczuliła się. - Spójrz na te kosmyki włosków. Ale zaraz, są trzy. Widzisz?

- Jeśli dokładniej się przyjrzyysz - odparłam szybko - zauważysz, że dwa są identyczne.

Pamiętając o ostrzeżeniach Paddy'ego i własnego instynktu, nie mogłam się zmusić, by wprowadzić do historii mojego brata, naszą czarną owcę. Zresztą, nie ciągnęła tego wątku, bo zobaczyła list, który znaleziono przy Eve.

- Och, Bąże! Willow! Spójrz na to! „Coraz to ciekawiejsze”, jakby powiedziała Alicja do Białego Królika. A może do Królowej? Nieważne. - Przeszła do rzeczy. - Mogę pożyczyć to pudełko? Obiecuję, że będę go pilnować jak oka w głowie. Jego zawartość jest bezcenna. To prawdziwy skarb. Tylko sfotografujemy i wszyściutko od razu ci przyniosę. Och, Willow, chwała Bągu, że do mnie zadzwoniłaś! To po prostu cudowne!

- Chyba powinnam uzgodnić z siostrą, czy mogę dać ci pudełko.

Sytuacja wymykała mi się spod kontroli i już-już miałam, zawołać Paddy'ego, gdy dziennikarka, zupełnie jakby to wy-: czuwając, przykryła ręką moją dłoń i znów zniżyła głos.

- W takich sytuacjach najważniejszy jest pośpiech. Chyba nie chcesz, żeby jakiś pozbawiony skrupułów drań dorwał w swoje łapska to pudełko? O nic się nie martw, Willow, my cię nie skrzywdzimy. Obiecuję. Zaufaj mi. A jeśli się boisz, że przez tę kartkę twojej mamy wybuchnie jakiś skandal, to przypomnij sobie, że czasy się zmieniły. I dzięki Bagu. W tej samej chwili Paddy wsunął głowę.

- W porządku, dziewczęta?

- Jak najbaardziej, Paddy. - Posłała mu promienny uśmiech. - Jest wprost cu-do-wnie. - Znowu skupiła całą uwagę na mnie. - Wierz mi, założę się, o co zechcesz, Willow, że ktoś się zgłosi. Och, Willow! Och, Paddy! To takie fascynujące! Prawda, że jesteś podekscytowana?

- I do Pad-dy'ego: - A ty, czyż nie jesteś podekscytowany, Paddy?

Mój mąż szukał u mnie wzrokiem odpowiedzi.

- Oboje jesteśmy bardzo podekscytowani - odparłam, starając się jednak, by zabrzmiało to zupełnie beznamiętnie. Ale dziennikarka nie dała się nabrać.

- I jesteś absolutnie pewna, że nie chcesz, abym opublikowała również zdjęcie biednej, małej Philomeny?

Wkrótce potem wyszła, zabierając pudełko i po raz kolejny zapewniając, że wszystko wróci do mnie „najpóźniej w ciągu doby. Wiem, jak cenne są to dla ciebie skarby, Willow”.

Spędziła u nas niecałe czterdzieści minut, a po jej wyjściu byłam kompletnie wykończona.

- I jak poszło? - zapytał mój mąż.

- Sama nie wiem. Uważałam, ale mam wrażenie, że wyciągnęła ze mnie więcej, niż chciałam. Obym nie popełniła błędu.

- Posłuchaj, Willow, teraz już tego nie odkręcisz. I pamiętaj o najważniejszym: ty od początku do końca jesteś w tej sprawie niewinna i nie musisz się niczego wstydzić. Pójdę do komórki skończyć porządki. Poradzisz tu sobie sama?

- Jasne.

Uśmiechnęliśmy się do siebie serdecznie, ale nie objęliśmy się ani nic takiego. To nie w naszym stylu.

To wszystko wydarzyło się przedwczoraj, w dniu mojego powrotu.

Wczoraj krzątałam się po domu - jeszcze nie skończył mi się urlop - kiedy zadzwiećczał dzwonek u drzwi. To zjawiała się matka Aoife, by zwrócić mi pudełko wraz z zawartością.

- I przynoszę wspaniałe nowiny, Willow...

Moja „historia” ukaże się w prasie następnego dnia -czyli dzisiaj z samego rana - a ona zainteresowała nią stację TV3.

- Bardzo im się to spodobało i chcą, żebyś wystąpiła w ich porannym programie. Czyż to nie cu-do-wne? Punktem wyjścia do rozmowy będzie nasz artykuł, a wierz mi, Willow, zrobimy z niego temat dnia. Tylko Sąd Ostateczny zepchnąłby ten tekst z pierwszej strony. Najpierw zadzwoniłam do RTE, ale nie mogli się zdecydować. Obiecali, że od-dzwonią, i oczywiście nie oddzwonili. Też dobrze, bo poranny program TV3 zyskuje coraz większą widownię. Są na topie. Ktoś od nich przedzwoni do ciebie po południu. Wpadnie też nasz



fotograf, żeby zrobić ci kilka zdjęć. Dzieci już wrócą ze szkoły? O której by ci pasowało? To tylko parę fotek w naturalnym otoczeniu, nie musisz się przejmować... - Zabrakło jej tchu. Wyjęła komórkę i wyczekująco zawiesiła dłoń nad klawiaturą. - Zawiadomię dział fotograficzny.

- Fotograf? Telewizja? Sama nie wiem... Wejdziesz, chyba powinniśmy porozmawiać.

Miałam wrażenie, że stoję pod strumieniem gradowych kulek. Bardzo dużych kulek. Nie spodziewałam się, że ta kobieta może być aż tak energiczna i przytłaczająca - znałam ją właściwie tylko z widzenia i nigdy nie widziałam jej w akcji.

- Dzięki, Willow - odparła szybko i właściwie odniosłam wrażenie, że jest lekko wkurzona - ale muszę pędzić. Znasz ten ból, w końcu ty też pracujesz; nieustanny młyn. Sama mówiłaś, że chcesz, by publikacja zdjęcia przyniosła rezultaty, prawda? Nasz artykuł i wywiad telewizyjny zapewnią sprawie maksymalny rozgłos, Willow.

Już przekazała telewizji kopię zdjęcia i podstawowe informacje.

W innej sytuacji wściekłabym się, że zostałam tak wmanewrowana, ale przypomniałam sobie słowa Paddy'ego: nikt w mojej rodzinie nie zrobił niczego złego. Ani ja, ani Paddy, ani Maeve, ani Dermot, ani Arabella. (Oczywiście, o Rowanie nie wspominamy). Więc czemu się wstydzę? Dlaczego się waham? Zawsze dbałam o swoją prywatność i nienawidziłam, jak to nazywały siostry, „niepotrzebnego zwracania na siebie uwagi”, jednak nagle pomyślałam: A co mi tam? Niech robią, co chcą. Wysyłam to w świat,



jakby powiedziała Maeve. Pora przekonać się, co do mnie wróci. Taka okazja już się nie powtórzy.

Zresztą, pomyślałam jeszcze, Maeve i Dermot ucieszą się, że ich mama wystąpi w telewizji. Może to kwestia wieku, lecz ostatnio coraz częściej odkrywam w sobie dziwne, nieznane pragnienia - tak jak to było w samolocie. Żadnych ekscesów, rozumiecie, tylko świadomość, że w końcu dostaliśmy tak niewiele czasu i szkoda marnować go, żyjąc pod ziemią albo zamykając się w swojej skorupie jak kret czy żółw.

Matka Aoife przyglądała mi się ze zniecierpliwieniem.

- Zgoda - odparłam wreszcie. - A czy mogłabym zabrać ze sobą do telewizji Dermota i Maeve? Mogłabyś to załatwić?

- Nie ma takiej potrzeby. - Już wystukiwała numer. - Możesz zjawić się z całą Armią Czerwoną, a oni nawet nie mrugną. To profesjoniści.

Kiedy Maeve i Dermot wrócili ze szkoły, już na nich czekałam.

- Raz-dwa, dzieci, do łazienki! Porządnie się umyjcie i przebierzcie w niedzielne ubrania. Mam dla was niespodziankę.

-Jaką?

Oczywiście oboje płonęli z ciekawości, ale oświadczyłam, że wyjaśnię im wszystko dopiero, gdy się przebiorą.

- Pamiętajcie, jak wam mówiłam, że w Ameryce może spotkam się z waszą babcią? - spytałam, gdy wrócili umyć i przebrani.

Jak zwykle zawiązałam im pod szyją ściereczki, żeby nie poplamili najlepszych ubrań, ale byli tak zaintrygowani, że wyjątkowo nie protestowali.

- Jasne, że pamiętamy. I co z tego? To był Dermot. Luzak.

Nie zdążyłam im powiedzieć, jakie atrakcje czekają ich następnego dnia, gdy zadzwieczał dzwonek u drzwi. Zaintrygowani sąsiedzi z pewnością zobaczyli przyjazd fotografa. Na jego furgonetce, którą zaparkował przed domem, widniał napisany wielkimi literami tytuł gazety.

Następnego ranka - czyli dziś - wstaliśmy o jakiejś nieludzkiej godzinie. TV3 ma swoje studia gdzieś na drugim końcu świata, na zachód od Dublina, na szczęście za piętnaście siódma pod dom podjechała taksówka, przysłana przez telewizję, więc nie musiałam sama mordować się z Radio Taxi. Dzieci, jak się domyślacie, roznosiło. Nigdy nie ukrywałam przed nimi swojego pochodzenia, znały podstawowe fakty, więc nie musiałam się bać, że przeżyją szok, słuchając mojej rozmowy z dziennikarzem. Nie posiadały się z radości - wczoraj sesja fotograficzna z reporterem z gazety, dziś wizyta w telewizji i wolne od szkoły. Dermot coraz poważniej przymierzał się do wyjazdu do Ameryki na spotkanie z „nową” babcią. Maeve była raczej zainteresowana ściągnięciem jej do Irlandii. Zdaje się, że postanowiła zostać przewodniczką babci i pokazać Eve to wszystko, co się zmieniło przez długie lata jej nieobecności w kraju.

- Jak szybko mogłaby przyjechać, gdybyśmy ją zaprosili?

- Trudno powiedzieć.

- A może najpierw to my pojechalibyśmy do Ameryki, by ją tam odwiedzić? - To był Dermot.

- Już wam tłumaczyłam, niczego jeszcze nie ustaliliśmy. A zresztą, mój drogi, jej... jej mieszkanie jest niewielkie, nie zmieścilibyśmy się tam wszyscy.

Nie, nie dojrzałam jeszcze do tego, by wszyscy koledzy Dermota - a także ich rodzice, nauczyciele oraz członkowie mojego komitetu - dowiedzieli się, że moja matka mieszka w przyczepie na osiedlu domów na kółkach.

- A jeśli przyjedzie, będzie mieszkać u nas czy u cioci Belli?

Maeve wdała się we mnie. Wszystko musi mieć dokładnie zaplanowane i ułożone.

- Mogłaby spać w moim pokoju. - Już wszystko ustalała. - Na moim łóżku. Pożyczylibyśmy materac od Aoife. Jej rodzice mają dmuchany materac, który wykorzystują, kiedy wyjeżdżają na działkę w Brittas albo jeśli ktoś nocuje u Aoife. Mogę na nim spać, mamusiu. To nie kłopot. Spałam na nim w wakacje.

- To niesprawiedliwe - zaperzył się Dermot. - Ma zamieszkać w twoim pokoju tylko dlatego, że twoja przyjaciółka ma jakiś bajerancki dmuchany materac?

- Przymknij się! - Pchnęła go. - Mamusiu, każ mu przestać!

- Sama się przymknij! - Teraz on ją szturchnął.

- Przestańcie oboje, proszę! Błagam, bądźcie cicho, muszę się zastanowić, co powiem w telewizji.

- Jak będziemy się do niej zwracać? - Maeve niełatwo zepchnąć z raz obranego toru. - Aoife jedną ze swoich babć nazywa Bunią. Możemy ją nazywać Bunią, mamusiu? Myślisz, że jej się spodoba? Nie możemy nazywać ją babunią, bo tak mówimy na naszą babcie ze wsi, babcie Clark. Nie możemy mieć dwóch babuń.

- To się jeszcze okaże. Może sami z nią o tym porozmawiacie.

Dopiero wtedy uświadomiłam sobie, jak głupim pomysłem było wciąganie dzieci w tę całą historię. Czy mi się to podobało, czy nie, zostałam zmuszona do kontaktu z moją matką. Nie myślałam. Kierowałam się instynktem. I emocjami.

Nie wzięłam też pod uwagę reakcji moich kolegów. Mogłam jedynie się pocieszać, że większość mnie nie zobaczy: miałam wystąpić po ósmej, kiedy powinni być już w drodze do pracy.

Tak właśnie wylądowałam w charakteryzatorni. Jak to się skończy? Jeszcze nie wiem. Moje podekscytowane dzieci czekają na korytarzu. (Szczерze powiedziawszy, byłam zaskoczona, że pomieszczenia TV3 są tak nieduże. Spodziewałam się czegoś bardziej imponującego). Przemiały chłopak, który przedstawił się jako asystent producenta czy coś w tym stylu, przyniósł Maeve i Dermotowi kawę z mlekiem i pączki. Ja nie pozwalałam im pić kawy, więc mają dodatkową atrakcję.

Zdumiewające, ale powoli się odprężam. Prawie zasypiam, gdy charakteryzatorka delikatnymi muśnięciami płotka kosmetycznego nakłada mi na twarz puder. Kiedy ostatnio ktoś dotykał mojej twarzy? Teraz miękkim pędzlem rozprowadza róż. Ma słodki oddech. W tym

zawodzie muszą wyjątkowo dbać o higienę jamy ustnej - w końcu pochylają się tuż nad twarzami ludzi. -

W ogóle panuje tutaj spokojna, wyciszająca atmosfera klasztoru kontemplacyjnego. Pracownicy chodzą szybko, ale nie pędzą. Mówią spokojnie. Na ekranie widzę dwójkę redaktorów prowadzących poranny program. Oni też mówią spokojnie, przynajmniej takie odnoszę wrażenie. Kolory są żywe, zęby lśniąco białe (często się uśmiechają) i wszystko pozostaje pod kontrolą. Tu łatwo można zapomnieć o świecie zewnętrznym. Łatwo zapomnieć, że zaraz będą cię pytać o twoje najbardziej intymne sprawy.

- Gazeta, Willow. - Pracownica, która się nami zajmuje, wsuwa głowę i podaje mi egzemplarz. - Fascynująca historia. I śliczne zdjęcia. Masz cudowne dzieci. Wszyscy się w nich zakochali. Kończy się prognoza - zwraca się nad moją głowę do charakteryzatorki. - Wchodzi za pięć minut. Powodzenia, Willow.

Znika, a gazeta w moich dłoniach nie szeleści, lecz grzechocze jak suche kości szkieletu, bo dopiero teraz w pełni do mnie dociera, co właściwie zamierzam zrobić.

---

## Rozdział 42

---

Witaj, jubilatko!

Eve stoi w drzwiach przyczepy, uśmiechając się do mnie promiennie. Potem odsuwa się i pokazuje mi coś w głębi mieszkania.

- Niespodzianka!

I rzeczywiście, to prawdziwa niespodzianka. Na moment zapominam o złym humorze, bo przy kuchennym stole siedzi mój brat. Nieogolony, z przekrwionymi oczami, ponuro przeżuwa płatki śniadaniowe. Na talerzu obok leży niedojedzony tost.

- A ty co tu robisz? Sądziłam, że nocujesz u Giny.

- Nie twój interes - warczy.

Słyszę to już drugi raz tego poranka, odnotowuję w myślach i zwracam się do Eve.

- Co się dzieje? Przykłada palec do ust.

- Sprzeczka kochanków - wyjaśnia cicho. - Ale zaraz idzie przeprosić. - Potem głośno. - Prawda, kochanie? Po śniadaniu wracasz do Giny?

Rowan nadal całą uwagę skupia na płatkach. Eve wznosi oczy ku niebu, a potem bacznie mi się przygląda.

- Wyglądasz na skonaną, Arabello. Źle spałaś?

- Nie nadzwyczajnie.

Przecieram oczy. Pewnie wyglądają równie okropnie jak oczy Rowana, mam wrażenie, jakby ktoś mi po nich prze-szorował papierem ściernym.

- A dlaczego, zaraz się dowiesz, Eve. Mam ci coś do zakomunikowania. Przygotuj się na szok.

Biorę od niej kawę, opieram się o zlew i streszczam wydarzenia ubiegłej nocy, co chwila podkreślając, że na szczęście obeszło się bez prawdziwej tragedii. Mimo to słucha mnie z rosnącym przerażeniem.

- Boże święty! - woła, gdy kończę. - A ja o niczym nie wiedziałam! A ty, Rowanie?

- O czym?

Podnosi na nas wzrok. Nie dotarło do niego ani słowo z tego, co mówiłam, więc powtarzam jeszcze raz. Wysłuchawszy, bynajmniej nie wygląda na wstrząśniętego. Bierze talerz, wkłada go do zlewu i wzrusza ramionami.

- Zdarza się. Spadam. Na razie. Żegna go grzechotanie kryształków.

- Trzeba wziąć pod uwagę okoliczności łagodzące. - Eve patrzy za Rowanem, gdy ten, powłócząc nogami, idzie słoneczną ulicą. - Podejrzewam, że ma potężnego kaca.

- Pije? - Natychmiast ogarnia mnie panika. Nie zdołam nad nim zapanować. - Obserwowałam go na przyjęciu, nie przesadzał z trunkami.

- Chwila słabości - odpowiada spokojnie Eve. - Ucieliśmy sobie pogawędkę na ten temat i chyba coś do niego dotarło. Ale nie to jest teraz najważniejsze. Chodźmy do Dale'a. Co za okropna historia. A ten cały Eddie... - Pogardliwie wygina usta. - Zasłużył sobie, żeby wsadzili go do paki i już nie wypuścili. W takich chwilach żałuję, że

nie jesteśmy w Kalifornii. Trzy wpadki i gość ląduje za kratkami. Chłopak ma nierówno pod sufitem, zawsze był trochę nie tego, chociaż to żadne usprawiedliwienie.

- A dlaczego? Jak może to robić własnej matce?

- Dlaczego? - Krzywi się. - Forsa. To nie pierwszy raz, ale z tego, co mówisz, wynika, że najdrastyczniejszy. Mary wiecznie osłania syna i nigdy nie złoży na niego skargi, więc nie wiadomo, jak to się skończy. A najgorsze to, że Eddie wcale nie musi jej bić, bo dałaby mu tę forszę z własnej woli. Pewnie za bardzo się grzebała jak na jego gust albo nie chciała dać od razu, a on wpadł w szal, bo się naćpał. Pewnie kisielku. Dużo go krąży w okolicy. Ten dzieciak się stacza. I to po wszystkim, co biedulka dla niego zrobiła.

- Nie wyglądał na dzieciaka, to dorosły facet.

- Dla matki syn zawsze pozostaje dzieckiem, nawet jeśli dorośnie.

Eve odwraca się od okna i sięga po szwedkę opartą o szafkę kuchenną. Ogarnia mnie dziwny smutek. Teraz jednak nie mam czasu się nad tym zastanawiać, bo złość na siebie dodaje mi odwagi. Chcę jak najszybciej odfajkować zasadniczą rozmowę z Eve i wyrzucić z siebie wszystkie żale.

- Dale bierze prysznic, więc mamy parę minut. Możemy usiąść i porozmawiać?

- Już się bałam, że nigdy tego nie zaproponujesz. Uśmiecha się, odkładając kulę, ale błyskawicznie widzi, że żart się nie udał. Jej oczy ciemnieją.



- Tylko zrobię sobie herbatę. - Stawia na kuchence czajnik. -  
Potem już będę wyłącznie do twojej dyspozycji. A ty? Chcesz może  
dolewkę kawy?

- Nie, dziękuję. I tak prawie nie tknęłam tej. Żadnych dolewek.  
Żadnych głupot. Tym razem jej się nie uda. Nie zdryfuję. Może  
płakać, błagać, zaklinać mnie, a i tak powiem, że postąpiła źle, podle,  
okrutnie.

Czekając, aż Eve przyjdzie, trochę porządkuję jej dzienny pokój,  
co okazuje się niełatwym zadaniem. Najwyraźniej Rowan spał na  
kanapie. Po rozłożeniu to bydlę zajmuje niemal całe pomieszczenie.  
Dopiero po dłuższej chwili udaje mi się wykombinować, jak to  
draństwo złożyć.

Układając poduszki i odstawiając wszystko na miejsce, prawie  
wszędzie zauważam cieniutką warstwę kurzu. Eve nie wygląda mi na  
fleję, najwyraźniej okresowe inwalidztwo sprawiło, że obniżyła  
standardy.

- Może trochę tu odkurzyć, Eve?

- Wykluczone. Przyjechałaś na urlop, a nie po to, żeby usługiwać  
starej, połamanej matce!

Kolejna próba rozładowania atmosfery, tylko że i tak jej się nie  
uda. Żeby uniknąć spojrzenia Eve, zabieram się do zbierania  
okruszków, które zostawił po sobie Rowan.

- To przecież żaden kłopot.

- Och, dajże spokój, dziewczyno. Odpocznij. Usiądź i wypij  
kawę.

Uparcie podnoszę okruszki jeden po drugim. Świta mi nieoczekiwana myśl: wiem, że matka żyje z czegoś w rodzaju amerykańskiego zasiłku dla bezrobotnych, ale czy to by wystarczyło na zakup przyczepy? Nie mam pojęcia, ile kosztuje taka zabawka. W końcu jesteśmy w Ameryce, gdzie wszystko wydaje się tańsze niż u nas, ale i tak...

- Wynajmujesz tę przyczepę czy jest twoja, Eve?

- Moja, jednak nie byłoby mnie na nią stać, gdyby nie pomoc Dale'a.

Znowu święty Dale. Prostuję się i rzucam niezobowiązująco:

- Czym on właściwie się zajmuje? Czasu ma jak błota, a w jego przyczepie nie widzę nic, co by świadczyło, że gdzieś pracuje.

- Och, przypuszczamy, że ma jakiś kapitał. Może trust. Jego rodzice nie żyją.

- Mówił mi.

- Tak szybko? - Wysoko unosi brwi. - Proszę, proszę...

Co za niespodzianka! Ja musiałam czekać parę lat, by to usłyszeć.

- Odniosłam wrażenie, że jeśli chodzi o informacje, to Dale preferuje ruch jednokierunkowy. Wie wszystko o wszystkich, za to o sobie nie mówi prawie nic.

- O co ci chodzi, Arabello? - Eve zalewa wrzątkiem herbatę. - Żeby kogoś polubić, musisz znać wszystkie szczegóły jego życia osobistego?

- To nie tak.

- A jak?

W jej niezwykłych oczach pojawia się czujność. Coś jakby chytrość. Znowu unikam jej wzroku, tym razem sięgam po rurki od butli tlenowej i udaję, że się rozglądam, gdzie by je umieścić. Eve dalej zalewa herbatę wrzątkiem.

- Fakt faktem, dość często wyjeżdża - myśli na głos. - Czasem nocuje poza domem. Nigdy nie mówi gdzie. Jedno wiemy na pewno: hojnie dzieli się swoim czasem i pieniędzmi. Jeśli zostaniesz tu na dłużej, a bardzo bym tego chciała, to przekonasz się, że Ameryka ma jedną olbrzymią zaletę: każdy znajdzie tu dla siebie miejsce. Każdy. Weźmy na przykład mnie: jestem gadułą. Opowiem każdemu wszystko, co chce o mnie wiedzieć i to, czego nie chce. Ale z drugiej strony jest wielu ludzi, którzy chcą żyć po swojemu, dlatego nikomu nie przeszkadza, jeśli ktoś woli pewne sprawy zachować tylko dla siebie. To taka niepisana zasada. Każdego, oprócz jakichś wyjątkowo aspołecznych osobników, akceptujemy takim, jakim jest. Bez względu na to, czy zwierza się nam ze swojego życia czy nie.

- Mimo wszystko - nadal ściskam rurki - jednego nie potrafię u Dale'a zaakceptować: jego obecnego stosunku do własnych dzieci. Znasz je?

- Ależ skąd! To się wydarzyło, jeszcze zanim go poznałam.

- Nie sądzisz, że powinny się dowiedzieć o jego wypadku? Przecież Eddie mógł go zabić. Nie uważasz, że mają prawo wiedzieć? A gdyby zginął? Co wtedy by poczuły? Wiem, co mówię. - Rozkręcam się. - Bo wiem, co ja bym pomyślała o Dale'u i całej

waszej paczce, gdybyś stała u progu śmierci, gdybyś zmarła, a mnie nie byłoby dane nawet się z tobą pożegnać.

- Coś w tym jest.

- Minęło tyle lat. Może ich stosunek do niego się zmienił? A on nawet nie wie, gdzie mieszkają! Wspomniałam o tym, ale mnie spławił.

- Wcale się nie dziwię. Ale co tam! - Rozważa to przez chwilę. A potem mówi: - Zostaw to mnie, dobrze? Niewykluczone, że masz rację. Może to dobra okazja, tylko trzeba rozegrać tę rzecz bardzo ostrożnie. Dale nie lubi, kiedy ktoś się do niego wtrąca, jednak czasem warto narazić się na czyjś gniew... Jak brzmiała ta złota myśl? „Diabeł nie potrzebuje wiele, by zatriumfować. Wystarczy, że dobrzy ludzie nie będą nic robić”?

- Coś w tym stylu.

Trochę przekreśliła. Wiem, bo to ulubiona maksyma Jimmy'ego Portera. Jimmy powtarzał ją ciągle, by usprawiedliwić swoje wścibstwo i podglądanie życia sąsiadów z ulicy. A zauważał wszystko - podejrzanie dużo śmieci w cudzym ogródku i tepe...

Boże, Jimmy Porter!

Muszę się skoncentrować na tu i teraz, bo właśnie kuśtyka do mnie Eve ze swoją herbatą. Idzie ostrożnie, by jej nie rozlać. Zauważam, jak bardzo przez te parę dni jej stan się poprawił. Kiedy zdejmą jej gips, myślę, nic jej nie powstrzyma.

- Nadal potrzebujesz tlenu? - Wymachuję rurkami. - Dale twierdzi, że coraz rzadziej z niego korzystasz.

- Butla została tu na wszelki wypadek. Przydawała się przez pierwsze dni, jak bolały mnie żebra, ale teraz już czuję się znacznie lepiej. Tylko nie opowiadaj dobrych dowcipów, bo kiedy się śmieję, żebra mocno dają mi się we znaki. Później odstawię ten cały kram. Albo lepiej, poproszę Dale'a, żeby... Och! - urywa. - Przecież teraz o nic go nie poproszę, bo jak?

- Obrażenia nie są aż tak poważne, pewnie trochę mnie poniosła fantazja. Bardziej martwiłabym się o Mary. Będzie wyglądała jak potwór z horroru. Ale skoro to już nie jest ci potrzebne, może wyniosę całą tę aparaturę do schowka na zewnątrz?

- Siadaj, Arabello. To rozkaz.

Siadam na kanapie, którą przed chwilą złożyłam, i czekam, aż Eve postawi kubek na stoliku i umości się w fotelu, co wcale nie jest takie łatwe, bo ciągle przeszkadza jej gips. Ze złością wali w niego pięścią.

- Diabelny, głupi pancerz! Pamiętaj, skarbie, nigdy nie łam nogi.

- Kiedy założą ci lżejszy?

- Liczę, że pojutrze. Jestem zapisana w szpitalu.

- Pociesz się, że dostaniesz odszkodowanie.

- Rety! Skleroza jedna! Arabello, na śmierć zapomniałam, że dziś przyjeżdża inspektor, a ja tu siedzę ciągle w szlafroku. Muszę natychmiast doprowadzić się do porządku.

- Przyjść do ciebie, kiedy się zjawi? Przydałby ci się jakiś świadek.

Mówię to wyłącznie dlatego, że ten punkt znalazł się na mojej liście „muszę/powinam”, a nie z potrzeby serca. Problem sam się rozwiązuje, bo Eve odmawia z uśmiechem.

- Chłopcy z ubezpieczalni musieliby ostro kombinować, aby dowieść, że naciągam towarzystwo ubezpieczeniowe. Wszystko będzie dobrze. Nie martw się o mnie.

Pije łyk herbaty.

Idę w jej ślady. Moja kawa nadal jest gorąca. Poza tym mocna i zaskakująco dobra. Przyglądam się Eve znad kubka. Gdzie zniknęła tamta ciężko chora kobieta sprzed kilku dni? (Ilu? Muszę sięgnąć z kalendarzem i policzyć). Wracam pamięcią do jej utraty przytomności, podawania tlenu, paniki, jaka wtedy ogarnęła mnie i Willow... Nagle wzbiera we mnie taka furia - pretensje do Eve, jeszcze niewygasła złość na samą siebie - że z trzaskiem odstawiam kubek.

- Powiedz mi jedno, Eve, dlaczego przez tyle lat nie zdobyłaś się na najmniejszy wysiłek, żeby się z nami skontaktować?

Poszło. Wyrzuciłam to z siebie.

Spodziewała się tego pytania. Powieki jej drgają - raz -a potem opowiada mi o próbach, które wielokrotnie podejmowała. Ona i Dale podejmowali.

- Miałaś zastrzeżony numer, Arabello? - pyta w końcu, jakby fakt, że nie figurowałam w spisie abonentów (bo nie miałam telefonu, idiotko!), usprawiedliwił wszystko.

- Kiedy to było? Kiedy szukałaś mnie w książce telefonicznej ?

Zresztą, to już nieważne.

- Ależ ważne. Bardzo ważne. Co jeszcze mogę ci powiedzieć?

- Darujmy to sobie, Eve. Najważniejsze, że podejmowałaś jakieś próby. - Nadal jednak się gotuję. - Wszyscy tu uważają cię za Bóg wie kogo. Dale i cała reszta. Ja nie dostrzegam w tobie nic nadzwyczajnego. Na czym polega twoja wyjątkowość, Eve?

- Piękno kryje się w oku patrzącego? - uśmiecha się kpiąco.

I, choć to się wydaje niemożliwe, emanuje jeszcze większym spokojem. Czuję się, jakbym trafiła do konfesjonału.

- Jeszcze jedno mnie ciekawi - wysyłam kolejny pocisk.

- W dniu naszej pierwszej wizyty tak strasznie się wzruszyłaś, że musiałaś sięgnąć po tlen. Czy to była gra?

- Słucham? Co masz na myśli? Ha!

Zdaję sobie sprawę, że to tylko rozmowa na stronie, jak mawiają w amerykańskich dramatach sądowych, ale przynajmniej zburzyłam jej spokój.

- Wiesz doskonale! -Nie.

Niedowierzenie. (Może?).

- Zrobiłaś to z premedytacją?

- Uważasz, że symulowałam?

Jeśli jej zdumienie to gra, należy jej się Oscar.

- Po prostu pytam. I naprawdę chciałabym poznać odpowiedź, bo zdaje się, że jestem świadkiem błyskawicznego, by nie powiedzieć cudownego, ozdrowienia. - Już tak łatwo nie popuszczę. - Z tego, co

widzę, nadzwyczaj szybko odzyskujesz siły. Czy to możliwe, że działałaś z premedytacją? Że próbowałaś wzbudzić we mnie i Willow litość? Wystarczy teraz ci się przyjrzeć: owszem, gips utrudnia ci poruszanie się, ale poza tym tryskasz zdrowiem i energią.

- Nie znasz mnie - odzywa się po dłuższej chwili cicho, niemal smutnie. - Przyznaję, że strasznie się denerwowałam przed waszym przyjazdem i może dlatego wyglądałam dość mizernie. Masz na myśli to otulanie pledem i tak dalej?

- Właśnie.

- To sprawka Maria. Przedobrzył. Próbował być wzorową siostrą miłosierdzia i w sumie przeżywał wszystko tak samo jak ja. Nie protestowałam, bo ja też wiedziałam, co powinnam zrobić, a czego unikać. Nikt nie napisał podręcznika, jak postępować w takiej sytuacji. Nie wątpię, że sama zdażyłaś to zauważyć. Tak, potrafię zrozumieć, że podejrzewasz mnie o granie na waszych uczuciach - uśmiechnęła się blado – ale ja wtedy naprawdę potrzebowałam tlenu. Nie udawałam, to naprawdę był bezdech. Dusiałam się, a przynajmniej tak mi się wydawało. Potem zaś byłam kompletnie wyczerpana. Jestem silna, Arabello. Nie muszę niczego udawać, nie szukam litości. Znosiłam znacznie gorsze dopusty niż głupie potrącenie przez samochód.

- Podobno. Nie wątpię, że o wielu z nich chciałabyś mi opowiedzieć.

Jej oczy. Tak wielkie i głębokie, że boję się, czy w nich nie utonę. Teraz, gdy stoję z nią twarzą w twarz, wszystkie te „rzeczy”,



które gromadziłam specjalnie na tę chwilę - oskarżenia i złość - nagle znikają. Nie chodzi o moje tchórzostwo -przynajmniej taką mam nadzieję - tylko o to, że tamto wszystko po prostu traci sens. Na pewno dostało jej się od Willow, w to nie wątpię. Bóg jeden wie, co nagadał jej Rowan, pewnie z grubsza to samo. Jaki sens ma powtarzanie tego ćwiczenia raz jeszcze? A jednak nie mogę udawać, że nic się nie stało.

- Nie rób tego, Eve.

- Czego mam nie robić?

- Tego czegoś, co robisz swoimi oczami. Nie zmiękniesz mnie.

Nie puszcze ci płazem tego, co zrobiłaś. Bo to nie było nic!

- Nawet przez chwilę tak nie uważałam - przyznaje mi rację.

- Nie przyznawaj mi racji, do ciężkiej cholery! Walcz ze mną, Eve, proszę cię, walcz. Chcę walki. Muszę stoczyć z tobą walkę.

- Walka wymaga udziału dwóch stron. A czym ja mam z tobą walczyć? Każde twoje oskarżenie będzie słuszne. Nie mogę cię za nic winić. Słowo. Nie sądzę, byś mogła mi wytknąć coś, czego sama tysiące razy wcześniej sobie nie wyrzucałam. Pozwól tylko, że o coś cię spytam. - Sprawia wrażenie smutnej. Waha się. - Przeczytałaś pamiętnik, który ci dałam?

- Przeczytałam.

Ta odpowiedź pada jak kamyk do wody i wywołuje fale. Najpierw nieduże, potem coraz większe.

- Aha - mówi tylko, ale w tym małym słówku zamyka cały świat.

Teraz wszystko zależy od dalszej reakcji Eve, od następnego słowa.

Odstawia kubek na stolik.

- Jesteś na mnie bardzo zagniewana, Arabello, prawda? Czujesz straszną złość i gniew. Czy mogę jakoś to naprawić?

-Nie.

-Aha.

Obok przejeżdża samochód. Eve zerka w tamtą stronę, jakby ją rozproszył. Obie patrzymy i czujemy, że między nami coś się zmienia. Wreszcie Eve odwraca wzrok w moją stronę.

- Jesteśmy, gdzie jesteśmy, Arabello - odzywa się cicho.

Wyraźnie widzę linię, jaką wyznaczyła. Owszem, była gotowa dać się ukrzyżować - na swoich warunkach. Więcej tej propozycji nie powtórzy. Ma w sobie coś, co nigdy się nie ugnie ani nie złamie.

Ja też się nie ugnę. Mój gniew jest słuszny.

Gdyby znów próbowała zagrać na litości, jak to zrobiła, pytając o pamiętnik; gdyby próbowała kręcić, zmyślać albo szukała usprawiedliwień; gdyby zmusiła mnie, żebym cofnęła się o czterdzieści lat i spojrzała na jej życie, pewnie bym wstała i wyszła. Ale ona zwała mnie z nóg. Użalanie się nad sobą, gorycz, żal i wściekłość gdzieś się ulotniły. Czy na dobre, czy tylko na jakiś czas? Jeszcze się okaże. Może jutro wróca, teraz jednak, w tym momencie czuję się lżejsza. Na duchu i fizycznie.

Patrzę na nią, mierzymy się wzrokiem i czuję, jak coś między nami przeskakuje. Iskierka wzajemnego szacunku. Uśmiechamy się do siebie ostrożnie, ja z czymś bliskim ulgi.

To dopiero początek drogi i nawet jeśli narodzi się między nami jakaś relacja: córki z matką, kobiety z kobietą, siostrzana czy cień przyjaźni, zawsze będzie to więź równorzędnych partnerek. Ja nie będę występować z pozycji osoby wyższej moralnie. Ona zaś nie będzie przede mną się korzyć ani błagać o przebaczenie. To mamy już za sobą, choć nie wszystko zostało wypowiedziane na głos.

Mojej matce też musiało ulżyć, bo nagle czas się cofa i widzę w niej dziewczynę: nie godną politowania sprzątaczkę, przyjeżdżającą do Ameryki w ślubnej garsonce i pożyczonym kapeluszu, ale dziewczynę, Eve, tryskającą energią młodości. Eve rozmawiającą z urzędnikiem imigracyjnym, która mimo wyrzutów sumienia z naszego powodu potrafi znaleźć w sobie nadzieję i godność, wiarę w powodzenie ułożonego planu.

- Chcesz porozmawiać o ojcu? - pyta cicho. - Przypuszczam, że tak. Miał też i zalety. Przykro mi, że musiałaś go poznać z pamiętnika tylko od najgorszej strony.

- Tak, chciałabym się czegoś o nim dowiedzieć. Faktycznie, w pamiętniku przedstawiłaś go dość jednostronnie, jednak potrafię czytać między wierszami, Eve. Dostałaś w kość, to prawda, ale jego z kolei zmuszono do małżeństwa z tobą, co nie było dla niego łatwe. Trudno to nazwać najlepszymi podwalinami związku.

- To były inne czasy. - Rozkłada dłonie i ogląda je, jakby to była mapa. - Wy, dziewczęta, i całe wasze pokolenie nie zdajecie sobie sprawy, jaką hańbą było wtedy urodzenie nieślubnego dziecka.

Słyszałaś o siostrach magdalenkach, prawda?

- Oglądałam filmy dokumentalne.

Nie sposób było tego przegapić, w Irlandii w pewnym momencie pojawiło się mnóstwo filmów i programów, opowiadających o tych strasznych miejscach, gdzie ciąża była grzechem, a grzesznice skazywano na dożywotnią pokutę.

- Zresztą mam też wyobraźnię. To potworne, do czego zmuszano dziewczęta w takiej sytuacji jak twoja.

- To były inne czasy - powtarza Eve. - Ale wracając do twojego ojca... Był... - zastanawia się. - Potrafił oczarować każdą dziewczynę. Mnie także omotał słodkimi słówkami. Był też inteligentny, to nie ulega wątpliwości. I świetnie liczył. Potrafił dodawać długie słupki liczb szybciej niż kasa.

Widzę, że próbuje mnie zbyć jakimiś płytkimi bzdurami.

- Jaki był jego stosunek do mnie? Kiedy już przyszedłam na świat.

- Był... - Znowu się namyśla. - Był... bardzo zajęty. Często wyjeżdżał. Rozumiesz?

- Dlaczego?

- Och, wiesz. W Dublinie nie było wtedy słodko. Tysiące ludzi bez pracy, a roboty jak na lekarstwo.

Dalsza rozmowa nie ma sensu. Eve waży każde słowo, starając się wyrażać o swoim mężu neutralnie, podczas gdy obraz jest bardzo

klarowny. Mój ojciec, Peter Moraghan, miał nas gdzieś. Gdybyśmy cokolwiek dla niego znaczyli, szukałby nas i bez trudu odnalazł całą naszą trójkę. I co z tego, że były święta i przez parę dni nie wychodziły żadne gazety? Informacja o trójce dzieci porzuconych w palmiarni musiała trafić do prasy i wzbudzić jakieś komentarze. Zawsze sobie obiecywałam, że „kiedyś” poszukam wycinków z tamtego okresu. Doszłam nawet do drzwi Biblioteki Narodowej przy Kildare Street, ale przytłaczająca sala główna podziałała na mnie onieśmielająco. „Za wysokie progi na twoje nogi”, zdawała się mówić. Teraz obiecuję sobie, że po powrocie do domu na pewno się tym zajmę.

- Nie masz żalu do losu za to, co cię spotkało, Eve? Zaciska dłonie w pięści i patrzy na mnie z ogniem w oczach.

- Oczywiście że nie. Postąpiłam głupio i sama jestem sobie winna. Wychowanie, społeczeństwo i cała reszta to tylko wymówki. Winię przede wszystkim siebie, zawsze siebie i wyłącznie siebie.

- Byłaś młodziutka.

Role się odwracają, teraz to ja jej bronię.

- Nie aż tak - odpowiada z żarem. - Opuszczając sierociniec, miałam czternaście lat. Owszem, byłyśmy dość naiwne i niewiele wiedziałyśmy o świecie, ale z drugiej strony przeszłyśmy twardą szkołę życia i poznałyśmy bolesny smak rzeczywistości. Przeżyłyśmy więcej niż inne dziewczynki. A zresztą jak mogłam mieć pretensje do losu, skoro dał mi trójkę cudownych dzieci? Petey to już inna sprawa. Moim zdaniem był skończonym draniem i łajdakiem. Przepraszam,

Arabello, pewnie jestem niesprawiedliwa, ale tak to widzę. Trochę nawet mi go żal, bo w ostatecznym rozrachunku to on przegrał.

Patrzy na mnie z takim żarem, że nie mogę znieść jej spojrzenia. Próbuję uśmiechnąć się uspokajająco.

- Kiedyś jeszcze o tym porozmawiamy, dobrze?

- Mamy całe życie, aby ze sobą gadać. Teraz chętnie na chwilę zamknę dziób.

Uśmiecha się do mnie i zaczynamy spokojną rozmowę o swoich sierocińcach. Okazuje się, że zwyczaje i metody wychowawcze niewiele się zmieniły przez jedno pokolenie, chociaż pojawiła się pewna, zasadnicza różnica: u nas prawie wszystkie podopieczne trafiały do rodzin zastępczych, a nawet były adoptowane, podczas gdy Eve i jej koleżanki prosto z sierocińca trafiały na stryżki wiejskich domów i do piwnic miejskich kamienic, gdzie zarabiały na chleb jako sprzątaczkę czy służącą. Nie licytujemy się, kto miał gorzej, nie próbujemy wzbudzać litości. Z przyjemnością stwierdzam, że jest to rozmowa równorzędnych partnerów, mających podobne doświadczenia.

Jednocześnie zastawiam się, ile właściwie dla mnie znaczy Petey Moraghan.

Otóż okazuje się, że niewiele. Chyba już wam wspominałam, że nigdy szczególnie za nim nie tęskniłam, i po dzisiejszej rozmowie to się nie zmieniło. Oczywiście, pojawia się ciche „a gdyby tak...”, lecz tak samo myślę o wygranej w lotka.

Na razie muszę się skoncentrować na budowaniu więzi z matką. Nie jestem głupia, zdaję sobie sprawę, że wcale nie będzie słodko i sielsko. Na pewno będziemy wracać do przeszłości. Ale w tym momencie nasze wzajemne stosunki przypominają olbrzymią powierzchnię czystego srebra, na której możemy wygrawerować, co tylko zechcemy.

To niesamowicie wyzwalające. Rosną mi skrzydła u ramion. Powinnam jakoś uwiecznić ten moment, ale nie przychodzą mi na myśl żadne słowa ani gesty. Srebro jest tak czyste i nieskalane, że pragnę na razie po prostu je podziwiać.

Ale - jak to ostatnio bywa w moim życiu - Eve ani mnie nie jest dane długo rozkoszować się tym błogostanem, bo słyszymy stukanie do drzwi. Dźwięczą kryształki i przez kurtynę przechodzi Dale, lewą ręką osłaniając zabandażowany obojczyk. W prawej, wyciągniętej, znów trzyma tę piekielną komórkę.

Instynktownie podrywam się z kanapy i przerażona macham ręką, szepcząc:

- Jeśli to Jimmy, nie ma mnie!
- To twoja siostra.
- O! Dzięki. Porozmawiam z nią na zewnątrz.

Płonę ze wstydu i wrywam mu aparat. Wychodząc z przyczepy, słyszę, jak Eve dźwiga się z fotela i rozplywa nad biednym Dale'em.

Na zewnątrz panuje skwar, rozgrzane deski pieką mnie przez cienkie podeszwy butów. Po raz pierwszy od przyjazdu do Arizony słyszę bzyczenie owadów. Z dnia na dzień robi się coraz bardziej

upalnie. Sierpień musi być tu morderczy. Korzystając z tego, że jestem na zewnątrz, zapalam papierosa. Potem siadam i duchowo przygotowuję się do rozprawy z Willow.

- Halo?

- Nie mam dużo czasu, dzwonię z pracy.

- Ja też się cieszę, że cię słyszę, Willow.

- Przepraszam, że przegapiłam twoje urodziny. To przez tę zmianę czasu i... och, sama nie wiem. Jeszcze się nie pozbierałam po podróży. Kiedy wrócisz, będą na ciebie czekały kartka z życzeniami i prezent, zgoda?

- Miło z twojej strony, ale nie rób sobie wyrzutów, ja sama tracę tu rachubę czasu. Zresztą, odbyło się przyjęcie-niespodzianka na moją cześć.

- Naprawdę? Super. - Nie robi to na niej szczególnego wrażenia.

- Słuchaj - mówi szybko - coś drgnęło.

-Tak?

- Przejrzałam zawartość pudełka matki i... - Waha się. Nie poznaję Willow.

- Zamieniam się w słuch.

Głęboko zaciągam się błogosławionym dymem, ale wydmuchując go, odsuwam słuchawkę jak najdalej od ust. Nie mogę skazać tej diabelnej komórki.

- Nigdy nie przyszło ci na myśl, że gdzieś żyje nasza prawdziwa rodzina? Że mamy kuzynów, ciotki, nawet dziadków? To nie jest znowu takie niemożliwe.



- Co przegapiłam, przeglądając pudełko?

- Liścik. Od kogoś, kto ją podrzucił. Jest na nim napisane, cytuję: „Nie możemy zatrzymać tego dziecka”. MY, Arabello. Grupa.

- Twierdzisz, że przyszła na świat w jakiejś komunie czy sekcje?

- Oczywiście że nie!

Moja siostra się niecierpliwi, znów jest sobą, dawną Willow. Jednak nie mogę odmówić jej racji. To pewnie wpływ dziwnego magnetyzmu unoszącego się nad Robinia Meadows.

- Rzeczywiście - przyznaję. - Mało prawdopodobne w Irlandii tysiąc dziewięćset czterdziestego czwartego roku.

- Czy nie sądzisz, że to dziwne? „My”?

- Teraz, gdy zwróciłaś na to uwagę... Być może, ale co mamy z tym zrobić?

Jestem zaintrygowana. Perspektywa odnalezienia całkiem nowych krewnych...

- „My” może oznaczać jej rodziców, a w końcu oni też musieli mieć rodzinę, prawda?

- Oczywiście to nic pilnego, a poza tym... - Znowu się waha.

-Tak?

- Chcę, żebyś przekazała jej wiadomość. Pamiętasz, jak ci opowiadałam, że kiedyś obdzwoniłam wszystkich Rennicków? - Willow zniża głos, jakby ktoś wszedł do gabinetu.

- Mhm.

- I założyłyśmy, że nazwisko Rennick wzięła od tej swojej przyjaciółki Maury, o której ciągle wspomina? I kojarzysz te odesłane

do nadawcy listy z pudełka? Otóż, okazuje się, że wkrótce po wyjeździe Eve Maura przeprowadziła się do innego mieszkania, a kuzyn, który miał przekazywać jej listy, mniej więcej w tym samym czasie zmarł.

- Skąd to wiesz?

- Cóż, jakoś nie dawała mi spokoju myśl o Maurze i zdarzyło się coś zdumiewającego. Nie będę wnikać w szczegóły, grunt, że ją namierzyłam. A dokładniej, to ona się ze mną skontaktowała.

- Fantastyczna sprawa! - Zapominam o urazie. - Cudownie! Jakim cudem ci się udało? Eve będzie w siódmym niebie! Poczekaj chwilę, już niosę jej telefon. Sama jej opowiesz, czego dokonałaś. Ta kobieta nadal mieszka w Irlandii? Jesteś niesamowita, Willow!

Zrywam się, by pójść do Eve, ale zatrzymuje mnie wrzask Willow.

-Bella! Nie!!!

- Jak to?

Nie rozumiem.

Willow zasłoniła słuchawkę i słyszę jej przytłumiony głos; przeprosza kogoś za ten ryk. Kiedy znów się odzywa, syczy.

- Ja tylko przekazuję wiadomość. Sama jej powiedz, dobrze?

- Ale chciałaby z tobą porozmawiać.

- Ja zrobiłam swoją działkę. Przestań naciskać, Arabello. Słuchaj, muszę kończyć. Podałam Maurze Rennick adres osiedla. Teraz nazywa się Lewis, po mężu. Napisze. Niech matka sama zdecyduje, co z tym zrobić. Ja odwalłam swoją robotę.

- Willow, nie mogę jej powiedzieć, że dzwoniłaś i nie chciałaś z nią rozmawiać. Będzie chciała przynajmniej ci podziękować. A na pewno będzie się dopytywać, jak po tylu latach odnalazłaś jej przyjaciółkę.

- To za długa historia na rozmowę międzynarodową. Jestem w pracy, Arabello, a nie powinnam wykorzystywać telefonu do rozmów prywatnych. Przekaż matce pozdrowienia.

- Zaraz... Willow! Rozłączyła się.

Scandalous

---

## Rozdział 43

---

Znalazłem sobie superluksusowe, pięciogwiazdkowe gniazdko. Na samym końcu osiedla, tam gdzie nikt mnie nie wypatrzy, za rzędem kontenerów pełnych cuchnących śmieci. Towarzystwa dotrzymują mi niebieskawe muchy i inne stworzenia, o których woleę nie myśleć, dziękuję uprzejmie. Jest gorąco. Jest beznadziejnie.

Matkom to łatwo: przeszywają cię tym swoim laserem w oku, każą iść i przeprosić święcie przekonane, że jeśli posłuchasz, wszystko dobrze się skończy. Matki pewnie nigdy nie tracą nadziei. Nie mają, kurwa, pojęcia o życiu.

O moim życiu.

Bo, kapujecie, im dłużej się zastanawiam, tym wyraźniej widzę, że przeproszenie Giny nic nie da. W każdym razie nie teraz. Tylko wygłosiłaby kazanie i znowu wyrzuciła mnie na zbity pysk.

Nieeee, spaliłem za sobą mosty. Zero szans. Gina już mnie przejrzała. Nie ma odwrotu, zupa się rozlała. Nie pamiętam, żebym kiedyś, kiedykolwiek w życiu, czuł się tak gównianie.

Dobra, tu jest potrzebna odpowiednia perspektywa. W skali od jednego do dziesięciu, ile punktów zebrał dzisiejszy poranek?

Tamta noc w Arbour Hill, jak zamknęli mnie w celi z gwałcicielami i pedofilami, bo w areszcie nie było miejsca? To było siedem punktów.

Ta straszna śnieżycyca, która dopadła mnie i Caroline na ulicy, bo nie spodziewaliśmy się takiego mrozu i omal nie zamarziliśmy na

śmierć, kiedy tak leżeliśmy tylko na jednym kartonowym pudle? Wtedy dałbym tej nocy osiem, może nawet dziewięć punktów, ale to było jeszcze zanim Caroline odeszła i zaćpała się na śmierć. W porównaniu z tym śnieżycą spadła w rankingu i dostała najwyżej sześć punktów. (Nocy, gdy zmarła Caroline, nie punktuję. Nie mógłbym). Wszystko jest względne, nie? Gangrena w palcu u nogi? Pestka. Cztery, może pięć punktów.

Szajbus, który tak mi przyfasolił, że wylądowałem w szpitalu? Może dwa albo trzy, bo - dziwne, ale prawdziwe - fanga od Szajbusa powoduje, że człowiek zyskuje szacunek u kumpli. Nie zawracałyby sobie tobą głowy, gdyby mu nie zależało - tak do tego podchodzą.

Siedem albo osiem, jak naźarłem się tych, no - landrynek - i wylądowałem na płukaniu żołądka, bo diler podrasował je trutką na szczury.

Mocne dziewięć, kiedy rodzina zastępcza odesłała mnie do sierocińca.

I drugie dziewięć, kiedy brat Ambroży zamknął mnie w komórce z węglem, gdzie buszowały szczury.

Więc? Jak w porównaniu z tym plasuje się dzisiejszy poranek? Próbuję sobie tłumaczyć, że to nic takiego, chodzi tylko o jakieś pieprzone uczucia. Ale w tym momencie - gdy nad głową mam palące słońce, wokół siebie smród, a bebechy mi się przewracają z obrzydzenia do samego siebie -dałbym temu... No... dałbym prawie dziesięć punktów.

Jeszcze te poranne szepty mamci i Bel. To zupełnie mnie załatwiło. Nie chodziło tylko o to, że Gina zobaczyła, jakie ze mnie zero. Co gorsza, ja sam wreszcie zobaczyłem, jakie ze mnie zero. Nie mogłem dłużej tego przed sobą ukrywać i one to widziały. Tyle wysiłku, żeby się trzymać i żeby wytrzymać, a wszystko poszło w diabły przez parę głupich kieliszków szampana.

Jak to mówią ci abstynenci z AA? Wystarczy jeden łyk... A to, co mówiła moja matka? Z grubsza też się sprowadzało do tego samego.

Rozumiecie, dopóki człowiek może zrzucać winę na system, płonie w nim ogień, niegasnące źródło ciepła i światła. Kiedy dziś rano jadłem płatki, nie mogłem zrzucić winy na system. Ani na system, ani na nic innego. Ja sam wszystko spieprzyłem. Tym razem, poprzednim razem, każdym razem, zawsze. I wychodząc od mamci, byłem ledwo żywy nie tylko z powodu monstualnego kaca - skutki mieszania szampana ze szkocką Giny - ale też dlatego, że czułem się najnędziejszą, najpodlejszą, najbardziej odrażającą gnidą, jaką widział świat, która zasługuje tylko na to, by Gina rozgniotła ją obcasem.

A mimo to szczerze chciałem spróbować. Mamcia kazała, więc szedłem do Giny z mocnym postanowieniem, że przeproszę. Daję słowo honoru, że zamierzałem to zrobić.

Żałuję, że tak wyskoczyłem na mamcię, choć jej się należało i do końca życia nie zmienię zdania. Ale nie powinienem był tak ostro jej nagadać. Jak mówi Szajbus, matkę masz tylko jedną.

Mamcia Szajbusa mieszka sobie w Costa del Sol z jakimś dzianym naciągaczem. Przysyła Szajbusowi trzy kartki w roku: na Boże Narodzenie, na urodziny i na walentynki. (Na marginesie, same kartki, bez szeleszczących załączników). Ktoś by pomyślał, że Szajbus powinien łać na taką matkę z wysokiej wieży, tymczasem on zawsze chwali się najnowszą kartką i ani na chwilę się z nią nie rozstaje. Kiedyś się z niego naśmiewałem (oczywiście w duchu), uważałem go za ckliwego głupka, a teraz zaczynam rozumieć. Może w kategorii rodzicielstwa nawaliły na całej linii, ale to nie zmienia faktu, że są naszymi matkami, jedynymi, jakie mamy. I muszą nam przebaczać raz za razem, dawać szanse za szansą. To ich życiowa rola. Ich obowiązek. A nie obowiązek przyjaciółek. Zwłaszcza jeśli znacie się tylko od paru dni; nawet jeśli zaklinają się, że to dla nich coś poważnego. One mają własne życie.

Tak to wygląda. Witajcie, kruki! Witajcie, muchy, śmiecie i skwar jak cholera! Na szczęście mam co pić. Trzy czwarte butelki krótkotrwałej ulgi. Kiedy zaczynałem, była pełna.

Ukradłem ją.

Ukradłem Ginie.

Prawda, że możecie być ze mnie dumni?

---

## Rozdział 44

---

Od kiedy opowiedziałam Eve o odkryciu Willow, moja matka zachowuje się jak podekscytowana pięciolatka jadąca do Disneylandu. Już podjęła decyzję o przemierzeniu Atlantyku, podstawowe pytanie brzmi jednak, czy ma czekać na list czy też powinna wyruszyć do Irlandii w ciemno?

- Czemu nie podała ci numeru telefonu Maury? Dlaczego muszę czekać na list?

Jest tak rozradowana, że chyba nawet nie zarejestrowała afrontu Willow.

- Spokojnie, Eve.

Poczułam lekkie ukłucie (bezpodstawnej) zazdrości: w końcu ja jestem jej córką, a ta cała Maura tylko przyjaciółką, ale dość szybko mi przeszło. Zwłaszcza że jej radość okazała się zaraźliwa.

- Spokojnie, Eve - powtórzyłam ze śmiechem. - Nawet nie wiemy, czy twoja przyjaciółka nadal mieszka w Irlandii, a jeśli tak, to gdzie. Willow rozłączyła się, zanim zdążyłam ją docisnąć. Ale na pewno Maura w liście poda ci swój numer telefonu i będziesz mogła zadzwonić.

- Ten list uroczyście włożę do mojej metalowej puszki. Albo nie, wezmę nową!

- Litości, chyba nie każesz nam taszczyć kolejnego pudełka!

Właśnie odkryłam, że zrzuciłam następne okowy. Moje pudełko przestało być talizmanem. Już nie muszę strzec go jak oka w głowie i



bronić przed intruzami. Jak każdy normalny człowiek mogę wynieść je na przysłowiowy strych, jako pamiątkę dla przyszłych pokoleń. Dla dzieci Willow.

A może nawet Rowana. Interesująca myśl. I wcale nie tak nierealistyczna, jakby się to mogło wydawać jeszcze tydzień temu.

Wtedy, oczywiście, muszę palnąć głupotę.

- Może ty też się przyłączysz, Dale? To idealna okazja, aby odszukać przyjaciela.

- Jakiego przyjaciela?

Natychmiast się spina. W jego głosie brzmi ostrzeżenie.

- Wiesz, tego we Francji czy Niemczech? Niespokojnie zerkam na matkę. Przecież mówił, że Eve o wszystkim wie, więc w czym problem?

- Nie sędzę.

Mrozi nas wzrokiem, ale na Eve to nie działa.

Porozumiewawczo puszcza do mnie oko, potem klepie Dale'a w kolano.

- Och, na miłość boską, Dale! Wyluzuj się trochę. Jasne, że powinieneś pojechać. Wszyscy pojedziemy! Dostanę odszkodowanie, będę mogła wszystko wam zafundować. Wreszcie się zrewanżuję za twoją dobroć, Dale. - Potem zwraca się do mnie. - Sądź, że ja i Maura od razu się poznamy?

Jej uśmiech wystarczyłby do oświetlenia całego stadionu.

- O, na pewno. Dlaczego nie?

Zauważam, że patrzy na coś za moimi plecami. Oglądam się, by sprawdzić, co się stało. Wszyscy sąsiedzi wychodzą na tarasy, bo w naszą stronę toczy się poobijany radiowóz. Zatrzymuje się przed przyczepą i ze środka wysiada dwóch zmordowanych policjantów. Naciągają na głowy kapelusze.

Mocniej zaciskam pasek szlafroka. Leniwa fleja, wpół do jedenastej, a ona wciąż rozmemłana.

- Witam szanownych panów. - Eve nie opuszcza radosny nastrój.

- Dzień dobry pani. - Pierwszy policjant dotyka róna kapelusza, a potem zwraca się do Dale'a. - Dale Genscher?

Nie wymagało to szczególnej przenikliwości. Obrażenia Dale'a widać z daleka.

- To ja. - Dale podnosi rękę jak na zbórcie. - Złożyłem już oświadczenie. Wczoraj, w szpitalu.

- Możemy wejść? - Drugi policjant, starszy, już wchodzi po schodkach.

- Oczywiście, panie władzo.

Eve zaprasza, by usiedli, i częstuje ich kawą. Grzecznie odmawiają.

- Pani obrażenia mają związek z incydentem? - Drugi gliniarz wskazuje gips na nodze Eve.

- Ależ skąd. Miałam drobny wypadek. Na pewno nie skuszą się panowie na kawę? A może mrożonej herbaty? Znosi się na upalny dzień.

- Nie, dziękujemy - odpowiadają jednym głosem.

- Jeśli wolno, chcieliśmy ustalić parę drobiazgów, panie Genscher. - Pierwszy policjant zerka do notatnika. - Chodzi o tego... Eddiego Montgomery'ego. Mówił coś, zanim pana ugodził?

- Ja mogę odpowiedzieć! - wtrącam się. - Byłam przy tym.

-Dojdziemy i do pani. - Nagle gliniarz szeroko się uśmiecha. Lśniaco białe zęby kontrastują z czarną jak smoła skórą. - Wydaje mi się, czy poznaję irlandzki bełkot?

- Mhm.

Jestem oburzona. My, dublińscy, nie uważamy naszej wymowy za bełkotliwą.

- Mój pradziadek pochodził ze Skibbereen w hrabstwie Cork - wyjaśnia policjant. - Zna pani Skibbereen?

- Nie - odpowiadam słabiutko. - Nigdy nie byłam w Cork. Pochodzę z Dublina.

- Kiedyś się tam wybiorę. Wezmę mamę. Byłaby w siódmym niebie. Zna takie opowieści rodzinne... - Ze śmiechem kręci głową, potem otwiera notatnik na czystej stronie. - A więc, nazywa się pani...?

Na tym etapie do galerii obserwatorów przyłączają się Robert i Mario. Zatrzymują się przy balustradzie. Obaj są w strojach do biegania, na nadgarstkach mają opaski, na głowach bandanki. Skrepowana tym, że słyszą każde moje słowo, składam żałośnie krótkie zeznanie, w którym podaję opis Eddiego: jego nieprzytomny wzrok i ślinę w kąciku ust.

- Przepraszam - bąkam. - Pewnie niewiele to wnosi. Wrzeszczał, ale niewiele mówił. Tylko, żebyśmy się nie wtrącali. I to jedno słowo: „sukinsyn”, zanim dźgnął Dale'a. To wszystko działo się tak szybko...

- Niech pani tak się nie przejmuje, liczy się każdy szczegół, a pani wersja pokrywa się z tym, co do tej pory słyszeliśmy. - Zwraca się do Dale'a: - Zatem nie była to sprzeczka między panami, tylko starał się pan pomóc pani Montgomery, zgadza się?

- Owszem.

Dale zachowuje spokój.

- I dobrze rozumiem, że nie zamierza pan składać zawiadomienia o przestępstwie? Czy tak, panie Genscher?

- Idę w ślady jego matki. - W głosie Dale'a pojawia się irytacja. - Zresztą nie wiem, co by to dało. Eddiego powinno się zamknąć w szpitalu, nie w więzieniu.

- Gdyby poszedł za kratki, pani Montgomery miałyby parę lat spokoju. - Drugi policjant patrzy mu prosto w oczy. - Sprawdziłem go. Gość ma sporo na sumieniu.

- Jego matka nie życzy sobie, żeby sprawę kierować do sądu.

Dale wbija wzrok w stopy. Skądś już znam tę taktykę. On uważa temat za zamknięty. Policjanci wymieniają spojrzenia i pierwszy zamyka notes.

- To na razie wszystko. Zdają sobie państwo sprawę, że to tylko wstępne rozmowy? Zapewne poprosimy, by wstąpili państwo na posterunek podpisać formalne oświadczenia.

- W porządku.

Zadają jeszcze kilka ogólnikowych pytań, potem dziękują, że zechcieliśmy poświęcić im czas, i wycofują się do wozu patrolowego.

Widząc, że droga wolna, Robert i Mario natychmiast do nas podbiegają.

- Właśnie usłyszeliśmy. - Mario jest wstrząśnięty. - Coś potwornego. Jak się czujesz, Dale, biedne jagniątko? A Mary? Dobrze się czuje? Możemy wysłać jej kwiaty? Jest na tyle zdrowa?

- Wpadniemy do niej z wizytą. Sądzicie, że ją to ucieszy? Robert reaguje mniej emocjonalnie, ale widać, że też to przeżywa.

- Nic takiego się nie stało. - Dale ziewa. Odnoszę wrażenie, że nie odpowiada mu ten nadmiar uwagi. - Po południu ją wypisują. Dzwoniłem, już jest na nogach. Nie będzie wyglądać szczególnie urodziwie, to normalne w tej sytuacji. - Wstaje. - Nie ma co robić tyle hałasu, ale jeśli wybierasz się do szpitala, Robercie, chętnie się z tobą zabiorę. Mój samochód został tam na parkingu.

- Nie ma sprawy - zgadza się Robert. - Na pewno sobie poradzisz z tą chorą ręką?

- To tylko dwadzieścia minut.

- Dobra, dobra, już nic nie mówię. Jak sobie chcesz. - Robert wykonuje gest „już się wycofuję”, co wygląda, jakby napierał dłońmi na niewidzialną ścianę. - Mam pomysł. Odbierzemy Mary ze szpitala i przywieziemy ją do domu. A może już teraz zabralibyście się z nami samochodem i oprowadzilibyśmy Arabelle po mieście? - Wzrokiem szuka u Eve aprobaty. - Na pewno chciałyby zobaczyć kaplicę Świętego Krzyża, nie?

- Dzięki, Robercie, ja się nie piszę. - Eve przysuwa do siebie szwedki. - Jestem zajęta. Mam dziś mnóstwo roboty. - Znowu puszcza do mnie oko.

- Ani ja, Robercie - wtrąca się Mario. - Wiesz, jak nienawidzę szpitali. Za to ugotuję dla Mary coś pysznego, zgoda? Przyrządzę dla niej coś wyjątkowego, żeby wiedziała, jak bardzo ją lubimy.

- Dobrze, dobrze! To był tylko luźny pomysł. - Robert ucisza nas wszystkich machnięciem ręki. - Wpadnij, kiedy będziesz gotów, Dale. Jeśli chcesz się przyłączyć, Arabello, propozycja nadal jest aktualna. Bardzo chciałbym ci pokazać moją galerię.

- A ja chętnie ją obejrzę, Robercie. Dziękuję.

Pół godziny później moją podniszczoną szczotką próbuję w miarę przyzwyczajenie ułożyć sobie włosy. Dale leży na kanapie w czarnej koszuli z postawionym kołnierzykiem, zasłaniającym szyję. On już od dawna jest gotów do wyjścia. Okna w mieszkaniu pozamykane, klimatyzacja pracuje na pełnych obrotach. Dochodzi południe, na zewnątrz panuje nieznośna spiekota.

Szarpiąc się ze splątanymi włosami, zauważam, że Dale bacznie mi się przygląda. Trochę to krępujące.

- Zgodzisz się, żeby mi się jeszcze nie wyprowadzała? -  
Wyrzucam wreszcie to, co mi leży na sercu. - Oczywiście jeśli za bardzo ci nie przeszkadza. Rano powiedziałam, że chcę się wynieść, bo... bo...

Nie przychodzi mi na myśl żadne przekonujące wytłumaczenie. Dale nadal mi się przygląda.

- Dale, niezręcznie się czuję. W ogóle słyszałeś, co powiedziałam? Dlaczego tak mi się przyglądasz?

- Twoje włosy.

Mimowolnie odgarniam je z twarzy.

- Są za gęste. To przekleństwo mojego życia.

- Są piękne. - Odwraca wzrok i podrywa się z kanapy. -

Powinniśmy już iść. Robert nie znosi braku punktualności. A z jego galerii do Świętego Krzyża jest parę ładnych kilometrów. Nie chcę skazywać Mary na długie oczekiwanie. Spodziewa się nas.

Zostaję jak ta głupia, z ręką we włosach. Uważa, że są piękne? Opuszczam dłoń, teraz dopiero jestem skrepowana.

- Ten Święty Krzyż... Warto to obejrzeć?

- Tak.

- Więc ci nie przeszkadza, jeśli u ciebie zostanę? Nadal nie patrzy w moją stronę. Ustawia temperaturę na termostacie klimatyzatora.

- Jeśli chcesz.

Rusza do drzwi, otwiera je przede mną, więc nie mam wyjścia, muszę do niego podejść. Czeka, aż wyjdę, zamyka za nami drzwi i mknie jak strzała, tak że z trudem za nim nadążam. Po trzydziestu metrach już ciężko dyszę. I znowu zaczynam bredzić.

- Robert i Mario są współwłaścicielami galerii? Mario chyba nieszczęśliwie się tam udziela?

- Nie wiem, jak się umówili. Przypuszczam, że Robert zaproponował mi jakiś udział, wątpię, aby to była połowa. Robert jest biznesmenem.

- Aha, rozumiem. O tej porze roku zawsze tu jest taki upał?

Jak przez mgłę przypominam sobie, że chyba już zadawałam to pytanie, ale desperacko szukam jakiegoś bezpiecznego, neutralnego tematu.

- Nie, średnia temperatura kwietnia wynosi jakieś dwadzieścia stopni, choć nie zawsze. Ten rok jest nietypowy. -Jego ton wyraźnie świadczy, że już zadawałam to pytanie. Już-już mam przeprosić, gdy ruchem głowy wskazuje kogoś albo coś w głębi ulicy i przystaje. - Cóż, w końcu mamy globalne ocieplenie i tak dalej, teraz każdy rok jest nietypowy. Idzie Gina.

Na nasz widok kobieta przyspiesza kroku.

- Gdzie on jest? - woła. - Widzieliście go?

- Chodzi ci o Rowana? - Staram się nadać głosowi spokojny, macierzyński ton. - Szukałaś u Eve? Wcześniej go tam widziałam. Wyszedł, ale może wrócił.

- Już tam byłam. - Zaciska usta. - Od niej zaczęłam. Sąsiad powiedział, że wasza matka wybrała się do budki telefonicznej. Kiedy tam dotarłam, rozmawiała przez telefon. Powiedziała, że nie widziała Rowana od kilku godzin i że nie może mi pomóc w poszukiwaniach, bo przyjeżdża do niej inspektor z towarzystwa ubezpieczeniowego.

-Wczoraj się ścięliście?



- Okropnie go potraktowałam. Należało mu się, był pijany jak bela. - Dopiero teraz zauważa stan Dale'a. - Rany! A tobie co się stało?

- To długa historia. Mary RR jest w szpitalu - wyjaśnia ten spokojnie. - Dziś ją odbieramy.

- Znowu Eddie? Kiedy to się stało?

- Dziś w nocy. I, tak, to Eddie.

- Dlaczego mnie nie obudziliście?

- Chcesz, żebyśmy ci pomogli szukać Rowana? Daleko nie uciekł.

Stały numer Dale'a: nie odpowiada na zadane pytanie.

- O, na pewno go znajdę. - Ogląda się, jakby liczyła, że Rowan zaraz skądś wyskoczy. - Albo sam wróci, jak mu się znudzi ta zabawa w chowanego. Masz rację, Dale, daleko nie uciekł. Zostawił u mnie wszystkie rzeczy, łącznie z gotówką. Dokąd by pojechał bez pieniędzy. Boże, dlaczego nie zapanowałam nad językiem? - mówi z żalem. - Nawymyślałam mu od najgorszych i powiedziałam, że nie chcę go znać.

- To się zdarza, Gino. - Klepię ją po ramieniu. - Na pewno wiedział, że nie mówisz tego serio. Teraz pewnie się mści i próbuje napędzić ci strachu. Znasz facetów.

- Tak sądzisz?

Dale bierze ją pod rękę i popycha w kierunku, z którego przyszła.

- Najlepiej wróć do domu i poczekaj. Ja ściągnę do pomocy Roberta i Maria. Razem na pewno go znajdziemy. Sama powiedziałaś, że nie wziął pieniędzy, więc musi być na terenie osiedla. Stąd można wyjechać tylko samochodem albo taksówką. Twój wóz nadal stoi przed domem?

- Tak. Ale mógł złapać okazję, prawda?

- Wątpię - włączam się. - Jeśli mnie pamięć nie myli, Rowan w życiu nie jechał autostopem. Zresztą, kto by go wziął? Kiedy widziałam go rano przy śniadaniu, wyglądał jak Potwór z Czarnej Laguny.

Wreszcie udaje mi się wywołać u niej uśmiech.

- Załatwione - korzysta z okazji Dale. - Wracaj do domu, Gino, włącz sobie telewizję, a kiedy Rowan wróci, ochrzaj go od góry do dołu.

- Masz to jak w banku!

Gina energicznie kuśtyka w stronę swojej przyczepy.

Poszukiwania nie trwają długo: Robert znajduje mojego brata za śmietnikami na końcu osiedla. Mówi, że Rowan spał i że nie mógł go dobudzić.

- Ale nie przejmujcie się, oddycha!

Choć kontenery są zamykane, miejsce jest wyjątkowo nieprzyjemne, w powietrzu roi się od much. Patrzę na mojego brata, zwiniętego w kłębek jak jeż, leżącego na dłoniach.

Policzek ma spieczony na kolor buraka. Oj, będzie go to później bolało. I bardzo mu tak dobrze, myślę z siostrzaną czułością.

- Rowan!

Kucam i potrząsam nim z całej siły. Nie reaguje.

- O, Boże! Chyba nie sądzisz, że...? Mario jest o krok od hysterii.

- Nie, nie sądzę. Rowan!

Potrząsam nim mocniej, tym razem obiema rękami. Kiedy nie reaguje, przysuwam twarz do jego twarzy. Cuchnie alkoholem. Przeszukuję śmietnik w pobliżu i - a to niespodzianka! - pod pojemnikiem tuż obok Rowana znajduję przewróconą butelkę. Na dnie zostało trochę alkoholu. Część może się wylała albo wyparowała.

Prostuję się. Toczą we mnie walkę odraza i naturalny odruch, aby osłonić brata przed pogardą obcych.

- Pił - mówię głucho, starając się, by zabrzmiało to neutralnie.

- Nie możemy go tu zostawić. Usmaży się. - Dale przejmuję inicjatywę. - Mario, Robertcie, weźcie go za ręce, ja złapię za nogi. Przeniesiemy go do mnie. I chyba trzeba będzie wezwać lekarza.

- Nie możesz go nieść - stopuje go Robert. - To kawał chłopa. Pękna ci szwy. Mario, podjedź tu samochodem. Załadujemy Rowana i przewieziemy.

Dale zgadza się na pomysł Roberta. Proponuję, że pójde zawiadomić Ginę.

- Gdzie mieszka?

- Trzecia ulica stąd, czwarta przyczepa. - Robert z pomocą Dale'a próbuje rozprostować Rowanowi nogi i ułożyć go na wznak. - Nie sposób nie trafić, ma jasnofioletowy taras.

Rzeczywiście, nie sposób przegapić tarasu Giny: jaskrawy fiolet wyróżnia się w rzedzie białych, kremowych i brązowych ganków.

Gina stoi przy balustradzie, na mój widok zbiega po schodach.

- Coś wiadomo?

- Odsypia, Gino. Chłopcy zabrali go do Dale'a, na wszelki wypadek wezwiemy lekarza.

- Spił się?

Chwyta mnie za rękaw i ciągnie za sobą w stronę przyczepy Dale'a. Choć nie jest w pełni sprawna, z trudem dotrzymuję jej kroku.

- Tak, ale nie wiem, skąd wziął alkohol. Kiedy rano wychodził od Eve, był trzeźwy, a, jak sama mówiłaś, nie miał przy sobie pieniędzy.

- Wiem, skąd go miał. - Zaciska wargi. - Zniknęło mi pół butelki likieru Southern Komfort. Po powrocie z pracy długo spałam. Musiał się zakraść po wyjściu od Eve.

- Strasznie cię przepraszam, Gino. Nie masz pojęcia, jak mi wstyd.

Spogląda na mnie, nie rozumiejąc.

- Za co ci wstyd?

- Cóż, to mój brat. Czuję się za niego odpowiedzialna.

- Nie bądź niemądra, Arabello. Nie ty za niego odpowiadasz, tylko on sam. Zatlukę go - dodaje, a we mnie znów wstępuje nadzieja. Nie wściekasz się tak na człowieka, który jest ci obojętny.

Na tarasie Dale'a zauważamy Maria. Czyli ekspedycja ratunkowa dotarła na miejsce.

- Jeszcze coś, zanim wejdiesz...

Przygotowuję Ginę na widok spalonej połowy twarzy Rowana.

- Zatlukę go - powtarza. - Kretyn! Co za skończony głupek!

Scandalous

---

## Rozdział 45

---

Lekarz okazał się wysokim mężczyzną, który musiał nieustannie pochylać głowę, by nie zawadzić o sufit. Patrząc na niego, dziwiłam się, czemu wybrał praktykę właśnie w tym osiedlu, skoro wszyscy tutaj mieszkają w niskich przyczepach. Starał się zachowywać neutralnie, ale mnie - być może byłam przewrażliwiona - wydawało się, że słyszę w jego głosie pogardę, gdy informował, że „w takich przypadkach” trudno coś zrobić. Trzeba tylko uważać, aby pacjent nie zachłysnął się wymiocinami. Na oparzenie słoneczne, które już pokrywało się pęcherzami, przepisał lek przeciwhistaminowy i maści. Radził też zaopatrzyć się w dużą ilość alka seltzera lub innego, dowolnego leku przeciwbólowego, bo po przebudzeniu Rowan „nie będzie w najlepszej formie”.

Dale wyjął portfel, ale to ja zapłaciłam lekarzowi sto dwadzieścia dolarów za wizytę domową i dałam pięćdziesiątkę Mario, który zgłosił się na ochotnika, że pobiegnie do apteki. To potężnie nadwreżyło mój budżet; wolę nie myśleć, co będzie, gdy przyjdzie do rozliczania się z Willow.

Rowan spał dalej. Mężczyźni przezornie rozłożyli na kanapie Dale'a koc, wyjęty z bagażnika Roberta. Kolor (jaskrawa zieleń) i wzór (Goofy) wołały o pomstę do nieba, ale przynajmniej kanapa była bezpieczna.

- Dobra, ludzie - Gina już ciągnęła krzesło do kanapy - zostanę z nim tutaj, a wy jedźcie do miasta po Mary, tak jak planowaliście. Pasi

ci to, Dale? - Usiadła na krześle i popatrzyła na Rowana z mieszanką czułości i furii. - Jeśli wolisz, możemy go przenieść do mnie.

- Nie ma sprawy, zostań tutaj.

- Dzięki, królu. - Uśmiechnęła się do Dale'a.

Robert, Dale i ja siedzimy teraz w samochodzie tego pierwszego. Ja z przodu, obok kierowcy, a Dale rozłożył się na tylnym siedzeniu. Mary RR wypiszą dopiero o wpół do czwartej, więc korzystając z tego, że mamy kilka wolnych godzin, Robert wybrał malowniczą trasę do Sedony. Okrążamy miasto, by wjechać do niego wąwozem zwanym Oak Creek Canyon. Jedziemy wąską, krętą szosą, przytuloną do stromego zbocza porośniętego cudownym, gęstym lasem. Wzdłuż drogi płynie wartki, krystalicznie czysty strumień, którego drugi brzeg stanowi różowawoczerwona, niemal pionowa skała, upstrzona anemicznymi krzakami. Promienie słońca nie sięgają do samochodu, więc Robert wyłączył klimatyzację i otworzył szyby. Bulgotanie wody zagłusza szum silnika.

- Przepiękna trasa, Robercie. Bardzo ci dziękuję.

- Drobiazg. Jeśli cię to ciekawi, te drzewa to głównie nasze topole amerykańskie i sykomory. Bardzo stare. Przy okazji, bardzo przepraszam, że twoja pierwsza wizyta obfituje w tak dramatyczne wydarzenia. Robinia Meadows to zwykle bardzo zaciszne osiedle, gdzie życie płynie spokojnym rytmem.

- Ależ nie przepraszaj. Niestety moja rodzina w znacznym stopniu przyczyniła się do zburzenia waszego spokoju. Ale nie przejmuj się, już niedługo będziecie mieć nas z głowy.

- Naprawdę? Was wszystkich? Gina nie odpuści tak łatwo. - Parska śmiechem. - A ty jak sądzisz, Dale? Chyba nigdy jeszcze aż tak nie przejmowała się żadnym chłopakiem.

- Mhm - mruczy niezobowiązująco Dale, a ja się czuję, jakbym dostała obuchem w łeb.

Wcześniej nie przyszło mi na myśl, że Rowan może być po prostu jednym z wielu. Ale w końcu Gina jest wolna, ma prawo wybrać sobie każdego, kogo chce, na tak długo, jak chce.

- To znaczy, że miała ich wielu?

- Krótkie przygody. - Robert hamuje, przepuszczając rodzinę królików-kamikadze, kicających przez drogę. -Po rozwodzie z tym łajdakiem, jej mężem, spotykała się z różnymi facetami, ale nigdy się nie angażowała. A już na pewno z żadnym nie trzymała się publicznie za rączkę, jak wczoraj na przyjęciu z Rowanem.

To naprawdę działo się zaledwie kilkanaście godzin temu? Jestem w szoku. Tyle się w tym czasie wydarzyło, przysięgłabym, że minęło parę dni, nawet tygodni, od tego wieczoru, gdy wyskoczyli z mroku, krzycząc: „Wszystkiego najlepszego!”.

- Właśnie, jeszcze raz ci dziękuję, Robercie. To była cudowna niespodzianka. Ty i Mario zadaliście sobie tyle trudu.

- To żaden kłopot, skarbie, zrobić coś miłego dla kogoś tak uroczego jak ty.

Wąwóz się kończy i docieramy do Sedony. Jedziemy szeroką ulicą wzdłuż ciągu restauracji, sklepów i kiosków z pamiątkami - tam dominują bawełniane koszulki z nadrukami, jest też duży wybór



bibelotów, suvenirów i tradycyjnego indiańskiego rękodzieła: biżuteria, łapacze snów, a nawet duża kolekcja ozdób choinkowych. W kwietniu! Widać też mnóstwo sklepów zielarskich, salonów jogi i aromaterapii, a także gabinetów innych, niezliczonych specjalistów od medycyny niekonwencjonalnej; w tym nawet jakaś klinika pod szyldem „Metamorfozy”.

Na rozwidleniu dróg skręcamy w lewo, przejeżdżamy przez rzekę i znów widzę tę samą przedziwną mieszankę firm i sklepików. Docieramy do niewielkiego centrum handlowego, gdzie dominują modne galerie sztuki. Tam Robert zwalnia.

- Jesteśmy na miejscu. Nasza galeria to ta, Skrawek Nieba.

Widzisz?

W rzędzie eleganckich witryn Skrawek Nieba od razu się wyróżnia: jego logo jest wypisane srebrzystoniebieskimi literami na olbrzymich oknach, ściany galerii przypominają stop cyny, a wejścia strzegą dwie statuetki z brązu.

- Śliczna nazwa. To twój pomysł?

- Nie, Maria. Jest Apaczem z plemienia Jicarillo. Jego prawdziwe imię brzmi Marlon Skrawek Nieba. Nie lubił Marlona, więc kilka lat temu przechrzcił się na Maria. Kiedy szukaliśmy nazwy dla naszej galerii, podsunął ten pomysł. I rzeczywiście, lepiej nie mogliśmy jej nazwać.

- Nie wiedziałem, że pochodzi z plemienia Jicarillo. -Dale przemówił po raz pierwszy od dłuższej chwili. - To wyjaśnia parę spraw. Dlaczego nigdy o tym nie wspomniałeś, Robercie?

- Bo nie pytałeś. - Zatrzymuje samochód. - Imiona ani nazwiska nie odgrywają w Robinia Meadows aż tak wielkiej roli, prawda? - Uśmiecha się do mnie. - U nas możesz być, kim zechcesz, Arabello. Pewnie sama zdążyłaś już to zauważyć. Wolisz najpierw rozejrzeć się po galerii czy zaczynamy od wizyty w kaplicy?

- Oczywiście, że najpierw galeria!

Nie jestem wielką miłośniczką sztuki, ale widzę, że Robert nie może się doczekać, by mnie oprowadzić po galerii, która jest jego oczkiem w głowie. Nie mogę mu sprawić przykrości. Za to Dale nie ma takich oporów.

- Nie obraż się, ale zostanę w samochodzie. Muszę wykonać parę telefonów.

Jedynym znakiem obecności człowieka w chłodnym, białym wnętrzu jest ciche łkanie jakiegoś jazzowego instrumentu, którego nie potrafię zlokalizować.

- Mario pojawi się tu dzisiaj?

- Nie, wyjechał odwiedzić rodziców. - Robert uśmiecha się z rozczeniem. Zniża głos. - Wiesz, to dzięki twojej mamie jesteśmy razem.

I znowu ogarnia mnie to samo dziwaczne uczucie co wtedy, gdy Gina opowiadała, jak Eve pomogła jej rzucić męża-drania.

- Jak to zrobiła? - pytam, choć znam już tę historię.

- Pewnie opowiadała ci, jak się poznaliśmy w tamtym cholernym grajdole gdzieś na zadupiu. - Wzdryga się. -Przepraszam za mocne słowa, ale inaczej tego nie można opisać.

- Wiem, co się wydarzyło w barze, w którym pracował Mario.

- Byłem załamany, wiesz? Kochałem Maria nad życie. Nigdy nikogo tak nie kochałem jak jego. Nawet matki. A już na pewno żony. Mój świat stanął na głowie. Przecież miałem żonę i nigdy, przenigdy nawet nie spojrzałem na faceta, a przynajmniej tak mi się wydawało, dopóki w mieście nie pojawił się Mario. - Robert uśmiecha się do wspomnień. -Przyznałem się żonie. Ku memu zdumieniu, oczywiście gdy się pozbierała po pierwszym szoku, zachowała się naprawdę na poziomie. A choć Mario i ja bardzo uważaliśmy, a w każdym razie tak sądziliśmy, w mieście zaczęły krążyć plotki i niektórym tak zwanym porządnym obywatelom bardzo się to nie spodobało. Naprawdę obawiałem się o życie Maria. Byłem nawet gotów się wycofać; bo z natury jestem tchórzem, ale wtedy zjawiała się twoja matka i ostudziła tamtych byczków. Zaraz potem przybiegł do mnie Mario i postawił mi ultimatum: albo razem opuścimy miasto, albo się rozstajemy, więc wyjechaliśmy. Reszta jest historią. A wszystko to zawdzięczamy Eve.

- Skoro mieszkańcy tej dziury tak wam zatruwali życie, pewnie i tak wcześniej czy później byście się stamtąd wynieśli?

- Wątpię. Miałem tam firmę. I, jak ci wspomniałem, jestem strasznym tchórzem, Mario zresztą też. Łatwiej byłoby się poddać. Sądzę, że nie ruszyłbym się stamtąd, gdyby nie interwencja twojej mamy, która z kolei doprowadziła do ultimatum Maria. To był efekt domina. A bodźcem stała się jej odwaga.

Nie mam zielonego pojęcia o sztuce, więc kiedy Robert oprowadza mnie po galerii, strasznie muszę główkować, by wymyślać

inteligentne komentarze, ukrywając rozmiary swojej ignorancji. Dlatego przede wszystkim rozpięgam się nad atmosferą spokoju i harmonii. Zachwycony Robert gładko przelżyka pochwały. Pokazuje mi specjalne szyby wentylacyjne, skomplikowany mechanizm klimatyzacji i wyjaśnia, że -aby zapewnić właściwą ekspozycję większym obrazom - musieli wyburzyć strop i podwyższyć sufit pomiędzy parterem a pierwszym piętrzem. Przestrzeń nad nim wykorzystują na składzik.

- Da się tam wejść, tylko trzeba się czołgać. Trzymamy tam część płócien.

Ta przebudowa była konieczna. Niektóre obrazy faktycznie są olbrzymie, na przykład trzy metry na dwa i pół. Stoi też jedna drewniana rzeźba, mająca dobre pięć metrów wysokości. Najbardziej dziwaczne wydają mi się tytuły: „Wierzchołek XIII” czytam przy płótnie przedstawiającym po prostu skośną ciemnoniebieską - a może granatową - kreskę na białym tle, biegnącą od lewego dolnego do prawego górnego rogu. „Inercja R” zaś to nic innego jak żółte i szare kleksy na fioletowym tle.

Robert nie traktuje mnie protekcjonalnie, więc ośmielona odważam się zapytać o znaczenie szerokiej na półtora metra i wysokiej na metr rzeźby „Ergo Est”. To coś w rodzaju metalowego, lśniącego, bardzo podziurawionego cedzaka bez uchwyty, z którego wycieka gęsty, też szary -dokładnie w kolorze cedzaka - mętny muł.

- Tytuł to łacińskie zdanie, oznaczające „oto jest” - wyjaśnia z entuzjazmem Robert. - Autor zapewne dokładnie by ci wytłumaczył,

co chciał ukazać w swoim dziele, ja uważam to za naprawdę sprytny pomysł. Sądzisz, że widzisz coś, co doskonale znasz, a wcale nie możesz być tego pewien.

- Rozumiem.

Znowu się uśmiecha. Pewnie przejrzał moją maskę Alicji w Krainie Czarów, ale zachowuje się bardzo taktownie.

- Każdy na swój sposób odbiera sztukę. Akurat o znaczenie tej rzeźby pytało sporo osób. Zgodnie z intencją autora powinna stać na zewnątrz, tutaj się marnuje. Spróbuj ją sobie wyobrazić, Arabello, na tle gęstych krzewów. - Odsuwa się, by popatrzeć na nią z właściwej perspektywy. - Albo w dużej oranżerii. Albo, gdyby kupił ją ktoś stąd, ustawioną na tle tych niesamowitych, czerwonych skał.

- O, tak. Teraz to widzę.

Przytakuję z powagą, mając pewność, że nikt przy zdrowych zmysłach nie wydałby na to takiej furi pieniędzy. Rzeźba kosztuje dwadzieścia osiem tysięcy dolarów.

- Jesteś przemiły, Robercie - mówię impulsywnie. - Mario to prawdziwy szczęściarz.

- A! I tu się mylisz. To ja jestem szczęściarzem. On mógłby mieć każdego, na kogo by spojrzeć. Wciąż nie mieści mi się w głowie, że wybrał właśnie mnie.

Potem, może trochę zażenowany swoją szczerością, schyla się po jakiś pyłek, który osiadł na kamieniu. Nie chcę pchać się z buciorami w jego życie osobiste, więc znowu skupiam się na sztuce.

Wciąż jeszcze próbuję zrozumieć, jaki rozsądny człowiek może wyłożyć tyle szmalu na coś tak obrzydliwego, gdy w jednej z białych ścian cicho otwierają się drzwi i pojawia się w nich kobieta z plikiem kartek.

- Robert! Tak mi się wydawało, że słyszę twój głos. Była żona Roberta okazuje się od niego wyższa. Ja też czuję się przy niej malutka. Jest ubrana w granatowy żakiet, krótką białą spódnicę i czarne lakierki. Wygląda na znacznie młodszą (lifting?) od Roberta. Ten przedstawia mnie jako przyjaciółkę Dale'a, wymieniamy uścisk dłoni - ale najpierw kobieta obrzuca mnie krytycznym spojrzeniem (cóż, jak uczy przysłowie, uczciwa zamiana to nie rozbój).

- Miło mi - odzywa się przyjaźnie. - Witamy w Sedonie.  
Straszny dziś skwar, he?

- Nie da się ukryć - przyznaję.

Wizyta w galerii to dla mnie świetna lekcja - nie tylko sztuki współczesnej. Nie wyobrażam sobie Irlandki, utrzymującej przyjazne stosunki ze swoim byłym mężem i do tego jeszcze pracującej u niego, chociaż okazał się gejem i rzucił ją dla Maria-Marlona. A może po prostu to ja wciąż żyję w średniowieczu i nie zauważyłam, że w Irlandii również dokonał się przełom obyczajowy?

- Które obrazy są twoje, jeśli wolno spytać?

- Och, mnie skazują na strefę niskich cen.

Pokazuje ścianę po przekątnej, gdzie wisi osiem pejzaży, w większości przedstawiających słynne skały Arizony.

- Trzeba przyznać, że szybko schodzą. - Posyła Robertowi spojrzenie, którego nie potrafię rozszyfrować. - Miło było cię poznać, Arabello. Mam na linii rozmówcę. Kiedy już skończysz, Robercie, mógłbyś na chwilę wpaść do biura? Trzeba przejrzeć te papiery. Zdaje się, że pojawiły się jakieś zaległości.

- Jasne, złotko. - Kiedy kobieta znika, Robert przepraszająco wzrusza ramionami. - Głupio wyszło, ale obowiązki to obowiązki...

- Nie przejmuj się. Do odebrania Mary zostało jeszcze mnóstwo czasu, a ja chętnie powłóczę się po sklepach.

- Czuję, że to trochę potrwa. Moja była rzadko tu zagłada, a kiedy już się pojawi, daje mi wycisk. Poczekaj tu, skarbie. Rozgość się, a ja skoczę do Dale'a i ustalimy, jak z tego wybrnąć.

Przez witrynę widzę, jak Dale, oparty o samochód, z ożywieniem rozmawia przez komórkę. Kiedy zbliża się do niego Robert, kończy rozmowę i chowa telefon. Ten facet jest taki sam jak niemal wszyscy mieszkańcy Robinia Meadows, którzy pod zewnętrzną powłoką normalności ukrywają swoje prawdziwe wnętrze. Założę się, że prowadzi podwójne życie.

Obaj mężczyźni spoglądają w stronę galerii i machają do mnie. Potem Robert podnosi rękę i przybiega.

- Wszystko ustalone - oświadczają. - Zawiezie cię do kaplicy Świętego Krzyża. Po prostu musisz to zobaczyć. Jesteś katoliczką, prawda?

- Mhm.

- To bez znaczenia. To miejsce działa na wszystkich: hinduistów, żydów... Widywałem nawet zatwardziałyach ateistów, którzy wychodzili stamtąd z niewyraźnymi minami. Miłej zabawy. W drodze powrotnej wstapicie po mnie. Do tej pory powinienem już się uporać z papierkową robotą, zjemy we trójkę lunch i pojedziemy do szpitala. Odpowiada ci to?

- Oczywiście. Tylko czy Dale poradzi sobie z prowadzeniem wozu?

- Skarbie, po tym jego zajechanym rzęchu prowadzenie mojego samochodu to bułka z masłem. Nie pojmuję, dlaczego nie kupi sobie nowej bryki. Zresztą ja mam automatyczną skrzynię biegów, więc poradzi sobie jedną ręką.



---

## Rozdział 46

---

Dziesięciominutowa jazda spod galerii Roberta do kaplicy minęła mi na próbach zagajenia i podtrzymania konwersacji. Niektóre były w miarę udane (galeria Roberta jest wspaniała), inne już nieco mniej (czyż to nie ciekawe, że Mario okazał się Apaczem? Dobrze zrozumiałam Roberta, prawda? A ty wtedy powiedziałaś: „To wyjaśnia parę spraw” czy coś w tym stylu? Co wyjaśnia?).

- Zawsze jesteś taka dociekliwa, Arabello? Powiedział to z lekkim uśmiechem, więc uznałam, że mogę zignorować przytyk. I zignorowałam.

- Nie ma sprawy, po prostu zaciekawiło mnie to.

- Na ziemiach należących do Jicarillo - Dale zmiękł -znajdują się bogactwa mineralne. Członkowie plemienia, mieszkający na terenie rezerwatu oraz poza nim, dostają pieniądze za prawo eksploatacji tych zasobów. To dlatego sporo portierów w Las Vegas i barmanów na Manhattanie żyje na całkiem niezłej stopie. Mario nie potrzebuje stałej pracy, zwłaszcza jeśli wspiera go Robert. To miałem na myśli.

Nie mogę zadać cisnącego mi się na usta pytania o dochody oraz źródła utrzymania samego Dale'a, bo dojeżdżamy na miejsce i Dale beztrąsko stawia samochód na trzech stanowiskach pustego parkingu. Wsiadamy i przemierzamy pieszo ostatni, stromy odcinek do drzwi kaplicy.

- Wejdz sama.

Dale przysiada na niskim murku, jedynej barierze między nim a pewną śmiercią na dnie urwistego wąwozu.

- Dobrze, że będziesz miała kaplicę tylko dla siebie. Ale uważaj. To miejsce naprawdę robi wrażenie. Niektórzy twierdzą, że to wpływ jednego z pobliskich czakramów, o których tyle się gada.

Już wcześniej słyszałam o owych sławetnych miejscach promieniujących energią - elektryczną czy jaką tam jeszcze -bo wszyscy tu o nich rozprawiają. Teraz, stojąc na pustym placu przed wejściem, zastanawiam się, o co tyle hałasu. Fakt, że powietrze jest tu trochę inne, jakby łaskotało, a poruszam się energiczniej niż zwykle. To pewnie kwestia autosugestii, bo wiem, że tego powinnam się spodziewać, albo po prostu różnicy wysokości. W końcu przecież wtarabanił się prawie na szczyt. Oczywiście przesadzam, ale to dlatego, że humor mi nie dopisuje. Bardzo jestem wdzięczna Robertowi i Dale'owi za ich starania, stokroć bardziej jednak wolałabym spędzić tę godzinę, włócząc się po dziwacznych sklepikach Sedony.

A sama kaplica? Cóż, kiedy podjeżdżaliśmy, nie zrobiła na mnie aż takiego wrażenia. Z dołu wygląda po prostu jak betonowy bunkier z prostym, szarym krzyżem, wciśnięty między czerwone, strome skały. Och i ach, rozpływałam się z zachwytu do Dale'a, który odpowiadał monosylabami albo wcale; w głębi ducha myślałam jednak, że w Irlandii widziałam równie imponujące kaplice, zbudowane na urwistych zboczach, kropka w kropkę jak ta - no, może

z wyjątkiem otaczających ją czerwonych skał. Znam lepsze sposoby spędzania czasu w Ameryce niż zaliczanie cholernych kapliczek.

Jednak zaraz po wejściu do środka zmieniam zdanie. Wnętrze wypełnia cicha melodia chorału gregoriańskiego i czuję ślad zapachu kadzidła. Po warkocie samochodu i stukocie moich obcasów na kamiennym placu cisza i spokój kaplicy otulają mnie niczym czyjeś kojące ramiona.

Siadam w twardej drewnianej ławce.

Nieduża, niezwykle prosta kaplica Świętego Krzyża stanowi przykład triumfu architektury i sztuki inżynierskiej nad naturą, ale to nie talent i subtelność rzemieślników podziwiasz, gdy siedzisz, wpatrując się w przeszkloną ścianę za ołtarzem. Masz bowiem wrażenie, że ulatujesz w powietrze i jest ci dane zobaczyć sam czas, rozplywający się w błękicie wieczności.

Pod ścianą z prawej strony migoczą ogniki świec, czyste, szczerze. Cicha melodia chorału działa niemal hipnotycznie. Salve Regina... Mater misericordiae... Witaj Królowo, Matko miłosierdzia...

Nie mam pojęcia, kiedy ostatni raz przestąpiłam próg kościoła, a Salve jest jedną z nielicznych modlitw, które zapamiętałam z dzieciństwa.

Ad te clamamus exsules filii Evae... Do Ciebie wołamy, wygnańcy, dzieci Ewy... - tak, to my, wszystko się zgadza.

Zdumiona słyszę, jak cichym szeptem modlę się słowami „Zdrowaś Mario”, prosząc o ukojenie dla naszej trójki. Dla nas wszystkich.

I wtedy widzę orła. Unosi się w powietrzu, zataczając szerokie, niespieszne kręgi nad pustkowiem. W tej samej chwili, nie wiem jak ani skąd, przychodzi świadomość, że mój ojciec nie żyje. Wiem to z równie niezachwianą pewnością, jak to, że nazywam się Arabella Moraghan. Przeżywam nagłe objawienie. Walczę z nim, ale okazuje się silniejsze. Ojciec jest tutaj. Jest ze mną. Żałuje.

Kocha mnie.

Przed oczami mam mgłę. Nie obchodzi mnie, czy ktoś wejdzie i zobaczy, jaką idiotkę znów z siebie zrobię. Zrywam się, grzebię w torebce, znajduję banknot pięciodolarowy. Potykając się, dopadam do stelaża ze świeczkami i wpycham banknot w szparę skarbonki. Potem zapalam świeczkę za mojego ojca.

Po chwili wracam na miejsce. Przeszklona ściana za ołtarzem rozmywa mi się przed oczyma i z trudem śledzę lot orła. Płomyk mojej świeczki - czwartej od lewej w ostatnim rzędzie - wystrzela w górę, rozrasta się, przypomina buchający płomień ogniska; nie rozróżniam już pojedynczych nut chorału, łączą się w jeden, potężny dźwięk - rozsadzające uszy bicie katedralnego dzwonu. Dźwięk oczyszcza mnie i obmywa bólem.

Dudnienie dzwonu gaśnie, chorał - O clemens! O pia! O dulcis Virgo Maria! - dźwięczy w uszach znajomą nutą, znów widzę wszystko czysto i wyraźnie, a płomyk mojej świeczki pali się równo i spokojnie.

Skończyło się Salve. Zaczyna się Credo. Ręce i nogi mam jak z waty. Muszę poczekać, aż odzyskam siły.

Orzeł zniknął.

Dale zauważa mnie, gdy wychodzę z kaplicy, ale - chyba świadomie - odwraca wzrok od moich zaczerwienionych oczu i spogląda na pobliski szczyt.

- Widzisz tego orła? - Wskazuje na ptaka (mojego ptaka?), który kołuje przy ścianie tuż pod szczytem. - Zwykle latają we dwójkę. To para. Co prawda mamy dopiero kwiecień, ale może już wykluły im się małe.

- Widziałam go, siedząc w kaplicy. A to był ten drugi? - odpowiadam chrapliwie.

Roślinność jest tu tak uboga, że dreszczu przebiegającego mi po plecach nie mogę tłumaczyć podmuchem ciepłego wiatru, kołyszącego liśćmi na krzaku.

- Może. - Dale nie odrywa wzroku od orła. - Niewykluczone. Z tej odległości trudno powiedzieć. A tak w ogóle, nazywał się Frank Lloyd Wright.

- Kto?

- Architekt.

- Aha.

Nie mam pojęcia, o kim mówi, i waham się, jak poprowadzić rozmowę. Wydaje mi się, że powinny paść teraz jakieś ważne słowa, adekwatne do tego, co właśnie przeżyłam, i boję się, że mówiąc o tym, zniszczę coś bardzo mojego, świeżego, osobistego. To, co teraz czuję, można by porównać do połaci czystego, dziewiczego śniegu. Nie cha go kalać jakimkolwiek śladem czy znakiem.

Wyraźnie czuję zapach Dale'a: woń cytryny, świeżego potu i środka dezynfekującego, którym przemyto szwy. Mo że to skutek wyczerpania emocjonalnego, ale ogarnia mnie nieprzeparte pragnienie, by przytulić się do niego, oprzeć głowę na jego torsie.

Przerażona cofam się o krok.

- To jak? Gotowa, możemy wracać?

Głos ma zduszony, zaciska rękę na chorym ramieniu. Nie rusza się z miejsca.

I ja też. Nie mogę. Podeszwy aż mnie szczypią z wysiłku gdy bezskutecznie próbuję oderwać stopy od ziemi. Pragnie nie dotknięcia Dale'a staje się jeszcze silniejsze. Jest tak samo spięty jak ja. Wiem to, bo widzę, jak drga mu mięsień przy uchu. Co, do diaska, robić?

Ruszaj się! Marsz! Najpierw jedna noga, potem druga Nie umiesz chodzić, oślisko?

- Idiotyczne.

- Co jest idiotyczne?

To przywołuje go do rzeczywistości.

- To. Nic. Coś... - Milknę, widząc jego spojrzenie. Podejmuję ostatnią desperacką próbę, a z ust wydobywa mi się tylko szept. - Powinniśmy wracać. Robert pewnie już czeka. Nie wy pada, żeby na nas...

Nie wiem, jak opisać to, co dzieje się potem, by nie zabrzmiało to kiczowato ani romansowo - ale Dale chwyta mnie w ramiona.

- Twój obojczyk... Uważaj na...

Moje słowa giną, stłumione jego pocałunkiem. Jak całuje?

Mocno, nagle, z żarem. Każda komórka mojego ciała też drży z głodu i pragnienia. Jest mi gorąco i zimno, czuję ekstazę i strach, jestem obolała z uniesienia; jestem... do diaska, każdym wyobraźmalnym uczuciem i doznaniem. A kiedy Dale przerywa pocałunek, nogi się pode mną uginają z pożądania.

Stoimy, patrząc na siebie. Gdzieś w dolinie u naszych stóp krzyczy, woła - czy co tam robią orły - nasz ptak, ale żadne z nas nawet się nie ogląda, by sprawdzić dlaczego. Dale drży. Ja też. Ja drzę z pożądania. Nie śmiem myśleć, z jakiego powodu drży Dale.

- Arabello...

Zakrywam mu usta dłonią z takim impetem, że bardziej przypomina to uderzenie.

- Jeśli powiesz, że przepraszasz, zabiję cię! Odczekuję chwilę i cofam dłoń.

- Należysz do innego.

Stoi nieruchomo. Parskam gorzkim śmiechem.

- Naprawdę tak sądzisz? Po tym, co się właśnie wydarzyło, naprawdę tak uważasz?

Na parking wjeżdża jakiś samochód.

- Chodźmy!

Dale odwraca się i rusza w dół. Nie mam wyboru, idę za nim.

W drodze powrotnej - prawie cały czas z górki - prowadzi samochód Roberta bardzo ostrożnie, nie przekraczając trzydziestu kilometrów na godzinę, co chwila przyhamowując i nie przejmując się zniecierpliwionym kierowcą ciężarówki depczącej nam po piętach.

Ilekcroć odważam się spojrzeć na niego, widzę pulsujący mięsień kolo ucha.

Mijamy szeroki podjazd do jakiegoś hotelu. Wtem, bez uprzedzenia, bez włączenia kierunkowskazu, Dale skręca na parking. Ku mojemu zdumieniu odwzajemnia wulgarny gest wyprostowanego palca, którym raczy nas wściekły kierowca ciężarówki. Potem zwiesza głowę.

- Przestań tak na mnie patrzeć, Arabello.

- Jak? Przecież patrzę całkiem normalnie.

- Nie, nie normalnie. - Podnosi głowę i bierze mnie za rękę. - Nie zmienimy tego, co się tam wydarzyło. A choć życie mi miłe, zaryzykuję - uśmiecha się - i powiem to: przepraszam. Nie powinienem był tak się na ciebie rzucać, ale marzyłem o tym od drugiego dnia twojego pobytu.

- A nie od pierwszego?

Przymknij się. Ten jeden raz daruj sobie te genialne riposty. Dale tylko wybucha śmiechem.

- Z całą pewnością nie od pierwszego! Szczerze, Arabello? Kiedy zobaczyłem na lotnisku ciebie i twoją siostrę, miałem ochotę wziąć nogi za pas i uciec aż do Nowego Meksyku.

- Dlaczego?

- Nic ci do tego. - Poważnieje. - Tam, na górze mówiłem serio. Nie zadaję się z kobietami innych facetów. Taką mam zasadę.

- Powiedziałałam Jimmy'emu...



- Może tak, może nie, już takie mam zasady - powtarza, zasłaniając mi usta ręką i błyskawicznie ją cofając.

Wrzuca wsteczny i wyjeżdżamy z parkingu; nie mogę się zdecydować, co jest silniejsze: pragnienie dokopania mu czy dziwne uczucie łaskotania na dnie żołądka.

Robert czeka na nas przed galerią. Dale opuszcza szybę od swojej strony.

- Spóźniliśmy się?

- Nie, nie, wcale. - Jest wyraźnie poruszony. - Tylko obawiam się, że z lunchu nici. Dzwoniłem do szpitala, by potwierdzić, że będziemy punktualnie o wpół do czwartej, ale okazało się, że Mary już się wypisała. Powiedzieli, że przyjechał po nią syn i zabrał ją do domu.

---

## Rozdział 47

---

Nie mógłbym powiedzieć, że się obudziłem. To raczej Gina siłą zmusiła mnie do otwarcia powiek.

- Gdzie ja jestem?

Wiem, że to tekst stary jak świat, ale naprawdę dziwacznie się czułem, nie poznając otoczenia.

- W mieszkaniu Dale'a Genschera, choć żadna w tym twoja zasługa. - Nie cacka się i od razu naciera. - Musimy pogadać, tylko nie teraz. Jestem skłonna poczekać, aż wrócisz do siebie. Masz, połknij.

Podaje mi garść tabletek i szklanek wody.

- Co to?

- Lekarz powiedział, że masz je wziąć, i nie radzę ci protestować, Rowanie.

Próbuję jakoś przepchnąć pastylki przez gardło, a Gina mówi coś o jakiejś Mary RR, którą ktoś wczoraj pobił tak, że wylądowała w szpitalu. Kim jest ta cholerna Mary RR? Nie mam siły spytać. Coś mi się telepie w moim rozmięczonym mózgu; wydaje mi się, że znam skądś to imię i coś słyszałem o tej hecy, tylko kiedy i gdzie? Jeśli kobiecina ledwo zipie, to żal mi jej, ale nie potrafię głębiej się przejąć -sam ledwo żyję. Chce mi się rzygać, a morda piecze mnie jak jasny gwint.

Gina otwiera słoik z jakimś zielonym mazidłem.

- A to co?

- Maść przepisana przez lekarza. Unieś głowę. Nie poruszaj się.

Delikatnie smaruje mi policzek. Najpierw piecze, a potem jakby znieczula skórę. I wielkie za to dzięki.

Z powrotem układam się na kanapie Dale'a Genschera. Boję się odezwać. Zresztą co mam powiedzieć? Założę się, że Gina mnie wyręczy. I tak jest.

- Cuchniesz, Rowanie.

- Bardzo dziękuję za przypomnienie. Przechyliła głowę na bok.

- Nie zapytasz, jak się tu znalazłeś?

- Jak się tu znalazłem?

- Zostałeś przyniesiony. Wyobrażasz sobie to upokorzenie? Co sobie wszyscy pomyśleli? Sam środek dnia, wszędzie pełno ludzi, a cię trzeba było zabrać ze śmietnika, załadować do samochodu Roberta i przywieźć tutaj. A potem wtaszczyć do środka.

- Przepraszam.

- Ja myślę, że przepraszasz!

- Przepraszam, przepraszam, przepraszam!, w porządku? - Za duży wysiłek, czacha mi pęka, więc ciąg dalszy mówię już szeptem. - Co jeszcze chcesz usłyszeć?

Mierzy mnie lodowatym spojrzeniem.

- Na przykład, dlaczego zwędziłeś mi butelkę southern comfort.

Milczę, bo co mam powiedzieć? Przecież nie uwierzy, że tego nie planowałem; że samo tak wyszło; przyszedłem rano, żeby z nią pogadać, a kiedy jej nie zastałem w saloniku, pomyślałem, że nawet nie zauważy, a mnie dobrze zrobi łyk czegoś mocniejszego. Klin klinem. Szukałem wódki, a ponieważ nie znalazłem, złapałem

southern comfort. I że kiedy stałem z flaszką w ręku, wydawało mi się, że słyszę, jak wstaje, i tak się przeraziłem, że dałem dyla, zabierając ze sobą likier.

- Czekam, Rowanie.

- Na co?

Jakbym się nie domyślał.

- Mam prawo wiedzieć, czemu uraczyłeś się moim likierem.

- Gino, nie chcesz wiedzieć.

A już na pewno nie powinna wiedzieć, że byłbym w tej chwili gotów czołgać się po tłuczonym szkłe dla jednego drinka. To naprawdę by pomogło. (To udowodnione, że nie można raptownie odstawić alkoholu. To za duży szok dla organizmu, niebezpieczne). I twarz mniej by mnie bolała. Kurwa mać, muszę się napić.

- Możemy o tym porozmawiać innym razem? Nie masz pojęcia, jak okropnie się czuję. Pod każdym względem.

- Dobra - mięknie. - Ale wróćmy do tej rozmowy. Możesz być tego pewny.

- Jeśli zamierzasz w ten sposób mnie traktować...

- Nie odstawiaj mi tu skrzywdzonego niewiniątka.

Zmuszam się, by usiąść, i natychmiast opadam na kanapę, bo mam wrażenie, jakbym z obu stron zaliczył potężnego plaskacza.

- Idź już sobie. Zostaw mnie. Zdrzemnę się trochę, a potem wyniosę i raz na zawsze będziesz mnie miała z bani.

- Nie tego chcę. Nie chcę mieć cię z bani. Sądziłam, że łączy nas coś naprawdę fajnego.

- Ja też tak sądziłem. Najwyraźniej się pomyliliśmy. Jestem zły. Jestem zerem. Ble, ble, ble. Wyręczyłem cię?

- Rowan, przestań.

- To czego ode mnie chcesz? - Podnoszę głos i omal nie przyplącam tego życiem.

- Chcę tamtego cudownego Rowana, który przedwczoraj się ze mną kochał. - Ona też podnosi głos. Podrywa się z krzesła. - Chcę Rowana, który potrafił mnie rozśmieszyć swoimi szalonymi historiami, mojego irlandzkiego kochanka. A nie tego... tej żalosalnej parodii człowieka.

- Obiecałem, że się zmyję - mówię ze znużeniem. - Błagam, Gino. Błagam, idź sobie i pozwól mi się wyspać. Dłużej już nie mogę. Ile razy mam ci powtarzać, że jestem chory!

Obraca się na pięcie i przez chwilę krąży po przyczepie jak lew po klatce. Potem znów siada obok mnie.

- Przepraszam. Nie panowałam nad sobą.

Siedzi tuż przy mnie. Czuję ciepło jej ciała na moim spieczonym policzku.

- Och, Rowanie - szepce smutno - dlaczego to sobie robisz? To nie pierwszy raz, prawda?

- Nie pierwszy.

Gapię się w sufit. Nie mam pojęcia, do czego zmierza Gina, ale nie ma sensu kłamać.

- Lubisz mnie?

- A jak sądzisz?

Mobilizuję wszystkie siły i odwracam się w jej stronę.

- Sądzę, że tak. Sądzę, że mieliśmy szansę na coś naprawdę dobrego razem.

- A ja wszystko spieprzyłem, zgadza się? Słuchaj, Gina. Dzięki, że się mną zaopiekowałaś, obiecuję, że więcej nie będziesz musiała tego robić. Słowo. Nie zamierzam się nad tym rozwodzić i więcej przeproszać. Albo, kurwa, mi wierzysz, albo, kurwa, nie. Przepraszam za słownictwo, ale naprawdę mam to wszystko w dupie.

- Nie twoje słownictwo mnie teraz najbardziej martwi - odpowiada cicho. - Potrzebujesz pomocy, żeby zrobić coś ze swoim piciem.

W duchu głośno jęczę. Słyszę to już drugi raz w ciągu ostatnich paru godzin. Gina przygląda mi się, czekając na odpowiedź. Czuję się z nią bezpiecznie. A w każdym razie czułem. Może spróbować zaufać jej po raz drugi? Zresztą teraz nie mam już nic do stracenia.

- Może to i pomysł?

- Mówisz to dlatego, że okropnie się czujesz, czy żeby ze mną się zejść? Szczerze chcesz się uporać z tym problemem?

- Na pierwsze odpowiedź brzmi: nie wiem. Na drugie: nie, bo wiem, że i tak nic z tego nie będzie. Na trzecie: tak, bo naprawdę chcę zrobić z tym porządek. To samo powiedziała mi w nocy matka. A ja sam też ostatnio to sobie mówiłem.

- To już jakiś początek. Doskonale - oświadcza zupełnie innym tonem. - Przyznanie się, że masz problem, to pierwszy krok.

- Wiem, nie jestem głupi. Obudziła się w tobie pani kurator. Litości, oszczędź mi tego. - Twarz pulsuje mi z bólu, oczy nie wytrzymują ostrych promieni słońca, wpadających przez okno, więc zasłaniam je ręką. - A teraz pójdziesz i zostawisz mnie w spokoju? Nie żartuję, Gino. Proszę.

Zaskakuje mnie.

- Masz piękne dłonie, Rowanie - odzywa się cicho. - To jedna z wielu rzeczy, które u ciebie lubię.

Zdumiony otwieram oczy i patrzę na nią. Chyba mówi serio.

Jak żyję, nikt, ale to nikt nigdy nie zachwycał się moimi dłońmi. Do tej pory ręce kojarzyły mi się tylko z wrzaskiem „Moraghan, wyciągaj łapy”, któremu towarzyszyło smagnięcie pasa albo różgi. Jeden z tych sadystów rozszczepił bambusowy kij i obie witki owinał kablem, więc dostawało się podwójnie: każde uderzenie jednocześnie piekło i sprawiało ból. Prawda, jaki racjonalizatorski pomysł?

Mam na końcu języka pytanie, co tak jej się podoba w moich rękach, i przy okazji chciałbym opowiedzieć Ginie o tamtym, tylko coś mnie powstrzymuje. Chyba wyraz jej twarzy. Jest taka smutna.

Ostrożnie ujmuję jej dłoń. Po wcześniejszym komplemente czuję się trochę onieśmielony i skrępowany, wyciągając rękę, ale to w sumie dość przyjemne.

- Możesz mi wybaczyć? Możemy zacząć od nowa? Wstrzymuję oddech. Naprawdę bardzo bym tego chciał, myślę. Pozwalam sobie nawet na nieśmiałą nadzieję, że Gina na to pójdzie, lecz ona tylko dalej smutno na mnie patrzy.

- To nie jest odpowiedni moment. Miałaś rację, gdy to mówiłaś.

- Jasne. Kapuję.

Wypuszczam jej rękę. Głęboko nabiera tchu, a potem wbija wzrok w dłoń.

- Jak wiesz, jeśli chodzi o facetów, nie grzeszyłam szczególnym wyczuciem, więc stałam się dość ostrożna... Ale, tak, chyba zdołam ci wybaczyć, jeśli naprawdę postarasz się zrobić porządek z piciem. W końcu tak naprawdę mnie nie wyrządziłaś większej krzywdy.

Największą krzywdę wyrządzasz sobie.

- Masz rację.

Skinałbym głowę, gdyby mi tak nie pękała. Gdzieś w piersi coś zaczyna nieśmiało kielkować. Nadzieja?

- Przypieczętujemy to buziakiem?

Próbuję uśmiechnąć się uwodzicielsko, tylko że ni choroby mi nie idzie.

- Hola! Nie marzę, żeby mieć twarz w szlamie.

Ale parska śmiechem. Patrzymy na siebie i wiem, że o parę kroków zbliżyliśmy się do tego, co jeszcze niedawno nas łączyło. Chce mi się śpiewać. Gina pierwsza wraca do rzeczywistości.

- Nie chcę cię straszyć - mówi - jednak to poparzenie jest naprawdę paskudne. Chyba powinniśmy pojechać do szpitala. Niech tam cię zbadają. Nie mam nic do naszego lekarza z ośrodka, ale powinien na to zerknąć specjalista od oparzeń.

Na samą myśl o ruszeniu się z kanapy mój brzuch ogłasza stan alarmowy.



- Nic chrobokom nie będzie.
- Nie widziałeś swojej twarzy. Za to ja właśnie na nią patrzę.

Chcesz wiedzieć, jak wygląda?

- Przeżyję bez tej informacji.
- W gorszej części nawet nie widać oka. - Gina nie odpuszcza. -

Oglądałeś „Shreka”?

-Nie.

- To zielony, odrażający stwór, a przy tobie wyglądałby jak Mister Universum. Wyglądasz jak meduza z purchlami.

- Ach, jak mam ci dziękować.

- Słuchaj, naprawdę się boję, że te pęcherze popękają i wda się zakażenie. - Wstaje i z haczyka na drzwiach zdejmuje klucze. - Możesz wybierać. Albo pozwolisz się zawieźć do szpitala, albo wezwę karetkę, powiem, gdzie leżysz, i dalej sam będziesz musiał sobie radzić. Nie chcę brać na siebie odpowiedzialności za twoje zdrowie. Jestem kuratorem społecznym, a nie lekarzem. Z drugiej strony, nie chcę też mieć cię na sumieniu.

- Gino, mam mdłości. A jeśli obrzygam samochód?

- Będę jechała powolutku. Kiedy zaczniesz robić niedobrze, będziemy się zatrzymywać.

Jakimś cudem udaje mi się wstać, a kiedy pokój wokół mnie przestaje wirować, widzę przed sobą Ginę, która podaje mi szklankę z jakimś różowym świństwem, które zalecił lekarz. Smakuje toto jak pasta do zębów, ale jakoś wypijam.

- Teraz jeszcze to. - Dostaję następną szklanę, tym razem z jakąś mętą wodą. - To woda z solą i cukrem. Jesteś odwodniony. Naleję ci też do butelki, będziesz mógł popijać w samochodzie.

- Gino? -Tak?

- Proszę, możemy zacząć od nowa? Bardzo przepraszam. Stoimy tuż obok siebie i czuję autentyczny, fizyczny ból.

Przepełniają mnie wstyd, upokorzenie i wyrzuty sumienia, ale wraca też dziwne ni to łaskotanie, ni to klucie pod żebrami, które zapewne oznacza, że się zakochałem, choć na razie oboje unikamy tego słowa jak diabeł święconej wody.

- A picie? - Gina ściąga brwi.

- Powiedziałem ci, że będę szukał pomocy. Nie bajeruję.

- Wiesz co? Zaczynam się zastanawiać, czy to dobry pomysł, żebyś wziął tę pracę w barze.

- Jak uważasz.

Jestem zbitym kundlem i zrobię, co każe, byleby tylko z powrotem mnie przyjęła.

- Choć, z drugiej strony, nikt tak szybko nie zauważy pierwszych objawów jak ludzie pracujący w barze.

- Święte słowa.

- Przestań mi przytakiwać, do cholery!

- Zakleń! - Zbieram resztki sił. - Nie wierzę, Gina zakleń!

- Przymknij się! Przestań!

Ale wiem już, że pierwszą potyczkę wygrałem. Najchętniej porwałbym ją teraz w ramiona i wyściskał do utraty tchu, jednak w

obecnym stanie to wysiłek ponad moje możliwości, więc muszę zadowolić się przytuleniem jej „na niedźwiadka”.

- Rowan, puszczaj! Udusisz mnie! - Próbuje się wyrwać, a kiedy ją puszczam, jest czerwona jak burak, ale uśmiechnięta. - Uważaj, sam nie wiesz, jaką masz krzepę, Rowanie Moraghan.

- A przecież ledwo stoję na nogach! Wyobraź sobie, jak będę cię ścisnął, kiedy już odzyskam formę.

- Wyobrażam sobie!

- Naprawdę mi przebaczyłaś? Muskam jej policzek.

- Na razie. Jednak nie myśl, że to już zapomniane. W najbliższym czasie utniemy sobie dłuższą pogawędkę na temat zasadnicze.

- Dziękuję, Gino. Nie jestem ciebie wart.

Ściskam ją, tym razem delikatniej, i czuję, jak tamto dziwne łaskotanie i klucie promieniuje na całe ciało.

Kochałem Caroline, chociaż zdawałem sobie sprawę, że nie możemy sobie do końca ufać. Oboje żyliśmy na krawędzi i nie wiedzieliśmy, co przyniesie następna chwila. Jasne, snuliśmy plany, ale choć myślałem o nich i mówiłem z entuzjazmem, choć robiłem, co w mojej mocy, by je zrealizować, nigdy nie potrafiłem sobie wyobrazić, jak się spełniają. I trudno było się dziwić, jeśli wziąć pod uwagę nasze życiorysy. Znaliśmy się od najgorszej strony i akceptowaliśmy to, bo nie mieliśmy innego wyjścia. Nie wiązaliśmy ze sobą szczególnych nadziei.

Ten związek jest inny. Już teraz czuję, że głębszy, uczciwszy. Gina zdążyła mnie poznać od najgorszej - no, prawie najgorszej - strony i jest rozczarowana. Będzie wymagać ode mnie więcej, niż w całym dotychczasowym życiu komukolwiek z siebie dałem. Dzięki niej będę wyznaczał sobie cele.

I da mi szansę...

Wy pewnie nic z tego nie jarzycie, myślicie, że to taka świeża sprawa, ale dla mnie to ma sens. A Gina tak niesamowicie się stara, że dla niej też to musi mieć sens. Podnosi moją rękę i całuje.

- Nie licz, że będę teraz całować tę zakazaną gębę. No, dość tej zabawy, w drogę.

Kiedy wychodzimy z klimatyzowanego mieszkania, upał zwała mnie z nóg. Mam wrażenie, jakby, ku... - choroba jasna - ktoś ścisnął mi twarz rozpalonym imadłem, a kiedy Gina włącza na maksa klimatyzację w samochodzie, chłód okazuje się równie dotkliwy. Jednak trzeba przyznać, że dotrzymuje słowa i człapie się z prędkością kilkunastu kilometrów na godzinę, dopóki nagle nie daje po hamulcach tak ostro, że nawet przy tej prędkości omal nie walę głową w szybę.

- Co, do...?

- A to co ma znaczyć?

Uwala się na mnie, niemal wywieszając się przez szybę od mojej strony. Ja widzę tylko kilka przyczep, gościa, który myje wóz, jakichś ludzi nierobiących niczego nadzwyczajnego, taryfę z uchylonymi tylnymi drzwiami i faceta, który płaci taksówkarzowi.

- O co ci chodzi? Ja nie widzę niczego podejrzanego.

- Z tej taksówki wysiada Mary. A Eddie płaci za kurs. Co on tutaj robi?

Poznaję ją po ciuchach, widziałem ten zestaw na urodzinach Arabelli. Nie sposób go zapomnieć: góra to namiot w duże kwiaty, do tego gigantyczne džinsy upstrzone brokatem. Nawet gdybym zapamiętał twarz tej Mary, teraz bym jej nie poznał: wygląda, jakby ktoś ją przepuścił przez maszynkę do mięsa. Długie, potargane włosy dopełniają tego obrazu nędzy i rozpacz. Żal mi kobieciny.

- Mary? Mówiłaś, że leży na łożu śmierci.

- Nic takiego nie twierdziłam.

Gina wyskakuje z samochodu i powłócząc nogą, biegnie do taksówki. Wymachuje rękami i krzyczy.

Nie wiem, dlaczego to robię - przecież czuję się jak wyżęta szmata - ale wysiadam za nią. Oczywiście wlokę się jak żółw, więc gdy ją doganiam, taksówki już nie ma, a czerwona ze złości Gina wydziera się na Eddiego. Nawet klnie.

- Wynoś się, sukinsynu! Nic tu po tobie! Jeśli w ciągu pół minuty się stąd nie zabierzesz, wezwę policję! Albo nie, wzywam radiowóz już teraz!

Chce odejść, a wtedy tamten typek, Eddie, dość mocno chwyta ją za ramię. Gina szarpie się, bezskutecznie próbując się wyrwać.

- Puszczaj! To boli!

Cóż, chyba nie mogę tego tolerować, nie? Tylko że z drugiej strony w obecnym stanie nie nadaję się do bójki.

- Puść ją, przyjacielu - odzywam się pojednawczo, podchodząc do niego i kładąc mu rękę na ramieniu. Jakbym dotykał żelaza.

Gostka nie można lekceważyć, myślę, ale mam nad nim przewagę; po pierwsze, jestem od niego wyższy o głowę, po drugie, jestem dublińczykiem. A przedmiotu „uliczne bójki” uczyłem się u mistrza nad mistrzami.

- A ty co za jeden? - Eddie nie puszcza Giny. - Skąd wytrzasnąłaś tego dziwoląga? Z cyrku?

Zdejmuję mu rękę z ramienia i przysuwam się bliżej, tak że stoimy w ciasnym trójkącie.

- Jestem przyjacielem Giny - odzywam się, nie dopuszczając jej do głosu i prostując się na całą wysokość, co nie jest łatwe, bo natychmiast zaczyna mi się gotować w żołądku. Na szczęście dostaję kopa adrenaliny. - A jeśli chcesz wyjechać stąd w jednym kawałku, zabierz od niej te łapska, złamasie. Rozumiemy się? Teraz nie masz do czynienia z bezbronną staruszką, tylko ze mną.

Kobiecina - twarz ma we wszystkich kolorach tęczy i do kompletu opatrunek na głowie - zaczyna chlipać.

-Eddie, chodźmy do środka. Proszę. Wystarczy już... Błagam.

Gina chce coś powiedzieć, ale ja nagle odzyskuję siły.

- Przymknij się, Gina!

Nawet twarz przestaje mnie piec. To cudowne, nie, boskie uczucie: kontrolować sytuację. Wszystkie rany i bójki mojego dotychczasowego życia sprowadziły się do konfrontacji z tym łachudrą. Nie wiem, co właściwie zrobił - byłem półprzytomny, kiedy

Gina mi mówiła - ale jeśli to on tak urządził Mary i jeśli wkurzył Ginę, to mi wystarcza. Kobięcina płacze, nawet nie ukrywa łez. Nikt nie ma prawa doprowadzać starszych pań do łez.

Goszek marszczy brwi, kombinuje, co robić. Jest całkiem młody, ma świńskie oczka. Szajbus załatwiłby go jedną ręką. I ja też mogę.

- Zostaw to mnie - zwracam się do Giny. A potem mówię do gościa: - Eddie, tak? Słyszałeś, co powiedziała starsza pani? Odwal się. Puść moją dziewczynę i idź do domu. Albo nie, mam lepszy pomysł. - Czuję, że całkowicie panuję nad sytuacją. - Odnoszę wrażenie, że nie jesteś tu mile widziany, więc bądź łaskaw odwrócić się na pięcie i zniknąć, póki jesteś w jednym kawałku. Bo jeśli nie posłuchasz, będziesz wydłubywał z zębów swój mózdek.

Stoimy tak we czwórkę przed jakąś przyczepą - zapewne mieszkaniem kobieciny - a dresiarz łypie świńskimi oczkami i kombinuje. Widzę, jak paruje mu czacha. Mamy widownię: sąsiedzi wyszli przed domy i gapią się na nas, ale mnie to nie rusza. Świat skurczył się do naszej czwórki i gorącego żwiru pod stopami, a ja jestem w tym świecie najgłówniejszym bossem.

Goszek puszcza Ginę. Odprężam się. W duchu gratuluję sobie świetnie przeprowadzonej akcji. Nawet wyciągam do Giny rękę.

I wtedy... Nigdy, choćbym nie wiem jak próbował, nie zdołam sobie przypomnieć ani odtworzyć krok po kroku, jak to się stało.

Kątem oka zauważam błysk, słońce odbijające się od metalu. Tego się nie spodziewałem. Goszek wyciągnął broń.

Pieprzoną pukawkę.

W ułamku sekundy rzucam się na niego. Trzymam w ręku jego spluwę, a on leży na ziemi, krwawiąc i wrzeszcząc. Gina piszczy. Kobięcina też. Dom wariatów. Ale wyrwałem mu broń.

Niestety, w tej samej chwili rzucam pawia. Prosto na trzymany w ręku pistolet. Rzygam i rzygam, i nie mogę przestać. Twarz znowu zaczyna piec jak diabli. Nagle jak spod ziemi wyrasta obok mnie Arabella, ten cały Dale i tłum ludzi. Przytrzymują mnie, próbują napić wodą. Dale wyjmuje mi z ręki śliskiego, obrzyganego gnata. Słyszę krzyki, ktoś woła: „911!” czy coś w tym rodzaju. Widzę twarz Giny - okrągły, biały talerz. Nagle wszystko przesłania mgła i tracę przytomność.



---

## Rozdział 48

---

Mój syn bohaterem? Rowan na ustach wszystkich w Robinia Meadows? Dacie wiarę? I pomyśleć, że mnie to ominęło! Nikt już mi o niczym nie mówi, do diaska!

wyglądało to tak, że napisałam list i przymierzałam się, żeby poczłapać do budki i zadzwonić do Willow, poprosić o adres Maury. Świetny pretekst, żeby w ogóle pogadać z Willow, nie? A wtedy usłyszałam ryk syreny, do mieszkania wpadła ledwo żywa, zasapana Arabella i opowiedziała, co się wydarzyło u Mary. Czułam, że oprócz wzburzenia tamtą sprawą coś jeszcze ją poruszyło, ale nie miałam pojęcia, co to mogło być.

- Dobrze się czujesz? - spytałam.

- Bo co?

Nie zgasiła mnie, jak to ona potrafi, ale prawie.

- Wyglądasz jakoś tak... Bo ja wiem? Jesteś dziwnie zarumieniona.

- Na dworze upał, Eve, a ja leciałam tu na złamanie karku. Masz.

- Podała mi szwedki.

- Jak sobie chcesz! Nie naciskałam.

Kiedy dotarliśmy do przyczepy Mary, policji ani pogotowia już nie było, do osiedla powrócił spokój, choć wszędzie wyczuwało się atmosferę podniecenia. Ludzie, którzy normalnie nie zauważali się na ulicy, teraz stali w grupkach, kłapiąc jadaczkami. Syna Mary aresztowano i odwieziono do szpitala. Nasz bohater nieźle mu

przyłożył. Z tego, co zrozumiałam, sam Rowan ostro spiekł się na słońcu, więc pogotowie jego również zabrało. Dale oddał glinom pistolet Eddiego i siedział w przyczepie razem z Mary.

Biedulka była w okropnym stanie. Nie widziałam jej po przyjęciu, więc przeżyłam lekki szok. Arabella nie przesadzała, opisując jej wygląd. Biedactwo. Nie dość, że została ciężko pobita - do tego przez własnego syna - to teraz jeszcze ten sam syn znalazł się w prawdziwych opałach. To się nazywa dramat! Gdyby mogła, w ogóle nie angażowałaby w to policji, jednak Eddie wyciągnął broń. To diametralnie zmienia sytuację. Mary nie ma nic do powiedzenia, sprawę przejmują gliny. Kiedy wyszła do łazienki, Dale wyjaśnił mi, że nie potrzebują nawet oficjalnej skargi Mary, sami mogą wszcząć dochodzenie przeciwko Eddiemu.

Nikt nie wie, jak to się skończy. Nie wiadomo nawet, czy Eddie miał pozwolenie na broń. Ja obstawiam, że nie.

Żal mi Mary. Pamiętacie, co wcześniej wam mówiłam? Syn jest synem, nawet jeśli pije jak mój albo jest psychopatą i narkomanem jak jej. Trzeba będzie się nią zaopiekować. Może wezmę ją ze sobą do Irlandii? Tam nie myślałaby o swoich problemach. Stać mnie, będę miała forsy jak lodu - ten inspektor z towarzystwa ubezpieczeniowego powiedział mi dziś, że kierowca samochodu nie kwestionuje naszych roszczeń. (Tylko by spróbował!).

No, może jednak nie będę się posuwać aż tak daleko, żeby zapraszać Mary do Irlandii. Aż tak się nie kochamy.

Boże, jakaż jestem dumna z Rowana.

Oczywiście najpierw zatłukę smarkacza. Jeśli dobrze zrozumiałam, wygląda jak jakiś kosmita ze „Star Trek”. Arabella wyjaśniła mi dlaczego. Gdybym była matką Giny, nie Rowana, kazałabym córce omijać takiego faceta szerokim łukiem. Dzięki Bogu, że nie jestem. Sprawdziłam na własnej skórze, że z picia „wyleczyć” możesz się tylko ty sam, ale Gina byłaby podporą, której mój syn tak potrzebuje, fundamentem, na którym mógłby budować. A nie potrzebuję kryształowej kuli, by zobaczyć, że ta dziewczyna go uwielbia. I za to też dzięki Ci, Panie.

Gina to jego wielka szansa i jeśli ją zaprzepaści...

Tak, z całą pewnością zamorduję smarkacza. Niech no tylko wpadnie mi w ręce!

A już z innej beczki: w najbliższym dziesięcioleciu dojdzie do spotkania na szczycie nie tylko między mną a Maura. Na razie cicho, sza! To ma być niespodzianka. Po pierwsze dlatego, że z Dale'em nigdy nie wiadomo, a po drugie wszystko stoi jeszcze pod wielkim znakiem zapytania.

Udało mi się zlokalizować jego córkę, Janice.

Jak ją odnalazłam? Całkiem prosto. Jedno trzeba przyznać Amerykanom: mają rewelacyjną informację telefoniczną. Wystarczy wrzucić do automatu jedną małą ćwierćdolarówkę, a dostanie się niemal każdy numer w kraju.

Dale wspomniał kiedyś, że mieszkała w Cleveland, ale tam nie było żadnej Janice, nawet J. Genscher, więc z głupia frant poprosiłam kobietę, by sprawdziła w Kalifornii. Cóż, wcześniej czy później każdy

ładuje w Kalifornii, nie? Oczywiście nie zamierzałam na tym poprzestać. Gdybym musiała, od fajkowałabym stan po stanie - kupiłabym kartę z dwu-stoma pięćdziesięcioma impulsami.

Trzeba przyznać, że dziewczyna, na którą trafiłam, była naprawdę chętna do pomocy. Sprawdziła każde miasto i wiochę w Kalifornii od Fresno po Los Angeles. Wreszcie znalazła dwie Janice Genscher w Santa Barbara. Druga okazała się córką Dale'a. Miałam szczęście, że nie wyszła za męża i nie zmieniła nazwiska.

To tylko świadczy, że w tej całej hecy z wykluczaniem Dale okazał się równie okropny jak tamci. Gdyby tylko chciał, bez najmniejszego kłopotu znalazłby córkę - równie szybko i bezboleśnie jak ja. Potrafi być czasem upartym osłem.

Jak się domyślacie, córka przeżyła niezły szok, kiedy usłyszała, kim jestem i w jakiej sprawie dzwonię. Początkowo chyba wzięła mnie za wariatkę i bałam się, że się rozłączy. A choć impulsy znikwały w zastraszającym tempie, nie straciłam głowy i jakoś się z nią dogadałam. Pod koniec zaczęła nawet całkiem przyjaźnie ze mną rozmawiać.

Przemyśli to. Mam jednak nikomu nic nie mówić, bo nie jest na sto procent przekonana, czy się zgodzi.

- Nie chcę budzić w nim próżnych nadziei - powiedziała. - To dla mnie trudna decyzja.

- A twój brat? - Kusiłam los. - Może jego też należałoby zawiadomić?

Cisza po drugiej stronie. Już się bałam, że się rozłączyła. Po chwili się odezwała.

- Joseph pod żadnym warunkiem nie może się o tym dowiedzieć - oświadczyła tonem zimnym jak lód. - Jeśli zamierzasz cokolwiek w tej sprawie...

- Zapomnijmy o tym - przerwałam jej. - Zapomnijmy, że w ogóle mi to przyszło do głowy. Obiecuję, że ta rozmowa zostanie wyłącznie między nami dwiema.

Na tym zakończyłyśmy. Mam do niej zadzwonić jutro. Zrobię to po rozmowie z Willow. Dziś tak długo wisiałam na telefonie, że ustawiła się za mną kolejka. Nie chciałam przeciągać struny, gawędząc sobie jeszcze z Irlandią. Jestem skonana. Tyle wrażeń na jeden dzień wystarczy.

Czyż to nie byłoby cudowne? Może jutro porozmawiam z Maura? Jutro czekają mnie same dobre chwile. Gips -won; Maura - może; ja i Willow - małeńki krok naprzód?

Jedyny cień na tym wszystkim to biedna Mary, ale w końcu ona nie jest członkiem mojej rodziny...

Mam rodzinę!

Rany, to wszystko dzieje się naprawdę? Tu, w Robinia Meadows?

---

## Rozdział 49

---

Mimo tak dramatycznych wydarzeń przed domem Mary potrafię myśleć tylko o pocałunku Dale'a.

Dobra, ani na chwilę nie zapomniałam, ile mam lat, i zdaję sobie sprawę, że w tamtym miejscu nie do końca byłam sobą (zaczynam wierzyć, że w historiach o czakramach jednak tkwi źdźbło prawdy); wiem też, że nie wymyśliłam sobie tego, co zaszło między mną i Dale'em. Nikt nigdy mnie tak nie całował i na niczyje pocałunki nie reagowałam jak na ten.

Wiem, wiem, jeden pocałunek nie czyni wiosny, ale, klnę się na Boga, czułam, że staliśmy się wtedy jednym ciałem.

Co za melodramat! Ale naprawdę to czułam. Nic na to nie poradzę. I chcę więcej.

Wciąż jednak nie miałam okazji poruszyć z Dale'em tego tematu. Najpierw była niepokojąca wiadomość od Roberta, potem cały ten cyrk przed przyczepą Mary, a później wszyscy siedzieliśmy z nią, próbując ją pocieszyć. Oczywiście Dale też w tym uczestniczył, chociaż odniosłam wrażenie, że owinął się w kokon obojętności. Nie zwracał się do mnie, nawet na mnie nie zerknął. Doprowadzało mnie to do szału.

- Masz jakieś plany na resztę dnia, Dale? - zaatakowałam go wprost.

- Trudno powiedzieć, Arabello.

Tyle dobrze, że spojrzał w moją stronę. Tylko zaraz potem odwrócił wzrok. Postanowiłam zadzwonić do pracy -to świetny pretekst, by się stamtąd wyrwać. Zresztą dawno już powinnam była to zrobić. Powiedziałam kierownikowi, że wyjeżdżam na tydzień, może dłużej, i niebezpiecznie zbliżałam się do tej granicy. Z moich obliczeń wynikało, że zostało mi jeszcze pięć dni urlopu, ale trzymałam je na wrześniowy wyjazd z Gretą na Wyspy Kanaryjskie.

Zaraz się rozpuszczę, myślałam, stojąc pod daszkiem i wystukując numer. Po drugiej stronie nikt nie odbierał. Pewnie, jak zwykle, jest jedna recepcjonistka i milion spraw do załatwienia. Zabijałam czas, czytając ulotki, w których reklamowali się taksówkarze, masażyści, gabinety medycyny ajurwe-dyjskiej, salony fryzjerskie dla psów, warsztaty samochodowe, pizze na telefon i temu podobne. Kiedy w hotelu Leicester ktoś wreszcie podniósł słuchawkę, poprosiłam o połączenie z kuchnią. Z moich obliczeń wynikało, że złapię Gretę tuż przed wydawaniem śniadania. Chyba zaczynam być dobra w te klocki, bo kiedy odebrała, słyszałam odgłosy ostatnich przygotowań.

- Siemka, Bel. Nie mogę długo gadać, ale super, że dzwonisz. Jak leci? Co u ciebie?

- Cześć, staruszko - próbowałam wykrzesać z siebie entuzjazm. - Nie dzieje się nic nadzwyczajnego - aż się kurzy za tobą! - ale po powrocie nagadamy się za wszystkie czasy. Pomyślałam, że zostanę jeszcze parę dni.

- Co takiego?!

- Przekażesz szefostwu? Szkoda mi impulsów na słuchanie irlandzkich melodii ludowych w oczekiwaniu, aż ktoś w gabinecie łaskawie odbierze. Powiedz, że zadzwonię, kiedy już zarezerwuję bilet. Powinnam mieć koło pięciu dni urlopu.

- Ty szczęściaro.

Greta ani słowem nie wspomniała, że to oznacza rezygnację z naszego wyjazdu. Ja sama byłam zaskoczona, nie spodziewałam się, że coś takiego powiem.

- I nie przejmuj się, wezmę kilka dni bezpłatnego urlopu na nasz wyjazd na Teneryfę...

- Przymknieszże się wreszcie? To najmniej ważne. Zajmiemy się tym później. Och, na miłość boską, błagam, zadzwoń do Jimmy'ego Portera. Nie daje mi spokoju. „Kiedy--wraca-kiedy-wraca-kiedy-wraca?”. Ścięliście się podczas ostatniej rozmowy czy co?

- Ależ skąd. Dlaczego zawraca ci głowę? Nie może sam zadzwonić? Ma numer Dale'a.

Na moment zapada cisza. Połączenie jest świetne, w tle słyszę warkot miksera, ubijającego ciasto na naleśniki.

- To ten cały Dale, tak? - odzywa się na wpół oskarżycielko, na wpół z triumfem Greta.

- Ach, znasz Jimmy'ego - ciągnę, udając, że nie słyszałam. - Pewnie chodzi o kasę. On miałby zadzwonić do Stanów? Na komórkę? I jeszcze zapłacić?

- Bel Moraghan! Chcesz mnie wkurzyć? Natychmiast gadaj, co się wykluło między tobą a tym całym Dale'em?



- Nic. - Wiedziałam, że nie okłamię Greta, więc dorzuciłam ciszej, trochę zawstydzona: - A w każdym razie niewiele. - Dłużej nie mogłam ukrywać radości. - Mówi, że nie zadaje się z kobietami innych facetów.

- Zalewasz! Naprawdę tak powiedział? Słówko w słówko?

- Słowo w słowo.

- Co to za gość? Clint Eastwood?

- Nie, zewnętrznie w ogóle nie przypomina Eastwooda, choć przyznaję, że jest typem silnego, milczącego faceta.

Po drugiej stronie słyszę łomot i trzask. Obstawiam, że to cała szuflada ze zmywarki. Greta klnie jak szewc. Słyszę gruchnięcie słuchawki o płytki. Po paru sekundach moja przyjaciółka znów się odzywa:

- Bel, muszę kończyć, wracaj szybko, na miłość boską. Tu jest istny dom wariatów. A w ogóle dzwoń, kiedy tylko będziesz mogła... Dilip! Nie tutaj!

- Pamiętaj, żeby im przekazać.

- Obiecuję. A jeśli nie chcesz umrzeć w męczarniach, odezwij się za parę dni, dobra? Musimy poważnie pogadać.

- Załatwione. I powiedz Jimmy'emu, że do niego przekreślę.

- Jasne. I sprawuj się grzecznie, słyszysz? Nie rób niczego, czego ja bym nie zrobiła! - Roześmiała się na cały głos. -I pamiętaj, żeby... Boże drogi! Sydney! Od czego masz szczypcę!!! - I znowu do mnie: - Muszę kończyć, Bel.

- Uściskaj wszystkich i....

Ale ona już się rozłączyła. Wyjęłam kartę i odwróciłam się, by wrócić do przyczepy Mary RR.

Budka telefoniczna stoi przy niedużym skrzyżowaniu, obok niej jest ławeczka, zapewne dla czekających w kolejce. Nagle poczułam, że nie mam najmniejszej ochoty iść do Mary. W każdym razie nie teraz. Usiadłam.

Minęło dziesięć minut od chwili, gdy odwiesiłam słuchawkę, a ja nadal siedzę na ławce, gotując się, piekąc i smażąc na wolnym ogniu, a także uśmiechając się głupio do przechodniów i osób, które przyszły skorzystać z telefonu. Przyznaję, że większość odpowiada uśmiechem, choć założę się, że mają mnie za wariatkę - kto w taki upał siedzi na ławce bez żadnej osłony, udając, że czeka, aż budka do niego zadzwoni?

Nie mylą się. Mam nierówno pod sufitem. Pewnie spiekę się jak Rowan, bo choć wysmarowałam się kremem z filtrem, dwunastką, w powietrzu czuć dziwną wilgoć i założę się, że jedenaście dwunastych mojego filtra na pewno już wypociłam.

Odkładałam nie tylko powrót do przyczepy Mary. Muszę wreszcie wszystko przemyśleć i wyznaczyć sobie kierunek. Do tej pory byłam jak gałąź targana przez wiatr. Jeśli nie będę uważać, oderwie mnie od drzewa.

Dla osoby, której życie upływało w rytmie wyznaczanym przez dzwonek budzika oraz sztywne reguły i przepisy bhp hotelowej kuchni, ostatnia doba równała się trzęsieniu ziemi. Nie tylko doba, ale ostatnich kilka dni. Wyliczam, co się wydarzyło od przyjazdu tutaj:

pierwsze od czterdziestu lat spotkanie z matką; przemiana Rowana w normalnego człowieka; jego kryzys, a potem spacyfikowanie Eddiego, dzięki czemu z dna poniżenia wzniósł się na szczyty chwały; moje urodzinowe przyjęcie-niespodzianka; katharsis w kaplicy; usta Dale'a na moich wargach, dotyk jego ciała...

Dwie ostatnie pozycje na razie skreślam. Muszę myśleć klarownie.

Na przykład, co oznaczała ta rozmowa z Gretą? Kiedy dziesięć minut temu podnosiłam słuchawkę, miałam szczerzy zamiar prosić, by poinformowała kierownictwo hotelu Leicester, że za dzień-dwa zjawię się w pracy. Tymczasem odłożyłam słuchawkę, powiedziawszy coś zupełnie innego.

Wychodzi na to, że w tym momencie mogę załatwić tylko dwie sprawy. Mogę przestać zwodzić Jimmy'ego Portera i wybawić biedaka z mąk niepewności. Mogę również bliżej przyjrzeć się mojemu pomysłowi zostania tutaj. Ziarno, rzucone tamtego ranka, gdy oglądałam konie, musiało trafić na żyzną glebę - bo przecież nie było innego powodu, dla którego podjęłam nieoczekiwaną decyzję o przedłużeniu pobytu, prawda?

Bel Moraghan, kogo próbujesz oszukać? Nikt nie słyszy, więc możesz się przyznać. Chodzi o Dale'a, tak?

Proste „tak” lub „nie” jest w tym momencie zbyt ryzykowne (a jeśli decyzję o pozostaniu podejmę tylko ze względu na niego, a on mnie odrzuci?), więc chwilowo odsuwam Dale'a na bok i próbuję obiektywnie przeanalizować obie kwestie.

A. Mój związek z Jimmym donikąd nie prowadzi.

B. To, co tu zobaczyłam - choć spędziłam w Stanach zaledwie kilka dni i to w osiedlu domów na kółkach - spodobało mi się na tyle, że chętnie spróbowałabym życia w Ameryce. Z Dale'em albo bez niego. Zwłaszcza że dopiero co zaczęłam odbudowywać swoją więź z matką.

Nie możesz być na utrzymaniu mamusi. To obrzydliwe.

Fakt. Ale głęboko wierzę, że paczka Eve nie odwróciłaby się ode mnie, więc dopóki nie stanęłabym na nogi, mogłabym liczyć na wsparcie moich nowych przyjaciół. Wyciągam z torebki zdjęcie polaroidowe z imprezy urodzinowej. Wyszłam na nim ohydnie, ale w tle widzę Eve i kawałek roześmianej twarzy Maria, prawe ramię Dale'a i czyjeś plecy -zapewne Giny, sądząc po wojskowym wzorze. To wszystko przemili ludzie. Ucieszą się, jeśli z nimi zostaną.

A co z Gretą?

Żyjemy w dwudziestym pierwszym wieku. Może mnie odwiedzać.

Czy to tylko głupia mrzonka? Jak wtedy na Teneryfie, kiedy poniosła cię wyobraźnia?

Tamtego wieczoru na Teneryfie sporo wypiałam, a kierownik baru, w którym balowałyśmy, wpadł mi w oko. Teraz jestem nieprzyzwoicie trzeźwa, a ta myśl uporczywie wraca.

Zawsze mogę spróbować, nie? Jeśli się nie uda, wrócę do Irlandii ze świadomością, że przynajmniej - jak tamten orzeł z kaplicy - rozpostarłam skrzydła, a na łożu śmierci będę mogła sobie

powiedzieć, że nie spędziłam całego życia w promieniu kilku kilometrów od miejsca, w którym się urodziłam. Do tego to wszystko się sprowadza. Żyłam w wyjątkowo małym i ciasnym kręgu.

Nie ma rzeczy niemożliwych. Odejście z Leicester to nie koniec świata. Nie boję się ciężkiej pracy, jestem wykwalifikowaną kelnerką jeszcze ze starej szkoły, a pracodawcy w Irlandii zabijają się teraz o „pracowników z branży usługowo-hotelarskiej”. Ten najnowszy żargon jest oszłamiający. Nie ma już śmieciarzy ani zmiataaczy ulic, za to pojawili się „funkcjonariusze” oraz „pracownicy przemysłu gromadzenia i utylizacji odpadów”. A choć nie jestem teatromanką, wiem z „Irish Independent”, że sztuk teatralnych już się nie pisze, nie wystawia ani nie reżyseruje, tylko „robi się teatr”.

Drugi aspekt decyzji zostać czy wrócić jest bardziej skomplikowany, więc nie daję sobie czasu na zmianę zdania: zrywam się z ławki, wpycham kartę w otwór i wystukuję numer. Jimmy pewnie jeszcze śpi. I co z tego? Olewam. W Irlandii dochodzi wpół do dziewiątej. Powinien już być na nogach.

- Halo?

Kiedy słyszę jego zaspany głos, tracę odwagę, ale szybko biorę się w garść. Żadnego cackania się.

- Jimmy? - mówię energicznie. - To ja. Bella.

- Och. - Przytomnieje i natychmiast sobie przypomina, że jest na mnie obrażony. - Tu jest dopiero wpół do dziewiątej, Arabello. Wiesz, że zawsze wstaję po dziewiątej. A po naszej ostatniej rozmowie liczyłem, że wcześniej się odezwiesz. Kiedy wracasz?

- Przepraszam, Jimmy. Posłuchaj... - Podkulam palce nóg tak mocno, że łapie mnie kurcz, i muszę zrzucić sandały, by rozprostować stopy. - Za to teraz dzwonię, nie? Zostanę jeszcze na parę dni.

-O?

Nie sprawia wrażenia zachwyconego.

- Tak, zostaję. Pojawiły się nowe okoliczności. Rowan leży w szpitalu. To nic poważnego, ale powinnam zostać.

Nie zasłaniaj się Rowanem. Nie z jego powodu zostajesz. Powiedz. Teraz.

- A jeśli chodzi o powrót do kraju... Muszę ci coś wyznać. Niewykluczone, że wrócę tylko, by uporządkować swoje sprawy. Zakochałam się w Stanach. Zamierzam tu trochę pomieszkać. Choćby dlatego, że chcę lepiej poznać matkę. Jestem pewna, że potrafisz to zrozumieć. Ale to nie jedyny powód...

- Momencik, Arabello. - Niemal widzę, jak zrywa się z łóżka. - Mówisz, że rzucasz pracę? Życie tutaj? A co z nami?

Teraz. Nie myliłam się, rzeczywiście wstał z łóżka - w ciszy, jaka zapada w słuchawce, słyszę jęk sprężyn, gdy znowu opada na materac. Od paru lat wierciłam mu dziurę w brzuchu, żeby wreszcie wyrzucił to łóżko, ale należało jeszcze do jego rodziców i jest z nim związany uczuciowo.

- Chcę się przekonać, jak się tu żyje, Jimmy.

- I oczekujesz, że rzucę wszystko i przeniosę się do Stanów? Jeszcze czego. Kompletnie ci odbiło?

- Nie proszę, żebyś się tu przeniósł, Jimmy. Robię to sama.

- Nie prosisz... - Zaczyna do niego docierać. - To znaczy, że byłbym niemiłe widziany?

- Tego nie powiedziałam. Powiedziałam tylko, że robię to dla siebie. Nawet jeszcze nie sprawdzałam, czy to realne. Może się okazać, że nie mogę się tu przeprowadzić. Zrozum, Jimmy, my dwoje wpadliśmy w pewną rutynę...

- Wyjaśnijmy coś - wpada mi w słowo. - Zrywasz nasz związek? Znowu łapie mnie kurcz w palcach stóp - tym razem wygiętych, nie podkulonych.

Cała Arabella Moraghan: prowadzi jedną z ważniejszych rozmów życia z budki telefonicznej, przytrzymując brodą słuchawkę i rozmasowując palce u nóg. Rozkoszne.

-Arabello? Jesteś tam? Halo? Halo! - Jimmy podnosi głos.

Palce się prostują. Ja również. Na całą wysokość. Głęboko nabieram tchu.

- Tak, masz rację. W zaistniałej sytuacji niestety, muszę z tobą zerwać. Ale naprawdę wiele dla mnie znaczysz, Jimmy - dorzucam, nie dopuszczając go do głosu. - Bo wiele dla siebie znaczyliśmy, prawda?

- Wielkie dzięki, Bello! - wybucha. - Jakżeż mam ci dziękować? Och, po prostu rewelacja. Nie ma jak dobra wiadomość na początek dnia. - Teraz prycha pogardliwie. -, „Wiele dla siebie znaczyliśmy”. Od tej pory możesz sobie sama dla siebie znaczyć, ile chcesz. Bo Jamesa Portera już nie będziesz oglądać ani wiele dla niego znaczyć. Naprawdę, wielkie dzięki, Arabello. Żegnaj.

Wyjmuję kartę z automatu. Kręci mi się w głowie. Nie wiem, czy z upału, czy ze wstydu, że tak potraktowałam bliźniego swego, czy z ulgi...

Nie będę się nad tym zastanawiać.

Dopiero teraz zauważyłam, że w czasie tej kilkuminutowej rozmowy słońce zniknęło za chmurami, a temperatura wyraźnie spadła. Spoglądam w górę na brzydkie, zielonkawoczarne niebo. Mimo nagłego chłodu marzę o zimnym drinku. O zimnym prysznicu. Lodzie na karku. I czuję głód.

Wolno, powolutku, ze zwieszoną głową wracam do Mary RR. Dobrze, że nie spotykam nikogo znajomego, bo muszę dziwacznie wyglądać. Spuszczona głowa to jeszcze nic. Człapię jak czapla, przy każdym kroku prostując nogę i wyciągając stopę, by pokonać następny kurcz w palcach.

Biedny Jimmy, myślę, chociaż jednocześnie czuję, że gdzieś w piersi zaczyna mi pulsować radość i podniecenie. Jak zakomunikować Dale'owi Genscherowi, że przestałam należeć do innego? I co wtedy się stanie?



---

## Rozdział 50

---

Pamiętacie, jak mówiłam o pełnej wrażeń dobie, choć właściwie do pełnej doby brakowało jeszcze paru godzin?

Cóż, karuzela kręci się nadal i nie zamierza przystawać. Za chwilę wam wyjaśnię. Jest parę minut po dwudziestej trzeciej, spędzam tę noc u Mary RR; nie powinna zostawać dziś sama, więc zgłosiłam się na ochotnika. Leżę na połówce w jej zagraconym pokoju dziennym - to najmniejsza przyczepa z tych, które do tej pory widziałam, i odnoszę wrażenie, że Mary urządziła ją, zaopatrując się w skleпах ze starociami. W powietrzu unosi się ten charakterystyczny zapach mocnych środków czyszczących.

Mary wzięła tabletkę nasenną i śpi w najlepsze. Okropnie chrapie, a ponieważ ściany są cienkie (u Dale'a sypialnie znajdują się na przeciwległych końcach; robi się ze mnie ekspert od domków na kółkach!), nie mogę zasnąć i wiercę się niespokojnie jak kociak. To jednak nie do końca wina jej chrapania. Nie śpię, bo mózg mi pracuje na pełnych obrotach. Jedyna moja szansa na sen to dostać kijem bejsbolowym w łeb. Całe szczęście, że się ochłodziło, bo Mary nie ma klimatyzacji.

Pewnie dziwi was, że zgłosiłam się na ochotnika do pozostania przy Mary, skoro zakochałam się w Dale'u.

Tak, przyznaję się. Zakochałam się w nim. W facecie z kucykiem i tatuażami. I nie pryhajcie szyderczo; nie zawrócił mi w głowie jeden pocałunek. Złożyły się na to tysiące drobiazgów i spraw

naprawdę ważnych: jego spokój, wielkoduszność, inteligencja, tors, usta...

Boże, co się ze mną wyprawia? Barbarze Cartland rośnie konkurentka! Usprawiedliwia mnie tylko to, że ostatni raz czułam się tak, gdy jako siedemnastolatka zadurzyłam się w szesnastoletnim podkuchennym - pierwszym chłopaku, który próbował się do mnie dobierać - i zdążyłam zapomnieć, co się wtedy z człowiekiem dzieje. Gdyby jeszcze niedawno ktoś mnie zapytał, powiedziałabym, że dawno wyrosłam z takich głupot. Teraz wiem, jak bardzo się myliłam. Nie wyrosłam. Chcę tak się czuć zawsze. To jest boskie. Krew zupełnie inaczej krąży w żyłach.

A skoro o Barbarze Cartland mowa, to choć nie należę do wielbicielki jej talentu, w obecnym stanie ducha muszę przyznać, że w jednym się nie myliła. Pierwsze dni zakochania to bodaj najcudowniejsze, czego doświadczamy w życiu: kołatanie serca, trochę głupkowaty uśmiech, plany, projekty, marzenia, niezliczone „a jeśli, a może..?” i strach - tak, on też bywa ekscytujący - przed odrzuceniem. I oto znów mam siedemnaście lat, stoję na najwyższym progu skoczni, oceniając sytuację, i wciąż jeszcze nie potrafię się zdobyć, by pomknąć tym stromym, budzącym przerażenie stokiem, a potem zamknąć oczy i szybować w powietrzu.

Czy Arabella Moraghan rozbije się o głazy ukryte pod śniegiem, czy wyląduje bezpiecznie na obu stopach?

Ryzyko to nieodłączny element tego cudownego stanu.

Wiem, że gadam od rzeczy, ale, trudno, musicie to jakoś znieść. Potraktujcie to jak formę odreagowania wcześniejszych rozterek, walki ze sobą. Założę się, że już was śmiertelnie nudziło, więc macie odmianę. Koniec bezproduktywnego boksowania w próżni i nerwowego wyłamywania palców. Teraz najchętniej skakałabym po przyczepie Mary, ale boję się, że cienka podłoga mogłaby tego nie wytrzymać.

Sądzę, że Dale był zaskoczony, gdy zaoferowałam się, że przenocuję u Mary. Zgłosiłam się, bo naprawdę chciałam jej pomóc, choć kierowały mną też bardziej egoistyczne pobudki. Skoro wreszcie przyznałam się przed sobą, że się zakochałam, musiałam rozegrać sprawę roztropnie i mądrze, nie jak rozhisteryzowana nastolatka. Dlatego potrzebowałam czasu, by ochłonąć i zaplanować dalsze ruchy.

Co najciekawsze, tym razem Dale nie protestował. To chyba dobry znak. Jego świat zakołysał się tak samo jak mój.

Przestań! Kretynka!

I jeszcze jeden powód, dla którego spędzam noc tutaj, a nie u Dale'a: szacunek dla Jimmy'ego. Potraficie to zrozumieć? Mój pobyt u Dale'a wyglądał inaczej, dopóki byłam tylko gościem, a on gościnnym panem domu. Teraz, gdy sytuacja się zmieniła - nawet jeśli w końcu do niczego nie dojdzie - nie chciałam od razu rzucać się na głęboką wodę. A za taką uważałam nocowanie u Dale'a. Nawet w oddzielnych sypialniach. Całą noc myślałabym wyłącznie o tym, że dzieli nas zaledwie parę metrów. A jeśli wziąć pod uwagę, że zaledwie parę

godzin wcześniej zerwałam z Jimmym, to wydawało mi się... bo ja wiem? Nieładne.

Arabello! Dość tego dryfowania! Wracaj do właściwych wydarzeń!

Do Mary dowlokłam się około wpół do czwartej. Przed drzwiami zobaczyłam radiowóz i czekających na nią dwóch policjantów. Mary była w łazience, a Dale przez komórkę instruował Ginę, by zabrała Rowana ze szpitala nie do Robi-nia Meadows, tylko do sądu, bo za niecałą godzinę odbędzie się rozprawa Eddiego.

Eve, która początkowo zapewniała, że pojedzie wspierać duchowo Mary, w ostatniej chwili wykreciła się zmęczeniem. Wcale nie wyglądała na zmęczoną. Przeciwnie, tryskała z trudem ukrywaną - zapewne przez wzgląd na Mary - radością. W niczym nie przypominała tamtej chorej kobiety, którą zobaczyłyśmy z Willow po przyjeździe. Ruchem głowy wywołała mnie na zewnątrz.

- Tak naprawdę wcale nie jestem zmęczona - powiedziała, gdy stanęłyśmy na stopniach przyczepy. - Nigdy, ale to nigdy jeszcze nie byłam tak szczęśliwa i boję się, że nie zdołam tego ukryć. A to nie byłoby w porządku wobec biednej Mary. Mogłaby uznać, że się chełpię albo wywyższam. Zresztą, jeśli mam być szczerą, chcę się po prostu nacieszyć tą sytuacją. Czuję się, jakbym świętowała nieustannie Boże Narodzenie. Mam ciebie, Rowan został bohaterem, a dzięki Willow odnalazłyśmy Maurę. - Uśmiechnęła się promiennie.

W środku Mary wyszła z łazienki i mówiła coś do Dale'a. Poklepałam matkę po ramieniu.

- Jasne, że nie musisz jechać, Eve. Nie było cię przy tym, nic nie widziałaś, a Mary będzie miała wystarczająco liczną obstawę. Nie przejmuj się niczym.

- Będę się przejmować. Jutro wielki dzień, wreszcie zdejmą mi ten przeklęty gips i... - zmrużyła oczy, przyglądając mi się uważnie - ...zadzwoń do Willow, żeby poprosić o numer do Maury. Niech sobie nie myślą, że będę czekała sto lat na jakiś list. Skorzystam też z okazji, by wybadać grunt i pociągnąć Willow za język.

Dużo szczęścia życzy kominiarz, pomyślałam i zaraz się spłoszyłam. Oby tylko nie zadziałał jej radar do czytania w myślach.

Ku memu zaskoczeniu nie pojechaliśmy do Sedony, bo okazało się, że Robinia Meadows nie podlega jej jurysdykcji. Szczerze powiedziawszy, nie zapamiętałam ani nazwy miejscowości, ani szczegółów krótkiej podróży. Po południu popędziliśmy prosto do Robinii, więc Dale nie zabrał pikapu z parkingu przed szpitalem, dlatego znów musieliśmy skorzystać z uprzejmości Roberta. W samochodzie panowała zaskakująco swobodna atmosfera. Może dlatego, że chociaż martwiliśmy się o Mary, żadne z nas słowem nie wspomniało o niej ani o jej synu. A ponieważ siadłam z tyłu i zachęcająco dyndał mi przed nosem kucyk Dale'a, nie zwracałam szczególnej uwagi na krajobraz.

A, tak, zauważyłam jedno. Zostawiliśmy już za sobą skały i mknęliśmy przez płaską pustynię, kiedy Dale pokazał mi coś w oddali: pociąg towarowy. Żółto-czarna lokomotywa ciągnęła bure wagony na tle mroczniejącego nieba.

- Widziałaś kiedyś taki, Arabello?

Odwrócił się do mnie z uśmiechem. Liczyłam na iskiereki w oku, porozumiewawczy błysk, cokolwiek; coś, co stanowiłoby nawiązanie do tamtej pamiętnej chwili przed kaplicą.

Nic. Zero.

- Nie, nigdy.

Nawet jeśli zauważył moje nadąsanie, nie okazał tego, tylko zwrócił się do naszego kierowcy o cierpliwości anioła.

- Do miasta już tylko kilka minut, zdążymy. Mógłbyś zjechać na pobocze? A nuż usłyszymy, jak trąbi? Cóż to byłaby za wizyta w Stanach, gdyby Arabella nie usłyszała jednego z naszych hymnów narodowych?

Robert posłusznie zjechał i wyłączył silnik, a my opuściliśmy szyby. Czułam się trochę głupio, jak dziecko w zoo, czekające, aż goryl się przebudzi, a hipopotam wreszcie coś zrobi.

Na tym odcinku drogi ruch był niewielki i cisza aż dźwięczała w uszach, nabierała ciężaru, wdzierała się do samochodu wraz z wilgotnym powietrzem. Czułam zapach powietrza, zapowiadający zmianę pogody, ale bardziej interesowała mnie eau de Genscher. W oddali pociąg wolno, z trudem toczył się po torach. Już miałam powiedzieć, żebyśmy sobie darowali, kiedy Dale zaśmiał się cicho.

- Udało się!

I rzeczywiście, usłyszałam długie, samotne zawodzenie sygnału pociągu. Tak, warto było na to poczekać.

Jeśli mam być zupełnie szczerą, do chwili gdy na lotnisku w Phoenix zobaczyłam całą kolekcję kowbojskich butów i kapeluszy, w głębi ducha - podobnie jak wielu Europejczyków - podejrzewałam, że Ameryka nie istnieje; że to tylko iluzja stworzona na potrzeby kina. Ci dwaj mężczyźni, którzy zatrzymali się, bym mogła wysłuchać trąbienia pociągu, przypominali nas, Irlandczyków, kierujących turystów do gorzelni Jamesona, browaru Guinnessa i Abby Theatre.

- Cudowne! - zawołałam, gdy lokomotywa zatrąbiła po raz drugi. - Cieszę się, że to usłyszałam. Dziękuję, Robercie.

- Nie ma za co. Ruszamy? Uruchomił silnik.

- Wiesz, Robercie - świergotałam z tylnego siedzenia -po powrocie do Irlandii przyślę ci największą, najbardziej kiczowatą kartkę z podziękowaniami, jaką znajdę.

Czekałam. Do diaska, Dale nawet nie drgnął na moją wzmiankę o powrocie do kraju.

Tak jak nie zapamiętałam nazwy miasteczka, do którego pojechaliśmy, tak samo nie zapamiętałam wstępnego przesłuchania w sądzie. Nie był to właściwy proces. Przed sądem stawili się prawnicy i świadkowie, by sędzia mógł orzec, czy zebrane dowody wystarczą, a do wytoczenia sprawy Eddie-mu Montgomery'emu.

Jeszcze przed przesłuchaniem spotkaliśmy się z prokuratorem na stopniach białego, otynkowanego budynku sądu. Okazało się, że to kobieta. Blondynka o talii osy.

- To czysta formalność. - Zauważyła moje nagłe zdenerwowanie.

- Najprawdopodobniej nawet nie będzie pani dzisiaj zeznawała.



Cześć, mały! - Pomachała kierowcy, który pozdrowił ją z samochodu, i znowu skupiła się na mnie. -A gdyby sędzia panią wezwał, proszę po prostu mówić, co pani widziała.

Jakieś pięć minut po nas w sali rozpraw (dusznna, urządzona wspólnie, jasne drewno, godło Arizony i flaga narodowa) zjawił się Rowan z twarzą wysmarowaną jakimś zielonkawym paskudztwem. Wyglądał, jakby się urwał z horroru. W naszej ławce nie było miejsca, więc on i Gina stanęli pod ścianą. Bezgłośnie wyszeptałam: „cześć” i skoncentrowałam się na obrońcy z urzędu Eddiego. Młody anemiczny chłopaczek po dwudziestce, z trądzikiem i wąsem, który zapewne miał dodawać mu powagi, kompletnie nie radził sobie z grubasnym plikiem dokumentów i teczek. Naprawdę był tak niekompetentny, na jakiego wyglądał, czy stanowiło to tylko sprytne zagranie, mające uśpić czujność obecnych? („Mój kuzyn Vinny” plasuje się w ścisłej czołówce moich ulubionych filmów).

A mimo to przesłuchania nie były tak dramatyczne, jak to się ogląda w filmach. Po pierwsze wszyscy bełkotali niewyraźnie. Począwszy od woźnego sądowego, przez prawników, po pechowców zatrzymanych za złamanie kodeksu drogowego, nadużycie tej lub innej zakazanej substancji; nawet sędzia - w średnim wieku, surowo wyglądający mężczyzna o czekoladowej skórze i wielkich jak piłeczki do krykieta oczach za dużymi, okrągłymi okularami - mówił tak cicho, że jego głos docierał najdalej do pierwszego rzędu.

Zresztą nawet gdyby mówili głośno i dobitnie, prawdopodobnie i tak niewiele byśmy usłyszeli - takie piekło rozpętało się na zewnątrz.



Tuż po przyjeździe Rowana i Giny rozległ się ogłuszający grzmot, niebo rozcięła pierwsza błyskawica i lunęło. Nie był to deszcz, jaki znałam z Irlandii, tylko ściana wody, która sprawiła, że po kilku minutach samochody na parkingu po zderzaki tonęły w mętnej, piennej rzece.

Nawałnica uciszyła się akurat, gdy wprowadzono Eddiego. Składaniu przysięgi na Biblię towarzyszyły już tylko odległe pomruki burzy i pojedyncze błyskawice.

Nasze przesłuchanie trwało góra pięć, sześć minut. Sędzia wezwał tylko dwóch policjantów, którzy przyjechali dziś na miejsce zdarzenia. Wyteżałam słuch, ale - tak samo jak ich poprzednicy - bełkotali coś pod nosem. Obrońca Eddiego twierdził, że jego klient jest niewinny, i nieśmiało próbował wywalczyć dla niego zwolnienie za kaucją - tak w każdym razie się domyślałam - ale sędzia odrzucił jego prośbę i wyznaczył termin rozprawy za sześć tygodni. Eddie bynajmniej nie wyglądał na skruszony ani poruszony. Zapędzono go z powrotem do celi, a mnie ścisnęło się serce, gdy patrzyłam na Mary, która przepłakała całe przesłuchanie syna. Już wcześniej powiedziano jej, że jeśli dojdzie do procesu, będzie musiała złożyć zeznanie - czy będzie chciała, czy nie. Sytuacja zgoła jak z „Wyboru Zofii”.

Najbardziej musiało ją zabołeć, że syn nawet nie spojrzał w jej stronę.

Siedziałam między Dale'em a Robertem, więc mogłam ją przytulić, dopiero gdy wyszliśmy na rześkie i chłodne teraz powietrze. Uściskałam Mary, uważając na jej obrażenia, ale jak miałam ją

pocieszyć? Przecież nie mogłam nazwać jej syna skończonym łajdakiem i sukinsynem, prawda? Nie mogłam wyrazić nadziei, że sprawiedliwości stanie się zadość. Pozostało mi tylko mamrotanie zapewnień, że jej nie opuścimy i że wszystko się ułoży. To wtedy zaproponowałam, że u niej przenocuję.

Przestała chrapać. Oby to nie znaczyło, że się obudziła. Tak, wiem, że to wredne, ale nie chcę znowu pocieszać Mary. Chcę być egoistką.

Ju-hu! Idę na całość! Obejmuję go. Całuję. Przenoszę się w świat harlequina... I guzik mnie obchodzi, co sobie o mnie myślicie. Ten jeden raz mam to wszystko w głębokim poważaniu.

Boże święty, ja i Eve promieniejemy dziś taką radością, że wystarczyłoby na oświetlenie bożonarodzeniowej pantomimy w Gaiety Theatre.

---

## Rozdział 51

---

Nie wiem, jak wam opisać to, co się właśnie wydarzyło. Brakuje mi słów na wyrażenie tego, co czuję. A w każdym razie odpowiednich słów.

Zacznę od tego, że wiadomości są dobre i złe. Nie zdołałam wytrzymać do jutra z telefonem do Irlandii, a zła wiadomość jest taka, że nie poczyniłam większych postępów w moich stosunkach z Willow. Cóż, może metodą małych kroczków...

Zaczęło się fatalnie.

- Dlaczego do mnie dzwonicz? - fuknęła. - Prosiłam Belle, żeby ci przekazała, że twoja przyjaciółka do ciebie napisze.

A kiedy nalegałam, by dała mi numer Maury, szybko ustąpiła i nie mogłam odkładać właściwej rozmowy. Tyle że Willow odpowiadała równoważnikami zdań.

- Świetnie. Oni też - odpowiedziała na pytanie o samopoczucie swoje i rodziny.

Musiałam się bardzo napracować, by wyciągnąć z niej całe zdanie. Ale przynajmniej opowiedziała mi o swoim występie w telewizji. Jej pomysł bardzo mnie zaskoczył i ucieszył. Nie ulega wątpliwości, że moja młodsza córka to wyjątkowo inteligentna i przedsiębiorcza osobka.

- Błagam, opowiedz, jak trafiłaś na ślad Maury, Willow.

Oczywiście jestem ci bardzo wdzięczna, ale nie zasnę, dopóki się nie dowiem.

- Na miłość boską, czy to ma jakieś znaczenie?

- Olbrzymie.

Przez chwilę milczała. Wstrzymałam oddech. Tak naprawdę nie zależało mi na poznaniu okoliczności, tylko samej Willow. Jakimi ścieżkami chodzą jej myśli, jak działa umysł? Intuicja - piękna rzecz, ale macierzyństwo to dla mnie zupełnie nowe terytorium i zdążyłam się już przekonać, że odrobina chytryści też czasem się przydaje.

- No, dobrze - ustąpiła. - Skontaktowałam się z redakcją popularnego czasopisma i wystąpiłam w programie telewizyjnym.

- Wystąpiłaś w telewizji?

Szczeka mi opadła. Nasza zamknięta w sobie Willow z własnej nieprzymuszonej woli staje przed kamerami? Tu mnie zaskoczyła.

-Tak. Chyba powiedziałam wyraźnie? Udzieliłam wywiadu w programie telewizyjnym. Twoja przyjaciółka odpowiedziała na apel. Możemy na tym poprzestać?

Nie naciskałam. W ten sposób szykowałam grunt pod następne rozmowy. Tak, zgadza się. Mam nadzieję, że nasze stosunki się poprawią. Więcej, jestem tego pewna. Trochę to potrwa, ale po latach kontaktów - nieraz bardzo trudnych -z ludźmi czuję, że wszystko dobrze się skończy. Naprawdę w to wierzę.

A jeśli nie, Eve?

Nie będziemy o tym rozmawiać. Nie będziemy kusić losu.

Bo dobra, cudowna wiadomość jest taka, że zaraz po rozmowie z Willow skontaktowałam się z Maurą. Powiedziała, że telefon oderwał ją od pisania listu do mnie. Pobeczwała się, ja zresztą też. Obie

szlochałyśmy, nie mogąc wykrztusić słowa, a choć bałam się, że zaraz skończą mi się impulsy, nie potrafiłam przestać płakać.

Może na świeżo opowiem wam, jak przebiegła ta rozmowa? Dobrze mi zrobi, jeśli zrelacjonuję ją komuś słowo po słowie, bo może wreszcie przestanę się szczypać i zastanawiać, czy to mi się nie przyśniło.

Zacznę od samego początku. Od pierwszego sygnału.

Pi-pip, pi-pip, pi-pip, pi-pip! Cztery sygnały. Dopiero telefon do Willow przypomniiał mi, że w Irlandii sygnał jest podwójny.

Ktoś podniósł słuchawkę. Usłyszałam męski głos.

- Halo?

- Mogę prosić Maurę?

- Kto mówi?

- Tu... tu... - Bałam się to powiedzieć. - Jestem jej starą przyjaciółką, dzwonię z Ameryki.

Mężczyzna odłożył słuchawkę i zawołał do Maury, żeby szybko przyszła, bo ma telefon z Ameryki. Pamiętam, że zastanawiałam się, jak może wyglądać jej przedpokój. Próbowalam go sobie wyobrazić. Tapety na ścianach? Może jakieś kwiaty? Stojak na parasole? Na pewno nie miała wykładziny na podłodze, bo słyszałam kroki mężczyzny, oddalającego się od telefonu.

Kim był ten mężczyzna?

Po chwili usłyszałam jej głos.

- Halo? Kto mówi? Jakby drżący.

- Maura?

- To ty, Eve?

I wtedy obie wybuchnęłyśmy płaczem. Później już wszystko się pomieszało.

- Boże, Eve, właśnie do ciebie pisałam. Trzymam kartkę w ręku  
- mówiła Maura.

- Strasznie przepraszam, Mauro. Przepraszam za pieniądze.  
Zwrócę ci co do grosza. Z procentem - mówiłam ja.

I znowu ona.

- Przestań bredzić. Ani słowa o forsie. Mam teraz góry  
pieniędzy. Mów o sobie.

Trochę się uspokoiłyśmy i pokrótce opowiedziałam jej, co się u  
mnie działo, gdzie mieszkam, o wizycie Rowana, Arabelli i Willow, i  
tak dalej.

- Wiesz, co, Mauro? Wybieram się do Irlandii. Po tylu latach.  
Możemy się spotkać?

- Czy możemy się spotkać? Och, Eve, co za głupie pytanie!  
Oczywiście, że możemy się spotkać. Minęło tyle lat! Martwiłam się,  
że już nie żyjesz!

Znowu się rozplakała, a ja natychmiast jej zawtórowałam. Dom  
wariatów, mówię wam.

Chwilę potrwało, nim znowu się uspokoiłyśmy, i wtedy przyszła  
jej kolej na opowiadanie. Kiedy już wyjaśniłyśmy, dlaczego nie  
dostała moich listów, pochwaliła mi się synem. Tamten mały  
chłopczyk jest teraz bankierem w Finlandii. Przez kilka lat mieszkali  
we dwoje, wychowywała go samotnie; do czasu, gdy pewnego razu

wyskoczyła na weekend do Blackpool, gdzie poznała przemilego mężczyznę, malarza. Nie pobrali się, ale mają dwóch synów - już dorosłych; obaj wyfrunęli z gniazda. Jeden jest nauczycielem, a drugi podróżuje po świecie. Tak więc Maura dochowała się trzech chłopaków! Mieszka ze swoim partnerem w hrabstwie Laois, na zapadłej wsi.

-Jest dla mnie bardzo dobry, Eve. Odniósł olbrzymi sukces. Gdybyś mieszkała w kraju, na pewno byś o nim słyszała... Do diaska, Eve, takie gadanie przez telefon nie ma sensu. Musisz go poznać, przyjechać do nas. Hodujemy gęsi i osiołki, mamy własny strumyk i łąkę z wysoką trawą. Za miesiąc wszystko zacznie kwitnąć. Kiedy przyjeżdżasz?

Jakże to wszystko dalekie od betonowego podwórka i hałaśliwego bloku, w którym narodziła się nasza przyjaźń.

Powiedziałam, że przyjadę do Irlandii, kiedy zdejmą mi gips i odzyskam formę. Obiecałam zadzwonić, gdy tylko będę znała konkrety. Znowu trochę pochlipałyśmy i już trzeba było się żegnać.

Jestem dziś taka szczęśliwa. Szkoda, że nie ma tu Arabelli i nie mogę się z nią tym wszystkim podzielić. Nocuje u biednej Mary; nie będę im przeszkadzać. Rozsadza mnie radość, chcę ją wykrzyczeć światu.

Z Willow też wszystko się ułoży. Czuję to. Gdyby tak nie było, nie zadawałaby sobie trudu, by sprawić mi radość, odnajdując moją przyjaciółkę!

---

## Rozdział 52

---

Minęła już godzina od telefonu mojej matki z Arizony, a ja wciąż nie mogę się uspokoić.

Doskonale wiem, co robi: postanowiła przytłoczyć mnie swoją miłością i korzysta z byle pretekstu, żeby się ze mną skontaktować. Mogła poczekać na list od przyjaciółki, ale nie, musiała zadzwonić, choćby w minimalnym stopniu wciągnąć mnie w swoje życie. Co ona myśli? Że jestem głupia? Że się nie kapnę, że próbuje się wcisnąć kuchennymi drzwiami i nękać mnie tak długo, aż ustąpię? Arabella i Rowan jej nie wystarczają. Obstawiam, że teraz więcej myśli o mnie niż o nich, i nie da mi spokoju, póki nie uzyska wymarzonego „rezultatu”.

- Willow, jak się cieszę, że znowu rozmawiamy - usłyszałam, gdy podniosłam słuchawkę. Z punktu. Nawet nie było głupiego „witaj”.

Serce mi załomotało. Nienawidzę, kiedy uczucia wymykają mi się spod kontroli.

- Kto mówi?

Choć doskonale wiedziałam.

- Twoja matka. Eve.

- Nie mogę teraz rozmawiać, jestem bardzo zajęta. Pomagam Maeve w odrabianiu lekcji. - Tak naprawdę skończyłyśmy godzinę temu. - Dlaczego dzwonisz?

- Jak się czujesz? Ty i twoi bliscy?



- Świetnie. Oni też.

To najwyraźniej jej nie zniechęciło, bo parła naprzód.

- Cieszę się. Rozumiem, że jesteś zajęta, więc będę się streszczać. Byłabym ci ogromnie wdzięczna, gdybyś podała mi numer Maury.

- Prosiłam Arabelle, aby ci przekazała, że twoja przyjaciółka do ciebie napisze.

- Masz go gdzieś pod ręką? A może zadzwonić później?

- Nie. Mam go. Poczekaj chwilę.

Tego mi brakowało - żebym się stresowała, ilekroć zabrzączy telefon. Szperając w torebce w poszukiwaniu świstka, który dostałam w TV3 - tak, reakcja była błyskawiczna, charakteryzatorka zmywała mi makijaż, gdy przybiegł chłopak z informacją, że zgłosiła się przyjaciółka mojej matki - słyszałam, jak Eve nuci pod nosem. Nuci!

Kiedy podałam jej numer, zaczęła głądzić coś o dozgonnej wdzięczności i że nie wie, jak mi odpłacić, że „zadałam sobie tyle trudu”.

- Drobiazg - ucięłam ostro, starając się jednak, by nie zabrzmiało to bardzo niegrzecznie. Zwykle jestem uprzejma.

- I tak dziękuję.

Umilkła. Tego też nienawidzę - kiedy ludzie milkną w połowie trudnej rozmowy, zmuszając cię, żebyś się odezwała.

- A w ogóle dzieci były zachwycone pójściem do telewizji. Dostały autograf od jakiejś gwiazdy muzyki pop, która udzielała wywiadu tuż po mnie.

- Zgłosiłaś się do telewizji, by odnaleźć Maurę?

Szybka jest. To muszę jej przyznać.

- Tak. Uznałam, że tak będzie najprędzej. Skontaktowałam się z redakcją czasopisma i wystąpiłam w programie telewizyjnym. Twoja przyjaciółka zgłosiła się prawie natychmiast. Pokazali jej zdjęcie i przeprowadzili ze mną rozmowę. Możemy na tym poprzestać, mamó?

Ale ona nie zamierzała na tym poprzestać.

- Rety! Jesteś cudowna, Willow. Bardzo dziękuję.

- Maeve czeka. Naprawdę, muszę kończyć.

- Rozumiem. Tylko jedno. Powiedz, jak się czują moje wnuczeta? Dermot wykurował się już z tej infekcji dróg oddechowych?

Zrobiła to świadomie? Doskonale wiedziała, że infekcja była zmyślona. Nieznośne babsko.

- Oboje czują się doskonale. Ja też. A teraz, daruj...

- Nie mogę się doczekać, kiedy je zobaczę - ciągnęła Eve, jakbym się nie odezwała. - Proszę, uściskaj je mocno ode mnie.

Dobrze? Powiedz, że już wkrótce się zobaczymy. To znaczy, jeśli się zgodzisz, Willow. W końcu to moje wnuki.

- Oczywiście, że pozwolę ci się z nimi spotkać. Czemu miałabym zabraniać?

- Cudownie! Dziękuję. Przywiozę im oryginalne, kowbojskie kapelusze. Przekażesz im to?

- Tak. Do widzenia.

Odłożyłam słuchawkę i stałam, gapiąc się na telefon, jakby był żywą istotą, którą zabiłam. Trudno mi opisać, co czułam. Niepokój. To słowo chyba jest najbliższe prawdy.

Powiadam wam, matka zalaża mi za skórę. Od powrotu ze Stanów ciągle słyszę jej głos. Prześladowuje mnie - tylko tak mogę to określić - to, co zobaczyłam w jej oczach, gdy darłam się na nią na gorącej, zakurzonej drodze w tym przeklętym Robinia Meadows. Najwyraźniej matka postanowiła zachowywać się, jakby tamta scena w ogóle się nie wydarzyła.

Ciągle też mi się śni.

A teraz przyjeżdża do Irlandii.

---

## Rozdział 53

---

Niezbędnik turysty: „co i gdzie trzeba zobaczyć w Sedonie?”. Siedząc przy kawie, przerzucam ulotki, broszurki i mapy. W nocy burza przetoczyła się dalej, zostawiając po sobie świeże, rześkie powietrze. Humor mi dopisuje, znakomicie się bawię.

Moje „spotkanie z Sedoną” zaczynam od kawy w barku centrum handlowego, w którym mieści się galeria Roberta i Maria, a które stanowi dla mnie punkt odniesienia. Kafajka stylem nieco mi przypomina Saddle Horn, choć jest mniej ostentacyjna, a na stołach leżą obrusy w wesołą kratkę. Robert urzęduje w galerii: widziałam go przez okno i pomachałam mu, ale nie weszłam do środka. Chcę trochę pobyć sama. Po raz pierwszy od przyjazdu do Arizony zachowuję się jak prawdziwa turystka. W głowie mi się nie mieści, że spędziłam tu zaledwie tydzień; tych ludzi traktuję już jak „swoją paczkę”. Łapię się nawet na tym, że zastanawiam się, kiedy wróci Mario.

Mój chytry plan na dziś zakładał odbudowanie kontaktu z Dale'em poprzez prośbę o podwiezienie do miasta. Jednak kiedy przyszedłam, przed przyczepą Dale'a nie było pikapu, a on sam też zniknął. Poczulałam się straszliwie dotknięta, zawiedziona i urażona. Jak on śmiał gdzieś się ulotnić, gdy ja zebrałam się na odwagę, by wyznać, co do niego czuję? Pomaszerowałam prosto do budki i zamówiłam taksówkę w jednej z reklamujących się firm. I co z tego, że drogo?

Eve była w siódmym niebie, gdy wpadłam do niej w oczekiwaniu na taryfę. Cóż, pomyślałam ponuro, dobrze mieć choć jedno miejsce na ziemi, gdzie zawsze serdecznie cię przyjmą.

W tej samej chwili uświadomiłam sobie, jak idiotycznie się zachowuję, wzięłam się w garść i pomogłam Eve nakarmić kota. Karmienie Ryżego to cała skomplikowana procedura. Kocisko dostaje suchą karmę, zmieszaną z mielonym mięsem drobiowym.

- Ile właściwie ma lat?

- Tego nie wie nikt. Weterynarz przypuszcza, że jakieś osiem, dziewięć. Pięć lat temu pojawił się na moim tarasie, widocznie spodobało mu się tu, bo został. To w sumie śmieszne. - Eve dodaje do mieszanki Ryżego kawałeczki bekonu. - Człowiekowi pochlebia, jeśli kot wybierze go na opiekuna. Zwłaszcza samotnym ludziom.

Nastawiłam ucha, czy nie usłyszę nuty uzalania się nad sobą, jednak niczego takiego nie rozpoznałam.

- Każdy zwierzak to dobry towarzysz. Ale w mojej kamienicy nie pozwalają trzymać zwierząt. Słuchaj, Eve, mogłabyś zajrzeć do Mary? Nie chcę, by pomyślała, że zostawiłam ją na pastwę losu. Kiedy wychodziłam, jeszcze spała i nie miałam sumienia jej budzić. Wyjaśnisz, że pojechałam do miasta?

- Naturalnie, skarbie. W szpitalu mam być dopiero o wpół do pierwszej. I nie przejmuj się, nie zostawię jej samej. Skoro ciebie nie będzie, wezmę ją ze sobą. A ty baw się dobrze i nie wracaj za szybko. Och, czekaj! Musisz się dowiedzieć... - Rozpromieniona pochwaliła się, że wczoraj w nocy rozmawiała się ze swoją starą przyjaciółką. -

Dasz wiarę? I spotkamy się! Mieszka w głębi wyspy i ma forsę jak lodu, a ponieważ jadę do Irlandii... - Poczwała, że znalazła się na niepewnym gruncie. - Oczywiście tylko jeśli ty i reszta się zgodzicie.

- Jasne, że tak, Eve! Przecież już to zaplanowaliśmy! Cudowna nowina. Bardzo się cieszę.

- I jeszcze coś. - Wznosi pięść w geście triumfu. - Udało mi się też skontaktować z Janice.

- Z Janice? - powtarzam tępo.

- Z córką Dale'a. Odszukałam ją w Kalifornii.

- Oczywiście! Wyleciało mi z głowy jej imię. To fantastycznie! Znakomicie się spisałaś, gratuluję, Eve.

Ale w głębi duszy wcale nie jestem pewna, czy dobrze zrobiłam, w ogóle jej o tym wspominając. Czasem takie niespodzianki okazują się strasliwym niewypałem. Najwyraźniej Eve nie przyszło to na myśl, a ja nie mam sumienia gasić jej entuzjazmu.

- Jesteś niesamowita. Istna panna Marple z Robinia Meadows.

-Kto?

Nie skojarzyła.

- Panna Marple. Agatha Christie. Nieważne. I jak? Przyjedzie? Jaki będzie kolejny krok?

- Musi pomyśleć. Powie mi, kiedy się zdecyduje. Umówiliśmy się, że zadzwonię.

- Eve, powinniśmy uprzedzić Dale'a.

- Hmm... Zobaczymy. Postanowiłam zmienić temat.

- A jak poszło z Willow?

- Nienadzwyczajnie. - Pokręciła głową. - Chyba poczyniliśmy pewne postępy, chociaż nadal nie potrafię przewidzieć jej reakcji. W każdym razie wie już, że zamierzam odwiedzić wnuczęta... Oooo! Grzeczny kiciuś, zjadł całe śniadanko! -Podniosła kota. - Tak czy inaczej nie pozwolę, by coś zepsuło mi radość! Żadnych chmur na horyzoncie i koniec. - Kot przytulił się do niej i podrapała go po łebku. - Ja i Willow jeszcze się dogadamy. Zobaczysz. Stawiam sto dolców.

Zobaczyłam podjeżdżającą taksówkę.

- Przyjmuję. - Uśmiechnęłam się. - Ale jeśli przegram, dostaniesz tylko weksel.

Kawa stygnie, a ja wciąż przerzucam stertę broszurek, które dostałam w informacji turystycznej. Mam całutki dzień do dyspozycji. Co wybrać? Wyprawę do czakramów „z doświadczonymi przewodnikami, rdzennymi Indianami”? A może „podniebny spacer” balonem? Albo „terapię uwolnienia zastałych powięzi mięśniowych”, dzięki której znów będę mogła prowadzić aktywne życie? Lub „Przygodę na szlaku”, czyli jazdę konno na oklep przez górski potok?

Mogłabym nawet udać się „zabytkowym pociągiem” do Wielkiego Kanionu. Gdybym miała czas. I pieniądze.

Decyduję się na buszowanie po sklepach.

Niech Robert i jego centrum handlowe wybaczą mi zdradę, ale najbardziej ciągnie mnie do kompleksu wystawowo--sklepowego o nazwie, na której można sobie połamać język: Tlaquepaque. To parę kroków stąd, więc wrzucam całą literaturę do torby i radośnie,

beztrosko ruszam w drogę. Do Tlaquepaque trzeba zejść trochę w dół; idę z narażeniem życia, bo w Sedonie chyba nikt nie słyszał o chodnikach. Przyjechałam do kraju, w którym prawie nikt nie chodzi pieszo. Amerykanie uznają marszobiegi, jogging i wędrówki górskie, jednak żeby dostać się z punktu A do B, musisz mieć cztery kółka.

W Tlaquepaque dominują stragany i małe sklepiki, ukryte wśród drzew. Ruch jeszcze niewielki, galerie i sklepy świecą pustkami, tylko na placyku przy fontannie opalają się jacyś turyści. Pewnie nie śmierdzą groszem, jak ja - i przyszli tu się pogapić, a nie kupować. Ku mojemu zdumieniu z głośników nie płynie muzyka i nic nie zagłusza świergotu ptaków w koronach drzew. Podejrzewam, że nawalił im radiowęzeł.

Omijam największe, najbardziej odpicowane galerie i krążę w poszukiwaniu niedrogich pamiątek dla Grety, jej męża, Dermota oraz Maeve. Podejrzewam, że kupowanie czegokolwiek dla Willow byłoby grubym nietaktem i mogłoby źle się dla mnie skończyć. Jest olbrzymi wybór glinianych czółen, srebrnej biżuterii z turkusami i łapaczy snów różnej wielkości. Na razie jeszcze niczego nie kupuję. Tak rzadko mogę łązić gdzieś bez pośpiechu i bez celu, chcę się tym nacieszyć. W zakupach najprzyjemniejsze jest wyczekiwanie - kiedy jeszcze masz wybór.

Ilekcroć widzę jakiś skórzany pas albo kowbojki - nawet miniaturowe - robi mi się ciepło i słodko na duszy; Już tylko parę godzin i znowu będę z Dale'em.



Jestem tak odprężona, że przestaję myśleć i w jednym ze sklepów automatycznie sięgam po ozdobną klamrę na rzemyku - bolo czy bola, jakoś tak to się nazywa - w kształcie końskiego czy też krowiego łba. Jimmy Porter zakochałby się w tym od pierwszego wejrzenia!

Błyskawicznie odkładam klamrę. Ale humor mi się warzy.

Nie pozwolę na to. Nic nie zepsuje mi zabawy. Nieważne, jak to wszystko się skończy, słusznie postąpiłam, zrywając z Jimmym. Przechodzę do sąsiedniego sklepu. Specjalizuje się w plakatach i starych, czarno-białych fotografiach, przedstawiających scenki z rodeo oraz stada galopujących koni. Strasznie drogie, kosztują od stu do dwustu pięćdziesięciu dolarów, ale fajnie się je ogląda, a ponieważ właściciel stoi sennie za ladą, myśląc o niebieskich migdałach, nie czuję presji ani nie jest mi głupio, że niczego nie kupię.

Postanawiam zaszaleć i wybieram się na lody. Czekam przy ladzie i patrzę, jak sprzedawca nakłada lody do wafelka, gdy nagle słyszę śmiech. Nie jakiś tam śmiech. Znajomy. Dale'a.

Wszystko nagle mi się ściska. Serce, żołądek, gardło, nozdrza... Rozglądam się, ale go nie widzę.

Płacę za lody i pędzę do głównej alejki, rozglądając się na lewo i prawo. Nic na to nie poradzę, na mojej twarzy gości szeroki uśmiech, którego pozazdrościłby mi nawet kaczor Daffy.

I zastygam z tym uśmiechem.

To Dale, nie da się zaprzeczyć. O, tak, to z całą pewnością Dale. Paraduje sobie alejką, nonszalancko otaczając ramieniem szczupłą kibić szykownej blondynki.

Jest jego wzrostu, ubrana w jasnoszary komplet -spodnie z zakietem - układający się miękko i delikatnie ślizgający po ciele. To musi być jedwab. Kobieta trzyma w ręku elegancką, haftowaną torebkę. Ma haftowane buty w ten sam wzór. Dale coś mówi, a ona ze śmiechem odrzuca głowę. W romansach taki śmiech nazywa się „srebrzystym”.

Dale też się śmieje. Świetnie się razem bawią. Jak to zanotowała Eve w dzienniczku? Zabawne, jak trywialne drobiazgi się zapamiętuje. A potem dokładnie opisała, w co była ubrana cizia, kiedy szła z Peteyem po Gardiner Street. Historia się powtarza. Ja też dostrzegam drobiazgi, które już na zawsze wryją mi się w pamięć: dziwny zapach czerwonych kwiatów na pobliskim krzewie, kelner brzęczący sztućcami i nakrywający stoliki w ogródku restauracji, odległy warkot samolotu. Sterczę w miejscu, nie mogąc zrobić kroku. Kobieta upuszcza torebkę, Dale schyla się po nią. Kiedy oddaje towarzysze zgubę, dostrzega coś kątem oka. Ogląda się przez ramię. Widzi mnie. Teraz to on zastyga bez ruchu.

Szybko odzyskuje panowanie nad sobą i szepcze coś kobiecie, która ogląda się na mnie. Zostawia ją i szybkim krokiem idzie w moją stronę.

Błyskawicznie usiłuję przybrać uprzejmy, pogodny wyraz twarzy. Dale nie może zobaczyć, jak bardzo mnie zranił.

- Witaj, Dale. Prawda, jakie urocze miejsce?

- Arabello!

Jego ogorzała twarz poszarzała. Gdzie się podział ten zawsze wyluzowany gość?

- Co słyhać? Nie spodziewałem się, że cię tu zobaczę.

- Och, tak mi coś strzeliło do głowy. - Utrzymanie uśmiechu na twarzy kosztuje mnie tyle, że lada moment chyba zacznę mi pękać skóra. - Pomyślałam, że obejrzę miasto, zrobię zakupy.

Potem jednak nie mogę się powstrzymać.

- Nie przedstawisz nas sobie?

- Ależ oczywiście. Jasne.

Podchodzi ze mną do kobiety, która zdążyła już odsunąć się o parę kroków i bacznie przygląda się liściom na dużym, zielonym krzewie.

- Niech zgadnę: jest twoim doradcą do spraw ogrodu! Mam ochotę palnąć się w ucho, bo mój głupawy żart pomaga Dale'owi odzyskać panowanie nad sobą.

- Nie - odpowiada z uśmiechem. - Nie jest.

Stajemy obok kobiety.

- Hanno, to Arabella, moja znajoma z Irlandii, córka Eve.

Pamiętasz, tej sąsiadki z osiedla, o której ci opowiadałem.

- Owszem, pamiętam. Witaj w Arizonie, Arabello. To twoja pierwsza wizyta w Stanach?

Głos ma miękki i melodyjny; zachowanie i sposób mówienia wskazują, że kobieta pochodzi z zamożnej, dobrej rodziny. Nie

potrafię określić jej wieku. Figura i twarz wskazywałyby na jakieś pięćdziesiąt pięć lat, ale mogę się mylić w każdą stronę. Nosi dyskretną biżuterię: niewielkie, brylantowe kolczyki w uszach, drogi zegarek. W Leicester na kilometr poznajemy ludzi z klasą i niech nikt nie próbuje mi wmówić, że tam, gdzie w grę wchodzi elegancki wygląd, pieniądze nie są ważne.

- Zgadza się, Hanno, to mój pierwszy pobyt w Stanach i bardzo mi się tu podobało. A ponieważ dziś wyjeżdżam, postanowiłam jeszcze pokręcić się po mieście.

Jestem pospolita i hałaśliwa. Ja to byle jaka wycieczka po promocyjnej cenie. Ona - rejs luksusowym jachtem po greckich wyspach.

- Dziś wyjeżdżasz? - Dale jest zszokowany. - Nic mi nie mówiłaś.

- Cóż, taki los. - Raczę ich pełnym blaskiem swej promiennej osobowości. - Wczoraj dzwoniłam do pracy. Jak chyba ci wspominałam, Dale, cierpimy na niedobór personelu. Mają tam kompletne urwanie głowy i, niestety, szefowie nie zgodzili się, bym przedłużyła urlop. Na szczęście zdążę jeszcze zrobić drobne zakupy. Jestem kelnerką, Hanno - wyjaśniłam z powagą. - A w Irlandii to towar deficytowy. Wykwalifikowane kelnerki są na wagę złota. Na wagę złota, wierz mi.

- Och, wielka szkoda, że musisz wyjeżdżać.

Bardzo miła kobieta. Polubiłabym ją, gdyby nie to, że jej nienawidzę - gorąco, każdą, najmniejszą komórką ciała.

- Tak, rzeczywiście szkoda, ale wyznam ci, Hanno, że już po tym jednym tygodniu zakochałam się w Ameryce. Na pewno tu wrócę. Może spróbuję szczęścia w innym stanie? Na przykład w Kalifornii.

Dale przysłuchuje się mojej paplaninie z miną pełną niedowierzania. To jeszcze nic, jeszcze nie wie, że ma do czynienia z mistrzynią subtelnej sztuki towarzyskiej konwersacji.

- Czy to dobry pomysł, Dale? Spodobałoby mi się w Kalifornii? Jak sądzisz? Albo nie, nie odpowiadaj! - Znowu zwracam się do kobiety. - Wszyscy są tu wprost fantastyczni. A jacy gościnni! Dale był niezrównanym gospodarzem.

Im rozkoszniej szczebioczę, tym mocniej i dotkliwiej płonie we mnie zazdrość. Wreszcie poznałam tajemnicę jego podwójnego życia. I niech mi nie próbuje wcisnąć, że to jego siostrzyczka albo cudem odnaleziona kuzyneczka.

- A przy okazji, pochwalił ci się, jaki z niego bohater? Pokazał swoje zaszczytne rany?

Jej afektowany śmiech - srebrzyste dzwoneczki - jest skierowany wyłącznie do Dale'a.

- Owszem, wspominał coś o tym. Dłużej tego nie zniosę.

- Właśnie, Dale, czy gdzieś w pobliżu jest jakieś biuro podróży? Muszę zrobić rezerwację na dziś.

- Jasne. - Ożywia się i pokazuje mi budynek. - O, tam. Podprowadzić cię?

- Och, nie, nie, nie! - mówię szybciotko. - Nie będę ci zawracać głowy. Dziękuję, poradzę sobie.

- Ale spotkamy się przed twoim wyjazdem?

- Nie jestem pewna. - Udaję głęboki namysł. - Jeśli dobrze pamiętam, Willow wracała samolotem koło szóstej. O której zamierzasz wrócić do domu?

- Och, na pewno na tyle wcześnie, by spokojnie odwieźć cię na lotnisko.

Teraz moja kolej na dźwięczny śmiech. Dzyń-dzyń-dzyń - to brzmi niczym głucho, byle jakie szkło.

- Nie ma takiej potrzeby, Dale. I tak już byłeś dla mnie zbyt uprzejmy. Ale będę musiała zabrać rzeczy z twojej przyczepy. - Nie patrzę na jego kicię. Niech sama sobie wyciąga wnioski. - Od dawna się znacie?

Wymieniają spojrzenia - chyba mimowolnie - pełne takiej zażyłości i czułości, że nie mam już cienia wątpliwości: poległam.

- Och, Dale i ja jesteśmy starymi przyjaciółmi. - Hanna zadaje mi ostateczny cios.

- Na pewno nie chcesz, żebym odwiózł cię na lotnisko, Arabello? - odzywa się Dale, nim jeszcze skończyła.

Cóż za błyskawiczna zmiana tematu.

- Naprawdę bardzo dziękuję, Dale, poradzę sobie śpiewająco. I tak za dużo dla mnie zrobiłeś. - Powtarzam się. - Zresztą, pewnie Eve będzie chciała mi pomachać. Weźmiemy taksówkę. Teraz, gdy zmienili jej gips na lżejszy, stanie się o wiele bardziej ruchliwa.

Dziękuję za propozycję, ale my dwie mamy sobie jeszcze wiele do powiedzenia. Wiesz, jak to jest. Cóż - wyciągam rękę do kobiety - nie będę was zatrzymywać. Bardzo miło było cię poznać, Hanno. - A potem do niego: - Do zobaczenia kiedyś, Dale! Och, przy okazji, jak się dostanę do twojej przyczepy? -I do niej: - Muszę zabrać swoje rzeczy.

- Nie jest zamknięta. - Dale opuszcza głowę, twarz ma ściągniętą.

- Super. No to, miłego dnia. Bawcie się dobrze!

Żwawym kroczkiem ruszam w kierunku biura podróży. Nie oglądam się. Boję się, że jeśli to zrobię, obrócę się w słup soli.

Choć z drugiej strony, słup soli bardzo by się przydał. Byłoby na czym oprzeć moją pustkę.

---

## Rozdział 54

---

Pustka, próżnia, nieodwracalna decyzja, ból, wściekłość, niepokój, upokorzenie...

Siedzimy we trójkę: Rowan, Eve i ja, na tarasie Eve. Jestem już spakowana. Moja walizka stoi przy schodach, nieco z boku, żeby nikt się o nią nie potknął. Za dwadzieścia minut przyjedzie po mnie taksówka. Eve jest zachwycona nowym, lżejszym usztywnieniem. Odżyła. Jest smutna, że tak nagle wyjeżdżam, ale powtarza sobie, że przecież wkrótce spotkamy się w Irlandii.

Wycie, łzy, rozdzierający szloch, drapanie pazurami, piekące upokorzenie...

Chyba Eve kupiła bajeczkę o konieczności pilnego powrotu do pracy, mimo to i tak bodaj dziesiąty raz pyta, czy coś się stało; martwi się, że jakoś nieswojo wyglądam. Cierpliwie wyjaśniam, że jestem zdenerwowana, bo boję się podróży samolotem. Zdaje się, że mi nie wierzy, ale jak udowodni, że mówię nieprawdę? Skieruje mi światło żarówki w oczy i podłączy mnie do wykrywacza kłamstw?

Zapytała, dlaczego taksówka. Czemu nie poprosiłam Roberta albo - tu baczne spojrzenie - Dale'a?

Tłumaczę, że nie chcę wyciągać Roberta z pracy, a Dale gdzieś się ulotnił.

- Przecież wróci. Wie, że wyjeżdżasz?

- Napiszę do niego i przeproszę, że się nie pożegnałam. -

Unikam odpowiedzi. - I tak muszę mu podziękować za gościnę.



- Ale...

- Eve!

Wreszcie do niej dociera i milknie. Na tarasie zapada cisza.

Cierpienie, pękające serce, wrzask, wściekłość, wstyd, furia...

Eve macha przejeżdżającemu samochodowi.

- Dziś wieczorem wraca Mario. Będzie mu przykro, że się nie pożegnaliście.

- Do niego też napiszę. Do wszystkich. I pamiętaj, żeby pożegnać ode mnie Mary.

Mary RR rzeczywiście wybrała się z Eve do kliniki. Tam uznała, że nie chce od razu wracać na miejsce jednej lub wielu zbrodni, więc odwiedzi przyjaciółkę. Do Robinia Meadows przyjedzie pewnie dopiero wieczorem.

- Jest ci ogromnie wdzięczna, Arabello. Biedactwo. Nie mam pojęcia, jak sobie z tym poradzi.

- Człowiek to odporne stworzenie. Nie będzie jej łatwo, ale się pozbiera. Zresztą, może liczyć na was. Pomożecie jej.

Miałam dość rozumu, by w drodze powrotnej zahaczyć o komisariat i powiadomić ich, że wracam do kraju. Nie robili najmniejszych trudności, byłam tylko podrzędnym świadkiem w sprawie Eddiego. Na wszelki wypadek zapisali mój adres i numer telefonu.

Rowan jest niespokojny, nieustannie się wierci. Może boli go spieczona twarz, choć twierdzi, że nie. Garnitur, w którym paradował od przyjazdu najwyraźniej przeszedł na zasłużoną emeryturę. Teraz

mój brat ma na sobie nowiutką bawełnianą koszulę i krótkie spodenki khaki, pokazujące, że naturalnym kolorem skóry Irlandczyka jest sina bladość.

Nadal nosi kryte pantofle. I nadal bez skarpet. Oboje palimy jak lokomotywy.

- Niezły zestaw, Rowanie. Nowy?

- Tak. Gina mi kupiła. Zwrócę jej kasę.

- Oczywiście.

Nie drażę kwestii pieniędzy. Szczerze? Guzik mnie to w tym momencie obchodzi.

- Przydałyby ci się też sandały, Rowan. Idź na całość. A skoro o Ginie mowa, to gdzie ona się podziała?

- Musiała wyskoczyć na zebranie w pracy. Powiedziała, że niedługo wróci.

Czternaście minut do przyjazdu taksówki, jeśli kierowca okaże się punktualny. A nie mam powodów sądzić, że nie.

Uraza, ból, cierpienie, oburzenie, piekący wstyd, pustka, próżnia, cholera!

- Sądzisz, że ta ładna pogoda się utrzyma, Eve?

- Trudno powiedzieć, skarbie. Sama wiesz, że na brak słońca nie możemy narzekać. Przywykłam już do tutejszego lata, ale... - Wznosi oczy ku niebu.

Rowan wierci się na krześle.

- Słuchaj... - Znowu się wierci. - Skoro wyjeżdżasz, chyba mogę to powiedzieć. Muszę wam coś zakomunikować.

I ja, i Eve obracamy się do niego.

- Pewnie i tak pomyślicie, że nic z tego nie będzie...

Tu patrzy znacząco w moją stronę. Eve wygląda na nieco zdziwioną, ale milczy. Nie mam teraz czasu na bawienie się w psychologię.

- Do rzeczy. Taksówka zaraz tu będzie.

Rowan zauważa rozwiązana sznurówkę, więc schyla się, aby ją zawiązać.

- Gina i ja chyba damy sobie szansę.

- Cieszę się, Rowanie.

Podnosi wzrok. Czujny. Chyba spodziewał się drwiny. Cóż za ironia losu, myślę. I zaraz potem pcha się druga myśl; natrętna i małostkowa. Dlaczego to on kogoś sobie znalazł?

- Cóż jeszcze mogę powiedzieć? Życzę wam wszystkiego najlepszego. Szczerze. Naprawdę, bardzo się cieszę.

- I ja też, synku. To najwspanialsza nowina od... och, od pół godziny!

Eve, która ostatnio żyje w stanie ciągłej euforii, wstaje i ściska Rowana. Kiedy go uwalnia, mój brat uśmiecha się radośnie.

- Naprawdę nie uważacie, że kompletnie nam odbiło?

- Ależ skąd, skarbie. Za to założę się, że nie umrzecie własną śmiercią. - Eve parska śmiechem i wraca na miejsce. - Zakładam, że mówiąc „damy sobie szansę”, nie masz na myśli świętego węzła małżeńskiego?

- Litości.

Rowan nadal promiennie się uśmiecha. Natychmiast ubyło mu lat.

Spoglądam na zegarek, poganiam wskazówki. Dwanaście minut albo coś koło tego.

Arabella rzuca Jimmy'ego dla Dale'a. Dale rzuca Arabelle.

Rowan - Rowan! - szczęśliwie się zakochuje. Eve nie męczą tak małostkowe myśli.

- To znaczy, że nie wyprowadzasz się z Robinia Meadows?

- Wszystko jest jeszcze do dogadania. Dostałem propozycję pracy.

- Ze jak?

Tu też ze mną wygrał?!

- W jednym z barów, w których pracuje Gina. Niezły lokal. Kierownik zaproponował mi robotę. Powiedział, że raz-dwa się przyuczę. I mówił, że spokojnie mogę pracować na czarno. - Oczy mu świecą. - Ale, kurwa, odłot, nie? W pale się nie mieści.

- Jak ty się wyrażasz?

Mimo to Eve chwyta jego dłonie i wyciska na nich mokre całusy. Jest tak szczęśliwa, że brakuje jej słów.

Mnie też brakuje słów, chociaż z innego powodu. Kipi we mnie zazdrość. Nie mam nawet dość przyzwoitości, by przyznać, że właśnie o coś takiego bym się dla niego modliła, gdybym się modliła. Uważaj, o co prosisz los. Dlaczego to nie ja?

- Kiedy podjąłeś tę radosną decyzję? Przygląda mi się uważnie.

- Rozmawialiśmy z Giną w szpitalu, a potem wracając z rozprawy. Co się stało, Bel? Dlaczego się nie cieszysz? Sądziłem, że będziesz w siódmym niebie. Dość zamartwiania się o czarną owcę. Masz mnie z bańki.

- Nie bredź. Cieszę się. Oczywiście, że się cieszę.

- Jakoś nie widzę.

- To usłysz. CIESZĘ SIĘ. Dotarło?

Słyszę siebie i w tym samym momencie prawda poraża mnie jak uderzenie obuchem: ta złośliwość to coś więcej niż zazdrość, że Rowan znalazł miłość, a ja ją utraciłam. Czyżbym była urażona, że mój brat-problem przestał być problemem?

Przecież nie mogłam się doczekać tej chwili. Oczywiście, że chciałam - chcę - by Rowan znalazł szczęście, osiągnął spełnienie i niezależność.

Ale...

Co ja mam teraz ze sobą zrobić? O kogo będę się martwić? Co mi zostało, skoro Rowan się ode mnie uniezależnił?

Po raz pierwszy dostrzegam tę jasną, oczywistą prawdę. Tak długo zamartwiałam się o brata, że ta troska stała się rdzeniem mojego życia, jego ośrodkiem. Mogłam przymykać oko na własne niedoskonałości i niepowodzenia, bo musiałam opiekować się Rowanem. Musiałam się o niego martwić. Musiałam go ratować. Miałam życiową misję. Musiałam być Tą Dobrą.

Z jego poparzonej twarzy patrzą na mnie oczy matki.

Eve patrzy na mnie jego oczami.

- Na co się tak gapicie?

- Na pewno dobrze się czujesz, Arabello? - Eve wypuszcza dłoń Rowana i kładzie mi rękę na kolanie. - Tak pobladaś.

- Nic mi nie jest. Naprawdę. To tylko nerwy przed podróżą samolotem. Tłumaczyłam ci. - Zwracam się do Rowana. - Po prostu mnie zaskoczyłeś, to wszystko. Słowo, bardzo się cieszę.

- Ale uważasz, że wszystko spieprzę, tak? Dlatego masz taką minę?

- Nie, nieprawda. To najlepsze, co mogło ci się trafić. Nawet nie muszę się wysilać, by to zabrzmiało szczerze.

Mówię z serca.

Greta niezliczone razy opowiadała mi o odcinaniu pępownicy poprzez wizualizację. Wizualizacja to jej sposób na wszystko. Wyobrażasz sobie pępownicę łączącą cię z kimś, kogo znasz i komu chcesz dać wolność. Kiedy dojrzewasz do tej decyzji, „widzisz”, jak wzajemnie się uwalniacie, przecinając ową pępownicę złotymi nożyczkami. Zawsze uważałam to za wydziwianie, ale teraz dochodzę do wniosku, że akurat w sytuacji mojej i Rowana może warto spróbować. Zrobię to, kiedy będę miała chwilę dla siebie. Może nawet w taksówce, wiozącej mnie na lotnisko.

Będzie mi trochę smutno, gdy zobaczę, jak Rowan ode mnie odpływa, ale będę się też cieszyła, bo mój malutki braciszek wreszcie dorósł. Pewnie już nie będzie mnie potrzebował. To bolesne. Niemal tak samo jak znalezienie Dale'a Genschera tylko po to, by za chwilę go utracić.

Podnoszę się i wypatruję taksówki. Eve zostaje. Zaoferowała się, że ze mną pojedzie, ale się nie zgodziłam. Powiedziałam, że wolę się z nią pożegnać tutaj, „a następnym razem, tylko pomyśl!, to ja będę cię gościć u siebie”.

- Posłuchaj, Rowanie. Naprawdę jestem z ciebie dumna. Masz rację, dziesięć dni temu pomyślałabym, że może ci się nie udać, tak już jestem zaprogramowana. Teraz muszę zmienić to oprogramowanie, bo byłam świadkiem cudu. A w każdym razie początku cudu. Bo, nie oszukujmy się, jesteś dopiero na początku drogi. Sam musisz przyznać, że jeszcze wczoraj nie wszystko wyglądało tak słodko.

Wreszcie mogę mu spojrzeć w oczy.

- Ale wydarzyło się coś niezwykłego i z całego serca życzę ci powodzenia. Tobie i Ginie także, ale przede wszystkim tobie.

Nie daję mu czasu na ucieczkę i mocno go obejmuję. Po kilku sekundach Rowan wstaje i też mocno mnie ściska.

- Masz rację - szepcze mi do ucha. - Przede mną jeszcze daleka droga. Ale dziękuję, Bel. Za wszystko.

Jeśli pamięć mnie nie myli, ja i mój brat po raz pierwszy w życiu się obejmujemy. Nie przypominam sobie, abym go przytulała, nawet jak był maleńki.

Kiedy się od siebie odsuwamy, Eve ociera łzy.

- Boże, Eve, nie zaczynaj. Zaraz wszyscy zaczniemy się mazać - śmieję się, choć głos mi trochę drży.

Wydmuchuje nos i nagle spogląda na coś za moimi plecami.

- O, świetnie! Przyjechał Dale. Zdążył w ostatniej chwili.  
Chwała Bogu. Tak się martwiłam, że wyjedziesz, nie żegnając się z nim.

Cholera! Niech to jasny szlag!

Odwracam się. Rzeczywiście, idzie tu. Natychmiast wcielam się w Polyannę.

- Cześć, Dale.

Jakby mnie nie zauważył.

- Eve, Rowanie. - Zatrzymuje się przy schodach. - Pozwolicie, że na chwilę zaanektuję Arabellę? Muszę z nią porozmawiać.

- Naturalnie. - Eve zrywa się z krzesła. - Do środka, Rowanie. I tak miałam ochotę na herbatę.

- Zostań. Arabella musi pójść ze mną.

He? Co znaczy to „musi”? Szukam wzrokiem pomocy u matki, ale Eve głupio uśmiecha się do Dale'a. Dobra. Sami tego chcieli. Poradzę sobie i tak.

- Przykro mi, Dale, nic z tego. Zaraz przyjedzie taksówka. Spóźnię się na odprawę paszportową.

- Zdązysz. To nie potrwa długo. Chodź ze mną, Arabello. Proszę.

To już nie jest rozkaz. Dale wchodzi po schodach i staje przy mnie, jego dłoń znajduje się zaledwie parę centymetrów od moich pleców. Co on, do diaska, sobie wyobraża? Za kogo się ma?

- Przykro mi. Nie mogę. Nie zdążę. Jeśli masz mi coś do powiedzenia, powiedz tutaj.



- Przestanieś zachowywać się jak dziecko? Tracimy czas.

Eve i Rowan weszli już do środka. Jesteśmy na tarasie sami.

Gotuję się ze złości.

- Kto tu zachowuje się jak dziecko? Jak śmiesz...?

- Arabello - Dale przysuwa się niebezpiecznie blisko -nie chcę tu robić żadnej sceny, ale jeśli mnie sprowokujesz... Ostatni raz proszę, pójdziesz ze mną?

Widzę, że nie żartuje. Nadal jestem wściekła, jednak postanawiam ustąpić.

- Pięć minut, dobra? Daję ci pięć minut.

Wołam do Eve i Rowana, niech poproszą taksówkarza, żeby poczekał, jeśli przyjedzie, zanim wrócę.

- Jasne, skarbie! - odkrzykuje Eve.

Złośliwie, z premedytacją schodzę stopień po stopniu. W milczeniu pokonujemy krótki dystans dzielący nas od przyczepy Dale'a. Pilnuję się, aby cały czas iść pół kroku przed nim. Jestem wściekła. Wkurzona. Załamana. Porzucona.

A jednocześnie ciekawa. Czy można mi się dziwić? Pikap stoi na miejscu.

- Jak to się stało, że nie widzieliśmy, jak podjeżdżasz?

- Tu wszystkie ulice łączą się ze sobą. Mogę dostać się do domu z każdej strony. Podjechałem od tyłu.

- Rozumiem.

Po drugiej stronie ulicy naprzeciwko jego przyczepy stoi inny, nieznan mi wóz. Chyba jaguar: na masce ma srebrzystego kota.

Natychmiast domyślam się, do kogo należy, i z furią odwracam się do Dale'a.

- Ona tam jest? O to ci chodziło? Chciałeś się popisać? Brzydę się tobą, Dale'u Genscherze. A jeśli sądzisz...

- Wejdź do środka.

- Nie.

Staję, choć zdaję sobie sprawę, jak idiotycznie i dziecinnie się zachowuję. Ale nie mogę stawić czoła tej kobiecie. Kombinuję, czy dałoby się jakoś uciec, zachowując przy tym godność.

- Oczywiście nie mogę cię zmusić - mówi cicho - jednak spodziewałem się po tobie większej dojrzałości i mniejszego tchórzostwa.

To przeważyło. Nikt nie będzie zarzucał Arabelli Moraghan tchórzostwa. Jeśli chce mnie upokorzyć, myślę lodowato, to się zdziwi. Ja go upokorzę.

Ruszam do drzwi i wchodzę do środka, nie czekając na zaproszenie.

Jest tam. Obrzydliwie elegancka i wytworna siedzi na kanapie, trzymając szklankę chłodnej wody w dłoni.

- Witaj.

- Cześć, Hanno. - Odwracam się do Dale'a, który wszedł za mną.

- No i? Jestem. Za pięć minut wyjeżdżam, więc nie trać czasu.

Wodzę wzrokiem od jednego do drugiego i dostrzegam wymianę znaczących, nieznośnie czułych spojrzeń. Dłużej tego nie zniosę.

- Na miłość boską! Idę. To bez sensu.

Chcę go wyminąć, jednak zdrowym ramieniem blokuje mi drogę. Przecież nie zanurkuję pod ręką Dale'a. To byłoby już ostateczne upokorzenie, zwłaszcza w obecności tej damulki.

Dale bierze mnie za ramię i obraca twarzą do niej. Próbuje stawiać opór, ale nawet z jednym ramieniem unieruchomionym jest ode mnie silniejszy.

- Arabello, przedstawiam ci moją matkę.

Scandalous

---

## Rozdział 55

---

Kompletnie ogłupiała wodzę wzrokiem od Dale'a do Hanny i z powrotem. Na tarasie słyszę czyjeś kroki.

- Bella? To Rowan.

- Przyjechała twoja taksówka. - Wsuwa głowę w drzwi. - O, siema! - Zauważa kobietę. Potem znowu zwraca się do mnie. - Szofer pyta, ile to potrwa.

Patrzę na zegarek. Nie widzę godziny, tarcza jest dziwnie rozmazana.

- Przyjdę za pięć minut. Pewnie nawet szybciej. Nie. Nie wiem. Słuchaj, poproś, żeby po prostu poczekał.

- Każ mu wracać. - Dale z kieszeni na piersi wyjmuje dwudziestodolarówkę i podaje Rowanowi. - Kiedy skończymy, zamówimy drugą.

- W porzo. - Mój brat wzrusza ramionami. - Narka. Znika.

Dale siada na kanapie i gestem zaprasza, żebym zrobiła to samo. Siedzi każdy mój ruch niczym strażnik w zoo, obserwujący drapieżnika, który w każdej chwili może wyskoczyć z otwartej klatki. Nie siadam. Za bardzo się boję. Powodów jest mnóstwo. Zresztą, czuję ponad wszelką wątpliwość, że ta kobieta uważa mnie za wariatkę; to byłoby dla niej krepujące. Co gorsza, obawiam się, że Hanna się nie myli: postradałam rozum.

Przecież Dale naprawdę ją obejmował. Tego sobie nie wymyśliłam. A ona wygląda za dobrze i za młodo, by być jego matką. Z drugiej strony, nie zaprotestowała, gdy to powiedział.

Nie jestem wariatką, do diaska! Dale sam mi mówił, że jego rodzice nie żyją.

Kręci mi się w głowie, więc siadam, na stołku kuchennym, jak najdalej od nich.

- Czy ktoś zechce mi wyjaśnić, co tu się dzieje? Wy tłumaczenie jest proste i smutne. Dale i jego matka

nigdy nie zerwali kontaktu, ale ukrywali się z tym przed rodziną i współwyznawcami. Dzwonią do siebie na komórkę, matka opowiada mu, co słuchać u jego dzieci, z którymi nadal się widuje. Od czasu do czasu spotykają się na jakimś neutralnym gruncie, tam gdzie nikt ich nie zna. I to tylko wtedy, gdy ojciec Dale'a wyjeżdża w interesach.

- Tak. - Dale nie spuszcza ze mnie wzroku. - Mój ojciec też żyje. Zajmuje eksponowane stanowisko we wspólnocie świadków Jehowy. Religia odgrywa niezwykle ważną rolę w jego życiu. Poza tym ojciec jest nieco... jak to powiedzieć...?

Zerka na matkę.

- Twardy - podrzuca Hanna. - Możesz śmiało to powiedzieć, synku. I nie jest „nieco” twardy. Jest nieugięty, twardy jak gładz. I niezachwianie wierzy w to, co głosi nasza religia. Co nie oznacza, że jest złym człowiekiem. - Uśmiecha się. - Ma też dużo zalet.

- Nie mogłem ci się przyznać - podejmuje wyjaśnienia Dale. -  
Proszę, spróbuj to zrozumieć. Nie mogłem ci tego powiedzieć.

Błysk flesza: przypominam sobie jego dziwne skrępowanie, gdy po raz pierwszy opowiadał mi o swojej rodzinie i przynależności do świadków Jehowy.

- Liczymy na twoją dyskrecję, Arabello. - Hanna bacznie mi się przygląda. - Dale zdecydował się ci zaufać. Próbowałam zmiękczyć mojego męża, ale się poddałam. Joey i jego żona także są bardzo zaangażowani w działalność Strażnicy, więc tu też sytuacja nie jest pomyślna. Ale teraz...

Waha się i szuka wsparcia u Dale'a.

- Mama powiedziała, że Eve skontaktowała się z Janny. Pewnie o tym wiedziałaś?

- Tak. Przepraszam, jeśli uznałeś to za pchanie się z butami w twoje życie.

- Nie przepraszaj. Janny jest dorosła. Ja jestem dorosły. Jeśli nie przyjedzie, co się stanie? Już raz zostałem odrzucony.

- Jak to przyjęła?

Teraz Dale spogląda na matkę.

- Naturalnie był to dla niej szok. - Hanna zwraca się do mnie, nie do niego. - Rozmawialiśmy o tym dziś rano i uważam, że Dale powinien zostawić inicjatywę Janny. Pod wieloma względami przypomina swojego ojca, na przykład nie lubi, by ją poganiać. Sądzę jednak, że z czasem dojrzeje do tego, by się z nim skontaktować. Zwłaszcza że w tym momencie chodzi o bardzo sympatycznego

chłopakiem. Jeśli zdecydują się na ślub, może to stać się bodźcem do pojednania. Prawda?

- Może.

Dale wzrusza ramionami i odwraca wzrok, więc nie mogę wyczytać w jego spojrzeniu, co naprawdę czuje.

Za dużo tego naraz, nie mogę ogarnąć całości. To wszystko musi do czegoś prowadzić; czegoś, co ma związek ze mną, ale jestem zbyt oszołomiona, by się domyślić czego. Łatwiej będzie skoncentrować się na Dale'u i Hannie.

- Hanno, dlaczego wciąż wyznajesz religię, która tak bezwzględnie niszczy rodzinę?

- To tylko zwyczaj, nie nakaz religii. Nigdzie nie napisano, że tak trzeba postępować, choć ta praktyka jest dość powszechna. Ci, którzy obierają taką drogę, zwykle pozostają nieugięci. Ja jednak mam nadzieję, że moja rodzina kiedyś znów będzie razem. Kocham męża i postanowiłam rozwiązać ten problem po swojemu. - Pije łyk wody. - Wolę nie myśleć, co by się stało, gdyby się dowiedział, że potajemnie widuję Dale'a. Nie słyszałam, by w Robinia Meadows mieszkali świadkowie Jehowy, ale oni są wszędzie. Bardzo poważnie traktują swoją misję i religię. Jak powiedział Dale, Strażnica stanowi bodaj najważniejszy element życia mojego męża. Znaczy dla niego o wiele więcej niż ja. - Hanna uśmiecha się niewesoło. - W tym momencie tylko ty wiesz, że Dale i ja się widzimy. Nie zdradził tego nawet twojej matce. - Wzrokiem szuka u niego potwierdzenia. Dale kiwa głową. - Mam nadzieję, że nie zawiedziesz naszego zaufania,

Arabello, bo doprawdy, wiele ryzykuję. Sama wyprawa do centrum handlowego była sporym wyczynem. Po raz pierwszy zapuściłam się aż tak daleko, ponieważ od dawna marzyłam, by zobaczyć, gdzie mieszka mój syn. No i nie mogłam oprzeć się pokusie obejrzenia... Przenosi wzrok z Dale'a na mnie i milknie.

- Nie powiedziała ci, Arabello - przejmuję pałeczkę Dale - że to ja poprosiłam, by przyjechała do Sedony. Nie wyjaśniłem dlaczego, aby jej nie przerazić, ale zamierzałem jakoś tak to zorganizować, żebyście się poznały. Niestety, okazałaś się szybsza.

Siada, zakładając nogę na nogę. Hanna pije wodę. Ich dwugłos najwyraźniej dobiegł końca. Czekają. Hanna ma dar milczenia swojego syna - a właściwie powinnam powiedzieć, że to Dale go po niej odziedziczył. Cisza się przedłuża i kiedy żadne z nich nie podejmuje próby jej przerwania, biorę to na siebie.

- Nie wiem, co powiedzieć. - Wodzę wzrokiem od jednego do drugiego. - Przykro mi, ale po prostu nie wiem.

- Wiesz co, synku? - Matka Dale'a podnosi się i stawia szklanę na stole. - Macie sobie wiele do powiedzenia, więc chyba będzie lepiej, jeśli już pojedę. Zwłaszcza że przede mną długa droga, a gospodyni czeka w błogim przekonaniu, że leżę na kozetce u kosmetyczki. Muszę zjawić się w domu piękna i zachwycająca.

- I tak wyglądasz zjawiskowo, Hanno. - Wstaję, a Dale idzie w moje ślady. - Do tego stopnia, że przypuszczałam... Och, sama już nie wiem, co przypuszczałam.



Czerwienię się tak strasznie, że można by mnie umieścić na samolocie w charakterze światła sygnalizacyjnego.

- Teraz to już bez znaczenia, prawda? Miło się z tobą gawędziło.  
- Taktownie otwiera torebkę i udaje, że szuka kluczyków. - Szkoda tylko że tak krótko, ale mam nadzieję, że zdążymy się bliżej poznać. Nawet w tak skomplikowanej sytuacji. - Zwraca się do syna. - Nie myliłeś się co do niej. I cokolwiek zdecydujesz, dokonasz właściwego wyboru. Wiesz, że w miarę możliwości będę cię wspierała. - Znowu zwraca się do mnie. - To geniusz księgowości, wiesz? Jego ojciec tego nie wie i mam nadzieję, że nigdy się nie dowie, ale Dale jest moim finansowym aniołem stróżem. Cudownie zajmuje się moimi rachunkami.

- Rozumiem.

Rachunkami? Jakimi rachunkami?

- Żałuję tylko, że nie obetnie włosów i nie zrobi czegoś z tymi ohydnyimi tatuażami - ciągnie Hanna. - Ktoś powinien mu wyjaśnić, że czasy Woodstock dawno się skończyły. Może ty przemówisz mu do rozumu?

Klepie go po policzku.

- Dziękuję, mam. Odprowadzę cię do samochodu. Rusza do wyjścia, ale Hanna go zatrzymuje.

- Lepiej nie. Odezwij się, dobrze? Zadzwoń na komórkę.

- Jasne. Jutro. Jedź ostrożnie.

- Obiecuję. Pa, Arabello. Opiekuj się nim.

Znika, zostawiając za sobą lekki zapach kwiatów. Frezji. I mnie samą z Dale'em. Patrzymy na siebie.

- Ile ona ma lat?

- Sześćdziesiąt osiem. Czy zamówić ci teraz taksówkę? Stoi oparty o futrynę. Jest bardzo wysoki.

- Dlaczego chciałeś, żebym ją poznała?

- Mam ci to tłumaczyć dużymi literami? Wykładam karty na stół, bo możesz dziś wyjechać i już więcej się nie zobaczymy. Ale, niestety, moje wcześniejsze oświadczenie pozostaje w mocy: nie podbieram cudzej własności.

-Co twoja matka miała na myśli, mówiąc o rachunkach? Jakich rachunkach?

- Drocysz się ze mną? Specjalnie udajesz głuchą, Arabello? Nie słyszałaś, co powiedziałem? To nie ma żadnego związku z interesami mojej matki.

- Jestem śmiertelnie poważna. Moim zdaniem wcale nie wyłożyłaś kart na stół. Nadal nie wiem, o co chodzi. Tam, skąd przyjechałam, lubimy wiedzieć, z jakimi ludźmi mamy do czynienia...

Urywam, bo Dale przeszywa mnie wzrokiem.

- Jeśli chcesz zdążyć na samolot, trzeba skończyć tę zabawę w kotka i myszkę. Rzykuję. Rzucam wszystko na jedną szalę. Co do mnie czujesz, Arabello?

- Zawsze tak się rządźisz?

- Sama będziesz musiała sobie na to odpowiedzieć. Powiedz, poniosła mnie wyobraźnia, czy to, co się wydarzyło przy kaplicy, coś znaczyło?

Nie odpowiadam. Nie mogę. Ale czasem - tak jak teraz - cisza działa jak katalizator.

- Dobra - burczy. - Skoro tak się upierasz. Moja matka ma firmę. Swoją własną, niezwiązaną z przedsiębiorstwem ojca i znacznie lepiej prosperującą. Ojciec kieruje fabryką sprzętu oświetleniowego. Mama otworzyła kwaciarnię i teraz ma filie w trzydziestu jeden stanach. Pomagam jej prowadzić księgowość. Już dobrze? To daje nam okazję do spotkań. Ojciec wie, że doradca mamy nazywa się Marvin O'Brien.

- Rozumiem. Dlaczego tak się wściekasz?

- Nie wściekam się.

- No to bardzo przekonująco udajesz złość. - Teraz ja jestem wkurzona. - To ważne. Takie sprawy się liczą. Sądziłam, że cię znam, a teraz okazuje się, że nic o tobie nie wiem. Karmiłeś mnie kłamstwami. Twoja matka to kobieta z klasą. Bogata kobieta z klasą, wystarczy spojrzeć na jej ciuchy. A ty prowadzisz jej księgowość. To co mają znaczyć te tatuaże? I mieszkanie w przyczepie, zamiast w normalnym domu?

- Pieniądze dla mnie się nie liczą. Nie obchodzą mnie pozycja, status ani ciuchy, chyba powinnaś była już dawno to dostrzec, Arabello. A tatuaże... - Wzrusza ramionami. - Kiedy odszedłem ze wspólnoty, wpadłem w złe towarzystwo. Alkohol, narkotyki, wszystko to pamiętam jak przez mgłę. Nie przypominam sobie nawet,

skąd się wzięła większość tych tatuaży. Pewnie robiłem je, bo wtedy wydawało mi się, że to świetny pomysł. - Odrywa się od futryny i podchodzi do mnie. - Przestań grać na zwłokę, Arabello. Trzeba podjąć decyzję.

Krażę po przyczepie, a ponieważ staram się jak najdalej odsunąć od Dale'a, pozostaje mi tylko niewielkie kółko w kuchni. Chodzę tak energicznie, że przyczepa kołysze się na fundamentach z betonowych bloczków. Hałasuję, ile wlezie. A im bardziej się ciskam, tym bardziej on się uspokaja.

- Wiesz, to nie w porządku. - Staję z nim twarzą w twarz. - Wczoraj wieczorem byłem w siódmym niebie, a kiedy dziś zobaczyłam cię z nią...

- Pochopnie wyciągnęłaś wnioski. Trudno mnie za to winić.

- Racja. Ale...

- Ale co? A co z twoim chłopakiem?

Do diaska, znów ten jego cytrynowy zapach!

- Czego, do cholery, używasz jako wody po goleniu, Dale?

Płynu do mycia naczyń?

Wybuchą śmiechem. A potem mówi:

- Na miłość boską, Arabello. Czy ja się kiedyś doczekam choć jednej dorzeczej odpowiedzi? Twój chłopak...

- Zerwałam z nim.

To zdanie jest niczym rzucony między nas granat. Dale się cofa.

- Cóż, wielkie dzięki, że wreszcie raczyłaś mi powiedzieć.

Ktoś na zewnątrz trąbi. Woła Dale'a.

- To Mario. - Nie rusza się. - Wrócił wcześniej.

Znowu klakson. Tym razem dwukrotnie. Niecierpliwie.

Dale mamrocze coś pod nosem i w dwóch susach dopada do drzwi. Ryczy do Maria, że później z nim pogada, i zatrzaskuje drzwi.

- Pewnie śmiertelnie się obraził i będę musiał pofatygować się do niego z kwiatkiem. Co za obrzydliwe miejsce! Człowiek żyje tu jak w akwarium!

- A kiedy cię o to pytałam, mówiłeś...

- Czy ty nigdy nie przestajesz gadać, Arabello?

Zamyka mi usta dłonią, a zaraz potem ustami. Pocałunek jest długi, głęboki i - choć to się wydawało niemożliwe - jeszcze bardziej niesamowity niż tamten przy kaplicy. I działa na mnie tak samo jak ten pierwszy - nogi mam jak z waty.

- Musimy wyjaśnić kilka kwestii - odzywa się Dale, oderwawszy się ode mnie. - Życie ze mną nie jest łatwe, Arabello. Mam, jak już zdążyłaś się przekonać, dość szczególną sytuację rodzinną. Nauczyłem się też skrytości, bo musiałem. Nie zdziwiłbym się również, gdyby ludzie uważali mnie za humorzastego. A ty? Uważasz, że mam humory?

- Przemknęło mi to przez myśl.

W głowie mi szumi. Nie śmiem myśleć, do czego to wszystko zmierza. Dale podchodzi do okna i mówi dalej, odwrócony do mnie plecami.

- Cóż, teraz już rozumiesz, skąd się to wzięło. Bardzo dużo spraw musiałem zachowywać dla siebie. Dzięki temu nauczyłem się

niezależności. - Staje twarzą do mnie. -A także, o czym już wiesz, jestem niepijącym alkoholikiem. To rodzi odrębne problemy.

- Czy nie za szybko o tym przesądzamy?

Musiałam to powiedzieć. Nie wiem dlaczego, ale musiałam powstrzymać tę falę. Dale puszcza moje słowa mimo uszu.

- Jak już wiesz, mam czterdzieści dziewięć lat, a choć będę robił, co w mojej mocy, by się do ciebie dostosować, może mi to przychodzić z trudem. Od tak dawna mieszkam sam, więc przywykłem, że nie muszę się nikomu spowiadać. Ty zaś wyglądasz na osobę, która lubi wszystko wiedzieć i nie unika pytań.

- Żebyś wiedział.

Mierzymy się wzrokiem. Dale nadal stoi oparty o parapet. Wpadające przez okno promienie słońca połyskują w śnieżnobiałych nitkach, które widać w jego włosach koloru stali. W mieszkaniu słychać tylko cichy szum klimatyzacji. Prostuję ramiona, jak zawsze, gdy muszę powiedzieć lub zrobić coś trudnego. Mam wrażenie, że przechodzi przeze mnie metalowy pręt, przykuwający mnie do tego konkretnego miejsca.

- Wycofujesz się czy wchodzisz w to, Dale?

Usta mu lekko drgają, po chwili znów zaciskają się w prostą, wąską kreskę.

- Nie grzeszysz nadmiarem romantyzmu, he?

- Nie odpowiedziałeś na pytanie. Wycofujesz się czy wchodzisz?

Opuszcza głowę, ale nie odrywa ode mnie wzroku. Wyobrażam sobie, jak musimy teraz wyglądać: on - byk szykujący się do ataku; ja - unieruchomiony przedmiot stojący na jego drodze.

- Po prostu odsłaniam swoje najgorsze strony - mówi cicho - żebyś potem nie mogła mi zarzucić, że nie wiedziałas.

- Ja też nie jestem ideałem. Mam nierozwiązane kwestie rodzinne, większość życia mieszkałam sama i pewnie też trudno będzie mi się nagiąć do ciebie. Jestem bałaganiarą, dużo czytam i zaniedbuję prace domowe. Kiepsko gotuję, więc jem byle co i byle gdzie. Uwielbiam wyciskacze łez, a moje przygotowanie zawodowe kwalifikuje mnie wyłącznie do pracy kelnerki.

- Z tym wszystkim potrafię żyć. - Odrywa się od okna i wolno idzie w moją stronę.

- Za to jestem naprawdę dobrą kelnerką.

Nie pozwolę, by ktoś patrzył z góry na mnie albo na Gretę. Będę lojalna wobec nas i naszej profesji.

- Chyba już z grubsza łapię.

Stoi tuż obok mnie. Góruje nade mną, a mnie znów prześladowe woń tych diabelnych cytryn.

- Swoje dobre strony możemy odkrywać wspólnie. Jeśli ty jesteś chętna, to ja tym bardziej. Więc jak? Chcesz być moją kobietą czy nie?

- I kto tu nie grzeszy nadmiarem romantyzmu?

Nie wiem, jak on, ale ja padam, rozpływam się, umieram w jego obecności.

- Wyjaśnijmy coś sobie - wykrztuszam jeszcze. - Masz na myśli wspólne życie?

- Sprawdźmy...

I łąduję w łódku z Dale'em Genscherem. Nie zdejmujemy ubrań. Szkoda nam czasu. Ja staram się uważać na jego ramię. On nie uważa na nic.

Scandalous



---

## Rozdział 56

---

Rano zadzwoniłam do pracy, że nie przyjdę, bo się przeziębiam. Prawda wygląda tak, że wcale się nie przeziębiam, tylko ubiegłej nocy nie zmrużyłam oka - choć mówi się, że to złudzenie. Nawet jeśli nam się wydaje, że nie śpimy całą noc, zapadamy w krótkie drzemki. Nie wiem, jak było ze mną, ale kiedy dziś rano próbowałam wstać z łóżka i pójść pod prysznic, byłam tak skonana i nieprzytomna, że nogi mi się trzęsły.

Nie mam wyrzutów sumienia. W ciągu dwudziestu lat mojej kariery zawodowej chorowałam tylko osiem dni -oczywiście nie licząc urlopów macierzyńskich, do których miałam prawo. Co więcej, Maeve i Dermot dostali dziś dzień wolny - zjazd związku zawodowego nauczycieli, jeśli dobrze pamiętam. Dlatego, zostawiwszy wiadomość na komórce mojego bezpośredniego przełożonego, zadzwoniłam też do znajomej, u której Maeve i Dermot mieli zostać, i odwołałam wcześniejsze plany. Postanowiłam spędzić dzień z moją córką i synem. Może to mnie wyciszy. A im na pewno wyjdzie na zdrowie.

Dzień zaczęliśmy od niespiesznego śniadania - dzieci były zachwycone, że mają mnie do wyłącznej dyspozycji, i dzieliły się ze mną swoimi małymi sekretami. Pomogły mi nawet pozmywać. Potem razem przeszliśmy się do sklepu.

Tam kupiłam gazetę, pieczywo i mleko. Spytałam Maeve i Dermota, co by chcieli na lunch, i nie protestowałam, gdy wybrali

mrożone skrzydełka, hamburgery i frytki. Do tego jeszcze wzięłam - choć nie prosili - czekoladę i komiksy. Oboje byli zachwyceni, a kiedy myśleli, że nie widzę, szturchali się, jakby chcieli sprawdzić, czy to im się nie śni. Przyznam, że poczułam się niewyraźnie.

W domu zasiedliśmy do swoich gazet i komiksów, zjedliśmy lunch, a potem poszłam na górę na krótką drzemkę. Widocznie ścięło mnie z nóg, bo ku mojemu zaskoczeniu dochodzi szósta. Przespałam prawie trzy godziny.

Niedługo wróci Paddy. Muszę wstać i przygotować kolację. Główny posiłek, podobnie jak ja, je w pracy, więc wieczorem wystarczy nam nieduża przekąska: jajka, sałatka, tosty z pieczarkami.

Z salonu dobiegają dźwięki z telewizora. Maeve i Dermot siedzą pewnie przyklejeni do ekranu i oglądają jakiś program, chrupiąc płatki i tosty. Oczywiście zostawiają na wykładzinie okruchy i porozsypywany cukier. Nie dam im dzisiaj za to bury. Dziś nie będę się złościć na nikogo.

Bo od wczorajszego wieczoru w głowie nieustannie dźwięczy mi to jedno zdanie. Psalm trzydziesty siódmy.

Przestań się gniewać i porzuć oburzenie, nie pałaj zawiścią, byś źle nie postąpił\*.

Wczoraj Maeve miała napisać esej o tym psalmie w kontekście wojny w Iraku i wieczorem zwróciła się do mnie o pomoc. Trudne zadanie, zwłaszcza dla dwunastolatki, ale to bardzo dobra, wymagająca szkoła. Ja i Paddy nie skąpimy grosza na wykształceni

dzieci.

\* Ps 37,8 wg Edycji Świętego Pawia.

Pomogłam Maeve, choć oczywiście nie napisałam za nią pracy. A zaraz potem zadzwoniła matka i odbyłam z nią tę trudną, niepokojącą rozmowę. Kiedy wreszcie, zmęczona i rozkojarzona, położyłam się do łóżka, te słowa psalmu nie dawały mi spokoju, nieustannie dźwięcząc w głowie.

W pewnym momencie nawet wstałam, zeszłam na dół, podgrzałam sobie mleko i usiadłam przed wyłączonym telewizorem, próbując pomyśleć o czymś przyjemnym i wyciszającym: o zbliżającym się wyjeździe z dziećmi na Arann;

o medalu (drugie miejsce w kategorii dzieci do lat dziesięciu) Dermota w szkolnym turnieju szachowym; o pochwałach, jakie dostałam od bezpośredniego przełożonego za ostatni raport. Mimo to moją podświadomość ciągle drażyły te dwie, mroczne podziemne rzeki: tamta rozmowa telefoniczna i ten psalm.

Tak, mam w sobie złość, kipi we mnie gniew i czuję oburzenie. Ale gdzieś o czwartej nad ranem nieoczekiwanie przyszedł wstyd i żal z powodu tonu, jakim rozmawiałam z matką. I za te pełne nienawiści słowa, które wykrzyczałam jej podczas tamtej okropnej sceny w Robinia Meadows.

Minęło czternaście godzin. Leżę w ciepłym, miękkim łóżku, słuchając szmeru deszczu za oknem, i uświadamiam sobie, że jeśli w

jakiś sposób nie powstrzymam tego strumienia krytyki i samopotępienia, umrę, pałając nienawiścią i chęcią odwetu.

Może powinnam zastanowić się nad terapią?

To byłaby gorzka pigułka. Przyznać się do słabości? Ja, która zawsze szczyliłam się swoim opanowaniem i zdrowym rozsądkiem?

Zresztą, jakąż to Amerykę odkryje przede mną terapeuta?

Przecież wszystko to już rozpracowałam. Doskonale wiem, że nagły powrót matki w moje uporządkowane życie naruszył żelazny pancierz, w którym zamknęłam swoje emocje. I że te uczucia, raz wydostawszy się na wolność, drugi raz nie dadzą się tak łatwo zamknąć w klatce. Że muszę stawić im czoło i uporać się z nimi, by stare rany wreszcie mogły się zagoić. Że muszę zaakceptować zmiany. A to wszystko wymaga czasu.

Na pewno zdążyliście już zauważyć, że nie jestem z natury wylewna ani otwarta. Nie sędzę, by rozmowa z psychoterapeutą miała sprawić mi przyjemność.

Tak samo jak wczoraj nie sprawiało mi przyjemności pełne troski zainteresowanie moich kolegów z pracy - dwie osoby widziały mnie w telewizji, a gazeta (artykuł na pięć stron!) oczywiście krążyła po całym biurze. Muszę jednak przyznać, że choć drażniło mnie zamieszanie wokół mojej osoby, byłam też wzruszona. Moi koledzy nie zareagowali wścibskimi pytaniami, okazali mi raczej współczucie i zrozumienie. Wiele osób mówiło wręcz, że to się nadaje na książkę.

Założę się, że moją dzisiejszą nieobecność wytłumaczają koniecznością odreagowania tych wszystkich przeżyć. Dzięki programom typu reality show, audycjom z udziałem psychologów czy prasowym kącikom „złamanych serc” każdy w Irlandii czuje się domorośłym psychologiem.

Z psychoterapią wiązałyby się też koszty. Zastanawiam się, jak by na to zareagował Paddy. Jego zdaniem, porzucając rygorystyczne nakazy religii katolickiej na rzecz - jak to nazywa - katolicyzmu a la carte, Irlandczycy tylko nabili kasę psychologom i terapeutom; uważa, że tak naprawdę większość problemów ducha rozwiązałyby w konfesjonale dobry spowiednik.

Kiedy tak to analizuję, przestaję się dziwić, że wczoraj nie mogłam zasnąć.

Jedno nie ulega wątpliwości: nie mogę udawać, że nic się nie dzieje. Muszę coś zrobić.

Przestań się gniewać i porzuć oburzenie, nie pałaj zawiścią, byś źle nie postąpił.

Może innym krzywdy bym nie wyrządziła, ale sobie tak. Słyszę zgrzytanie klucza Paddy'ego w zamku. Wstaję, łapię podomkę i schodzę na dół.

- Przeleżałaś cały dzień?

Podnosi na mnie wzrok znad teczki, którą wstawia do szafki pod schodami.

- Nie. Zdrzemnęłam się.

- Pięknie, ciekawe, czy teraz uda ci się zasnąć.

- Paddy, muszę cię o coś zapytać - wyrzucam z siebie pospiesznie, choć zwykle odzywam się dopiero po namyśle.

- Wal. - Zamyka drzwiczki szafki.

- Zgodziłbyś się, gdybym umówiła się z kimś na rozmowę?

- A ja ci nie wystarczam? - Parska wymuszonym śmiechem i przygląda mi się uważnie.

- Jesteś cudowny i wspaniale podszedłeś do tej całej sprawy, jednak czuję, że powinnam porozmawiać z kimś z zewnątrz. Z kimś, kto spojrzy na to obiektywnie.

- Masz na myśli psychologa?

- Może? Może jakiegoś terapeutę. Wiem, że takie wizyty sporo kosztują i wiem, że twoim zdaniem pewnie wystarczyłaby mi rozmowa z księdzem, ale naprawdę wydaje mi się...

Urywam. Spodziewałam się, że zaczniesz się ciskać, tymczasem on milczy. Ogląda się przez ramię na zamknięte drzwi salonu.

- Dzieci są w pokoju?

- Nie słyszą nas. Oglądają telewizję.

- Dobrze. Chodźmy do kuchni, tam pogadajmy

Idę za nim. Siada. Ja też. Wybieram krzesło Maeve, bo jest najbliżej jego i stoi pod właściwym kątem.

- Dobra - zaczyna beznamiętnie. - Spodziewałem się tego. Masz na myśli kogoś konkretnego?

- Nie. - Wtedy dociera do mnie, co właśnie powiedział. - Spodziewałeś się tego?

- Masz mnie za kompletnego idiotę, Willow? Sądzisz, że nie widziałem, co przechodzisz? Takie przeżycie dla każdego człowieka stanowi wstrząs. A dla kogoś takiego jak ty jest co najmniej trzęsieniem ziemi.

- Ale... - Nagle ogarnia mnie złość. - Co masz na myśli, mówiąc: „dla kogoś takiego jak ty”?

- Doskonale wiesz. Może nie jestem geniuszem i najbardziej spontanicznym facetem pod słońcem, ale ty jesteś taka spięta i zamknięta w sobie, że właściwie cieszę się, że to się stało.

Nachylił się i przez moment sądziłam, że weźmie mnie za rękę. Rozmyślił się, a ja w sumie byłam zadowolona. Jego nieoczekiwana reakcja wystarczająco zbiła mnie z tropu. Gdyby dodał jeszcze do tego kontakt fizyczny, sytuacja mogłaby mnie przerosnąć. Przygląda mi się uważnie.

- Szczerze? Sam zamierzałem ci to zaproponować - mówi cicho.

- Naprawdę?

- Tak, naprawdę. Ja też się starzeję i, tak samo jak ty, mam tylko jedno życie. Mamy cudowne dzieci. Mamy niezłą pracę. Życie dość łaskawie się z nami obchodziło i chciałbym się przekonać, czy potrafimy się nim cieszyć. A nie będziemy mogli się nim cieszyć, jeśli będziemy się go bać.

Tyle lat małżeństwa i nigdy nie doszło między nami do takiej rozmowy! Była szczerą, otwartą, ale wkraczaliśmy na nieznane terytorium. I mimo zmian, które powolutku się we mnie dokonywały, budziło to we mnie niepokój.

Niepokój i dyskomfort. Instynkt podpowiadał mi, aby natychmiast przeskoczyć w tryb „żółw” albo „kret”.

- Nie rozumiesz, Paddy. Wcale nie boję się życia. Po prostu przeżyłam szok i potrzebuję jednej, tylko jednej, rozmowy z kimś, kto pomoże mi to sobie ułożyć, poradzi, jak się z tym uporać, pchnie mnie we właściwym kierunku.

- Przewiduję, że będziesz potrzebowała więcej niż jednej rozmowy, Willow.

- Zobaczymy.

Unikam spojrzenia Paddy'ego, bo w jego oczach dostrzegam coś, co rzadko widywałam. Zrozumienie.

Jak wspomniałam, to wszystko powoduje za duży dyskomfort.

- Oczywiście nie ma powodu, żeby od razu szaleć - ciągnie, jakbym nic nie powiedziała. - W przychodniach rejonowych też pracują bardzo dobrzy specjaliści. Mam paru znajomych, da się załatwić, żebyś się dostała bez kolejki. Po co wypruwać sobie żyły na niebosięźne honorarium i przepłacać wizytę u jakiegoś mądrali tylko dlatego, że ma gabinet przy Fitzwilliam Square.

Fitzwilliam Square to odpowiednik londyńskiej Harley Street. Nasza noga nigdy tam nie postąpiła.

- Jasne, nie ma sensu.

Patrzę mu w oczy. Tym razem Paddy bierze mnie za rękę.

- Wiem, że tego pożałuję, ale zapomnij, co powiedziałem o Fitzwilliam Square. Pieniądze się nie liczą, Willow. Choćbyśmy musieli sprzedać dom...



- Nie będziemy musieli. Obiecuję.

- To już dobra wiadomość.

Uśmiechamy się do siebie. Nieśmiało. W tej samej chwili do kuchni z typowym impetem dziewięciolatka wpada Dermot.

- Co jest na kolację?

Zauważa, że trzymamy się za ręce, i na chwilę go zamurówuje.

- Ej, co się dzieje?

- Nic takiego. - Paddy puszcza moją dłoń. - Rozmawialiśmy, to wszystko. Dobra, paniusiu - siada na swoim krześle - chłopak ma rację. Co na kolację? Jest jakaś nadzieja na normalną obsługę w tym lokalu?

- Nakryj do stołu, Dermot, dobrze?

Wstaję i wyjmuję z lodówki jajka oraz plastry bekonu. Jest mi dziwnie lekko na sercu. Przy stole wydarzyło się coś niezwykłego. Powstała więź. Oboje wiemy, że ani Paddy nie stanie się Matką Teresą, ani ja nie będę Madonną, ale w powietrzu czuć pierwsze podmuchy wiatru zmian. Ja je czuję i wiem, że Paddy też.

Przerażające, ale i uskrzydlające odkrycie.

---

## Rozdział 57

---

Drugi raz kochamy się wolniej, czulej, poznajemy się... Dale Genscher ma świetną kondycję. Ja nie mam jej w ogóle, ale Dale zapewnia mnie, że to nie problem: zmusi mnie do energicznych spacerów i raz-dwa zgubię sadełko. Szturcham go, niby obrażona. Odwdzięcza się tym samym. Chwytamy się za ramiona, by obezwładnić wroga, i w tej samej chwili cały świat znika.

Budzę się wiele minut - a może godzin - później w pomiętej pościeli, lekka jak liść. Podnoszę głowę. Dale leży podparty na zdrowym ramieniu i przygląda mi się z uśmiechem.

- Patrzyłeś, jak śpię? To nie w porządku! Do diaska, nikt nie wygląda dobrze we śnie!

- Od każdej reguły są wyjątki, skarbie. - Całuje mnie w czubek nosa. - Matka przysłała ci liścik.

-Co?

- Dziesięć minut temu znalazłem go pod drzwiami. Wiem, że to od niej. Ten charakter pisma poznałbym wszędzie.

Otwieram kopertę.

*Moja najukochańsza Arabello,*

*Dzienki Bogu. Fszyscy bardzo sie cieszymy tobom i Dałem.*

*Bardzo sie martfiliśmy, że chciałaś wcześniej wyjechać.*

*Kiedy bendzierz gotowa, wpadnij to to ózczimy. Mario pszy-  
żondzit sfojom specjalność kórczaka.*

*Tfoja kohająca matka, Eve*

Taaak. Akwarium. I co z tego? W tym momencie nic nie jest w stanie zepsuć mi humoru.

- Cóż, nadal robi okropne błędy.

Przepełnia mnie czułość do Eve. Przepełnia mnie czułość do całego świata. Podaję list Dale'owi, a on zamiast przeczytać, całuje mnie w czoło.

- Sądysz, że ty i ja...?

- Wydawało mi się, że właśnie to zrobiliśmy.

- Wiesz, co mam na myśli. Co teraz? Rozleniwiona wpatruję się w sufit. W kloszu lampy odbija się złocista poświata zachodzącego słońca.

- Chyba nie liczysz, że ci odpowiem, Dale'u Genscherze. Nie teraz. Nie w tym roku ani w następnym, ani w kolejnym. Najpierw musiałbyś odpowiedzieć na pytanie, które już ci zadałam, a ty udałeś, że nie słyszysz. Dlaczego kiedy zobaczyłeś mnie na lotnisku, chciałeś dać nogę do Nowego Meksyku?

Roześmiał się.

- Przeraziłaś mnie. Wyglądałaś na nieznośnie energiczną i zaradną. Rozglądałaś się po lotnisku, jakbyś szukała problemów, wymagających natychmiastowej interwencji. Bałem się, że zaklasyfikujesz mnie do tej grupy.

Zapamiętałam to i odłożyłam do późniejszej analizy.

- A drugiego dnia?

- Aaa... Drugi dzień to co innego. Wtedy dostrzegłem twoje usta, cudowne oczy i włosy. Włosy, które pierwszego dnia były ściągnięte

w jakiś kok. Drugiego dnia je rozpuściłaś i zakochałem się w tobie. W twoich beznadziejnych ciuchach, twojej cerze, twoich dłoniach i tym ciągłym trajkotaniu. Nie wiem, czy zauważyłaś, że strasznie dużo mówisz. I za to też cię Kocham. Kocham u ciebie to, jak okropnie się wstydzisz, kiedy masz kaca; i to, jak wpadasz w złość, gdy czegoś nie rozumiesz; i to, że chodzisz z sercem na dłoni; że szukasz okoliczności łagodzących, ilekroć ktoś coś zbroi. Masz wielkie serce, Arabello.

- Już dość! Dość! Jestem chodzącą reklamą coca-coli! Ale czuję się tak szczęśliwa, że mojego światła wystarczyłoby na solidną tęczę.

- A teraz pytanie zasadnicze. - Wodzi palcem po moich brwiach.  
- Czy jesteś gotowa stawić czoło zmasowanemu atakowi armii plotkarzy z Robinia Meadows?

Armia, łącznie z przygaszoną Mary RR, siedzi na tarasie Eve. Kiedy się tam pojawiajemy, ku mojemu zażenowaniu zostajemy powitani brawami. Ale oklaski są tak szczere, a wszyscy wydają się tak rozradowani naszym szczęściem, że choć pieką mnie policzki (Dale, oczywiście, zachowuje swój kamienny spokój), nie protestuję.

W chwili gdy zasiadamy do kurczaka Maria, dzwoni komórka Dale'a.

- Chyba sobie odpuszczę. - Spogląda na wyświetlacz i poważnieje. - To z Irlandii.

Co tym razem? Jimmy Porter z wyzwiskami? Z błaganiami? Wciąż jeszcze gryzie mnie sumienie, ale cóż, szczęście też ma swoją cenę.

- Lepiej odbierzmy.

Okazuje się jednak, że to nie Jimmy, tylko Willow. I tym razem nie prosi mnie, tylko Eve.

Scandalous

---

## Rozdział 58

---

Dzięki lżejszemu usztywnieniu odzyskałam wreszcie jaką taką sprawność i raz-dwa podchodzę do telefonu.

Tak szybki kontakt po naszej wczorajszej rozmowie, kiedy moja córka tak ostro mnie potraktowała, każe się spodziewać jakichś przełomowych decyzji. Willow albo każe mi spadać na bambus, albo zmiękła. Może ze względu na dzieci? Zaraz się tego dowiem, ale nie będę z nią rozmawiać przy wszystkich.

- Poczekaj chwilę, Willow, wejdę do środka - mówię do niej, gdy Dale podaje mi aparat.

Serce przeszywa mi dreszcz niepokoju. Czyż to nie dziwne, że tak bardzo boimy się własnych dzieci? Jeśli was to interesuje, owszem, wczoraj rozmawiałam z nią swobodnie i beztrąsko, a tak naprawdę strasznie się denerwowałam.

Sadowię się na fotelu.

- Halo?

- Mama?

Jest opanowana. Rzeczowa.

- Nie kto inny.

- Tak się zastanawiałam... List, z którym cię znaleziono, został opublikowany, a choć na razie nie ma odzewu, coś może z tego wyniknąć. Dlatego chciałam spytać, czy przed twoim przyjazdem do Irlandii wszcząć jakieś kroki, zmierzające do ustalenia twojego

pochodzenia. Całkiem niewykluczone, że masz w Irlandii jakąś rodzinę.

Serce bije mi jak młotem. To załedwie wstęp. Willow chce mi powiedzieć coś jeszcze. Wyczuwam jej niepokój, ale chyba to będzie coś dobrego. Boże, spraw, żeby to było coś dobrego. Powinnam jej pomóc, jednak nic nie przychodzi mi do głowy.

- Wspaniały pomysł, Willow.

- Oczywiście potrzebowałabym jakiejś pomocy, ale to na pewno nie będzie problemem. Kto wie? Może mi się poszczęści? W końcu twoją przyjaciółkę udało mi się odnaleźć.

- Święte słowa. I to jak szybko! Jestem ci ogromnie zobowiązana, Willow. Jeśli mogę coś zrobić ze swojej strony...

Nie myślę o hipotetycznych kuzynach. Willow ciągle jeszcze nie przeszła do rzeczy. To bodaj najdelikatniejsza rozmowa, jaką w życiu prowadziłam.

- Nie, nie sędzę. Zostaw to mnie.

- W porządku.

- W porządku. Cisza.

Przymykam oczy i skaczę na głęboką wodę.

- Wczoraj odniosłam wrażenie, że nadal jesteś bardzo wzburzona.

Milczenie.

- Oczywiście, że jestem - odzywa się wreszcie. - Ale to drugi powód, dla którego dzwonię. Chcę cię przeprosić za oba moje wybuchy.

- Willow...

Przerywa mi i szybko wyrzuca z siebie następne słowa.

- Nie przepraszam za to, co czuję. Uważam, że mam święte prawo tak to przeżywać, ale... powinnam była bardziej nad sobą panować. Postaram się spojrzeć na to wszystko z innej perspektywy. Przez wzgląd na nas wszystkich.

- Byłoby cudownie.

- Nie licz na cud, mamó. Muszę cię uprzedzić, że to zapewne trochę potrwa.

- Gdybym mogła cofnąć czas...

- Ale nie możesz.

- Wiem. Cisza.

- Willow...

- Tak?

W jej głosie brzmi wyraźne ostrzeżenie. Zamierzałam ponownie zapolować na kawałeczek prawdziwej Willow, jednak darowałam sobie. Pora na kolejny sprytny wybieg.

- Do diaska, zapomniałam, o co miałam cię spytać. Coś mi przemknęło przez myśl i od razu uciekło. - Zachichotałam nieszczerze. - Powinnam się nastawić, że tak będzie coraz częściej. Dziś rano przyłapałam się na tym, że stoję na środku pokoju z łyżeczką w ręku i nie mam pojęcia, po co ją wzięłam. Dasz wiarę? Tak więc ciesz się swoimi szarymi komórkami, póki możesz, złotko.

- Dobrze. - Trochę się odprężyła. - Mówię poważnie, mamó. Sporo... sporo o tym myślałam i naprawdę spróbuję spojrzeć na to z



innej perspektywy. Obiecuję. A kiedy przyjedziesz... - Znowu się waha, potem szybko wyrzuca z siebie: - ...Maeve i Dermot prosili, żebyś się u nas zatrzymała. Już planują, gdzie będziesz spała.

- Byłoby mi ogromnie miło. - Boję się, że radość zaraz rozsadzi mi serce. - Dziękuję - mówię spokojnie.

Znowu milczenie. Już krótsze.

- To tyle, mamó. - Wraca energiczna, rzeczowa Willow. - Będziemy w kontakcie. Dam ci znać, jeśli coś drgnie w tej drugiej sprawie.

- Willow? - Tak?

- Dziękuję. Naprawdę. Bardzo ci dziękuję.

- Drobiazg, mamó. To na razie!

Przez chwilę siedzę jeszcze w fotelu, słuchając głosów dobiegających z tarasu. Jest ciemno i chłodno, mimo że nie włączyłam klimatyzatora. Burza oczyściła powietrze, zapowiadają powrót lepszej, typowej dla przełomu kwietnia i maja pogody. Do oczu napływają mi łzy wdzięczności za to niezasłużone szczęście.

Żołądek nagle mi się ściska. Myślę o tym, co mi zaoferowała Willow. Myślę, że mogę mieć prawdziwą rodzinę, krewnych... myślę, że może się dowiem, skąd pochodzę.

---

## Rozdział 59

---

Wszystko w porządku, Eve?

Patrzę na nią z niepokojem: jest zaczerwieniona, oczy ma wilgotne. Im dłużej siedziała w przyczepie, rozmawiając z Willow, tym bardziej się niepokoiłam. Mogło jej się nieźle oberwać. Kiedy moja siostrzyczka się rozkręci...

- Czuję się fantastycznie, Arabello. Fantastycznie. -  
Rozpromienia się. - Wprost cudownie.

Opowiada krótko o pomysle Willow, by wszcząć poszukiwania jej rodziców.

- Szczerze powiedziawszy, wątpię, żeby coś z tego wynikło, choć nigdy nie wiadomo. Ale to nie powód mojej największej radości. Źródłem mojej radości jest sama Willow. Pamiętasz, Arabello? Mówiłam ci, że się z nią dogadam. I dogadam się! Już się dogaduję!

Marzę, by poznać szczegóły, jednak to pewnie zbyt osobiste. Jeśli będzie chciała, kiedyś sama mi opowie. Zresztą, i tak już za późno, bo do Eve dopada Mario. Chwyta ją w ramiona i z takim impetem całuje w policzki, że omal jej nie przewraca.

- Och, Eve! Toż to zupełnie jak w bajce! Ale należało ci się, po wszystkim, co przeszłaś.

- Oj, daleko jeszcze do bajki. Ja i Willow jesteśmy dopiero na początku drogi. I my wszyscy. - Wodzi po nas wzrokiem. - Wątpię, by wszystko samo elegancko się ułożyło i podało na tacy, z zawiązaną kokardką. To nie bajka i nie potrafię sobie wyobrazić, żebyśmy

wszyscy jak jeden mąż żyli teraz długo i szczęśliwie. Ale kiedy sobie przypomnę, jak wyglądało moje życie jeszcze miesiąc temu, zanim potrafił mnie ten suv... Chyba skontaktuję się z tamtym kierowcą. To ja powinnam mu zapłacić, nie on mnie!

- Ani mi się waź! - Robert podaje Eve talerz. - Weź całą kasę, jaka ci się należy, i baw się dobrze, wydając te pieniądze. A teraz, siadaj, skarbie, i jedz.

Wieczór okazuje się powtórką mojej imprezy urodzinowej - oczywiście, bez lampek, muzyki i tortu. Aha, i bez Chrisa oraz Mandy - lecz nad tarasem unosi się tyle radości, ciepła i serdeczności, że wystarczyłoby do oświetlenia niedużego miasta. Nawet Mary RR za sprawą kilku mai tai chwilowo zapomina o swoich troskach.

Oczywiście, Eve ma rację. Nie jestem bohaterką romansu, a w prawdziwym życiu żadna sielanka nie trwa wiecznie. Choćby i w naszej grupce, złożonej z tak różnych i silnych osobowości, o tak odmiennych życiorysach i pochodzeniu, z całą pewnością będą zdarzać się konflikty, ostre słowa i upadki. Ale dziś wszyscy ufnie patrzymy w przyszłość. Może z wyjątkiem biednej Mary (z czasem może i u niej wszystko zacznie się układać, zwłaszcza że Eddie pewnie nie wyjdzie szybko na wolność). Mam jednak wrażenie, że tego wieczoru na tarasie Eve panuje atmosfera radosnego oczekiwania i nadziei. Zwłaszcza wśród członków mojej rodziny.

Mam prawdziwą rodzinę. I może - kto wie? - wkrótce odnajdziemy swoje korzenie? Ta świadomość jest jak oślepiający błysk słońca...

Za kilka dni wrócę do Dublina, a wkrótce potem dołączą do mnie Dale z Eve, która już oświadczyła, że poczeka, aż będzie mogła normalnie się poruszać.

Leżąc wcześniej w łóżku, przytuleni do siebie rozmawialiśmy o jego przyjeździe do Irlandii. To ja poruszyłam kwestię mojego ewentualnego pozostania w Ameryce, zwierając się Dale'owi z mojego marzenia o szukaniu tu pracy w „branży usługowo-hotelarskiej”, ale wybił mi to z głowy.

- Lepiej poczekaj trochę. Wróc do tego za parę miesięcy. Przekonaj się, co do mnie czujesz, Arabello. A nuż okaże się, że to tylko przelotny romans, a w Irlandii spadną ci klapki z oczu i nie będziesz chciała mnie znać?

- A któż to uważa się za pepek świata? Nie myślałam o pozostaniu tutaj wyłącznie ze względu na ciebie! - Próbowałam udawać oburzenie.

- I ułożyłaś ten plan, całkowicie abstrahując ode mnie?

- Całkowicie! Zauroczył mnie amerykański styl życia.

- Aha. Styl życia.

- Tak!

- Chodź tu, ty...

- Tobie też w Irlandii mogą spaść z oczu klapki. Tam na pewno inaczej się zachowuję niż tutaj. - Na samą myśl o tym usiadłam z przerażenia tak gwałtownie, że prześcieradło zsunęło mi się z ramion.

- Przelotny romans? Tak to traktujesz?

- Wracaj tu, dzieciно! To rozkaz.

Pociągnął mnie na poduszkę obok siebie i pogładził po twarzy.

- Posłuchaj...

Przysunął się tak blisko, że jego twarz rozmazywała mi się przed oczyma. Widziałam jednak w jego oczach żar, tak silny, że budził we mnie trwogę.

- Nie uznaję przelotnych romansów. Jestem pedantyczny, bywam upierdliwy, z wiekiem staję się marudny, więc będziesz musiała mieć do mnie anielską cierpliwość, ale potrafię poznać, czy naprawdę kocham.

Serce na chwilę przestało mi bić. Nikt nigdy mi tego nie powiedział. I ja też nigdy nikomu tego nie mówiłam. Nie tak.

- Ja też naprawdę kocham.

Słowa z trudem przecisnęły mi się przez usta. Mimo tego, co przed chwilą zrobiliśmy, byłam zawstydzona.

- No i czyż nie pięknie?

Delikatnie ucałował jedną moją pierś, a potem już mniej delikatnie chwycił w usta brodawkę drugiej.

- Cóż za dobrana para!

Spojrzał na mnie psotnie i może znowu byśmy się kochali - jak to zrobiliśmy później - ale wypuścił moją pierś z ust. Chyba oboje byliśmy zbyt poruszeni wyznaniem, na które się odważyliśmy. Ja na pewno tak. Dlatego tylko wtuliliśmy się w siebie i zasnęliśmy. Po przebudzeniu zaczęliśmy myśleć trzeźwiej. Ja zaczęłam myśleć trzeźwiej. Uznałam, że Dale miał absolutną rację i że jeśli mam się tu

przeprowadzić na stałe, trzeba to zrobić na spokojnie, choćby ze względu na jego sytuację rodzinną.

- I nie zapominajmy o twojej córce. Sądzisz, że odnowi kontakt z tobą?

- Myślę, że trzeba posłuchać rady mojej mamy. Niech Janny sama zdecyduje. Ale jestem optymistą. A jeśli z Janny się ułoży, może z Joeyem też się uda. Zawsze miała na niego dobry wpływ.

Oczywiście to się nie stanie z dnia na dzień.

- Mamy całe życie, by się nad tym zastanowić, Dale.

- Tak, mamy.

A choć spodziewałam się, że mnie pocałuje, dotknął tylko mojego ramienia i być może właśnie dlatego ta chwila utkwiała mi w pamięci jako najpiękniejsza. To było prawdziwe zaangażowanie. Wydaje się dziwne? Ja czułam w tym geście zaangażowanie...

Widzę, że Rowan i Gina trzymają się za ręce. Wstydzę się swojej wcześniejszej zawiści. Dzięki Bogu, że jej wtedy nie okazałam. A choć obawiam się, że tych dwojga nie czeka życie usłane różami - zresztą, kogo czeka? - nie wolno mi z góry przekreślać ich związku.

Zauważam, że Gina nawet na chwilę nie spuszcza z Rowana wzroku. Miłość, to jasne, ale też tamten pijacki epizod mojego brata nieźle musiał ją wystraszyć. Jednocześnie oczywiście pęka z dumy, że rozbroił syna Mary. Zresztą Rowan naprawdę zmienia się nie do poznania: złagodniał i nie rzuca już mięsem w co drugim zdaniu. Przynajmniej na razie.

Szczerze mówiąc, zawsze podejrzewałam, że tę pozę zimnego twardziela Rowan wybrał z konieczności. Nie mam dowodów, ale jego reakcja na najmniejszą krytykę -czy próbę wsparcia albo udzielenia mu pomocy - zawsze wydawała mi się za szybka i za ostra.

Wygląda na to, że tamta propozycja pracy okazała się poważna: cztery razy w tygodniu i nikt nie zadaje pytań o pozwolenie czy zieloną kartę. Gina wygląda na przekonaną, że wszystko pójdzie jak po maśle, zwłaszcza od kiedy Rowan awansował na lokalnego bohatera. Im lepiej ją poznaję, tym bardziej mi przypomina mnie samą: uparciuch, ale i wieczna optymistka.

Ach, dogadają się!

Siedzę, przyglądając się mojej matce oraz jej przyjaciółom, którzy tak spontanicznie cieszą się radością moją i Rowana, i jestem ciekawa, o czym teraz myśli Willow. Tęsknię za nią. Żałuję, że nie świętuje tu z nami. Nie wiem, co zaszło między nią a Eve, jednak musiało to być coś dobrego.

A Greta? Nie mogę się doczekać ranka, kiedy do niej zadzwonię. A jak jej opowiem, co się wydarzyło...

Arizona była dla naszej trójki wyjątkowo łaskawa. Zwróciła nam matkę. Dokonała cudu przemiany mojego brata. A jeśli chodzi o moją przyszłość... Kto wie? Zdaję sobie sprawę, że ta euforia nie może trwać wiecznie, ale szczęście - tak. Zamierzam cieszyć się nim. Dzień po dniu. Otrzymałam tu ważną lekcję. Szczęścia nie otrzymuje się w nagrodę. Trzeba je chwycić w locie.

Dale i ja siedzimy na podłodze, opieram się o niego plecami. Każde ogryza swoją porcję kurczaka. Odwracam głowę do Dale'a, uśmiecham się do niego, a on do mnie. Przypominamy sobie...

Eve dostrzega tę wymianę spojrzeń. Uśmiecha się do nas serdecznie i życzliwie. Czerwienię się jak burak. Dziecko nie lubi, kiedy matka wie, co ono kombinuje.

Koncentruję się na jedzeniu. Przez koszulę czuję obok siebie Dale'a, jego żebra, ciepło jego skóry. Mam w nim oparcie. Czyż można żądać więcej?

Scandalous